

C.J. CHERRYH

A black and white illustration of a castle on a cliff. The castle is built on a high, rocky cliffside and features several towers with conical roofs and a central spire. In the foreground, a knight on a horse is silhouetted against the cliff face. The sky is filled with clouds, and a few birds are flying. The overall scene is dramatic and evocative of a classic fantasy setting.

FORTECA
ORŁÓW

CHERRYH C. J

Tristen #2 Forteca Orlow

C. J CHERRYH

Tristen 2 – t. 02

Tłumaczył Dariusz Kopociński

Fortres Of Eagles

Wstęp

Dawno temu, zanim jeszcze nastąpiła era Ludzi, pewne miejsce o nazwie Galasjen urosło w potęgę i, czego dowodzą kroniki, niezmiernym ziemiom narzuciło swą władzę. To właśnie z owego miejsca i owego czasu wywodził się Mauryl Gestaurien. Stamtąd też pochodził Hasufin Heltain, przypuszczalnie książę wśród ludu Galasjenów, a bezspornie czarodziej, jakim również był Mauryl. Hasufin, nie stroniąc od magii urągającej pojęciom prawa, czasu i śmierci, posiadałby zapewne absolutną władzę, gdyby nie przeciwstawił mu się Mauryl, wyruszając w podróż do krain dalekiej północy, skąd sprowadził pięciu obcych, aby mu pomogli. Byli to sihhijscy lordowie, a posługiwali się nie czarami, tylko wrodzoną magią. Rozgorzała walka i Hasufin przegrał. Razem z nim padł Galasjen – z cytadeli tej wyodrębniła się forteca nazwana w późniejszych wiekach Ynefel.

Pięciu lordów wraz ze swym potomstwem półkrólów dało początek dynastii, której władcy obrali na swą twierdzę Ynefel, stolicę natomiast założyli w spokojnym, pozbawionym murów obronnych grodzie – w Althalen. Podbili wprawdzie ziemie Ludzi, lecz pozwolili im żyć razem z sobą. Nastąpiła trwająca stulecia złota epoka, kiedy to budowali, zdobywali wiedzę, a ziemia płynęła miodem i winem.

Gdy jednak sihhijaska krew zaczęła z czasem rzednąć, a półkról Elfwyn zasiadł na tronie w Althalen, narodził się książę, a potem zmarł, a potem znowu żył, co wzbudziło niepokój czarodziejów, tym bardziej, że jeden po drugim umierali pozostali książęta. Takim oto sposobem Hasufin zdobywał sobie potajemnie wpływy wśród żyjących, marząc prawdopodobnie o objęciu tronu po szlachetnym Elfwynie i o wskrzeszeniu dynastii zaginionych Galasjenów.

Aby nie dopuścić do takiego rozwoju wydarzeń, Mauryl stanął na czele spisku czarodziejów, mając za sprzymierzeńca głównodowodzącego sił zbrojnych Elfwyna, lorda Ludzi, Selwyna Marhanena. On to po przejęciu władzy puścił z dymem stolicę i pozabijał wszystkich ostatnich potomków sihhijskiej krwi, jakich zdołał schwytać.

Niemniej krew przodków przetrwała gdzieś pośród amefińskiego chłopstwa, zachowała się też u nielicznych potomków owego rodu na drugim brzegu rzeki

Lenuaim, w dystrykcie Elwynoru. Elwynor odmówił wsparcia rebelii, a lojalni Ludzie ustanowili lam rządy regencyjne z nadzieją, że w przyszłości zjawi się człowiek, który prawnie obejmie tron i zniszczy lorda Marhanena.

Podobne nadzieje nie wydawały się płonne w owych czasach, albowiem każdy włodarz po drugiej stronie rzeki starał się przejąć władzę w swoje ręce. Tyle, że Selwyn prześcignął rywali w okrucieństwie, zapoczątkowując w Guelessarze dynastię Marhanenów. Od tamtej pory ziemie na wschód, północ i południe od Amefel objęło zasięgiem królestwo o nazwie Ylesuin. Inaieddrin, syn Selwyna, odziedziczył władzę po ojcu. W Elwynorze panował jako regent Uleman Syrillas. W gruzach legła stara stolica w Althalen, leżąca teraz w obrębie granic zacofanej prowincji Amefel, pogardzanej za nieprawowierne zapatrywania mieszkańców, oskarżanej o gusta i czarne praktyki, których quinaltyni, członkowie dominującej w Ylesuinie sekty, nie mogli ścierpieć.

Mauryl nie uczestniczył wszakże w porachunkach Ludzi. Nadano mu przydomek Twórcy Królów, choć nie zamierzał wdawać się w dysputy między Ludźmi, opowiadać się za którąkolwiek ze stron czy występować przeciwko roszczeniom Ulemana i Selwyna, pragnących zjednoczyć królestwo. Elwynimi założyli stolicę w Ilefianie, natomiast królowie z linii Marhanenów obrali siedzibę w Guelemarze, mieście położonym w samym sercu prowincji Guelessar; Mauryl zamknął się w zrujnowanej cytadeli Ynefel, ażeby oddawać się tam rozmyślaniom, studiom bądź czemukolwiek, czym mógł zajmować się czarodziej, który przeżył dwie kolejne epoki świata. Selwyn przyznał mu tytuł strażnika Ynefel, lecz potem nikt już nie wiedział, co się z nim dzieje, aczkolwiek w powszechnym mniemaniu świat Ludzi był bezpieczniejszy, skoro bezbożny Mauryl siedział w swojej wieży i powstrzymywał wszelkie zło przed wydostaniem się z owego miejsca.

Tymczasem, wbrew pogłoskom, Mauryl nie był nieśmiertelny. Lata wyciskały na nim swe piętno, godziny spędzone nad książkami nie upłynęły bez śladu. A przecież jego wróg, Hasufin Heltain, nie został przegnany na zawsze. Pewnej wiosennej nocy w królestwie Inareddrina Marhanena, osaczony groźbami Hasufina, będąc na granicy wyczerpania, Mauryl Gestaurien przeprowadził coś, o czym z góry wiedział, że będzie jego ostatnim wielkim zaklęciem, Wezwaniem, mówiąc ściślej, a także Formowaniem.

Być może się wystraszył, być może zwątpił w swe intencje. Oczekiwał czegoś straszniejszego niż to, co ujrzał przed sobą. Ukazał mu się, bowiem szarooki młodzieniec, Tristen, nieposiadający nawet umiejętności bronienia własnej osoby... i nie mający zielonego pojęcia o czarach.

Niemniej chłopiec przywykał stopniowo do zwyczajów Mauryla, a późną wiosną myszkował już z dziecięcą ciekawością świata po starej fortecy Ynefel, oblaskawiając gołębie z poddasza, a nawet badając odgradzone przepierzeniem królestwo Sowy.

Ynefel była osobliwym miejscem: z jej murów spozierały twarze, które czasem, nocną porą, przy specyficznym oświetleniu, zdawały się ożywać i ruszać. Tristen rzadko miał sposobność przyglądać się temu zjawisku. Każdego wieczoru wypijał przyrządzony przez Mauryla napój i zasypiał kamiennym snem... Każdego wieczoru, ale z jednym wyjątkiem. Owego wieczoru Tristen zaczął pojmować, że na świecie czai się niebezpieczeństwo. Owego wieczoru być może, tylko być może, Hasufin odnalazł szczelinę w dobrze skądinąd chronionym murze.

Pewnego dnia, wkrótce potem, Hasufin wykorzystał ten otwór. I ostatecznie Mauryl poniósł porażkę... również wmurowany w straszne ściany. Tegoż dnia Tristen został pozbawiony wszystkiego i pozostawiony na łasce świata, którego wcześniej nie widział ani sobie nie wyobrażał.

Pod przewodnictwem Sowy wyprawił się Drogą poprzez lasy Marny, mając do dyspozycji srebrne lustro i książkę, której treści nie umiał odczytać. Nie znał celu swojej wędrówki, pamiętał jedynie o słowach przepowiedni Mauryla, a według nich miał kiedyś wstąpić na tę Drogę.

Po przybyciu do grodu Henas'amef, miasta stołecznego prowincji Amefel, wpadł w ręce księcia Cefwyna, wicekróla władającego owymi niespokojnymi ziemiami. Cefwyn był następcą tronu Marhanenów i dzięki niemu właśnie Tristen poznał nauki Emuina, niegdyś ucznia Mauryla.

Niebawem Tristen do tego stopnia przeraził nauczyciela, że starzec, w poszukiwaniu ustronnego zakątka, opuścił w pośpiechu dwór, uzmysłowiwszy sobie, co takiego uczynił Mauryl i jakim obciążył ich wszystkich brzemieniem. „Zdobądź jego miłość” – tak na odjezdnym doradził Cefwynowi, a ten, znudzony, odosobniony pomiędzy zaściankowymi amefińskimi lordami, zrozumiał wreszcie, że podejmuje w swych progach trochę niebezpiecznego gościa... i spróbował okazać przychyłność dziwnemu młodzieńcowi.

Tym sposobem książę, niemający dotąd żadnego przyjaciela, odkrył jednego... dzięki czemu uratował życie. A to dlatego, że Hasufin Heltain, starożytny duch odpowiedzialny za zniszczenie Ynefel i zgubę Mauryla, nie zdoławszy opanować Tristena, nadszedł, by swymi podszeptami zdobyć sojuszników i powrócić z ich pomocą do władzy. Szeptał więc do nieprzyjaciół regenta Elwynimów, jak również do lorda Amefel, gospodarza Cefwyna, Heryna Aswydda, w którego żyłach także płynęła sihhijaska krew.

Cefwyn zginąłby zapewne w zasadzce, gdyby Tristen – kiedy najpierw dosiadł konia, a później poczuł miecz w dłoni – nic odkrył w sobie nieoczekiwanych talentów. Przypuszczenia Cefwyna zaczęły zamieniać się w pewność: istota Zawezwana przez Mauryla nie była bynajmniej chłoptasiem z kuchennej umywalni Elfwyna, jak mawiał żartobliwie kapitan gwardii, żadnym też półkrólem, ale jednym z zaginionych

sihijskich lordów, być może samym Barrakkethem, pierwszym i najstraszniejszym.

Tymczasem spisek ukartowany przez Hasufina dosięgnął króla i zwabił go w potrzask. Cefwyn, już w koronie, porachował się ze zdrajcą, lordem Herynem. Zginął nie tylko król z linii Marhanenów: Uleman z Elwynoru osłabł na starość, rozgorzały więc dysputy na temat sukcesji. Rebelianci zaszczuli regenta na śmierć, zapędzając się za nim w pościgu aż na wrogie terytorium.

Po śmierci regenta Cefwyn spotkał się twarzą w twarz z Ninevrise, nową regentką Elwynoru. I od razu rozpoznał w niej swoją przyszłą narzeczoną.

Tymczasem Orien, siostra lorda Heryna, nie zamierzała puścić płazem śmierci brata ani odstąpić Cefwyna cudzoziemce, przez co Hasufin zdobył sojuszniczkę w osobie obeznanej z czarami i rozwścieczonej kobiety. Przeciwno obcej narzeczonej występował także brat Cefwyna. A pewien elwynimski lord, mający nadzieję poślubić córkę Ulemana i objąć władzę w królestwie, uległ namowom tudzież czarnym mocom.

Fiaskiem zakończył się zamach Orien na życie Cefwyna. Aby Ninevrise mogła zasiąść na tronie swojego ojca i zjednoczyć Ylesuin drogą małżeństwa, Cefwyn wezwał na wojnę wszystkich lordów południa, uprzedzając napaść wrogich Elwynimów. Przyszło mu wszakże stawić czoło czemuś więcej niżli tylko dowódcy rebeliantów: ujrzał cień rozsnuty wzdłuż granicy, z każdą chwilą większy; cień zrozumiały dla Tristena, uważany przezeń za potężną groźbę, której jednak Cefwyn nie był w stanie pojąć. Cefwyn zdążył dokładnie tam, gdzie tego pragnął ów cień, toteż Tristen nie miał wyboru, musiał przywdziać zbroję i wraz z armią południowego Ylesuinu udać się nad Lewenbrook. Z siłami rebeliantów sprzymierzyły się ciemne moce – zdołały już zniszczyć jednego z marhaneńskich królów, ojca Cefwyna, a obecnie zamierzały umieścić swego pionka na tronie nowego królestwa.

Jednakże Tristen odnalazł w swojej książce prawidła magii, własne dziedzictwo, które mu dotąd umykało. Wyprawił się na wojnę jako lord Althalen i Ynefel, pod sztandarem wyklętym co prawda przez święty quinalt, lecz wzbudzającym owację wśród amefińskiego pospólstwa. Na koniec, w towarzystwie jednego tylko sługi, Uwena Lewen'ssona, ruszył, by powstrzymać cień rozpostarty nad lasami Marny, w chwili kiedy na prawo i lewo padali ludzie, nie potrafiąc sprostać sile, przed którą żaden oręż nie mógł ich obronić.

Tristen władał wszakże mieczem z wyrytymi na nim magicznymi słowami „Prawdy” oraz „Iluzji”, rozdzielając jedno od drugiego, występując z tą bronią do walki z Cieniem cieni. I został wtrącony w pomrokę, na zawsze – zdawałoby się – stracony dla Ludzi.

Tyle, że w obawie przed swą mocą, gotową urosnąć ponad miarę, zawładnąć nim i zerwać więzy łączące go ze światem Ludzi, przekazał druhowi, Uwenowi

Lewen'ssonowi, szczególną władzę nad sobą. Zwykłego żołnierza uczynił swoim sędzią, który miał zdecydować, czy zawezwać go z powrotem, czy też pozwolić, ażeby zniknął ze świata jako zbyt wielkie i mroczne zagrożenie.

Ostatecznie Uwen go wezwał.

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Ścieżka, wspinając się poprzez młody zagajnik ku szarym skałom i sędziwym drzewom, przekształciła się na koniec w pustą, usłaną liśćmi dróżkę. Kiedy Tristen ściągnął cugle i zeskoczył z siodła, by zapaść się po kostki w jesiennych liściach, na wzgórzu panowała tak absolutna cisza, że wydawało się, iż słyhać głośnie uderzenia opadających listków... Kiedy Petelly szarpnął za cugle, nie wytrzymując dłużej dobrego zachowania, liście zachrzęściły i zaszeleściły pod jego wielkimi kopytami.

Nie dalej jak przed dwoma tygodniami zalesione szczyty wzgórz Guelessaru połyskiwały ponad polami jaskrawą czerwienią i słoneczną pożłotą. W ostatnich dniach jednak szalone wichry wyzuły je z kolorów, czego rezultaty piętrzyły się w rowach i wzdłuż dróg pod opłotkami. Tutaj, na wzniesieniu, drzewa stały niemal nagie, bardziej narażone na podmuchy od tych, co rosły poniżej. Prowadząc za uzdę Petelly'ego, Tristen roztrącał butami brązowożłote zwały.

Wybrał się na przejażdżkę owego późnojesiennego dnia w pierwszym roku swego życia, a zarazem w pierwszym roku panowania króla Cefwyna.

Na Wezwanie czarodzieja przybył na świat upstrzony miękką, rozszeptaną zielenią wiosny, latem natomiast, w czas obdarzonych pełnią głosów liści, odsłaniał tajniki życia Ludzi. Tej pierwszej jesieni osiągnął nareszcie dojrzałość, wypełniwszy powinność poruczoną mu przez czarnoksiężnika Mauryła, zamurowanego w ruinach Ynefel. W wirze straszliwej bitwy dochował przysięgi danej królowi, który nazwał go najserdeczniejszym przyjacielem i nadał mu honorowe tytuły lorda strażnika Ynefel oraz wielkiego marszałka Althalen – jakkolwiek ziemie darowane mu przez króla były opustoszałe, jeśli nie liczyć cieni, mniej lub bardziej cichych i łagodnych. Władał jedynie myszami i sowami, jak mawiał kapitan Jego Królewskiej Mości.

Skoro wypełnił polecenia Mauryła, jakie plany Cefwyn teraz z nim wiązał? Nie miał najmniejszego pojęcia.

Liście opadłe w pierwszych dniach jesieni zamokły na deszczu, jednak te najświeższe, leżące po wierzchu, pozostawiały delikatny, szary kurz na butach Tristena, podczas gdy brązowe, wilgotne głębie zasp ów kurz ścierały. Pod nogami, wzburzone, ukazywały się przeróżne barwy: olśniewające żółcie, żywe rubinowe czerwienic. Wypatrzył szczególnie duży zeschnięty liść dębu, podniósł go na pamiątkę i niósł w rękę, zdążając do swego ulubionego punktu widokowego na skraju porastającego wzgórze lasu, gdzie opadał stromo osłonięty gałęziami drzew klif; mógł stamtąd swobodnie patrzeć w dół na okolicę i dostrzec gwardzistów, którzy poniżej, przy leśnym źródelku, poili konie.

Zanim jednak wyszedł na kraj lasu, poprzez gałęzie na prawo przedarł się niespodziewany przebłysk słońca. Gdy zerknął w tamtą stronę, ujrzał w dali trawiaste łąki oraz szereg zwieńczonych drzewami pagórków, maszerujących na wschód nieskończoną kolumną.

Po raz pierwszy ujrzał ów widok. Ze zdumieniem rozsuwał gałązki, by dotrzeć do nowego punktu obserwacyjnego. Objawiało mu się – podobnie jak to zwykle czyniły dziwne, nieznanne wcześniej zjawiska – iż ta osobliwa pustka w lesie, owo odsłonięcie się niewidocznych wcześniej wzgórz, stanowi kolejny przejaw pory roku, jaka obecnie nastąpiła. Szarość drzew w tej magicznej chwili przywodziła na myśl wspomnienia (jakże u niego nieliczne) o miejscu niemal zapomnianym, a potem odgrzebanym z pamięci – nie, nie tutaj, ale tam. Głębokie knieje Marny, gdzie rozpoczął swój żywot, w czasie wiosny cechowały się podobną szarością. Zdołał na chwilę oszukać serce przeświadczeniem, że oto znalazł się wtedy i tam, gdzie stłoczone gęsto drzewa Marny zagradzały ciemnymi konarami drogę promieniom słońca.

Ale tutaj... tutaj i teraz jasne gueleńskie promienie z łatwością przebijały się doń między gałęziami, jak okiem sięgnąć oblewały wspaniałą, przeplataną szarymi nićmi pozłotą pozostałe wzgórze, łąki w dolinach oraz mgliste, zarośnięte kępami drzew szczyty.

Rozradowany owym widokiem, zwrócił wolność trzymanemu liściowi, pozwalając mu nacieszyć się drugim, niespodziewanym życiem – liść sfrunął i osiadł niżej na stoku, przy upstrzonym porostami występie skalnym. Naraz, poderwany kolejnym podmuchem, wciąż niepokonany, rozpoczął poznawanie zmienionego świata na skrzydłach tego samego wiatru, który niegdyś odebrał mu swobodę. Pozbywszy się nurtujących go jeszcze przed chwilą myśli, Tristen nagle zapragnął, by liść mógł dalej żyć, by pofrunął do źródła i znów stał się zielony. Zapragnął, ażeby cały las odzyskał utraconą zieleń, a wiatr mruczał tajemniczymi głosami, jakie zapamiętał ze swych pierwszych dni.

Pragnął równie dobrze poznać tę prowincję, Guelessar, jak ongiś poznał otoczenie Ynefel.

Pragnął tysiąca rzeczy, lecz wszystkie wiązały się z niebezpieczeństwem.

Tymczasem Petelly dreptał w obranym przez siebie kierunku, bez wątpienia krusząc pod kopytami mnóstwo ciekawych liści. Rozgrzebywał nosem jesienne stopy, by wywęszyć coś nadającego się do jedzenia. Był mądrym zwierzęciem. W gniadej sierści Petelly'ego przeważały długie włosy, nadając mu zwalisty kształt, jakiego wstydzilyby się szlachetne wierzchowce gwardii. Pozbawiona łagodnego obrysu szczęka, gruba i masywna, obrośnięta była falującą na wietrze bródką. Bydło i konie wypasane wśród łąk z każdym dniem stawały się bardziej kudłate. Zdaniem

gwardzistów, sierść zwierząt i rozwarte klucze ptactwa szybującego po niebie wróżyły nadejście srogiej zimy i pierwsze opady śniegu jeszcze przed pełnią księżyca. Czeladź na służbie u króla, tknięta widać podobnym przecuciem, rozpakowywała do wywietrzenia pierzyny oraz wełniane ubrania. Tristen oczekiwał tego wydarzenia z mieszaniną ciekawości i niepokoju. Słyszał, że kiedy już śnieg rozpada się na dobre, do końca zimy będzie zalegał grubą, białą okrywą, przykryje pola i uśpi drzewa.

Nadchodząca zima miała być porą zamykającą pełen cykl roku... Porą ostateczną.

Będąc kimś nowym na ziemi, uważał dawniej lato za dojrzały i naturalny stan świata. Każde wzgórze postrzegał jako niewyczerpane źródło objawiających się sekretów. A potem jesień udowodniła, że nic nie trwa wiecznie. Wypełniała nozdrza gorzkim, zatęchłym zapachem opadłych liści, cierpką wonią zwiniętych w strąki listków wierzby, wiotkich i żółtych po brzegach, zaścielających obrzeże tryskającego u stóp wzgórza źródła. Wreszcie ukazała mu ową panoramę wzgórz, odsłoniła tajemnice wszystkich pagórków Guelessaru.

Co przyniesie mu zima? Śnieg i lód, to oczywiste. Gdy już zrozumiał, iż rok wcale nie zamierza wydłużać się w nieskończoność, lecz zawraca ku początkowi, ujrzał koło zataczane przez życie, przywodzące na myśl konia w biegu, który dostrzega swoją niewolę, uwiązany na sznurze i skazany na wielokrotne powtarzanie tej samej drogi. Wszystko, co za sobą zostawił, mogło jeszcze powrócić. Wszystko, co uważał za ukończone, mogło ulec rozpadowi. A wiosny przywracającej światu świeżość... Wiosny rozbudzającej u większości ludzi nadzieję na nowe życie... miał powody się lękać.

Wrócił nad swoją krawędź, nad brzeg ulubionego, niewielkiego klifu. Ogarnął spojrzeniem czwórkę pożyczonych od Cefwyna gwardzistów oraz Uwena Lewen'ssona, siwowłosego żołnierza, którego król wybrał mu na przyjaciela jego nieodłącznego kompana i doradcę w tym świecie. Wiedział, że jeśli teraz nie zejdzie, będą zmuszeni wspinać się z mozołem wąską, uciążliwą ścieżką, aby go odszukać.

Wciąż jednak nie umiał uwolnić się od obaw i osobliwych myśli, jakie obudził w nim ów niespodziewany widok ze szczytu wzgórza. Wiedział przy tym, iż żołnierze, łącznie z Uwenem, rzadko przepuszczają okazję do odpoczynku i pogawędki, której się właśnie oddawali z wielką ochotą.

A skoro tak, pozwolił Petelly'emu szukać zielonych przysmaków, albowiem był pewien, iż koń nie zawędruje daleko, a nawet, jeśli tak się stanie, Uwen złapie go na dole. Wdarł się między chaszczki i zaczął brnąć wśród zarośli porastających południowozachodni stok wzgórza. Włosy czepiały się krzaków – włosy czarne, gęste i długie niczym grzywa Petelly'ego, a obecnie, jak i ona, pełne liści i gałązek. Nie sprawiał kłopotów swoim opiekunom z rozmysłem, próbował tylko doścignąć

wizję amefińskich wzgórz, obraz i wiedzę mające dlań pewne trudne do określenia znaczenie. Gdyby zdołał przynajmniej osiągnąć ów punkt widokowy, zanim gwardziści stracą cierpliwość, gdyby zdołał pokonać jeszcze kawałek drogi, obejść skalisty załom wzgórza – gdyby udało mu się zdobyć pewność, że nie przebywa aż tak daleko od swoich początków, i oznaczyć terytorium swych wspomnień jako miejsce, nie stan świadomości...

Wówczas miałby szansę wybiec marzeniami naprzód, zamiast wracać nieustannie w myślach do zabłąkanych fragmentów dawnych wydarzeń. Kto wie, czy po uporządkowaniu tej sprawy nie zaczęłyby postrzegać jasno i wyraźnie czekającej go przyszłości, na razie przysłoniętej szarą przestrzenią...

I proszę: oto na zachodzie biegł nowy łańcuch pagórków pokrytych szarymi i brązowymi cieniami ogołoconych konarów, stanowiący w jego wyobrażeniach sam kraniec Amefel. Gdy tak patrzył w dal podczas jednego z ostatnich dni jesieni, oczyma duszy widział całą drogę, jaką do tej pory przemierzył.

Możliwe, że oddawał się próżnemu zajęciu. Bądź, co bądź, miał przed sobą tylko pagórki i szare drzewa, widok nieróżniący się od innych oglądanych z tego miejsca. Tyle, że serce podsuwało mu obrazy falujących wzgórz, ziemi kojarzącej się z latem i niewinnością; ziemi, która umożliwiła mu spotkanie z Cefwynem i nauczyła go tak wiele, nie mając nic wspólnego z tą jesienią, tymi drzewami, tym wzniesieniem w Guelessarze. Zawisł na moment, uczepiony grubej, niskiej gałęzi, dając się smagać chłodnemu wiatrowi, przywodząc przed oczy letnie pejzaże, wzdychając i myśląc o drodze dzielącej go od wiosny, od Ynefel. Słyszał, jak wody Lenialimu składają pocałunek na fundamencie fortecy. Spoglądał w dół z wysokiej wieży Ynefel ponad wierzchołkami drzew przygiętych uderzeniami burzy. Obserwował Drogę znad na wpół zniszczonego dachu gołębnika, gdzie mieszkała Sowa.

Jak żywe stanęły mu w pamięci wąskie, rozklekotane stopnie prowadzące do jego pokoju. Pomyślał przelotnie o ciepłym i przytulnym gabinecie z kominkiem. O ileż mniejszym miejscem była Ynefel od obwarowanego wysokimi murami Guelesfortu, a nawet od Zeide w Amefel, twierdzy górującej nad Henaśamef i dającej schronienie setkom ludzi.

Otoczona lasami twierdza Mauryla była o wiele, wiele mniejsza, o wiele prostsza pod każdym względem – wiedział o tym teraz – a jednak wypełniały ją rozliczne wspomnienia. Przypominał sobie na przykład w drobnych szczegółach każde zakole słoju wysłużonego drewna parapetu w swej sypialni. Mógł wygrzebać z zakamarków pamięci każdy detal i skazę rogowej szyby, na której deszcze i błyskawice wypisywały nocą tajemnicze wzory. Tak więc w jego wspomnieniach Ynefel wydawała się znacznie większa, jakby skutkiem nieznanego czaru zawierała więcej życia albo była bardziej materialna od zwyczajnych budynków.

Rozmyślał o poddaszu – ach, o tym poddaszu z jedwabistym, szarobrazowym kurzem, gdzie na krokwiach przysiadają bezimienne gołębie – jak również o dniu, kiedy odkrył Sowę.

Obecnie po Ynefel pozostały ruiny. Mauryl przepadł. Tristen po raz ostatni widział Sowę nad Lewenbrookiem, zanim upadły sztandary, zanim tak wielu zginęło. Także owego dnia świat cechowała straszna obfitość szczegółów, każda skała i każde drzewo przybrało wyraźny kontur. Każdy cień ożył i spadał niczym atramentowa chmura na splecione w boju oddziały.

Pamiętał chłód i ciemność tamtej godziny, i cień uzyskujący widzialną postać. Wstrząsnął nim zimny dreszcz, znak działającej magii, i poczuł – czy na pewno wspominał? – groźne naruszenie czasu i przestrzeni.

Wtedy doszedł do wniosku, że nie posunął się wcale naprzód, ale cofnął ku wspomnieniom, przed którymi chciał uciec. Zaczął wracać w pośpiechu po swoich śladach, w obu znaczeniach tego wyrażenia, uciekając od tego widoku, pierzchając od pozbawionego ochrony zachodu, z powrotem do Petelly'ego.

Gdy oddalił się od zachodniego zbocza, osłabł impuls naglający do ucieczki. Przecież to tylko stok wzgórza w Guelessarze – doznał tak wielkiego uczucia ulgi, że miał ochotę śmiać się z własnych bezpodstawnych lęków. Znów była jesień, widoczna wśród liści – przeciwny jej koniec, jeśli wziąć pod uwagę bitwę nad Lewenbrookiem. Gdy dotarł do konia, okazało się, że Petelly jest wolny od jakichkolwiek trosk... i nawet nie przerwał skubania trawy. A zatem Tristen wykazał się krańcową bezmyślnością, ulegając strachom. Roztrzęsiony, poklepał okryty już zimową sierścią bok wierzchowca oraz pochwycił lejce, by poprowadzić Petelly'ego ku dróżce, a następnie potulnie i posłusznie wrócić do gwardzistów.

Wszelako Petelly nie śpieszył się do odejścia, zamiast tego ze stanowczym, wytrącającym z równowagi potrząśnięciem cuglami zatrzymał się i zniżył łeb między liście, pewien, iż wy wachał właśnie jakiś smakołyk. Aby się z nim nie szamotać, Tristen pozwolił mu dokończyć poszukiwania.

Opodal, całkiem blisko, leżała nader osobliwa kłoda, pokryta płatem aksamitnego grzyba.

Oto ujawniło się leśne чудо, nad podziw gładkie: Tristen zapomniał o nieposłusznym koniu, przyklęknął i dotknął aksamitnych płatów, nieoczekiwanie twardych i opierających się jego ciekawskim, nieodzianym w rękawiczkę palcom.

Odpadające kawałkami drewno było u spodu szare i zmurszałe, od dawna obumarłe. Porosty natomiast żyły, nie dosięgała ich śmierć. Czyż to nie cud?

A może wiosna, nie wychodząc zimową porą z kryjówki, chowa się pod przykryciem

śmierci, podobnie jak zwiastuny zimy skryły ostatnie dni jesieni?

Czyż nasiona przyszłego życia nigdy nie umierają, tylko krążą wraz z kolejnymi cyklami pór roku, i czyż, dlatego właśnie na świecie dzieją się cuda? Źródło objawiające mu zwykle nowe rzeczy mówiło, że owszem, tak, życie nie całkiem zanika. Nawet wobec zupełnej ruiny i nadchodzącej zimy istnieje nadzieja. Nawet w zbutwiałej kłodzie rodzą się cuda.

Czy ów szczególny, aksamitny, nadzwyczajny porost ma jakieś magiczne zdolności? – zastanawiał się, praktycznie podchodząc do rzeczy. Ażeby nie zmoczyć kolan, rozłożył płaszcz na ziemi i kucnął, chcąc przyjrzeć się szczegółom. Czy spodobałoby się to też Emuinowi? Nie zniszczyłby czegoś, co jest dziwne i cudowne, nawet gdyby Emuin nie znalazł dla tego zastosowania, a jednak wyglądało na to, że owa rzecz może wprawić nawet czarodzieja w zachwyty... i nadaje się do jakiegoś użytku, gdyż granica przemiany i odrastania prawdopodobnie wiązała się z pewną mocą. Często przynosił Emuinowi ptasie jajka, postrącane przez wiatr, podobne do tego wyschniętego, które trzymał teraz w sakwie – razem z dziwną dębową naroślą, zerwaną w gaju podchodzącym pod zagrody owiec w Dury.

Czyż naprawdę jeszcze chwilę temu obawiał się widoku odległych lasów? Nie czuł już strachu. Niekiedy wyraźnie dostrzegał, jak przeskakuje od poważnych myśli do takich, które inni ludzie uważają za błahe; podejrzewał w głębi duszy, że i teraz to się wydarzyło, ale myśl nakazująca mu ucieczkę minęła, a widok, jaki ją przywołał, krył się za wzgórzem. Gwardziści nie zaczęli się jeszcze nań gniewać, a tutaj, na szczycie, czuł się bezpiecznie. Swoje dotychczasowe krótkie życie spędził u boku czarodziejów, którzy wyznają z reguły odmienną hierarchię wartości i przykładają inną niż zwyczajni ludzie wagę do dziwnych przedmiotów.

Ciekawe, czy ten grzyb rósł tu już latem? Może pojawił się, kiedy drzewo umarło? A może pojawiał się okresowo jako jedna z wielu oznak nadchodzącej zimy?

Tę kwestię Tristen bardziej wolałby omówić z Maurylem niż z Emuinem; ten pierwszy preferował, bowiem dalekosiężne pytania.

Mauryl wszakże przepadł razem z Ynefel i obecnie wszelkie podobne pytania, dotyczące naturalnego porządku rzeczy, musiały pozostać bez odpowiedzi. Emuin prędkiej opowiedziałby mu o zastosowaniu grzyba, niżli wytłumaczył jego zachowanie – jeśli w ogóle raczyłby poświęcić Tristenowi swą uwagę.

Nie, wspomnianie przy nim o tej sprawie nie miało sensu. Nie mógł żadną miarą poruszyć całości zagadnienia, a częściowe rozważenie kwestii mijałoby się z celem. Tak czy inaczej, posiadał ptasie jajo, bardzo ładne, białe z brązowymi cętkami; wiedział, że przypadnie do gustu Emuinowi. Wstał, szarpnął za wodze Petelly'ego, szukając tam przejścia przez gąszcz bezlistnych gałęzi, gdzie zamierzał przedrzeć się

na skróty. Nowa droga okazała się jednak najeżona cierniami. Zatrzymał się i rozejrzał w poszukiwaniu wyjścia z labiryntu.

Ogólnie rzecz biorąc, świat zaczął mu się ostatnio wydawać bardziej swojski, mniej zaśmiecony nowymi zjawiskami i nieodgadniętymi słowami, tak, że w ciasnej przestrzeni Guelesfortu całe dwa tygodnie mogły upłynąć bez odkrycia żadnej nowiny. Jednakże poza obrębem murów Tristen zbierał cuda i popadał w kłopoty, na które gwardziści patrzyli z życzliwą cierpliwością... Teraz być może popadł w jeden z nich. W poszukiwaniu ciszy i szumu drzew wspiał się na szczyt wzgórza, gdzie chciał się oddać rozmyślaniom, niezmuszony do wysłuchiwanie hałasów pięciu ludzi i koni. Gdy się tak przedzierał, niezdecydowany, co do wyboru dalszej drogi, odnosił czasem wrażenie, że słyszy głos Mauryła: „Chłopcze! Chłopcze, gdzie ty się podział? W co się wpakowałeś?”

Wiatr, z każdą chwilą silniejszy, szeptał wśród suchych gałęzi. Głos wydawał mu się niezwykle sugestywny Jakby przebywał chwilowo w sekretnej kryjówce, gdzie nie Mauryl był zaginiony, ale on sam. Wystarczyłoby odwrócić głowę, by dojrzeć stojącego za nim Mauryła, białobrodego starca z rozwianymi na delikatnym wietrze włosami, odzianego w proste, brązowe, zlewające się z jesienną szarością drzew szaty, wspartego na lasce.

„Mów, co znalazłeś!” – rzekłby Mauryl, o ile byłby, oczywiście, w dobrym humorze. Potem obejrzałby kłodę, wyjawiał nazwę grzyba i ocenił, czy warto go zabierać w kawałkach do wieży w celu powiększenia bogatej kolekcji dziwnych i ciekawych znalezisk. Do szat Mauryła, nigdy szykownych ani delikatnych, a zawsze pokrytych kurzem starej fortecy, z pewnością czepiałyby się przegniłe liście i ziemia (zupełnie jak teraz do płaszcz Tristena). We włosach czarodzieja osiadłoby nieeleganckie kłębowisko liści, oblicze zaś przybrało ów wyraz skupienia, jaki u Mauryła odzwierciedlał nastrój życzliwości.

Petelly trącił nosem ramię Tristena, który odetchnął głęboko powietrzem nasyconym zapachami dębów, ziemi i jesieni, przekonany teraz, że Mauryła już nie ma, nie ma go w odległej Ynefel, a tym bardziej tu, na szczycie wzgórza w Guelessarze. Wiedział także, iż swą wycieczkę przedłużył ponad miarę: oznajmiło mu to dzwoniące wspinających się dróżką ludzi i koni. Gwardzistów ogarnął niepokój albo powodowała nimi ciekawość. Prowadząc Petelly’ego ku ścieżce na spotkanie z gwardzistami, Tristen zauważył, zafrasowany, że szukają go wszyscy bez wyjątku.

Gdy wyłonili się zza zakrętu, na czele jechał Uwen, zaraz za nim kolejno Lusin, Syllan, Aran i Tawwys, wszyscy w pełnych zbrojach, podobnie jak on, rzecz jasna – no, mniej więcej. Pozwolił Petelly’emu dźwigać swój miecz, przytroczone za siodłem, niemniej, za radą Uwena, zawsze nosił przy sobie sztylet, a pod prosty, brązowy płaszcz i skórzaną kamizelę z polecenia króla i kapitana wkładał kolczugę, nawet, jeśli uważał za mało prawdopodobne, by wrogowie przeprawili się przez Lenuaim i

przewędrowali spory szmat Guelessaru, aby najechać królewskie tereny łowieckie i wspiąć się akurat na ten pagórek. Po prawdzie, większość Ludzi wolałaby się z nim nie mierzyć, czy miałby przy sobie ten miecz, czyby go nie miał; podejrzewał, iż król przydzielił mu gwardzistów głównie po to, ażeby ostrzegali przed nim nieświadomych wędrowców, a nie zażegnawali niebezpieczeństwa.

Gdy przedarł się przez kolczaste zarośla ostrężyn, nadszedła jego świta, dzwoniąc, dysząc, tupiąc i pobrzękując – czterech żołnierzy Królewskiej Smocznej Gwardii, w czerwonych barwach odróżniających ich od brązowego odzienia jego oddanego sługi. Uwen miał przypiętą na wysokości serca małą czarną wstążkę z godłem Althalen; taką samą nosił Tristen. Pozostali, będąc na służbie króla, paradowali w czerwonych kamizelach z naszytym złocistym smokiem Marhanenów.

–No i cóżeś tam znalazł? – zapytał Uwen, nie zsiadając z konia, żartobliwym tonem i bez cienia wyrzutu, podczas gdy czterej gwardziści wjechali między drzewa, ażeby zawrócić, gdyż na wąskiej ścieżce ledwie się mieścił pojedynczy jeździec. Ostatni z konnych musiał wspiąć się na strome zbocze. – Jakże będzie, panie, wracamy? – pytał dalej Uwen. – Tamoj na dole skręcić nam wypada, a potem wzdłuż Cressitbrookku jechać, jeśliś inną drogą wracać skłonny. Pora już późna.

–Późna – zgodził się ze wstydem. Zobaczył, jak gwardziści rozglądają się bacznie w poszukiwaniu osobliwości: cieni, chłodnych miejsc i tym podobnych zjawisk, częstych w jego towarzystwie. Dosiadł jednak bez słowa Petelly'ego i przejechał przed nosem sąsiedniego konia. Za nim nakręcił Uwen. Królewscy gwardziści zawrócili między drzewami i dołączyli do dwójki na przedzie.

Gdy opuszczali wzgórze, najzupełniej naturalny wiatr wzbijał kurz i zawiewał liście na ścieżkę. Petelly tańczył i podrygiwał, pokonując niematerialne przeszkody. Oddział jechał dość spiesznie, a przez chwilę nawet pędził w beładzie w dół szerokiego, zdradliwego łuku, gdzie ziemię pokrywała gruba warstwa liści. Tristen i jego kompani dobrze znali tutejsze dróżki. Nie było tu wprawdzie wystających korzeni, kamieni ani dołków, lecz nie istniała także żadna groźba, dająca podstawę do pośpiechu, wobec czego za źródłem, zwolniejszy bieg konia, Tristen przyjął bardziej rozsądne tempo. Wskoczyli bezpiecznie na drogę okrążającą podnóże wzgórza, osłoniętą z obu stron przed przenikliwym wiatrem porośniętymi lasem wzniesieniami.

–Żadnych Cieni? – zagadnął Uwen, kiedy go dogonił.

–Żadnych Cieni – zapewnił swego sługę. – Ani jednego. Słuchałem na górze szumu wiatru. I patrzyłem na wzgórze. – Z jakiegoś powodu wolał nie przyznawać się do tego, że spoglądał w stronę Amefel (cała ta sprawa dotyczyła prawdopodobnie w większym stopniu czarodziejów niż żołnierzy). – Był tam grzyb, jakiego nigdy nie widziałem.

–Grzyb, powiadasz?

–Na obumarłym pniu.

–Jużci, pełno tam takich rzeczy. – Uwen odczuwał chyba ulgę i zarazem rozbawienie. Nawet nie myślał zgadywać nazwy owych porostów ani ich właściwości. – Są niejadalne, ja bym ich tam nie kosztował. Dawno się skończyły tegoroczne wysypy.

–Ale wrócą wiosną? – Jakże wiele rzeczy miało podobno wrócić na wiosnę. Niektóre z nich objawiały mu się już w chwili zapytania, inne kryły się uparcie. – Lub na jesień?

–Całkiem sporo na wiosnę albo po deszczach. Ale na takich, cożeś je tam na górze zoczył, nic a nic się nie znam. Wszelako kucharze jadalne grzyby na zimę w kuchniach suszą, tedy spokojna głowa, panie, zupy grzybowej nie braknie. Wczoraj słyszałem, jako kuchmistrz powiadał, iż zupy takiej na dożynki trza nagotować przez wzgląd na Waszą Miłość.

Do dożynek pozostały dwa dni. Zaprawdę, lubił zupę grzybową i czułby się, podobnie jak większość, szczęśliwy podczas zbliżających się uroczystości, gdyby tylko mógł być szczęśliwy także w innych aspektach i gdyby wiedział, że pozostali lordowie darzą go życzliwością. Tymczasem było inaczej.

W każdym razie w tak pogodnym dniu człowiek nie powinien z podobnych przyczyn ulegać melancholii. Uwen truchtał przy nim strzemię w strzemię, dosiadając Liss, swojej ulubionej klaczy. Obaj chwilowo milczeli. Ciągle jechali przez lasy, choć skręcili już na drogę wzdłuż Cressitbrookku, którego zakola obmywały podnóża pagórków, gdzie drzewo wycinali jedynie królewscy drwale, a polował tylko król lub jego przyjaciele. Nie musieli się zbytnio spieszyć, jak powiedział Uwen, by przed zmrokiem dotrzeć do Guelemary. Na nowo obranej drodze nie pojawił się po ostatnim deszczu żaden ślad konia czy człowieka, co znacznie zmniejszyło prawdopodobieństwo spotkania kogokolwiek. Jeźdźcy zachowywali się więc z większą swobodą, nie rozglądali się tak bacznie wokoło i rozmawiali na banalne tematy. Często napomykano o dożynkowych uroczystościach, do których miasto przygotowywało się już od wielu dni, wznosząc stos pod iście gigantycznych rozmiarów ognisko.

Tristena otaczały przyjazne głosy, których słuchał beznamiętnie, patrząc na wyściełaną liśćmi drogę ponad drżącymi, czarnymi na koniuszkach uszami Petelly'ego. A były to uszy ruchliwe, reagujące na każdy wybuch śmiechu i każdy szept orzeźwiającego zachodniego wiatru.

Rozdział drugi

Leżało tu całe mnóstwo pereł. Cefwyn skrzywił się, nadepnąwszy na jedną z nich – miał tylko nadzieję, że należy do tych rękawów, a nie jest którąś z zabłąkanych i kosztownych ozdób ślubnej korony, spoczywającej na stole w stercie wstążek, odartej częściowo ze swojego blasku. Stos granatowych aksamitów i szarozłotych atlasów wznosił się niczym łańcuch górski na tle wysokich, jasnych okien dawnego skryptorium. Poprzez środkowe szybki z bursztynowego szkła wpadał do wnętrza snop złocistego światła, biegnąc w owym królestwie regentki i jej dam dworu od wyszywających pokojówek do odległych, zawalonych strzępami materiałów stołów.

Ślubne przymiarki Cefwyn znosił w podobnej sali, pełnej czerwieni i złota – barw Marhanenów, ułożonych w skromniejszych stosach, chociaż pan młody był królem. Owa obfitość tkanin wprawiła go w osłupienie; przysięgłby, że wzrosła o połowę, odkąd zaglądał tu po raz ostatni. Czyż naprawdę kilka sukni dla jednej szczupłej kobiety wymaga aż takiej ilości materiału? A sądził, że jest znawcą w sprawach damskich przyodziewków... Jak tu w noc poślubną odnaleźć swą wybrankę w takim morzu szat?

Trudności nastroczało już odnalezienie panny młodej w tym pomieszczeniu, pomiędzy belami aksamitu, przeznaczonego, można by mniemać, nie tylko dla regentki, ale i dla innych dam dworu.

Spośród wszystkich dworek i pokojówek tudzież ramek z wyszywankami, ustawionych jak najbliżej wpadającego przez okna światła, jedna niewiasta, nisko się kłaniając, wybiegła wyratować uszkodzoną perłę, podczas gdy druga, kłaniając się jeszcze niżej, wyrwała mu niemal spod nóg zagrożony postaw atlasowej tkaniny. Gwałtownie składane ukłony kobiet, które zauważały nagle jego obecność, sprawiały wrażenie, jakby przetaczał się wśród nich niczym podmuch wichury po kwiatnych rabatach. Skierował wzrok na grupkę osób w pobliżu najdalszego spośród trzech Wysokich okien.

Otoczona garstką dworek i przyobleczona osobliwie pofałdowaną niebieską tkaniną, stała na ławie lady regentka Elwynoru, jego wybranka.

Intrygujące, pomyślał, spiętrzając swoim nadejściem falę powstających i dygających kobiet. Składanie ukłonów i równoczesne przytrzymywanie fałdów nie zszytego aksamitu szło im dość nieporęcznie. Na nic wszak się zdały te wysiłki, ponieważ lady Ninevrise otrząsnęła się z aksamitów i zstąpiła w morze szerokich, wytwornych spódnic dam dworu.

Nie zważając na obecność tak wielu świadków, pocałowała go niewinnie w policzek, blisko ust.

–Zamordowałem perłę – oświadczył pomiędzy dwoma formalnymi pocałunkami. – Choć los ten winien spotkać mego lorda kanclerza. – Ostatnie zdanie wypowiedział

znacznie ciszej, odprowadzając ją na bok wzdłuż ułożonych pod oknami gór niebieskiego aksamitu. – Ach, co ja z nim mam. – Człowiek ten był bezpośrednim powodem jego gniewu, cechowała go wrodzona skłonność do ciągłego powtarzania: „Twój świętej pamięci ojciec popierał taką politykę...” Potem zwykle wyliczał dokonania ojca z ostatnich dwunastu lat, mimo że wiedział, iż Cefryn nie zgadza się z tą polityką. Nie sposób było wyłuszczyć całości zagadnienia w sali pełnej podsłuchujących córek i sióstr możnych lordów, (co więcej, lordów z północy), z których każdy brał udział w owych zmaganiach między królem a dworem jego zmarłego ojca.

–Cóż on takiego zrobił? – spytała Ninevrise.

–Prosiłem o wykaz danin ściąganych z poszczególnych wiosek, ale osobiste zajmowanie się takimi sprawami „nie leżało w gestii mojego ojca”. W konsekwencji lord Brysaulin posłał wykaz lordowi Murandysowi, a nie mojemu głównemu rachmistrzowi, łamiąc wydane przeze mnie zarządzenie. No, ale „król, mój ojciec” zawsze posyłał go Murandysowi. Teraz lordowie, wiedząc o tym, co i tak zamierzałem im powiedzieć, usiłują rzucać mi kłody pod nogi w strachu, że wszystko to wróży jakiś nowy podatek. Postanowili, z Murandysem na czele, sprzeciwić się wspólnie wszelkim nowym obciążeniom. To już nie jest zwykła niekompetencja, lecz zdrada!

–Szczerze wątpię, by ktoś tu postępował w złej woli.

–Ech, nie mam wątpliwości, że rzeka toczy swe wody ustalonym korytem, starymi kanałami. Ale to nie wszystko... – Podniósł palec. – To jeszcze nie wszystko. Prosiłem też, aby sprawozdania zawierały listę imion i rodowodów szacownych mieszkańców wiosek. Prosiłem o spis wozów, budynków, broni. Nic z tego! W jego raporcie brak jakichkolwiek imion, nie wspominając już o wykazie broni. Ale jesienne cenzusy i spisy broni „nie leżały w gestii mojego ojca”. Po dwóch miesiącach badań i rozsyłania skrybów na wszystkie strony, po żmudnych oczekiwaniach mój lord kanclerz zdobył dla mnie kompletną listę pól i zawartości spichlerzy z dokładnością do połowy miarki, a także wykaz bydła i owiec wszelkich roczników. Ho, ho, tak kompletnych list nie dostawał nawet mój ojciec. Cóż jednak z tego, skoro pominięto uzbrojenie, tłumacząc się istnieniem ponoć wciąż aktualnego spisu sprzed dwóch lat. Poza tym „w gestii mojego ojca nie leżało” spisywanie imion i obliczanie siły rekrutów przed nastaniem wiosny. Tym to sposobem wpisywanie w rejestr każdego bez względu na wiek zwierza, wszystkich budynków i spichlerzy sprawia wrażenie szacowania wielkości przyszłych podatków! Wyraźne zainteresowanie króla dochodami lordów budzi w nich niepokój, boi, czemu nie? A ja skąd mogę wiedzieć, czym oni rozporządzają, nie dysponując żadnymi spisami? Czy Uta Uta’sson wciąż jest naczelnikiem wioski Magan w Panysie, czy też staruszek umarł latem, by przekazać władzę swemu opieszalemu i tchórzliwemu synowi, z którego marny będzie na wiosnę pożytek, gdy lord Maudyn zacznie czynić zaciągi do wojska? Ojciec nigdy się tym nie interesował. Ja jednak postępuję za przykładem dziadka, a

skoro zapowiada się wojna, uważam za stosowne poznać znaczących ludzi w wioskach, podobnie jak znam ich lordów, albowiem jestem królem i muszę wiedzieć, na kogo mogą liczyć moi baronowie! Myślę, że Korona winna się interesować, jaki człowiek rządzi daną wioską i czy można na nim polegać. Nie zamierzam sprawować rządów, kierując się tym, co w opinii lorda kanclerza uchodzi za wygodne, ani mając przeciwko sobie baronów rozwścieczonych podejrzeniami, jakie obudził w nich lord kanclerz połowicznym wypełnieniem moich rozkazów! No i żądam dokładnego spisu wozów z uwzględnieniem poszczególnych ich rodzajów!

Nie mówił do dziecka... ale do lady regentki z Elwynoru, zza rzeki, sprawującej władzę na mocy własnego prawa. W porównaniu z samolubną gueleńską opozycją, zatwardziałą względem królewskiej woli, lady regentka była spokojnym, słodkim, pewnym i nieugiętym głosem po jego stronie.

–Pozwól mu tylko zdobyć te spisy imion i uzbrojenia wraz z całą resztą, panie, a zobaczysz, że to zatrze złe wrażenie, jakie na tobie wywarł.

–Niebawem spadnie śnieg i będziemy rekrutować w zamieciach! Do licha, czy to człowiek, czy może zaspą śnieżna?

–Wciąż mamy czas. Przynajmniej dość, by uzupełnić spisy.

–Wykazem, który chciałem sporządzić bez zbytniego rozgłosu! Zamierzałem działać w tajemnicy. Słuchaj, jedź ze mną. Ucieknijmy do Marisalu i zostanmy prostymi farmerami.

Zawarty pakt zabraniał lady regentce instruowania go na temat sposobu prowadzenia rządów w Ylesuinie; kontrakt małżeński precyzował również, że i on nie będzie się mieszał do jej panowania w Elwynorze. Takie podwójne władanie sprzymierzonymi królestwami było szlachetnym pomysłem, jeśli nie brać pod uwagę nieco drażliwego faktu, że położonej tuż za rzeką stolicy Elwynoru zagrażali rebelianci. Jednak kochali się... a przynajmniej mieli nadzieję się pokochać: na tym wczesnym etapie byli sobą zaledwie beznadziejnie zauroczeni.

Służki i damy dworu słuchały z powagą, w wielkim skupieniu, na pozór pochłonięte szyciem; ich obecność w zasięgu słuchu miała szansę wyjść jej i jemu na dobre, o ile damy zaniósł braciom i ojcom plotki, że król nie zamierza wprowadzać nowych podatków, lord Brysaulin spartaczył sprawozdania, a chodziło głównie o wozy i rekrutację wieśniaków.

A jeżeli dadzą popis nadzwyczajnej sprawności w przekazywaniu opowieści, no cóż, król wraz ze swą narzeczoną mogą jeszcze cieszyć się dożynkowym piwem, nie będąc obiektem spisku, co najwyżej znosząc brzęczenie jakiejś z gruntu fałszywej i najzupełniej bezpodstawnej pogłoski, na przykład o powszechnej mobilizacji i

otwartej wojnie, kiedy spadną pierwsze śniegi.

Tymczasem wpatrzone weń szare oczy błyszcząły, chwała bogom, pełnym zrozumieniem; dzięki takiemu wsparciu nie odchodził od zmysłów i powstrzymywał wrodzony temperament Marhanenów – nie najlepszą spośród cech odziedziczonych po ojcu i dziadku. Usta, które pragnął całować, przejawiały skłonność do ciętego dowcipu, ale i ona nie chciała folgować swoim przyzwyczajeniom w obecności tychże córek baronów: oboje w tym momencie zachowywali się przykładowo. Niechaj córki baronów powiedzą, jak dyskretnie i przyzwoicie postępowała regentka, doradzając królowi, nader oględnie, rozważne podejście do baronów, a szybko urośnie w ich oczach – przyzwoita, rozsądna kobieta, niezamierzająca objąć zwierzchnictwa nad gueleńskimi damami i ich tajnymi hierarchiami. No właśnie, niech wszyscy i każdy z osobna tak pomyśli. Tylko żeby nie zapomnieć o ich chorobliwej zazdrości. Przechwycił spojrzenie Artisane, córki Ryssanda, rzucone znad ramki z wyszywanką – podłotek z lisią twarzą spłoszył i pochylił głowę.

–Powinniśmy poczekać do wiosny, zanim zostaniemy farmerami – powiedziała Ninevrise z powagą, na tyle cichym głosem, by podsłuchujące służące musiały wyteżać słuch, chcąc usłyszeć ewentualne strzępy informacji na temat losu lorda Brysaulina. – Gdybyśmy zimą przenieśli się na farmę, głód by nam zajrzał w oczy.

–To prawda – ustąpił.

–Piętnaście dni – przypomniała. Tyle właśnie dzieliło ich od ślubu, od dopełnienia zarówno paktu, jak i małżeńskiej powinności; uzyskanie błogosławieństwa kapłanów miało usunąć małżonkę króla poza zasięg błahych plotek i pozwolić obojgu, którzy płonęli z żądzy wzajemnego dotykania, nie tylko muskać się czubkami palców w obliczu zawistnych (i odtrąconych) młodych kobiet.

A tymczasem polujący na uchybienia, wertujący księgi legalistyczni kapłani, jego największe utrapienie, węszyli wszędzie wokół Guelesfortu, złączeni z różnymi rodami za pomocą więzów krwi bądź pieniądza. I oto plany wojny, od pewnego czasu nieuchronnej, rozбивały się o habit pewnego starca.

–Niech bogowie sprawią, by w ciągu tych piętnastu dni mój kanclerz nie został stracony.

–Stary to człowiek. I zacny. Był dla mnie miły.

–Jest też wierny. – Królewski temperament Cefwyna ostygł nieco na wspomnienie okazywanej mu posłusznie życzliwości, kiedy na targanym rozterkami dworze z chłodem witano króla i jego nową sojuszniczkę. Niemniej tliły się w nim jeszcze resztki gniewu. Przecież raporty nadal znajdowały się w niewłaściwych, wrogich rękach. – Jako lord szambelan dobrze służył memu ojcu. Dobrze służył też mi, póki

nie wróciłem do Guelessaru... Święci bogowie, w niespokojnych czasach utrzymywał porządek w całym królestwie, dzięki inteligencji i dobrej woli, za co winienem mu wdzięczność. Ale, na dobrych i łaskawych bogów, czemuż nie czyta do końca rozkazów, które mu posyłam? Pisuję je prostym językiem. No tak, przecież ja dobrze znam pobudki tego człowieka. Za panowania mojego ojca, kiedy krąg działań lorda nie wykraczał zwykle poza Guelessar, przed dożynkami sumowano jedynie zebrane z pól plony. Nic dziwnego, zatem, że reszta Ylesuinu powinna zdać sprawę z przebiegu żniw, a nam wolno poddać inspekcji jeno spichlerze, a nie wozy i łuki. Chcę wierzyć w uczciwość Brysaulina, w jego rozliczne zalety, ale mimo to, na bogów, jeśli przed zimowym przesileniem nie każę go powiesić...

–Spokojnie, spokojnie. – Położyła mu palec na podbródku, po czym szepnęła z bliska: – Musisz się udać do Brysaulina i jeszcze raz go pouczyć. Cierpliwości. Zawsze jesteś cierpliwy.

–Nazywam się Marhanen! Nigdy nie jestem cierpliwy! Niechaj zaraza zdusi tego Brysaulina! Marzę o inteligentnej rozmowie na tematy niezwiązane ze składowaniem pik i owsa. Zjesz dziś ze mną wieszczę w komnatach, w gronie starych przyjaciół? Wezwę także Tristena. Wyjechał na przejażdżkę. Sprowadzę go przed zachodem słońca, nawet, jeśli trzeba będzie wysłać po niego żołnierzy.

Z oczu Ninevrise zniknęła powaga, pojawiły się w nich nagle wesołe błyski; owe szare oczy, w których czasem gościły fiołkowe cienie, zaiskrzyły się, a zaraz potem pogrążyły w zadumie – ujrzał je po raz pierwszy wymalowane na kości słoniowej i od tamtej chwili nigdy ich nie zapomniał. Głos regentki jeszcze przycichł, tak by oprócz niego nikt jej nie mógł usłyszeć.

–Czy to ja mam być dzisiaj łupem, czy też będzie nim Tristen? Za tym świątecznym nastrojem kryje się chyba jakiś spisek. Chcesz kogoś podejść?

–Droga pani! – Położył dłoń na piersi, tuż nad wyszytym złotą nicią smokiem Marhanenów. – Czyżbym był podejrzany?

–Porachujmy: od świtu wdałeś się w ożywioną dysputę z kapitanem swej gwardii, potem z patriarchą quinaltynow. Następnie twój brat, diuk Guelessaru, a także jego kapłan. Doszło też do ponownej rozmowy z Idrysem, kapitanem Gwywynem i kapitanem Kerdinem. Pomijam krawca...

–Twoi szpiedzy są wszędzie!

–Najpierw każesz mi się schronić w siedlisku powodowanych ambicjami kobiet (a każda z nich zamierza namówić mnie do zwierzeń), by potem się dziwić, że wiem wszystko o przedmiocie twoich pytań, który pojechał dziś do Drysham...

–Nad Cressitbrook. A jednak nie wiesz wszystkiego.

–...razem z eskortą. O niego chodzi, prawda? Czyżby Tristen popełnił jakieś wykroczenie?

–O tym wieczorem – odparł cicho, obrzucając spojrzeniem oddalone od nich kobiety.

–Słuchaj, czego ja się tu dowiaduję: strażnik Ynefel wyruszył na przeszpiegi. Prowadzi z końmi, a być może również z owcami, okropne i nader przydługie dyskusje. Jego ptaki oblatują kraj wzdłuż i wszerz, ze wszystkich stron przynoszą mu wieści...

–Te jego przeklęte gołębie łążą po parapecie i zbierają się na ganku świątyni, by tam na schodach uszlachetniać swoją naturę, a to już magiczna obraza. Nadchodzi zima. On je karmi. Czemu miałyby odlatywać? – Dość się już dziś nasłuchał na temat quinaltyńskich schodów. I religijnej chwiejności regentki... oraz jej skandalicznie prostej halki, zwłaszcza, że była elementem ślubnego stroju. – Wpadnij wieczorem. Mała kolacyjka, miły i spokojny wieczór, nikogo prócz nas i Tristena. I Emuina. Zaprosimy też Emuina.

–Świetnie, zaraz pójdą w ruch języki.

Rzeczywiście, obecności terantyńskiego kapłana, dawnego nauczyciela króla, nikt by się nie sprzeciwiał. Ale nie czarodzieja. A Emuin był jednym i drugim.

Do licha z plotkami, tęsknił za tamtymi cichymi kolacjami, za tamtymi dniami w Amefel. Tęsknił do tego stopnia, że owe dni, uważane wówczas za zesłanie, obecnie ukazywały mu się w złocistej aureoli wspomnień z czasów, kiedy to, co wieczór zasiadał do kolacji z nielicznymi, acz wiernymi powiernikami swoich myśli, kiedy wokół stołu wyłącznie jedzono i prowadzono poufale rozmowy zamiast męczących narad z kapłanami, archiwistami i lordami, którzy na tronie woleliby widzieć jego brata. Nawet na oficjalnych bankietach w wielkiej sali w Henaśamef panował nastrój intymności w porównaniu z zebraniem dworu w rozbrzmiewającej echem Sali Smoczego Tronu. Obszar przed tronem, błyszczący od złota i kości słoniowej, sprawiał wrażenie politycznego pola bitwy, na którym wszystkie manewry i strategiczne sojusze zostały ustanowione przez jego ojca, teraz, więc musiał o nie ponownie toczyć boje i jako niepopularny sukcesor przekuć je na nowo. Z tego powodu nie dopisywał mu apetyt i chociaż nie natrafił dotąd na siwy włos w starannie przyciętej jasnej brodzie ani na trwałą zmarszczkę na młodym czole, lada chwila spodziewał się ich pojawienia – nawet tęsknił za nimi, gdyż byłyby pomocne w zyskiwaniu poważania u baronów. Przytłoczony sprawami wagi państwowej, nie mógł pozwolić sobie na dalsze wyjazdy. O jego wierzchowce dbali stajenni. Brakowało mu czasu na zajęcie się ogarami ojca, które obrastały w tłuszcz. Ledwie zasiadał w królewskiej wannie, a już podawano mu papiery do podpisu, argumentowano, proszono o sprawiedliwość, podsuwano petycję quinaltynow związaną z przeklętymi

gołębiami Tristena.

–A niech sobie paplą – zwrócił się do przyszłej żony. – Niechże gadają do woli. Tymczasem znajdzie się lymaryński ser i jabłka z Panysu w korzennej zalewie. Także gueleńska szynka i amefińska kielbasa, czerwone wino z Imoru i tutejsze piwo. Kazałem zwieźć to wszystko z myślą o dożynkach. Dzisiaj rozkażę przyrzadzić z tych zapasów kolację tylko dla naszej gromadki.

–Uwodziciel – odparła. Palce dotknęły palców. Jakże chętnie dotknąłby czegoś więcej.

To pachniało intrygą. Wszystko musiało nią być w tych dniach wstępowania na tron i pieczętowania małżeństwem sojuszu z Elwynimami.

Dostrzegła wyraźnie, że Cefwyn tak naprawdę chce porozmawiać z Tristenem, co nie miało nic wspólnego z gołębiami, cenzusem czy rozpaczą, która przywiodła go tu w poszukiwaniu azylu. Oczyma wyobraźni widziała osaczające go wilki, czyhające, aż w trakcie obrony swoich interesów popełni jakiś błąd.

Z drugiej strony, nie chodziło tylko o potrzebę chwili, ale i możliwości (a te zdarzały mu się ostatnio nader rzadko) do zebrania wokół siebie najwierniejszych mu serc. Niedoceniany dawniej spokój przepadł we wrzawie dworzan ojca, usiłujących zachować swoje wpływy, oraz tych cieszących się dotychczas mniejszą łaską, a pragnących teraz uzyskać to, na co nie mogli liczyć za panowania poprzedniego władcy. Tak, tego wieczoru król zasiądzie do stołu z żywym czarodziejem i rzekomo martwym sihijskim lordem.

Król powinien kierować się wyłącznie własną wolą, przynajmniej od czasu do czasu.

Rudy lis przemknął po zboczu pagórka: pierwszy ujrzał go Lusin i to on zwrócił nań uwagę Tristena, wyjaśniając, że wszystkie podobne stworzenia miały w tym roku niespotykane gęste futerka. Potem Uwen wraz z Lusinem i resztą pogrążyli się w rozmowie o Liss – kasztanowej klaczy, której Uwen dzisiaj dosiadał. Wystawiono ją w stajniach na sprzedaż po bardzo wysokiej cenie. Przyzwoitość nie pozwalała Uwenowi na taką rozrzutność.

–Powinieneś ją kupić – rzekł Tristen po raz setny.

Uwen podsuwał Liss jabłka przywiezione głównie dla swojego codziennego wierzchowca, Gii, oraz dla Cassa, ciężkiego rumaka bojowego.

–Dyć cena wielka, panie – odpowiedział również po raz setny. – Zbytńo wygórowana. Nie o klaczy tu myślę, jeno o mnie. Jakże mi wydawać...

–Powiedziałem, że powinieneś – upierał się Tristen.

–Miło to z twojej strony, panie, alem daleki od trwonienia wspólnych pieniędzy...

–Potrzebujesz jeszcze jednego konia.

–Gdybym takowego potrzebował, jest przecie rączy wałach, co go będę ode wiosny dosiadał, bo nie wezmę Gii za rzekę. Niech jeno spokój wróci, poczekam ja sobie na jej źrebaka. Kupno klaczy za czterdzieści srebrników to wierutne błazeństwo u kogoś z moją...

–Jesteś kapitanem.

–Może i tak, panie, atoli biedakiem.

–Podoba ci się – orzekł Tristen. I rzeczywiście, dłoń Uwena zakradła się ku szyi Liss.

–Nie jest praktyczna. Ani tyci praktyczna.

Ich spór zawsze kończył się tym argumentem.

–Za to pięknie się rusza – zauważył Lusin.

–I owszem – przyznał Uwen, wzdychając. – Ino jest zbyt szlachetna, jak dla mnie.

Tak to się zazwyczaj toczyło. Uwen zaczął się rozwodzić na temat źrebięcia swej gniadej klaczy, o jej przymiotach, aż pojawiły się słupki milowe. Tristen, zamyślony, nie zważał na padające słowa.

Świat nie został bynajmniej zasnuty pustą szarością, dowodzącą działającej magii. Tristen nie czuł obecności natarczywych duchów, a zmysły postrzegania pewnie i z łatwością skupiały się na drodze, gdy pozostali mówili o koniach. Niemniej jednak od ucieczki na szczycie wzgórza, od ukradkowego spojrzenia w stronę Amefel ześlizgiwał się stopniowo ku owej szarości, do której, podobnie jak czarodzieje, miał dostęp.

Zaczął czegoś szukać, choć sam nie wiedział czego. Rozglądał się ze świadomością przytępioną wątpliwościami oraz rozproszoną barwami, ruchami i niekiedy frapującą dyskusją o rozplodzie koni. Wzdragał się przed sięganiem do szarego miejsca, związanego z magią lub czymś podobnym. Emuin wyraźnie go przed tym ostrzegwał. Powinien się raczej zainteresować klaczą i źrebakami tudzież krępującą kwestią poczęcia życia – jednakże Uwen rzekł „tego lata”, a z „tego lata” Tristen zapamiętał wyłącznie szarość, bez szczegółów, kształtów, treści. Poczł strach oraz wyrzuty sumienia na myśl o wtargnięciu w czekającą nań szarą przestrzeń. Sumienie gryzło go z powodu osobliwego Zmysłu, jaki posiadał. Emuin zabronił mu go używać.

To prawda, że czarna magia przywiodłaby Ylesuin do ruiny, gdyby nie stanął u boku Cefwyna na Równinie Lewenskiej, jednak czuł w głębi serca, choć lordowie nie podzieliliby zapewne jego zdania, iż niebezpieczeństwo grożące królestwu jeszcze nie minęło. Czarne moce niekoniecznie muszą rozrosnąć się do postaci, jaką przybrały pod koniec lata, kiedy pod liśćmi Marny zebrały się gęste cienie, wypełniając las grozą. W Elwynorze nieprzyjaciółmi byli wyłącznie Ludzie, nie cienie, aczkolwiek owi zajadli wrogowie mogli w każdej chwili użyć czarów, aby zapobiec gueleńskiej napaści. Niepokój, jaki mu się udzielił na szczycie wzgórza, dręczył go niczym ukradkowe, dostrzegane kątem oka poruszenie.

Podobne wypadki, bez wiedzy Emuina, zdarzały się rzadko i trwały krótko. Szarpał szarą przestrzeń, powodowany niejasnym wrażeniem potrzeby, o ile bowiem jadący z nim ludzie rozpraszała jego uwagę, o tyle miasto, ku któremu zdążali, niemal oszalałamią zgiełkiem i obcością, jak też szczebiotem, barwami, zapachami, prawdami i pozorami wznosiło szerszą zaporę niżli wszelkie zakazy Emuina.

Na szczycie wzgórza czuł lęk. Zadawał sobie w duchu pytanie, czy istnieje jakaś przyczyna strachu, czy też nurtuje go świadomość niezmiernego ogromu dotyczących świata pytań, na które nigdy nie znajdzie odpowiedzi, jeśli pozostał mu tylko rok, jeśli resztę dni będzie musiał spędzić bądź to na przesiadywaniu w swoim pokoju, bądź na krótkotrwałych przejażdżkach ściśle określonymi drogami w świetle tychże ludzi.

Marzył o nieskrępowanej wolności. Na początku swojego istnienia potrafił zatonać w kontemplacji zwykłego kurzu lub zachwycić się tak niepospolitym widokiem, jak grzywa Petelly'ego, w której przed chwilą utkwiał żółty liść. Obecnie nasuwały mu się pytania innej natury: nie dotyczyły tego, co widział, lecz tego, czego nie zobaczył lub, zobaczywszy, nie zrozumiał. Pierwszym przykładem była nadchodząca uroczystość z okazji śmierci roku. Ciągłe towarzysztwo gwardzistów strzegących go przed niebezpieczeństwami, o jakich wiedział, że mu nie zagrażą, stanowiło drugi przykład. Źródło jego najgorszych obaw wykraczało poza ich wyobrażenia – poza wyobrażenia ludzi króla, a nawet Uwena, który ongi ruszył z nim w samo serce cienia. „Tego lata” z wypowiedzi Uwena stanowiło część tych lęków.

W każdym razie tutaj, w prowincji Guelessar, postępował tak, by zadowolić króla, i czynił, co w jego mocy, żeby oblaskawić swoich gnębicieli. Naśladował pozostałych lordów w przemowach i dobrych manierach, ale męczyła go ich złośliwość. W ich obecności często udawał znużenie, lecz nigdy z powodzeniem... Już na samym początku Cefwyn powiedział, że nie umie kłamać. Mimo to wciąż odnajdywał nowe, przyciągające wzrok cuda: a to lśnienie szkła, a to kolor wytwornej spódnicy, (w którą nie śmiał się długo wpatrywać).

Zadawać pytania? Przed tym także się wzdragał... ot, choćby dzisiaj: chętnie, gdyby starczyło mu odwagi, zwróciłby się do kogokolwiek z tymi samymi pytaniami, jakie

niegdyś zadawał Emuinowi, a które, pozostając bez odpowiedzi, nie dawały mu spokoju. Jak długo potrwa jeszcze jesień? A zima? Ile zostało do wiosny? I czy Uwen umie sobie bez trudu wyobrazić jutrzejszy dzień? Jakże człowiek nie będący Człowiekiem w zwykłym tego słowa znaczeniu mógł orientować się w tych sprawach, skoro czarodzieje rozmawiali o obrotach słońca? Istniało mnóstwo zjawisk, które Ludzie uważali za pewnik i przewidywali z niebywałą trafnością, gdy tymczasem szara przestrzeń, dla nich nieosiągalna, ciągle czekała, by go wchłonąć, nazbyt rzeczywista i konkretna, by czuł się w niej wygodnie.

Podobno rok, prawdziwy Rok, za pomocą, którego Ludzie dokonują rachuby czasu, zacznie się podczas zimowego przesilenia, lecz jego własny rok rozpocznie się dopiero z nastaniem wiosny.

Kiedy nadejdzie wiosna, jak utrzymywał król Cefwyn i inni, Ylesuin wyruszy na wojnę, by za rzeką upomnieć się o królestwo podległe lady Ninevrise. Słowa „na wiosnę” pojawiały się we wszystkich dworskich rozmowach, jakby zima, owa martwa, umierająca, najbardziej złowieszcza pora roku, była błahym okresem, który trzeba przetrwać, lecz nie warto zawracać sobie nim głowy.

Być może zima i przemiany były czymś mało istotnym dla normalnych ludzi, ale w swych najczarniejszych godzinach, gdy wszyscy rozmawiali zdawkowo o porach roku, wciąż powtarzając, co się stanie „na wiosnę”, Tristen wiedział, że Uwen posiada wizję przyszłych zdarzeń, której on sam nigdy nie doświadczył. Normalni ludzie wierzyli też ślepo, że w przyszłym roku będzie im się wiodło lepiej niżli w mijającym. On wszakże nie podzielał tego przekonania. Przeżył tylko jeden rok... a gdy spojrzął dziś w stronę domu, wkradł mu się do serca dziwny, uporczywy niepokój, jakby zerknął poza granicę utworzoną nie tylko ze skał i kamieni... jakby z długich stajni wymaszerowały ukradkiem wojska, czyniąc niewielki wyłom w ustalonym porządku rzeczy, który on sam sprawił. Który zapoczątkował.

Kto wie, czy zamknięcie rocznego cyklu czegoś nie dopełni? Mauryl powołał go do istnienia z sobie tylko znanych powodów, teraz jednak, gdy zima była za pasem i zbliżał się dzień zaślubin, Cefwyn nie miał dlań żadnego zajęcia. Emuin narzekał na brak czasu. To jemu Uwen podlegał, nie odwrotnie. Dłużyła mu się więc beczynność, w czasie, której daremnie usiłował sobie wyobrazić, co przyniesie mu nowy rok, co będzie wtedy robił i jakie właściwie jest jego zadanie, nie licząc planów Mauryla, przewidujących pokonanie wroga na leweńskich polach.

Przetrwał bitwę nad Lewenbrookiem. Pokonał Hasufina, wroga Mauryla, lecz chociaż nie należał do naturalnych tworców, był jego nie dobiegł potem kresu. A zatem przekroczył jedną z wielkich barier. Czyżby miał zginąć przy następnej? Nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego rocznica jego stworzenia jawi mu się – z każdą chwilą wyraźniej – jako nieznanne, tajemnicze ograniczenie. Być może, kiedy już minie ten dzień, zacznie przeżywać lata, podobnie jak przeżywali je inni ludzie, przewidując

nadejścia kolejnych pór roku przez długi, długi czas.

A wtedy w wizji swej przyszłości, na wzór innych Ludzi, ujrzy przypuszczalnie nie tylko szarość. Przypuszczalnie, lecz nie na pewno.

Czy należało założyć, że zdobywał wiedzę na darmo? Że zakłęcie Mauryła będzie działać tylko do czasu napotkania jakiejś naturalnej bariery, przykładowo zakończenia roku? A może podczas tej identycznej wiosennej nocy zostanie wypchnięty z powrotem w mrok, gdzie wszystko, co ceniał, i cała wiedza, jaką sobie przyswoił, ulegną zapomnieniu i rozpadowi.

Dowie się na wiosnę.

Jak długo miała trwać zima? Jak długo, znów się zastanawiał, potrwa jeszcze jesień? Czy corocznie jesień zawiera tę samą liczbę dni?

Dwa tygodnie temu zapytał o to mistrza Emuina. Gdy już mu się wydawało, że rozumie, Emuin zamienił „tak” na „nie” w kwestii pór roku. Powiedział, że owszem, jesień trwa zwykle określoną liczbę dni, lecz dodał szybko, iż zima tego roku może się opóźnić. Nie, nie przychodzi wcale wtedy, gdy liście postanawiają zmienić kolor, ale kiedy powietrze staje się mroźne.

„Dlaczego tak się dzieje?” – zapytał wtedy.

„Ponieważ słońce idzie wcześniej spać” – odparł Emuin.

„Tak? A dlaczego, panie?”

„Bo chyba ma już dość pytań” – odpowiedział Emuin z nagłą irytacją, co oznaczało, że jemu, czarodziejowi, najmądrzejszemu człowiekowi, jakiego obecnie znał Tristen, skończyła się cierpliwość, a złożoności świata nie sposób ogarnąć pojedynczym spojrzeniem.

Potem jednak Emuin, skruszony, wyciągnął mapy i pokazał mu szlaki wędrówek słońca między gwiazdami – wszystko to działo się pewnego wspaniałego wieczoru w gabinecie Emuina w Guelemarze, gdzie po parapecie spacerowały gołębie z tęczowymi pierściami. Podobno rok miał ściśle ustaloną liczbę dni, lecz pory roku następowały niezupełnie według planu. Potem Emuin pokazał mu wykres pór roku w zależności od położenia słońca i orzekł, iż jesień może przychodzić trochę wcześniej lub trochę później.

Wiedza ludzi o porach roku przeważnie pokrywała się z prawdą, ale nie zawsze. Częściej odgadywano na podstawie niejasnych znaków, niż wiedziano na pewno. Tak wiele rzeczy ludzie przyjmowali do wiadomości bez zastanowienia. Wszelako w tej niepewności należało się doszukiwać klucza do jego egzystencji: czy będzie trwał,

czy też przestanie istnieć.

Tymczasem mężczyźni rozprawiali o klaczach i ogniskach, o piwie i kobietach. Za kolejnym zakrętem droga wyszła na chwilę z lasu, skąd roztaczał się widok na pastwisko owiec, teraz zbrązowiałe i suche, oraz na zaorane pola, oznaczające bliskość wioski. W pierwszych dniach jesieni, kiedy przejeżdżali tą drogą, przeważnie widywali na widnokręgu pióropusze dymu – wieśniacy wypalali rżyska, ostra woń palonej słomy jęczmiennej mieszała się z zapachem dymu, jaki zwykle wypełniał doliny.

Wiejący dzisiaj niespokojny wiatr, zmieniający kierunek z zachodniego na południowy, czynił z wypalania ściernisk wielce ryzykowne zajęcie. A może farmerzy zakończyli już wypalanie? Kiedy wyłaniali się z królewskich lasów blisko Cressitbrook, powietrze było nadzwyczaj czyste i przejrzyste. Figlarny wietrzyk wydmuchiwał ze skraju lasu wirujące liście. Petelly i Liss tańczyły obok siebie na złocistej ścieżce: las był skąpany w kolorach ognia i ziemi. Gdy wyjechali nieco dalej, na ich drodze rozścieliły się delikatne złote liście olch i brzoź. Aby nadążyć za Trislenem, gwardziści przyspieszyli wzdłuż granicznego strumienia, który z bulgotem toczył na prawo od nich swe wody. Był to jakby przejazd przez skarbiec pod rzednącym baldachimem gałęzi. Kiedy zechcą tu wrócić, na ziemi może już leżeć śnieg. Kolorowy krajobraz spowijają biele, szarości i mróz.

Okrążywszy wzgórze, znaleźli się na rozdrożu. Wybrali prawą odnogę, a ta zaprowadziła ich do drewnianego mostku, gdzie obok przyczółka znajdował się kamień milowy opisany królewskimi znakami. Po drugiej stronie stał podobny słupek, tyle, że z drewna. Tupotem wypłoszyli stadko kosów, które wypuściło się na zbójcką wyprawę w jęczmienisko.

Kamień milowy oznaczał koniec królewskich terenów łowieckich. Zaorane pola, ciągnące się tuż za mostem, oglądane wcześniej ze wzniesienia, należały do wsi Wyson-Cressit. Nie należało jej mylić z takimi wioskami, jak Wyson-Wyettan czy Wys w Palysunder-Grostan... Istniało bardzo wiele wsi o tej nazwie, łądząco do siebie podobnych, zamieszkałych zawsze przez Gueleńczyków – nawet ta w prowincji Panys, o czym dowiedział się od Uwena, również będącego Gueleńczykiem (w odróżnieniu od Ryssandów, czarnowłosych mieszkańców północnego Ylesuinu).

W Wyson-Cressit przeważały obsiewane zbożem pola, sady jabłkowe i przydomowe ogródki. Zjeżdżając w dół polami, z konieczności mijając opłotki wsi, on i jego gwardziści stanowili główną atrakcję dnia: lord na czele drużyny królewskich żołnierzy... Lord Sihe, jak nazywali go ludzie, podobnie jak żegnali się – nie zawsze poza zasięgiem wzroku – by unieszkodliwić wpływ czarów.

Tak działo się we wszystkich wioskach. Początkowo odnosił mylne wrażenie, że jest kimś mniej znaczącym od Uwena. Włosy kapitana były dłuższe i dawały się upiąć w

krótki warkocz, a siwizna nadawała mu bardziej lordowski wygląd, przynajmniej w oczach ludzi zachwyconych nienaganną sylwetką w siodle i pięknym koniem, jakim była Liss. Tak się zdawało Tristenowi. Jednakowoż wieśniacy od razu rozpoznawali obcego, czarnowłosego młodzieńca, czy miał na sobie kaftan pospolitego wojaka, czy też nie. W przeciwieństwie do niego, Gueleńczycy byli w przeważającej mierze jasnowłosi. Wieści o Tristenie znacznie go wyprzedzały, skutkiem, czego chłopi i mieszczanie zatrzaszywali drzwi, gdy przejeżdżał w pobliżu.

Ostatnio jednak mieszkańcy Wyson-Cressit, jak powiedział Uwen, bardzo się rozpuścili i zdawało się, że go oczekują. Dzisiaj, w przyptywie pewności siebie – jakże różnej od tamtych pierwszych chwil sprzed tygodni, kiedy ze szczelin w drzwiach wзираły wylękłe, zaciekawione twarze – najstarsze i najśmielsze dzieciaki wyskoczyły z kryjówki przy chlewie i biegły obok koni, gdy jeźdźcy ocierali się niemal o ściany chat, a psy ujadały i miotały się pod kopytami.

–Uważać no tam! – zawołał Uwen do chłopców, wymachując ręką. – Święci bogowie! Z dala od koni, gałgany! Komu koń przykopie, ten za Sassury łącno poszybuje!

Dzieci pozostały w tyle. Petelly miał pojednawczą naturę, nawet nieco leniwą. Liss szła spokojnie, lecz była mściwa, natomiast przypadkowo dobrane wierzchowce gwardzistów, pochodzące z wyposażenia pospolitej jazdy, cechowała zapalczywość i nieobliczalność.

Nikt wszakże nie ucierpiał. Wyjechali za wieś, nikomu nie czyniąc krzywdy, i można się było tylko zastanawiać, jaki figiel urwisy wymyślą następnym razem. Atmosfera wioski podniosła Tristena na duchu – czas spędzany w Guelemarze zaczął ukazywać mu pierzchliwe jeszcze wizje, przebłyski wyobrażeń, które usiłowały wtargnąć do szarości. Może doczeka się kiedyś miłych słów z ust starszych mieszkańców? Całkiem możliwe. Jeżeli dzieci nabiorą odwagi, może zdoła przekonać mieszkańców wioski Wys, by się go nie bali. Mógłby wtedy odliczyć jedną osadę od około czterdziestu jej podobnych oraz jakichś dwudziestu prowincji, gdzie przerażenie budził widok jego cienia na ulicach. Niestety, strach w ludziach można było pokonać jedynie cierpliwością i przyzwyczajeniem, czasem też wyświadczając im jakąś wielką przysługę.

Tak czy inaczej, posunął się kroczek do przodu, co mogło zostać popsute, gdyby Petelly kogoś kopnął. Rozmyślał, czy dostanie pozwolenie, by przyjeżdżać tu zimą. Miał nadzieję, że tak i że dzieci nadal będą wybiegać mu na spotkanie – ale oto znowu się przestraszył, iż nawiedza go jedno z tych niemądrych pytań, a nie zamierzał psuć sobie dobrego humoru kwestiami dotyczącymi bądź wydarzeń, które prawdopodobnie będą miały miejsce w przyszłości, bądź też budzącej zazdrość wyobraźni ludzi.

Zwykle za dwoma wzgórzami, zakrętem i drugim pastwiskiem należącym do wioski

Wys dostrzegało się daleko na horyzoncie Guelemarę. Dziś jednak, skoro opadły ostatnie liście z drzew wzdłuż opłotków, rąbek miasta ujrzeli dużo wcześniej, już po minięciu drugiego wzgórza za Wys. Odległe zabudowania grodu spływały ze wzniesienia ku równinom, jeśli uznać za część Guelemary peryferyjne budynki stajen i warsztatów, sady, suszarnie oraz grunty dzierżawione od Korony, gdzie pozwalano na wznoszenie mniej trwałych zabudowań.

Król zezwalał na to, żeby nie było tak ciasno wewnątrz murów obronnych, aczkolwiek budowle te mogły znacznie ucierpieć, gdyby elwynimski wróg wkroczył z nadejściem wiosny na gueleńską ziemię. Zawsze, gdy tamtędy przejeżdżał, Tristen wyobrażał sobie niedole, jakie staną się udziałem ludzi, jeśli wojna przybierze niekorzystny obrót.

Wmawiał sobie, że do tego nie dojdzie. Wewnętrznie skłócony nieprzyjaciel nie sprawi im wielkiego problemu, jeśli wojna rozpocznie się wcześniej i potoczy szybko. Wszystkie szacunki opierały się na przeświadczeniu, że atak zostanie przeprowadzony na terytorium Elwynoru, skąd nie pójdzie kontrnatarcie. Przewidywania te muszą okazać się prawdziwe. Nie pozwoli, korzystając z posiadanych umiejętności, by stało się inaczej. Król wezwie go w razie potrzeby, czekał zatem na to posępne wydarzenie, mające nastąpić w pełnej wątpliwości porze roku – jedyne, które rozumiał. Widział w nim przyczynę, dla której być może przeżyje wiosnę i rozpocznie kolejny rok: w czasie wojny przejawiały się jego wielkie zdolności.

Po minięciu zakrętu wjechali na gościniec do Guelemary, biegnący wśród płaskich na ogół połaci pastwisk, sadów jabłoni i pól, z których zebrano już jęczmień. Gród jakby dryfował po niebie nad morzem szarych gałęzi jabłoni. Miał trzy rzędy murów, wszystkie z wyblakłego kamienia. Sama korona obmurowań i wzniesione wewnątrz budowle wykonano ze sprowadzanego z południa wapienia, bieleły się więc za dnia, a połyskiwały złociście ponad sadami w promieniach zachodzącego słońca. Dodająca blasku Guelemarze cytadela była z daleka tylko zbiorem jasnych i ciemnych płaszczyzn. Opodal piętrzyła się mniejsza budowla, na widok, której Tristen zawsze posępniał, zasiadał tam Jego Świątobliwość, patriarcha quinaltynow, człowiek obojętny na groźbę wojny i nieprzychylny wobec wszelkich przejawów czarodziejstwa.

Jednym spojrzeniem dało się objąć zarówno światło, jak i cień Ylesuinu: Guelesfort, królewską cytadelę, wciąż rozjaśnianą mdłym blaskiem słońca, oraz klasztor quinaltynow, gdzie poruszały się prawdziwe Cienie. Pałac był domem Tristena; słońce kochało mury Guelesfortu i wbrew opowieściom Cefwyna o duchach, widmach i chłodnych miejscach spotykanych na wspaniałych centralnych schodach głównej sali Tristen niczego tam nie zauważył. Prawdziwie nawiedzonym zakątkiem była wielka świątynia quinaltynow, której nie znosił.

Przez długi czas wpatrywał się w ów widok na horyzoncie. Uwen rozprawiał o zbiorach jęczmienia. Tristen z radością słuchał wesołego głosu sługi, chociaż rolnictwo nie objawiało mu się jako wiedza, którą czar Mauryla kazał mu zdobywać. Albo, po prostu, takiej wiedzy od dawna nieżyjący sihijski lord wcale nie potrzebował – jeśli to, co o nim sądzili Ludzie, było prawdą. Tak więc słuchał Uwena, dowiadując się nowych rzeczy o jęczmieniu: jak zboże to dorasta, jakie mu trzeba zapewnić warunki, jak zostało w tym roku zebrane przed samymi deszczami i wreszcie jak w czasie dożynek oraz mających się odbyć za piętnaście dni zaślubin będzie można sobie poprzeklinać przy jęczmiennym piwie.

Rozdział trzeci

Petycje, rozporządzenia i szkic dekretu tworzyły tego późnego wieczoru stos na pulpicie w królewskim gabinecie, a każdy z dokumentów gmatwał krążące plotki. Sterta zawierała wszystkie spory i roszczenia, których król gwoli ostrożności, odkąd powrócił do Guelemary, po trzykroć już wysłuchiwał. Żadna ze spraw, dzięki bogom, nie dorównywała rangą spisom i cenzusowi, ale wśród nich czyhały wyrazy niezadowolenia Świętobliwego Ojca mogące potencjalnie zaszkodzić królewskim planom. Jego gniewu nie wywołały li tylko gołębie.

Wnet miano podać kolację. Ktoś wszedł, dwóch paziów odeszło i oto Annas, dawniej jego ochmistrz, a obecnie królewski szambelan, przesunął się obok biurka tak szybko, jak mu na to pozwalały osłabione wiekiem nogi. Cefwyn nie mógł nie dostrzec gestykulacji przy drzwiach, w trakcie, której w przeciwnych kierunkach odesłano skonsternowanych paziów. Znacznie spokojniejsza była wymiana zdań pomiędzy Annasem – niskim, wielce dostojnym człowieczkiem, ubranym w skromne jasnobrązowe szaty – a komendantem Gwardii Królewskiej, Idrysem, wysokim, wąsatym, obwieszonym bronią mężczyzną w czarnej zbroi. Król wertował papiery bez zamiaru interweniowania, chyba żeby groźba zawitała pod same bramy miasta.

Tym razem dyskutowana sprawa dotyczyła ściągnięcia mistrza Emuina z wieży, co oznaczało wyrwanie go z codziennego snu, naturalnego u kogoś, kto nocami spoziera na gwiazdy, bada znaki na niebie i usiłuje wywróżyć bogowie wiedzą, co z płomienia świecy i z wody. Król wolał nie wiedzieć, co starzec porabia w swojej wieży. Stanowczo nie popierał skarg na Emuina, swego nauczyciela, terantyna, którego imię wyczytywane było w czasie dożynek z honorowej listy w klasztorze quinaltynow; podobnie nie dawał posłuchu skargom na swoją narzeczoną, na przyjaciół, na bratanie się z elwynimskimi lordami, tudzież baronami z południa, a także na jego niezwykłą, jak na Marhanena, zażyłość z heretycką prowincją Amefel, wyznającą przeważnie bryalt, zamieszkaną przez ludzi, w których żyłach – na bogów! – często płynęła skażona sihijska krew.

Na dokładkę – co ostatnio wywołało sporo kontrowersji, jak pokazywały raporty Idrysa – nie przykładał wagi do zamieszania powstałego w Guelesforcie, gdy wszedł

na jaw prostszy jadłospis, mający obowiązywać podczas dożynek. Skandalem okrzyknęli ów fakt kucharze oraz lordowie, uważając, że krupnik zamiast tradycyjnej zupy porowej będzie niestrawny dla ich delikatnych żołądków. Cefwyn zezwolił podać obie zupy jednocześnie, zarzekał się jednak na obojętnych bogów, że sam zje tylko krupnik, o ile gueleńscy kucharze zdołają ugotować go bez przypalenia.

Każdy nowy król spotykał się bez wątpienia z podobnymi skargami i niechęcią wobec jakichkolwiek zmian. Cefwynowi przeciwstawiła się nawet tradycja, choćby w postaci talerzy z zupą. Nie był w stanie zadowolić rybaków i farmerów z leżącego na północ od Guelessaru Murandysu, skoro czynił ukłon w stronę położonej na wschód prowincji Panys, słynnej z sadownictwa. Wybrany przezeń dożynkowy jadłospis został podyktowany politycznymi i ekonomicznymi względami; niemal identycznie postępował jego ojciec, obiecując to i tamto. Z religią rzecz miała się podobnie: nie mógł zachować więzi ze starym nauczycielem Emuinem, a równocześnie zadowolić patriarchy quinaltynow – sekty, która urosła w znaczenie i prosperowała pod rządami Inareddrina. Zdążył już naszkicować odpowiedź dla Jego Świątobliwości: „...jeżeli chodzi o porządek na schodach, rozważę użycie koniecznych środków...” Tymczasem potrawy oczekiwanej z niecierpliwością nieformalnej kolacji z narzeczoną miały lada moment pojawić się na stole. Jeden z paziów przyniósł wiadomość o odnalezieniu Tristena w mieście, późno i o niezręcznej porze poinformowanego o zaproszeniu. W lepszym już nastroju Cefwyn rozpoczął pisanie listu do lorda Brysaulina: „...rozkazuję ci jeszcze tego dnia posłać ludzi do każdej z wiosek ze szczegółowymi pytaniami...”

Wśród paziów nastąpiło wnet kolejne zamieszanie, rozległy się biadania, albowiem przy lepszym świetle odkryto plamę na brunatnym, przygotowywanym dla króla aksamicie. Starszy paź, sługa jeszcze z Amefel, obecnie zaś mistrz garderobiany, załamywał ręce, lecz Annas odszedł, by zająć się tą sprawą, i na chwilę zapanował spokój... Gdyby tylko nie te spisy wozów...

–Dziś wieczór nie dopisują nietoperze i sowy, więc mistrz Emuin zjawi się na kolacji – mruknął Idrys cierpko, gdy jego cień przesłonił chyłkiem pulpit. Annas zaniósł mu już ubranie. Mistrza obudzono.

–Zaniósł mu ubranie? – Ogarnięty niepokojem, Cefwyn spojrział uważnie na kapitana. Pióro znieruchomiało. Ostatni raz widział swojego nauczyciela... chyba dwa tygodnie temu, jeśli nie dawniej. Może jeszcze podczas zaprzysiężenia i uroczystości, jakie odbywały się przed miesiącem? Choć kto wie, czy nie szacował zbyt skromnie, myśląc o miesiącu. Niemniej starzec wyglądał wtedy całkiem dobrze. Emuin sprawiał wrażenie wielce zadowolonego z odzyskania swych ulubionych komnat w Zachodniej Wieży, a skoro był wielebny ojcem zakonu terantynów, służyli mu gorliwie zacni, przemili terantyńscy mnisi. Cefwyn naturalnie zakładał, że stary mistrz ma się dobrze, mimo iż działa pod osłoną nocy. – Racz mi powiedzieć, czemuż to Annas znosi mu ubrania? Gdzie się podziała jego służba?

–Jakiś czas temu odesłał braci w szarych habitach – odparł Idrys.

–Wszystkich bez wyjątku?

–Obu bez wyjątku. Dwóch ich było, najjaśniejszy panie. Ganił ich za babranie kałamarzy.

Cefwyn nic o tym nie wiedział. Był wstrząśnięty.

–I nie ma osobistej służby?

–Lord strażnik widuje się z nim przynajmniej dwa razy w tygodniu, a codziennie śle do niego ludzi.

–Tristen się z nim widuje? – Tristen nigdy nie – zaniedbałby starca. Odwiedzał go, co jakiś czas, a zatem, w pewnym sensie, także Cefwyn nie zaniedbywał swego wieloletniego druha i nauczyciela.

–O jego bieliznę i posiłki dba czeladź lorda strażnika – mówił Idrys. – Chociaż wydaje mi się, że ostatnimi czasy mości szara szata rzadziej zajmuje się nami, śmiertelnikami, a częściej gwiazdami. Przydałoby mu się w wieży chyba więcej koców.

Cefwyn poczuł się nieswojo wobec okazywanej przez Idrysa troski. Idrys, szara eminencja dworu, służył dawniej u jego ojca, później u niego. Był człowiekiem nie skrupowanym uczuciem litości czy skrupułami, gdy przychodziło osądzać uczynki księcia. Przypuszczalnie nawet Emuin w pewnej mierze służył poprzedniemu królowi, ale tak dawno, że ów fakt nie miał już większego znaczenia. Mistrz Emuin uczył jego i Efanora, a był przy tym najwierniejszym doradcą w ciągu kilku ostatnich lat, człowiekiem szczelnie okrytym szarością: przyświecały mu szare, niewyraźne cele, używał szarych argumentów oraz przywdziewał szare szaty zakonu terantynów, które kamuflowały jego rzekomy rozbrat z ortodoksyjnością. Nie istniała żadna kwestia, której Emuin nie opatrzyłby swoimi „gdyby” i „być może”, żadne rozwiązanie, w którym by się nie doszukiwał podejrzanych motywów i sprzecznych interesów.

Mości szara szata i mości kruk, terantyński kleryk i kapitan gwardii, przewodnicy w jego zmarnowanej młodości. Każdy z nich (oraz Annas) sprawował osobne rządy nad młodym, niesfornym księciem. Teraz jednak, kiedy został koronowany na króla, a zwłaszcza odkąd groziło mu widmo wojny z Elwynimami, od miesiąca znacznie częściej znajdował się w towarzystwie Idrysa niż Emuina. Nie zdawał sobie sprawy, że staremu nauczycielowi doskwiera brak koców.

Na litość boską, ów człowiek doradzał królowi Ylesuinu! Jakże mógł nie znaleźć sobie dwóch zwykłych służących? Nie mógł zapędzić do służby pałacowego

personelu? Albo przynajmniej złożyć skargi? Czemu Annas nic mu nie powiedział?

Wyschła końcówka pióra. Zauważył na palcach plamy z atramentu. Służba musiała już tymczasem odnaleźć drugi z jego ulubionych dubletów, nieskazitelny i akceptowalny... Zaskoczył wcześniej paziów wyborem ulubionych, acz znoszonych szat, chociaż dwór pławił się w przepychu. Na ten wieczór pragnął jednak przywdziać wygodniejsze ubrania, niemające nic wspólnego z militarnym przeznaczeniem: żadnych skórzanych pancerzy czy kaftanów nabijanych ćwiekami, które zwykle ciążyły mu na ramionach. Owe nieliczne osoby, zaproszone dzisiaj do stołu, były przecież, pomijając inne ich zalety, jego serdecznymi, godnymi zaufania przyjaciółmi.

Do tego grona zaliczał również swego brata, Efanora – po godzinnym namyśle zdecydował ostatecznie, że owszem, musi go zaprosić. Po prostu musi. Efanor nie miał wiele wspólnego z jego przyjaciółmi i komilitonami. Efanor, obecnie diuk Guelessaru, bezpośredni następca tronu, nie towarzyszył mu w owych znojnym i niebezpiecznych dniach w Amefel (oprócz kilku ostatnich), a jego pobożne zachowanie zatruwało wszelką wesołość, nawet w obecności lady regentki. Uczucia Efanora ucierpiałyby jednak mocno, gdyby teraz został wykluczony. Cefwyn za wszelką cenę nie chciał ranić brata, zaprosił go, zatem, żywiąc głęboką i szaloną nadzieję, że Efanor nic będzie wygłaszał modlitw przy kolacji.

Udaremniając zamachy na królewskie postanowienia, potrzebował pewności, że wciąż może dotrzeć do swych przyjaciół. Nowy monarcha w Guelemarze, usiłujący przeprowadzać swoją wolę wbrew północnym baronom, musiał poświęcać wielką uwagę stosunkom panującym we własnym gospodarstwie, nad którym zarząd sprawował Annas; żywotne interesy nakazywały mu pozyskiwanie informacji, jakie niektórzy baronowie chcieliby ukryć przed mniej obrotnym sukcesorem – tym zajmował się Idrys. Jego wierny doradca, Emuin, wróżył przyszłość królestwa: Cefwyn nie bagatelizował tych spraw, pomny na to, czemu stawili czoło nad Lcwenbrookiem. Obawiał się, że do tych ostatnich praktyk Świątobliwy Ojciec, jak również jego niebywale pobożny brat zgłoszą jakieś niebezpiecznie słuszne zastrzeżenie.

Umiał wszakże bronić Annasa, Idrysa i Emuina, którzy chlubili się długą listą niepodważalnych zasług. Skoro baronowie nie mogli nic zdziałać na tym polu, swoje zastrzeżenia kierowali pod adresem Ninevrise oraz, niech mu bogowie dopomogą, Tristena, strażnika Ynefel. Ostatni lord strażnik nie opuszczał swej wieży. Inaczej postąpił Tristen. Żaden z argumentów nie wystarczał do przełamania religijnych oporów. Quinaltyni zamykali uszy na wieści o działaniu czarów na polu bitwy. Nie przyjmowali do wiadomości, że wojsko miało za przeciwnika czarne moce, a ich atak odparła magia, nie prawa pobożność. Podobnie żaden z północnych baronów, nieobecnych podczas bitwy, nie chciał nic słyszeć o Lewenbrookku.

Cefwyn musiał się szybko ożenić, położyć kres wszelkim knowaniom kapłanów, a

potem do diabła z religijnymi uprzedzeniami: będzie robił, co mu się żywnie spodoba, na przekór przekleństwu baronów. Musiał odnieść zwycięstwo, wynieść do chwały bohaterów, stworzyć precedensy, które uprzętną cały bałagan, przekupić kilku kluczowych baronów nadaniami, dzięki czemu odwrócą się plecami do swych pobratymców. Ważne przy tym było, by dokonać tego jak najszybciej, pogwałcić obyczaje, skrócić czas żałoby po zmarłym ojcu, nie bacząc na chmurne miny Efanora i jego pełne wyrzutu spojrzenia. Musiał się prędko ożenić, by zniweczyć z kretesem nadzieje rozmaitych arystokratów i ich córek. A zwłaszcza nadzieję diuka Murandysu, Prichwarrina, który liczył otwarcie na złapanie Cefwyna w sidła rodzinnych więzi, mających uczynić barona po wsze czasy krewniakiem królów.

Niemniej jednak w gorącej wodzie kąpana, zadufana w sobie, śliczna siostrzenica Prichwarrina, Luriel, porzuciła swego księcia, gdy ten zarządzał Amefel, prowincją stojącą w obliczu rebelii, pełną zamachowców. Przybyła do Henaśamef, kiedy jej księcia mianowano wicekrólem Amefel, spodziewając się godności królowej małżonki; pewność siebie kazała Luriel wtargnąć do książęcego łóżka i tą metodą zdobyć jego wieczną miłość. Zbrzydła jej wszakże nuda związana z niedostatkiem uroczystości w zacofanej prowincji, a ponieważ nie było odpowiedniejszych, piękniejszych i bardziej faworyzowanych księżniczek w całym Ylesuinie, cóż, nie zachodziła obawa, że skieruje on swe sentymenty w inną stronę. Wobec tego uciekła z Amefel.

Bądź co bądź, jej wujek Prichwarrin był najważniejszym z baronów, nieocenionym sprzymierzeńcem przyszłego króla, dlatego nie bała się o swoją pozycję. Nie brała wszelako pod uwagę krajów leżących poza granicami Ylesuinu, albowiem żadna gueleńska dama nie miała nigdy rywalki za granicą. Teraz Luriel usychała w Aslaney z tęsknoty, bez ślubu, bez perspektyw. Luriel, zachłanna Luriel, tak ufająca w swą inteligencję, ucierpiała najbardziej wskutek jego planów i sprawiła bez wątpienia gorzkie rozczarowanie wujkowi... który zapewne ciągle łudził się nadzieją i modlił o jakikolwiek cud albo skandal mogący w ostatniej chwili zapobiec małżeństwu króla z cudzoziemską regentką.

Prawdę powiedziawszy, Cefwyn żałował Luriel. Postanowił zadośćuczynić jej niedolom w jakiś honorowy sposób... Tytułem, przystojnym mężem. Nawet miał jednego na oku. Tymczasem szykował się na swój ślub z Ninevrise. Za piętnaście dni Elwynimi dowiedzą się, że regentką nie jest więźniem, ale sojusznikiem króla Marhanena dysponującego potężną armią, cieszącego się błogosławieństwem quinaltynów, zdolnego zwalczyć buntowników, zanim sytuacja zarzeka bardziej się zaogni... a także potrafiącego przywrócić Ninevrise jej tron i odmaszerować z powrotem, nie roszcząc sobie osobistych praw do Elwynoru – wszystko to będzie druzgoczącym ciosem dla rebeliantów.

Niech tylko jeden z elwynimskich buntowników sięgnie po koronę jako król, nie regent, quinalt dostrzeże zaraz u swego progu kolejne wskrzeszenie czarnej sztuki.

Wciąż żywe w Elwynorze proroctwo wiązało kres elwynimskiej regencji z nadejściem zapowiadanego króla i przypuszczalnie nie oczekiwano, by miał je spełnić Marhanen. Prędzej czy później któryś z rebeliantów mógł wykorzystać czarodzieja lub coś jeszcze gorszego, by uprawomocnić swoje roszczenia, potwierdzając je sihijską krwią w żyłach swoich przodków (pospolitą w Elwynorze tudzież w Amefel). Strach wyzierał z oczu Świętobliwego Ojca, gdy Cefwyn przedstawiał mu tę możliwość. Quinalt, druga potęga w królestwie Ylesuinu, nigdy nie wymagał od Marhanenów pobożności. Bogowie świadkami, że jego dziadek i ojciec Inareddrin skłonni byli przymknąć oko na nieortodoksyjne postawy, a to z jednej istotnej przyczyny: pragnęli pewnego dnia wciągnąć Elwynor z powrotem do unii dwóch królestw, będących niegdyś, pod sihijskim berłem, jednolitą monarchią. Ojciec i dziadek udawali, że nie dostrzegają w Amefel sihijskich symboli ani pozostałości bryaltyńskich wierzeń, byle tylko heretycka prowincja pozostała w obrębie Ylesuinu. Pragnąc przyłączyć Elwynor do Korony, nieustannie ogłaszali Elwynimów mniej lub bardziej zagorzałymi zwolennikami bryaltu. Mimo takiego zachowania patriarcha quinaltynow błogosławił ich sprzecznym przecież z doktryną działaniami.

Niemniej żądanie zgody na ślub wnuka z kobietą o elwynimskim rodowodzie, niezapewniający na dodatek odzyskania utraconych terytoriów, mogło przeciągnąć strunę. Ugoda między Marhanenami a quinaltynami wisiała na cieńszym włosku niż kiedykolwiek w krótkiej historii Ylesuinu.

Na domiar złego gołębie ufajdały quinaltynski przedsiónek – pod wpływem, jakżeby inaczej, czarnej magii... O bogowie, cóż za dzień!

Przez pewien czas unikał pokazywania się publicznie w towarzystwie starych przyjaciół. Widzicie, mawiał do Gueleńczyków mieszkających w samym sercu Ylesuinu, nic się nie zmieniło. Bogowie sprzyjają królowi i quinaltynom, będzie pokój z Elwynimami...

Po małej wojence.

Będzie pobożność i bojaźń boża...

Choć nie zapominajmy o czarach nieprzyjaciela. Jakże to, mamy przecież czarodziejów. Bądźcie spokojni, siedzą cicho. Racztwie wybaczyć gołębiom.

Nie przejmujcie się błahą szarością mistrza Emuina. Nie przejmujcie się okazałą ciemnością sztandaru marszałka wielkiego Althalen, sztandaru przypominającego chorągiew strażnika Ynefel. Co prawda uniknął ekskomuniki tudzież samej śmierci... Lecz nigdy nie zamierzałem kochać go jak brata...

Co gorsza, istniał pretendent do tronu Elwynoru, który – w co Cefwyn wierzył i czego się zarazem obawiał – stanowił spełnienie dawnych proroctw. Wiedzieli o tym

Emuin i Idrys, a nawet Ninevrise. Aczkolwiek Cefwyn szczerze wątpił, czy Tristen zdaje sobie z tego sprawę.

Nic nie uczyniłoby Tristena bardziej nieszczęśliwym.

Nadeszła właściwa pora. Przemierzył długi korytarz, prowadzący z prywatnego gabinetu króla ku pałacowym salom. Obszerny, jasno oświetlony korytarz ozdobiono pięknymi, wysokimi oknami i królewskim smokiem, złotym na czerwonym tle – godłem nieco zaciemnionym teraz, kiedy przez dwie przezroczyste szyby sączyły się ogniste promienie zachodzącego słońca.

Przy drzwiach naprzeciwko dostrzegł jakiś zamęt. Zaczęli przychodzić goście. Okazało się, że dość rychło, acz nie za wcześnie przybył Efanor. Cefwyn powitał brata ciepłym, szczerym uściskiem, chociaż zawieszony ostentacyjnie medalion, wzorzysty i zbyt duży, obrócił się między nimi i poprzez aksamit ukłął boleśnie Cefwyna. Efanor poprawił wisior i ponowił ze śmiechem uścisk.

–Czy nadeszły już książki, te dwie z południa? – zapytał.

–Czy nadeszły? Nie widziałem ich. Na bogów, kiedy znów będę miał czas na książki? Annasie! – zawołał na szambelana maszerującego szybko przez salę, strofującego służących i paziów, którzy nie powinni się teraz pętać po sali audiencyjnej. – Annasie, gdzie są te książki, na które czeka mój brat?

–W bibliotece, najjaśniejszy panie – odparł starzec, wycofując się i rozpędzając paziów.

–W bibliotece. Na miłość boską, dlaczego w bibliotece? – Obiecano mu pierwszy podręcznik Manystysa Alduna, przyrodnika i filozofa, zawierający opisy oceanu, którego Cefwyn nigdy nie widział. Efanor sprowadzał z Llymarynu, prowincji okrytej teraz niełaską, swój letni bagaż, a wśród niego, wraz z karawaną, jaka musiała dotrzeć już do stolicy, zapomniany urodzinowy prezent. Cefwyn czekał nań od miesięcy... Palił się do czytania... jeśli tylko czas mu pozwoli. Jako król nie trzymał książek w swojej komnacie, ale w jakimś cholernie wielkim pomieszczeniu, wypełnionym po brzegi tomami, gdzie nie mógł niczego odnaleźć.

Nagle pojawił się Emuin, w znacznie lepszej formie, niż należałoby wnosić z raportu Idrysa. To prawda, przypominał nieco zbudzoną za dnia sowę, był trochę wysmagany przez wiatry, niemniej jednak wyglądał schludnie. Broda, bielsza tej jesieni, została porządnie rozczesana. Przyoblekł się jak zwykle w szare szaty, na szyi demonstracyjnie zawiesił terantyński wisior. Tego wieczoru, zatem wybuchła wojna na medaliony.

–Witaj, drogi gościu. – Kiedy się ściskali, czuł pod szatami chude ramiona starca. – Doszły mnie słuchy, żeś odesłał służących, mości szara szato.

–Zaiste! Szwendali mi się pod nogami, przestawiali sterty papierów, przewrócili kałamarz... Jeśli zechcę oblać mapy atramentem, sam sobie dam radę.

–Mogę ci znaleźć inną służbę.

–I szpiegowali, wszędzie węszyli! – Słowa te Emuin wypowiedział ze zmarszczonym czołem, zezując na Idrysa, który stał na uboczu, milczący niczym posąg.

–Idrys pragnie jedynie twego dobra, stary mistrzu.

–I przekazuje ci raporty na temat moich raportów. Kiedy zapragniesz poznać układ gwiazd, mnie spytaj.

–Nie omieszka – odrzekł Cefwyn, powstrzymując się od śmiechu. „Miłościwy panie” niemal nigdy nie wychodziło z ust Emuina. Dla starca Cefwyn wciąż był Inianowłosym urwisem z królewskiego domu, bezmyślnie wspierającym na cennych księgach poplamione atramentem łokcie.

Wszakże Efanorowi, także niegdysiejszemu uczniowi Emina, mistrz tylko zdawkowo kiwnął głową – poważnie, formalnie, zgodnie z protokołem:

–Wasza Wysokość. – Czy takie zachowanie bolało bardziej niż nieotrzymanie należnych honorów? Cefwyn nie wiedział, lecz się tym zatroskał.

Zaraz za Emuinem wśliznął się po cichu Cevulirn z Ivanoru, pozostawiwszy na zewnątrz obstawę złożoną z ludzi spod znaku białego konia. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, odziany w szarobiałe szaty, jakby chciał się zamienić w mgłę. Nie sprawiał imponującego wrażenia, dopóki nie zobaczyło się jego oczu albo jak siedział na koniu lub walczył w bitwie. Spośród wszystkich baronów z południa Cevulirn cieszył się najbardziej z przedłużonego pobytu na dworze – bezsprzecznie szpiegował, gotów w każdej chwili sprowadzić na dwór sprzymierzonych z sobą baronów, gdyby północni lordowie osaczyli króla niesłusznymi żądaniem o łaskawe rozpatrzenie ich osobistych spraw.

Taka postawa była na rękę królowi, który nie zamierzał wysłuchiwać tych żądań, zwracając oczy na południe, aby rozpaczliwy sojusz, ongi zawarty przeciwko Elwynorowi, poparł go stanowczo w usilnych zabiegach o zdobycie elwynimskiej małżonki.

–Przyjacielu mój – pozdrowił go Cefwyn. Niewiele miał czasu, by zapytać lorda o jego sprawy, a jeszcze mniej, by usłyszeć odpowiedź, albowiem pojawiła się Ninevrise.

Nie przywiązywał wielkiej wagi do faktu, że nie zaprosił pozostałych kobiet. Na dworze, gdzie zauważano najdrobniejszy niuans w zachowaniu króla, z pewnością

nie ujdzie uwagi to niedopełnienie obowiązku: nowiny zostaną wyczytane z gorącego powietrza w kuchniach, jeśli już zabraknie szpiegów między służącymi.

Cefwyn wraz z towarzyszącymi mu dzisiaj kompanami odbywał już narady wojenne w Amefel, przed i po Lewenbrook. Oddane politycznym dywagacjom damy guelemarskiego dworu wyroją się pewnie niczym pszczoły z ula – pszczoły brzęczące o przyszłym statusie Ninevrise i dobrym wychowaniu szacownych gueleńskich kobiet, rozstrzygające, czy prosty stanik w połączeniu z jednocześnieścią halką spódnicy należy uznać za nową modę, czy też za godny ubolewania skandal. Damy z buduarów nie przyjęły wszakże nigdy do wiadomości najbardziej ich zdaniem odrażającej prawdy: Jej Miłość nie była pierwszą lepszą córką diuka, poddaną ich osądom, ale głową państwa. Jej Miłość miałaby po dziś dzień do usług nie zwyczajne kobiety, ale czterech zacnych ludzi, tyle, że polegli, broniąc swej pani. Jej Miłość regentka Elwynoru prowadziła kiedyś do boju dwakroć od niej starszych mężczyzn i ani na polu bitwy, ani w sali obrad nie spotkała się z nieposłuszeństwem. Na nieszczęście po tej stronie rzeki nie wiązały regentki żadne rodzinne koneksje, mogące zdefiniować jej pozycję względem pozostałych dam dworu i ich ambitnych quinaltyńskich kapłanów... a jakże inaczej oszacować jej wartość? Na bogów, nie wystarczą do tego same halki!

Jej heretycka Miłość przybyła jedynie w świcie czterech gwardzistów, przydzielonych jej do ochrony przez króla, by zabawić się w swojskiej kompanii dziesięciu pragnących odpocząć mężczyzn, niewątpliwie podpitych – łącznie z królem, który jako księżę nie cieszył się dobrą reputacją. Rzecz najzupełniej pewna: rankiem zamek obiegnie taka właśnie plotka. Czyż kapłana-czarodzieja, kapitana Gwardii Królewskiej, pobożnego brata króla czy milczącego lorda Ivanora można posądzić o hulaszczę i bezceremonialne zachowanie? No tak, Cevulirn pochodził z południa i nie był dobrym quinaltynem, ale terantynem jak mistrz Emuin, o ile w ogóle zdradzał przywiązanie do jakiegokolwiek filozofii.

Paplanie, paplanie, paplanie kobiecych języków, niech je licho porwie razem z ich domysłami! Dzisiejszego wieczoru król postępował według własnego widzimisię. Z całego serca potrzebował tych, którzy się wokół niego zebrali.

Brakowało jeszcze tylko strażnika nawiedzonego zakątka Ynefel, lecz Tristen, rzecz najzupełniej powszednia, nadal się spóźniał.

Rozdział czwarty

Zbędne według Cefwyna były dziś formalne stroje. „Zupełnie jak kiedyś, na początku” – napisał w liście. Powrócili jednak z przejażdżki o zachodzie słońca, musieli się zatem umyć i przywdziać stosowny ubiór na kolację przy królewskim stole.

Tristen założył ciemnobrązowe szaty, Uwen natomiast zielony strój, pozbawiony herbów Ynefel (unikał ich, jak tylko mógł), pozostawił też kolczugę i broń. Gwardziści – było ich zawsze przynajmniej czterech przy drzwiach królewskich komnat, nie licząc dwóch tuzinów w przyległej sali – rozpoznali ich i bez słowa wpuścili do środka.

–Lord Ynefel i Althalen – poinformował gwardzista zabieganego pazia, na co ten złożył ukłon i rażnym krokiem poprowadził gości wzdłuż sali przyjęć ku mniejszej sali bankietowej, mijając Annasa, wiecznie gdzieś śpieszącego, a potem Idrysa, który nigdy nie oddalał się zbyt od króla. Idrys, niezwyczajnie wesoły, wodził za nimi na pozór leniwym, lecz jak zwykle baczным spojrzeniem – nic nie uchodziło jego uwagi.

Paź wprowadził ich na salę. Szczęściem nie organizowano żadnej oficjalnej uroczystości, podczas której podwójne rzędy ław wypełniają całą salę, a w zgiełku głosów i przy dźwiękach lutni nie słyszeć, co się dzieje przy sąsiednim stole: takich uroczystości nie dało się nigdy zamknąć w ramach jednego dnia. Dzisiejsze zaproszenie było niespodzianką, nadto wymieniało Błękitną Salę, w rzeczywistości głównie pozłacaną, gdyż resztki błękitu zachowały się wyłącznie na suficie. Tristen przebywał tu tylko raz, tuż po zaprzysiężeniu. Król nazywał to miejsce najprzytulniejszą salą spośród królewskich apartamentów.

Oto i Emuin siedział, jak za dawnych czasów, zadbany. Ninevrise rozmawiała swobodnie z uśmiechniętym dziś Efanorem, przybyłym bez towarzyszącego mu zazwyczaj ponurego kapłana. Cefwynowi usługiwali ci sami co w Amefel paziowie, których król zatrzymał w swej służbie, jakkolwiek przeróżni lordowie proponowali na ich miejsce odpowiednich synów i siostrzeńców.

Najmilsze dla Tristena nastąpiło wtedy, gdy Cefwyn podszedł i poklepał go po ramieniu, witając w swoich progach. Przez kilka chwil rozmawiał z nim o pogodzie, zaślubinach i zbiorach.

–Podobno zebrano nadzwyczajny jęczmień – rzekł Tristen, na co Cefwyn obdarzył go pytającym spojrzeniem. – Tak mi dziś Uwen powiedział – przyznał, wywołując śmiech króla.

–Rzeczywiście, zbiory się udały – stwierdził. – Chodź do nas. Nie za ciepło ci w tym płaszczu? Chłopcze! – To ostatnie do pazia. – Na bogów, napalili na sali jak w kuźni!

Tristen oddał płaszcz. Uwen opuścił go, wychodząc do sąsiedniej sali, gdzie miał zjeść kolację i gdzie, Tristen był o tym święcie przekonany, mógł poczuć się znacznie lepiej: przedkładał towarzystwo ivanimskich gwardzistów i podległego Idrysowi porucznika nad rozmowę z lordami.

Tymczasem niepodobna było nadażyć za słowami Cefwyna, Tristen miał w głowie

istny mętnik. Znalazł się tu zupełnie niespodziewanie, dopiero co wrócił z przejażdżki. Nabrał już zwyczaju podsłuchiwania własnych gwardzistów, byle nacieszyć się brzmieniem słów, aż tu raptem porywają go na spotkanie starych przyjaciół. Tocząc wokoło wzrokiem z niebezpiecznym uniesieniem... świadom obecności Emuina, lecz także Ninevrise, czuł, jak jego serce nie tylko wypełnia się uczuciem radości, ale i otrząsa niejako z napięcia.

Ujrzał z daleka zmarszczone czoło Emuina.

Pochylił głowę, czyniąc swą obecność w tym świecie i zarazem w szarej przestrzeni mniej widoczną.

Ale stłumić wrażenie szczęścia? Nie, tego nie potrafił. Ninevrise przemierzyła komnatę i ujęła go za rękę w powitalnym geście.

–Tristenie – rzekła nader ciepłym tonem.

–Droga lady regentko.

–Bardzo dobrze wyglądasz – powiedziała. Wzdragał się przed wypadem do szarej przestrzeni. Mogliby tam rozmawiać, nie wypowiadając słów na głos; umiejętność tę odziedziczyła po ojcu, oprócz niej tylko Emuin potrafił sięgnąć do szarości. Nie była jednak czarodziejką, wobec czego, nawet przy najlepszych chęciach, obecność regentki przypominała delikatny powiew wiatru. Świadomie wyrzekła się jedyne go dziedzictwa, jakie jej przypadło.

–No i jesteście – mówił właśnie Cefwyn, przyzywając gości do stołu. – Chodźcie wszyscy, w czasie dzisiejszej ceremonii nikt nie musi stać. Niechaj w naszym gronie obowiązuje mój królewski dekret: niniejszym dzień ten czynię początkiem dożynek, tyle, że nic w wielkich, brzmiących echemi salach, bez rozwlekłych mów, zmartwień czy specjalnych starań. Czujcie się swobodnie, mili przyjaciele, a ty usiądź przy mnie, droga przyszła małżonko. Emuin jest kapłanem, niechajże on pilnuje etykiety.

–Tylko nie kapłanem – zaproponował Emuin. – Dokładam wszelkich starań, byle nie być kapłanem.

–I tak w naszym towarzystwie ty najbardziej nadajesz się do przestrzegania etykiety: kleryk, człowiek w podeszłym wieku, darzony szacunkiem. Na lewo moja pani, na prawo Efanor, zaraz za nim Cevulirn, naprzeciwko zaś Tristen, potem mości kruk. Na bogów, cóż za radość widzieć was tutaj!

Przez chwilę gawędzili na zdawkowe tematy. Efanor wygłosił nader długą modlitwę przed kolacją, a po podaniu posiłku na nowo podjęto rozmowy, w czasie, których Cefwyn opowiadał o koniach, pogodzie, planach na zimę... Idrys podsunął wątek nadchodzącej wiosny.

–Nie, nie, ani słowa o tym – zaprotestował król. – Nie sprowadziłem was tu na naradę wojenną, tylko z tęsknoty za waszym towarzystwem, moi starzy przyjaciele. Raduje się dziś moje serce.

–Najjaśniejszy panie – rzekł Cevulirn, a Emuin podniósł kielich.

–Za towarzystwem przyjaciół – powtórzył Cefwyn – wśród których te oto słowa zyskają szczególną wymowę: mijający rok obfitował zarówno w gorzkie, jak i radosne chwile.

–Zaprawdę – wtrącił Idrys.

–Był to rok końca i początku, rok straconego i znalezionego... Razem ze mną przetrwaliście burzę. Piję za wasze zdrowie, waszą pomyślność oraz szczęście w przyszłości, z nadzieją, że przez wiele, wiele dni będziemy się mogli podobnie jak dziś spotykać.

Cefwyn wychylił kielich. Następnie Efanor podniósł się z krzesła.

–Niech bogowie dadzą naszemu ojcu wieczny odpoczynek. – Uniósł kielich. – Jak też wszystkim poległym. Bogowie zachowajcie króla i Świątobliwego Ojca.

Wszyscy spełnili ten toast, chociaż Cefwyn nie wydawał się uszczęśliwiony. Tego należało oczekiwać po Efanorze: przy każdej okazji wtrącał do wszystkiego bogów i zmarłych; poza tym Cefwyn nie był pewien, czy etykieta pozwala Efanorowi zestawiać obok siebie króla i patriarchę.

–Bogowie zachowajcie lady regentkę – powiedział z kolei Cevulirn – oraz wiernych jej ludzi.

Co oznaczało Elwynimów i heretyków. Wszyscy spełnili toast ku uciechu Cefwyna, choć Efanor mniej się uradował. Tristena zrazu ogarnął lęk, że będzie musiał coś powiedzieć – poczuł nagłą pustkę w głowie. Doszedł do wniosku, że skoro przyjdzie mu zabrać głos, pobłogosławi króla i wszystkich obecnych, a to nie nastroczało poważniejszych trudności. Na szczęście zaprzestano wznoszenia toastów.

Zamiast tego zaczęto rozmawiać i jeść, aż skończyła się zupa i zabrakło chleba. Paziowie podali drugie danie. Jedzono i pito z umiarem. Tristen pogrążył się w rozmyślaniach na temat hałaśliwych lordów z południa, wyobrażając sobie – co wprawilo go w weselszy nastrój – jak Sovrag dobiera się do jesiennego piwa. Lord Olmern hałasowałby teraz co nie miara, dobrze już podpity, niechybnie poruszając zagadnienia, których nikt nie podjąłby w obecności króla. Sovrag przechodził szybko do sedna, przy czym ludzie zazwyczaj wybuchali śmiechem albo śmiech udawali, nawet, gdy czuli się obrażeni. Tristen w gruncie rzeczy lubił tego człowieka nie mniej niż Cevulirna; tymczasem żarliwe modlitwy Efanora sprawiły mu nader nikłą radość,

przez co dręczyły go wyrzuty sumienia.

Tak czy inaczej, przyjęcie było miłe i udane. Mówiono o żniwach i uroczystościach, zastanawiano się, czy niedostatek tkanin nie wynika czasem z faktu, że kupcy w dole rzeki, do których docierają z latoru pogłoski o zbliżającej się wojnie, nie wstrzymują dlatego dostawy towarów. Cevulirn nie przychylił się do tej opinii. Księstwo Ivanoru, leżące jeszcze dalej na południe, nie miało własnej przystani rzecznej. Małomówny zazwyczaj Cevulirn tłumaczył powody wstrzymania handlu tkaninami szeregiem waśni wśród lordów. Rozmowa zaczęła się następnie obracać wokół sprzętu zboża, a potem, co było nie do uniknięcia, zahaczyła o konie. Wspomniano o diuku Murandysu, lordzie Prichwarrinie, który pragnął hodować północną odmianę spestinanów poprzez krzyżowanie ich z wywodzącą się z równin Ivoru południową rasą byssandinów, a nie z dosiadanymi przez Iwanimow krysinami, wywodzącymi swój ród także z byssandinów. Tristenowi objawiło się niemal Słowo: ujrzał w wyobraźni mocno zbudowane rumaki – chyba nie widział ich dotąd na oczy, lecz miał pewność, że są to krępe zwierzęta o zimowych brodach, podobne do Pettelly'ego. Gueleńczycy byli rozmiłowani w wierzchowcach, ogarach i polowaniach, nic więc dziwnego, że Tristen wysłuchiwał tego dnia już drugiej dysputy na temat hodowli koni.

Cevulirn i Cefwyn skłaniali się ku przypuszczeniu, że Murandys prawdopodobnie zatraci siłę spestinańskich koni, a doda im wszystkie ułomności ze strony byssandinów, głównie ich nierówny chód. Wówczas przypomnieli sobie elwynimską klacz Ninevrise, którą obaj bardzo chwalili. W ten sposób dyskusja zesłaby na temat wiosennej kampanii i źle przeprowadzonego cenzusu, gdyby nie Ninevrise, która zażądała stanowczo zmiany tematu.

Po raz kolejny zatem powrócono do hodowli koni i udanych tej jesieni sianokosów. Miła pogawędka trwała dopóty, dopóki Emuin, zakosztowawszy zbyt wiele piwa, nie zapadł w sen, wskutek czego dwóch paziów musiało zanieść go do wieży. W tym samym czasie Ninevrise przeprosiła towarzystwo. W jej ślady poszli Cevulirn i Efanor. Tristen sądził, że i na niego już pora.

Gdy jednak Cevulirn z Efanorem znikali za drzwiami Błękitnej Sali, Cefwyn powstrzymał Tristena, oferując mu mieszek pełen monet.

–Panie? – Tristen czuł się skrępowany.

–Jutrzejszy dzień nazywamy zwyczajowo świętem trzech groszy. Jutro, bowiem ludzie wysokiego i niskiego stanu udają się do świątyni quinaltynow, bądź to w czasie mszy, bądź po południu, by wrzucić żniwny grosz do skrzyni z datkami. Przypuszczam, że nie dysponujesz nadmiarem grosiwa, przeznaczam, więc ten oto mieszek dla ciebie, Uwena i całego twojego domostwa, abyście mieli, co dać quinaltynom.

–Tak, panie – odparł Tristen. Jeszcze nie przywykł do obrotu pieniędzmi. Zastanawiał się, co można kupić za trzos pełen monet. Postanowił spełnić ów obowiązek raczej później niż wcześniej i uwinąć się przy tym jak najszybciej. Ciarki przechodziły go na myśl o przebywaniu w quinaltynskiej świątyni. Ciekaw był, czy może wyręczyć się Uwenem i czy wolno mu odłożyć parę monet.

–To pieniądze dla wszystkich twoich sług, dla Uwena i dla ciebie. Ważne jest, aby każdy człowiek przekazał dar własnoręcznie. Żniwny grosz jest przeznaczony na naprawę dachu świątyni.

–Przecieka? – Tristen odnosił wrażenie, że to dziwny sposób załatwiania tak pilnej sprawy. Cefwyn parsknął śmiechem i znów poklepał go po ramieniu.

–Ani trochę od co najmniej półwiecza, niemniej raz przyznane beneficjum nigdy nie wygasa. Nie tam, gdzie rzecz dotyczy kapłanów. Prawdopodobnie tym razem pieniądze trafią do rąk wdów, co jest szczytnym celem, ale jedno musisz koniecznie zrozumieć: nawet król odbywa pielgrzymkę po schodach quinaltynskiej świątyni, aby wrzucić żniwny grosz i dać dowód swej pobożności. Nieczęsto uczestniczysz w tutejszych rytuałach... Prawda, sam ci to odradzałem. Teraz jednak musisz osobiście za dnia odwiedzić świątynię. Ja uczynię to podczas głównej ceremonii.

–Tak, miłościwy panie. – Przeniknął go chłodny dreszcz, gdy przywiódł przed oczy obraz krzyżowych sklepień i filarów stojących niczym złowroga widownia. Król musiał mieć najwyraźniej jakiś istotny powód, by go tam posyłać. Dłoń Cefwyna, spoczywająca na jego ramieniu, przyciągnęła go bliżej, gdy przemierzali przyległą salę w stronę drzwi.

–Efanor udzielił mi niedawno przestrogi – zwierzył się Cefwyn. – Sam wiesz, że kapłani krzywo patrzą na Jej Miłość, a południowych baronów nie darzą ani krztą zaufania, gdyż spośród nich jedynie diuk Imoru Lenuaimu wyznaje quinalt. Są też, niezadowoleni z poczynań mistrza Emuina, nie w smak im, bowiem bliższe więzy, które go ze mną łączą. Będą chcieli znaleźć jakieś uchybienie.

Skoro piętnowali Emuina, piętnowali także jego.

–Zrób to przez wzgląd na mnie – rzekł król. – Przynieś monety. Jak nakazuje tradycja, za dnia. Uwen cię zaprowadzi. Odbędzie się oficjalna procesja wraz ze wszystkimi niezbędnymi formalnościami. Nie musisz jej znosić. Możesz przyjść później. Uczynisz mi i mojej pani wielką przysługę, jeśli uda ci się uniknąć niestosownych zachowań. Spróbujesz? Podołasz? Zechcesz?

Uwen pochodził z Guelessaru, zawsze obstawał przy quinalcie, można, więc było założyć, że orientuje się przynajmniej ogólnie, jak należy się zachować w świątyniach i wobec bogów. Tristen nigdy nie wnikał w boskie kwestie w obawie, aby potęgi i

czary, istniejące w odczuciu zwykłych Ludzi, a których śladów on dotychczas nie odnalazł, nie wystawiły na ciężką próbę nawet ich zażyłej przyjaźni. Ilekroć ocierali się o ów temat, wyczuwał skrępowanie Uwena. Wyglądało wszak na to, że okoliczności każą mu ostatecznie poznać bliżej bogów – i kapłanów głoszących opinię, jakoby Tristen budził w bogach naturalny wstręt.

Jednakowoż Cefwyn zawsze pragnął jego dobra, a skoro prosił tylko o wrzucenie monet do skrzynki, prośbę ową łatwo było spełnić, choć nie wydawała się zbyt mądra.

–Darzę cię całkowitym zaufaniem – oświadczył Cefwyn, wciąż obrzucając go poważnym spojrzeniem, gdy tak szli wolnym krokiem. – Zrozum, moi wrogowie zechcą cię dopaść. Im bliżej zaślubin, tym większe dostrzegają zagrożenie dla siebie i swoich wpływów na dworze, nie widzą sposobu nagięcia mojej woli i zmiany postanowień traktatu. Cóż z tego, że baronowie z południa rozumieją korzyści płynące z podpisania unii z Elwynorem, skoro baronowie z północy od dawna ostrzą pazury na ziemię Jej Miłości? Niczego tak nie pragną, jak uczynić regentką swoją poddaną, a jej ziemie swoimi prowincjami. Dwa krótkie miesiące upłynęły im na stwierdzeniu, że ugoda małżeńska nie przewiduje takiego scenariusza, następnie dwa tygodnie na nakłanianiu mnie, bym ją złamał i zaraz po ślubie z Jej Miłością najechał królestwo Elwynoru.

–Nigdy się na to nie zgodzisz.

–Oczywiście. Zrozumienie tej prawdy zajęło im dobrych kilka dni z tychże dwóch tygodni. Wówczas zaproponowali zmianę ceremonialnych formuł: chcieli w tekstach naszych przysięg umieścić pewne klauzule, przydające znacznie więcej władzy mi niż mojej pani. Wkrótce zażądaliby ode mnie, bym skorzystał z tych klauzul. Po kolejnych kilku dniach intryg i sztuczek nie zdołali znaleźć najmniejszej skazy w sporządzonych przez nas w Amefel dokumentach zaręczynowych, rozumiesz? Teraz, więc próbują przeforsować inne klauzule, aby mogli upomnieć się o Elwynor. Ale i tu ich wysiłki spełzły na niczym. Baronowie z północy udali się do kapłanów, mając nadzieję, iż ci odnajdą pewne niedociągnięcia w dokumentach. Wszystko na nic. A ponieważ do ślubu pozostało piętnaście dni, jedyną nadzieję pokładają w odnalezieniu jakiejś haniebnej wady Jej Miłości. Czas ucieka, okres dożynek zaś, kiedy to na porządku dziennym są pijaństwo, rozpasanie obyczajów, a król wraz ze swymi przyjaciółmi pojawiają się na oczach gawiedzi w czasie publicznych uroczystości, stanowi najlepszą okazję do obmyślenia jakiegoś łotrostwa.

Czy to ma coś wspólnego z groszami? Tristenem szarpały wątpliwości.

–Prosiłem Cevulirna, by został na zimę w stolicy – mówił Cefwyn – co jest dla niego wielkim wyrzeczeniem. Skoro jednak przebywa w Guelemarze, baronowie z północy wiedzą, że nie podpiszą zimą żadnej indywidualnej ugody bez wiedzy lordów z

południa. Nadto boją się występować nazbyt bezczelnie przeciwko traktatowi, zdają sobie, bowiem sprawę, że cieszy się on poparciem południa. Wszakże teraz, na piętnaście dni przed ślubem, odkryli nowego zająca, którego można pogonić. Zgodnie z ugodami, sporządzonymi z najwyższą starannością, Ninevrise nigdy nie będzie królową Ylesuinu, ale sprawującą władzę regentką Elwynoru, głową państwa na równi ze mną, władającą, tu uważaj, władającą „we własnej, nie wspartej klerem osobie”. Po ślubie baronowie już tego nie zmieniają, nie nakażą jej słuchać rad zwykłych Ludzi ani kapłanów, nie będą mogli żądać, by się nawróciła na quinalt. Murandys, Corswyndam, Sulriggeran... Wszyscy oni są przeciwni tej klauzuli.

–Sulriggeran został wygnany! Czyż może się przeciwstawiać?

–Nie tak do końca wygnany. Popadł w niełaskę. Jego bratanek służy Efanorowi. Albo próbuje służyć. Chodzi mi o to, że skoro układ małżeński chroni Jej Miłość, spróbują uderzyć z innej strony, na przykład w moich przyjaciół. Będąc moim przyjacielem, jesteś równie prawdopodobnym obiektem wrogich knowań, co moja pani. Oskarżenie o czary, o jakiegokolwiek niestosowne zachowanie wywoła straszną burzę, być może nawet odroczy datę ślubu. Każde twoje potknięcie, każde twoje albo jej zaniedbanie to ich ostatnia szansa.

–Rozumiem. – Wiedział, że wszyscy lordowie z wyjątkiem Cevulirna patrzą nań wilkiem. – Co mam w takim razie zrobić?

–Bądź mądry. Bądź czujny.

–Jestem, panie. – W tym oświadczeniu zawarły się wszystkie wydarzenia znad Lewenbrooku; owo piorunujące, gwałtowne olśnienie, w trakcie, którego poznał i zrozumiał treść książki, nie czytając jej wcale. Tamto doświadczenie legło pomiędzy nim a nieudolnością, jakiej niektórzy, nawet Cefwyn, nadal po nim oczekiwali. Nawet Cefwyn nie dostrzegł chwili, kiedy zaszła w nim przemiana, nie pojął również jej osobliwej natury. Tristen nie znał zimy, ale wiedział, jak ma się bronić, rozpoznawał też złośliwość, kiedy go dotykała. Rozumiał dworskie rozgrywki. Na razie ich unikał.

Ręka Cefwyna nadal spoczywała na jego ramieniu, kiedy szli wzdłuż sali.

–Nie uważam cię bynajmniej za głupca, ale jedno miej na względzie: Jego Świątobliwość nie należy do zbyt pobożnych kapłanów. Wytłumaczę ci coś jeszcze. Regent Elwynoru, zmarły ojciec Jej Miłości, piastował zawsze funkcję najwyższego kapłana równocześnie z funkcją króla. To żywotna dla quinaltynów sprawa. Pragną przydzielić Jej Miłości kapłana i nie pozwolą, by wchodziła im w paradę.

Jest czarodziejką, niemal wyrwało się z ust Tristenowi. Nie był pewien, jak wiele Cefwyn się domyśla, choć nie ulegało wątpliwości, że snuje pewne podejrzenia. Czy to z tego powodu quinaltyni mieli wątpliwości? Czy powinien, w dobrej wierze,

wszystko wyjawić? Słów raz wypowiedzianych nie sposób później cofnąć, więc, pomijając nawet zawarte z Emuinem uzgodnienia, nie śmiałyby tego uczynić, skoro dwoje ludzi było szczęśliwych i niemal zaślubionych.

–Pragną przydzielić Jej Miłości kapłana – powtórzył Cefwyn. – Nie akceptują kobiet.

–W całej świątyni nie ma kobiet? – Przypomniał sobie kobiety w tunikach, kobiety w bieli ze świecami.

–Nie są kapłankami. A już z pewnością udzielnymi władczyniami, pełniącymi funkcje kapłanek. Albo namiestnikami prowincji...

–Lady Orien nim była.

–Lady Orien jest wiedźmą, do diaska! Nie akceptowali jej pod wieloma względami. Nigdy nie zasięgałem rady quinalty nów w kwestii umowy przedmałżeńskiej. W Amefel nie musiałem tego czynić. Rzecz w tym, że oni nie akceptują kobiet na wysokich stanowiskach. Ale nasz traktat, sporządzony i zaprzysiężony w Amefel pod auspicjami quinaltynów, terantynów i bryaltynów, wyraźnie precyzuje, że Jej Miłość zachowa wszelkie prerogatywy bez wyjątku. No i patrz, dziesięć dni temu jeden wścibski świątynny archiwista odkrył ten aspekt elwynimskiej regencji, o czym nie powiadomiłem jeszcze Jej Miłości. Murandys i Ryssand płaszcą się przede mną, twierdząc, że ona nie może uzyskać uprawnień kapłańskich, i postulując, by zadeklarowała swoją wiarę.

Tuż przed ślubem mężczyźni i kobiety mogli więc mieć przed sobą tajemnice. To nieco uciszyło jego wyrzuty sumienia. Zatem Ninevrise nie postępowała niewłaściwie, zachowując sekrety, a i on w niczym nie zawinił.

–Później – ciągnął Cefwyn – parę dni temu, quinaltyni wpadli na nowy pomysł. Skoro regentka nie godzi się na kapłana, nie może otrzymać święceń, a skoro nie otrzyma święceń, nie wolno jej wygłosić kreda. Bez kreda uznanego przez quinaltynów za pobożne nie może złożyć pobożnej przysięgi ani takowej przyjąć, a bez przysięgi nie ma mowy o żadnym traktacie ani zaręczynach.

–Quinaltyni w Amefel przyjęli przysięgę, a przecież wiedzieli, że ona jest Elwynimką.

–Tutaj mamy do czynienia z quinaltynami wyższej instancji. Gdy ogłoszą, że nie ma traktatu, to tak, jakby go już nie było. Albo wybuchnie spór, który doprowadzi dwa królestwa do wojny i upadku króla. Taki właśnie rozwój wypadków przyrzekłem Jego Świątobliwości, a on wcale nic pragnie zguby Marhanenów, choć bogowie wiedzą, że Murandys lub Ryssand natychmiast wypełniłby powstałą lukę. Pięć dni temu znaleźliśmy proste rozwiązanie: Jej Miłość ogłosi, że zawsze żyła w wierze i że funkcje kapłańskie pełnił przy niej ojciec. Wówczas Jego Świątobliwość zaakceptuje traktat.

–Jak się ogłasza swoją wiarę? – Naszła go niepokojąca myśl. – Ja składałem ci przysięgę, a przecież nigdy...

–Cicho, sza! Nigdy o tym nie wspominaj. Krótko mówiąc, baronowie zażądali, aby się opowiedziała przy wierze, sądząc, że regentka nigdy tego nie zrobi. Wtedy mogliby unieważnić traktat i zapobiec małżeństwu. Niemniej bryałt praktykowany w Amefel bardzo przypomina elwynimski obrządek. Tak mi się wydaje. Wobec tego pewien bryaltyński kapłan przysiągł, że był kapłanem mojej pani, odkąd przybyła do Amefel, jeszcze zanim spisano ugodę. Jest to, oczywiście, kłamstwo, ale konieczne dla uratowania traktatu. Nikomu o tym nie mów.

Rozumiał to doskonale.

–W takim razie powiedziałaś Jej Miłości o baronach.

Cefwyn zaczerpnął głęboko powietrza.

–Kilka dni temu. Wcale nie przypuszczałem, że tak łatwo się zgodzi. Zaczyna z niej dusza, Tristenie. I uczciwa.

–Podziwiam ją, panie. Bardzo.

–Przystąpiła na to, by kapłan bryaltynów wpisał się na dokumentach małżeńskich jako jej kapłan. Przysięgnie on dalej nim być, to znaczy stać u boku mojej pani w czasie jej rządów w Elwynorze, co też uczyni pokornie pod karą śmierci. Będzie tam całkowicie jej podlegał, a ile mu ona władzę udostępni, od niej tylko zależy, nie ode mnie czy od Jego Świątobliwości. Nazywa się Benwyn, brak mu ambicji i jest uczonym, człowiekiem miłującym swój pulpit, zgoła nieszkodliwym. Jeszcze go nie spotkałeś. Ale możesz.

–Quinaltyni akceptują bryaltyńskich kapłanów? Myślałem, że nie chcą mieć z nimi nic wspólnego.

–Gardzą nimi jako półheretykarni. Ale bryałt to powszechnie uznawana wiara, co oczyszcza regentkę z zarzutów o herezję, czego teraz chce Jego Świątobliwość, ponieważ wie, że jeśli mi odmówi, ja nie popuszczę ani na jotę, choćbym miał zerwać z quinaltem. Mój dziadek rozpowszechnił quinalt, mój ojciec wyniósł go ponad terantynów i, na bogów, jeżeli mnie zdenerwują, udzielę z kolei terantynom wsparcia... Co nam nie grozi, widzę twoje chmurne czoło. Mów tylko, że moja pani jest zadeklarowaną wyznawczynią bryaltu i że ma kapłana, który zniknie ze sceny, kiedy tylko stanie na elwynimskiej ziemi. Ona ze swej strony, zgodnie z zawiklaną umową, przekroczy w czasie święta trzech groszy próg świątyni quinaltynow, słowem nie wspominając, czy jej panowanie łączy w sobie posługę kapłańską, czy też nie. Świątobliwy Ojciec musi udzielić nam ślubu. To sprawa pierwszorzędna. I w tym sęk. Potrzebuję dobrej woli quinaltynow, Tristenie, w przeciwnym razie zostaną

zmuszony zniszczyć ich potęgę, czego nie omieszkać uczynić. Ale czeka mnie wojna, dlatego wolałbym uzyskać poparcie Świętobliwego Ojca. Osiągnęliśmy już niemal porozumienie, na mocy, którego, w zamian za pewne korzyści, zostanie moim sojusznikiem. Gdybyś tylko mógł wołać, życzeniem czy jakimkolwiek małym, bardzo małym zaklęciem, które tobie w pojedynkę lub z Emuinem udałoby się rzucić... odegnać gołębice z przedsionka świątyni.

–Gołębice, panie?

–Wiem, wiem, że proszę o błahostkę. Ale dobry nastrój Świętobliwego Ojca leży mi na sercu, gdy tymczasem one brukają mu przedsionek i nasuwają myśli o czarach. Jawisz mu się wtedy w nader niekorzystnym świetle. Tu chodzi o jego godność. Możesz je powstrzymać?

Tristen słuchał, skonfundowany.

–Mogę spróbować, panie.

–Wiedziałem, że się zgodzisz. Znam twój dobry charakter. – Wyglądało na to, iż coś jeszcze doskwiera Cefwynowi. Tristen czekał w milczeniu, by król zwierzył mu się ze swej troski. – Tylko niech nikt nie widzi, jak parasz się magią. Choćby chodziło o gołębice. Nigdy.

–To nie jest rzecz, którą można zobaczyć, na co ja zresztą nie mam wpływu. Ale spróbuję.

–Gdybyś, chociaż mógł zachować pozory prawowierności, Tristenie. Gdybyś tak przegnał gołębice, a potem przekroczył próg świątyni, złożył ten datek, uznając tym samym zwierzchnictwo quinaltu...

–Podobnie jak Jej Miłość, o to chodzi? Mam skłamać?

Na twarzy Cefwyna malowało się zmieszanie.

–Tak – powiedział po chwili. – Dla zachowania pozorów trzeba się posłużyć niewinnym kłamstwem. Aby na oczach świadków dać odczuć temu wyniosłemu starcowi, że będzie szanowany teraz i w przyszłości. Czyżbym cię uraził?

–Nie, panie. Ty nigdy mnie nie urazisz.

–Dałem ci pieniądze. Lepiej już przekaż je za czyims pośrednictwem, skoro nie możesz przekroczyć progu świątyni bez, hm, jakiegoś incydentu. Ale widywałem cię już, gdy tam szedłeś. Wiem, że dasz sobie radę. A może... świece pogasną, myszy i nietoperze zlecą się ze wszystkich dziur czy coś w tym rodzaju?

–Wątpię, panie. Możesz być spokojny przynajmniej o myszy i nietoperze. I świece. Mogę tam wejść.

–Możesz też oddać pieniądze? Możesz wejść do środka, gdy już tam będzie pusto, i wrzucić monety do skrzynki? Nie proszę, byś wchodził rankiem z procesją i kapłanami. Pójdź tam po południu, weź z sobą tylko gwardzistów. I świadków. Przydałby się ktoś jeszcze. Ustalę, kto tam pójdzie z tobą.

–Świadkowie?

–Na wypadek, gdyby ktoś chciał ci zarzucić łgarstwo. Dwór świętuje z rana, podczas wspaniałej ceremonii. Będą śpiewy, fanfary i tak dalej...

–Jak wtedy, kiedy baronowie składali przysięgi?

–Też w tym uczestniczyłeś.

–Stałem w drzwiach i patrzyłem. Mogę pójść razem z dworem, jeśli to w czymś pomoże.

–Naprawdę, mógłbyś?

–Pójdę. – Odwiedził świątynię, lecz nie przebywał w niej długo. Pod koniec lata Cefwyn koronował się na polu bitwy. Innymi słowy, nie przyjął korony Ylesuinu z rąk Jego Świątobliwości. Patriarcha quinaltynów chciał, ażeby Cefwyn pozwolił się jeszcze raz koronować, tym razem w świątyni i przez patriarchę. Król jednak odmówił: podczas quinaltynskiej uroczystości odebrał tylko przysięgi na wierność od północnych baronów, tych, którzy nie przysięgali mu na południu. – Czy to uszczęśliwi patriarchę?

–Jeśli tak postąpisz, jeśli najzwyczajniej w świecie będziesz stał wśród dworu, jeśli uda nam się choć częściowo rozproszyc powszechne obawy, że nie tylko jego wybranka, ale i sam król wraz ze swym dworem umknie do bryaltynów lub co gorsza, że na całym południu, niczym zaraza, rozprzestrzeni się magia, cóż, na bogów, owszem, to go uszczęśliwi. Kiedy zjednamy sobie Świątobliwego Ojca, wówczas Murandys i Nelefrefssan, a na koniec nawet Ryssand muszą dać za wygraną. Lordowie łamią przykazania quinaltu niemal każdego dnia i dwukrotnie częściej w czasie świąt, lecz boją się pomówienia o herezję. Świątobliwy Ojciec ma swoje sposoby, quinalt patronuje przecież wszystkim traktatom, a zatem kiedy on wyrazi aprobatę, cała reszta wnet się uspokoi. – Cefwyn wciągnął w płuca wielki haust powietrza i zatopił w Tristenie przeciągłe, skupione spojrzenie. – Nie poznałem dotąd mniej wyrobionego łgarza od ciebie. Ale gdy tylko dowiesz się, jak to zwykle wygląda, i będziesz stać spokojnie, powstrzymując się od wszelkich czarów...

–Nie jestem czarodziejem, panie. Nie jestem.

–O tyle, o ile Emuin nie jest klerykiem. Jeśli ktoś zechce ci pokazać, co masz robić, gdzie stanąć lub, kiedy udawać modlitwę... posłuchaj go... Niech ludzie wiedzą, żeś nie powstał z żadnej czarodziejskiej substancji, że nie wybuchniesz żywym płomieniem ani nie okryjesz się krostami. Nie musisz przekonywać Świątobliwego Ojca. On wie, co to religijność podyktowana politycznymi względami. Szanuje ją, a w gruncie rzeczy nawet przedkłada nad zabobonną wiarę tych, których popiera. Oblaskawisz go następująco: złożysz datek, okażesz uszanowanie jego zwierzchności, pokłonisz mu się publicznie.

–Powinienem?

–Uczyń to dla mnie. I dla Jej Miłości.

–W takim razie chętnie. Mogę pójść do świątyni, spotkać się z patriarchą i złożyć mu przysięgę, jeżeli zechcesz.

–Nie, nie, nie. Coś ci powiem. Jego Świątobliwość jest kuzynem Sulriggana. Nigdy nie zostanie twoim przyjacielem. Wybij to sobie z głowy. Gdy spotkasz Jego Świątobliwość bądź innego kapłana przy jakiegokolwiek okazji, pozdrów go tylko grzecznym „Dzień dobry”.

Znowuż ten Sulriggan. Wielce kłopotliwy był ów lord Llymaryn, który nie przebywał tej zimy na dworze, po tym jak opuścił w niełasce Amefel. Nie został co prawda oskarżony o zdradę. Kiedy Cefwyn potrzebował dosłownie każdego człowieka, którego mógł zwerbować, Sulriggan nie raczył przybyć mu z pomocą, nie odniósł żadnych ran nad Lewenbrookiem, gdzie baronowie z południa dali dowody swego męstwa; Sulriggan przesiedział jesień w Llymarynie, okrywając się hańbą i wzbudzając gniew nawet w Efanorze. Co akurat nikomu zbytnio nie przeszkadzało.

Ale wiadomość, że król musi ubiegać się o względy Jego Świątobliwości patriarchy quinaltynow, będącego kuzynem Sulriggana, stanowiła straszną nowinę. Nikt mu wcześniej o tym nie powiedział. To w znacznym stopniu komplikowało sytuację.

–Mógłbym zostać bryaltynem jak Jej Miłość. Naprawdę, mógłbym. Mógłbym powiedzieć, że jestem quinaltynem. Skoro i tak mam skłamać, może powinienem od razu złożyć quinaltynska przysięgę?

Cefwyn zrobił minę, jakby usłyszał coś nieprzyjemnego i budzącego obawy. Idrys, wciąż czekający w drzwiach, spojrzął spode łba przy tych słowach.

–Równie dobrze można by wpuścić jastrzębia między gołębie. Cóż to byłby za widok!

–I ty to mówisz, mości k roku? – odparł Cefwyn tonem, jakim on i Idrys zwykle wymieniali kąśliwe uwagi. – Od dawna wpuszczam twoją czarną osobę między

nabożnych kapłanów i jakoś to znoszą.

–Ja nie jestem czarodziejem, nikt też nie twierdzi, że podobno kiedyś umarłem.

–Bodaj ci język odjęło! – Cefwyn spojrzał pochmurnie na komendanta.

–Podobno, powiedziałem, najjaśniejszy panie. „Podobno” zawiera oczywistą prawdę, której lord Althalen z pewnością nie podważy.

–Sam nie wiem, panie, czy umarłem.

–Na bogów. – Ręka Cefwyna spoczęła na plecach Tristena. – Mój zacny przyjacielu. Mój przyjacielu ze wszech miar niewinny. A mimo to jakże ostatnio bystry. Na bogów, choćby tylko przez piętnaście dni, pozory pobożności... Stawiennictwo. Zwykle stawiennictwo podczas ceremonii. Baronów opadłyby dręczące wątpliwości... Plotkarze poniechaliby Ninevrise...

–Najjaśniejszy panie – zaproponował Idrys.

–Przecież to zwykle pozory. Efanor nigdy nie przepuści okazji do religijnej dyskusji... Chętnie będzie godzinami wygłaszał kazania, jeśli Tristen zgodzi się słuchać. Przynajmniej zaznajomi go z formułkami i rytuałami. Byle tylko nie ukazały się jakieś widma, nie szerniały datki, nie skwaśniało wino...

–Nie, najjaśniejszy panie – obstawał Idrys. – Nie, nie i jeszcze raz nie.

–Patriarcha jest pragmatycznym i chytrym człowiekiem. Wie, co może zyskać i stracić. Drobny gest, żadne tam oszustwo. Po prostu wyraz należnego szacunku...

–Zbyt dużo jest do stracenia. Nie ufaj Jego Świątobliwości.

–Nie ma obawy. On mnie nigdy nie omami. Jednakże daje całkiem jasno do zrozumienia, że szczerze oddanie mojego brata jest dlań o wiele groźniejsze od hordy Emuinów i całego bractwa terantynów. Lub bryaltynów. Czy wiedziałeś, że mój ojciec zabiegał, by ogłoszono mnie bękartem? Jego Świątobliwość ostro się sprzeciwił. Jego Świątobliwość nie potrzebuje na wskroś religijnego człowieka. Nie potrzebuje mojego brata, kiedy więc zauważy, że Tristen ma na uwadze jedynie przejednanie quinaltynów, na bogów, stary lis zostanie mile polechtany...

–Pomimo to musi sprawiać odpowiednie wrażenie. Niemal każdy dogmat quinaltu zabrania goszczenia pod dachem świątyni sihijskiego lorda!

–Doprawdy, wrażenie. Jego Świątobliwość nie ośmieli się rozczarować Efanora, choć niechętnie widziałby go na tronie. Wie teraz, że nie może wyprowadzić mnie w pole, zastraszyć moich przyjaciół i nadal liczyć na przychody. Jest cholernie pewne,

że dla Sihhijczyka uczyni jakiś wyjątek w swej pobożności, który (przy okazji usprawiedliwienia swej aprobaty dla Tristena z Ynefel, któremu przecież nigdy nie udowodniono, że jest Sihhijczykiem) również usprawiedliwi mordy popełnione przez quinaltynow w Althalen i powody, dla jakich poparli oni mojego dziadka. Zadanie to może zabrać quinaltyńskim mędrcom miesiąc i wóz pergaminu. A więc tak, Tristenie, mój drogi przyjacielu, gdybyś tylko przemógł się i wysłuchał pobożnych wskazówek Efanora, gdybyś na tyle dobrze poznał rytuały, aby się w nich nie pogubić... Na bogów! Gdybyś jeszcze miał z sobą jakąś błahą relikwię, by udowodnić, że nie zamieni cię ona w popiół. Gdybyś odwiedził kaplicę, nie prowokując złych znaków... O bogowie, nawrócony Sihhijczyk! Cóż tedy pocznie Świątobliwy Ojciec?

–Trudno to sobie wyobrazić – rzekł Idrys oschle, wciąż sceptycznie, wobec czego i Tristen miał wątpliwości.

Cefwyn wydawał się pozbawiony rozterek.

–Nawrócony Sihhijczyk, darowizna, opactwo... To będzie niczym balsam na ranę, którą zadałem staremu lisowi, nie pozwalając mu się ponownie koronować. Na bogów, to aż nadto, by usprawiedliwić obecność Sihhijczyka wśród quinaltynow. Czymże się zda herezja całego Elwynoru, gdy Tristen zostanie przyjęty do grona prawowiernych? Może doczekamy czasów, kiedy Ylesuin i Elwynor połączy wspólna doktryna? Miesiąc lub dwa i kilka darowizn, tylko tyle musisz znieść, uczestnicząc wraz z dworem w ceremoniach, nie zaniedbując rytuałów...

–To wielce ryzykowne – wtrącił Idrys.

–Wchodząc i wychodząc razem z szeregiem dworzan, chyląc głowę wraz z innymi, pod opieką dobrze znanej, kłopotliwej bigoterii mojego brata... Nawrócony przez Efanora. Mój brat też jest Marhanenem. Szybko pojmie, co jest stawką w grze. Mimo jego religijności wyjawię mu bez ogródek, że to polityczna rozgrywka; nadal będzie się starał uratować duszę Tristena, nikt go od tego nie odwiedzie, lecz przejrzy całą sprawę na wylot, zrozumie przyczyny i za punkt honoru weźmie sobie obronę Tristena. Pod opiekuńczymi skrzydłami Efanora nie dosięgną go łapy Murandysa. A na wiosnę, kiedy ruszymy z wojskiem do Elwynoru, Tristen zniknie z oczu quinaltynom na całe lato. Łaskawi bogowie, gdy przyjdzie jesień, pójdzie w ślady większości nawróconych: w uroczystościach będzie uczestniczył jedynie w czasie świąt i pogrzebów. Błogosławieństwo pozostanie błogosławieństwem, byle pospółstwu zamknąć usta i byle nie zagrozić planom Jego Świątobliwości. Uchylamy furtkę, przez którą przejdą zaprzężone woły. To gest oczekiwany przez Jego Świątobliwość. Musimy sprawić, by poparł sihhijskiego półkróla... Nigdy nie sugerujcie, że Tristen jest kimś więcej. Półkról to dość dwuznaczne określenie, w sam raz dla negocjacji. Gdy już sihhijski półkról zostanie uznany, quinaltyni będą musieli zaakceptować cały cholerny dwór Elwynoru.

Gdy przyjdzie jesień. A przecież niedawno Tristena gnębiła myśl o lecie, żadne perspektywy na przyszłość nie obejmowały tak odległego okresu. Zagmatwana i niepewna koncepcja Cefwyna służyła królowi, chroniła Ninevrise, a jego doprowadzała do wiosny i przenosiła poza niewyobrażalne lato, do samej jesieni; dzięki niej mógł być użytecznym, dążyć do jakiegoś celu, mieć zadanie do spełnienia. Wyobraźnia zaczęła wypełniać szarą przestrzeń wizją przyszłych dni.

–Miłościwy panie – rzekł Idrys. – Trzeba się nad tym jeszcze zastanowić.

–A czy ty masz zastrzeżenia? – zapytał Cefwyn, patrząc na Tristena. Znać było, że król wolałby żadnych nie usłyszeć, aczkolwiek wątpliwości Idrysa były uzasadnione.

–W świątyni mieszkają Cienie – odparł Tristen. – Miej to na uwadze, panie.

–Nie wątpię – stwierdził Cefwyn, lekko się uśmiechając. – Bogowie świadkami, krypta mojego dziadka jest dla nich dużą pokusą: dziadek panicznie bał się ciemności. Na mą duszę, wytwórcom świec nigdy nie powodziło się lepiej jak za jego panowania. – Poklepał Tristena po ramieniu. – Ale czy ty wiesz, co my zamierzamy? Mój dzielny przyjacielu, jeśli ci się uda... jeśli nie przerazisz kapłana (niech bogowie strzegą patriarchę przed spotkaniem z tym, co widzieliśmy na Równinie Leweńskiej), wówczas zdołamy pomieścić Jej Miłość wraz z całym królestwem Elwynoru w wyjątku opracowanym dla ciebie, strażnika Ynefel, podniesionego do godności uznawanej prawnie przez lordów Ylesuinu. Wszyscy muszą zważać na obecnego lorda strażnika, traktować cię jak uprawnionego do posługiwania się tym tytułem namiestnika Ynefel, zwolnionego od wymogów wiążących pozostałych lordów. Mamy precedens, święci bogowie, mamy precedens w osobie Mauryła Gestauriena; co raz zrobiono, można powtórzyć, a nasza ofiara pieniężna, o ile nam się powiedzie, stworzy mały wyjątek, w oparciu, o który rozstrzygniemy wreszcie doktrynalne kwestie quinaltynów i ustalimy status półkrólów, guślarzy, bryaltynów, duchów, cieni, zjaw, chochlików i bogowie wiedzą, czego jeszcze! Wielcy bogowie, mamy precedens!

–Zasięgnij opinii Emuina – zaproponował Idrys. – Najjaśniejszy panie, błagam, byś się go poradził, zanim podejmiesz jakiegokolwiek kroki względem Jego Świątobliwości.

–A więc zapytaj Emuina, abyś czuł się zadowolony, ale jeśli nie znajdzie żadnego wyraźnego przeciwwskazania, a Tristen ścierpi towarzystwo ducha mojego dziadka... Przenajświętsi bogowie, byłoby mi wielce na rękę, gdybyś zechciał dołączyć do królewskiej procesji.

–Tak zrobię, panie – odpowiedział Tristen, na co Cefwyn rzucił pomysł, by dla przypieczętowania zawartego porozumienia wychylili po ostatnim kielichu wina.

–Usiądź przy mnie na chwilę – poprosił Cefwyn. Idrys odszedł, by omówić pewną

sprawę ze swoim porucznikiem, bynajmniej nieuradowany, siedzieli, więc sami pod wysokimi oknami sali, w gąszczu ogromnych pomieszczeń, wśród których kursowali zdyszani służący. Już dawno ciemność nocy wypełniła strzeliste okno nad stolikiem, blask świec pełgał po nierównościach szkła niby po wypukłych zdobieniach złotych pucharów, które stały się ostatnio insygniami gospodarstwa Cefwyna.

–Okazywałeś wielką cierpliwość, gdym cię zaniedbywał – powiedział Cefwyn – a wiem, że trudno ci było w Guelessarze. Trudno też było Jej Miłości, która nie posiada żadnej prawowitej rangi ani tytułu; bogowie wiedzą, jak Elwynimi widzą jej pozycję na naszym dworze. Tak czy inaczej, musiałem pozostawić na pewien czas moich przyjaciół, by sami się o siebie troszczyli. Nasze zadanie jest szczególnie ważne, gdyż muszę okazać, że jestem dość silny, by wszcząć wojnę. Nie mogę przepuścić okazji. Za rzeką rebelianci z każdym dniem wzmacniają swoje siły. Jeżeli Tasmorden jeszcze przed nadejściem zimy ruszy, by zająć mosty albo zdobyć stolicę, będzie miał czas do wiosny na umocnienie zajętych przez siebie pozycji. On zyska stronników, natomiast utraci ich Jej Miłość, ponieważ z chwilą, gdy Tasmorden postawi stopę w lleffnianie, zostaną zamordowani. Ale nigdy nie musiałem tłumaczyć ci prawideł wojny.

Uwen i gwardziści mówili, że Ylesuin nie rozpocznie wojny zimą. Tristen jednak wolałby, żeby tak się stało... Nie myślał przy tym o wojnie zaczepnej, jaką co poniektórzy proponowali. Tristen wiedział, kim jest i gdzie znajduje się Tasmorden: najsilniejszy spośród zbuntowanych pretendentów do przejęcia regencyjnego tronu w Elwynorze założył obóz przy gościńcu prowadzącym zarówno do Guelessaru, jak i do elwynimskiej stolicy w lleffnianie. Tym sposobem Tasmorden był w stanie ruszyć w każdym z dwóch kierunków, i to szybko. Cefwyn żywił nadzieję, że przebywający w stolicy lord Elfharyn, lojalny stronnik Ninevrise, utrzyma do wiosny miasto w jej imieniu... i rozproszy uwagę Tasmordena. Jeżeli jednak Tasmorden spostrzeże, że mosty są tylko z pozoru bronione, jeśli Uefinian rychło ulegnie, a wódz buntowników umocni się za murami miasta, zanim spadną śniegi, cóż... sytuacja bardzo się zawikła, wielu poddanych Ninevrise dozna cierpień, wielu zapłaci życiem.

–Powinniśmy mieć obozy za rzeką – oświadczył Tristen. – I już teraz przeprowić się za mosty. Silna groźba z naszej strony odwiedzie buntowników od zdobywania lleffnianu.

–Gdyby tylko Brysaulin zdobył dla mnie wozy. Mam co prawda kilka, ale ile mogę się spodziewać? Jeno bogowie wiedzą. Mój kanclerz, zamiast wozów, zliczał stogi siana.

Wozy. Zawsze brano pod uwagę tylko wymarsz wielkimi siłami, lekceważąc możliwości uderzeniowe lekkiej jazdy, którą Tristen chętniej widziałby w starciu z ruchliwymi oddziałami wroga. Zaraz po przyjeździe do Guelessaru wierzył, że ruszą od razu, nie tracąc czasu na śluby, przysięgi, mobilizacje i obiekcje wysuwane przez

baronów z północy. Gdy usłyszał, że Tasmorden podważył legalność władzy Ninevrise, spodziewał się natychmiastowego przekroczenia rzeki mostami w Amefel, marszu lekkiej konnicy na stolicę, gdzie Elfharyn przekazałby rządy w mieście Ninevrise, ledwie zakłócałyby do bram. Dopiero później sprowadzone z Guelessaru ciężkozbrojne wojska zaczęłyby zaprowadzać porządek na zajętych ziemiach. Ale nie, Cefwyn musiał najpierw odebrać przysięgi od baronów. Potem, gdy nastąpiła pełnia jesieni, nikt nie śmiał rozpocząć kampanii skazanej przez deszcz na niepowodzenie. Tristen spochmurniał po słowach Cefwyna, które jednak potwierdziły tylko jego wcześniejsze przypuszczenia; ujrzał w wyobraźni mapę, a na niej umiejscowienie amefińskich mostów, naprawionych latem. Oraz tych położonych bardziej na północ, łączących Murandys z Elwynorem, załatanych tejże jesieni.

–Możemy jeszcze wyruszyć. Przeprowadzić natarcie z Amefel, natychmiast. Oddziałami Cevulirna. Odebrałeś już przysięgi. Północ nie jest jeszcze gotowa, lecz południe niezwłocznie wymaszeruje, a oddziały z północy dołączą w późniejszym terminie. Tasmorden nie zdobędzie Iffnianu.

–Wyruszymy zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Baronowie z północy i wschodu muszą przyjechać...

–Nie.

–Nie? – Na twarzy Cefwyna pojawił się grymas zdziwienia. Tristen uzmysłowił sobie, że w ostatnich czasach nikt się Cefwynowi nie sprzeciwia.

–Nie, panie – powtórzył zdecydowanie, zwiększając wagę ewentualnego przewinienia, choć powodowały nim przyjaźń i fakt, że od miesiąca nie dano mu okazji do wygłoszenia poglądów. – Niech Ivanor uderzy z południa, z Amefel. To uratuje leżący przy samej granicy Iffnian. Tasmorden będzie wiedział, że na jego tyły może uderzyć wojsko z Amefel, więc popędzi co tchu do stolicy, by nas ubiec w jej zajęciu. Nasza lekka konnica przybędzie tam jednak szybciej ze wschodu. Jeśli wróg obiegnie miasto, znajdzie się pomiędzy dwiema, a nawet trzema armiami, gdy z południowego zachodu nadejdą żołnierze z Lanfarnesse, a z północy nadciągnie ciężka jazda.

Sadził, że Cefwyn wyrazi zgodę. Wyraz zdecydowania i entuzjazmu zagościł na obliczu króla. Niemniej pokazały się także ślady trosk i wątpliwości.

–Nie możemy.

–Ale gdyby gueleńska kawaleria i ivanimskie wojska uderzyły z szybkiego marszu, jeszcze przed śniegiem, czy północ miałaby coś przeciwko wygraniu wojny, panie?

–Nie wolno z południa wyprowadzać natarcia za rzekę.

–Ależ to ma sens...

–Południe jest skażone czarną magią, nie rozumiesz tego?

–Już nie, odkąd nad Lewenbrookiem...

–W umysłach Gueleńczyków, owszem, skażone jest czarną magią. W gueleńskich wyobrażeniach Amefel zaludniają roje heretyków. Jej Miłość musi zwyciężyć, opierając się na wschodzie. We wschodnim Elwynorze żyją ludzie blisko spokrewnieni z mieszkańcami Guelessaru i Murandysu, a nawet dalecy krewniacy Ryssandów. Wiem, wiem, że tobie wydaje się to proste, masz silne argumenty. Gdyby w grę wchodziło czysto żołnierskie myślenie, przyznałbym ci całkowitą rację. Zostałyby oszczędzone ludzkie istnienia. Mam na myśli najlepszych doradców Jej Miłości. W tej sprawie nie liczy się wszakże wojskowe podejście do zagadnienia; nigdy się nie liczyło. To jest królewskie podejście, na dodatek król rządzi od niedawna. Jestem zmuszony wszcząć tę wojnę z północy i wschodu z tych samych przyczyn, dla których proszę Efanora, by uczynił prawym quinaltynem najmniej do tego celu nadającego się człowieka w królestwie. Tu rzecz dotyczy zachowania pozorów, Tristenie. Z wielu ważnych powodów północ musi odnieść podczas tej wojny wiele zwycięstw. Wówczas to im przypisze się końcowy triumf, nie południu, a ponieważ będzie to sukces północy, na nich spłynie chwała, ratyfikują więc układy, jakie my spisujemy, i pomogą mi po długiej wojnie zaprowadzić pokój. Nie, tu nie chodzi o żołnierskie myślenie. Ale tylko taką drogą zdołamy ostatecznie doprowadzić do trwałego pokoju.

Nie, jeśli Ilefian wcześniej padnie, pomyślał Tristen, widząc oczyma duszy, nie mniej wyraźnie niż w snach, obwarowany murami gród o wielu wieżach. Przez krótką chwilę śnił o tym mieście we wrogich rękach, widział przeciągającą się wojnę, w czasie, której Gueleńczycy nie odnoszą wcale łatwych zwycięstw. Ujrzał potoki krwi – jednocześnie wiedział, że przejednanie północnych baronów potrwa do lata, kiedy groźba się zwielokrotni.

–Czy Jej Miłość zgadza się z tym planem? – zapytał.

Cefwyn zachmurzył się.-

–Nie. Nie chce się zgodzić. Ale fakty mówią same za siebie: nie wolno nam sprawiać wrażenia, że popieramy skażone południe. Gra idzie o los i wolność Elwynoru, o traktat. To nie będzie jakaś wielka wojna, to będzie wojna na małą skalę, a my musimy podjąć ryzyko wywyższenia północy.

Tristen ze zgrozą słuchał tych słów. Skażone południe? A co z Cevulirnem, Sovragiem i Pelumerem, co z przykładowym i bogobojnym Umanonem, którzy walczyli z nimi nad Lewenbrookiem? Skażone południe? Słowa Cefwyna stały w sprzeczności

z innymi opiniami na ten temat, co do tego miał pewność. Ale wojna na małą skalę? I tak zginą ludzie, a im dłuższa wyniknie zwłoka, tym więcej ich zginie.

–To tak, jak ze żniwnym groszem – mówił dalej Cefwyn – i jak z naszym układem z quinaltynami. Liczą się pozory. Wybacz mi, ale muszę objąć dowództwo nad północnymi baronami i poprowadzić ich do boju. Znow przez wzgląd na pozory nie wyznaczyłem od czasu Aswyddów lorda Amefel, toteż prowincja nie ma swojego namiestnika. Nie wyniosę do władzy żadnego z amefińskich earłów na tej granicy, nie chcę bowiem, by całe południe, razem z amefińskim diukiem, bawiło się w kotka i myszkę, forsując swoje poglądy lub prowadząc armie na przedwczesną bitwę. Mam tam wicekróla i niech tak już zostanie. Za nic w świecie nie przyjmę pomocy od południa.

–A mimo to zatrzymałeś na dworze Cevulirna. Czyż i on nie jest skażonym południowcem?

–Nigdy! Nigdy w moim sercu. Jemu ufam. Naprawdę mu ufam. On zna zasady gry. Wie, z czym przyjdzie mi się borykać. To samo Idrys. Widzę, że i ty w lot pojmujesz. Nie zawsze możemy robić to, co przystoi żołnierzowi. Trzeba uwzględniać także politykę. A wymogi polityki nakazują umożliwienie baronom północy odniesienia zwycięstwa oraz poprowadzenie oddziałów takimi szlakami, które nie wzbudzą podejrzeń prowadzonych przez Gueleńczyków. Niech mi bogowie w tym dopomogą.

Tristena nadal nurtowały pytania.

–Nie ufasz Pelumerowi? Ani Olmernowi?

–Pelumer nie wiąże się z żadną sprawą. Olmern jest... zbyt nieokrzesany.

Istotnie, Sovrag dostąpił godności lorda niedawno i czułby się niezręcznie na gueleńskim dworze. Przebywając tu zaledwie kilka dni, doprowadził niemal do pojedynku, tyle, że król zabronił się pojedynkować. Stary diuk Pelumer z Lanfarnesse broniłby przede wszystkim własnych ludzi, mógł jednak stanowić duże wsparcie dla Cefwyna, znacznie silniejsze od Murandysa.

–Nie, nie – ciągnął król. – Uwierz mi na słowo. Dość na tym, że zaprzysiągłem południe, zanim odebrałem przysięgę od północy. Dość na tym, że zanim się północ zorientowała, co w trawie piszczy, powróciłem z wiadomością o już uzgodnionym i nieodwołalnym ślubie. Na koniec zdradzę ci pewien sekret, o którym wie tylko Idrys... Zaraz po zaślubinach, ledwie quinaltyni zatwierdzą dokumenty, rzeczywiście podejmiemy ku rzece i założymy obozy wojskowe. I to nie tylko po tej stronie, co sugerowałeś. Nim śniegi zawieją drogi, zagrozimy pozycjom Tasmórdena.

–Wejdziemy też do Amefel?

–Nie, tam nie. Jeśli spadnie śnieg, pochowamy ludzi pod płótnami namiotów, by pilnowali wschodnich mostów, dzięki czemu odciągniemy Tasmórdena i innych konspiratorów od lleffnianu.

Ściągniecie ich tam niechybnie, pomyślał Tristen ze smutkiem. Zepchniecie ich na południe. Skoro nie dopuścicie ich do mostów, z pewnością ruszą na lleffnian. A tam kto ich powstrzyma?

–To niewdzięczne zadanie – mówił tymczasem Cefwyn. – Ciężka próba dla ludzi. Jeśli jednak sprawimy, że wschodnie prowincje Elwynoru powitają na wiosnę Jej Miłość i powstaną przeciwko Tasmórdenowi, będzie mogła przemierzyć wschodnie ziemie w triumfalnym pochodzie. Wówczas dopiero przekroczymy rzekę dalej na południu, by natrzeć z dwóch kierunków na lleffnian. Załoga miasta szybko złoży broń.

–Kiedy armia ruszy nad rzekę, ja mogę udać się w stronę amcfińskich brzegów – powiedział Tristen. Perspektywa spędzenia zimy pod namiotem nie wydawała mu się tak odpychająca, jak zimowa bezczynność w Guelemarze, przerywana udzielanymi przez patriarchę lekcjami. Tęsknił za jakimś zajęciem, chciał wypełnić treścią swe istnienie, chociaż przed jego oczyma przesuwiała się na wpół zatarta wizja „następnej jesieni”, zwodząc ulotną obietnicą. W powietrze wlatywało krocie mylnych decyzji, z których każda, dojrawszy, mogła przyprawić króla o zgubę. Cefwyn powiedział, że Tristen musi tu zostać, uczyć się religii, udawać quinaltyna... Ale skoro armia rzeczywiście miała wyruszyć, i on zaraz po ślubie powinien być gotów do wyjazdu. Próżność północnych baronów i ich wzajemne waśnie nie pozwoliły im dotychczas wysłać wojsk w pole; woleli zatrzymać je w domu, jakby chcieli doprowadzić do większego rozlewu zarówno elwynimskiej, jak i gueleńskiej krwi. Na ogół Tristen bał się tyczyć sobie czegokolwiek, niemniej tym razem zapragnął, by Cevulirn jechał na czele, a Murandys pogrążył się w mroku. – O wiele milej spędzałbym czas w namiocie niż w quinaltyńskiej świątyni, panie. Jeśli to tylko możliwe, niczego bardziej nie pragnę.

–Nie – uciał łagodnym tonem Cefwyn. – Nie, mój zacny przyjacielu. Jeszcze nie czas. Zapewniam cię, że nie potrzeba nam nad rzeką żadnych czarodziejskich sztuczek, nie na tym etapie. Potrzeba nam natomiast twojego pojednania z quinaltynami. Zawrzyj rozejm ze Świątobliwym Ojcem.

–A kiedy już to zrobię, mógłbym pojechać do Amefel. Jeszcze tej zimy przeprawię się przez rzekę na czele małego oddziału, by dostać się do lleffnianu. Patriarchę ucieszy mój wyjazd. Tylko pozwól mi ruszyć. Daj mi szwadron, a przestanę ci zawadzać. – Plany na przyszłość jawiły mu się wyraźnie. Rozwiała się szara przestrzeń, odsłaniając wizję, która przyspieszała bicie serca.

–Nie, nie, nie. – Ręka Cefwyna opadła na spoczywający na blacie stołu nadgarstek

Tristena. – Nie możesz mieć nic wspólnego ze zdobyciem stolicy, rozumiesz? Ninevrise odzyska tron bez udziału czarów. Wiesz, co by powiedziano, gdybyś przejął sprawy w swoje ręce?

–Nie jestem czarodziejem.

–Nie – przyznał Cefwyn, chwytając mocno dłoń Tristena. – Nie, mój dzielny, zacny przyjacielu. Wszelako nie jesteś także lordem Murandysem, a to właśnie gueleński diuk Murandyśu i Ryssandowie muszą wywalczyć tron dla Ninevrise. Potem poświadczą jej prawa i ustanowią pokój z królestwem Elwynoru.

Ku swemu utrapieniu Tristen spostrzegł, że quinalt jest przyczyną ciągłej bojaźni Cefwyna. Dochodził do przekonania, że tłumi ona zdrowy rozsądek w całym Guelessarze. Nie bez winy byli także wszyscy ludzie pokroju Sulriggana, z którego knowaniami zetknął się w Amefel. Świątobliwy Ojciec, Sulriggan, Prichwarrin z Murandysem, Corswyndam z Ryssandu – żaden z nich nie był jego przyjacielem ani nie będzie przyjacielem króla. W tym przejawiała się najgorsza zbrodnia quinaltu: naumacnianiu wpływów Sulriggana i jemu podobnych, patriarcha chciał bowiem rozporządzać siłą potrzebną przy negocjacjach z Cefwynem, będącym w przeciwnym wypadku poza zasięgiem zakonników. Przez dwa miesiące celem ataków był ślub. Teraz Cefwyn prosił go, by chronił Ninevrise i dopóki małżeństwo nie dojdzie do skutku, skupiał na sobie uwagę quinaltynów. Wojskowe myślenie pozwalało zrozumieć ów unik.

Rodziło się pytanie, czy quinaltyni po zaślubinach zmienią swoje stanowisko. Czy gdy im się Cefwyn przypochlebi, obdarzą go przyjaźnią? Wątpił.

Sytuacja jego i Cefwyna znacznie się pogmatwała, przynajmniej jednak, co napawało go radością, dziś wieczór odbył z królem tajną naradę, co po raz pierwszy od kilku tygodni obudziło w nim nadzieję spójną z nadziejami Cefwyna. Niech tylko dojdzie do ślubu, niech tylko powstanie ugoda z quinaltynami – mówił król. Tristen myślał teraz identycznie. Niech tylko dojdzie do ślubu, a potem będzie dysponował ludźmi i bronią, zdolny zapewnić bezpieczeństwo królestwu Cefwyna.

Naonczas zapanuje pokój i porządek, wszyscy przyjaciele Cefwyna spędzą razem jeszcze tysiąc wieczorów. Czy wolno mu było łudzić się podobną nadzieją? Przecież zmądrzał i przywykł patrzeć na świat z nieufnością.

–Jutro wyślę do ciebie Efanora – powiedział Cefwyn.

–Będę go oczekiwał.

–Udał się wieczór? – zapytał Uwen w drodze powrotnej. Sługa był lekko zawiany. – Wszystko poszło, jakieś oczekiwał?

–Udał się nadzwyczajnie, dziękuję. Jutro przyjdzie Efanor, żeby uczyć mnie quinaltynskich zwyczajów.

Uwen zakasłał, choć Tristenowi nie wyglądało to wcale na kaszel.

–To dla dobra Cefwyna – ciągnął. – Tak, jak Wys. Zupełnie tak samo, jak Wys. Aby zadowolić quinaltynów oraz lordów z północy. – Sądził, że Uwenowi wystarczą te słowa.

–Cóż, zwykle, hm, co pewien czas kłonisz jeno głowę i robisz to, co inni. Nie widzę w tym nic trudnego.

–Cefwyn przekazał mi mieszek monet, mam je oddać na dach.

–Aha.

–To jeszcze dwa dni. Cały dwór tam pójdzie, a ja z nimi. Musisz mi powiedzieć, co mam robić.

–Ano, w kwestii zrozumienia zasad, spokojna głowa, chłopcze. – Tylko Uwen mógł się tak doń zwracać, zazwyczaj dopiero wtedy, gdy, jak teraz, nie słyszał ich Lusin ani pozostali. Uwen przestał się niepokoić jego wizytą w świątyni, kiedy wyszło na jaw, że chodzi o pieniądze datek. – Powtarzaj słowo w słowo, co będą prawić lordowie, każdy ich ruch naśladowuj. Proste to i łatwe. – Zmarszczył czoło. – Ino czy Cienie skądś nie powyłażą, hę? Zjawy jakoweś podejrzane?

–Nie. – Cefwyn też o to pytał. – Nie. – Martwił się tymi odwiedzinami u quinaltynów, aczkolwiek Cefwyn swoimi radami zdołał go uchronić od pogubienia się w zwyczajach dworu, a teraz, co dodawało otuchy, przydzielił mu również do opieki Efanora. Skoro Idrys porozmawia z mistrzem Emuinem, a żaden z nich nie wyrazi sprzeciwu, bez lęku stawi się na spotkanie z Efanorem. Książę był nudny, wszakże gruntownie wykształcony, inteligentny, życzliwy, a Tristena rzeczywiście, w dużo większym stopniu niż w Amefel, intrygowali bogowie i dziwne zjawiska, jakie rzekomo dostrzegali quinaltyni. Kapłani nie chcieli stosować określenia „magia”, może i słusznie. Gdyby istniały duchy na tyle potężne, by nawiedzać regularnie świątynię, powinien zauważyć je w szarej przestrzeni. Nadto gdyby bogowie często nawiedzali świątynię, a nie tylko wзирали z rozwieszonych po ścianach obrazów, Emuin chyba nie omieszkałby go przestrzec, by się tam nie zapuszczał.

Zabronił mu jednak sięgania do szarej przestrzeni w czasie pobytu w Guelemarze.

Wydawało się, że Emuin lekceważy kapłanów... chociaż sam był jednym z nich. Tristen nigdy nie widział Emuina przy modlitwie, nigdy też nie słyszał, żeby coś błogosławił, jak to miał w zwyczaju Efanor. Cała ta kwestia była wielce zagadkowa, a idea istnienia bogów fascynująca. Chętnie poprosiłby Efanora, ażeby pokazał mu

jednego z bogów lub wytłumaczył, jak można ich znaleźć.

A może bogowie byli płochliwymi duchami, które unikały tłumów? Tak się właśnie zachowywały niektóre Cienie. A nuż kapłani spotykali bogów zawsze w samotności, przy pogaszonych światłach?

Możliwe, że bogowie stanowili pewną odmianę Cieni. W takim przypadku nic dziwnego, iż patrząc na świątynię quinaltynow, odczuwał niepokój. Sami kapłani także budzili jego ciekawość. Chciał się dowiedzieć, czemu tolerują Cienie, co mogło przynieść oplakane skutki, i jednocześnie czują bezpodstawny strach przed czarodziejami.

Wrócił Idrys. Nie odszedł daleko.

–I cóż? – zapytał Cefwyn, kiedy znaleźli się sam na sam w prywatnej, otoczonej strażami sali. – Mówże wreszcie, kuku!

–Ja?

Król przyjrzał się twarzy, której prawie nigdy nie wykrzywił żaden grymas. Tym razem jedynie nastroszyły się brwi, cień wesołości zniknął bowiem w trakcie rozmowy z Tristenem. Król przyniósł z sobą wino. Wychylił kielich.

–Ty, kuku. Ty zawsze wiesz, myślisz, sądzisz i przypuszczasz. Cóż takiego? Z jakiej przyczyny? Czy kwestionujesz moje zdanie?

–Nie ja, panie. O nie, nie ja.

–Dalej, mówże! Ociekasz wręcz dezaprobatą.

–Nie lękam się procesji myszy ani demonów w świątyni, kiedy on do niej zawita. Spodziewam się sprzeciwów. Aby skupić na lordzie Ynefel całe niezadowolenie baronów, trzeba wprzód zlekceważyć fakt, że posiadają broń. I że on ją posiada.

Cefwyn odstawił z hałasem kielich i podniósł dzbanek. Ustawił obok drugi kielich, napełnił oba pucharki i wręczył jeden Idrysowi.

–Zejdź na chwilę z wachty, kuku, i zrzuć wreszcie balast. Nie uszło mej uwagi, jak się chmurzyłeś przy kolacji. Niech cię zaraza! Czyż nie bywasz nigdy radosny?

–Ostatnimi czasy rzadko.

–Cóż takiego mi grozi?

–Ten cudak jest spełnieniem proroctw, najjaśniejszy panie, chyba nie zaprzeczysz. My to wiemy i Jej Miłość to wie. Elwynimi wypatrują obiecanego im króla, a ty

udajesz, że nic ci nie grozi.

–Rada Tristena jest ze wszech miar słuszna, o czym sam dobrze wiesz. Niech lichy porwie północnych baronów! Przez tych cherlawych głupców zginą ludzie mojej pani. Klnę się na Pięciu, że jeśli na murandyskim brzegu wylądują elwynimskie łodzie inwazyjne, wyślę wojska na odsiecz Prichwarrinowi, ale okrężną drogą przez Ivanor. Lord Maudyn śle mi naglące listy. Przekleństwo! Ludzie zginą tylko dlatego, że lord Prichwarrin obstaje przy zwłoce, a lord Brysaulin mylnie odsyła raporty.

–Nie wiem, czy to była pomyłka.

–Uważasz, że nie była?

–Czyż mogę oskarżać lorda kanclerza, nie wiedząc, z jakiej przyczyny miałby wysyłać raporty Prichwarrinowi? Tak nie uchodzi w polityce. A stałem się z konieczności człowiekiem polityki, gdyż inaczej z pewnością bym cię obrażał.

–Polityki. – Cefwyn pociągnął łyk, lecz nie poczuł smaku. Odstawił naczynie, tym razem delikatnie. – Do licha z nim!

–Do licha z Prichwarrinem? Czy też z lordem kanclerzem? A może z Maurylem Gestaurienem?

–Nie mieszaj w to Tristena. On nie jest człowiekiem polityki.

–Bo jest Sihhijczykiem. Jest spadkobiercą Mauryla i, bez cienia wątpliwości, pożegnalnym prezentem dla domu Marhanenów i domu Syrillasów...

–Wszystko to już omawialiśmy.

–Ośmielam się przypomnieć, że otrzymałeś moją radę, ale ty wolisz dać pierwszeństwo słowom mości szarej szaty. I cóż teraz poczniesz, miłościwy panie?

„Zdobądź jego miłość – powiedział Emuin odnośnie do groźby, jaką przedstawiał sobą Tristen. – Zdobądź jego miłość”.

–Czyżbyśmy się bali? – zapytał Idrys. – Czyżbyśmy żalowali niektórych postanowień?

–Nie, nic z tego! – Król spiorunował Idrysa spojrzeniem. – Raz przecież Mauryl uchronił nas od zguby. Nawet dwa razy. Tristen należy do moich przyjaciół.

–Mauryl Gestaurien, Mauryl z Ynefel, Mauryl Zguba Królów, Mauryl Twórca Królów...

–Kruku, cóż ci chodzi po głowie?

–Ciekawym, co chodzi po głowie mojemu panu. Odzyskasz dla Jej Miłości utracony tron. A co potem? Dwa razy na tydzień łodzie mają przepływać nurt Lenuaimu, by dowieść królowi jego wybrankę, by dowieść wybrance króla...

Idrys dotarł niebezpiecznie blisko sedna. Cefwyn zajrzał w mroczne zakamarki swego umysłu, by skierować myśli na odmienne tory, lecz porwała go chęć poznania, jak wiele informacji zebrał ów stojący najbliżej niego człowiek.

–Mów dalej.

–Ponieważ ona nie zasiądzie na tronie? – zaryzykował Idris. – Ponieważ przy tobie znajduje się wyczekiwany przez Elwynimów król, który złożył ci uroczystą przysięgę wierności?

W rękach Idrisa każdy przedmiot uzyskiwał mętne lśnienie – lśnienie szarej stali, lśnienie naoliwionego metalu, noży, mieczy i ostrych jak brzytwa sztyletów. Nawet przyjaźń mógł określić elementarnymi pojęciami tnącego żelaza.

–Wiążąca nas przysięga mówi o wierności, nie o poddaństwie. Darowałem mu wolność. Nie był wtenczas niczego świadom, więc darowałem mu wolność!

–A teraz do rzeczy, miłościwy panie. Czyż dalej żyje w nieświadomości? Czego nie zdołał jeszcze odgadnąć? Skoro już dyskutujemy o powikłanych przyrzeczeniach Jej Miłości, o obietnicach i modlitwach... Na co przysięgał lord Tristen i co go obliguje?

–Choćby więzy przyjaźni! – odparł król porywczo, dotknięty. Ciągłe słyszał radę Ennuina: „Zdobądź jego miłość, zdobądź jego miłość”. Nic, czym władał król, nie mogło poskromić Tristena.

To, czym władali czarodzieje... być może. Emuinjdnak nie dał rady. Idris z szyderczym spojrzeniem uniósł kielich.

–Musisz wybaczyć północnym baronom konsternację: jesteś królem Ylesuinu, a mimo to nie zgadzasz się, by tron Elwynoru pozostał tronem regencyjnym? A jeśli nie regencyjnym, to na jakiego króla czeka? A jeśli nie na gueleńskiego, cóż wtedy zostaje, pytam? Czy Wasza Królewska Mość wyjaśnił ten problem Jej Miłości?

–Wstępujesz na grunt, gdzie cię nikt nie zapraszał.

–Ale on jest twoim przyjacielem, więc wszystko da się rozwiązać.

–Owszem, da się i zostanie rozwiązane.

–Baronowie Ylesuinu nie uznają w nim wodza. To doprowadzi do rozłamów. A czy elwynimskie pospólstwo opowie się przy Ninevrise? Częściowo tak, częściowo nie.

Zdołasz ustrzec gueleńskich żołnierzy przed prowokacjami? Dojdzie do krwawych walk, najjaśniejszy panie. Obstajesz ze ślepą determinacją przy północnych baronach, ale nie miej złudzeń, rozpoczną się krwawe jatki, kiedy Gueleńscy przemaszerują po mostach na północy. Szlachetna wojna to czysty wymysł. Tak, Tristen ma rację: wejdź od południa, gdzie znajdziesz pewnych sprzymierzeńców i dobijesz odpowiednich targów. Lepiej też, żeby twoi elwynimscy sojusznicy paradowali przed południowym wojskiem niż przed północnym.

Nie po raz pierwszy toczyli spór w tej kwestii. Cefwyn nadal wyznawał pogląd, że należy przekonać do wojny Murandysa i Ryssanda, a nie dzielić królestwo na dwie zwaśnione części... Być może było to nie do uniknięcia, lecz wszystkimi siłami pragnął temu zapobiec, widząc oczyma duszy dzień zawarcia przymierza z Elwynorem.

–A jeśli północ stawia nam opór, rzeziom nie będzie końca. Dojdzie do innych prowokacji. Trafią się następne okazje do rozpoczęcia wojny. Obaj możemy je sobie wyobrazić. Trzeba położyć kres wojnom, k roku. Musimy stoczyć za rzeką niewielką wojenkę, aby oszczędzić sobie straszniejszej wojny tutaj, między baronami. Strzeżmy się walk, by czarodzieje nie zdobyli przyczółków na naszej ziemi, roku.

–Wobec tego pamiętaj, żeś posłał ojcu wiadomość dotyczącą lorda Ynefel. Czyżbyś nie powiadomił ojca o tożsamości Tristena i elwynimskiej przepowiedni? A skoro ojca, także jego powierników, łącznie z lordem Brysaulinem?

Niewesoła myśl. Okropna myśl.

–Brysaulin jest człowiekiem honoru.

–Do których doradców, dla dobra królestwa, zwrócić się mógł człowiek honoru, gdy król umarł, a księżę bratał się z czarodziejami? Obaj wiemy, że od czasu do czasu jestem niedoinformowany w sprawach honoru.

Do quinalty nów, Murandysa, Lly mary na, a nawet Efanora, jeżeli lord Brysaulin kiedykolwiek na kimś polegał. A w dniach tuż po śmierci ojca Efanor stał się nad wyraz drażliwy i przekonany o wiarołomstwie brata.

–Pamiętaj też, że to lord Heryn Aswydd był dostarczycielem prawd na dworze twego ojca – rzekł Idrys. – Nie sposób ogarnąć myślą rozognionej wyobraźni Aswydda.

–Lub zasięgu jego kłamliwego jęzora.

–Czy wybujałych wyobrażeń. Miał sporo tworzywa do ćwiczeń, najjaśniejszy panie. Osobiście wysłałeś wiadomość, którą wrodzona podejrzliwość kazała twemu ojcu potraktować z dziesięciokrotnie mniejszym zaufaniem niżli „lojalną” prawdę Heryna.

–Mój ojciec poległ na Herynie, nie dziwota więc, że nie żyje. Dodaj do tego robotę czarodziejów i kapłanów, w mojej ocenie niewiele się różniące...

–Och, nigdy tego nie mów podczas narady.

–Istnieje wiele prawd, o których nie wspominam w czasie narad, k roku.

–Lub w mojej obecności?

Cefwyn roześmiał się gorzko.

–Może chowam jakiś sekret, a może nie. Gdybym odpowiedział na twoje pytanie, zdobyłbyś wreszcie pewność, nieprawdaż?

–A gdybym ja z kolei odpowiedział na twoje, najjaśniejszy panie, służyłbym mojemu panu nie tak dobrze, jak służyć. Tristen z Ynefel jest zbyt potężnym czarodziejem, by go wypuszczać na tę wojnę halek i żniwnych groszy. Nie może zostać quinaltynem.

–Niemniej musi się pokazać publicznie. Im dłużej pozostaje w ukryciu, tym więcej pogłosek krąży na jego temat. I lepiej niech on teraz skupi na sobie zainteresowanie niż Jej Miłość. Inaczej być nie może.

–Ależ to ryzykowne.

–A cóż nie jest ryzykowne, mości k roku? Pozwólmy mojemu bratu przećwiczyć na nim środki perswazji. Pozwólmy działać quinaltynom. Efanor nie jest głupcem... Któż wie, jeśli nie on, jakie słowa sprowokowały ojca do wyjazdu do Amefel, prosto w sidła Heryna? Ja słyszę od niego wciąż to samo: ojciec mi nie ufał, a Heryn dolał oliwy do ognia. Efanor szuka gorliwie pokuty za to, że wtenczas uwierzył i nie odwiódł ojca od powziętego zamierzenia; to go przytłacza. Jest mi wierny. Powiedz, że jest wierny, mości k roku.

–Owszem, potwierdzają to moje obserwacje.

Cefwyn westchnął głęboko.

–W naszym braterstwie nie ma dziś wielkiej miłości. Są tylko wyrzuty sumienia. Dręczą nas obu, chyba dlatego, że nie kochamy się nawzajem. On kocha myśl o kochaniu mnie. Ale Tristen jest moim bratem i to mu doskwiera. Czyżby był zazdrosny?

–Zazdrość jest grzechem, miłościwy panie, a Jego Wysokość nienawidzi swych grzechów za każdym razem, kiedy je popełnia.

–Kiedyś muszę się z nim pojednać. Powiadom go, że udzieli Tristenowi wskazówek

na temat quinaltu, uczyni zeń pobożnego człowieka...

–Uczyni zeń Człowieka, prawda?

–O ile to wykonalne, do licha z twoim dowcipem! Nie mam dziś głowy do żartów. – Odstawił kielich, zwalczywszy pokusę, by cisnąć nim o ścianę. – Nienawidzi swoich grzechów, powiadasz? I ja nienawidzę swoich, kuku. Oraz grzechów mojego ojca, wręcz gubię się w ich gąszczu.

–Porzuciłem służbę u twego ojca – stwierdził Idris. – Przestały mu się podobać raporty na twój temat. A więc ich zaniechałem. To było chyba uczciwe rozwiązanie.

Uwen odszedł do swojego kącika, gdzie położył się spać, Tristen natomiast pozwolił, by służba ułożyła go do łóżka – do nader wygodnego łoża w komnacie na najwyższym piętrze Guelesfortu – znacznie bogatszej od pokoju, który zajmował w amefińskim zamku. Na suficie sypialni wymalowano gwiazdy oraz białe, płynące po ciemnym niebie obłoki. W poświacie sączącej się z niedawno podsypanego węglem paleniska dostrzegał jedynie fragmenty malowideł, srebrzyście inkrustowane gwiazdki połyskiwały odbitym światłem w półcieniach.

Tuż przy palenisku stał miecz w pochwie. Po bitwie nad Lewenbrookiem kazał mistrzowi Peyganowi przekuć na nowo klingę. Na jednej stronie widniał napis: Prawda, na drugiej wyryto: Iluzja. Tristen zapytywał siebie w duchu, gdzie mógłby teraz napisać: Pozory – słowo to padało dziś często z ust Cefwyna. Miał zapalać przyjaźnią do quinaltynów, a to dla zachowania Pozorów. Miał dołączyć do baronów i unikać magii, wszystko dla zachowania Pozorów.

Miecz, bezużyteczny, stał w kącie. Inni ludzie ćwiczyli. Uwen też ćwiczył. On nie: wzdragał się przed doznaniem, które wywoływało w nim podniesienie broni. Objawiała mu się wtedy wizja osobliwej natury, straszliwa, dowodząca swej mocy i braku skrupułów.

Czy powinien teraz doprowadzić do pokoju z Elwynorem, zakończyć wojnę trwającą od czasów dziadka Cefwyna? Czyż wolno mu było żywić nadzieję, że plany Mauryła sięgały tak daleko? Na wiosnę przeprawi się przez rzekę i w obronie sprawy Ninevrise wkroczy do Elwynoru, by zadawać śmierć. Jednakże nie zwycięży, ażeby nie zrazić baronów.

Czuł wielką pokusę, by zdobyć pewność, by sięgnąć do tyłu, by odgiąć swe życie wstecz, ażeby napotkało samo siebie na Drodze.

Znał prowadzącą do Drogi ścieżkę. Odkrył ją dzisiaj na szczycie wzgórza. Była usiana niebezpieczeństwami. Uzmysłowił sobie, że jeśli na nią wkroczy, zagrozi własnej egzystencji. Młodzieniec siedzący pod drzewem w lesie Marna ujrzał czyjąś przeraźliwą obecność, niby Cień w gąszczu... Tristen był równocześnie młodzieńcem

I owym Cieniem. Czy mógł być trzecią istotą? Powinien ponownie sięgnąć Droga ku Ynefel, by się przekonać, czy jest już bezpieczna? Młodzieniec niczego wtenczas nie zauważył. Cień walczył z Cieniami, Hasufin władał Droga.

Bał się wyprawiać w tamtą stronę. Na samą myśl o tym serce biło mocniej.

Leżąc na wznak z rękoma na miękkiej, grubej kołdrze, pomimo zakazu sięgnął do Emuina. Natrafił na dwie osoby, dobrze mu znane w Guelesforcie, z których jedna leżała piętro niżej: Ninevrise, niczego nieświadoma, rozmyślała o Cefwynie, rozpalona i pełna miłości. Przemknął dalej, by nad sobą, wysoko wśród ciemności, odnaleźć Emuina. Wierzył, że mistrz mu odpowie, nawymyśla od głupców, osądzi, co jest złe, a co dobre, tudzież rozstrzygnie, czy wolno medytować nad istotą bogów.

–Mistrzu Emuinie.

Starzec nie okazał wielkiego strachu, ale też nie ucieszył się z tego najścia.

–Jutro przyjdzie Idrys, aby zapytać cię o radę – oznajmił Tristen. – Cefwyn postanowił, że Efanor opowie mi o ąinalcie, jeżeli wyrazisz na to zgodę, panie. Wiem, nie pochwalasz moich odwiedzin, lecz zdaniem Cefwyna za dwa dni muszę razem z dworem złożyć wizytę w świątyni. On twierdzi, że to kwestia zachowania pozorów, a patriarcha będzie zadowolony. Czy powinienem?

–Wygląda na to, że już się zgodziłeś i nie mam tu nic do dodania. – Starzec ciągle wydawał mu się przyćmiony i zwiewny, szarpany perłowoszarzym wiatrem. – Dlaczego? Dlaczego się zgodziłeś?

W świecie Ludzi nie miał najmniejszej wprawy w kłamaniu. Tutaj było ono jeszcze trudniejsze. Poza tym w głębi serca wiedział, iż wyraził Zgodę.

–Bo chcę być wolny, mistrzu Emuinie. Bo myślę, że Cefwynowi grozi niebezpieczeństwo zarówno ze strony baronów, jak i rebeliantów zza rzeki.

–Wolny, wolny... Czy ty w ogóle wiesz, co oznacza wolność? Wolny od czego? I od kogo? Cóż więcej mógłbyś zrobić dla Cefwyna ponadto, co już zrobiłeś?

Trudne pytania.

–Chcę być wolny, żeby pomóc przyjaciołom, żeby bronić Cefwyna. Wolny, by móc przejechać przez wioskę Wys, nie strasząc przy tym dzieci. A to, czym mógłbym się posłużyć, stoi ot, w tamtym kącie. Z własnej woli nigdy tego nie dotknę. Ale uczynię to dla dobra Cefwyna, kiedy będę musiał. Ci ludzie, którzy naciskają na Cefwyna, nie są jego przyjaciółmi. Nie będą też moimi. Mógłbym się zaprzyjaźnić z Cevulirnem, nawet z lordem Pelumerem. Z nimi nigdy.

Szara przestrzeń zaszła cieniem, ukazała strzępy chmur, sporadyczne detale w owym miejscu, które drażniło oczy brakiem jakichkolwiek kształtów.

–Wystrzegaj się gniewu – powiedział Emuin. Chmury się rozjaśniły. – Gniew i głupota idą z sobą w parze, młody lordzie. Dość że Cefwyn z nimi figluje, ty mu nie wtóruj.

–Jeśli pozwolisz, panie, spotkam się z Efanorem. Idrys zapyta cię o zdanie. Doradzał ostrożność. Ale Cefwyn powiedział, że jeśli quinaltyni znajdą lukę dość szeroką dla mnie, powstanie przestrzeń mogąca pomieścić cały Elwynor.

–Zrewidują dogmaty, by przyjąć spadkobiercę Mauryla, co? A więc mości kruk chce się mnie poradzić. Dziw nad dziwy. Zazwyczaj wszystkie sprawy są już postanowione, zanim mości kruk zasięgnie czyjejs opinii. Niech bogowie mają w opiece króla, powiadam.

–Czy to możliwe? To znaczy mieć go w opiece? Czym są bogowie, panie? Cieniami?

–Sam mam wątpliwości. Tę zawiłą kwestię pozostawiam Jego Wysokości. Pozostawiam mu piekło, niebo i błogosławieństwa. Dokonałem ostatecznego wyboru, powracając do czarów. A z czego zrezygnowałem, to też wiedzą tylko bogowie.

–Czy Efanor jest mądry, panie?

–Mnie o to pytasz?

–Czy mam polegać na jego słowach? – Zauważył, że mistrz Emuin oddala się od niego. Tristen przybliżył się, aby nie krzyczeć i zostać usłyszonym. Prawdę mówiąc, w tym miejscu potrafił więcej od mistrza Emuina, zdawał sobie wszakże sprawę z własnej ignorancji. – Proszę o radę, mistrzu Emuinie. Pytam wyraźnie, czy istnieją bogowie, mistrzu Emuinie? I czy są tacy, jakimi przedstawi mi ich Efanor?

–W Murandysie żyje pewien chciwiec i konspirator – nadeszła niepokojąca odpowiedź na granicy snu. – W Llymarynie mieszka umiłowanie luksusów. Wśród quinaltynów znajdziesz wystraszonego człowieka. Te trzy rzeczy i ci trzech ludzie potrzęsają połową dworu. Bez chciwości Murandysa szybko zgasłaby złośliwość Ryssanda. Co się tyczy bogów, mogą gdzieś być. Idź spać. Zrób to, od czego i tak nie zdołam cię odwieść.

–A nie powinienem, panie? Czy powinienem usłuchać prośby Cefwyna i kłamać, czy też nie?

–Ach, kolejne istotne pytanie. Ale jest już o wiele za późno na wszelkie odpowiedzi. Proszę bardzo, rób, co możesz. Jeśli Idrys przyjdzie tu jutro po radę, prawdopodobnie wyrażę zgodę. Cefwyn trzymał cię z dala od pytań, a teraz wtrąca

cię w sam ich środek. To pociągnie za sobą konsekwencje, młody lordzie, lecz przewidzenie przyszłości może niejednemu zapobiec. Zrobisz, co zechcesz. Efanor szuka bogów. Niechaj uważa, bo znajdzie takiego, o którym mu się nie śniło.

Emuin gasł z wolna, aż na koniec zniknął. Być może, pomyślał Tristen z dreszczem emocji, kapłani lub bogowie mogą ich usłyszeć. Nie dostrzegł jednak nikogo więcej w szarej przestrzeni. To, że Ninevrise, będąca przecież tak blisko, niczego nie słyszała ani nie widziała podczas jego rozmowy z Emuinem, dowodziło ich dyskretnego zachowania. W pewnym sensie była ich wartownikiem, zawsze nieświadomym.

Leżał w łóżku pod wymalowanym sufitem. Wokoło spała wierna mu służba. Wśród nich Uwen i gwardziści z dziennej zmiany – nocna straż pilnowała posterunków. Czuł obecność dwudziestu istnień ludzkich, znał ich niewzruszoną, dozgonną wierność, nieocenioną pomoc. Mógł toczyć bitwy i wieść na bój armie, lecz najgłupszy z jego służących był od niego mądrzejszy w sprawach świata, rozumiejąc być może kwestie, o których on nigdy nie będzie miał pojęcia.

Nadając Ynefel jemu zamiast Emuinowi, Cefwyn złożył ogromny ciężar na barki Tristena. Emuin zawsze powiadał: „Kieruj się własnym rozumem, młody lordzie”.

Albo: „Bogowie wiedzą”.

Czy naprawdę wiedzieli?

Rozdział piąty

Suche liście wędrowały zdumiewającymi ścieżkami ponad gołymi, kamiennymi murami Guelesfortu, by osiąść w tak nieprawdopodobnych miejscach, jak mały parapet okna gabinetu, gdzie zbierały się niepoprawne gołębie. Tristen wyciągnął jeden z liści przez boczny lufcik, po czym okruchami chleba nakarmił stłoczone przed okienkiem ptaki, dbając, aby każdy z nich otrzymał należną mu porcję. Trzepotały i biły skrzydełkami. Powodowane chciwością, mogły bezwiednie wyrządzić krzywdę słabszym.

Nic sobie nie robiły z przedsionka quinaltynskiej świątyni czy z Pięciu Bogów, zastanawiał się więc, jak temu zaradzić. Także jemu ptaki nie okazywały cienia szacunku. Dlatego właśnie tak je hołubił: pomimo strachu nie czuły przed nim respektu. One same lub ich krewniacy mieszkali w Ynefel i w Henaśamef, nie zachowując się tam wcale lepiej. Jednakże teraz z powodu quinaltynow musiał je jakimś sposobem odesłać. Żałował, iż nie umie wyrazić im swojego smutku. Pragnął, by wróciły do domu, jeśli pochodziły z Ynefel. Pragnął, by bez szwanku przefrunęły nad Marną i znalazły sobie bezpieczne kryjówki na poddaszu.

Ale czy jakiś chłopiec przyniesie im tam czerstwy chleb, usiądzie na stryszku i spróbuje czytać?

Może nadal będzie to robił? Albo kiedyś robił? Czy odnajdą drogę do tamtego miejsca i tamtych czasów? Nie miał zielonego pojęcia. Pragnął tylko ich bezpieczeństwa. Gdyby tak wyciągnął nieco światła z szarego miejsca, by dotknąć nim ptaki, by je nim osłonić...

–Jego Wysokość książę Efanor – obwieścił jeden ze służących, który podbiegł tak blisko, że wystraszone gołębie aż się poderwały. Czar przysł.

Nie oczekiwał Efanora o tak wczesnej porze. Tego ranka Uwen obudził się z markotną miną i zaczerwienionymi oczyma, lecz na prośbę Tristena powrócił do łóżka... Za dużo jesiennego piwa, wyznał Uwen, błagając o wybaczenie. Zapewne dozna zgryzoty na wieść, że gość zastał strażę w łóżkach.

Tristen uprzedził Tassanda, zarządcę swego gospodarstwa, iż Efanor złoży mu wizytę... Nie spodziewał się jednak odwiedzin zaraz po śniadaniu. Nie miał jeszcze wiadomości od Idrysa, aczkolwiek Emuin, pytany przez komendanta, miał wyrazić zgodę. A może Cefwyn z premedytacją powiadomił księcia, zanim jeszcze Idrys zbudził mistrza Emuina? Efanora o wiele łatwiej pchnąć do działania niż mistrza Emuina.

Nie godziło się tak myśleć. Cefwyn wszakże stosował podobne metody. Związane to było przypuszczalnie z obowiązkami króla i, czasami, potrzebą ochrony własnych interesów.

Tak więc Efanor przybył już wczesnym rankiem, a chociaż po długim wieczorze każdemu można by wybaczyć pewną ociężałość, oblicze księcia promieniało krępującą radością.

–Dzień dobry, Wasza Wysokość – przywitał Tristen gościa.

–Dzień dobry, Wasza Miłość. – Tristen zauważył, że Efanor przyniósł z sobą książeczkę o łatwej do przewidzenia treści. Taki sam prezent dał kiedyś Ninevrise.

–Jeśli Wasza Wysokość pozwoli – powiedział. W towarzystwie Efanora wszyscy przestrzegali etykiety. – Jestem pewien, że za chwilę podadzą nam herbatę, znajdują się też chyba ciastka. Najmilej jest siedzieć przy palenisku. Tamto czerwone krzesło jest najwygodniejsze.

–Mam dla ciebie prezent – oświadczył Efanor, zanim zdążyli usiąść. Wręczył mu malutką książeczkę, ślicznie oprawioną i bogato zdobioną, z połączonym emblematem quinaltynow na okładce.

–Bardzo ładna – orzekł szczerze Tristen. Kochał książki, a ta była jedną z najładniejszych, jakie kiedykolwiek widział. Napisano ją owym zawiłym charakterem pisma, preferowanym przez kapłanów, który on jednak nauczył się odczytywać. –

Dziękuję, Wasza Wysokość.

–To modlitewnik – powiedział Efanor. Usiedli przy umiarkowanie ciepłym palenisku, książę na czerwonym krześle. – Mam nadzieję, że Wasza Miłość uzna go za coś więcej niż tylko wymóg polityki. Znam zamysły brata. Każe mi zaznajomić cię z rytuałami i przestrzega, bym nie wywołał zamętu w twojej głowie, czyli, innymi słowy, niczego cię nie nauczył. Udzielę ci wszakże szczerych, wyczerpujących odpowiedzi, Wasza Miłość, jeśli oczekujesz ode mnie prawdy.

–Bardzo mnie interesuje prawda, panie, dziękuję. – Tristen czuł się nad wyraz niezręcznie, choć z ulgą stwierdził, że Cefwyn uczciwie zdał sprawę Efanorowi. – Co kapłani wiedzą o bogach? To chyba dobry temat na początek.

–A czy mogę prosić, hm, Waszą Miłość – odchrząknął książę – abyś sam mi na wstępie powiedział, co rozumiesz przez pojęcie bogowie?

–Chciałbym zobaczyć jednego z nich.

–Niezwykle trudno jest zobaczyć boga, Wasza Miłość. To znaczy... trudno go zobaczyć przeciętnym ludziom.

–A może jakoś by mi się udało? – Postanowił w duchu nie wyjawiać Jego Wysokości istnienia szarej przestrzeni. Emuin zawsze trzymał ten fakt w tajemnicy. Podobnie jak każdy, kto umiał tam podróżować... Kto wie, czy modlitwy nie umożliwiały wędrówki do jakiegoś szczególnego miejsca, w którym dotychczas nie był?

Zmarszczona twarz Efanora świadczyła, iż Tristen źle się wyraził już na początku tych swoistych zajęć.

–Jesteś co prawda Sihhijczykiem, ale obawiam się, że to nie pomoże ci ich zobaczyć.

–Być może jestem Sihhijczykiem – poprawił Efanora spokojnie. – Jestem tego niemal pewien i wszyscy tak mówią, lecz są także inne możliwości.

–Na przykład?

–Mógłbym pochodzić od Galasjenów. – Wspomniał zaginiony lud Mauryła. – To przecież niewykluczone.

–W żadnym z tych przypadków nie byłoby ci łatwiej zbliżyć się do bogów. Tym bardziej gdybyś okazał się Barrakkethem, zaklętą duszą, gardzicielem bogów.

–Możliwe. – Taki rodowód wydawał mu się wysoce prawdopodobny. Osobiście nie wyciągał żadnych wniosków, nie przybierał żadnego imienia z przeszłości i być może

wskutek tego czynił istotę swego bytu mniej przewidywalną na świecie, trudniejszą do uchwycenia. – Jestem jednak Tristenem. Mauryl nadał mi to imię, kiedy mnie Zawezwał, dlatego innych nie powinienem używać, Wasza Wysokość. Jak długo będę wiedział mniej od Mauryla, nie zmienię swojego imienia.

Z każdą chwilą Efanor wydawał się bardziej zafrasowany.

–Niech zatem będzie Tristen. Ale magia nie utoruje ci ścieżki do bogów. Wierz mi, przeszkodzi ci w uzyskaniu zbawienia.

Czy faktycznie istniał sposób na przeskoczenie własnego rodowodu i uchwycenie życia, jak to czynili inni ludzie? Czy dzięki bogom można żyć poza wiosną? Emuin skarżył się, że powracając do czarów, zamknął sobie drogę do zbawienia. Tristen nie zamierzał wszakże omawiać z Efanorem wyjawionych mu w zaufaniu spraw Emuina.

–Co w takim razie pomaga? – zapytał.

–Wiara. Dobre uczynki. Modlitwa. Łaska i miłosierdzie boże.

Tristen uznał te warunki za łatwe do spełnienia.

–To nic trudnego. Tylko jak odnaleźć bogów?

–Czary ci w tym nie pomogą.

–Rozumiem.

–Ani magia.

–Cóż wobec tego?

–Módl się i słuchaj. Usłyszysz ich w swoim sercu.

Nareszcie wskazówka. Magia wymaga serca, woli i talentu.

–A więc nie trzeba przyjść na świat z wrodzoną umiejętnością ich słuchania?

Efanor się zawahał.

–Ludziom pomaga nauka. Nikt jednak nie wie, czy moc bogów obejmuje także Sihhijczyków. Pytałem mojego kapłana, co ci rzec w tej sprawie, lecz on tylko rozłożył ramiona. A to przecież wykształcony człowiek, świetny uczonec. Nic jednak nie wie, zupełnie nic, co w jego mniemaniu mogłoby okazać się pomocne. Istnieje niewielka szansa, że Jego Świątobliwość, o wszystkim powiadomiony, znajdzie jakieś błogosławieństwo odpowiednie dla strażnika Ynefel. Nikt nie podważa twojej dobrej woli, mój panie. Nawet Jego Świątobliwość podkreśla twe zasługi dla kraju, które

poniekąd wskazują na boże powołanie.

–To Mauryl mnie Zaweźwał.

Efanor przez kilka chwil rozważał całą sprawę.

–Bogowie pragną wyłącznie dobra – rzeki na koniec. – Zawsze są przeciwni złu. A magia może wyrządzić krzywdę.

–Wbrew boskiej woli? Czy magia jest potężniejsza?

–Tylko do czasu. Bogowie zawsze zaprowadzą porządek.

–Czyli że bogowie pokonaliby wroga Mauryla bez udziału samego Mauryla?

–Być może zbyt późno, jak na nasze oczekiwania.

–Ale skoro potrafią zapobiec złu, a nie chcą tego zrobić, czy to ma być sprawiedliwość?

Efanor po raz wtóry zamilkł, tym razem marszcząc czoło.

–To założenie herezji Brisina. Zły punkt widzenia. Bogowie nie mogą być niesprawiedliwi.

–Ale skoro tak wielu zginęło, a bogowie mogli temu zapobiec...

–Zajmijmy się lepiej książeczką – zaproponował Efanor tonem, jakiego używał Emuin, kiedy nużyły go pytania Tristena. – Przeczytaj na głos pierwszą modlitwę. Zacznijmy na pewniejszym gruncie.

Tristena nękały wątpliwości. Nie dawało mu spokoju podejrzenie, że mimo przewagi nad magią bogowie nie pokrzyżowali planów Hasufina, nie uchronili ludzi od śmierci i nie zaprowadzili pokoju między królestwami, którego trzeba było szukać w wojnie z Tasmórdem. Czy jednak odpowiedź nie kryła się gdzieś głębiej? W każdym razie nie zamierzał obrażać Efanora, który przyszedł tu przez wzgląd na dobro jego i Cefwyna. Z niecierpliwością zabierał się do czytania książeczki; w zwykły dzień bez porównania bardziej lękał się Słów niż noży, niemniej otworzył modlitewnik na pierwszej stronie i przeczytał:

–„Błogosławionych Pięciu Bogów, przez których błogosławiona jest ziemia. Błogosławiony, kto słucha ich głosu... – A więc chodzi o głos, pomyślał Tristen. Jego właśnie powinien słuchać. – Błogosławiony, kto wypełnia ich wolę...” – To zaś oczyszczało sumienia błogosławionych. Czytał, lecz nie usłyszał głosu żadnego boga, nawet głosów Emuina i Ninevrise, jedynie trzask ognia. Tekst jeszcze przez

dobrą chwilę mówił o Błogosławieństwach, które dotyczyły bogów i ich aprobaty, a także, prawdopodobnie, znajdowania w bogach sprzymierzeńców. Ta myśl dodawała otuchy: bogowie mogli wspomóc jego przyjaciół, o ile byli godni zaufania.

–Czy terantyni mają tych samych bogów?

–W większości – odparł książę. – Tyle że terantyni wierzą w odpust za grzechy. I patrzą przez palce... – tu książę zawahał się, szukając odpowiedniego słowa -...na dziwactwa mistrza Emuina. Łatwiej byłoby ci zostać terantynem. Ale wygląda na to, że odmawiasz.

–Nie odmawiam. Mistrz Emuin nie proponował mi nigdy nauki.

–Czytaj pacierze. Ćwicz się w rzeczach, które ci pokażę. W formach rytualnych, w okazywaniu szacunku. Czytaj codziennie. Jeśli odrzucą cię quinaltyni, spróbujesz z terantynami. Może jeszcze uchronisz swoją duszę. I módl się do bogów, by zesłali ci zrozumienie.

–Mam się modlić, aż mi się Słowa objawią? O to chodzi?

–Bogowie brońcie! – Efanor wiedział o objawieniach, jeśli już nie o szarym miejscu. Czy pobożny człowiek doznawał tych samych objawień, pozostawało niewyjaśnione. – To nic jest magia. Musisz o tym pamiętać. I nie używaj zaklęć...

–Ale tak czy inaczej, Słowa objawią mi się w końcu? – Książki czarodziejów zawierały zwykle niebezpieczną wiedzę. Utracił Mauryła, który udzielał mu wyjaśnień, a ponieważ ostatnio w znacznej mierze utracił także Emuina, objawienia zastąpiły owych przewodników, nieustannie powiększając zasób jego wiadomości, niekiedy przejmując go dreszczem strachu, a niekiedy pogrążając w zachwycie, gdy wstępował na ścieżki, jak podejrzewał, zamknięte przed Emuinem. – Wasza Wysokość, z całego serca dziękuję, żeś raczył tu przybyć.

–Pokochaj bogów – rzekł Efanor. – Pokochaj tych, co stworzyli ziemię i wszystko, co się na niej znajduje.

–Czy stworzyli też pory roku i lasy?

–Góry i niebiosa, rzeki i zachody słońca. Wszystko.

Nigdy się nie zastanawiał, jak powstały góry i lasy. Skłonny był raczej przypuszczać, że lasy wyrosły z żołądzi, a góry po prostu istniały. Nic więcej mu się nie objawiło, chyba więc nie znalazł jeszcze klucza do tego zagadnienia. Pobudzało ono jego ciekawość, lecz nie oferowało żadnej odpowiedzi.

Ale skąd się wziął świat?

Widział tylko ciemną pustkę niewiedzy. A na tle tejże pustki majaczyła Krawędź, miejsce powstałe w szarej przestrzeni, do którego za nic nie chciał się przybliżyć. O mało nie upuścił książeczki, powracając do rzeczywistości z łomoczącym sercem, spocony, świadomy bliskości czarów.

Książę ani na moment nie przerwał przemowy. Rozwodził się na temat boskiego planu stworzenia świata, jak to Pięciu Bogów ukształtowało wzgórza i sprawiło, że na ich życzenie pada deszcz, tryskając z niebieskich fontann.

Niebieskie fontanny? – rozmyślał Tristen, zmieszany. Czyżby na górze były osobne źródła wody? Takie przypuszczenie stało w sprzeczności z zagęszczeniem w powietrzu, które Tristen wyczuwał jako deszcz i chmury, a które Emuin mógł bez wątpienia przyzywać wedle woli: podejrzewał, że i jemu udałaby się ta sztuka, gdyby tylko spróbował. Każde słowo Efanora miało za zadanie chwycić Tristena za serce, wszelako żadne z nich nie tłumaczyło charakteru pogody lub zmian zachodzących w lesie.

–Jeżeli świat jest doskonały, dlaczego istnieją pory roku? – zadał nieprzemyślane pytanie.

–Ponieważ bogowie tego chcieli – odpowiedział Efanor.

–Ale stworzyli świat doskonałym, więc... – zaczął, brnąc nieco głębiej, książę bowiem wydawał się przekonany o swej słuszności. Zaraz mu też przerwał:

–Doskonałym w jego przemianach.

Przypomniał sobie zachowanie Mauryła, kiedy zadawał zbyt wiele pytań: czarodziej nie słucał go do końca.

Do czego służą pory roku? Jaki z nich pożytek? – zastanawiał się ciągle. Nic mu się nie ukazało z tą frapującą wyrazistością, z jaką przemawiał doń wróg Mauryła. Nic się też nie objawiło oprócz pojedynczej, przykrej refleksji, że świat miał swój początek.

Zdrowy rozsądek podpowiadał oczywiście to samo. On też kiedyś miał swój początek. Miał nawet dwa początki, jeśli liczyć narodziny, które w jego pojęciu nastąpiły gdzieś pomiędzy nastaniem epoki Mauryła a powtórnym przebudzeniem obok Maurylowego kominka.

Żałował, że brak mu odwagi, by zapytać Efanora, czy Cienie zamieszkują świat od jego boskiego stworzenia, czy też pojawiły się później. A może sami bogowie są odmianą Cieni? Podobniejak czasami umarli?

Książę polecił mu przeczytać drugą z kolei modlitwę. Tristen ufał Efanorowi i chociaż żadne z jego pytań nie doczekało się odpowiedzi, przeczytał:

–„Złe z gruntu są dokonania Ludzi, dokonania bogów zaś błogosławione. Nie kierujcie się podszeptami Ludzi, tylko słowami bogów...”

Niektórzy utrzymywali, że Tristen nie jest Człowiekiem, więc kierowanie się czymś innym mogło mu wyjść na dobre. Nigdy wszakże nie uważał Ludzi za złe istoty. Nawet Cienie bywały czasami przyjazne, jak pewna dziewczynka, która bawiąc się, podskakiwała w trawie niedaleko Althalen. Czy tak przejawia się zło?

Wtem, zupełnie znienacka, zło spróbowało mu się objawić; rozsunęło tak głęboką ciemność, że rzucił się w bok i wpatrzył w mętne promienie słońca, padające ukosem przez okno, drżąc na całym ciele. Powiało zewsząd przejmującym chłodem. Tylko na plecach Tristen czuł ciepło kominka.

–Wasza Miłość? – doszedł go z tyłu stłumiony głos Efanora. – Lordzie strażniku? Święci bogowie, brońcie nas przed złem! Łaskawi bogowie, błogosławcie nas i zachowajcie od zła i wszelkich jego przejawów... Czy to atak, Wasza Miłość? Mam zawołać służbę? Posłać po Emuina?

Tristen niechcący wystraszył Efanora. Sam był teraz w stanie dostrzec na skąpanej w słońcu posadzce pod krzesłami miejsce, gdzie służący nie przyłożyli się do ścierania kurzu. Dostrzegał także drobniutki, rozpraszające światło uwypuklenia na szybach. Dostrzegał bąbelki w szkle: kiedy na nie spojrzeć bardzo, bardzo uważnie, odbijało się w nich całe otoczenie... Chociaż nie miał pewności, czy coś tam w środku nie żyje, podobnie jak groźba lub nadzieja mogły czyhać w błędach, jakie czarodzieje popełniali w trakcie wznoszenia swoich magicznych konstrukcji.

Widział wszystko. Rzeźbione oparcie krzesła wraz z najmniejszą ułomnością sztuki snycerskiej; znikome falistości na tle słojów, gdzie intencją rzeźbiarza z pewnością była gładka linia, lecz naturalne drewno obróciło wniwecz ów zamysł. Przyglądał się już pracy snycerzy, widział, jak pachnące, kłujące wióry lecą na boki tak szybko i gęsto, że zakrawało to na cud, przy czym zapach uderzał do głowy niczym wino. Pewien dąb rósł sobie gdzieś w puszczy, przez wiele długich lat nie odślaniając nikomu sekretów swego serca. Człowiek w trakcie rzeźbienia rozmyślał o koniu, zatem koń ów splótł się w jego umyśle z tajemnicami dębowego wnętrza, by utworzyć coś, co nie było ani koniem, ani dębem. W podobny sposób dorastał świat Ludzi. Palce Tristena przesuwaly się po dziele snycerza – jego własna skóra była cudownym połączeniem subtelnych kolorów, a praca kości i ścięgien również nie lada osobliwością, gdy dłoń odnajdywała usterki w odwzorowaniu... co samo w sobie stanowiło jakby zaklęcie.

–Lordzie strażniku?

Czy człowiek powinien więzić dąb w takim wzorze? Czy czarodzieje powinni więzić duszę w nowym kształcie? Albo czy potrafili to uczynić?

Czy jest to właściwie koń, ukształtowany przez człowieka, czy może dąb? Czy jest to myśl Człowieka o koniu, potężna wolnością, uczyniona materialną, czy też jest to, w swej prawdziwej, czarodziejskiej istocie, wciąż drzewo, wrażliwe na wszystkie odbierane przez drzewa bodźce, sędziwe, dostojne, tajemnicze? Skoro zwykły człowiek potrafił sprawiać takie zaklęcia, to co dopiero czarodziej?

Zadrzał na tę myśl. Czego Mauryl w nim dokonał... i co zmienił, lub czego nie zmienił? Owszem, ludzie powiadali, że jest Barrakkethem, pierwszym z linii sihhijskich lordów, który toczył z Ludźmi wojnę, nie okazując nikomu miłosierdzia. Potwierdził to Hasufin, nawet Mauryl nazywał go wypaczonym. Niemniej, idąc za przykładem Mauryla, oświadczył, że ma na imię Tristen – bez względu na wygląd słoju drzewa, w którym rzeźbił Mauryl, fakt ten zmienił charakter jego bytu.

–Lordzie strażniku. – Efanor stał obok niego, wciskając mu do ręki jakiś niewielki przedmiot.

Tristen uniósł go i zobaczył swoje ciało, połyskujące na równi z quinaltynskim medalionem w świetle poranka lub w poświacie przywołanej przez jego wyostrzony wzrok. Wisiorek był krążkiem wielkości dużej monety z wtopionym weń kawałkiem szkła; w środku umieszczono coś dziwnego i ciemnego.

–Dzięki bogom, żeś nie odniósł oparzeń. Nigdy się z tym nie rozstawaj. – Efanor zacisnął mu palce na przedmiocie. – Zawieś to sobie na szyi, w imię dobrych bogów, aby każdy mógł widzieć. Obyś nie dostał podobnego napadu w świątyni quinaltynow. Już od miesięcy nie chwycił cię poważniejszy atak. Niech bogowie strzegą nas przed jego powtórką.

–Dostałem kiedyś terantyński medalion – wyznał Tristen łamiącym się głosem. – Nadal go mam, został wkuty w mój miecz, kiedy mistrz Peygan przetopił klingę. To prezent od Cefwyna. Jest dla mnie bezcenny.

–Więc miej go zawsze przy sobie. A ten niech wzmocni jeszcze błogosławieństwo, noś go we dnie i w nocy. Na bogów, przełóż go przez głowę, dobrze...

Tristen przełożył łańcuszek przez głowę, wsunął go pod włosy i poza niewielką marszczoną krezę koszuli, wyłożoną nad dubletem. Krążek spoczął na piersi, nie czyniąc mu wprawdzie krzywdy, ale, jak oceniał, także nie pomagając.

Raptem uzmysłowił sobie, że zrobiono go ze srebra, a więc w pojęciu niektórych ludzi był niewątpliwie cenny. Srebro miało też jednak magiczne właściwości. Efanor obdarował Tristena dwoma prezentami: książeczką i kawałkiem srebra; co ciekawe, identyczne prezenty dał mu niegdyś Mauryl. Czy podobieństwo tychże prezentów do darów Mauryla nie utworzyło swego rodzaju więzi, łączącej go magicznie z Efanorem?

–Kiedy pójdziesz do świątyni – mówił książę – noś medalion na widoku. Niech wszyscy wiedzą, że możesz go nosić. Tylko czy ośmielisz się wejść do środka, kiedy zapłoną świece i zostaną przywołani bogowie? Uczestniczyłeś w ceremonii zaprzysiężenia. Dotrwałeś do końca?

–Tak, panie. Dotrwałem. – Tamtego dnia w świątyni panowała męcząca atmosfera, cofnął się więc do wyjścia i schował za kolumnami. Jednakże, w kontekście pytania Efanora, dotrwał do końca.

Książę przyjrzał mu się uważnie, jakby szacował jego siły i charakter.

–Wielce sobie cenię ten medalion – rzekł Efanor w ciszy, która zalegała w ich kąciku pod oknem – dlatego nie obchodź się z nim niewłaściwie i nie używaj go w jakiegokolwiek magii, obiecujesz?

–Tak, panie. A może lepiej go zwrócę. – Zaczął zdejmować łańcuszek. Powstrzymała go stanowcza ręka Efanora.

–Tobie bardziej się przyda. Noś go. Codziennie czytaj książeczkę. Rankiem i wieczorem rozmyślaj o bogach. Módl się o ich wstawiennictwo. Nie wszystkie nadzieje wygasły. Wiem, że jest w tobie dobro. – Książę szybko się poprawił: – Wierzę, że jest w tobie dobro, lordzie Ynefel. Z całego serca pragnę w to wierzyć.

–Zapamiętam twoją życzliwość. – Efanor, bojaźliwy, niespokojny, mamroczący błagania do wyznawanych przez siebie bogów, dał dowód daleko większej odwagi niż mieszkańcy Wys, okazując wiele życzliwości oraz troski o jego dobro (oraz o dobro Cefwyna). Z tej to przyczyny Tristen życzył księciu wszystkiego najlepszego i zaliczył go do osób, które kochał albo pragnął pokochać... byle strach ich od niego nie oddalił. Aby pomóc Cefwynowi, zdecydował się spełnić jego prośbę i przybrać pozory, uczestnicząc na wzór Ludzi w quinaltyrskich rytuałach. Przez wzgląd na Efanora zamierzał też przeczytać książeczkę, w której pisano o złych Ludziach, i sprawdzić, czy zawiera odpowiedź na pytanie o możliwość pojednania się raz na zawsze z quinaltynami.

–Usiądź, proszę, i napij się herbaty, panie. Jeśli masz ochotę. Wytłumacz mi, jak mam postępować.

Efanor zaczął, z wyraźną ulgą, wypowiadać się na temat bożego porządku. Zgłębiali właśnie kwestię gwiazd i księżycy, gdy Uwen, markotny, wychynął ze swego pokoju.

–Czym zatem są gwiazdy? – pytał akurat Tristen, przy czym Efanor chyba nie znał odpowiedzi. Książę zerwał się na równe nogi, jakby to najście posłużyło mu za ratunek od, czego się Tristen obawiał, zbyt trudnego zagadnienia.

–Uwienie-Lewen'ssonie – rzekł Efanor. – Nieopuszczaj nigdy w posługach Jego

Miłości... Bądź zawsze w pobliżu.

–Tak, Wasza Wysokość.

–Dobrze. Bardzo dobrze. Niechaj Wasza Miłość zachowa ten amulet, myśli o nim, czyta i się uczy, a jeśli Wasza Miłość będzie miał jeszcze jakieś pytania, mocno nalegam, nie, rozkazuję Waszej Miłości zwrócić się do mnie, zamiast pytać postronnych osób. – Przy tych słowach spojrzął na Uwena. – Nikogo więcej nie pytaj o boże miłosierdzie, trudno bowiem przewidzieć, jakie nieszczęście by z tego wynikło.

–Bardzo dziękuję Waszej Wysokości – odparł Tristen.

–Maj się na wszechmoc i wolę bożą – powiedział Efanor, na wpół do siebie, zbierając się do odejścia. – Bogowie będą cię wspierać.

Może zawiniły pytania o gwiazdy? Może Efanor miał coś do załatwienia? Tassand wraz z resztą służby stał z boku, okazując szacunek znamienitemu gościowi, który wyszedł posępny i skupiony. Tassand wciąż wyglądał na zafrasowanego, zbierając nerwowo pusty serwis śniadaniowy.

Także Uwen był zmartwiony.

–Szkoda, że nie wiedział o wizycie Jego Wysokości. Nic spałbym za nic na świecie.

–Emuin wyraził zgodę.

–Doprawdy, panie?

–Przynajmniej o wszystkim wiedział. Wątpię, by się tak do końca zgadzał. Nie dostrzegł w tym jednak nic złego.

–Tak czy siak, panie, wielkie baczenie winieneś dawać na swe słowa przy Jego Wysokości, któren z duchownymi rozprawia, a co wieczór z przybocznym kapłanem. Czasem straszno twoich pytań słuchać. Prawda to szczerza, choć ty nie ponosisz winy. Cosik mi się zdaje, żeś” mu akuratnie stracha napędził.

–Wiem – odparł cicho Tristen, pokazując mu niewiele większą od dłoni książeczkę oraz medalion. – Powiedział, że to będzie mnie chronić. Muszę też czytać książeczkę. Czy myślisz, że powinienem?

–Skądże mi to wiedzieć, panie?

–Czy to źle, że ją przyjąłem?

–Nic złego Waszą Miłość z jej strony nie napotka – stwierdził powoli Uwen. – Dyc to relikwia. Rzecz święta. Quinaltynscy ojcowie gotowi się rozmyślić.

–Boją się mnie.

–Zaiste.

–Modlisz się do bogów. Czy cię słyszą?

–Modłę się do bogów w dni świąteczne. Na bitewnym polu. Prawdę powiedziawszy, większość ludzi tak samo czyni.

Tę odpowiedź Tristen już znał. Czekał na coś więcej.

–A czy bogowie do ciebie przemawiają, Uwenie?

Uwen zaśmiał się, wzruszając ramionami, lekko zaniepokojony.

–Nie, panie. Atoli nie czekam na ich słowa.

–Jak sądzisz, kapłani ich słyszą?

–Już ja tam wolę się tym nie interesować. Co i tobie radzę, panie. „Bogowie mówią” to takie wyrażenie, gdy komuś do głowy pomysł nie wiedzieć skąd przychodzi.

–To sprawka czarodziejów. Pomysł pozostawienia drzwi otwartymi, moment zapomnienia... to wszystko czary.

–Jużeś mnie przestrzegał, panie. Od tamtego czasu czujność podwoilem. Taki jest wszakże sąd powszechny o mówiących bogach. I na miłość boską, nie pytaj o to kapłana, panie.

–A zawsze myślałem, że modlitwa przypomina wstąpienie do szarego miejsca.

–Bogowie miejcie nas w swej opiece! Chłopcze, chybaś mu tego nie rzekł?

–Nie. Mówilem o tym tylko tobie, lecz ty pójść tam nie możesz. Sądziłem, że i kapłani mają gdzieś swoje miejsce. Nie spotkałem dotychczas w szarej przestrzeni żadnego kapłana z wyjątkiem Emuina, który się nie liczy, ale oni chyba usiłują ze wszystkich sił tam dotrzeć. Efanor także się stara. Wyczułem to kilka razy, a jednak nigdy go tam nie widziałem, pomyślałem więc sobie, że musi istnieć jakieś inne miejsce. Tylko bałem się zapytać. A Emuin nigdy mi tego nie wytłumaczy. Nie chce powiedzieć i koniec.

Uwen znów uczynił znak na piersi. Tristen wiedział, że wprowadza go w zakłopotanie, przejmuje lękiem.

–Cóż, dobrze to, żeś się nie wygadał przed Jego Wysokością. Ja zaś słówka nie pisnę Jego Królewskiej Mości, choć wątpię, by to go zbytnio zraziło. Nasz miłościwy pan jest chyba szczęśliwszy, mogąc rzec, iż nie wie, co robisz, gdy stoisz jako posąg i martwym wzrokiem spozierasz.

–Co oni tak naprawdę myślą?

Uwen zamyślił się na chwilę.

–Nie słyszałem na własne uszy żadnej wzmianki o tobie. Nie mnie pytać kapłanów, ja nic nie wiem. Może mistrz Emuin coś tam wie. Jestli jakoweś zło w owym szarym miejscu?

–Tak, ale nigdy nie pozwolę, by się stamtąd wydostało, Uwenie. Nigdy nie pozwolę, by się zbliżyło do ciebie albo do Cefwyna. Albo nawet do lorda Prichwarrina, który nie oddał mi dotąd najmniejszej przysługi. Zło nie zawsze tam mieszka. Chociaż chwilowo nieobecne, zawsze może się zjawić, żeby schwytać mnie, moich przyjaciół i każdego, kto mi pomaga. Ale wierz mi, nigdy na to nie pozwolę. I żadne zło nie wynika z mojej magii, którą stosuję tylko dla obrony przed tym, co mi zagraża, a z czym walczę z całej mocy. Oto cała prawda o szarym miejscu.

–W to nie wątpię, panie. Gdybym mógł do miejsca owego czarownego wejść i stanąć tam przy tobie, chwili bym się nie wahał.

–Ależ stoisz przy mnie, Uwenie, naprawdę. Wystarczy, że jesteś w pobliżu. Dodajesz mi sił. Jak Cefwyn czy Emuin. A przede wszystkim czynisz mnie mądrzejszym.

–Aż taki mądry, panie, to ja nie jestem. Dobrze to się że ty i mistrz Emuin baczyście, co się w miejscu tym magicznym wyrabia, bo mało co na tym świecie wyrabia się po myśli człeka prostego. Ale na miłość boską, o miejscu tym nie napomykaj przenigdy Jego Wysokości. Mądrześ postąpił, rzecz tę utajniając. Ja bym się dwakroć, co mówię, trzykroć najprzód namyślił, nim bym z gardła w ważkiej sprawie słowo przy nim niedbałe wydobył, niechby człowiekiem był najzacniejszym. Szkopuł tkwi jeno w tym kapłanie, co Jego Wysokości na ucho podszeptuje.

–Będę bardzo ostrożny – obiecał Uwenowi, mając nadzieję, że tak było dotychczas. – Szczególnie w czasie święta trzech groszy. Chociaż to; czego ode mnie oczekują, nie wydaje się zbyt trudne.

–Dyć nawet szkraby dają sobie z tym radę. Po błogosławieństwie przechodzisz mimo ołtarza, grosiki wrzucasz, kłaniasz się Jego Świątobliwości, znowuż cię błogosławią... Potem wzdłuż środkowej nawy do drzwi nawracasz i opuszczasz świątynię. Na przedzie król postępuje, ty zaraz za nim, a cały lud drepcze z powrotem do Guelesfortu. I to by było na tyle. Niby trza się cały dzień modlić, ale komu by się chciało? Każdy głównie pije na umór, je za dziesięciu i tańczy przy dożynkowym

ogniu, póki nie ostanie się jeno popiół, a bębniarze i kobziarze nie padną z wyczeipania.

–Dzieci z Wys nie boją się mnie już tak bardzo. Ale nadal uciekają.

–Maluchy zawsze uciekają. Są płochliwe i lekkomyślne niby owce. To samo z mieszczuchami. Mądrości u nich nie więcej niż u chłopów z Wys. Lepiej nie wychodzić na dwór. Za dużo piwa leje się w czasie uczyty. Niektórym coś głupiego do łba strzeli i będziesz musiał w żaby ich zamieniać, godny uczynek tym spełniając.

Tristen cieszył się, ilekroć Uwen sobie z niego żartował.

–Chyba masz rację.

Rozdział szósty

Już kilka dni wcześniej nadproża domów i sklepów obwieszono wiankami zjęczmiennej słomy. Słomiane wieńce przyozdobiły również okute żelazem dębowe podwoje Guelesfortu, słomą wyścielano bruk na drodze przemarszu procesji. Wyznaczoną ścieżkę przemierzał cały dwór: na początku szedł król wraz z regentką, potem księżę Efanor, diuk Guelessaru. – Za nim maszerował lord kanclerz Brysaulin, dalej zaś, w ustalonej protokołem kolejności, pozostali lordowie w towarzystwie dam, rodzin i sług. Gwardia Królewska uformowała po obu stronach szpaler pomiędzy bramą a wzniesioną nieopodal quinaltyńską świątynią. Zza pleców żołnierzy motłoch przyglądał się procesji.

Poza utworzoną z gwardzistów barierą pospólstwo taszczyło w stronę placu rozmaite ciężary. Ktoś dźwigał na ramieniu kosz z patykami, kto inny złamane koło – mieszczanie znosili drewno i słomę do podsycenia wielkiego ognia, mającego zapłonąć podczas ceremonii na placu przed świątynnymi schodami. Kiedy korowód dotarł na miejsce, poza linią żołnierzy ukazał się stos dwukrotnie wyższy niż zeszłego dnia. Ogień miał pochłonąć nagromadzone w ciągu roku śmieci i odpadki, zapowiadając nadejście przesilenia, niszcząc przy okazji grzechy i złe wspomnienia.

Tak powiedział Uwen zeszłego wieczoru przy kolacji... Pospolici mieszkańcy zapewniali sobie tym sposobem pomyślność w przyszłym roku. Tristen medytował nad tą sprawą w czasie przemarszu procesji, ubrany w srebrnoczarny świąteczny strój; Uwen założył swoje najlepsze czarne aksamity, będąc teraz przybocznym sługą lorda, a więc uprawnionym do przebywania pośród najznamienitszych osobistości kraju.

W dworskim następstwie rang pan fortecy Ynefel oraz ruiny starej stolicy zajmował pozycję – jak argumentowano – ostatnią w korowodzie lordów, poza miejscem, które należałoby się zapewne Amefel, najmniejszej z prowincji Ylesuinu, gdyby w ogóle miała namiestnika mogącego reprezentować ją podczas ceremonii. Protokół

uroczystości nie uznawał w Tristenie oficera królewskiego, choć przypuszczalnie taka godność najbardziej pasowała dla lorda strażnika Ynefel, obrońcy marchii, władcy bez ziemi.

Jako lord Ynefel nie mógł zostać umieszczony przed diukiem Murandysu; nie mógł zostać umieszczony przed którymkolwiek z północnych baronów. Nie wolno było przykładać wagi do czarnoksięskiej wieży.

Po uformowaniu kolumny okazało się jednak, że Tristen nie będzie maszerował na szarym końcu. Za nim następowali chorążowie miejskich dygnitarzy, czerwienią kłębiła się wielka, jedwabna chorągiew miasta Guelemary ze złocistym wizerunkiem wieży. Przed Tristenem i Uwenem łopotały sztandary: jeden z gwiazdą i wieżą Althalen, drugi z sihijską gwiazdą, symbolem Ynefel.

Chorągwie niosła para weteranów, nie Lusin czy przydzielani Tristenowi na co dzień gwardziści, czego się spodziewał, ale dwóch ludzi przysłanych przez Cevulirna, Ivanimow pragnących przypodobać się swemu diukowi oraz, przypuszczalnie, z chęcią dźwigających sztandary ku chwale południa (tutaj z rzadka głoszonej), a zwłaszcza dla upamiętnienia bitwy nad Lewenbrookiem, gdzie żołnierzy z północy było jak na lekarstwo.

Znajdowała się tu również, znacznie dalej na przedzie, llymaryńska zielona chorągiew Sulriggana, który poprzedzał swego bratanka Edwyna... Tristen gubił się jeszcze w zawiłościach protokołu, niemniej zauważył ową uprzywilejowaną pozycję Sulriggana, zadrę w sercu Cevulirna i Cefwyna, a może też wszystkich środkowych prowincji – krainy jabłek, jak je nazywali żołnierze.

Nauczył się rozpoznawać poszczególne chorągwie: Guelessaru – czwórdzielną z naprzemiennymi wizerunkami smoka Marhanenów w czerwonym polu i złocistego emblematu quinaltynow w polu czarnym; Elwynoru – czwórdzielny, z czarnobiałą szchownicą i złotą wieżą naprzemiennie z błękitnymi polami; Murandysu – ze złotym quinaltynskim emblematem w błękitnym polu, ze złotym skosem i srebrną podstawą; Llymarynu – zieloną, z czerwoną różą tego rodzaju; byłaby to róża w koronie, gdyby dziadek Llymaryna znalazł wcześniej większą liczbę stronników niż Marhanen (w rzeczywistości nad różą pojawiała się ongiś korona, którą wszakże usunięto dyskretnie, gdy Lanfarnesse, Murandys i dowódcy innych wojsk złożyli przysięgę Selwynowi Marhanenowi z Guelessaru).

Był też złocisty snop ze skosem i półksiężycem Marisalu, było lśniące słońce Marisynu w błękitnym polu, a także pięść i miecz Ryssanda wśród krwistej czerwieni, ciemny lazur Nelefreissana z białym kręgiem... w pstrych gąszczu sztandarów Isina i Ursamina, Teymeryna, Carysa, Panysa, Sumasa i Osenana. Po ciemnej chorągwi Osenana następował sztandar Cevulirna z białym koniem Ivanoru – jedyny sztandar z południa, jeśli nie liczyć dwóch czarnych chorągwi Ynefel i Althalen; Althalen nie

stanowił już królewskiej prowincji, a tylko dystrykt wewnątrz Amefel.

Gdy wstąpili na schody wiodące do świątyni, zagrzmieli trębacze. Zaczęto wytykać w zdumieniu palcami czarną sihijską chorągiew, przy czym gapie stojący po bokach czynili znaki przeciwko złemu, podobnie jak przedtem żegnali się gorliwie mieszkańcy Wyson-Cressit.

Rozbrzmiały dzwony, kiedy Cefwyn i Ninevrise weszli do środka – Cefwyn nieco wysunięty przed regentkę. Lordowie wraz z chorążymi maszerowali w górę pomiędzy rozstawionymi na stopniach przeciwstawnymi liniami Gwardii Królewskiej i Księżęcej, a jaskrawa czerwień ich ubrań odbijała się na tle wzniesionych wysoko jęczmiennych wiechci tudzież rozmaitych złocistych i brązowych świadectw żniw i jesieni. Sztandary znikwały rzędem w świątyni za baronami. Gdy Tristen mijał w ślad za pozostałymi lordami posępne dębowe drzwi, chorążowie ustawiali się wokół wspartego na kolumnach centralnego pomieszczenia świątyni.

Lordowie i ich kapitanowie szli prosto przed siebie. Tristen kroczył tuż za Cevulirnem, przemierzając główną nawę strzelistej świątyni, wzdłuż ściśniętych po obu stronach sztandarów. Wpadające przez rząd strzelistych okien promienie słońca rozcinały ukośnie przestrzeń zasnutą dymem kadzideł, świec i lampek.

Uwen zajął przynależne mu miejsce w ławkach kapitanów. Tristen, do czego obligowała go złożona obietnica, szedł dalej za lordem Cevulirnem w duszących kłębach kadzidłowego dymu. Kiedy Cevulirn przystanął na boku w szeregu zgromadzonych, i on poszedł za jego przykładem, ostatni w tym szeregu, najbliżej przejścia między ławkami. Wszyscy stali. Przed nim były tylko dwa rzędy ławek; zza pleców Panysa i Nelefrefssana dostrzegwał prezbiterium. Na usytuowanym pośrodku stole znajdowały się złote talerze, naczynia, rzędy świec. Ołtarz – objawiało się Tristenowi Słowo. Na lewo i prawo oraz wokół jego krawędzi widniały dekoracje z dębowych gałązek. Na paterach piętrzyły się stosy jabłek i żołądzi, po całym obrusie rozsypano bezładnie orzechy i ziarno.

Gdzieś z boku, przy delikatnym dźwięku dzwonków, wynurzył się patriarcha, by srebrną łyżką skropić wodą z niewielkiej czarki ziemię przy narożnikach ołtarza. Zabiegi te nabrały raptownie sensu, jakby rytuał ów nawiązywał nie tyle do bogów, co do Linii na ziemi.

Uwen twierdził, że nie będzie żadnej magii, a przecież kropienie wodą posiadało magiczne odniesienie. Także rozmieszczenie Linii. W czasie obrzędu patriarcha wędrował tam i z powrotem, wytyczając własną-Linię, przestępując ponad główną istniejącą już Linią, co uważne oko łatwo mogło dostrzec.

Tymczasem patriarcha nie postępował jak ktoś, kto chce, by Linie stanowiły zaporę dla Cieni. Istniało pięć, nie, sześć uprzednio wytyczonych Linii, odchodzących ukośnie od tego, co teraz budował kapłan. Ledwie patriarcha powołał do życia swoją Linie, Tristen dostrzegł wyraźnie wszystkie pozostałe. Każda z nich lśniła innym blaskiem. Tristen stał obok Cevulirna ze splecionymi palcami i mocno zaciśniętymi ustami, by nie wyrwały się z nich słowa protestu przeciwko owej bezmyślności. Bezpośrednio przed nim stał Panys, a w pierwszym rzędzie Cefwyn. Cały dwór, kapitanowie i oficerowie, wszyscy czekali w milczeniu i w poszanowaniu tego miejsca i dokonujących się w nim nader dziwnych rytuałów.

Kapłani wnieśli dymiący piecyk i wsypali do środka kadzidło; wnet po świątyni rozeszły się tumany gryzącego dymu. Tristen usiłował opanować łaskotanie w gardle, choć niektórzy lordowie kichali, zakłócając ciszę dźwiękami odbijającymi się niemiarem echem od sklepienia i kolumn świątyni.

Patriarcha wciąż spacerował tam i z powrotem, układając nową Linie poprzecznie do poprzedniej, przy czym nie zwracał najmniejszej uwagi na mieszkające pod spodem Cienie, czy to rozmyślnie, czy też przez nieuwagę. Sprawa ciągłości przedstawiała się najgorzej tuż obok ołtarza: wyrwa stanowiła furtkę dla Cieni w oczach kogoś, kto szukałby sensu w siatce poszarpanych Linii; Tristen odwrócił oczy, zdecydowany nie patrzeć na razie ani w jednym, ani w drugim świecie. Cienie tam były, kłębiły się chaotycznie... Może nawet Selwyn Marhanen? Mógł naciskać, by się wysunąć na czoło. Tristen wolał jednak nie dochodzić ich tożsamości. Nie wiedząc, czy wszystkie Cienie były kiedyś żywe, teraz tym bardziej nie chciał o tym rozmyślać.

Nie chciał patrzeć, ale też nie chciał przymknąć powiek mimo szczypiącego w oczy dymu. Słuchał, jak patriarcha podsumowuje wypadki mijającego roku, słuchał o upadku Ynefel i o przejawach nikczemności w Elwynorze – nie mógł za nią winić Ninevrise, gdyż dopuścili się jej rebelianci, lecz słuchacze mogli odnieść mylne wrażenie. Jego Świątobliwość mówił o wielkim Cieniu, bitwie nad Lewenbrookiem i zmaganiach z ciemnością. Potem wyjaśniał wszem wobec sens zbliżających się doniosłych wydarzeń. Padały poruszające słowa o odwadze, słusznych celach i wypełnianiu bożej woli.

Czyżbyście nie widzieli Cieni? – zastanawiał się Tristen ze zgrozą. – Żaden z was ich nie widzi?

Patriarcha przemawiał na temat dostatku, udanych zbiorów, jak to bogowie wywyższyli Ylesuin i jak odsłonili swoje prawdy jego ludowi, który ma ich specjalne błogosławieństwo, zatem obowiązany jest okazywać pokorne i szczodre serce. Jego Świątobliwość oświadczył, że dopóki dary będą płynąć obfitą strugą do świątyni, a ludzie – po bożemu obchodzić święto plonów, nie oddając się pijaństwu ni rozpuście (owo Słowo przywodziło szereg frapujących obrazów), oraz odrzucać nie pochodzące od bogów oferty władzy, dopóty będzie im się wiodło.

A co z Ninevrise? Co z pomyślnością Elwynoru? – zapytywał się Tristen. Czyżby oferty władzy pochodziły od bogów? – dumał. Doskonale pamiętał jedną, której nie złożyli bogowie, kiedy Hasufin Heltain wyłonił się z mroku, by zwieść na złą drogę lorda Aseyneeddina z Elwynoru. Hasufin próbował zwieść samego Mauryła, lecz nadaremnie. Był bogiem czy Cieniem?

Nie folgujcie beztroskim zapędom, napominał Jego Świątobliwość. Starajcie się być świętymi. Bądźcie rozważni i zachowujcie trzeźwość.

Rozwodził się sugestywnie na temat zwycięskiej wojny... lecz jego słowa byłyby dla Tristena znacznie bardziej przekonujące, gdyby miał choć cień pewności, że ów człowiek zdaje sobie przynajmniej sprawę z istnienia innych wielkich Linii pod tym bożym przybytkiem. Jego Świątobliwość mówił o poszukiwaniu mądrości, a wciąż przekraczał ową pojedynczą Linie, denerwująco wykoślawioną względem Linii, którą niegdysiejszy Murarz wyznaczył w zgodzie z ukształtowaniem gruntu. Jego Świątobliwość bez ustanku utwierdzał tę nową Linie swymi staraniami, kadzidłem i czystą wodą, intencjami i udowadnianiem swojej obecności, a nade wszystko poprzez wypaczanie lśniącej błękitem smugi, wytyczonej z uwzględnieniem ukształtowania terenu i wzgórza.

Coraz większe wzburzenie i niecierpliwość ogarniało Cienie wobec tego zachowania Ludzi ponad nimi. Tristen musiał się hamować, gdy szara przestrzeń z ciągle większą siłą zabiegała usilnie o jego uwagę. Ilekroć muskał spojrzeniem lordów, Cefwyna bądź Ninevrise, dostrzegał kątem oka kłębowisko Cieni. Szarpały nim coraz poważniejsze wątpliwości, czy coś mu nie zagrozi w tym miejscu, jeśli zacznie wystosowywać niezrozumiałe życzenia pomyślności dla króla i bezpieczeństwa dla Ylesuinu, nawet na żądanie patriarchy. Nadal nie rozumiał, do czego patriarsze służą jego inkantacje. Wszelkie działania związane z tą błędną Linie, o ile w grę wchodziła pomyłka, osłabiały, a nie wzmacniały Linie powstrzymujące napór Cieni, które zaczęły już rozlewać się wzdłuż lśniących czerwieni, różów i zszarzałych

błękitów pomniejszych pasm, myszkując wzdłuż ich krawędzi, pogłębiając zamęt.

Wtem doznał wrażenia, że rozumie, co rozgrywa się przed jego oczyma. Murarze zaplanowali ongiś rozkład Linii quinaltynskiej świątyni oraz wytyczyli Wielką Linie, gdzie miały stanąć mury, zabezpieczając miejsca pod przyszłe drzwi i okna. Gdyby tylko starych Linii nie uzupełniły potem nowe, wszystko byłoby dobrze. Cienie by je opływały, ograniczając się do pozostawionych im drzwi i okien. Tymczasem późniejsi Murarze wykreślili z jakiegoś powodu Linie tam, gdzie przedtem stało nieznane dzieło pierwotnego mistrza murarstwa, którego nikt nie powinien był usuwać albo które zostało niewprawnie zabrane lub przerobione. Ci drudzy Murarze nie dokonali tego tylko raz, lecz wiele razy, popełniając zapewne błędy. Słabo obeznany z miejscami na ziemi, Tristen po raz pierwszy spotykał się z podobnym przypadkiem; mniemał, iż to stąd bierze się niepokój, jaki zawsze odczuwa w tym budynku. Linie na ziemi zostały pomieszane przez kolejnych kamieniarzy, a dodatkowo zagmatwane przez Jego Świątobliwość, który nie miał zielonego pojęcia, co robi. Guelesfort nigdy się nie zmienił, takie odnosił wrażenie, wszelako świątynia quinaltynow u swego zarania wyglądała inaczej i nikt od tamtych czasów nie zaprowadził w niej porządku.

Co więcej, przez długie lata kapłani usiłowali swymi obrzędami wprowadzić nowy układ Linii, obok przepierzenia w budowli, gdzie kiedyś na jednym poziomie były drzwi, a wcześniej również stał mur, i gdzie wreszcie, w najdawniejszych czasach, przebiegała ściana z drzwiami i oknami. Wszędzie wokół tej wielkiej sali ściany zasklepiały otwory. To, co miało w zamierzeniach umożliwić Cieniom wolny przepływ, okazało się

dla nich pułapką, zostały zamurowane. Powstały kieszenie pełne zrozpaczonych dusz, które trzepotały się i walczyły poza sztandarami i koszykami żołądźmi na stole, a zwłaszcza tam, gdzie przedostatnia renowacja zaowocowała przypadkowo powstaniem przejścia.

Tristen nie widział już kadzidła ani rozjaśnionych blaskiem świec kamieni. Obserwował pasma błękitnego światła i sunące wzdłuż nich grupki rozwścieczonych Cieni – ruchomej, jęczącej ciemności, usiłującej trzymać się nowej, mylnie wytyczonej przez kapłana Linii, która nie dochodziła do zapory ustanowionej na niegdysiejszych drzwiach, stanowiła więc nader niepewną barierę.

Cóż za głupota, pomyślał. Tutaj drzemała moc, nie przejawiająca się co prawda zbyt wyraźnie, na darmo więc patriarcha chodził tam i z powrotem, obdarzony jakże wątłymi siłami, wabiąc Cienie to na jedną stronę, to na drugą niczym psy kielbasą, rozbudzając w nich pożądanie wolności, by nagle zawrócić i je rozczarować.

Kałusze zadawane Cieniom mogły mieć związek z bogami, istniejącymi z założenia w liczbie pięciu, będącymi w odróżnieniu od Cieni światłością – ich antytezą, czego domyślał się w oparciu o szczerę, acz mętne wskazówki Efanora. Chętnie zasięgnąłby rady Emuina, ten jednak ryglował przed nim drzwi, co mogło, ale nie musiało oznaczać, że właśnie śpi. Emuin podważał owe nauki Efanora, lecz nie wymyślił żadnej wymówki, mogącej im zapobiec. Zachodziła obawa, że nie aprobował również wrzucania monet – Tristen wnosił to z uporczywego milczenia Emuina. Dalej, śmiało – sugerował mistrz swym dziwnym zachowaniem. – Jestem temu stanowczo przeciwny, nie będę się jednak przeciwstawiał twojej ciekawości czy namowom

Cefwyna.

Emuin mówił o bogach, zbawieniu, musiał też wiedzieć o istnieniu Linii. Czyżby obie te rzeczy nie wykluczały się wzajemnie? Czyżby w tym bezmyślnym przedstawieniu krył się jakiś sens, a bogowie byli, mimo wszystko, rzeczywistym bytem?

Świątobliwy Ojciec spacerował tam i z powrotem, co Tristen uważał teraz za niedorzeczność. Z drugiej strony, oceniwszy elastyczność Linii i ich pułapek, doszedł do wniosku, iż pomimo całej frustracji i złości Cienie nie mogą na razie myśleć o wyrwaniu się na wolność. Większość z nich była słaba, niezdolna wyrządzić poważniejszą krzywdę nawet po odzyskaniu swobody... Z pewnością żaden nie dokonałby tego za dnia, kiedy ich moc jest osłabiona. Lękiem napawało samo ich nagromadzenie oraz fakt, że Cefwyn stał na samym przedzie, niczego nieświadom. Wątpił, czy Ninevrise, zdolna przecież wejść do szarej przestrzeni, domyśla się czegokolwiek. Jego przypadkowa myśl przeskoczyła nagle do jej umysłu: poczuł zmieszanie regentki i presję otaczających ich Cieni.

Poczuł jeszcze jedną obecność, gdzieś z tyłu. Dostrzegł trzy lub cztery rozjarzone punkty świetlne. Nie Cienie, tylko czarnoksiężski ogień, którego zwyczajni ludzie nigdy nie widywali. Tak okropny strach chwycił go za serce, że złapał się kurczowo poręczy. Niemal wyczuwał Cevulirna... Nie podejrzewał go nigdy dotąd o czarodziejskie zdolności. Nie objawiły się nawet podczas bitwy nad Lewenbrookiem. Obserwując ów przyćmiony ognik, ujrzął Ninevrise niczym białobłękitną gwiazdę, a także, jak zawsze niewyraźną, iskierkę Efanora. Wysoko w górze wyczuwał oddaloną obecność Emuina, sześć lub siedem czyichś bardzo rozmytych obecności zauważył wśród gwardzistów lub

pospólstwa, a jedną między chorążymi gdzieś z boku, także wewnątrz świątyni.

Cóż to takiego? Jak to się stało, że nie zauważył nigdy delikatnej poświęty Cevulirna? A może zaślepiło go straszliwe zagrożenie nad Lewenbrookiem? Czyżby głupstwo kapłana ośmieliło dwie osoby, o których Tristen wiedział, że nie są zwolennikami patriarchy, do rozbłyśnięcia słabiutkimi skierkami? Czy wzniosły w sercach zaporę? A skoro tak, jak on się jawił komuś, komu wzrok pozwalał zajrzeć do szarej przestrzeni?

„Ty płoniesz” – rzekł mu niegdyś Emuin.

Wstrząsały nim dreszcze, gdy patriarcha po dopełnieniu obrzędu podniósł skrzynkę, która miała pomieścić monety i dać im możliwość ucieczki. Kapłan wzniosł wysoko skrzynkę, trzymał ją przed sobą. Uroczysty śpiew kobiet zabrzmiał z siłą, wypełniając echem wielką salę. Wiązki światła przekłuwały gęsty całun kadzidłowego dymu. Nareszcie ceremonia dobiegała końca. Nasamprzód Cefwyn wrzucił pieniądze, potem kolejno Efanor i Ninevrise. Szeregi zebranej arystokracji rozpoczęły śpiewanie hymnu dziękczynnego. Gdy lord Brysaulin odszedł, by wrzucić swój datek, Cefwyn na czele procesji ruszył wśród fanfar ku wyjściu. Z boku doskoczyła szybko ylesuińska chorągiew ze smokiem, potem osobisty sztandar księcia, czarnobiała szachownica i wieża regentki Elwynoru oraz sztandar Guelessaru. W dalszej kolejności dołączali rozmaici oficerowie królewscy, a po nich baronowie. Po przemaszerowaniu obok Świątobliwego Ojca, następni arystokraci powiększali kolumnę, której czoło znalazło się już za drzwiami. ‘

Ruszył się rząd przed Tristenem. Jak tu odnaleźć Uwena?

Przebieg uroczystości sugerował, że kapitanowie powinni starać się podążać za swymi lordami. Bał się popełnienia błędu. Szczerze powątpiewał, czy gdyby przypadkowo zaburzył jakąś magiczną strukturę, Świętobliwy Ojciec zauważyłby cokolwiek, ale jeśli w grę wchodziły rozmyślne czary, każdą pomyłką z pewnością zwróciłby na siebie uwagę.

Cevulirn szedł już do skrzyni, więc i na niego przyszła pora. Odetchnął głęboko, z obawą, życząc sobie nie popełnienia żadnej gafy... mimo że Emuin ostrzegał go przed wyrażaniem jakichkolwiek życzeń. Podążając za lordem, ze wszystkich sił usiłował sobie wmówić, że jest niegroźny i w szarej przestrzeni płonie bardzo, bardzo nikłym światełkiem. Nie chciał błyszczeć jaśniej od Cevulirna i pragnął czynić nie większe od niego zło. W dłoni trzymał garść ciepłych monet. Idąc w ślady Cevulirna, wrzucił datek przez szczelinę w skrzynce, przy czym ani razu nie spojrzał w twarz patriarsze. Pieniądze spadły z metalicznym brzękiem, a wtedy odwrócił się i popatrzył na blask wpadający przez sklezione wysoko drzwi – z ulgą ruszył ku owemu azyłowi.

Szedł za szarym płaszczem Cevulirna w stronę światła, teraz przyćmionego piekącym w oczy dymem. Z boku oderwał się biały koń Ivanoru. Sztandary Tristena płynęły przed nim, czarne przezroczyste welony w bijącym od drzwi blasku. Wyszedł na schody. Z radością wciągnął w płuca czyste, chłodne powietrze.

Na wskroś przesiąknięty zapachami świątyni, nadal szedł za Cevulirnem. Idrys przesłaniał sylwetkę idącego na przedzie króla. Efanorowi towarzyszył Gwywyn, kapitan Gwardii Książęcej. Za nim postępowali kapitan Guelesfortu oraz lord Maudyn, komendant wojsk nadrzecznych, a także reszta kapitanów przed baronami, ich kapitanami oraz arystokracją z samej Guelemary,

tłoczącą się na schodach i poniżej. Dowódcy poszczególnych jednostek dołączyli do swych lordów i na nowo potworzyły się jednokolorowe grupki, aczkolwiek nie mieniły się już w takim jak przed uroczystością blasku słońca: chmury zawisły nad placem, okradając ludzi z cieni. Ledwie ukazały się pierwsze sztandary, zgromadzeni na placu gapie ruszyli do przodu. Wielu przez pewien czas czyniło znaki przeciwko złemu i stroniło od Tristena. Samo niebo wyglądało jak oblane ołowiem, złowrogie – nikt tego jednak nie zauważał.

Kiedy patriarcha wyszedł przed świątynię i stanął na szczycie schodów, Uwen przyłączył się dyskretnie do Tristena, dodając mu otuchy. Starzec zakołysał skrzynką w lewo i w prawo, uniósłszy ją ku posępny, złowieszczym niebiosom.

Nie! – chciał zaprotestować Tristen, gdy pospolity lud i arystokraci równocześnie podnieśli wzrok. Wyraźnie wyczuwał groźbę, nie widział tylko jej źródła.

Patriarcha opuścił skrzynkę, a wtedy wyłoniły się ze świątyni dwa rzędy kapłanów, z których każdy niósł naręcze patyków, i ruszyły przez plac. Czyż Uwen nie powiedział, że kapłani są przeciwni ognisku? A mimo to przynieśli patyki i cisnęli je na stos. Towarzyszyły temu spontaniczne okrzyki.

–Po co te kije? – zapytał Uwena wśród hałaśliwych owacji.

–To grzechy lordów. I stare, popsute rupiecie. Wszystko w ogień idzie, panie.

–Moje grzechy też? – spytał z nagłą, irracjonalną nadzieją na naprawę tego, co było dlań nieosiągalne: rzeczy będących

dziełem jego umiejętności, nie wypełnionych zadań, lęków sprowadzonych na ten kraj i oczekiwań innych ludzi, którym nie wyszedł naprzeciw. Wiedział, że jest wypaczony. Mauryl od początku tak mówił. A Emuin na ogół odmawiał mu nauki. Czy powinien szukać dla siebie nadziei gdzieś pomiędzy bogami Efanora a paleniem grzechów?

W tejże chwili zerwał się srogi, mroźny wicher, szarpiący sztandary i płaszcze.

Uwen nieprędko odpowiedział na jego bezmyślne pytanie.

–Przewiny twoje, panie, niczym wielkim nie są, gdyby cię porównać z innymi, o których tu lepiej przemilczę. – Jeżeli był sihhijskim lordem, o co go niektórzy posądzali, jeżeli był Barrakkethem, czyż wobec tego nie miał grzechów? A nawet jeśli Mauryl nie Zawezwał sihhijskiego lorda, czyż nie był wypaczony? Przecież książeczka Efanora stawiała znak równości między skazą i grzechem. Uwen nie miał racji.

Uwen przybrał jednak lżejszy ton, gdy z niezrozumiałych dla Tristena powodów ze wszystkich stron rozlegały się gwary i wesole okrzyki.

–By rzec prawdę, panie, nie wiem, czy palenie, ale otwarte spusty piwa, tańce i swawole to najlepsze lekarstwo na schorowaną duszę. Jeno niech deszcz nie lunie, a ludzie podeszwy do rana w tańcu zedrą, piwem obficie zakrapiając. Święci bogowie, puszczzone dzisiaj z dymem grzechy jeszcze się nie zdarzyły.

Huknęły trąby i lordowie skręcili w ślad za królem, ruszając w

kierunku Guelesfortu.

Z każdym krokiem oddalającym go od quinaltynskiej świątyni Tristen odczuwał większą ulgę. Piwo płynęło już szeroką strugą, o czym się przekonał, omiótłszy wzrokiem skraje placu, gdzie ustawiono ogromne beki, które już podczas królewskiej ceremonii przyciągnęły całkiem sporą gromadę zapaleńców. Kiedy zamilkły trąby, w oddali uliczny bębniarz i flecista podjęli żywą melodię. Rytmiczne dźwięki fletu podnosiły na duchu. Wystarczyło patrzeć przed siebie, by zapomnieć o znakach ochronnych, jakie ludzie czynili na jego widok, oraz o gmatwaniu Linii i uwięzionych Cieniach. Czyżby Emuin ich nie widział?

Z drugiej strony, Emuin był Człowiekiem. Wszyscy prócz niego... byli Ludźmi.

Najego szyi wisiał quinaltynski medalion. Ani razu nie pomyślał o nim w czasie trwania ceremonii. Nie poczuł, by coś oddziaływało na niego, ale nie poczuł też, by sam wpłynął na cokolwiek. Może tak było lepiej, niemniej ogarniało go coraz głębsze rozczarowanie.

Nie napotkał żadnych bogów, a jedynie nieszczęsne Cienie. Wyobrażał sobie ich szamotaninę w ciągu kilku następnych dni, wysiłki bytów uczynionych częściowo materialnymi dzięki obrzędowi zbierania datków i wzmocnieniu krzywej Linii. Być może spróbują ucieczki zaraz po zachodzie słońca, kiedy światło nie będzie rozpraszać ciemności.

Nic jednak, co zrobił najwyższy z kapłanów, nie mogło ich uwolnić. To właśnie rozpacz owych uwięzionych Cieni

deprymowała go w tym miejscu. To one wypełniały tam ziemię mocą. Cóż to za Murarz dokonał ostatnich przeróbek, lekceważąc wszystko, co zbudowano wcześniej?

Wszelako z jakiejś przyczyny nie runęły mury, nie doszło też do gwałtownego wyzwolenia duchów. Przypuszczalnie ostatni Murarze stanowili lustrzane odbicie patriarchy i kapłanów, pracując na oślep, a może nawet świadomie naruszając coś, co rozebrali z chęcią gruntownego zniszczenia. Quinaltyni tolerowali wyłącznie własne opinie i najwidoczniej łudzili się, że ich wola posiada większą moc sprawczą. W takim przypadku Linie mogły zostać pogmatwane celowo, a widok, który przedstawił się oczom Tristena, mógł odzwierciedlać rzeczywistą naturę świątyni, od jakiej odżegnywał się Efanor, a nawet Świątobliwy Ojciec: świątyni stanowiącej pole walki z Cieniami, pułapkę dla umarłych, mimo że zakonnicy obiecywali stać na straży ich świętego spoczynku.

I w takich okolicznościach Emuin zachowywał rezerwę? W czym wobec tego przejawiała się różnica między Emuinem – kapłanem i czarodziejem – a Efanorem – pobożnym i wyniosłym człowiekiem – wyłączwszy fakt, iż jeden pragnął wiedzieć, a drugi wiczyć, jeden pragnął zachowywać sekrety dla siebie, drugi natomiast szerzyć swe poglądy wśród innych?

Bał się wręcz pomyśleć, że obaj są Ludźmi, jego jedynymi doradcami po odejściu Mauryła. Ogrom ignorancji u jego przewodników przechodził wszelkie obawy.

Minęli bramę Guelesfortu i przecięli dziedziniec, gdzie zebrała się pewna liczba czeladzi i gdzie nieobecna na procesji służba lordów usiłowała znaleźć sobie miejsce pomiędzy łopoczącymi

sztandarami. Lordowie wciąż szeptali do ucha Cefwynowi, nie zważając na pierwsze, zimne krople deszczu.

Tristen nawet nie usiłował podchodzić do otaczającej króla ciżby, ziąb naglił do skrycia się wśród murów. Lusin i pozostali gwardziści odnaleźli wśród zamętu jego sztandar, gdy on sam wraz z Uwenem i dwójką służących ruszył ku schodom. Na podwórku zaroilo się od żon i córek lordówniewiast, które w wytwornych strojach wyszły na chłód i wilgoć. Szybko otoczył ich zgietk kobiecych pisków oraz głosy nawołujące do ucieczki pod dach.

Powinien czuć dumę, pomyślał Tristen, gdyż wszystkich zadowolił i przetrwał ceremonię. Zanim jednak dworzanie umknęli do środka, lunęło jak z cebra. Błyskawica rozświetliła dziedziniec, a z gardeł strojnie odzianych dam i panów dobyły się okrzyki przerażenia – przepychano się i potracano w drodze do drzwi.

Wszelako na schody weszli najpierw Cefwyn, Ninevrise oraz ich gwardziści. Za ich plecami baronowie mokli na deszczu, tocząc spory o pierwszeństwo. Prawdziwa kłótnia rozgorzała, gdy król zniknął za drzwiami.

Tristen wolał nie zmagać się z baronami i ich orszakami, więc stał, owinięty płaszczem, w towarzystwie Uwena, Lusina i reszty służby, choć deszcz padał coraz bardziej rześisty, spływając po włosach, zalewając bruk i ściekając z dachu brudnymi kaskadami.

–Jakiż grzech się w tym spali? – mruknął Uwen. Był to żart, Tristen nie miał wątpliwości, lecz na wściekłym wietrze, wśród

zawodzeń baronów, słowa te nabrały szczególnej mocy.

Rozdział siódmy

– Tak czy siak, miłe to było wydarzenie – stwierdził Uwen, gdy dotarli do swoich komnat. Tassand wyszedł im naprzeciw, by zabrać przemoczone płaszcze, żądny nowin i pełen nadziei, że jeden z rzadkich wypadów ich lorda zakończył się pomyślnie. – Poszło jak z płatka. Nasz pan zachował się bez zarzutu.

Słudzy przynieśli zagrzane przy kominku ręczniki. Stół przybrany odświętnie jabłkami i dębowymi liśćmi został ku radości Tristena nakryty do wystawnego, choć ponad miarę spóźnionego śniadania. Potem, syty i zadowolony, Tristen rozdał ludziom resztę monet, aby i oni mogli jakąś dogodną porą, gdy deszcz nieco ustanie, osobiście złożyć datki.

Święto przeistoczyło się teraz w zwykły, powszedni dzień. Tristen zasiadł do czytania, z ciekawością wertując modlitewnik Efanora w poszukiwaniu ewentualnych odniesień do celowego ciemnienia umarłych, będącego codziennym zajęciem kapłanów, albo przekonujących wyjaśnień wypaczenia Linii w świątyni – nie znalazł jednak niczego, co by choć częściowo rozwiązało jego wątpliwości.

Uwen gdzieś zniknął. Mimo padającego deszczu zszedł prawdopodobnie do stajni, gdzie spędzał większość wolnego czasu, doglądając koni, czesząc i zaplatając im grzywy oraz rozmawiając z nimi – gdy sądził, że nikt go nie słyszy. Troszczył się o Liss i raz po raz zadawał sobie pytanie, czy stać go na jeszcze jednego konia.

Po południu zza chmur wyrzało słońce, oświetlając dachówki. Przez okno wpadł snop światła i prześliznął się po książeczce, ułatwiając czytanie: litery były piękne, lecz przy słabym świetle niewyraźne – ręka kopisty nie zaniedbała żadnego ornamentu. Tristen medytował nad istotą bogów, gdy tymczasem służący wchodzili i wychodzili, aby podtrzymać ogień w kominku, uprzątnąć sypialnię i wykonać wiele innych tajemniczych zabiegów, dzięki którym tutejsze komnaty były znacznie czystsze od tamtych w Ynefel, a do połowy wypalone świece zamieniały się cudownie na świeże.

Znużony modlitewnikiem, sięgnął po informacje o quinaltynach zawarte w Czerwonej kronice – użyczonej mu przez Cefwyna księdze historycznej, pełnej opowieści o zdradach Sihhijczyków, kaźni i ogniu, o pierwszym wzniesieniu sztandaru Marhanenów na królewskiej uroczystości.

Na krótko przed zachodem słońca znów nadciągnęły chmury i zgasł padający na ścianę snop światła. Deszcz ściekał po szybach. Tristen próbował uchwycić umykające mu wspomnienia, kiedy przy wtórze gromu pojawił się Tassand.

–Panie, zapewne nie zechcesz uczestniczyć dziś w uczcie.

–Nie, nie zamierzam – odparł, rozmyślając przez chwilę o służących i o ich opadłych z trudów ramionach. – Tassandzie, czeladź powinna zejść dziś na plac, by tańczyć i pić do woli, lecz pada deszcz. Jak wygląda niebo?

–Ściemnia się od zachodu, panie. Wobec takiej szarugi czeladź myśli baryłkę w swych kwaterach odszpuntować, za przyzwoleniem Waszej Miłości.

–Chętnie się zgadzam.

–Panie.

Tassand odszedł zadowolony – Tristen nigdy nie odmawiał swoim służącym i teraz był pewien, że Tassand z góry wiedział, iż może liczyć na pobłażliwość swego pana. Tristen powrócił do książeczki Efanora, tym razem w blasku świecy; przez cały dzień nie znalazł niczego na temat rozmyślnych pułapek z wyjątkiem wołania do bogów, by „zbawili nasze dusze od złego”.

Czyżby kapłani wierzyli, że dusze zmarłych quinaltynów są bezpieczniejsze w tym mętliku, w tym nieskończonym labiryncie, to udostępniającym drzwi, to znów zamykającym je następną wypaczoną Linią Murarzy? Byli w błędzie.

Książeczka mówiła także o mękach piekielnych dla grzeszników. A może Linie wytyczano właśnie z myślą o piekle?

Kiedy posępny zachód słońca barwił niebo za oknami, powrócił nareszcie przemoczony Uwen.

W izbach czeladzi powstał zamęt i oto rumiani służący wnieśli pod nadzorem Tassanda wykwintne dania na kolację dla Tristena i Uwena, mające wedle zapewnień pochodzić z odbywającej się na dole królewskiej uczyty, zwłaszcza zachwalana przez Tassanda szynka.

–Czy wolno nam zabierać te rzeczy? – zdziwił się. Słudzy starali się, jak mogli. Zdawał sobie sprawę z ich zmartwienia faktem, że ich pan nie jest mile widziany na sali bankietowej. Mgliste przypuszczenie podpowiadało Tristenowi, iż Tassand mógł

dopuścić się jakiegoś brawurowego czynu, stąpając na krawędzi królewskiej tolerancji – a w szczególności tolerancji kuchcików.

Tassand pominął milczeniem jego pytanie. Kilku podchmielonych służących miało bardzo wesołe miny. Ustawili na stole dwukrotnie więcej niż zwykle potraw, rozestali wokół talerzy więcej dębowych liści (niektóre zapewne skradli z parapetów pod oknami lub wyszukali na dziedzińcu: na wysokości Guelesfortu nie rósł żaden dąb) i wnieśli obfitą ilość wymyślnie zaplecionych, gęsto posypanych makiem chałek.

Uwen tymczasem pokazał mu, jak to w czasach, gdy był chłopcem, rozplatano przy jedzeniu chały i jak to jedne wstęgi oznaczały łaskawy los, drugie długie życie, inne natomiast zapowiadały udane zbiory. Mówił też, dlaczego wewnątrz pojedynczej chałki pieczono w całości jabłko.

–Żeby w bród ich było w nadchodzącym roku.

–Czy to pozwala mieć pewność? – zapytał Tristen. Wydawało mu się, że to dobry początek. Uwen rozplótł kawałek makowej chałki i owijał nią plaster szynki, kiedy po raz kolejny rozbrzmiał huk gromu, wróżąc deszcz ludziom bawiącym się pod gołym niebem.

–Rzecz to bezwzględnie pewna – odparł kapitan. W izbach służby rozlegał się raz za razem wybuch nieprzyzwoitej wesołości, a zarazem tłumione: „ciszej, ciszej”. Podano następne danie.

Tristen nie tęsknił bynajmniej za tańcami, które prawdopodobnie nie odbędą się na placu, jeśli deszcz przybierze na sile. Nie

tęsknił za bankietem w wielkiej sali, gdzie obecni byli Cefwyn i Ninevrise; dzięki swej służbie mógł smakować równie wykwintne potrawy. Tego wieczoru łatwo poddawał się melancholii, rozpamiętując z rozrzewnieniem dni spędzone w Amefel. Wiedział, że nie ma powodu do szczególnych zmartwień. Podano mu wystawną kolację, cieszył się szacunkiem służby i łaską króla... Kiedy jednak pomyślał o damach przybranych w jaskrawe suknie, połyskujące przepięknie w blasku świateł podczas tańca, zaczął dumać o zabawach na dole i wyobrażać sobie dźwięki muzyki, której nie mógł usłyszeć. Wspominał przy tym równie uroczysty wieczór w Amefel, kiedy to podeszła doń pewna ciesząca się złą sławą duchessa.

Teraz już wiedział, jak głupio się wtedy zachowali, on i lady Orien. Wzdychał, marząc o możliwości ubiegania się o względy damy.

Jakkolwiek Ninevrise stanowiła dla niego wzorzec wszystkich prawdziwych dam, wspominał melodię tamtej nocy, śliczną twarz i białe ramiona lady Orien... oraz jej piękne włosy. Nadzwyczajnie rude, współgrające z ciemną zielenią As wyddów. Skórę miała śniadą, a suknia ukazywała mu wyraźnie cuda kobiecej sylwetki.

Skoro owego wieczoru wpadł w sidła Orien Aswydd i tylko z najwyższym trudem ocalił swą niewinność... jeszcze wtedy niewinność... równie dobrze i tego wieczoru mogły zostać zastawione nań na dole, wśród zebranych, pewne pułapki. Tak więc powinien czuć się zadowolony, siedząc przy własnym stole. Z pewnością nie tęsknił, przykładowo, za lordem Prichwarrinem z Murandysu, człowiekiem popędliwym i niemiłym w obejściu, czy też za lordem Corswyndamem z Ryssandu, który nie taił swojej niechęci do Tristena.

Między damami będzie wszak Ninevrise, a ją by chętnie zobaczył... Nie mógł się jednak przy niej pokazywać ani nie mógł, rzecz jasna, zbliżyć się do Cefwyna. Podobnie jak jego służący po wypiciu zbyt wielu kufli parskali śmiechem i stawali się radośnie bezmyślni, również między gośćmi Cefwyna odpowiednia ilość wylanego piwa mogła ośmielić niektórych do grubiaństwa, a to wśród Ludzi rodziło konieczność obrony, wobec czego musiałby zabić winowajcę.

Co z kolei oznaczałoby smutne zwieńczenie uroczystego wieczoru, toteż bezmyślną była już sama tęsknota za odbywającymi się na dole zabawami.

Spojrzał na okna okryte czarną zasłoną nocy. Blask ognia oblewał mury.

–Wygląda na to, że udało im się wreszcie rozpalić ognisko – zagadnął Uwena.

–I to przed samym zachodem słońca. Tako rzekł Tassand. Cały dzionek płachtami stos nakrywali i teraz nawet deszcz ognia nie zagasi, jeśli płomień mocno do góry pójdzie i jeśli dopisze im szczęście.

–A więc grzechy się jednak spalą. – Kiedy podszedł do okna z delikatnymi, czystymi szybami z niewielką ilością bąbelków, ujrzał Jak odbijają promieniującą z placu poświatę. – Rzeczywiście im się udało. Blask dociera do wszystkich murów.

–Rzecz to zwyczajna – stwierdził Uwen, stając obok niego.

Przyszło mu do głowy, że gdyby otworzył mały lufcik, mógłby

usłyszeć muzykę, aczkolwiek deszcz napadałby do środka i służący musieliby później wszystko ścierać.

–Możesz zejść na plac, jeśli masz ochotę – zaproponował kapitanowi.

–Ja, panie? O, nie.

–Nalegam. Potem mi opowiesz, jak było. Weź z sobą Lusina i innych i zejdźcie na dół. – Pomyślał o starcu, którego dni i noce uległy pomieszaniu, tak że budził się na ogół wieczorem, by patrzeć w gwiazdy, raczej niewidoczne tej burzliwej nocy. – Mogę pójść na górę do Emuina i zanieść mu śniadanie. Przysięgam, że nie pójdę nigdzie indziej.

Oczy Uwena skrzyły się wesoło.

–Ostanę, panie, bom przysięgą związany. To samo Lusin. Nie zbraknie nam tu piwa, jeśli wola. Starczy tego, by godnie świętować. A do starego mistrza wszyscy razem pójdziemy z wizytą.

Uwen, złożyłwszy mu przysięgę, nie mógł teraz pozwolić, by wychodził w nocy bez obstawy, natomiast Lusin, zaprzysiężony przez Cefwyna, opuszczeniem posterunku srodze rozgniewałby króla. W tej sytuacji gwardziści musieli wszędzie mu towarzyszyć... Tym bardziej że, jak przypuszczał, niekiedy udawał się samotnie do wieży Emuina. Upór Uwena nie dziwił wobec liczby wążających się po Guelesforcie ludzi. Gdyby, korzystając z posiadanej władzy, zwolnił Lusina wraz z pozostałymi, prawdopodobnie stanęliby za drzwiami, ażeby zagrozić mu drogę, powołując się na rozkazy Cefwyna.

Pogoda uniemożliwiła Emuinowi prowadzenie obserwacji, istniała więc możliwość, że starzec będzie dysponował wolnym czasem.

–Tassandzie, przygotuj koszyk dla mistrza. A może już mu go zanieśli?

–Nie, panie – odparł sługa. – Został na wszelki wypadek.

Przewidywali jego decyzje, zanim je podejmował. Był z tego powodu zadowolony, poirytowany, ale przede wszystkim rozbawiony. Polubił Tassanda i cały personel, cierpliwie znoszący jego dziwactwa i potknięcia, a także dopuszczający się niegodnych swawoli (nawet teraz z sąsiedniej komnaty dolatywały okrzyki wesołości). Aczkolwiek sam ich przecież zachęcał.

Być może mistrz Emuin odprawi go z kwitkiem; zeszłego wieczoru nie otworzył nawet drzwi, żeby przyjąć jedzenie.

Tym razem jednak Tristen postanowił tak długo stać pod drzwiami, aż Emuin zaprosi go do środka. Skoro Tassand przygotował specjalną ucztę, Emuin musiał wziąć w niej udział.

–Przynieście go – nakazał. Koszykowi towarzyszył pełen antałek piwa. A zatem jego gwardziści i służący, nawet on sam, zawiązali spisek, aby przenieść świąteczną ucztę do mistrza Emuina. Przemilczał kwestię antałka, tylko zapakował kilka błahych skarbów, które odłożył dla starca. Z determinacją i w wesołym nastroju osobiście wziął koszyk i opuścił komnatę u boku Uwena, zbierając po drodze Lusina i pozostałych strażników.

Uwen dźwigał antałek, a trzech gwardziści człapali ciężko z tyłu, brzęcząc bronią – nieśli drugi koszyk, pełen ciastek z makiem, które jakimś sposobem weszły w skład zestawu śniadaniowego Emuina. Do sporego koszyka z ciastkami zmieściło się także kilka kielichów. Na dnie zapewne leżały słodczyce. Gwardziści z nadzwyczajną radością otworzyli drzwi prowadzące na pełną przeciągów klatkę schodową.

Emuin nie utrzymywał własnych straży, przynajmniej tych widocznych gołym okiem; ostrzegał go jedynie donośny głos dzwonka, który rozbrzmiewał wówczas, gdy ktoś otwierał dolne drzwi, wiodące do wieży. Dzwonek wydawał z siebie ogłuszający wprost hałas, wystarczający, by wyrwać starca ze snu. Hulał tu ciężki od deszczu wiatr. Komnatę na górze ustawicznie nawiedzały przeciagi. Służący, zanim odeszli, użalali się, że mieszane przez Emuina proszki osiadają na wszystkich książkach i podłodze, a do krokwi lepi się gruba ponad wszelkie wyobrażenie warstwa sadzy. W wieży samoistnie przewracały się stronice ksiąg i służący narzekali, że straszy. Nie działały tu jednak nadprzyrodzone siły, tylko źle spasowane okiennice i ciąg jak w kominie. Na górze zawiewało chłodnym powietrzem, ilekroć otwierały się dolne drzwi, i Tristen rniał tylko nadzieję, iż nie wzburzyły się żadne z wykresów mistrza Emuina, a deszcz nie zamoczył ksiązek. Pragnął, by gwardziści czym prędzej zamknęli drzwi i weszli spiesznie po schodach.

Huknął piorun. Tristen przystanął wystraszony, zastanawiając się, czy nie przypadkiem na górze.

–Gdzieś blisko – mruknął Uwen za jego plecami. Tristen zerknął w dół na wspinających się mężczyzn, na Uwena czyniącego znak przeciwko złemu, na Lusina, Syllana i pozostałych oraz na

antałek piwa i koszyki. Rzeczywiście blisko, lecz nic nie wskazywało na zniszczenia w wieży. Tristen ruszył biegiem, gwardziści brzęczeli żelastwem i dyszeli z tyłu. Na niewielkim półpiętrze przed gabinetem zastukał w nieheblowane drzwi – nie oczekiwał co prawda odpowiedzi, znając osobliwą gościnność Emuina, ale zawsze mu się wydawało, że grzeczność nakazuje wpierw pukać, później łapać za klamkę.

Nie usłyszał żadnego dźwięku, toteż pociągnął za sznur i wszedł do środka, pozwoliwszy Uwenowi i gwardzistom rozsiaść się wygodnie na stopniach. Zaledwie uchylił drzwi, podmuch roztrącił z dziesięć pergaminów, szybko je więc zamknął z poczuciem winy.

–A niech to! – Emuin przydusił drewnianym liniałem rząd pergaminów na pulpicie.

–Świąteczna kolacja, panie – obwieścił radośnie Tristen. – Choć w pewnym sensie śniadanie. Jest też świąteczne piwo. Za drzwiami czeka Uwen z antałkiem.

–Śniadanie, owszem – rzekł Emuin. – Ale nie piwo. Mąci rozum, a ja potrzebuję jasnego umysłu, młody lordzie. Herbatka będzie wszakże mile widziana. Przeklęty deszcz. – Zebrał w stertę kilka trzeszczących rękopisów, żeby zrobić nieco miejsca na olbrzymim stole z wykresami. Następnie rozgrzebał węgle w bezspornie niewydajnym kominku, dodał hubkę, potem parę patyczków i wzniecił mały ogieniek. Zajrzał do okopconego rondelka i doszedł chyba do wniosku, że dość jest w nim wody, powiesił go bowiem nad ogniem na haku w kształcie smoka, jedynej ozdobie w tej komnacie.

–No cóż, usiądź, usiądź – powiedział. Tristen wyłożył na stół chleb i szynkę, po czym usadowił się na krześle. Emuin w tym czasie postawił dwa lekko wyszczerbione kubki oraz łyżkę.

Ubiór czarodzieja nie przypominał stroju noszonego przezeń przed dwoma dniami w sali królewskiej. Jedna z jego gorszych szarych szat, terantyński habit, miała tu i ówdzie przetarte szwy oraz odwinięte zakładki, nie wspominając o plamach z atramentu, pobrudził też kciuk i dwa palce. Białe włosy opadały skręconymi kosmykami; wyglądały na wilgotne, być może zmokły w trakcie uporczywego spoglądania w niebo. Tristen już dawno zrozumiał, że jak na Człowieka, Emuin jest bardzo stary – kto wie, czy nie starszy od większości Ludzi, tracił więc cierpliwość w zetknięciu z rzeczami, które zbyt często widywał. To właśnie powiedział niegdyś w odniesieniu do dworu i swoich służących.

Niemniej interesowały go wszelkie nowości.

–Myślałem, że ci się spodobają – rzekł Tristen, wyciągając dębową galasówkę i ptasie jajo.

–Drozd – zawyrokował Emuin na widok jajka. Słowo to objawiło się prześlicznym trelem, ukazało Tristenowi średniej wielkości brunatnego ptaszka – sowita nagroda za troskę włożoną w to, by nie rozbić skorupki. – Ho, ho – dodał starzec, podziwiając galasówkę. – Wielce pożyteczne. – Odłożył ją na honorowe miejsce. Siedzieli blisko jedyne źródła ciepła w komnacie. Kosmyki włosów Emuina, te których nie zaplótł w rozwiązujący się natychmiast warkoczyk, schnąc powoli, zaczynały drżeć w przeciągu.

Woda zakipiała, kiedy rozmawiali o jesieni i powodach, dla

których wiecznie zielone rośliny nigdy nie zrzucają liści. Prowadzili dyskusję, do jakiej nigdy nie doszłoby w królewskiej kompanii, Tristen był tego pewien, aczkolwiek tęsknił za błyszczącymi od kosztowności damami. Kiedy dźwięki zabawy unosiły się z miejskiego placu i przenikały szczelinami okiennic, nalewali sobie herbaty.

–A to barany – stwierdził Emuin, gdy powiało chłodem. – Przemokną do nitki. To noc jedynie dla młodych i głupich, bez dwóch zdań.

–Palą grzechy, tak powiedział Uwen.

–Szkoda, że nie mogą wszystkich pozbierać. I ja miałbym kilka na dokładkę. A jakby tak wrzucić na stos lorda Corswyndama?

Tristen wychwycił weselszy ton w głosie Emuina, z jakim rzadko się spotykał u swoich rozmówców. Miał ochotę parsknąć śmiechem, wyobrażając sobie sztywnego lorda Corswyndama, jak go niosą niby kłodę drewna i ciskają w ogień. Lord Ryssandu nie był przyjacielem Cefwyna ani Emuina. Corswyndam i lord Prichwarrin z Murandysu darzyli się wszakże wielką przyjaźnią.

–Czy tak samo postępują w Amefel? Palą grzechy?

–Nie, tam palą słomiane kukły. Jednakże dziś w nocy wszędzie na północnych ziemiach huczeć będzie od tańców i pijaństwa. W Guelessarze i w każdej prowincji: w Panysie, Murandysie, Teymerynie, Isinie i Marisalu.

–Wszyscy zwań je północnymi prowincjami.

–Racja.

–A przecież leżą na wschodzie.

–Na wschodzie od Amefel.

Próbował odegnać frapujące myśli. Coś w stwierdzeniu Emuina o paleniu grzechów zaczęło go dręczyć, jakby usiłowało mu się objawić nader nieprzyjemne Słowo – odpierał je w przeświadczeniu, że może popsuć jego pogodny nastrój.

–Diabli pragną wtargnąć na skrzydłach wichury – rzekł Emuin. – Tak powiadają ludzie północy, toteż wypędzają ich ogniem. Na południu obchodzi się pierwszy dzień zimy, a w noc zimowego przesilenia ponownie zapala ogień, ażeby zachęcić słońce.

–Naprawdę tak się dzieje? – zapytał Tristen, skłonny utożsamiać ogień jedynie z ciepłem. Przypomniawszy sobie pewną książkę, ale nie modlitewnik Efanora. Spalił ją w wielkim ogniu, aczkolwiek jej słowa, które sam być może spisał, nieustannie usiłowały wypłynąć na powierzchnię ciemnych jak smoła wód. No tak, słowa te sam spisał... o ile faktycznie był Barrakkethem. Skulił ramiona, przejęty obezwładniającym strachem przed tym, co mógł teraz usłyszeć od Emuina.

–Diabli to czysty wymysł, a słońce ma upartą naturę. Lecz co innego północ, a co innego południe. Potomkowie naśladują zachowanie przodków, nie wiedząc nawet dlaczego. Obecnie w północnych księstwach pali się grzechy. Szczerze wątpię w skuteczność takich rytuałów, niemniej quinaltyni nigdy się temu nie sprzeciwiali. Wymogli tylko, żeby palono grzechy, nie jeńców.

Wielki ogień w Henaśamef strawił ludzi lorda Heryna. Czy na stosie spłonęły także jego grzechy? Strach przed ogniem nie powstrzymał lady Orien ani jej siostry, lady Tarien.

Wielki ogień, skręcające się i dymiące karty książki, osmolone i poskręcane ciała ludzi. Poczul tamten zapach, ożyło wspomnienie – a może narodziło się wywołane czarem zrozumienie? Jeżeli był Barrakkethem, nie znał litości dla wrogów. Tak pisano. Jeżeli był Barrakkethem, przed stuleciami obalił rządy zaginionych Galasjenów, aby władając Ludźmi, przelewać krew i szerzyć pożogę. Tak mówiły książki. W ogniu i krwi sihhijaska dynastia wzięła swój początek. W ogniu i krwi upadła w Althalen, kiedy dziadek Cefwyna spalił ostatniego półkróla – i znów wielki ogień.

Czy dla wymazania jego grzechów?

Czy skoro się spalił, był czysty? Czy powrócił na świat bez grzechu? Ludzie myśleli, że nie, i nawet Emuin podzielał to przekonanie.

Było pięciu prawdziwych Sihhijczyków. Pięciu, którzy przybyli ze śnieżnych krain, wyposażeni w oręż, znajomość sztuki wojennej oraz wrodzoną magię. Nie byli mędrkami zmuszonymi do przywoływania magicznych mocy lub czarnoksiężnikami sięgającymi tam, gdzie czarodzieje wzdragają się sięgnąć. Każdy z tych pięciu dysponował potęgą Sihhe, magia tkwiła w nich samych, nie przestrzegali podziału na światłość i mrok: żyli bardzo długo, wszelako w krwi ich spadkobierców, półkrólów, magia stopniowo słabła, aż wszystko skończyło się w ogniu pożerającym pozbawiony obwarowań Althalen.

Dopiero wtedy Mauryl zarzucił związki z Ludźmi i zamknął się w forticy Ynefel. Dopiero wtedy królestwo pękło na dwoje: Ylesuinem zawładnęli Marhanenowie, w Elwynorze natomiast ustanowiono regencję, a na tronie zasiadł młody wówczas Uleman, zdecydowany czekać... na prawowitego króla, na sihhijskiego króla z przepowiedni... Czekał, póki nie umarł.

Obecnie Elwynimów znużyło oczekiwanie. Obecnie spod każdego żywopłotu w Elwynorze wyskakiwał pretendent, rebeliant, człowiek gotowy odmówić Ninevrise prawa do regencyjnego tronu, gdyby poślubiła króla Marhanena. A zatem Elwynimi palili wioski za swe grzechy. Zobaczył oślepiająco jasny płomień oraz czarne Cienie, które były Ludźmi w jego snach o Althalen. Wraz z Cefwynem miał nadzieję opanować ogień i powstrzymać miecze.

–Dlaczego mówią „północ”? – Myśl ta nie dawała mu spokoju, choć nękały go też inne, o wiele gorsze, gdy śledził wzrokiem zawile ścieżki dębowych słoików na stole. Nagły bodziec kazał mu zadać pytanie, byle tylko nie objawiło mu się nic więcej. „Północ” stanowiła wycinek obszerniejszej kwestii: kwestii Sihhijczyków. Jednak to nagłe zapytanie wyraźnie zmieszało Emuina. – Od jakiego miejsca liczy się północ, panie, skoro Amefel jest podobno południem?

–Hm – mruknął zamyślony Emuin. – Można by powiedzieć, że na północ od rzeki Arynys, zanim wpada do Lenialimu. Tamtędy przebiegała stara, gueleńska granica.

–Gdzie płynie ta rzeka? Na południowy wschód stąd?

–Płynie ze wschodu i skręca na północ. Między Marisynem a

Marisalem.

–Przecież Amefel też leży na północy. A mimo to wszyscy mówią, że to południe.

–To prawda. I mapy. Niech bogowie bronią, by się Ylesuin nie zachwiały.

–Dlaczego więc wszystkie ziemie po tej stronie Assurnbrooku nazywane są północą, skoro wyraźnie leżą na wschodzie?

–Albowiem za dawnych czasów, kiedy władali Sihhijczycy, nikt nie śmiał mówić: „Ludzie”.

Osobliwa sugestia. Emuin rozgadał się tak po raz pierwszy, odkąd oglądali razem szlaki wędrówek słońca. Tristen upił mały łyk herbaty i wsparł łokieć na porysowanym stole.

–Niby dlaczego?

–Władali wtedy przecież Sihhijczycy, a mówiąc „północ”, każdy miał na myśli ziemie leżące na północ od Amynysu, czyli włości Ludzi. Wszystkie te prowincje podlegały Marhanenom... Kiedy więc ktoś mówił, że „północ” zrobiła to i owo, na ogół chciał dać oględnie do zrozumienia, że to i owo uczynili diukowie Marhanenowie. Chodzi oczywiście o czasy, gdy jeszcze nie byli królami. Najczęściej zamiast mówić, że jakąś prowincją rządzą Ludzie, a więc ktoś przeciwstawny Sihhijczykom, zaczęto nadawać jej miano prowincji północnej. Tamtejsi mieszkańcy co i rusz wszczynali zamieszki, wzniecali bunty. „Północ zrobiła to”, „północ zrobiła tamto”. Oczywiście masz rację, niemniej niektóre ziemie pozostawały wierne Sihhijczykom, jak Althalen i tereny

leżące dalej na południe, aż po samo morze, młody lordzie.

Bezkresna woda. Niekiedy błękitna, innym razem szara lub zielona. Trzęsawiska i białe cyple.

Ocknął się, potrącił łokciem kubek. Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Objawiło mu się Słowo. Poznał morze. Po rozświetlanym błyskawicami niebie przetaczały się gromy – w tym świecie. W drugim huczały fale, rozbijając się o brzegi.

–Gueleńczycy przybyli bardzo dawno temu z Nelefrefssanu – powiedział Emuin, sięgając do koszyka po szynkę. – Z Elwynimami rzecz przedstawia się chyba podobnie, nadeszli wespół z Gueleńczykami, a nawet, gwoli ścisłości, z innymi szczepami Ludzi, Chomaggarami i Casmyndanimami z wybrzeża. Ale, na bogów, nie zdradź się bodaj szeptem z takich przypuszczeń w obecności quinaltynów, dla których Chomaggarzy są dwakroć przeklętymi pogańskimi psami. A lud zamieszkujący Nelefreissan różni się oczywiście nawet od Gueleńczyków, mających z bożej łaski stolicę w Guelemarze. Tak więc Guelessar jest o wiele bardziej guieleński od Nelefrefssanu... jeśli zapytasz mieszkańca Guelessaru. Zapytaj Nelefreissańczyka, a powie ci coś zupełnie innego. Ale jedni i drudzy uważają wybrzeże za przeklętą ziemię.

–Czy terantyni podzielają to zdanie?

–Owszem, według nich Chomaggarzy to przeklęty naród. Podobnież każdy, kto łupi terantyńskie świątynie, co jest zwyczajem mieszkańców gór, zasługuje na potępienie, z czym się całym sercem zgadzam. Terantyni wyznają pogląd, a i ja go podzielam, że wieki temu większość Ludzi całego świata

zamieszkiwała Nelefreissan i Isin. Przy okazji powiem ci coś, co powinieneś wiedzieć. W owych czasach Galasjeni panoszyli się na południu i w dorzeczu Lenuaimu. A potem pojawił się Mauryl.

–Dawno temu?

–Bardzo dawno. Minęło już przynajmniej pięćset lat. Mauryl swoją magią unicestwił Galasjenów. Wyczarował Sihhijskich, którzy go wyręczyli... Albo, jak wolisz, sprowadził pięciu sihijskich lordów z dalekiej północy, co moim zdaniem bardziej odpowiada prawdzie. – Emuin pochylił głowę i spojrzał nań z ukosa, mierząc go badawczym, pytającym wzrokiem spod szarej, poruszanej wiatrem grzywki. – A może sam wiesz, jak było naprawdę, chłopcze?

–Nie mam pojęcia, panie – odparł zażenowany Tristen, mając nadzieję, że nigdy nie pozna odpowiedzi. Słyszał historie o pięćset latach i sihijskich rządach. Nie chciał, by starożytne wojny kiedykolwiek mu się w pełni objawiły.

–Cóż, tak czy inaczej Galasjeni zniknęli. Cokolwiek zaszło, Ynefel przeistoczyła się w miejsce dziwne do tego stopnia, że opuścili ją nawet Sihhijscy, przenosząc się do nowo zbudowanego Althalen. Z północy runęły natychmiast bandyckie hordy Gueleńców i ich ryssandyjskich pobratymców i tu leży, czego się zapewne domyślasz, prawdziwa przyczyna, dla której zamieszkałe przez nich tereny uważa się za północ wiele lat po tym, jak przestały mieć z północą cokolwiek wspólnego. Stąd czystszy jest północny quinalt, a my, południowcy, Amefińcy...

–Ty też pochodzisz z Amefel? – Po raz pierwszy słyszał od

starca to wyznanie.

–Równie dobrze stamtąd, jak i nie stamtąd. Ale w porządku, dajmy na to, że jestem Amefińczykiem. W przekonaniu rodowitego Gueleńczyka nam, którzy jesteście Ludźmi, a zarazem mieszkańcami Amefel bądź ziem leżących na południe od tej prowincji, daleko do gueleńskiej czystości. Jeśli chcesz poznać głęboką tajemnicę i powód wzgardy Gueleńczyków, to wiedz, że według nich zmieszaliśmy się z Sihhijczykami oraz, niech nas bogowie mają w swej opiece, podłymi Chomaggarami!

–Ale czy Elwynimi nie mieszkają dalej na północy niż ktokolwiek inny?

–Ci najbardziej przemieszali swą krew, dlatego spadają na nich przekleństwa quinaltynow. Quinaltynscy uczeni wybudowali sobie poniekąd dom, dom pozbawiony drzwi, jeśli chcesz wiedzieć. Nader niewygodny dom, odkąd się pojawiłeś: wygłosili wiele stwierdzeń, które teraz muszą sprostować... albo potępić króla. A to mogłoby się źle skończyć.

–Potępić Cefwyna? – Tristen był przerażony.

–Niektórzy chętniej widzieliby na tronie Efanora... Czy za drzwiami czekają tylko twoi ludzie? Ludzie, których jesteś pewien?

–Tak – odparł, zastanawiając się, co Emuin chciał przez to powiedzieć tej zdradliwej nocy. W powietrzu pulsowała groźba. Poczłł lęk. – Jest z nimi Uwen oraz Lusin z gwardzistami.

–Dobrze, bardzo dobrze. Ale co się tam dzieje? – Głosy na

zewnątrz rozbrzmiały donośniej, by po chwili urwać się raptownie.

–Piwo. Przynieśli z sobą baryłkę.

–Lepiej, żeby obce ucho nie podsłuchiwało teraz pod drzwiami, bo chcę cię zapytać, jak ci poszło z rana? Wciąż jesteś przeklęty czy może przypadkiem poświęcony i błogosławiony? Zauważyłem twój quinaltynski wisiorek. Wręcz płonę z ciekawości.

Czy Emuin nic już nie powie o quinaltynach mogących potępić Cefwyna? Król stanowił groźbę dla quinaltu. Czy mają równą władzę? Jak potężne są quinaltyńskie przekleństwa? Całkiem zapomniał o podarowanej mu przez Efanora relikwii. Dotknął jej; była chłodna, ale tylko odrobinę chłodniejsza od jego dłoni, marznących na zimnym, wpadającym przez uchylone okno powietrzu. Żywił nadzieję, że amulet nie czyni nic złego i że nie postąpił lekkomyślnie, przynosząc go tutaj.

–Rano wszystko poszło dobrze, panie, przynajmniej nie było żadnych kłopotów. Mam to od Efanora, proszę.

–Żadnych pokazów. Święci... – Błyskawica oświetliła okno i rozległ się huk pioruna. – ...bogowie! – dokończył Emuin, trzymając rękę na sercu. – Uff, ale walnęło, co?

–Jakby piorun uderzył w dach. – Przez chwilę był oszołomiony. Wiatr dmuchnął do środka, rosząc deszczem pulpit stołu i oblewając pergaminy; świeży atrament rozlał się w wielu miejscach. Tristen poderwał się na nogi, by zamknąć okno. Opuścił zaszczepkę, po czym wrócił zziębnięty i w mokrym

ubraniu, przyciśniętym do ciała przez jesienny wiatr. – Dziwne, panie, że nie zamykasz okna.

–Bo tak mi wygodniej.

–Jeśli sobie życzysz... – Sięgnął ręką ku oknu.

–Nie, nie, wystarczy, że raz już przemokłeś.

–Mauryl bardzo się bał otwartych okien. Każde z nich zabezpieczał. Ja swoje skrupulatnie zamykam. Nie otwieram ich nigdy po zmroku. Z całym szacunkiem, panie...

–W Ynefel sam bym zabezpieczył wszystko w zasięgu wzroku. Tutaj bronią nas quinaltyni.

–Żartujesz, panie.

–Jak najbardziej.

–Czemu nie zamykasz okna?

–Zapraszam złe moce. Jeśli zaczną hasać po świecie, chcę o tym wiedzieć. Nie będą pełzać po okolicy, kryjąc się w zakamarkach. Niechaj przychodzą śmiało. Niechaj się ze mną popróbują. Jestem stary i skory do kłótni.

Cóż za lekkomyślny pomysł! Niemniej wielki Cień, najciemniejszy z Cieni, Hasufin, zniknął. W pewnej mierze takie działanie miało sens: gdyby jakiś słabszy Cień udał się na przeszpiegi lub wysyłał do Guelemary wywiadowców, lepiej byłoby ściągnąć go przez otwarte okno tutaj, do czarodzieja, niż pozwalać mu namyszkowanie poniżej, między zwyczajnymi ludźmi, gdzie

mógłby dokonać wiele złego, zanim by go spostrzeżono. Złośliwe czary nadeszłyby zrazu powoli, by nękać najłabsze serca. Tak przynajmniej Hasufin zachęcał do podłych myśli i uczynków, podsycił strach, podejrzenia. Co ostatecznie zabiło króla.

Jeśliby nadciągnęła jakaś groźba, musiałaby przybyć z daleka, tak że Emuin dostrzegłby ją ze swej wieży, górującej nad miastem. Poruszenie, jakiego był świadkiem tego ranka w świątyni, nie wydawało się tu, na wysokościach, tak poważne. Stąd dostrzegał wyłącznie nagromadzenie dusz, a nie uporządkowane zakłócenie, mogące mieć związek z niebezpieczeństwem: dusze nie były w stanie wydostać się ze swego więzienia... w czym też tkwił szkopuł. Nawet rozrywający uszy huk pioruna, który uderzył gdzieś bardzo blisko, nie zdołał ich wyzwolić. Ale gdyby całkowicie usunąć zabezpieczenia Murarzy i otworzyć drzwi, dusze rozbiegłyby się jak stado myszy.

Ktoś zapukał nieśmiało. Wicher zatrzęsł okiennicami, kiedy Uwen zajrzał ostrożnie przez szparę w drzwiach.

–Wszystko w porządku, panie? Myśli jakoweś nas naszły... Spytać jeno chciałem, racz wybaczyć...

–Tak, nic nam tu nie grozi, Uwenie. Zamkneliśmy okno.

–Panie – rzekł Uwen, przymykając delikatnie drzwi.

–A więc co tam u quinaltynów? – zapytał Emuin, gdy na ziemię padała pergaminowa karta. – Zauważyłeś coś dziwnego w świątyni?

–Widziałeś Linie?

–Owszem, widziałem. Straszny bałagan. Ale jak to powiedzieć quinaltynom? Według nich pewne rzeczy po prostu nie istnieją.

–Niczego nie widzą?

–Są ślepi jak nietoperze.

–Cienie wpadły tam w pułapkę. Całe ich mnóstwo. – Wiedział, że to nie nowina dla czarodzieja. – Co wiesz o tych Cieniach? Wiesz może, co kiedyś tam stało?

–Za życia król Selwyn bał się jak ognia sihhijskich duchów. Cóż za ironia losu, że tam właśnie spoczął.

–Są tam Sihhijczycy?

–Jest tam przynajmniej paru, którzy nie są świętymi... czy w pełni... Ludźmi.

Zagotowała się woda na kolejny napar. Emuin wsypał odmierzoną ilość herbaty do kubków i zalał ją wrzątkiem. Potem ujął swój garnuszek i wbił wzrok w pływające listki. Teraz Tristen z kolei wziął łyżkę, zatopił unoszące się na powierzchni drobiny i upił łyczek. Przeciąg porywał z sobą kosmyki pary. Deszcz bębnił w okiennice.

Nawet Guelesfort zamieszkiwały Cienie, kilka przebywało w tej wieży. Pełzły w szparach kamiennych ścian i między deskami podłogi. Biegały pod stołem i pośród półek z garnuszkami, pęczkami ziół, zwojami i kodeksami, których dwóm braciom nigdy nie udało się odkurzyć.

–Nie są Ludźmi – powtórzył Tristen słowa mistrza Emuina.

Często bywało, że kiedy starzec urywał, nie podejmował danego tematu przez bardzo długi czas, o ile w ogóle doń powracał. Nie można jednak było porzucić tak intrygującego wątku. – Czy Hasufin był... Czy Mauryl był... Czy oni byli Ludźmi? – Pytał już o to setki razy i nigdy nie doczekał się satysfakcjonującej odpowiedzi. – A czy ja jestem Człowiekiem? Jaka jest właściwie różnica? Gueleńczycy i Galasjeni, powiadasz. Co ich różni?

–Och, różnic jest wiele.

Opadły mu ramiona. Mistrz Emuin znów próbował się wykręcić. Tymczasem starzec ciągnął z zamyśloną twarzą:

–Postarzała się nam ziemia. A jeśli chodzi o Ciebie w Ynefel: im jest starszy, tym, być może, staje się dziwniejszy. Żył kiedyś naród, którym władali Galasjeni, i była swego rodzaju świątynia, gdzie dziś wznosi się przybytek quinaltynow. Tak przypuszczam. To czuć zwłaszcza w czasie burzy. Człowiek się waha... – Emuin zerknął na okno, gdy grom przetoczył się ponad dachem wieży, a zza drzwi dobiegły wesole odgłosy podsycanej piwem hulanki. – Człowiek unika czasem dociekania pewnych kwestii, szczególnie gdy wolałby uniknąć odpowiedzi albo w danej chwili nimi się nie zajmować. Niektóre rzeczy łatwiej przywołać niż później je odwołać, zważ na moje słowa. Wątpliwe, by Cienie z quinaltynskiej świątyni miały się wyrwać na wolność. Rzadko je widywałem, ponadto jest ich niewiele.

–Była ich cała chmara, panie. Setki... Za patriarchą... Ilekroć deptał linię.

–Czy aby się nie mylisz? – Emuin utkwiał w nim baczne spojrzenie, przysła sielankowa atmosfera. – Nie dostrzegłem dziś

rano niczego podobnego. A przecież patrzyłem uważnie.

–Wyczułem twą obecność w wieży. – Jeszcze niedawno Tristen był przekonany, że nic im nie grozi, lecz z wolna ogarniały go wątpliwości. – Ale skoro twierdzisz, że nic dzisiaj nie zauważyłeś...

–Nic, to prawda. Wszelako nie jestem... – Tu się zawahał. – Nie otrzymałem w dziedzictwie tego co ty. Może niektóre ci odpowiedziały, choć mnie nie chciały szukać.

W wieży nieznacznie wzmógł się chłód, prawdopodobnie wionęło od okien. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

–Chyba nie powinienem tam chodzić – powiedział Tristen. – Pytałem, panie. Naprawdę, pytałem...

–Nie myślę udaremniać zamiarów, które zechcesz wprowadzać w życie – urwał Emuin. – Tylko twoja wola jest do tego zdolna.

–Proszę o radę, panie. Tylko o radę...

–Jedna jedyna wola będzie kierować twoim losem... Wola Mauryła, biorąc pod uwagę ustanowione przezeń prawidła, wystarczy ci w zupełności. Wiem o tym znacznie dłużej od ciebie, młody lordzie.

–Wypełniłem całą wolę Mauryła.

–Coś, co dotyczy żyjących ludzi, nigdy się nie skończy. Ludzi żyjących w każdym tego słowa znaczeniu. Bogowie zaś wiedzą, że niczego, co dotyczy czarodziejów, nie można ująć w karby, tym bardziej w przypadku Mauryła Gestauriena. Nie, nie mogę ci

służyć radą, zwłaszcza że kierujesz się wskazówkami Efanora.

–Ale wiedziałeś, że zamierzam rozmawiać z Efanorem, panie. Jeśli miałaś choćby najmniejsze obawy związane z tą rozmową, mogłaś mi o nich powiedzieć. Czemu nie powiadomiłaś mnie chociaż o swej woli? Nie możesz po prostu powiedzieć... jak Mauryl zwykł mawiać: „Młody głupcze, tego właśnie nie powinienesz robić”?

–Dokonało się dzisiaj coś złego?

–Niczego nie zauważyłem, panie.

–Czy coś się wydostało na wolność?

–Nic. Niczego takiego nie zauważyłem, panie. – Nie wspomniał dotychczas o tym, jak spojrział w kierunku zachodnim i jaki niepokój go przy tym ogarnął.

–Czy dopuściłbyś, aby zło wydostało się w sanktuarium?

–Nie, panie. Jeślibym je wcześniej zauważył.

–Czyż twoje oczy i uszy nie są wyostrzone bardziej od moich? – Emuin nie czekał na odpowiedź. – A więc w żadnym razie nie powinienem był stanąć ci na drodze, he? Och, wprost przeciwnie, spełniłbyś każdą prośbę Cefwyna, choćby ognie buchały i szalała zaraza.

–Przecież przysięgałem spełniać wolę Cefwyna. On jest królem.

–Głupota, lecz nie do uniknięcia. Przez nią twoje przeznaczenie nagnie do swych celów ciebie albo jego, czy tego chcę, czy nie.

Daję ci rady, ale ty nigdy nie słuchasz.

–Czym więc jest to przeznaczenie? Słowo, puste słowo. Tyje wymawiasz, panie, ja je słyszę, ale ono mi niczego nie objawia. Odpowiedz mi! Jeśli mogę coś zrobić, co sam uważasz za możliwe, to proszę bardzo, chcę tego. Ale cóż, kiedy z moich życzeń nic nie wynika. A ty nigdy mi nie odpowiadasz.

–Przeznaczenie? Zdawkowe słowo, puste jak bogowie Efanora. Nie dam ci nigdy rady wykraczającej poza moje kompetencje. Porzuć w tym względzie wszelką nadzieję. Czy cię poinformuję? Być może, chyba że pokrzyżowałoby to wolę Mauryła. Czy cię wysłucham, jeżeli zgodzisz się poinformować mnie o swej woli? Lub jego woli? Owszem, nie omieszkam. Ale byłbym chyba głupcem, gdybym rzekł tobie: Zaniechaj. Co innego wiejącym tu wiatrom, ale nie wytworowi Mauryła. Sam musisz sobą kierować, młody lordzie. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Nie narodził się dotąd czarodziej mogący sprzeciwić się twemu najbliższemu kaprysowi. Gdybym coś ci źle powiedział i pogmatwał zamysły Mauryła, bogowie wiedzą, gdzie byśmy wylądowali. Bądź rozważny i nikomu więcej nie składaj przysięgi. Z nikim się nie wiąż. Przysięgę na posłuszeństwo musiałeś złożyć. Każdy człowiek musi mieć swego pana i każdy Człowiek musi mieć swego lorda. Skoro jednak kochasz Cefwyna, nie szastaj przysięgami, a skoro nie jesteś Człowiekiem, strzeż się przed składaniem obietnic. Wola Mauryła jest niczym płonący ogień. I żyje, młody lordzie, uwierz, że żyje.

–Ależ Mauryl umarł! Wykonałem wszystko, czego ode mnie oczekiwał. Czyż nie, panie? Odpowiedz! Jeżeli mam nad czymkolwiek władzę, odpowiedz!

Znowuż zaległa cisza. W kominku trzaskał ogień, obaj mierzyli się spojrzeniami.

–Nadal mogę ci się oprzeć, młody lordzie, co też czynię, bez względu na wysiłek.

–Dlaczego? Dlaczego nie zejdziesz dziś po tych schodach i nie stawisz się na sali, by udzielić rady chociażby Cefwynowi? Cóż takiego znajdujesz tu w chmurach i wietrze, co przed wszystkimi taisz?

–Nie myśl sobie, że na tym posterunku trzyma mnie tchórzostwo – odparł Emuin, wskazując ręką na okno. – Stawię czoło wszystkiemu, co się wedrze tym szlakiem. Nie twej spaczonej woli, panie, tego nie potrafię. A mimo to mówię ci „nie”, kiedy naglisz mnie do odpowiedzi.

„Nie tknę nigdy tego, co sporządził Mauryl” – powiedział mu raz Emuin, a dzisiaj powtórnie dał mu to do zrozumienia. Jakby wydał wyrok, skazujący go na straszliwą, długotrwałą samotność. Jeśli Emuin nie da mu przyjaźni, pociechy, rady... to kto? Czy ktoś' go kiedykolwiek zastąpi?

Był jeszcze Cefwyn, ale więzi z nim także słabły.

–Boisz się mnie, panie?

–Nie ciebie – odpowiedział Emuin, zasepiony. – I nie twojego serca. Nie twoich zamiarów względem Cefwyna, Uwena albo mnie. Co też naprawdę zobaczyłeś w świątyni? Jakie wywarła na tobie wrażenie?

–Mówiąc krótko, nie wyczułem nic, panie, czego miałbym się bać. Myślałem, że poczuję strach. Szukałem bogów.

–Szukałeś bogów. – Emuin niemal się zaśmiał. Albo zakrztusił. – I co, znalazłeś?

–Nie, panie. Nie znalazłem bogów Efanora. Ale sam twierdzisz, że istnieją bogowie czarodziejów. Dziewiętnastu. Czyżbym się mylił? Czyż z nimi nie rozmawiasz?

Emuin wzruszył ramionami, unikając jego wzroku.

–Czyżbym się mylił, panie?

–Jesteś nader kłopotliwym młodzieńcem.

–Zawsze, gdy chcę się czegoś dowiedzieć, wszyscy mówią, że jestem kłopotliwy. Ty także.

–Święci bogowie, znać, że lekcje dyskursu pobierałeś nie u kogo innego, tylko u Idrysa.

–Mówisz o bogach, panie. Czy mówisz tak bez specjalnego powodu?

–Bynajmniej, zawsze jest powód. W trakcie moich częstych chwil zdumienia. Gdybym nie był Człowiekiem, być może dziwiłbym się rzadziej, a odpowiedzi na twoje pytania udzielałbym ci śpiewająco, niczym sam patriarcha. Ale że jestem Człowiekiem, przynajmniej kilka razy dziennie powiadam „bogowie” to, „bogowie” tamto i „o, miłosierni bogowie!” Smutna prawda jest taka, że ja nie umiem ci odpowiedzieć, młody lordzie. Gdybym w pełni był Człowiekiem, pokładałbym w bogach wiarę, lecz dusza

czarodzieja wymyka się przyjętym konwencjom. Czasem trzeba zapłacić taką cenę. – Emuin westchnął przeciągle. – Mam jeszcze nadzieję w bogach i tak brzmi moja szczerza odpowiedź.

–Ale nie nadzieję w quinalcie?

–A czy ty masz nadzieję w patriarsze? Boja nie. Powiedz, co czułeś i widziałeś wewnątrz świątyni?

–Niezgodę.

–Niczym dźwięk fałszujących trąb. O to chodzi?

–Tak, panie.

–Złożyłeś datek i nosisz teraz medalion.

–Mam też tamten drugi, który dostałem od Cefwyna, ale przytwierdziłem go do miecza. To był terantyński amulet, Cefwyn dostał go podobno od ciebie. Nie chcę się z nim rozstawać. Efanor mówi, że dwa stanowią pewniejszą ochronę. Tylko czy w ogóle muszę nosić ten jego amulet? Może on czyni zło?

–Dopiero teraz pytasz?

–Wcześniej i tak byś mi nie odpowiedział!

–Krew męczenników, wolne żarty – szydził Emuin. – Z tym medalionem nie wiąże się żadne zło, jeśli nie liczyć krwi zarżniętych owiec, mogę się o to bez strachu założyć.

Zaniepokoiła go myśl o zabijaniu owiec. Świadomość krwi umieszczonej wewnątrz czegoś, co nosił na piersi, przyprawiała

go o skurcze żołądka.

–Zdejmę go, jeśli...

–Nie, nie. To prezent od Jego Wysokości, a więc ma znaczną wartość, młody lordzie. Dar świadczący o uczuciu nie jest podatny na złe życzenia. A Efanor na swój sposób darzy cię ciepłym uczuciem.

–Podarował mi także książeczkę z modlitwami. Zostawiłem ją na dole, ale mógłbym przynieść...

–Też jest niegroźna. Wniosek ten wysnuwam już tu, na oczekaniu. Quinaltyni są bezradni.

–Quinaltyni twierdzą, że świat stworzyli bogowie.

–Być może. Z braku świadków nie będę zgadywał, czy został stworzony, czy też znaleziony. Quinaltyni przypisują bogom wszelkie dobro, ich wrogowie zaś wszelkie zło. To się pięknie równoważą.

–Czy świat był zawsze tutaj? – Nadal stąpał po zdradliwym gruncie. W komnacie wieżowej zrobiło się nieco cieplej, odkąd zamknął okno. Gwałtowny początkowo deszcz pluskał przyjemnie o okiennice. Tristen przestał dygotać i kulić się z zimna.

–A gdzież się znajduje owo „tutaj”, he? – Emuin wesoło odpowiedział pytaniem na pytanie. – Czy tu, gdzie obaj jesteśmy? Może tam, gdzie siedzą tamci ludzie? A jeśli to prawda, gdzie jest środek owego „tutaj” i jego początek?

–Nie mam pojęcia, panie. Zostałem znaleziony. Lub stworzony. Lub Zawezwany. – Tristen znał się na żartach. Nauczył się dowcipkować w towarzystwie Cefwyna i teraz z satysfakcją zauważył, jak Emuin spogląda nań spode łba.

–Masz zmysł wzroku, słuchu i wszystkie inne. Czy Efanor jest lak bardzo pewien swego i czy król wciąż będzie wątpił?

–Cefwyn chyba nigdy nie zważa na bogów.

–Nie zważał na nich także jego dziadek.

–Ale według Efanora człowiek słyszy bogów. Tak uważają quinaltyni. Czy to prawda?

–Tak mówią kapłani quinaltynow. Ja ich raczej nigdy nie słyszałem. Nie spodziewam się też, by tobie się to udało.

–Ze względu na to, czym jesteśmy?

–Ponieważ wątpię, czy sami kapłani cokolwiek słyszą.

–Czy w takim razie powinienem czytać tę małą książeczkę, którą dał mi Efanor? Powinienem odwiedzać świątynie w pewnych specjalnych dniach, jak sobie tego życzy książę?

–Ja bym nie chodził – odparł Emuin, po czym, wpadając w posępniejszy nastrój, narysował jakiś kształt w plamie rozlanej wody.

–Czego nie chcesz mi powiedzieć? – zapytał Tristen, lecz Emuin spiorunował go wzrokiem.

–Patrzyłeś na zachód, mam rację?

Skąd się o tym dowiedział?

–I co z tego? Może nie powinienem?

–Patrzyłeś na zachód, powiadam. Co tam zobaczyłeś?

–Nie zobaczyłem... niczego, co by wzbudziło mój niepokój.

–Czy aby?

Poczuł się niepewnie, wspominając ze wstydem swoją gwałtowną ucieczkę z tamtego miejsca. Swoją późniejszą fascynację zwaloną kłodą i dziwnym grzybem. Przecież przestał myśleć o zachodzie. Po prostu przestał o nim myśleć, zajęty nieoczekiwanie dziwną kłodą... Przywykł kierować myśli na odmienne tory, byle odgrodzić się od niezręcznych wyobrażeń. Czy wspomnianie Ynefel było czymś złym? Albo sporadyczne rozmyślanie nad powrotem do tamtego miejsca, gdzie był szczęśliwy... chociaż wiedział, że to niebezpieczne zajęcie?

–Myślałem o Maurylu. O zeszłej wiosnie.

–Czy w twoich myślach zagościł Cień?

Usiłował sobie przypomnieć, ale rozum odmawiał mu posłuszeństwa. Miał świadomość zagrożenia. Wziął głęboki oddech i spróbował uchwycić zagubiony wątek.

–Zobaczyłem cień Cienia. Wspomniałem dni i noce spędzone w Ynefel. Okno mojego pokoju. Później... spostrzegłem na widnokręgu oznaki zmiany pogody. Zanosiło się na deszcz...

–Tamtego dnia wcale nie padało.

–Nie pytałeś mnie o to, gdy spotkaliśmy się przy kolacji.

–Zapomniałem – odrzekł Emuin, co samo w sobie było niepokojącym stwierdzeniem, choć, naturalnie, w czasie uroczystego wieczoru panował zamęt wśród natłoku gości.

–I ja zapomniałem ci powiedzieć. Poza tym spałeś. A ja już o niczym wtedy nie pamiętałem.

–Tamtego dnia wcale nie padało – powtórzył Emuin beznamiętnym głosem. – Mimo to zobaczyłeś oznaki zmiany pogody. A czy one zobaczyły ciebie?

–Nie sędzę, panie. Zadbalem o to. – Nie pamiętał już, jak owego dnia wyglądało niebo. Chłód przez chwilę się pogłębiał, Tristen wzdragał się przed wyznaniem całej prawdy. – A także o to, abys i ty nie zdołał mnie zobaczyć.

–Czy po raz pierwszy?

–Nie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu, panie, ale nie po raz pierwszy w ogóle. Przecież nigdy... – Chciał powiedzieć: „Przecież nigdy mi tego nie odradzałeś”, nie było to wszakże żadne wytłumaczenie. W odniesieniu do czarów czy magii, choć tylko on znał rządzące nią reguły, wymówki nie miały racji bytu. Podejrzewał, że magia jest nawet mniej skłonna wybaczać. Zdawał sobie sprawę z popełnionego głupstwa. Cofał się wtedy myślami wstecz i wstecz, aż poczuł się taki bezpieczny... z początku.

–Wciąż mogę cię przyłapać – rzekł Emuin łagodnym tonem.

–Nie stałem tam długo. Nie szukam wcale wymówki, panie. Nie mogę nawet obiecać, że to się więcej nie powtórzy. Miałem przez chwilę... poczucie bezpieczeństwa. – Usiłował przypomnieć sobie cały ciąg wydarzeń, będący jednak istnym labiryntem, jaki zwykle powstawał wskutek działania czarów: wydarzenia nie następowały w logicznym porządku ani nie uzyskiwały należnej im wagi w obliczu tego, co wydawało się dużo bardziej naglące. Zjawiska związane z wieżą, zarówno przeszłe, jak i te mogące dopiero nastąpić, bez ustanku się zmieniały. – Ogarnął mnie strach i uciekłem.

–Naprawdę?

–Bałem się, że się tam w następnej chwili przeniosę.

Emuin westchnął przeciągle, odchylił się do tyłu.

–Czy to aby wszystko?

Tristen nie wiedział, jak wyrazić, co mu się wtedy przydarzyło.

–Czuło się... – Brakowało mu słów. Poza tym nigdy nie opowiedział Emuinowi wszystkiego, co zaszło nad Lewenbrookiem. – Poczulem niebezpieczeństwo, które nade mną zawisło. Gdybym wiedział, że się do kogokolwiek zbliży, powiedziałbym o wszystkim przy kolacji.

–Młody lordzie, twoja dobra wola jest naszą tarczą. W bitwie była tarczą Cefwyna, a teraz osłania nas wszystkich. Ufam w słuszność twego spojrzenia na zachód i ufam w słuszność twych

odwiedzin w świątyni. – Emuin zamknął tę kwestię równie szczelnie, co on okiennicę. „Nie – chciał powiedzieć. – Nie, to jeszcze nie koniec”.

Nie mógł jednak wykrztusić słowa. Z rozpaczą zrozumiał, że już nic więcej nigdy nie powie. Emuin przestał go słuchać.

–Może partyjka warcabów pomoże ci zapomnieć o tej hałaśliwej, wietrznej nocy? – zapytał Emuin lekkim tonem. – Obawiam się, że quinaltyni wraz ze swoim ogniskiem zatonęli już w strugach wody, nie dopaliwszy grzechów. Quinaltynskich, rzecz jasna. Sprawcie, bogowie, by nie wywiedli z tego jakowejś wróżby.

–Znowu to powiedziałaś.

–Co niby?

–Sprawcie, bogowie.

–Mór i zaraza! To takie wtrącenie. Ludzie ich używają.

–Bogów, panie?

–Wtrąceń!

–Tak, panie – odrzekł. Emuin nie wracał już do poprzedniego tematu. Próbował z nim żartować, on z kolei próbował żartować z Emuinem i oto sprawił, że w oczach starca mignęły wesołe iskierki. – Czy i mi wolno ich używać?

Emuin z westchnięciem podszedł do zamkniętego okna. Stał przy nim dobrą chwilę.

–Wschodzą zimowe gwiazdy, a tymczasem deszcz i to wariackie ognisko uniemożliwiają mi obserwacje. Wszelako wszystko, co się tam na dole wyprawia, niczego nie zmieni. – Emuin spojrzał na Tristena i żywe iskierki powróciły. – Po świetle hula przypadek. Podobnie jak kilka nic nie znaczących Cieni. I one zebrały się dziś przy ogniu. Tańczyły. Nieszczęsne i głupie. Na kilka godzin przestały być wrogami.

–Kto, panie? Cienie nie są naszymi wrogami?

–Tak jak i my nie jesteśmy dla siebie wrogami, przynajmniej na kilka godzin. – Emuin wrócił, by napełnić ronderek wodą na herbatę. – Lepiej tu sobie posiedźmy do świtu, pijmy herbatę i grajmy w warcaby. Pocałuj ode mnie w rękę quinaltynow i ich bogów. To nie rada, musisz mnie zrozumieć! Informuję cię tylko, jaki sam obrałbym kierunek w takich okolicznościach. Jaki obrałem, bogowie świadkami, postanawiając zamieszkać w Guelessarze. Co się tyczy quinaltynow, postępuj zgodnie z sugestiami Cefwyna; skoro nie konsultujesz się ze mną w podobnych kwestiach, tedy z chęcią powstrzymam się od rad. Nie mam nic przeciwko, byś nosił ten głupi medalion czy rozmawiał z Jego Wysokością, ale możliwie najszybciej zaprzestań wędrówek do świątyni. To żadna rada, młody lordzie, tylko nakaz zdrowego rozsądku.

–Tak, panie. – Przyjął naganę i radę.

–Mór i zaraza, powiadam! Świadomie mnie nie pytałeś. – Emuin odzyskał raptownie pogodę ducha. Także Mauryl zwykł przeklinać w jego obecności, czasem w rozpaczy, czasem ze śmiechem. Pod pewnymi względami Emuin bardzo go przypominał. – Precz z herbatą – rzekł starzec. – Wykradnij no

gwardzistom ze dwa kubki piwa, co? By sprawdzić, czy bezpiecznie jest je pić, rzecz jasna.

Rozdział ósmy

Szeroką strugą płynęło wino oraz piwo: chmielowe i to tradycyjne, jęczmienne. Dźwięków bębnów, harf i kobz nie zagłuszał nawet huk piorunów, a lordowie Ylesuinu, ich żony, synowie i córki, wszyscy oni skocznie i z gracją podrygiwali w tańcu, nie przejmując się burzą i deszczem, który zagasił ognisko i rozgonił, tym razem na dobre, uczestników hulaszczej zabawy na placu.

W młodości – jeszcze przed dwoma laty – król schodził w dożynkową noc na plac, by ruszyć w wyuzdane wieśniacze tany, pałac stare grzechy i równocześnie popełniając nowe. Przy odrobinie szczęścia można było do rana pozbyć się wszystkich grzechów, by obudzić się ze spokojnym sumieniem, pustą kabzą i dotkliwym bólem głowy.

Tego roku, już w koronie, Cefwyn postawił tapicerowane krzesło na przytaszczonym przez robotników kamieniu, a to dlatego, by stało jedną piędź wyżej od krzesła kobiety, której nie mógł uczynić królową Ylesuinu; o tej jednej piędzi różnicy król myślał, ilekroć zstępował do tańca wraz ze swą przyszłą małżonką; ta jedna piędź symbolizowała łaskawość losu: dzięki niej Cefwyn nie znajdował się w sytuacji Ninevrise, nie był żebrakiem na obcym, wrogo nastawionym dworze. Z własnej woli nigdy by się nie zgodził na ów przeklęty kamień, dlatego złorzeczył w myślach Corswyndamowi, lordowi Ryssandu, i postanowił dać mu kiedyś w przyszłości dowód wielkiej niełaski.

Quinaltyni z wolna ustępowali, a dzisiaj, kiedy Ninevrise własnoręcznie złożyła datek pieniężny i uznała zwierzchność quinaltu, zatwierdzono, z pominięciem zdania konserwatywnego skrzydła, cichą umowę, według której rzeczywiście była głową państwa i panią równą lordom. Na ten wieczór założyła królewski diadem, jeden z wielu punktów obrad, on więc paradował w ciężkiej koronie Ylesuinu, a honory ich poszczególnych narodów zostały ocalone ręcznie ciosanym bloczkiem z kamienia.

Dziadek jego zasiadł na Smoczym Tronie w wyniku morderstwa – tym bardziej ohydneho, że popełnił je na swym seniorze, przed którym składał przysięgę, sihijskim półkrólu Elfwynie. Spalił pałac w Althalen i powiększył fortuny swoich popleczników. Ojciec natomiast, chorobliwie zazdrosny o władzę, zdumiewająco często przymykał oko, gdy lordowie wszelkimi możliwymi sposobami napychali trzosi. Dworzanie byli przekonani, że nowo koronowany król obmyśla jakąś chytrą sztuczkę, zamierzając w przyszłości złamać dane Elwynorowi słowo, by wzbogacić wiernych mu baronów o ziemię, o których uzyskaniu nawet śnić nie mogli za panowania poprzedniego monarchy.

Z drugiej strony, może nowy król okaże się głupcem albo słabeuszem, pozwalając baronom żądać czegoś więcej. Nadzieje na podbicie Elwynoru wciąż pozostawały uzasadnione.

Do ślubu pozostało trzynaście dni, a wtedy stojąca przy nim kobieta zostanie nieodwołalnie i legalnie jego sprzymierzeńcem, jego żoną oraz panią jego serca: niefrasobliwą, beztroską i nieposłuszną przyjemnością, jakiej się nigdy nie spodziewał. Przekupił kapłanów jednym kamiennym blokiem – a także tym, że zadbał o to, aby lord Althalen pozostał w swych pokojach, a jego stary nauczyciel Emuin nie opuszczał wieży. Składał sobie

w duchu gratulacje, gdy poranna ceremonia nie zakończyła się katastrofą. W gruncie rzeczy na dworze huczało od plotek na temat obecności w świątyni lorda strażnika, który zawiesił na szyi świętą relikwię. W tejże chwili Efanor wraz ze swym kapłanem zwijał się w ukropie burzliwych dyskusji, poświadczając pod przysięgą na prośbę wszystkich pytających autentyczność medalionu i niweczając powszechne nadzieje, że popełniono w tej sprawie jakieś szachrajstwo. To prawda, niektórzy sceptycy podejrzliwym wzrokiem patrzyli na podłgę i ich zdaniem złowieszczą pogodę tego wieczoru, ale przecież, do kroćset, była jesień, w czasie której deszcze są zjawiskiem dość częstym. Czego się niby spodziewali?

Na dworze wszyscy wiedzieli, że nowy król przeprowadził nader ryzykowną grę za Assurnbrookiem, w Amefel. Zachowało się nazbyt wielu naocznych świadków działalności czarnoksięskich mocy. Żaden człowiek, który znalazł się pamiętnego dnia na polu walki nad Lewenbrookiem, nie zapamiętał ze szczegółami zaistniałych wydarzeń, aczkolwiek każdy z walczących zachował w pamięci obraz czegoś okropnego oraz przeświadczenie, że Elwynimi i dziwny przyjaciel króla, lord strażnik Ynefel, w jakiś zasadniczy sposób przechylili szalę zwycięstwa. Według niektórych wersji sami bogowie uratowali Smoczgą Chorągiew i ponieśli ją, rozplomienioną, na wroga. Zgodnie z innymi pogłoskami światło, które zstąpiło na pole bitwy, było upiorne i czarodziejskie, a lord strażnik Ynefel dzierżył w ręku błyskawicę. Jeśli wierzyć plotkom, Tristen nie mógł nawet stanąć w obecności kapłana. Zamieni się w popiół, gdy dotknie quinaltynskiego emblematu. Nie zdoła złożyć żniwnego grosza. Roztopi się w progę, a postaci ze świętych obrazów odwrócą głowy ze wstrętem.

Wszystkie krążące plotki umarły dzisiaj śmiercią naturalną, gdy Tristen złożył datek niczym prawy wyznawca quinaltu, zawiesiwszy na szyi medalion ze świętą krwią męczennika – co potwierdzał najbardziej nieprzekupny i tak dokuczliwy kapłan, że nawet Świątobliwy Ojciec unikał jego towarzystwa: przyjaciel Efanora, Jormys, obecnie w zgrzebnym, przepasanym sznurem habicie.

Teraz zapewne sobie opowiadano, jaki to cud się stał: świątobliwy Jormys nawrócił sihijskiego lorda... A przecież, do cholery, Jormys bał się wejść do świątyni i Efanor poszedł tam sam.

Książę wyświadczył mu wielką przysługę.

–Zobacz, jak Cevulirn dobrze tańczy – powiedziała Ninevrise, ciągnąc go za rękaw. – Widzisz? Tam, z siostrzenicą Murandysa.

Widział. Już sama myśl o siwym, posępnym lordzie Ivanoru w gąszczu płasających tancerzy była niewiarygodna, a tymczasem diuk ujawniał nieoczekiwane umiejętności, zwijając się na parkiecie w żwawych, dworskich figurach.

A to dobrana para! Obaj lordowie nie darzyli się sympatią.

Owa siostrzenica – miała na imię Cleisynde – była obstającą przy quinalcie ślicznotką. Ruszała się jednak ze znacznie mniejszą gracją niż lord Cevulirn, jakby nigdy przedtem nie tańczyła. Ale jej oczy pały uwielbieniem. Cevulirn był dystyngowanym (i nieżonatym) lordem.

–Cleisynde – powiedział Cefwyn. – Jedna z twoich dworek, prawda?

–I to jedna z tych miłszych – odparła Ninevrise. Nie wszystkie były takie. Wiedział na przykład, że Artisane, córka Ryssanda, dostarcza informacji swojemu ojcu. Artisane obrzucała Cevulirna chmurnym spojrzeniem za każdym razem, gdy odsuwała się w tańcu od swego partnera, syna Isina.

–Córka Ryssanda zjadła kwaśny owoc – mruknął. – Tylko popatrz, jak publicznie wyraża dezaprobatę dla partnerki Cevulirna.

–Brat Artisane tańczy z Odrinian – zauważyła Ninevrise.

No, no. Kwaśne winogrona i gorzkie liście na kolację. Dostrzegł tę piękną parę: Odrinian z Murandysu, niemal dziecko, najmłodsza siostra Luriel, jego odrzuconej kochanki – życzliwe, lecz nie tak mądre serduszko. A ten młody chwąt, spadkobierca Ryssanda, to kawał wesołka z piekła rodem. I próżny wół o imieniu Brugan.

–Czemuś tak sposepniał? – zapytała Ninevrise.

–To siostra mojej poprzedniej faworyty.

–Aha. – Dłoń regentki, delikatna i silna, oplatała jego palce. – I teraz żałujesz?

–Posypuję głowę popiołem – powiedział. W tym samym momencie łoskot pioruna przetoczył się po sali i oboje poderwali się na równe nogi. – Nie mam żadnych sekretów. – Nie patrzył

na nią, tylko prosto przed siebie, na Odrinian i Brugana. Potem zerknął w bok. – Porzuciłem wszystkie, co do jednej, przysięgam. Stąd niezadowolenie Murandysa i złość Ryssanda. Sprowadzę Luriel na dwór wyłącznie za twoim przyzwoleniem.

–Masz je – odrzekła, a jej podbródek przekrzywił się przy tym jak owej uroczej dziewczynie z miniatury, która porwała go za serce.
– Ufam, że gdybym miała powody do obaw, mój pan nigdy nie zaproponowałby jej powrotu.

–Łaskawa pani, żadnych powodów. To będzie ratunek dla tej damy. Uprzejmość.

–Ma jakieś kłopoty?

–Ojciec ją wciąż obwinia. Jest zrozpaczona. W nieskromnych, zuchwałych listach zapewnia, że mnie kochała, lecz sposób bycia amefińskich heretyków stał się dla niej zbyt uciążliwy i nie mogła już dłużej ze mną zostać...

–Ho, ho. A ty odpisujesz na te listy?

–W ciągu dwóch miesięcy zebrało ich się raptem trzy. Wątpię, czy lord Prichwarrin wie coś o nich. Przychodzą za pośrednictwem Odrinian. Luriel jest osowiała. Nienawidzi ojca. Opuszcza uroczystości. Porzuciła nadzieje. I tak dalej.

–Chyba nie myśli, by... – Po tych słowach Ninevrise nastąpiła taktowna cisza.

–Myślę, że gotowa jest powołać się na ten argument. A nawet zrealizować zapowiedź, o ile starczy jej odwagi. Pragnie

powtórnego wezwania na dwór, bez związku z planami ojca. Po prawdzie oświadczyła, że wypije truciznę...

–Święci bogowie!

–Zapewne zostanie czyjąś niewierną żoną. Mam na myśli siostrzeńca Ursamina.

–Ależ on cieszy się najgorszą sławą!

–To będzie dobrana para, możesz mi wierzyć.

Ninevrise popatrzyła nań uważnie.

–Ile jeszcze ich było? Orien Aswydd. Tarien, jej siostra...

–Obie bezpieczne w klasztorze żeńskim terantynów. A poza nimi kobiety o znacznie łatwiejszych do zaspokojenia ambicjach. Wyznałem ci już ich imiona.

Nastąpiło milczenie. Dłoń regentki stała się nieczuła. Serce podpowiedziało Cefwynowi, że poruszyli niedelikatny temat, którego nie powinno się przywoływać w tej sali, w obecności świadków.

–Jeżeli masz ochotę czymś rzucić – powiedział spokojnie – powstrzymaj się, proszę.

–Och, nie, nie – Ninevrise uścisnęła jego dłoń. – Ja tylko porównuję je z resztą.

–Jaką resztą? – Zdziwił się.

–Och, z resztą. – W oczach Ninevise zabłysła skierka wesołości.

–Pytam, z resztą czego? Ani razu nie przewiniłem!

–Dotychczas ich imiona brzmią: Luriel, Orien, Tarien...

–Fisylle, Cressen, Trallynde i Alwy.

–Alwy? Moja pokojówka?

–Mówiłem, że nie obyło się bez małych nieostrożności.

–Wielcy bogowie.

–Sama powiedziałaś, że mi wybaczysz.

–Nie miałam pojęcia, że ich liczba przewyższa stan Gwardii Królewskiej. Może przerzucimy ich oddział za rzekę? Powinniśmy je wcześniej uzbroić?

–Nevris, kochanie...

–Czy wspominałam ci o moich zalotnikach w Elwynorze?

Teraz jego serce zabiło szybciej.

–Mam nadzieję, że byli mniej liczni od moich adoratorek.

–Ach... – Milczała jakiś czas, wsłuchana w takty muzyki. Potem rzekła z uśmiechem: – Miałam gdzieś ich listę.

–Moja pani regentko...

–A co z „kochanie”?

Przed sobą miał ze dwustu świadków. Wolał nie zrywać się na równe nogi na oczach całej sali, obrzucił więc tylko regentkę przenikliwym spojrzeniem. W zasięgu ręki dostrzegł jedynie niegodny kamienny bloczek i jej wyciągniętą dłoń.

–Do upadłego – oświadczył. – Zatańczmy. Zadałaś mi bobu, nie ma co.

–Tamta dama może przyjechać na dwór – oznajmiła spokojnie, ściskając silniej rękę króla, kiedy asystował jej przy wstawaniu. Muzyka ucichła, tancerze zamarli.

–Do ludowej przyśpiewki – zwrócił się do muzyków.

Na sali podniosły się szmery.

–Mam nadzieję, że za mną nadażysz, Wasza Miłość – powiedział Cefwyn. Muzycy, nie bez potknięć, dostosowywali się do skocznej melodii, jaką grano na placu. Ledwie bębniarz zawtórował kobzom, ponad dachem rozległ się łoskot grzmotu. Lutnista dawał dowód znajomości wieśniaczej śpiewki Wesoła dziewczeczka z Eldermay.

Dotknięcie rąk, splecenie ramion, obrót, odskok, seria kroczków na dojscie i oto partnerował żwawemu, wiotkiemu jak trzcinka duszkowi, sam jeden na parkiecie, dopóki Cevulirn nie poprosił do tańca Cleisynde. Potem młodzieńcy przekonywali kolejno młode damy; jedni uczyli się szybko, drudzy wolniej, a niektórzy znali już takt. Stary lord Drusallyn wyprowadził swą panią, po nim Mordam z Osenanu wraz z korpulentną żoną ośmielili się

zmierzyć z melodią.

Gdzieniegdzie robiono kwaśne miny, ale większość stojących z boku widzów się śmiała.

–Prawie jak... w Elwynorze – rzekła zadyszana Ninevrise. Miała szare oczy, nie fiołkowe: autor miniaturki sprzed roku miał wzrok fiołkami we włosach. Oczy jednak były szare niczym morze lub pochmurny dzień...

Szare jak oczy Tristena. Zarówno jej ciemne włosy, jak i szare oczy przykuwały wzrok w kraju, gdzie przeważały jasne czupryny i błękitne źrenice. Białoniebieska suknia, w barwach Elwynoru, wirowała na tle heraldycznych czerwieni i złota, jaskrawych niby wojenne sztandary jego królestwa. Wszyscy obserwowali, jak uwijają się w tańcu o korzeniach sięgających prawdopodobnie w daleką w przeszłość. Quinaltyni go tolerowali, zwalczali jednak jego wyuzdaną formę i szybki rytm, zniechęcali do wyścigu z pochodniami wokół ogniska, a nade wszystko potępiali ofiary ze słomianych kukieł; dlatego wieśniacy wrzucali w ogień jedynie wiechcie słomy, lecz przesłanie pozostało takie samo.

Wirowali w tańcu, aż muzyka ustała, aż tancerze całkiem stracili oddech, a on i jego wybranka pozostali sami na parkiecie. Skierowały się na nich wszystkie spojrzenia.

Cefwyn już wcześniej skradł żołądzia z gałązki dębu wchodzącej w skład oplatających kolumny girland i festonów. Wręczył go teraz z ukłonem, na zakończenie tańca, swej narzeczonej: prezent, jaki gueleńscy chłopci dawali zwykle dziewczętom, aby im los sprzyjał i doczekały się potomstwa. Widzowie, ci którzy mogli coś zobaczyć, zamarli w oczekiwaniu. Ninevrise,

świadomie lub nie, schowała go pod stanikiem, wzbudzając aplauz świadków.

Na sali rozległy się szepty. Ów gest wszystkich zaskoczył: był powszechny, śmiały i zgodny z tradycją. Wzbudzająca lęk Elwynimka przygarnęła nasienie gueleńskiego dębu, nadzieję na dzieci – stare żony oraz lordowie Marisynu, Marisalu oraz Isinu pokiwali zgodnie głowami, z uśmiechem, choć Murandysa i Ryssanda gnębiły ponure myśli. Niektórzy lordowie środkowych prowincji spróbują umniejszyć wagę tego czynu, lecz ich panie będą mówić: „Ach, jakże oni się kochają! Czyżbyś nie widział?”

Wówczas lordowie jeszcze bardziej sposepnieją. Nie łudził się, iż zdoła kiedykolwiek przejednać ludzi pokroju Nelefrefssana, Ryssanda czy Murandysa. Damy z tych prowincji mogą wprawdzie śmiać się i bić brawo wespół ze swymi siostrami ze środkowych prowincji, niemniej były Guelenkami i lepiej od mężów potrafiły udawać.

Będą musiały mówić między sobą z tajoną zawiścią: „Jakaż ona piękna!” Później jednak nie omieszkają dodać (oko króla wypatrzyło owego niespodziewanego gościa): „Zauważyłyście może spojrzenie patriarchy?” Na bogów, co też skłoniło patriarchę do przyjścia? A tu jeszcze ta demonstracja...

Również na twarzy Efanora widoczny był frasunek.

Kiedy Cefwyn pokonał razem z Ninevrise dwa stopnie, by usiąść i napić się wina, wbił wzrok w swego młodszego, pobożnego, oddanego quinaltowi brata; obok niego, pałając pełnym dezaprobaty wzrokiem, stał, wyprostowany niby struna, wszędzie towarzyszący Efanorowi kapłan. Na patriarchę król wolał nie

patrzyć.

Książę posłał mu w odpowiedzi zakłopotane spojrzenie, którym dawał jakiś sygnał.

Działo się coś złego. Cefwyn uniósł podbródek i popatrzył pytająco na brata. Efanor wspiął się na jeden stopień i zgiął nisko.

– Jest tu patriarcharzekł cicho. – Piorun trafił w dach świątyni i quinaltynow. A w skrzyni z datkami znaleziono sihhijską monetę.

Wciąż kręciło mu się w głowie od tańca, od dotyku dłoni Ninevrise, której jeszcze nie puścił, od jakże nieprzemyślanej nieufności wobec brata. Piorun uderza w świątynię – wymowa tego była przerażająca... Składka na naprawę dachu, dobre sobie, na dobitkę w przededniu zimy.

Sihhijską moneta. Zły omen w święto trzech groszy.

– Duże zniszczenia?

– Dachy? Całe pokrycie przepalone na wylot. Ale moneta...

– Nie należała do Tristena. Bez względu na to, jak się tam dostała, nie należała do Tristena!

– Bez względu na to, jak się tam dostała, piorun uderzył, bracie, a ofiara została skażona. Jego Świątobliwość przyszedł tu...

– Ktoś to zrobił, ażeby mnie i jego pognębić! – Efanor cofnął się, a nieszczęśni służący stali przerażeni. Głosy na sali nie przycichły, płynęły nuty statecznego madannela.

–Ten ktoś nie mógł przecież sprowadzić pioruna! – oświadczył Efanor.

–Ale mógł wrzucić monetę! To zdrada, a Jego Świątobliwość wie cholernie dobrze, kto się jej prawdopodobnie dopuścił.

–Bracie – rzekł Efanor gorączkowo, błagalnie. Patrząc z bliska na księcia, Cefwynowi zdawało się, że ustawiono przed nim lustro: obaj mieli jasnoblond brody, niebieskie oczy, królewską postawę. Tyle że na skroniach Efanora spoczywał jedynie książęcy diadem, a nie ciężka, ocierająca skórę korona, która w tym momencie uciskała swędzące zadrapanie. Oblicze Efanora powlekło się czerwienią. Policzki Cefwyna, prawdopodobnie, również. – Oszust nie mógł żadnym sposobem wywołać błyskawicy! Sam przyznasz, że to przekracza możliwości zwykłego śmiertelnika. I nie mów „cholernie”, odnosząc się do Jego Świątobliwości!

–Tristen tego nie zrobił – odparł król, zgrzytając zębami. – Jeśli to są czary, czy popełniłby ten godny potępienia czyn i zostawił dowód swej winy?

–Przyznaję, że ja bym tak nie postąpił.

–Nikt o zdrowych zmysłach by tak nie postąpił!

–Ale któryż z jego wrogów w Guelessarze dotknąłby takiej rzeczy? Quinaltyn? No i jeszcze ta błyskawica. Wyciągali właśnie datki i wtedy uderzył piorun.

–Nie każdy wróg Marhanenów stroi się w święte quinaltynskie piórka, bracie, a osobiście jako sprawcy nie wykluczalibyśmy

Sulriggana,

–To niemożliwe! No i jeszcze ta błyskawica!

–Sulriggan sprzedałby kości matki, twierdząc, że to relikwie, nie miej złudzeń. – Za ramieniem Efanora ujrzał Jego Świątobliwość, kuzyna Sulriggana, zamierzającego widać doń publicznie podejść. – Co my tu mamy? Przeklętą procesję? Może jeszcze będziemy powiewać sztandarami? – Muzycy wciąż przygrywali, jednakże ogólną uwagę zaprzętała teraz prowadzona na podwyższeniu dyskusja. Królewski bal szybko dobiegnie końca, jeśli Cefwyn da się teraz porwać nieuchronnej burzy kłopotliwych kapłańskich wyrzutów.

Dobrze wiedział, jakie wybuchłyby emocje, gdyby wycofał się przedwcześnie, by stawić czoło kontrowersjom na temat złych omenów i cudów czarnoksięstwa. Dobrze wiedział, jakie plotki zaczęłyby krążyć wśród służby i niższych rangą kapłanów, którzy zawsze nadstawiali uszu. Nawet jego wierna gwardia nic była w tym względzie niewinna.

Co więcej, pozostawiłby za sobą salę wypełnioną damami i lordami, których żadna okazja nie zbierze już razem przed dniem królewskich zaślubin; damami i lordami roztrząsającymi, rzecz jasna, jedyną sprawę wartą spekulacji: cóż to za niecierpiąca zwłoki kwestia kazała patriarsze przyjść na bal? Rozmawiano by też o jego narzeczonej. I o tańcach ludowych. Także o Tristenie... no i o monecie. I o pogodzie. Dać im czas trwania jednego tańca, a wydobędą nowinę od któregoś ze służących, jeszcze ze dwa tańce im dodać, a historia zostanie upiększona o pojawienie się czarodziejskich mocy nad ąquinałtyńską świątynią, zapach widmowego ognia z Althalen i raporty o zauważeniu

ducha jego dziadka.

Kiwnął zakrzywionym palcem – palcem z pierścieniem należącym jeszcze niedawno do ojca, teraz stanowiącym jego własność, podobnie jak całe brzemię Ylesuinu. Efanor go wspierał, zgoda, przyszedł z ostrzeżeniem, czemu jednak nie powstrzymał Jego Świątobliwości przed poruszaniem tutaj tej sprawy? O nie, zwykle wyostrzone zmysły Efanora rozwiewały się jak liście na wietrze, gdy tylko Jego Świątobliwość życzył sobie tego lub tamtego... Tak, Wasza Świątobliwość; Niechaj bogowie zachowają Waszą Świątobliwość... Całuję kraj szaty, Wasza Świątobliwość. O rok młodszy Efanor przechodził okres, gdy jego młodzieńcza łatwowierność, pobożność i ślepa wiara przeżywały trudne chwile; on natomiast spędził swój czas tolerancyjnych, dzięki bogom, osądów na uganianiu się za kobietami i dufności we własną wszechwiedzę, czym przysporzył królestwu znacznie więcej korzyści.

–Miłościwy panie – rzekł roztrzęsiony patriarcha.

–Wasza Świątobliwość. – Nie podnosił głosu. Nadal, pomimo panującej na sali ciszy, tylko służący mogli usłyszeć słowa króla. No i Efanor, blisko pochylony. Siedząca przy nim Ninevrise, której dłoń musiał porzucić, także wszystko słyszała.

–Oto co się stało... – Aż do samego podwyższenia Jego Świątobliwości towarzyszył pewien zakonnik, a teraz patriarcha kazał mu się zbliżyć, jakkolwiek nikt nie miał prawa przywoływać kogokolwiek przed królewskie oblicze. Jego Świątobliwość w swym zacierzewieniu dopuścił się co prawda obrazy majestatu, lecz zapewne dostanie od bogów rozgrzeszenie. Twarz miał pobladłą, a usta zaciśnięte, kiedy zakonnik podszedł i rozwinął

niewielkie białe zawiniątko zawierające srebrną podniszczoną monetę sihijskiego pochodzenia. W oczy rzucały się wizerunki gwiazdy i wieży, wytarte, acz błyszczące na tle matowego metalu.

–Godne pożałowania – przyznał Cefwyn – lecz nie związane w żadnej mierze z błyskawicą.

–Czym jest ta moneta, od razu widać, miłościwy panie. W skrzyni z ofiarami nie zdołała zachować swojego czarodziejskiego przebrania. Bogowie...

–Bogowie zesłali nam zwyczajną o tej porze roku burzę, a wieża chorągiewna, o ile pamiętam, została trafiona przynajmniej sześć razy, dlaczego więc pioruny miałyby omijać dach świątyni? A fakt, że wypadek ten zdarzył się równocześnie z podłym aktem zdrady (tak, Wasza Świątobliwość, to właściwe słowo), jest czystym zbiegiem okoliczności. Rozległ się potworny huk, wcale nie pojedynczy, wszyscy go słyszeliśmy. Nie należysz do ludzi, którzy łapią się za serce przy uderzeniu pioruna. Znam cię jako zrównoważoną osobę. Nie daj się ponieść emocjom.

–Ktoś posłużył się czarami, miłościwy panie. Pieniądze szły na dach, a piorun wypalił w nim wielką dziurę!

–Kogo zatem oskarżasz? Czy mamy uwierzyć w to, co ów nikczemny tchórz sugeruje? Jestem obrońcą wiary. Zanim się wszakże do mnie odwołasz, nakazuję ci, zdobądź pewność albo też przyznaj, że nie wiesz.

Świątobliwy Ojciec zdawał sobie doskonale sprawę, co pociąga za sobą każdy z tych wariantów. Panowała głęboka cisza.

Cefwyn machnął ręką, odsyłając zakonnika z monetą.

–Nie wiem, do kogo należała, ale na pewno nie do Tristena.

–Miłościwy panie...

–Sam dałem lordowi strażnikowi gueleńskie pieniądze.

–Moneta w takim razie...

–Widzę, że nie boisz się czegoś stwierdzić, lecz powtarzam, miej pewność.

Patriarcha zaczerpnął głęboko powietrza.

–Potrafię dostrzec istotę rzeczy, najjaśniejszy panie. To klątwa, wrogie działanie wymierzone w quinalt, cios w samo serce świętego przybytku.

–Za tym wszystkim stoi ktoś, kto widzi w tym osobistą korzyść, kto pragnie dokuczyć mi oraz lordowi strażnikowi, kto usiłuje wprowadzić w błąd Waszą Świątobliwość. – Mówił tonem ostrym, szorstkim, przypominającym do złudzenia ton jego zagniewanego ojca, wiedząc w głębi stroskanego serca, że cokolwiek postanowi w tej sali, plotka i tak już biegnie od przybytku quinaltynów do kuchni Guelesfortu, a stamtąd do wszystkich szlacheckich domów we wszystkich prowincjach; poniosą ją w razie czego jeźdźcy na rączych koniach. Muzyka umilkła na dobre. Tancerze stali zasłuchani, niemal pochyleni do przodu, oczekując, by treść nowiny ujawnili im wreszcie zarówno król, jak i patriarcha.

Gdzie, u diabła, podziewał się Idrys? Kapitan wyszedł z sali:

nagle wchodzenie i wychodzenie w obowiązkach należało do jego obyczajów. Tym razem nieobecność Idrysa nastąpiła w wyjątkowo niedogodnym momencie.

–Coś ci powiem – rzekł do patriarchy w głuchej ciszy, jaka zapadła, gdy cała arystokracja wstrzymała oddech. – Uczynił to któryś z nieprzyjaciół, a jeśli zaangażował do pomocy czarne siły... – Cefwyn uporządkował myśli, postrzegając w dziurawym dachu quinaltynskiej świątyni przedmiot wart nie tyle zaprzeczenia, ile interpretacji. Poniekąd nakierował błyskawicę na inny cel. – ...To przybyły one zza rzeki, jak i ten, który maczał w tym palce, nie przyjaciel Jej Miłości, ale jej zagorzały wróg. Biorąc pod uwagę, że stosy sihijskich monet rozsiane są na całym obszarze dawnych rządów sihijskich lordów, nietrudno je zdobyć. Któżby jednak zrobił coś takiego? – Dotychczas mówił cicho, teraz podniósł nieco głos. – Kto uprawia wymierzone w nas czary? Kto spodziewa się określonych korzyści? – Po głowie chodziło mu kilka domysłów, uwzględniających między innymi pobożnego Ryssanda. – Wszyscy chcący czerpać zyski z siania wśród nas zamętu pochodzą zza rzeki, wszczynają bunty przeciwko Jej Miłości i działają na szkodę naszego ludu, czego nie ścierpię. Lord strażnik ofiarował datek, który wcześniej ja ofiarowałem jemu, ponieważ nie posiada on żadnych swoich pieniędzy. Ufam mu, a także mojej pani. Musiał to zrobić ktoś przebiegły, kto może z tego odnieść jakąś korzyść.

Rozlegały się pomruki, gdy stojący najdalej pragnęli poznać treść przemowy króla, zagłuszając pozostałe słowa. Dzięki bogom, powrócił nareszcie Idrys, wszedłszy małymi drzwiami obok tronu, których król i jego bliscy znajomi mogli używać przy nieformalnych okazjach. Jego mina i postawa świadczyły o tym,

że ma do przekazania królowi pewne nowiny – pilnie i na osobności, właśnie w tej przyległej komnacie.

Do licha, o jakże złej porze! Tutaj czaiło się poważne niebezpieczeństwo: sercem Guelessaru nie był prosty dwór w Amefel, gdzie król częściej mógł zachowywać się wedle uznania i gdzie liczył na wsparcie pięciu baronów z południa tudzież wicekróla Amefel, jeśli nie amefińskiego pospólstwa.

Tymczasem północni baronowie służyli niegdyś wiernie jego ojcu, a teraz o wiele chętniej służyliby pobożnemu Efanorowi. Tutaj, w razie najwyższej konieczności, musiał ubiegać się o względy nie Cevulirna, który stanąłby przy nim z czystej lojalności, ale takich podpór quinaltynskiej wiary, jak lord Prichwarrin, diuk Murandysu, nawykły do wstawiennictwa Inareddrina w nawet najbłaższych sprawach, a nie znoszący obecnego króla za wstrzymanie łask, jakimi cieszył się dawniej. Dziadek Cefwyna wiedział, jak niepewnie korona spoczywa na głowie uzurpatora; jego ojciec zakładał ją w trochę większym poszanowaniu prawa, lecz musiał przebłagać lordów z północy, którzy zdążyli przywyknąć do tego, że im się nadskakuje, napełnia kieszenie, spełnia ich zachcianki i ambicje oraz łechcze próżność, częstokroć za pomocą jedynej siły potrafiącej ująć w karby zarówno Gueleńczyków, jak i Ryssandów.

A tym spajającym elementem nie byli wcale królowie z linii Marhanenów. Był nim zawsze quinalt na czele z patriarchą.

Kto wie, czy opanowany zwykle patriarcha nie przygnał tu spieszenie, zdjęty rzeczywistym strachem z powodu uderzenia pioruna i znalezienia sihijskiej monety. Jego Świątobliwość wyprowadził Efanora z równowagi. Cefwyn widział twarz brata,

przewrażliwionego na punkcie quinaltynow i religii. Gdzież się podział tamten brat, z którym w dzieciństwie knuł spiski?

Ale przecież uderzył piorun, powtarzał bez ustanku Efanor. Ale przecież uderzył piorun...

Musiał rozstrzygnąć wreszcie tę sprawę.

– Wasza Świątobliwość – zaczął. – Oczekuję w prywatnej komnacie... Wasza Miłość – zwrócił się do Ninevnse, dotykając jej spoczywającej na oparciu krzesła dłoni. – Ten dach zostanie załatany, a ktoś zawiśnie na sznurze, niech tylko znajdzie winowajcę. Trzeba rozstawić strażę i wysłać posłańców ku mostom i nadrzecznym wioskom, gdyż twoi wrogowie mogą zechcieć wykorzystać zaistniałą okoliczność. Obędzie się jednak bez przydługiej konferencji... Ivanorze. – Cała uwaga była skierowana na niego, skorzystał więc z okazji i przywołał Cevulirna. – Hejże, kobziarze! Czemuż to nie gracie na królewskim balu? Grać, grać! – Powstał i pociągnął Ninevrise za rękę, gdy Efanor i kapłan rozsunęli się taktownie. – Tańczcie, pijcie wino, zaufajcie Cevulirnowi. – Podał lordowi dłoń Ninevrise. Gest ten nie uszedł uwagi zawistnych baronów z północy. Tym sposobem, skoro król nie kończył przed czasem uroczystości, cała rewia wykwintnych strojów i dziesiątki dni kobiecych przygotowań nie poszły na marne. Z pewnością kontynuacja bankietu pod nieobecność władcy stała w sprzeczności z tradycją, z pewnością też Cefwyn nie śmiał pozostawić Ninevrise, przekazując jej jakiegokolwiek zwierzchnictwo nad balem, lecz znak, iż sprawa postawiona przez patriarchę została rozpatrzona bez skutków ubocznych dla dworu, przyniósł powszechną ulgę i jeśli już nie wprowadził mądrzejszych lordów w nastrój pogodnego świętowania, to wzbudził przynajmniej wśród bawiących się chęć

do pozostania w towarzystwie, blisko źródeł informacji. Młodym, których obchodziły głównie tańce, nadarzała się sposobność zatańczenia z Jej Miłością i Ivanorem.

Muzycy już po chwili grali unisono, bębniarze wybijali rytmicznie pasellę. Diuk Ivanoru i regentka pokłonili się sobie, zwracając na siebie wszystkie oczy, co umożliwiło Cefwynowi potajemną ucieczkę. Idrys przytrzymał drzwi przy podwyższeniu, straż przyboczna szybko znikła za królem.

Rozdział dziewiąty

–Gdzie byłeś? – zapytał Idrysa, zdenerwowany, kiedy wraz z Jego Świątobliwością i Efanorem przemierzali mroczne przejście do prywatnej komnaty króla. – Gdzie jest Tristen? Oby bogowie użyli nam świadków. Powiedz, że przez ostatnią godzinę znajdował się w towarzystwie świadków.

–Tristen zamknął się z Emuinem – syknął Idrys. – Są z nim Lusin i Syllan. Jest też Uwen.

Cefwyn przystanął tak gwałtownie, że omal nie wpadły nań podążające z tyłu strażę. Na tle kilku świec zapalonych w komnacie na końcu obwieszzonego kilimami korytarza Idrys stanowił cień, mroczny i złowieszczy. Do jego powinności należało nieustanne orientowanie się w sytuacji, wiedział zatem, gdzie w Guelesforcie przebywa Tristen i co się dzieje w twierdzy. Tylko świątynia była dla ludzi Idrysa niedostępnym terytorium.

–Tristen opuścił swoje apartamenty? – wycedził Cefwyn.

–W świecie przydzielonych mu przez Waszą Królewską Mość

gwardzistów i z własnym sługą. Gwardziści siedzą pod drzwiami w wieży Emuina. Tristen jest w środku.

–Przecież Emuin także nie jest czysty w oczach zakonników. Nie wolno dopuścić, by to się rozniosło. Psiakrew! Gdzieżeś był? Czemuś na to pozwolił?

–Słyszałem o wielkim zamęcie w świątyni. Podobno budynek znacznie ucierpiał. I żałuję, że lord strażnik poszedł dziś wieczór do wieży. Ale najgorsze dopiero usłyszysz. Niedawno przybył kurier znad rzeki. Dziś o świcie Tasmórden ze swoją armią wyruszył na południe.

Cefwyn z trudem i powoli wciągnął powietrze.

–Stąd twoja zwłoka?

–Proszę Waszą Królewską Mość o wybaczenie, ale musiałem zejść do wartowni. – Rzadki przypadek. – Zaraz po świcie zapalono ogień na brzegu, jeden płomień, a posłaniec bezzwłocznie ruszył, by nas powiadomić. Zakładamy, że ruch wojsk odbywa się w stronę Ieffnianu, choć obserwator mógł się pomylić bądź przeszkodzono mu w zapaleniu drugiego ognia sygnałowego.

Któryś ze stronników Jej Miłości ryzykował życiem na drugim brzegu Leniialimu, by udzielić im tej informacji, zapalając jeden z rozstawionych w ustalonych odstępach stosów, co dostrzegli strażnicy czuwający po tej stronie rzeki. Pojedynczy ogień, wysunięty na południe, oznaczał alarm i ruch wojsk w kierunku południowym. Bogowie zesłali wraz z ulewą błoto, pomyślał Cefwyn, grząskie błoto na drogach między Tasmórdenem a

stolicą Elwynoru. Oby zesłali jeszcze śnieg i lód, by ochronić stolicę Jej Miłości. Stronnicy regentki zostaną wybici do nogi, jeżeli Tasmórden wedrze się do grodu: niektórzy jej poplecznicy zdołają zachować anonimowość, aczkolwiek wszyscy rozsądni powinni zbiec na południe. A jeśli elwynimscy buntownicy rzeczywiście przystąpili do ofensywy i jeśli (zważywszy na przekłętą błyskawicę Efanora) ciemne moce powstały, wywołując tę burzę – niechaj bogowie mają ich w swej opiece!

Na bogów, czyżby naprawdę działały tu czary? Jeżeli z Tasmórdenem sprzymierzył się jakiś czarodziej, wybuchnie piekielna wojna.

Zadrżały płomyki świec osadzonych w kinkietach: w prywatnej komnacie zamknęły się drzwi. Pojawił się Jego Świątobliwość.

Do cholery, jeszcze to! W porównaniu z usłyszaną przed chwilą wiadomością dach świątyni wydał się królowi mało ważny; a jednak obrano go za cel ataku – i słusznie. Wszystko zależało od kilku nadpalonych dachówek. Chodziło o bezpieczeństwo Tristena. Także o bezpieczeństwo Ninevrise. Oskarżenie o czary dotyczyło jego najdroższych, najwierniejszych i najserdeczniejszych przyjaciół... A czary istotnie wchodziły w grę. Tristen był jednak niewinny. Wciąż miał nadzieję, że doszło jedynie do nieszczęśliwego wypadku.

–Przydziel straże Tristenowi – rzekł bardzo cicho, po czym przeszedł zza bogato tkanej kotary do mrocznej komnaty. Usiadł na zimnym, nie tapicerowanym krześle, a gwardziści przynieśli dwie świece. Kilimy zdobiące ściany przedstawiały wyczyny Marhanenów, mord dokonany na Sihhijczykach, budowę quinaltyńskiej świątyni, bitwę z Elwynimami. Dominującym

kolorem była czerwień, czerwień Marhanenów, krwi, ognia i władzy królewskiej.

Za dwa miedziaki i możliwość odetchnięcia świeżym powietrzem chętnie rozkazałby ogołocić ściany, a kilimami podsycić dożynkowe ognisko, do wszystkich diabłów posyłając Świętobliwego Ojca, jego dach i Tasmórdena zza rzeki.

Może powinien być takim królem, jakim był jego dziadek? Ze dwa przemyślane morderstwa, przyjaciele pod ochroną, umiejąca milczeć służba, a wrogowie, nawet duchowni, nie wypuszczani żywcem z tej komnaty. Spojrzał posępnie na oblicze patriarchy, równie blade w słabym świetle, co oblicze stojącego tuż za nim Efanora, ubranego w czerwień Marhanenów. Zastanawiał się, jak patriarcha zachowywał się wobec dziadka, iż nie stracił życia... Albowiem to on był owym kapłanem Selwyna, wyniesionym do potęgi wraz z całą sektą w czasie rządów Inaredrina.

–Ta fatalna moneta – powiedział, zanim patriarcha zdążył otworzyć usta. – Ten atak na święto plonów, na dobro królestwa i na moją osobę. Świętobliwy Ojciec, bardzo mną poruszył. Może i posłużono się czarami, zgoda, ale nic stoję za tym ja, lord strażnik ani żaden z moich przyjaciół. Ufam, że Wasza Świętobliwość opowie się przy mnie, jak opowiedział się przy moim ojcu, wiernie i niezłomnie broniąc królestwa.

–Twój zmarły ojciec, niech mu ziemia lekka będzie, stosował się do praw quinaltu i nie tolerował najmniejszego przejawu czarodziejstwa na dworze.

–Śmiesz sugerować, że ja je toleruję?!

Patriarcha, stary szczywany lis, nie dawał się łatwo zbić tropu.

–Twierdzą tylko, że dokonuje się jakaś podłość, a nieświadomi padną jej ofiarami, miłościwy panie. Już ona znajdzie sobie drzwi. Chyłkiem skorzysta z każdej sposobności. Przecież podle siły jeszcze niedawno dochodziły do głosu w Amefel.

–Dochodziły do głosu poza Amefel.

–W Elwynorze!

–Wnosząc z najświeższych wiadomości, możemy tu zimować ze świadomością, że Tasmórden zasiada w Ilefianie, gdzie zabija wszystkich, którzy popierali sprawę Jej Miłości, a skoro z takim upodobaniem snujesz domysły, gdzie należy doszukiwać się źródła czarów, pozwól sobie przypomnieć, Wasza Świątobliwość, że to właśnie czary zabiły ojca mojej narzeczonej, zabiły lojalnych jej ludzi i skazały ją na wygnanie na ten dwór. Gdybym nie musiał tyle dyskutować na temat wysokości tronu i kolorów świątecznych draperii, gdybym zdobył zawczasu wiarygodne szacunki z wiosek, nie spartaczone w sposób godny najwyższej kary, gdybym wreszcie mógł liczyć, zamierzając wypowiedzieć wojnę, na entuzjastyczne poparcie quinaltu, przypuszczalnie udałoby się coś zrobić w celu zapobiegnięcia tej katastrofie, która nam teraz zagraża. Czarnym mocom, tak, czarnym mocom...

–Moneta...

–Czy przeszukaliśmy każdy mieszek? Wątpię, Świątobliwy Ojciec. Wiem jednak, że nie pochodzi ona od lorda Tristena! Sam mu dałem pieniądze, bo on nie ma grosza przy duszy. Świątobliwy Ojciec. Dałem mu mieszek rzetelnych gueleńskich

miedziaków, więc jakie dostał, takie oddał. Czy zdrajca tutaj, w Guelemarze, spróbował wywołać niesnaski w tym kluczowym momencie roku, czy też maczał we wszystkim palce nieprzyjaciel Jej Miłości, wobec tak niepomysłnej wieści zza rzeki uważam całą akcję za bezbożne i wrogie użycie czarów, ale zarazem za zdradę. Wasza Świątobliwość!

Zabrakło mu równocześnie słów i oddechu, całkowicie zgubił wątek własnych myśli. Słyszał niegdyś wybuchy wściekłości ojca na swych doradców, podobnie jego gniew wywarł teraz odpowiedni efekt; niemniej emocje przesłoniły Cefwynowi całą taktykę i zagłuszyły w nim zdrowy rozsądek. Zapadło grobowe milczenie, kapnął wosk ze świecy. Tak głęboka panowała cisza.

–Zapewniam Waszą Królewską Mość – odezwał się patriarcha, zaczerpnąwszy powietrza – że jeśli chodzi o czary, nic ma między nami różnicy zdań, wszelako lord Ynefel nie przeszedł na quinalt z własnej woli, bez względu na szlachetne wysiłki Jego Wysokości. – Tu pokłonił się Efanorowi.

–Nie dzieli go od nas nic więcej niż przeciętnego bryaltyna – odparł Cefwyn, naginając fakty, które mówiły, że Tristen mniej zna się na każdej spośród trzech wiar niż na chowie prosiąt.

–Ależ lo sihhijaska dusza – stwierdził patriarcha. – Jeśli on ma duszę...

–Gdyby jej nie miał, jak czarodziej mógłby powołać go zza grobu? Co sprowadził Mauryl na świat, jeśli nie duszę?

–Odmawiał modlitwy – wtrącił Efanor, stając w obronie Tristena. Była to dzielna próba i Cefwyn westchnął z wdzięcznością.

–Mimo to – powiedział patriarcha – czary nabrały mocy, skoro ta moneta...

–Zostawmy w spokoju tę monetę! – Cefwyn zebrał resztki swej elokwencji. – Wasza Świątobliwość, quinalt jest naszą siłą, naszą opoką, kto więc zyskałby cokolwiek na rozłamie między nim a Koroną? Nie wątpię, że istnieją pewne niesnaski, ale Tristen nie ma z nimi nic wspólnego. Spójrz na Elwynor!

–Jednakowoż... – Starzec zadrżał, zachwiał się, a mimo to zaatakował: – Wnosić wiadomy sztandar do świątyni... Miłościwy panie, lord strażnik nie jest nawet człowiekiem w sensie Człowieka, a wnosząc te godła, przesiąknięte magią, do samej świątyni... Bałem się, protestowałem, Wasza Królewska Mość zapewne pamięta. Takim oto sposobem nasze zapory zostały pokonane.

–Absurd! Racz wybaczyć, Wasza Świątobliwość, ale to bzdury! „Wiadomy sztandar”, tak się wyraziłeś, wyszyła zacna gueleńska dama. Nie został zabrany z Ynefel, żaden ze szwów w ubraniu lorda strażnika nie pochodzi z Ynefel, żaden medalik, medalion, moneta, urok czy zaklęcie, jakie Wasza Świątobliwość kiedykolwiek wychwycił lub zaskarżył, co Wasza Świątobliwość powinien oświadczyć publicznie, i to szybko, w tej sali, jeśli Waszej Świątobliwości choć trochę zależy na mojej dobrej woli.

–Jednakowoż...

–Jednakowoż? – Król wyrównał oddech i odzyskał spokój ducha. Nie siedział przed nim człowiek religijny, ale oddany doczesnej władzy, bojący się przejawów sił natury, człowiek uciekający w tych godzinach mroku i spadających gromów ku wierze w

stworzenie swoich przodków.

–Gwiazda i wieża nie są nam przychylnie, najjaśniejszy panie. Podniosą się głosy.

–Które możesz uciszyć, kiedy tylko zechcesz, Wasza Świątobliwość.

–W walce z czarami Korona i quinalt muszą się zjednoczyć, miłościwy panie. Ale „wiadomy sztandar” nie może zostać poświęcony. Lękałem się, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Sami bogowie nie zdołali uratować dachu.

Do diabła z dachem! – cisnęło mu się na usta, ale tylko popatrzył zjadliwie, nie ważąc się na takie słowa. Istniały granice, których zarówno on, jak i patriarcha nie próbowali na razie przekraczać. Modlił się w duchu, by ten pragmatyczny człowiek zaczął prowadzić z nim rozsądną rozmowę.

Starcowi złożono raport z Amefel. Bogowie brońcie, jeśli uwierzył we własne kazania, jeśli pomyślał, że do spółki z bogami może przeciwstawić się rzeczywistej, przytłaczającej ciemności znad Równiny Leweńskiej.

–To oczywisty znak – rzekł patriarcha. – Miłościwy panie, sam stałem pod tym dachem. Usłyszałem łoskot! Dotąd dzwoni mi w uszach! Wszyscy ludzie z placu, schronieni przed ulewą, uciekli w popłochu. O czym będą mówić w mieście?

–O tym, co im quinaltyni każą – odparł Cefwyn ze złością. Bogowie brońcie też, by starzec w takiej godzinie nie uciekał się do wiary w swych bogów.

–Nie w tym przypadku, miłościwy panie. Nie możemy okłamywać ludzi. Nie możemy lekceważyć czarnej magii i dopuścić, by wkradała się do świętego przybytku. Wyrażam stanowczy sprzeciw!

–Chcesz przez to powiedzieć, Świętobliwy Ojczy, że odmówisz lordowi strażnikowi, mojemu dworzaninowi, wejścia do świątyni?

–Proszę Waszą Królewską Mość, byś nie wystawiał bogów na próbę.

–To zdrada stanu, Świętobliwy Ojczy. Strzeż się, bo odkryjesz we mnie mojego dziadka. Nie waż się mi mówić...

–Bracie. – Na twarzy Efanora malował się paniczny strach. – Błagam. Czy tego właśnie pragniesz? W czym pomoże nam rozłam? Nie było mnie na Równinie Leweńskiej. Nie dostałem tego honoru. Ale słyszałem raporty, Świętobliwy Ojczy. Wiem, że lord strażnik pomagał przewyciężyć czary.

–Czarami – odparł patriarcha oschle. – W tym sęk, najjaśniejszy panie. Pragniesz, bym pobłogosławił twemu związkowi, bym zmówił modlitwę za przymierze z lady regentką, której nieprawowierność rokuje jednak nadzieję, że na kraj za rzeką spłynie boża łaska, gdy tymczasem zachodzi obawa, iż twój przyjaciel lord strażnik czerpie bardziej z rad terantynów niżli z moich wskazówek. Nadal jesteśmy skłonni pobłogosławić temu związkowi, miłościwy panie, proszę mnie źle nie zrozumieć! – Ostatnie zdanie padło w samą porę; król nabrał już powietrza w usta, szykując odpowiedź. – I tak uczynimy – dodał patriarcha spieszenie, niemal krztuszając się przy tych słowach. – Uczynimy tak z zachowaniem wszystkich należnych ceremonii, miłościwy

panie. Ale jak wiele oznak dziwnej i czarodziejskiej woli lud ma jeszcze znosić? Gdzie nakreślimy linię? Czy wzdłuż Assurnbrooku, gdzie zawsze przebiegała? Powiadasz, że mogę uśmierzyć plotki. Lecz jak tego dokonać? Biec do każdego domu każdego pospolitego człowieka, który uciekł dziś wieczorem z placu, gdy z nieba leciały kawałki dachu? Rozkazać pospólstwu, by nie rozgłaszało, że zgubiła nas obecność Sihhijczyka? Jakże mi wypowiadać teraz podczas rytuałów: „błogosławcie króla i dwór jego”, skoro jeden z dworzan jest Sihhijczykiem? Jakże mi mówić: „wystawcie niewiernych na zgubę”, skoro jeden z nich siedzi w ławie i słucha kazania? Jakże mi mówić: „niechaj znaki i godła wyklęte nie nawiedzają domów waszych”, skoro jawnym zaprzeczeniem tych słów jest stojący w pobliżu sztandar?

Jego Świątobliwość wymienił przy okazji rzeczywisty argument w sporze: „...czerpie bardziej zradterantynówniżlizmoich”. W tym przejawiała się lisia natura starca. Ujawnił się przedmiot jego prawdziwej troski: wpływy Emuina na nowo obranego króla. Wreszcie zeszli na ziemię.

–Twoja liturgia nie jest starsza od mojego dziadka. Zmień słowa.

–Miłościwy panie, nie możesz o to prosić!

–Wasza Świątobliwość, pragniesz mieć załatany dach? Zmieńże te przeklęte słowa!

–Ta dyskusja staje się nieprzystojna!

–To królewski rozkaz! Polecenie Korony. Śmiesz mi się przeciwstawiać? Twierdzę, że Tristen jest naszym sojusznikiem, przyjacielem i obrońcą królestwa. Nie nadużywaj mojej

cierpliwości. Świętobliwy Ojczy. Miej się na baczności. On jest równie stały jak Ynefel i radziłbym Waszej Świętobliwości pozostawić w spokoju ów bastion.

—A ja powiadam, że nie mogę zapobiec plotkom, miłościwy panie! Nikt nie odwoła błyskawicy ani nic wymaże obrazu, jaki dziś na placu widziały setki par oczu. Albo nad Lewenbrookiem. Znosi się na katastrofę. Zważ na moje słowa, jeśli pojawi się teraz jedna plama, jedna skaza... Co będzie, gdy zbruka zaślubiny?

A to stary lis, pomyślał Cefwyn, dostrzegając wyraz oczu starca. Do licha z tym człowiekiem, który dzielił niemal rządy z jego ojcem i władał w ostatnich latach życia dziadka, przynajmniej w dziedzinach bezpośrednio związanych z bezpieczeństwem królestwa. Sam zdolny był wrzucić tę monetę tuż po uderzeniu pioruna. Niebezpieczny przeciwnik, zagnieżdżony przy żłobie Marhanenów, wypatrujący osobistych zysków, najmniej pewny sojusznik, który teraz zrozumiał, że ma zakładnika.

Ninevrise. Ślub.

Rady jego jak ulał pasowały do postępowania dziadka.

Czyżby kapłan ów zawsze manipulował władcami, wykorzystując i pogłębiając ich lęki — w przypadku dziadka lęki przed duchami, w przypadku Inareddrina obawy przed własnym następcą?

Myśl ta nasza Cefwyna tak gwałtownie, że pozbawiła go oddechu i wywołała mętlik w głowie. Nienawidził Aseyneddina, który zabijał jego ludzi, ale tamto się działo na wojnie. Nie cieszył się na widok głów zamachowców, zdobiących bramę fortecy w

Henasamef, ale oni zginęli ze względów politycznych, służyli Aseyneeddinowi i wypełniali jego rozkazy. Nienawidził Sulriggana i Heryna Aswydda. Czyżby jednak ta żmija karmiła jego ojca strachem przed synem, wciąż go od niego odsuwając, tak że Inaieddrin do ostatniego tchnienia wolał Efanora?

Spojrzał na swoje dłonie splecione na pasie, przypatrzył się bliznom na knykciach, świadczących o lekcjach, których kiedyś nie potrafił się nauczyć, bez względu na to, jak często mistrz Peygan identycznym ruchem omijał jego zastawę.

W końcu się nauczył. Podniósł wzrok na Jego Świątobliwość i przywołał na wargi uśmiech dziadka. Zobaczył, jak twarz Efanora pokrywa się trupią bladością, a Świątobliwy Ojciec zaciska szczękę.

Czy w ogóle potrzebował Świątobliwego Ojca? Kapłan mógł sobie wprawdzie uważać, że jego lenno pochodzi od bogów, mimo to błogosławieństwo Marhanena było mu potrzebne nie mniej niż królowi błogosławieństwo quinakynow.

Ale potem? Po ślubie?

–Wąska to ścieżka, Świątobliwy Ojcze – powiedział – dobrze jej się przyjrzyj: z jednej strony królewska niełaska, mogąca zaowocować, kto wie, mianowaniem nowego patriarchy, z drugiej natomiast przebudzenie Starej Magii. Boisz się czarów, nadal to twierdzę. Powiem więcej, wyszukam sobie raczej nowego kapłana, niż ścierpię jakąkolwiek przeszkodę na drodze do moich zaślubin, w czasie wojennej kampanii czy umieszczania Jej Miłości na tronie regencyjnym w Elwynorze.

Oblicze Jego Świątobliwości przybrało alabastrowy odcień. Na skroni nabrzmiały żyły. Po niebie znów przewalił się grom.

–Wasza Królewska Mość jest o krok od bluźnierstwa.

–Pozwolę sobie zasugerować, żeś się dziś wieczór, Wasza Świątobliwość, niby brzytwy uchwycił nader dogodnej okazji. Któryś z kapłanów pewnie by wiele zeznał, przymuszony do odpowiedzi odpowiednio przekonującymi środkami... Och, nigdy bym się nie posunął do takiej ostateczności, to nie leży w mej naturze. A więc ów człowiek przysiągłby z pewnością, że Wasza Świątobliwość zlecił mu zakupienie sihijskiej monety u jednego ze znachorów, którzy żyją nawet w Guelessarze, w samym sercu quinaltynskiej pobożności. Wiem, że zdołałbym znaleźć takiego człowieka, a jego opowieść zabrzmiałaby zgodnie z moim życzeniem. Błyskawica jedynie stworzyła okazję.

–Bracie – odezwał się Efanor, wystraszony. – Na dobrych bogów...

–Lepiej nie łączmy dobra i bogów w towarzystwie tego tu kapłana. Jego świątobliwość dążyłby do rozłamu między sobą a mną tylko wtedy, gdyby miał pusto w głowie, a tak nie jest. Nie będąc głupcem, a także nie mając z głupcem do czynienia, udzieli błogosławieństwa na moich zaślubinach i zadba o to, ażeby nie pokazały się żadne złowróźbne znaki ani nie wybuchł skandal w czasie liturgii. Sprawdźmy, czy zdołamy wypracować kompromis.

–Byłem doradcą dwóch królów, najłaskawszy panie, twego dziadka i ojca. Tak i tobie teraz radzę, dla twojego dobra. Quinalt znajdzie wymówkę dla każdej z twoich próśb. Dla każdej z

jednym wyjątkiem. Nie potrafię też cofnąć słów wypowiedzianych już w połowę domów w Guelemarze. Jeżeli Wasza Królewska Mość nie życzy sobie rozłamu między quinaltynami a Koroną, niech nie czyni sobie z quinaltu wroga! Baronowie z północy już teraz szemrzą z niezadowoleniem na temat ślubu. Quinaltyni opowiedzą się stanowczo przy Waszej Królewskiej Mości, lecz musi obejść się bez zakazanych sztandarów i takowych sprzymierzeńców!

–Doceniam punkt widzenia Waszej Świątobliwości – rzekł Cefwyn zdecydowanym tonem. – Jej Miłości przysługuje niepodważalne prawo do dziedziczenia po ojcu regencie, a teraz uzurpator naciera na jej stolicę... wsparty czarodziejskimi mocami, Świątobliwy Ojciec. Wszystkim nam zagraża. Twój dach świadkiem. Przed nikczemnymi siłami przestrzegaliśmy nas po raz pierwszy nie kto inny, tylko Tristen, spadkobierca Mauryła, i szkoda, że mu wcześniej nie uwierzyłem. Sugeruję, że o ile Wasza Świątobliwość jest w stanie wykorzystać wszystkie konieczne środki w celu oddalenia niebezpieczeństwa, powinien rozważyć jak najszybsze działanie. Nawet tak wielki czarodziej, jak Mauryl Gestaurien, nie podołał sile, która uderzyła na nas nad Lewenbrookiem, i nie zdołał uchronić przed zniszczeniem swej wieży ani swego życia. Ośmielisz się działać... bez strażnika Ynefel?

–Niech nikt nie gardzi modlitwami wiernych.

–Doskonale. Niech się modlą i gromadzą zapas dachówek. My tymczasem wykorzystamy szansę na ustanowienie trwałego pokoju z Elwynimami, oby bogowie wsparli nasz zdrowy rozsądek! Jako spadkobierca Mauryła Tristen oparł się wrogiej magii na leweńskich polach za pomocą oręża. Niechże Wasza

Świątobliwość zechce wysłuchać kogoś, kto uczestniczył wtenczas w bitwie: jestem przekonany, że mamy niepowtarzalną szansę, w czym duża zasługa Mauryła. Sami bogowie wspomogli nas w drodze do tego małżeństwa.

–Nie pouczaj mnie w sprawach bogów, miłościwy panie!

–Nie pouczaj mnie w sprawach polityki! Czarne moce wszystkimi siłami próbują zapobiec temu małżeństwu!

–Albo doń doprowadzić, co wydaje się równie prawdopodobne!

–O nie, nie! Nie zapędzaj się zanadto, Świątobliwy Ojcze. Ja przecież tam byłem. Wskutek czarów nad Lewenbrookiem zaatakowały nas zbuntowane wojska Aseyneeddina. Ten manewr się nie powiódł. Obecnie Tasmordenapopychacośnalleffnian. Jeśli piorun, który trafił w dach, sprowadziły czary, tedy modlitwy wiernych cholernie mało pomogły, by temu zapobiec. Czarna siła już raz próbowała wysadzić nas z siodła. Próbuje teraz rzucać nam kłody pod nogi, ażeby zniechęcić nas do zaślubin, Świątobliwy Ojcze. A jeśli jakimś wielce nieprawdopodobnym trafem było to czarodziejskie przemienienie porządnych gueleńskich pieniędzy, przypuszczam, że zostało dokonane, aby skompromitować strażnika Ynefel, walczył on bowiem z tym wrogiem i... Na bogów!... Poślę cię, byś stawił mu czoło, o ile zechcesz zastąpić Tristena. Cóż ty na to, Świątobliwy Ojcze? Wystarczy ci odwagi? Pytanie zawisło w powietrzu.

–Dobro Waszej Królewskiej Mości jest najczęstszym przedmiotem naszych litanii. Ja tylko sugeruję pewne możliwości.

–Szanuję twą dobrą wolę, Świątobliwy Ojczy.

–A kto powie, jeśli już mamy do czynienia z czarami, że nie dojdzie do kolejnej, zgubnej w skutkach próby? Jeśli błyskawicę wiodła czarodziejska siła, którą ja wszak nie kierowałem. Wasza Królewska Mość oczekuje zaślubin nie przerywanych złowróżbnymi znakami. Nie mogę przymknąć oczu na obecność sztandarów w świętym sanktuarium podczas uroczystości, miłościwy panie!

–Ty nie możesz przymknąć oczu?

–W imię bogów, nie ścierpię ich tam. Bogowie dobrze życzą Waszej Królewskiej Mości i Jej Miłości z Elwynoru. Wieża i szachownica zostaną pobłogosławione. Nie mogę jednak odrzucać wszystkich dogmatów mojej wiary! Nawet gwiazdę i wieżę pobłogosławi się w razie potrzeby... oraz, owszem, uzna za sprzymierzeńca, choć to nad wyraz niebezpieczne. – Czyżby dostrzegł dreszcze? Czyżby ten człowiek posiadał jednak wrażliwość i skrupuły? – Ale nie wywieszajmy tego sztandaru w sanktuarium podczas każdego nabożeństwa i każdego święta, miłościwy panie. Nie prowokujmy czarnych sił do przekroczenia rzeki, jeśli to naprawdę czarne siły, a tego się obawiam. Przymierze z lordem strażnikiem może kosztować o wiele więcej, niż się dziś wydaje. Takie rzeczy mają swoją cenę!

Obawa. Jego Świątobliwość nie był już tym młodym kapłanem, który stał u boku Selwyna czy przepędzał egzorcyzmami duchy ze schodów w Guelesforcie.

Cefwyn spoglądał na niego w ponurym zamyśleniu, pochylony do przodu, z brodą wspartą na pięści. Serce łomotało mu gniewnie,

oczy oglądały świat przez gęstą mgłę. I nagle doznał olśnienia. Bezpieczeństwo dla Tristena... Władza dla południowych lordów... Skarcenie Ryssanda.

–W Amefel brakuje lorda – rzekł na koniec. Przejrzawszy poprzez cienie, zobaczył otwarte usta Efanora. Wnet się zamknęły. – Tristen mógłby wiele dobrego zdziałać w Amefel – ciągnął Cefwyn z westchnieniem, po czym odchylił się na sędziowskim krześle, patrząc wnikliwie na swoich rozmówców. – Co na to Wasza Świątobliwość?

–Na to, by z tej istoty uczynić lorda prowincji?

–Już teraz jest lordem leżących w tejże prowincji włości, Althalen i Ynefel. Pragniesz uniknąć wszelkich nieprzystojnych działań. Ja ze swej strony pragnę spokojnego przebiegu ceremonii ślubnej i kresu rozmów o dachu. A więc zgoda na zgodę?

Znów wahanie. Drżenie głosu. Człowiek, który tańczył z błyskawicą, był bez względu na swe wady wdzięczny za prostotę.

–Tak, miłościwy panie.

–Nigdy nic odnoś względem mnie mylnego wrażenia, Świątobliwy Ojczy, jako i ja nie odniosę mylnego względem ciebie. Każdy z nas ma inny zakres władzy. Nigdy nie próbuj przejmować mojej.

Spotkały się spojrzenia. Patriarcha wolał nie powtarzać tego ostatniego oświadczenia. Istniała pewna zauważalna różnica w tym, do czego mogli się obaj posunąć.

Cefwyn miał nadzieję, że niniejszym dał to na wieczność patriarsze do zrozumienia. Doprowadzi do tego ślubu, a Tristen...

–Jutro – powiedział. Nie zamierzał medytować nad wynikiem tej narady. Dobrze wiedział, co uczynił w gniewie i co musiał jeszcze zrobić dla zachowania pokoju na czas zimy. Tylko czyjego wrogowie zdawali sobie sprawę, jak Idrys, czym naprawdę jest Tristen? – Jutro złoży przysięgę w świątyni. Dach czy nie dach, będziesz świadkiem zaprzysiężenia.

–Tak, miłościwy panie.

–A zatem życzę spokojnej nocy, Świątobliwy Ojcie. Ufam, że masz wystarczającą eskortę. I okrycie na niepogodę.

–Zupełnie mi wystarczy – odparł patriarcha, powstrzymując się taktownie od dygresji na temat przepowiedni, zapowiedzianych królów czy regencji w Elwynorze.

Efanor odprowadził patriarchę do drzwi, król jednak pozostał na swoim miejscu. Idrys nawet nie myślał opuszczać komnaty.

–Najjaśniejszy panie – przerwał ciszę. – Amefel?

–Tristen ma wielką szansę na ocalenie duszy – krzyknął Efanor – a ty ją skazujesz na wieczne potępienie! Wypędzasz go do czarnoksięskiej prowincji, gdzie tarczą będzie mu wyłącznie magia, podczas gdy tutaj miał szansę żyć w świętej wierze!

Było to osobliwe stwierdzenie, jedyne prawdziwe odniesienie do wiary, jakie usłyszał w ciągu ostatniego kwadransa.

–Powiedzcie mi łaskawie, gdzie jeszcze mogę zapewnić mu środki egzystencji? Ynefel i Althalen legły w gruzach. Na razie mieszka przy mnie, tu dba o niego moja służba i gwardia... ale wskutek tego znajduje się w bezpośredniej bliskości króla, Ninevrisie, bardzo drażliwych kwestii... W każdym momencie mogę go odwołać. Uczynię tak z pewnością, tymczasem jednak zapewnię mu sztandar, jakiego nikt nie odważy się kwestionować.

–Człowiek w podobnych opałach dostaje przeważnie niewielką pensję i synekurę na wsi – rzekł Idrys. – Prowincja to pewna rozrzutność.

Być może miarą jego nastroju był fakt, że tylko Idrys mógł wprowadzić go w lepszy humor. A Idrys zapewne nie rzekł nawet połowy z tego, co mu chodziło po głowie.

–Ależ on z trudem panuje nad codziennymi sprawami – stwierdził Efanor. – Jakim cudem pokieruje prowincją, skoro nie mogą sobie z nią poradzić dwie setki najlepszych królewskich żołnierzy?

–A gdzie będzie bezpieczniejszy? – Złość znów brała górę. – Gdybyś pozostawał w bliższych stosunkach ze mną niż z quinaltynami, bracie... – Nie, to nie było sprawiedliwe. – Wybacz. Ale ta cała sprawa jest ukartowana.

–Uderzył piorun...

–Skończ już z tym piorunem! Tak zrządził przypadek, a stary lis już wcześniej planował wyłowić tę zdradliwą monetę! Ręczę, że znalazł ją wśród skarbów na dnie własnej skrzyni.

–Bracie, nie bluźnij!

–Ja nie rzucam słów na wiatr, to jest podły człowiek. Sam go słyszałeś. Dojdzie do zaślubin, jeśli wygnam Tristena. Czy tą miarą mamy mierzyć głębię jego przekonań? Zapamiętajcie, co wam powiem. Nim miną dwa tygodnie, zwróci się do mnie z prośbą, bym przywrócił do łask jego kuzyna Sulriggana.

–Wcale nie musisz się zgadzać.

–Czyżbyś nie słyszał, jak rzucał groźby? To złośliwy człowiek, dręczył naszego dziadka wizjami piekła, a naszego ojca wizjami mojej osoby, wpędzając go do grobu swoją podejrzliwością, bracie! Na miłość boską, złożże do kupy całą układankę! Nasz ojciec nie zaufałby Herynowi Aswyddowi, gdyby nie zaufał pierwiej Jego Świątobliwości.

–To niebywałe. – Twarz Efanora pokryła się śmiertelną bielą. Dziś wieczór księżę usłyszał prawdę, ujrzał, jak Świątobliwy Ojciec przeprowadza polityczne machlojki.

–Słowa potrafią zabić, bracie. Nie muszą być zaprawione magią.

–Najjaśniejszy panie – wtrącił Idrys spokojnym, zrównoważonym głosem. – Dwór się gubi w domysłach.

Sala i bal. Cefwyn wziął głęboki oddech.

–Bracie – powiedział łagodniejszym już tonem. – Otwórz oczy. Przyznam ci rację z tym piorunem, jeśli ty przyznasz, że moneta stanowiła narzędzie politycznej rozgrywki, a my znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, omotani ambicjami tego

człowieka i jego determinacją w utrzymaniu swej władzy. Twój kapłan jest zapewne pobożny, ale patriarcha do uczciwych kapłanów nie należy.

–Sądzę, żeś go sprowokował, panie.

–Że co? Że ja go niby sprowokowałem?

–Najjaśniejszy panie – wdał się między nich Idrys.

–Musimy zająć się dworem – powiedział Cefwyn, odkładając na bok wszelkie bezowocne spory. – Moja decyzja jest ostateczna. Lord Amefel, sukcesor Aswyddów, on i jego ewentualne potomstwo, wierny poddany Korony, prawnie zaprzysiężony. Idrysie, poślij doń posłańca. Poślij też oficjalną wiadomość do patriarchy, że jutro po południu, choćby niebo się waliło, staniemy przed ołtarzem, a ponad chorągwiami Ynefel i Althalen zawiśnie sztandar Amefel, co będzie najdalej posuniętym z naszej strony ustępstwem wobec Jego Świątobliwości. Dwór może wziąć udział w ceremonii wedle własnego uznania.

Powstał i przemierzył krótki korytarzyk, wracając do ciepłej, gwarnej i wypełnionej dźwiękami muzyki sali balowej. Efanor milczał, wstrząśnięty.

Zasiadł na ustawionym na kamieniu siedzisku, zanim dostrzegli go i umilkli muzycy, zanim przystanęli tancerze.

Powstał. Tancerze złożyli pokłon. Ninevrise skinęła tylko nieznacznie głową i podeszła, by ująć jego wyciągniętą dłoń. Cefwyn obdarzył uśmiechem towarzyszącego jej Cevulirna... świadom napięcia panującego na sali.

Regentka stanęła przy nim, obok swego tronu.

–Z dachem świątyni nie jest aż tak źle – powiedział i nadał twarzy wyraz surowy, urzędowy, z rozmysłem marszcząc czoło. – Niemniej wrogowie Jej Miłości zamierzali wyrządzić daleko dotkliwsze szkody. Ciemne siły przypuściły atak, teraz więc, z błogosławieństwem patriarchy, musimy dać im odpowiedź. Zwrócę się z prośbą do lorda strażnika Ynefel, aby wyruszył na południe z zadaniem zaprowadzenia spokoju w Amefel i odciążenia na czas zimy uwagi parających się czarami buntowników. Z błogosławieństwem patriarchy... – Jakże kochał przywoływać na próżno jego imię! – ...czynię go diukiem Amefel i nadaję mu wszelkie tytuły do tej pory przysługujące Aswyddom. Ponadto, z błogosławieństwem patriarchy, powierzam mu władzę nad południowymi marchiami. – Żywił nadzieję, że w powszechnym odczuciu lord strażnik nie musi się teraz bronić przed zarzutami o czary, ale borykać ze wszystkimi niewygodnymi kwestiami czarodziejskich ataków, do czego niegdyś zobowiązywało stanowisko Mauryła. Jednym posunięciem umieścił Tristena w miejscu, w którym nigdy nawet nie marzył umieścić żadnego przyjaznego mu lorda, a w które Tristena najbardziej pasowało posłać: w tamtym kraju zostanie gorąco powitany, gdy tymczasem dwór, targany przejawami czarnoksięstwa, pragnął jakiejś rękojmi bezpieczeństwa, nie chcąc mieć z tym jednocześnie nic wspólnego.

W dodatku umieścił go w miejscu, gdzie kotłowało się od przepowiedni i czarów. „Zdobądź jego miłość” – doradzał mu Emuin.

Młodzież wykazywała swą aprobatę z mieszanymi uczuciami, starsi przybierali posępniejsze miny, a kilka osób jakby

odetchnęło z ulgą, zwłaszcza Murandys i Ryssand, którzy z satysfakcją przyjęli nowinę, że lord strażnik udaje się na południe – choć lepiej, gdyby jechał do samego piekła. Ich spisek przyniósł owoce: przyjaciel króla wyjeżdżał. Król wszakże, o czym się wnet przekonają, nie był z nich wcale zadowolony.

Usiadł. Obok niego usiadła Ninevrise.

–A więc wszystko układa się pomyślnie? – zapytała po cichu, gdyż nie wiedziała o sytuacji w Elwynorze. Ścisnął jej dłoń i życzliwym spojrzeniem omiatał salę, dając znak do wznowienia tańców.

–Teraz bądź dzielna. Tasm-Srden ruszył na stolicę.

Milczała. Palce jej zacisnęły się wolno w jego dłoni, lecz wierzył, iż opanuje wzburzenie.

–Tylko tyle przekazał goniec. Tymczasem w dachu świątyni widnieje dziura, patriarcha zaś obstaje, że to czary. Wysyłam Tristena na południe w trosce o bezpieczeństwo nas wszystkich. – Omal nie dodał: „Ale jedynie do ślubu”, lecz nagle zrozumiał pełną wymowę swej decyzji. Z jednej strony nominacja ta dawała wreszcie jego przyjacielowi stały dochód i rzeczywiste włości, z drugiej jednak pociągała za sobą szereg zobowiązań, które odciągną Tristena od dworu na dłużej niż jeden kwartał, jeśli podejmie się je wypełnić. „Zdobądź jego miłość” – brzmiało zalecenie Emuina. Nawet Emuin nie przeciwstawiłby się sile, która Zawezwiała sihijskiego lorda z zaświatów.

Znając Tristena, wiedział, że zechce wypełnić wszystko, co mu zostanie powierzone. Czyż kiedykolwiek nie wywiązał się z

podjętego zobowiązania? Naszła go też myśl, iż nie zdoła tak łatwo sprowadzić Tristena z powrotem, skoro już raz wyprawi go w drogę. Myśl ta napełniała go smutkiem.

Oczywiście, mógł liczyć na przyjaźń i lojalność Tristena. To nie podlegało dyskusji. Ze wszystkich przyjaciół, jakich miał w przeszłości, żadnego nie zdobył tak szybko, żaden nie był mu tak bliski i nie zachowywał się równie szaleńczo... Przyjaźń żadnego z nich nie wydawała mu się tak niezłomna: mógł nawet zaniedbać trochę Tristena, a potem ujrzeć go znów radosnego i wiernego jak latem – lub posłać w samo serce czarnych mocy i odzyskać nie draśniętego. Pod każdym względem mógł na niego liczyć. Oczywiście, Tnsten powróci, kiedy dwór zbierze się wokół króla – a jeśli zasiądzie na tronie Elwynoru, jakaż w tym strata? Jego wybranka zawsze przy nim, zwrócona wyłącznie ku niemu, nie zmartwiona losem rodzinnego kraju. To wykraczało poza wszelkie plany. Wykonał dopiero pierwszy ruch.

Jeśli jednak wojska Tasmórdena zdobędą Iffnien jeszcze przed pierwszymi śniegami i zechcą opanować południowe przyczółki mostów, ażeby oskrzydlić ylesuińskie wojska, chcące dokonać inwazji na północy, cóż, natkną się na Tristena. W takim razie niech działają czary; nie posiadał skuteczniejszej broni ani wiemiejszego przyjaciela.

Wciąż go jednak męczyło złe przeczucie, iż działa pochopnie, pozostawiając Tristenowi wolną rękę na południu mimo wcześniejszych ostrzeżeń Emuina, zdaniem którego wszystko, co Tnsten zamierzał robić, w pewnej mierze „naginało” sprawy innych ludzi. Tutaj Tristen miał ograniczone zamiary, a jego pragnienia zaspokajało na ogół karmienie gołębi.

To niebezpieczna gra, podpowiadał mu wewnętrzny głos. Powinieneś być zapytać Emuina.

Czyżby czary dotknęły świątynię quinaltynow, a Emuin nie udzielił mu przestrogi?

To późna pora i złe wiadomości obudziły w nim najgorsze przeczucia.

–Zostaniemy jeszcze godzinę, ale nie dłużej – odezwał się do Ninevrise. Ona lepiej rozumiała zasadnicze znaczenie upadku lleffnianu, oczyma duszy widziała listę imion ludzi, których życiu zagrozi niebezpieczeństwo, gdy Tasmórden wjedzie do miasta. – Cokolwiek się wydarzy, na dworze nie mogą mówić, że przytłoczyły nas usłyszane wieści.

–To posunięcie moich wrogów było nieuniknione – oświadczyła Ninevrise słabym głosem. Jej palce ogrzała dłoń Cefwyna, przestały być wiotkie. – Zapalono ognie sygnałowe?

–To wszystko, co wiemy. Idrys usiłuje zdobyć więcej informacji, ale nie możemy przeszkodzić Tasmórdenowi w marszu. Miejmy tylko nadzieję, że pod wpływem deszczu rozmiękną drogi.

–I że pewni ludzie rzucą się do ucieczki – dodała.

–Z drugiej strony – powiedział, zaciskając dłoń na jej zeszyt wniałych palcach – jest w tym też mała korzyść: Tasmórden nie zdążył ufortyfikować brzegu na wschodzie, aby uniemożliwić nam przeprawę. A teraz Tristen, kiedy przybędzie na południe, zaprzątnie jego uwagę. Buntownicy w Elwynorze chyba tego nie przewidzieli. Bogowie wiedzą, że Tristen świetnie sobie radzi z

czarami.

–Szkoda, że nie mamy jeszcze miesiąca. Albo że śnieg nie pada.

–Do licha z plotkami. Zabiorę cię z tej sali.

–Nie, panie. W takim wypadku musiałabym znosić plotki dam dworu i ich pytania. Jeszcze nie czas. Żałuję, że nie jestem bardziej opanowana. – Paznokcie wpiły mu się w ciało. – Na polu walki każdy zna swego przeciwnika. Tutaj też ich mam, lecz nie dysponuję przeciwko nim żadną bronią. Żadną...

–Podaj mi ich imiona!

–Och, Artisane, ona im przewodzi.

–Akurat od jej towarzystwa nie mogę cię uwolnić. Aż do chwili...

–Aż do chwili ślubu. Już ja poczekam do ślubu. Wszystko zapamiętuję, każdy najmniejszy docinek. Nawet żołnierze w bitwie okazują od nich lepsze maniery.

–W to wątpię.

–Mężczyzna wie, że musi się połać krew. Te kobiety będą przelewać czyjaś, wesole niczym sójki. Nienawidzą nawet swoich ojców. Mnie jednak nienawidzą jeszcze bardziej. A ja muszę je znosić. Przy każdym spojrzeniu prowadzą własną wojnę z Elwynorem. Och, z jakąż chęcią, gdyby mogły, rzuciłyby na mnie urok! Ciągłe tylko szczebioczą o tej łajdaczce, cudzoziemce, i o tej jednej halce! Ho, ho, co ona sobie myśli? – Cefwyn usłyszał, jak po raz drugi wciąga powietrze. – Gdyby umiały wszyć swą

złość w moją suknię ślubną, uczyniłyby to z rozkoszą. Każdą z nich rozczarowałaś i pozbawiłaś złudzeń. Bałabym się pić tu cokolwiek, gdyby nie pani Margolis.

–To dobra kobieta.

–Dobra i dzielna, choć pogardzana za gminne pochodzenie. Sama nie mogę nic zrobić. – Głos ukochany, głos podnoszący go na duchu, zadrżał. – Nic, by obronić ją albo siebie.

–Po zaślubinach – rzekł, stroskany – odbiorę to jako osobistą obrazę. Jeszcze cienko zaśpiewają. Czyżbyś nie mogła liczyć na nikogo więcej?

–Tylko na Margolis... Niekiedy, rzadko, pomaga mi Cleisynde. – Wciąż wyczuwało się w jej głosie przejmujące do głębi drżenie, które niczym nóż przesywało królowi serce. Przez cały czas udawali, że lekceważą wrogów. Sądził, że dzięki intelektowi i swej wartości jest bezpieczna i niewzruszona wobec ataków. Uważał, iż nie zwraca uwagi na bitwy toczone za pomocą halek i pereł, niewspółmiernych pod względem krzywd, jakie ludzie wyrządzają sobie na wojnie. Maszerowała i obozowała razem z żołnierzami, stawiała czoło czarom i duchom. Czy musiała mieć się na baczności przed szesnastoletnią córką Ryssanda? Przed jej docinkami? Ninevrise była przecież regentką Elwynoru. I

–Ileffnian – rzekła po chwili, dając wyraz swym najgłębszym, najboleśniejszym obawom. Cefwyn czuł, że w dłoni trzymaj lód. – Och, bogowie, miejcie litość nad nimi!... Ileffnian...

Rozdział dziesiąty

W jednym posunięciu Emuin zbił trzy pionki.

Tristen zauważył nadarzącą mu się sposobność... Z żalem przyjmował zwycięstwo. Odnosił wrażenie, że okazuje starcowi nieuprzejmość. Cała noc, odkąd rozległ się ów potworny łoskot pioruna, wydawała się niejako rozchwiana, ni to łudzająca nadzieją, ni to wróżąca klęskę.

–Twój ruch – rzekł Emuin. Obaj pochylali głowy nad drew nianą szachownicą z białymi i czerwonymi polami, nad pionkami w dwóch odmiennych kolorach.

Tristen z prawdziwym smutkiem przeskakiwał pionkiem od jednej do drugiej bierki Emuina, zabierając mu wszystkie.

–Też mi coś! – krzyknął Emuin.

–Myślę, że pozwoliłeś mi wygrać.

–Nic podobnego – odparł czarodziej poirytowany, po czym łyknął jesiennego piwa. – Rozłóż jeszcze raz. Druga partia.

Tristen ponownie ustawił pionki.

–Jesteś nad wyraz bystry – skonstatował Emuin żalonym głosem.

–Jeśli chcesz, możemy odłożyć...

–Nie, nie, podoba mi się ten pojedynek.

Tak czy owak, Emuin wciąż był zirytowany. I nie wyglądał na wystarczająco zdziwionego, dopóki nie doszło do piątego,

szóstego i siódmego bicia – wszystkich w jednym ruchu. Wobec takiej końcówki starzec odchylił się w krześle, wwiercając w planszę podejrzliwe spojrzenie, jakim wpatrywał się czasami w kryształową kulę.

Tristen poustawiał szybko pionki, pozwalając mistrzowi Emuinowi zagrać tym razem czerwonymi.

–Prędko się uczymy, co? – mruknął czarodziej przy pierwszym posunięciu.

–Staram się, panie.

Emuin spojrzał nań spode łba. Podczas gry na placu przed Guelesfortem brzmiały gromkie hałasy. Z czasem wszystko ucichło. Świeca wypaliła się do połowy, ogień przygasł za kratką paleniska. W chwili tej cały świat ograniczał się jakby do okrągłych ścian, stołu i blasku na twarzy Emuina.

–Wszyscy staramy się, jak możemy – odparł – ale ty jesteś bystrym chłopakiem i wyróżniasz się spośród nas.

–Nie pragnąłem wygrać, panie.

Emuin zaniósł się śmiechem, rozsiewając po twarzy gmatwaninę tysięcy zmarszczek. Rychło jednak spoważniał.

–Wtedy to już nie jest pojedynek. Znam swoje możliwości, ty zaś poznaj swoje. Nie uda ci się, jeśli będziesz oszukiwał na moją korzyść, młody lordzie. Graj po swojemu.

Raptem powietrze stało się dziwnie ciężkie, jakby gabinet obrócił się dokoła, jakby niebo zawirowało; nie żeby urzeczywistniły się

przedmioty, które rzeczywistymi nie były jeszcze przed momentem, ale teraz Tristen siedział jakby w większym oddaleniu od świata, wpatrzony w mały gabinecik ze ścianami z kamienia, zaśmiecony stosami gratów; wpatrzony w młodzieńca i starca, rozdzielonych leżącą na stole planszą... Wtem ktoś zadudnił do drzwi na dole, a potem gwardziści z brzękiem zbroi porwali się na nogi i wołali, kto idzie.

Emuin zerknął w kierunku drzwi z pionkiem w rękę, nieruchomiejąc. Ktokolwiek nadszedł z głośnym człapaniem po schodach, rozmówił się po cichu z Uwenem i gwardzistami. Zadrżała klamka.

Wszedł oficer o imieniu Pryas, królewski posłaniec.

–Wasza Lordowska Mość – Tristen wstawał już od stołu, wiedziony przecuciem, że w jego spokojnej egzystencji zaszła zmiana, ale doszło też do jakiegoś nieszczęścia – pan zawiadamia, jakkolwiek z braku czasu nie opatrzył jeszcze pieczęcią dokumentów, że Wasza Lordowska Mość, mianowany diukiem Amefel, obejmuje w posiadanie prowincję, otrzymując równocześnie wojsko i służbę, wozy i gwardię oraz stosowną liczbę koni, wraz ze wszelkimi należnymi honorami. Jutro w południe, w czasie publicznej ceremonii, Wasza Lordowska Mość złoży przysięgę w imieniu Amefel i w tej samej godzinie wyruszy do swej nowej stolicy.

Prawą dłoń zaciskał na drewnianej poręczy krzesła. Czuł, jak Emuin wstaje z miejsca, a Uwen spogląda nań ze strachem. Uwen, Lusin i pozostali gwardziści od razu otrzeźwieli.

–Jaką mam dać odpowiedź? – zapytał Emuina, nie dlatego, że

wahał się wypełnić wolę Cefwyna, ale że otwierające się przed nim nowe możliwości wykraczały poza jego zdolność pojmowania.

Od dwóch miesięcy prowincją Amefel rządził mianowany wicekrólem lord Parsynan. Cefwyn nie zgodził się na powrót z zesłania lady Aswydd i nadanie jej w dożywocie prowincji – nie chciał też słyszeć o żadnych innych pretendencjach.

Co w takim razie z lady Orien Aswydd? Niektórzy uważali, iż powinna zostać ścięta. Jej brat został ścięty i spalony za swoje zbrodnie, a przecież lady Orien także popełniła ciężkie przewinienia wobec Korony. Czyżby Cefwyn polecił w końcu ją zabić? Byłoby mu niezmiernie przykro.

–Nie będę ci doradzał – oświadczył Emuin.

W tejże chwili na dole wszczął się wielki rwetes. Kolejni ludzie wspinali się spiralnymi schodami.

–Annas przyszedł, panie – oznajmił Uwen. – A z nim dwóch paziów Jego Królewskiej Mości.

–Służba miłościwego pana – rzekł Pryas – oraz jego oficerowie mają nadzorować załadunek wozów. Wszyscy domownicy miłościwego pana pomogą dziś Waszej Lordowskiej Mości zając się drobiazgami i zamówieniami.

–W takim razie zacznę się pakować – powiedział Tristen, widząc oczyma wyobraźni, jak zabiera Petelly’ego i Gery, dwa lekkie konie, tobół z ubraniami oraz Uwena; Uwen będzie mu towarzyszył, co do tego miał pewność. Ale wojsko i służba, wozy i

gwardia? Zaczął sobie zdawać sprawę z ogromu przedsięwzięcia. Czy dostanie także Tassanda? Czy może będzie zmuszony pozostawić tu dawnych służących? Mógł na nich polegać, lubił ich dowcip i towarzystwo.

Poza tym co powie wicekrólowi w Amefel? Zostałeś zwolniony? A co z Orien Aswydd i jej siostrą?

–A więc się pakujemy? – zapytał Emuin słabym głosem.

–Ty też pojedziesz, panie?

–Na miłość boską, tak, pojedę! Jakżebym mógł nie jechać? Wysyła nas do Guelessaru na dwa miesiące, potem odsyła nas z powrotem mimo burzy z piorunami... Cóż ten chłopak, na litość boską, wyprawia?!

Miał na myśli Cefwyna. Emuin nigdy nie zważał na etykietę.

–Wiesz może, dlaczego wyjeżdżamy, panie? – zapytał Tristen królewskiego herolda, na co zapytany odrzekł spokojnie:

–Zdaje się, że z powodu dachu świątyni, Wasza Lordowska Mość, aczkolwiek nic więcej król mi nie wyjawiał. Musimy dokładnie wiedzieć, ile wozów Wasza Lordowska Mość zabierze.

Tristen zastanawiał się, w jaki sposób dach świątyni mógł być związany z jego nagłym wyjazdem do Amefel mimo burzy z piorunami. Rychło zrozumiał, iż potężny łoskot pioruna nie wywołał jedynie hałasu.

A zatem Amefel. Sytuacja nie wyglądała wcale beznadziejnie. Król był bezpieczny. Nieoczekiwana nominacja nie sprawiła mu

radości, ale też wyjazd na południe nie napełniał go smutkiem. Wszelako Ludzie mówili, że zimą rzadko kto wybiera się w podróż. Medytował nad stojącymi na planszy pionkami: król również wykonał ruch, wierny swej strategii, zmierzającej do wyzwolenia Elwynoru i zniszczenia Tasmórdena, Cieszył się, widząc sens owego posunięcia. Ze smutkiem ujrzał niebezpieczeństwo wynikające z rozłąki z Cefwynem, nic jednak nie mógł na to poradzić. Dwa wieczory temu marzył o powrocie do starych zwyczajów, o zacieśnieniu związków z Cefwynem i Ninevrise... A tymczasem, znienacka... stało się to...

Niemniej, jak bywało w warcabach lub na polu walki, nie każdy ruch musiał mierzyć prosto do celu. Na określonej liczbie pól można rozegrać wiele gier i nie wszystkie posunięcia odbywają się po linii prostej.

–Otrzymasz odpowiedzi na swoje pytania – zwrócił się do Pryasa. – Gdy tylko zasięgnę opinii moich służących, prześlę informacje na temat liczby wozów.

–Wasza Lordowska Mość. – Pryas odszedł tak cicho, jak na to pozwalał tłok na schodach.

Wówczas pojawił się Annas, by przypomnieć o tysiącu spraw, które należało natychmiast załatwić. Emuin krzątał się zmartwiony po gabinecie, zbierając porozrzucane mapy.

W takiej sytuacji wszystkie ich zamiary zostały poniechane, plany odroczone. Tej zimy, a nawet na wiosnę, nie wybierze się wraz z królem nad rzekę. O nie, zamiast tego zajmie zamek Heryna Aswydda. Stanie u władzy w prowincji, której Gueleńczycy najmniej ufali – znał historie lordów, krwawe nakazy chwili,

podyktowane przez okrutny, nieuchronny los. Czuł, że objawiają się jego świadomości na podobieństwo poprzednich objawień, związanych z wojną i zastosowaniem miecza. Wiedział, jakim zadaniem został obarczony. Wezbrało ono niby ciemne wody, zalało go falami. Konieczność, misja zlecona przez przyjaciela, obowiązek względem amefińskich wieśniaków i mieszkańców grodu. To Cefwyn nałożył nań ten obowiązek. Czyż mógł teraz postąpić inaczej? Nie jechać do Amefel?

Annas mówił o zapasach prowiantu i ubrań, o rozdzieleniu zadań służbie, o zabraniu odpowiedniej liczby czeladzi, gdyż Amefińczycy okazywali swe dąsy wicekrólowi, nie chcąc z nim współpracować. Powinien więc zabrać z Guelessaru osobistego kucharza i osobistych paziów. Zdaniem Annasa.

–Kuchmistrzynie w Zeide była wobec mnie bardzo życzliwa – rzekł spokojnie, z absolutną pewnością. – Nie chcę nikogo innego. A skoro zostałem diukiem Amefel, czyż wszyscy paziowie nie powinni być Amefińczykami?

Annas zamilkł na chwilę, jakby po wielokroć rozważał potrzeby Tristena. I po raz drugi zdejmował zeń miarę.

–Mimo wszystko – oświadczył wreszcie – zatrzymasz Tassanda.

–Z chęcią go zatrzymam – odrzekł Tristen zgodnie z prawdą. – Uwen także ze mną pojedzie. Chciałbym, żeby i on mi towarzyszył.

–To się rozumie, panie – powiedział Uwen. Tristen stał otoczony szalonym wirem zmian i przygotowań, lecz nie czuł się tak zagubiony i zrozpaczony, jak wtedy, gdy pękały ściany Ynefel.

Tym razem nie był zdezorientowany i oszołomiony. Tym razem wiedział, dokąd zmierza i czym rozporządza.

Gdy zszedł na dół do swego apartamentu w eskorcie Uwena, Lusina i Syllana, w komnatach panował wielki chaos.

–Wasza Lordowska Mość – pozdrowił go jeden z pilnujących drzwi strażników z nocnej zmiany, człowiek w czerwonym kaftanie Gwardii Królewskiej. – Przybyła służba Jego Królewskiej Mości, panie. – Te ostatnie słowa skierował pod adresem Uwena, będącego dowódcą straży, trzeźwego, acz przesiąkniętego zapachem świątecznego piwa.

Drzwi stały otworem.

–Panie – rzekł Tassand w progu. Z tonu głosu Tassanda, jak też z obecności królewskiej służby, biegającej po apartamentach, oraz wywleczonych z sypialni, rzuconych w nieładzie na krzesła ubrań, należało wnosić, iż odbywa się pakowanie. Najwyraźniej nowina dotarła już do jego służących.

Usiadł w komnacie, która błyskawicznie, z każdym pakunkiem wynoszonym ku wozom, przestawała być jego mieszkaniem. Podobnież dobiegał kresu jego bezpieczny pobyt w Guelesforcie, u boku Cefwyna... Miał wrażenie, że przebywa w ruinie; wszystko, co zaplanował, podlegało teraz dyskusji.

Nagle pojawił się Idrys. Minąwszy strażę, wkroczył do apartamentu i pochylił się w progu sypialni.

–Panie – rzekł Tristen, powstając. Skupił całą uwagę na Idrysie, który zawsze przybywał z posłannictwem od króla, bez względu

na to, czy Cefwyn o nim wiedział.

–Wasza Miłość, Jego Królewska Mość nie przyjdzie tutaj, gdyż nie może się teraz z tobą widywać, sam to rozumiesz. Ktoś niepożądany mógłby zauważyć.

–Rozumiem, panie. Przekaż mu moje pozdrowienia.

–Nie omieszkam. Rozkazałem przydzielić ci kapitana Anwylla. Możesz na nim polegać.

Tristen zmarszczył czoło – nie z braku szacunku do Anwylla, który był zacnym, poczciwym człowiekiem. Chodziło o Uwena.

–Uwen wystarczy mi w zupełności, panie.

–Właśnie ze względu na Uwena weź z sobą Anwylla, aby objął dowództwo nad gwardią przynajmniej do wiosny. To moja rada, a nie afront wobec twego sługi.

Idrys nie kierował się osobistymi interesami, nie mógł odnieść żadnej korzyści z wysunięcia kandydatury Anwylla, ale i tak Tristen uważał jego propozycję za nie do przyjęcia.

–Skoro mam mieć własnych ludzi – powiedział – Uwen będzie moim kapitanem. Zabiorę Anwylla jedynie pod warunkiem, że zgodzi się stosować do poleceń Uwena, panie.

–Który w wielkim pośpiechu awansował z sierżanta na kapitana i przez cały czas spisywał się bardzo dzielnie. Nie mam nic przeciwko Uwenowi Lewen'ssonowi. Wszakże do prowadzenia ksiąg będą ci potrzebni ludzie, zarówno żołnierze, jak i cywilni archiwiści. Musisz postarać się o kwatermistrza, zbrojmistrza...

Mistrz Peygan poleci ci kogoś odpowiedniego.

–Przyjmę radę mistrza Peygana – odparł. Niechętnie polemizował z dyrektywami Cefwyna, jednakże już wcześniej ułożył sobie w myślach, jak to wszystko powinno wyglądać. – Pozostałych wybiorę spośród Amefińczyków, panie.

W zaległej na krótko ciszy Idrys zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Musiał tę kwestię wnikliwie rozważyć i teraz mówił bez ogródek, czemu Tristen nie zamierzał się przeciwstawiać. Nie chciał jednak, by Uwen został zastąpiony przez świeżo mianowanego kapitana gwardii, będącego, nie ulegało wątpliwości, człowiekiem Idrysa.

–Widzę, że Jego Królewska Mość wyznaczył prawego diuka Amefel – stwierdził Idrys, obrzucając go mniej krytycznym spojrzeniem, za to znacznie bardziej nieufnym. – Jego Królewska Mość widzi w tobie przyjaciela, panie. Ufam, że jesteś nim dalej i tak już pozostanie.

–Pragnę tego całym sercem, panie. Nie uczynię nigdy niczego, co by go uraziło.

–Powiedz raczej, że dochowasz danej mu przysięgi, to zakończy sprawę. Może nawet wyjaśni, dlaczego ty musisz opuścić dwór, gdy powracają typki pokroju Sulriggana.

–Nie może być, panie! – Tristen zeszywniał z przerażenia. – Czyżby Jego Królewska Mość zezwolił mu na powrót?

–To ostateczna cena za jutrzejsze błogosławieństwo Świątobliwego Ojca. Sulriggan powróci, by znów cieszyć się

względnami Jego Królewskiej Mości... – Rzadko sarkazm Idrysa objawiał się tak wyraźnie, a jego twarz przybierała tak posępny wyraz. – Miłościwy król mógłby przepędzić całą tę bandę, ciebie zaś zatrzymać, lecz to wywołałoby wojnę z quinaltem, a obecnie nie można do niej dopuścić. Przekazuję kapitanowi Anwyllowi wyraźne rozkazy i wyrazy szacunku dla Uwena Lewen'ssona, nie będącego moim podwładnym. Przekazuję kapitanowi opinię udzieloną mi przez człowieka, któremu ufam. Zatrzymałbym chętnie Emuina przy Jego Królewskiej Mości, lecz odrzucono moją prośbę. Przez wzgląd na miłościwego króla czuwaj, by w Amefel nie doszło do żadnych zamętów, oraz, zaklinam Waszą Miłość, nie dopuść do zamieszek na granicy z Elwynorem. Spełnisz te dwa warunki, a wyświadczysz Jego Królewskiej Mości nieocenioną przysługę.

–Będę się starał, panie. Wytłumaczył mi, dlaczego na wiosnę należy wyprowadzić natarcie z północnych prowincji. Przysłuchiwałeś się nawet tej rozmowie.

–Rzeczywiście. Bogowie świadkami, że istnieją o wiele gorsze warianty rozwoju wydarzeń w Amefel. Strzeż się wpływu Aswyddów, nie wiąż się z ich rodem, przed jedzeniem każ ludziom kosztować twoje potrawy i nie daj się zwieść dwulicowym łotrzykom. Nie bądź rozrzutny, lecz uczestnicz regularnie w bryaltyńskich ceremoniach i okazuj szacunek quinaltyńskiemu patriarsze w Henaśamef. Przekaż darowiznę dla świątyni quinaltynow. Ten człowiek to potworny zarozumialec, przysłużysz się jednak miłościwemu królowi, jeśli raport przesłany Świątobliwemu Ojcu nie będzie zawierał niestworzonych bujd o czarach. Zabraniaj znachorom sprzedaży amuletów najarmarku, bo od tego quinaltyni dostają białej gorączki. Proszę o to tylko ze

względu na dobro Jego Królewskiej Mości. Ani mnie, ani jego nie obchodzi, ile talizmanów chroniących przed bólem zęba sprzedadzą stare kobiety. Tylko nie pozwalaj, żeby wisiały jawnie na straganach albo żeby obnoszono się z nimi na ulicach, szybko bowiem gruchnie pogłoska, że zachęcasz do uprawiania sihhijskiej magii i oddajesz się potajemnie bogowie wiedzą jakim praktykom. Zawsze kieruj się radami mistrza szarej szaty. Będzie ich bardzo brakować Jego Królewskiej Mości. Ktoś przecież powinien z nich korzystać.

–Emuin mi ich nie udziela, gdy go o nie proszę. – Rozumiał, co Idrys pragnął mu przekazać, brał sobie do serca jego uwagi. Zasmucała go myśl, że chociaż mistrz Emuin nie chce być jego doradcą, zsyła właśnie z wieży tłumoki, kosze i klatki, i nie zamierzając zostać w Guelemarze, by wspierać Cefwyna. – Nie prosiłem go, żeby ze mną wyjechał, a mimo to nalega na wyjazd.

–No, cóż – Idrys zmarszczył brwi. – Jutro w południe, bez względu na okoliczności, złożysz w świątyni przysięgę w imieniu Amefel, w trakcie stosownej ceremonii z udziałem mieszkańców grodu. Jego Królewska Mość pragnie, by uroczystość odbyła się na oczach baronów. Zmusza Świątobliwego Ojca, by jej przewodniczył, i baronów, ażeby się modlili. Jeśli władasz błyskawicami, Wasza Miłość, błagam, byś nie dopuścił do dalszych zniszczeń dachu świątyni. Tylko patrzeć Sulriggana. Jego Królewska Mość prosi, byś unikał jakichkolwiek przykrych zdarzeń od teraz aż do godziny ceremonii. I niechaj sprzyja nam ładna pogoda, o ile jesteś ją w stanie zapewnić.

–Nie władam pogodą.

–To tylko żart, za pozwoleniem.

–Tak, panie. Ale powinieneś wiedzieć... Musisz wiedzieć, że Linie w świątyni zostały przesunięte. – Nie miał sekretów przed Idrysem, którego opinia o nim przetrwała czas najgorszych podejrzeń. Zdawał sobie sprawę, że w tym człowieku nie wzbudzi strachu. – Są tam Cienie, wiele Cieni. Nie wyczuwam jednak, by wyrwały się na wolność. Uderzenie pioruna musiało nimi wstrząsnąć, ale sytuacja nie uległa chyba pogorszeniu.

–Linie zostały przesunięte? – powtórzył kirys.

–Linie, które ograniczają swobodę ruchów Cieni. Które zabezpieczają budynek.

–Czy to pilne? – Idrys, jako jeden z nielicznych, zawsze był gotów wysłuchać jego opinii, Tristen nie wydawał więc pochopnych sądów, aby nie wszczynać fałszywego alarmu.

–Raczej nie. Czułbym, gdyby odzyskały wolność albo zamierzały tego wkrótce dokonać. Ściany są nienaruszone. Choć w dachu Ynefel było dużo dziur, nie miało to żadnego znaczenia.

–W Ynefel, powiadasz.

–Liczą się okna. I drzwi. Kiedy mury zaczęły się walić... – Zawsze z niechęcią wspominał wycie wiatru i skrzypienie belek oraz późniejszą ciszę, przerywaną jedynie upadkiem ciężkich krokwi. – Ale świątynia chyba się nie zawali. Przysięgnę przed Cefwynem. Chcę być jego przyjacielem. Mam nadzieję... – Nie wyrzekł tego na głos, odkąd usłyszał wiadomość. – Mam nadzieję, że na wiosnę wezwie mnie z powrotem.

–Będą mu potrzebni wszyscy przyjaciele – rzekł Idrys posępnie.

– Ale powiedz mi jedną rzecz, Amefel (niebawem tak cię zaczną nazywać, podobnie jak teraz nazywają cię Ynefel). Zatem powiedz mi, czymże się bronić przed błyskawicami? Jak uchronić króla przed działaniem czarów?

–Trzeba ryglować okna – odparł. Wtem przypomniał sobie, że Ludzie rzadko widzą Linie na ziemi. Uśmiechnął się, jak to czynili Ludzie z własnej bezmyślności. – Zawsze wszystkiego dopilnuj. Najgorsza jest niedbałość, zwłaszcza gdy czarodziej jest słaby lub daleko.

–Który czarodziej?

Trafność tego pytania zbiła z tropu Tristena.

–Nie wiem, panie. Naprawdę, nie wiem. Nigdy nie zapominaj o zrobieniu tego, co zawsze robisz. To rzecz największej wagi. Wtedy tworzą się Linie.

–Robiąc to, co zawsze... tworzę Linie?

–W pewnej mierze tak, panie. Głównie zapory. W całym tym wielkim budynku rygluj okna, rygluj drzwi, wystawiaj strażę. Szczególnie, panie... szczególnie w wieży Emuina.

–Skąd ta myśl?

–Mistrz Emuin mógłby to wyjaśnić. Ale rygiel jest zaporą. Okna są kompletne, gdy są zaryglowane. Drzwi są kompletne, gdy są zamknięte. A wieża Emuina bardzo długo nie była zamknięta.

Idrys wpatrywał się weń uważnie.

–Masz może jakieś osobiste życzenia?

–Chciałbym czterdzieści srebrników.

–Czterdzieści srebrników? Dokładnie tyle? – Idrys wydawał się rozbawiony. – Do wszystkich wydatków ze skarbca Jego Królewskiej Mości można chyba dodać czterdzieści srebrników. A na co ci one, jeśli wolno spytać?

–Na zakup konia, panie. Tyle żądają w stajniach, a ja nie mam żadnych pieniędzy. Jest tam pewna klacz, którą Uwen bardzo polubił. Chyba mu się należy.

Idrys odwiązał trzos od pasa i wręczył mu z powagą, choć na jego ustach błąkał się krzywy uśmiezek.

–Twój kwatermistrz zajmie się rachunkami, Wasza Miłość, więc nie musisz się o to martwić. Będzie zarządzał dość dużą skrzynią i wypłatą żołdu dla wojska, które wymaga regularnego dofinansowania. Proponuję ci, byś dołączył konia wraz z uprzężą do królewskich zasobów, a tę raczej okazałą kieszę zachował dla siebie. Jest w niej przynajmniej szesnaście złotych monet, z których każda ma wartość osiemdziesięciu srebrników, tak więc nie powinno zabraknąć Waszej Miłości królewskich funduszy, dopóki nie urządzisz się na swojej ziemi, gdzie będziesz mógł ściągać daniny i zatrzymywać ich część na swoje wydatki. W imieniu Jego Królewskiej Mości wlicz wierzchowca Uwena do zakupów na potrzeby wojska. Jeżeli ktoś po drodze powie, że otrzymał zapłatę w sihhijskim pieniądzu, osobiście potwierdzę zawartość tego trzosa, w czym przytakną mi Jego Królewska Mość i Jego Wysokość, który życzy ci pomyślności i bożej łaski.

–To bardzo uprzejme, panie.

–Będę za tobą tęsknił, lordzie Ynefel. To dziwne, ale będę tęsknił. Jeśli wszystko się dobrze ułoży, zobaczę cię dopiero na wiosnę. Lord prowincji ma do dyspozycji kurierów. W razie potrzeby posyłaj ich bez wahania. Gdy coś się wydarzy, nie omieszkaj mnie powiadomić. A także Jego Królewską Mość.

Tristena nie zaskoczył wcale fakt, że Idrys wymienił najpierw siebie, a dopiero potem króla. Nie stało to w sprzeczności z interesami Cefwyna. Wierzył w to z całej duszy, trzymając oburącz ciężki trzos pełen złota, czyli jedyne wsparcie, jakie Cefwyn był w stanie mu zapewnić. Niemniej nici bezpieczeństwa, którymi się tu owinęli, podobnie jak Linie na ziemi, stawały się niepokojąco cienkie.

–Będę pamiętał, panie. Przez wzgląd na niego.

–Niech ci się szczęści – powiedział Idrys z powagą, dodając już swym zwykłym, niskim głosem: – Niech ci się wiedzie jak najlepiej, Wasza Miłość.

KSIĘGADRUGA

Rozdział pierwszy

W trakcie ceremonii woda ściekała spomiędzy krokwi, kapłała na ławki i zbierała się na posadzce, tworząc smolście czarne kałuże. Każdy udawał, że niczego nie zauważa.

Budowla była naruszona, powstała wyrwa w dachu. Błyskawica mogła wyzwolić ogromną moc w świecie Cieni. Tristen spostrzegł jednak, że wypaczona Linia na ziemi mocno jeszcze trzyma, a zza nadwerżonej magicznej bariery, zza pleców patriarchy, nie wyłaniają się żadne złośliwe Cienie.

Mimo to gdy stał, przyjmując błogosławieństwo Świętobliwego Ojca, i kiedy klęczał przed Cefwynem, by złożyć przysięgę jako nowy diuk Amefel, nie docierały doń słowa patriarchy, zagłuszane wewnętrznym niepokojem i przeświadczeniem, iż jeśli coś niedobrego może się wydarzyć, to właśnie tu i teraz. Klęcząc w zbroi i kamizeli, spoglądał groźnie na skłębioną masę Cieni, choć udawał, że wbija wzrok w posadzkę. Pragnął, by nie wyrwały się na wolność.

Ich obecność przyprawiała go o zawroty głowy. Skoncentrował myśli na misternie rzeźbionych płytkach pod poręczą drewnianej przegródki, pragnąc, aby tamtędy przebiegała Linia.

Kap, kap! Brudna woda zagrażała strojnym szatom zebranych. Wielka, czarna kropla wylądowała na ramieniu patriarchy: plama zrodzona z płonących przez stulecie świec, których dym unosił się ku dachowym krokwiom, teraz powróciła, wymyta na wolność, jakby wraz z nią powracały spalone grzechy.

Zapragnął, by deszcz przestał padać.

W tej samej chwili zaczęło się rozjaśniać, wewnątrz świątyni wraz z posągami i kolumnami błyszczało coraz żywiej, jak gdyby przez zwały chmur przebiło się nagle słońce.

Dłoń patriarchy zbliżyła się do jego głowy, lecz jej nie dotknęła: kapłan podniósł wzrok, za nim Cefwyn, a skoro wszyscy obecni patrzyli do góry, Tristen także odwrócił się, by spojrzeć na źródło światłości. Istotnie, promienie słońca wpadały śmiało poprzez płócienną, rozpostartą nad dziurą płachtę.

Raptowne roz pogodzenie przerwało na chwilę ceremonię. Tristen z radością przyjął to podnoszące na duchu zdarzenie, aczkolwiek Murandys, Ryssand i niektórzy lordowie przeżegnali się trwożnie.

–Bogowie się do nas uśmiechają – rzekł Cefwyn cierpko, stojąc obok patriarchy. – I błogosławią tej godzinie.

–Bogowie błogosławią tej godzinie – podchwycił patriarcha spiesznie – i całemu królestwu. – Smolista plama ubrudziła mu szatę, lecz w zdenerwowaniu chyba niczego nie zauważył.

–Powstań – polecił Cefwyn. Tristen podniósł się z klęczek. Zabrzmiały fanfary. Patriarcha wyprostował ramiona i dał sygnał do rozejścia się, intonując błogosławieństwo dla zgromadzonych lordów. „Zasiejcie zamęt w szeregach wroga. Wystawcie niewiernych na zgubę i błogosławcie Jego Królewskiej Mości...”

Echa słów odbijały się między kolumnami. Zanim wyszedł, Tristen ponownie spojrzął w górę, gdzie oświetlona słońcem płócienna łata przykrywała sporych rozmiarów dziurę. Krokwie namokły na deszczu, na ławach i posadzce zebrało się wiele kałuż. W tej dziwnej, spływającej z wysoka poświacie pogłębiły się skryte pomiędzy filarami Cienie: jedne wzlatywały w powietrze, inne tchnęły grozą.

Jednakże wyrwa nie uszkodziła zapór. Na poddaszu Ynefel także widniała wielka dziura, lecz Mauryl powiedział, że można ją zlekceważyć.

Poprzedzani przez chorążych, wyszli bezpiecznie ze świątyni w blask wczesnego popołudnia. Wzniesiona Smocza Chorągiew Marhanenów mieniła się złotem i czerwienią. Za nią, w tej chwili druga rangą, załopotąła na wietrze chorągiew Amefel, czerwona z czarnym wizerunkiem orła z rozpostartymi skrzydłami. Po bokach znajdowały się dwa czarne sztandary Althalen i Ynefel. Cefwyn przystanął i na oczach mieszczan, u szczytu świątynnych schodów, wyciągnął rękę, by zatrzymać przy swoim boku Tristena.

Mieszczanie zeszli się tłumnie, jak zwykle, kiedy odbywała się szumna parada żołnierzy, lordów i sztandarów. Radosne pobrzękiwanie quinaltynskich dzwonków przegnało z dachów Guelesfortu nieszczęsne gołębie, które z gwałtownym łopotem skrzydeł wzbiły się hurmą w górę.

Wyjeżdżam, Tristen pragnął oznajmić ptakom. Nie posłużył się dotąd magią, by zabronić im tu przebywać. Przypomniał sobie o tym dopiero teraz, zmartwiony ich losem. Opuszczam to miejsce, chciał im przekazać.

A potem pomyślał: Czy część z was pofrunie do Amefel? Jesteście tymi samymi ptakami, które tam poznałem? Czy w ogóle takie małe, krucze ptaszki mogą tak daleko dolecieć?

Nadchodzi zima, śnieg i lód. Tak mówią. Uważajcie na siebie. Jeśli zechcecie, jeśli zdołacie i jeśli starczy wam odwagi, poszukajcie mnie w Amefel. Przybądźcie tam szybko!

Zawodzenie dzwonek; łopoczące sukno, czarne i czerwone, nabrzmiałe na wietrze; tupot maszerujących żołnierzy, odbijający się echem od murów Guelesfortu: takie oto wrażenia odbierał Tristen w tej chwili. Wiedział, że Uwen stoi gdzieś za jego plecami, natomiast Lusin i pozostali gwardziści czekają przed schodami, wszyscy na koniach.

–Stój – rzekł Cefwyn, kładąc mu rękę na ramieniu. Umilkł chór dzwonek, wygrawszy swoją melodię. Ostatnie gołębie pierzchły w ciszy. – Mój drogi przyjacielu – oznajmił Cefwyn publicznie, głośno, aż echo tych słów zadudniło o ściany wszystkich budynków wokół placu. – Mój drogi przyjacielu. – Odwrócił go i uściskał na oczach całej gawiedzi. Świat pograżył się w martwocie. – Robiłem, co mogłem – powiedział przy jego uchu. – Uwierz mi, Tristenie. W naszej przyjaźni nic się nie zmieniło.

–Wierzę – odparł szczerze. – I będę wierzył. – W tej głębokiej ciszy wydawało się, że ludzie i tak słyszą jego słowa, więc wyzwolił się z uścisku i tylko dodał: – Najjaśniejszy panie.

–Uważaj na siebie, Tristenie. Uważaj, powtarzam. – Cefwyn podniósł oczy i popatrzył na roz pogodzone niebo. – Szkoda, żeśmy wczoraj nie zauroczyli pogody – powiedział, siłąc się na uśmiech. Zamknął jego dłoń w mocnym uścisku. Ludzie czekali w milczeniu. Sztandary zrazu zwisały, by nagle załopotać przy gwałtownym podmuchu wiatru. – Oby bogowie prowadzili cię bezpiecznie w czasie podróży. Bracie mój, słyszysz, bracie drogi niczym krew, zawsze będziesz w moim sercu. Nigdy w to nie wątp.

Bracie. Nie oczekiwał czegoś' podobnego, słowo to ze wszystkich Słów najgłębiej zapadło mu w serce – jemu, który nie miał ojca ani matki, nie zaznał matczynej miłości, a nawet nie był nigdy dzieckiem. Dopiero co otrzymał błogosławieństwo Świętobliwego Ojca, toteż wciąż dźwięczały mu w uszach słowa własnej przysięgi na wierność oraz ślubowanie Cefwyna. Słowa, Słowa i Słowa uderzały niczym młot o kowadło, huczały jak dzwony na niebie.

Niezaprzeczalną prawdę objawiali mu wszakże zgromadzeni na placu ludzie, ich skupione twarze, a nade wszystko chwila, gdy od jego ramion oderwały się ręce Cefwyna. Król nie mógł nic na to poradzić. Kiedy Tristen wyzwolił się z objęć Cefwyna, poczuł, jakby ktoś wystawił go na zimny wiatr, który miał się wzmóc lada moment i zmrozić go do szpiku kości. Nie chciał spoglądać wstecz w trakcie schodzenia ze schodów, nie rozglądał się też na boki, gdy podszedł doń Uwen, by wręczyć mu cugle Gery. Dosiedli koni. Ledwie spał wierzchowca do stępa, ruszyła reszta odjeżdżającej kolumny.

Postanowił zerknąć raz do tyłu, a wtedy ujrzał, dokładnie jak to sobie wyobrażał, Cefwyna stojącego na schodach. Potem poprowadził kolumnę wzdłuż szeregu

zebranych lordów.

Miał do Cefwyna tysiąc pytań... Co tam tysiąc: miliony. Nie nadarzyła się dotąd okazja, by je zadać, a teraz, kiedy w gorączkowym pośpiechu obowiązki tak bardzo oddalały ich od siebie, zachodziła obawa, że nigdy się już nie zdarzy. Brat to Słowo, ale nie takie, które mogło przybliżyć chwilę ponownego spotkania. Wśród tłumu arystokratów dojrzał Efanora w towarzystwie kapłana – ksiązę uczynił pobożny znak ręką, życząc mu pomyślności. Tristcn wiedział, iż pomimo strachu i zazdrości Efanor patrzy nań życzliwym wzrokiem. Wezbrał w nim cichy żal, gdy pomyślał o wierze Efanora w nieobecnych bogów, a przede wszystkim o jego porażce w zdobywaniu miłości Cefwyna... Wiedział, że sam jest złodziejem uczuć króla; a Efanor mu wybaczył, choć nie było mu łatwo. Nieopodal stał Cevulirn – z jego oczu emanowało ciepło i pochwała dokonanego przez króla wyboru.

Diukowie północy odprowadzali go lodowatym wzrokiem. Zmuszeni do uczestnictwa w tej ceremonii, ze wstrętem przyjmowali jego obecność. Nie miał wątpliwości, że to im w pewnej mierze zawdzięcza swój dzisiejszy wyjazd: słyszał historię o błyskawicy, dachu świątyni i monecie. Wiedział, iż każdy z nich bez wyjątku celuje w złośliwych obmowach. Rozumiał teraz reguły ich postępowania, opisywane we wszystkich kronikach panowania Marhanenów, gdzie się rozwodzono, jak to baronowie poparli Selwyna Marhanena i umieścili go na tronie nie dlatego, że cieszył się ich największą miłością, ale że był jedynym, który we wszystkich wzbudzał strach i mógł zapobiec wewnętrznym zatargom. Czyż to nie było jedno i to samo?

Zrozumiał również utkaną przez nich strukturę Ylesuinu, w której wpływy baronów na poddanych oraz ich przywileje na dworze wspierały się na umowach, te z kolei na przysięgach wymagających zatwierdzenia przez quinaltynow. Wypełnianie przyrzeczeń wymuszała jedynie bojaźń przed gniewem bożym. Baronowie nie byli przyjaciółmi Cefwyna. Z pewnością nie byli ludźmi, których Cefwyn kiedykolwiek nazwie braćmi, a mimo to każdy pchał się jak najbliżej tronu, usiłując przy tym pognębić swego sąsiada. Bano się Cevulirna, ponieważ Cefwyn darzył go serdeczną przyjaźnią. Między innymi dlatego bano się też Emuina. No i Ninevrise... Jakżeby inaczej, jej wpływy bardzo przerażały baronów.

O ileż większą nieufność musieli żywić do spadkobiercy Mauryla... Z jakim entuzjazmem doszukiwali się zeszłej nocy złych omenów w uderzeniu pioruna, wróżących im klęskę, a zwłaszcza dowodzących działania zakazanych czarów.

„To nie były żadne czary, do cholery! – stwierdził mistrz Emuin rankiem. – Czemu nikt nie zapyta kogoś lepiej poinformowanego? Któżby jednak konsultował się z czarodziejem? Wszyscy w mieście zasięgają w tej sprawie rad u Jego Świątobliwości, a przecież gdyby cokolwiek wiedział o czarach, nie miałby dziś dziury w dachu, racja?”

Słyszał niemal głos Emuina, budzący echa na schodach... gdy tymczasem na placu chorążowie wysunęli się na czoło wśród stukotu kopyt o bruk. Dostrzegł na wpół wypalone ognisko. Deszcz zdławił ogień...

Uwen przyśpieszył i zrównał się z Tristenem, kiedy ten popuszczał cugli Gery. Za nimi jechało trzydziestu żołnierzy. Oddział z dudnieniem opuszczał plac i wjeżdżał do miasta.

Mistrz Emuin ręczył wprawdzie, że czary nie miały nic wspólnego z uderzeniem pioruna, niemniej podczas ceremonii oglądali rozległą dziurę – nocą robotnicy przykryli ją płótnem, wiele ryzykując, zważywszy na ciemność, deszcz i wciąż pląsające wśród chmur błyskawice.

Czy Formę Mauryla pchnął na nową Drogę ślepy traf? Bał się wyciągać wnioski i uważał protesty Emuina za nazbyt buńczuczne: Emuin musiał mieć świadomość szkód, jakie za sobą pociągało opuszczenie Cefwyna. I czyżby chciał dać do zrozumienia, że po świecie nie krążą czarne siły?

Snopy światła zalewały ulicę, gdy ludzie rozstępowali się przed kolumną, bynajmniej nie wiwatując, choć gdzieniegdzie wznoszono nieśmiało, udawane okrzyki. Dzieciaki podskakiwały, by coś więcej zobaczyć. Ryża Gery szła tyle do przodu, co na boki, przestraszona grzmotem trąb i łopotem sztandarów. Jadący z tyłu mieli za sobą nieprzespaną noc, a niejeden, zanim usłyszał wiadomość, zbyt dużo wypił i przez resztę nocy musiał walczyć z bólem głowy. Cała królewska służba, powiadomiona w ostatniej chwili, krzątała się do rana, czyniąc na łapucapu przygotowania do ceremonii. Cefwyn zrobił wszystko, co było możliwe, by oddać honor Tristenowi, zorganizował ceremonię zaprzysiężenia z pompą, jaka towarzyszyła każdej poprzedniej. A ponieważ ostatnia uroczystość zaprzysiężenia północnych baronów odbyła się przed niespełna dwoma miesiącami, całość przebiegła bez zarzutu i nie zawiedli nawet trębacze, którzy tym razem nie zagrali fanfary przedwcześnie, w połowie wypowiedzanego przez patriarchę błogosławieństwa.

A więc dokumenty zostały podpisane, przysięga złożona, błogosławieństwo wygłoszone i oto był lordem prowincji. Jego chorągwie powiewały w pełnej okazałości na oczach mieszkańców Guelemary, a on powracał do miejsca, które kiedyś z żalem opuścił. Gdyby tylko w Amefel czas stanął w miejscu, gdyby nic się tam nie zmieniło, byłby bezgranicznie szczęśliwy.

A tymczasem świat zmienił się od lata, przy czym nie chodziło tylko o opadające liście. Kiedyś rozmyślał, co przyniesie zima, lecz teraz, wdychając mroźne powietrze, rozumiał, że przynosi zmianę, wiele zmian, a wśród tych zmian on truchtał po brudnym bruku, mijając drzwi wciąż udekorowane jesiennymi girlandami, jadąc na spotkanie kolejnej pory rozterek z nadzieją na wiosenne spotkanie z Cefwynem na polu bitwy.

Wtem nieoczekiwana, niedorzeczna radość zalała falą jego serce, ciężkie od ponurych myśli, gnębiących go w czasie jazdy przez miasto: tego dnia nie założył męczącej czerni. Został lordem kolorów, chorągwi i herbów, lordem żywej, zamieszkaney ziemi, pełnej bydła, koni, sadów i całej masy rzeczy, które wymarły w Ynefel i Althalen. Odział się w czerwień ciemniejszą od szkarłatu Marhanenów: rubinów, czerwień starej krwi i róż o zmierzchu.

Jak wiele skojarzeń potrafi nasunąć jeden kolor, zarówno tych dobrych, jak i napawających lękiem. Wszelako tego ranka z zadowoleniem przyjął fakt, że jego chorągwie i ubrania nie muszą być dłużej czarne niczym Cienie. Zeszłej nocy osobisty krawiec króla oraz pani Margolis – uprzejma kobieta, która niegdyś w Amefel wykonywała podobne zadania dla Cefwyna – objęli dowodzenie nad grupką zaspanych, udręczonych adeptów krawieckiego rzemiosła. Nie tylko służba Guelesfortu, ale nawet żona, siostra, synowie i córki sprzedawcy sukien pracowali przy lampkach i świeczkach. Pokłute palce krwawiły, czego świadectwo widniało na wyszytym na sam koniec płaszczu Uwena. To dzięki nim Tristen mógł rankiem założyć kamizelę z czerwonego sukna z czarnym godłem amefińskiego orła. To dzięki nim miał ten sztandar.

Dzięki nim i z łaski Cefwyna czerwone łaty z orłem przykryły królewskiego smoka na ubraniu człowieka mającego nieść w czasie tej podróży amefińską chorągiew. Ów sierżant Gwardii Gueleńskiej miał na imię Gedd i odznaczył się męstwem w bitwie nad Lewenbrookiem. Sztandar Amefel znajdował się pomiędzy sztandarami Ynefel i Althalen, dźwiganymi przez przybocznych gwardzistów Tristena, Lusina i Syllana, za przyzwoleniem króla i z ich własnego wyboru.

W bezlitosnych promieniach słońca kamizele i łaty gwardzistów pozostawały w niewielkiej dysharmonii: na płomiennym szkarłacie Marhanenów widniał rubinowy kwadrat z czarnym amefińskim orłem. Każdy mieszczanin mógł się łatwo domyślić, kto użyczył gwardzistów diukowi Amefel, co niewątpliwie było intencją Cefwyna.

Większość z nich miała powrócić w swoim czasie, lecz nie przyboczna gwardia. Lusin i Syllan, naszywając z rana na kamizele amefińskiego orła, stwierdzili w trakcie beztroskiej pogawędki, że sihijska gwiazda przynosi im szczęście, kończą bowiem służbę u króla.

„Człek naszego pokroju łącniej się przy Jego Lordowskiej Mości czegoś dochrapać może – podsłuchał Tristen wypowiedź Lusina. – Może i są my barany, atoli ta wszywka to dla mnie jakoby podkowa szczęścia”.

„Zaliś nie słyszał, panie, co powiadają kapłani?” – zapytał Lusin, pobudzając Syllana do śmiechu: gwardzista nie zważał na przestrogi quinaltynow.

„Dyć chłopak nie jest czarownikiem – odparł Syllan po chwili. – Zaciągasz się doń

do służby? Ja z tobą. A myślę tak sobie, że z podobnym zamiarem niejednen z naszych się nosi”.

Tristen nie ruszał się dłuższą chwilę z miejsca, nie wiedząc, czy przyznać się do podsłuchiwania. Ostatecznie odszedł z nadzieją, że gwardzistom będzie dopisywać szczęście, w które tak wierzyli. Wątpił, czy jest im w stanie zapewnić to, co według nich naprawdę kryło się pod tym pojęciem. Wiedział, że Szczęście jest słowem, do którego Ludzie przywiązują wielką wagę. Jeden z gwardzistów powiedział kiedyś, że biada człowiekowi, jeśli się od niego odwróci. Słowo to jednak nigdy mu się całkiem nie objawiło: używali go Ludzie podobni do Uwena, nie umiejący posługiwać się czarami ani magią, łudząc się nadziejami, że los będzie im sprzyjał bez pomocy czarnych sił. Podejrzewał, iż jego życzenia pomyślności mają większą moc niżli ich własne, chętnie więc im pożyczył wszystkiego najlepszego.

Takie zaklęcie wiązało się jednak z ryzykiem. Skoro z nim wyruszyli, zaczęło mi zagrażać niebezpieczeństwo nie tylko w postaci mieczy, ale czarodziejów i cieni. Doskonale pamiętał bitwę nad Lewenbrookiem i młodego człowieka, który wniósł jego sztandar na pole walki, ale już z nim nie wyjechał. Wrogowie mogli wszystkie dobre życzenia, wykorzystując moment nieuwagi, przeistoczyć w złe uroki. Zaniepokojony tą myślą, postanowił niczego więcej nie życzyć. Do tej pory starał się pozostawiać Uwena i pozostałych gwardzistów na łasce ich losu, nękany niejasnymi przeczuciami... Hasufin co prawda nie żył, lecz to niczego nie rozstrzygało. Idrys mówił o nim, że i on jest martwy, a tu proszę: jechał sobie środkiem ulicy Bramnej, być może dalece wykraczając poza plany Mauryla...

Teraz sprawy nabrały większego pędu, przyśpieszane rozkazami króla, Idrysa, Annasa, Emuina, Uwena, Anwylla i wreszcie jego samego. Podobieństwo do marszu wojsk przed bitwą nad Lewenbrookiem było oczywiste: jak wówczas, przed świtem u bram Guelesfortu zgromadziły się wozy gotowe do załadunku. Ostatni wyjechał przez zachodnią bramę jeszcze przed ceremonią złożenia przysięgi, tak by nie zakłócać przejazdu kawalerii. Liczba wozów, furmanek, karet, koni, mułów, wołów, rzemieślników i stajennych została precyzyjnie określona niemalże w chwili, gdy okazał się konieczny jeden wóz zaprzężony w woły. Wóz ten warunkował prędkość marszu. Prędkość marszu wyznaczała ilość noclegów w drodze. Noclegi z kolei wymuszały zabranie kolejnych wozów. Jadąc z małą eskortą, zmieniając wierzchowce, ponaglając konia, mógłby dotrzeć do Amefel w dwa dni...

Postanowiono jednak inaczej. Annas godził się na jak najwcześniejszy wymarsz, lecz orszak powinien przybyć do Henaśamef z wymaganym ceremoniałem, uprzedzając taktownie i zawczasu wicekróla Jego Królewskiej Mości – dając mu czas do namysłu. Wicekról musiał dbać o swoją godność, nie mógł więc zostać znieczeka zdjęty z urzędu: w prowincji narastały niepokoje i błyskawicznie rozchodziły się pogłoski, toteż konieczne było zachowanie pozorów dostojności oraz podtrzymanie wrażenia, że władza jest przekazywana w wyniku rzeczowych narad. Nastąpi

drobiazgowa wymiana dokumentów, zostanie ogłoszony manifest.

Wówczas wicekról będzie potrzebował tychże wozów przy przeprowadzce swych domowników i żołnierzy z Guclńskicj Gwardii z powrotem do Guelessaru, pozostawiając za sobą nowego diuka Amefel, pobłogosławionego, zaprzysiężonego i zatwierdzonego przez Koronę w Guelemarze.

Dziw, że zaledwie w ciągu kilku godzin zdołali sporządzić dokumenty, przeprowadzić ceremonię, zebrać sprzęty diuka, przyszykować wozy i gwardię. Zaiste, jeśli ludzie szastali słowem „magia” w odniesieniu do błyskawicy, należało przypuścić, iż spokojny wyjazd oraz pojawienie się chorągwi powinno wywołać jeszcze więcej komentarzy. Pewne okoliczności okazały się wielce sprzyjające: Smocza Gwardia zawsze była gotowa do wymarszu, a ciężkie wozy, jakich potrzebowali w dużej liczbie, zostały już wcześniej przygotowane z myślą o wysłaniu zaopatrzenia do obozów zimowych nad rzeką.

Zanim jeszcze o świcie wszczął się harmider na dziedzińcu stajennym i zanim rankiem, z hukiem i w ordynku, kawaleria zajechała na plac, każdy z towarzyszy Tristena musiał przeżyć kilka szalonych godzin, w czasie których najmniejsza nieprawidłowość mogła przyczynić się do poważnych opóźnień. Wśród służby i gwardzistów każda mała różnica zdań przeradzała się w spór, kłótnię, wymachiwanie ramionami i krzyki. Teraz, gdy wszystko było już zapięte na ostatni guzik i mijali Starą Bramę, wjeżdżając do dolnego miasta, Tristen nareszcie odetchnął z ulgą. Przejechał sklepiony korytarz pod Murem Koronnym, oficjalną granicą cytadeli i częścią najstarszych obwarowań Guelemary, mówiąc sobie w duchu, że pioruny piorunami, ale dzień przebiegł znacznie spokojniej, niż gdyby wciąż działały jakieś wrogie moce.

Tłumy przeredziły się. Na ulicach poniżej cytadeli wiał mroźny wiatr. Bruk tu jeszcze nie obeschnął po nocnej ulewie, występy murów rzucały szerokie cienie. Idrys prosił go żartobliwie o ładną pogodę, lecz kto wie, pomyślał z niejakim poczuciem winy, czyjego życzenia nie przyczyniły się do nagłego roz pogodzenia? Życzył sobie uparcie, aby pioruny nie wyrządziły dalszych zniszczeń. Takie życzenia mają większą moc, kiedy coś z siłą błyskawicy narusza ustalony porządek świata. Chociaż niełatwo jest poruszać rzeczy przytwierdzone i nie odstępujące od swych zwyczajnych zachowań, ostatnio zaczęły się one skłaniać ku zmianom: podobnie jak ów liść, który Tristen przeniósł i po raz drugi wypuścił w powietrze na stoku wzgórza, raz wzruszone rzeczy można powtórnie wprawić w ruch.

Należało więc mieć się na baczności. Żeglując na wietrze, liście padają ofiarą kapryśnych podmuchów. Przypadkowych tchnień magii.

Przez kilka dni, dopóki świat się nie uspokoi, musi zachowywać ostrożność.

Takie to myśli chodziły mu po głowie, gdy urwisy w swej niewinnej zuchwałości machały rękoma lub biegały wzdłuż kolumny jeźdźców. Czuł się jak na zwykłej wycieczce. Przesłał im uśmiech, kiwając ręką w czarnej rękawicy w stronę niewielkiej gromadki grzeczniejszych dzieci, które natychmiast pierzchły na boki. Mógł to być jeden z poranków, kiedy wyjeżdżali dla przyjemności, gdyby nie opustoszałe pola, sztandary i towarzyszący mu oddział.

Przy wyjazdowej bramie miastajakże często przejeżdżali tędy w czasie wycieczek – garstka żołnierzy ze Smoczej Gwardii oczyściła zawczasu drogę. Nie wepchnęła się przed nich żadna zaprzężona w woły furmanka, stadko gęgających gęsi czy innych uderzających skrzydłami ptaków. Brama stała otwarte na oścież, kiedy ostatni nieliczni rzemieślnicy wyszli z kuźni i pobliskiego sklepu ze świecami.

Raptem bezmyślny, ujadający pies, ominąwszy gwardzistów, nadbiegł, by naprzykrzać się koniom. Gery wierzgnęła i rzuciła łbem. Żółty kundel niejednokrotnie odprowadzał ich w czasie porannych wypraw kawałek drogi za miasto. Nie inaczej postąpił dzisiaj, przywiedziony do szaleństwa widokiem niebywale długiej kolumny żołnierzy. Miotał się tam i z powrotem, gdy mijali grube mury bramy.

Lecz tym razem daremnie będzie czekał na ich powrót.

Żegnaj, pomyślał Tristen, patrząc na stworzenie. Wracaj bezpiecznie do domu i ciepłego ogniska.

I żyj długo. Tyle ci grozi niebezpieczeństw. Zbyt wiele jest na świecie niepewności. Wiejadź wicher, o jakich nic ci nie wiadomo, głuptasie.

W jednej chwili nabrał co do tego przekonania. W czasie całego zajścia działał jakiś czar, o czym przekonał go ów żółty pies swoim zwyczajnym zachowaniem, na tle którego dostrzegał wszystkie niezwykle zjawiska z kilku ostatnich dni, począwszy od zwątpienia w życzliwość najbliższych mu osób, a skończywszy na pewności, że nie tu znajduje się jego miejsce. Odetchnął głęboko i ukrócił wodze magii z równą ostrożnością, z jaką trzymał wodze Gery, zdecydowany mieć się tym razem na baczności.

–Piękny dzionek na podróż – zagadnął go Uwen, gdy wynurzali się z cienia sklepionej łukowato bramy. Odnosiło się wrażenie, że i on jest zaniepokojony, tylko nie śmie ujawnić swoich obaw. – Niebo się rozpogodziło, panie, a my w ordynku jak się patrzy do domu powracamy.

–Miejmy nadzieję, że pogoda dopisze – rzekł Tristen. Poza główną bramą wyjazdową ujrzeli ubogie podgrodzie, ustawione w błocie stajnie, kurniki i nędzne chatynki. Z rzadka ktoś wychodził, żeby pozdrowić przejeżdżających. Droga wiodła prosto przez gąszcz rozplanowanych bez ładu i składu drózek i budynków.

Zwiększali szybkość, aż wreszcie widzieli mniej Guelemary, a więcej sadów jabłoniowych, zaoranych pól z wodą w bruzdach, rozjeżdżonego błota na drogach.

–Kapitan Anwyll tamoj na nas czeka, panie.

Rzeczywiście, przy skrzyżowaniu z pierwszą solidną drogą łączącą przyległe do miasta pola z pobliskimi sadami widać było rozlokowanych ludzi i wozy. Żołnierze z mającego ich zasilić oddziału niknęli wśród jabłoni. Ze stajen położonych za murami grodu przyprowadzono wielką liczbę zapasowych koni. Kiedy czoło oddziału miało oczekiwać na nich posiłki, Tristen spojrzął na przednie szeregi zastępu Anwylla i natychmiast zrozumiał, że należy zwolnić marsz kolumny do miarowego stępu, jakim mieli pokonać większość drogi. Dzięki temu zastęp Anwylla mógł dołączyć z tyłu nie narażony na ochłapanie błotem.

Dostawa koni wiązała się z przybyciem stajennych, wśród których był Aswys. Sprawował on osobistą pieczę nad czarnym Dysem, ciężkim rumakiem Uwena, Cassamem, tudzież nad doglądającym go chłopcem. Pojawił się również Petelly, zakąła wśród arystokracji końskiego rodu. No i proszę, nie zabrakło Liss, co Tristen stwierdził z zadowoleniem. Wcześniej kazał Uwenowi udać się do głównego rachmistrza gwardii, który też nie przespał ostatniej nocy, i kupić klacz przed odjazdem. Uparł się, że Uwen zachowa wszelkie honory i będzie paradował przed Amefińcykami na tym właśnie koniu.

–Tamoj stoi – mówił Uwen. – Tamoj! Bogowie, ależ się rusza!

–Jest piękna – zgodził się Tristen.

–Aż nadto, jak dla mnie – rzekł Uwen po raz setny.

–Wcale nie. Ja mam trzy konie. Ty dwa. Będiesz w Amefel moim kapitanem i prawą ręką. Czyżbyś odmawiał?

–Ano, stanę przy tobie, panie, własną cię pierśią zasłonę. Lepszy ze mnie giermek niż kapitan.

–Wprost przeciwnie.

–Panie, kapitan Althalen to nie to samo. Tamtejszym polnym myszom nie trza kapitana, niezwyczajne one wielką wagę do rachunków przykładają.

–Do rachunków? – Po raz pierwszy w ich rozmowach padł taki argument.

–Kapitan musi umieć rachować, panie. Ja wszelako, rachunków nie znając, muszę pierw skład odwiedzić, by poznać, jak wiele w nim zapasów.

–Ale przecież wyliczasz ziarno dla koni. A archiwiści wszystko zapisują. Czy to nie rachowanie?

–Na palcach jeno. Atoli gdy archiwista pismo da mi do wglądu, też muszę skład jako przed oczyma widzieć. Nijak ci, panie, kapitanem Smoków mnie czynić. Nijak, bodajbym najzaciejszego rumaka dosiadał. Jam tylko poczciwy sierżant gueleńskiej gwardii, chociaż szczęścia mam więcej, niżlim na nie zasłużył. Dość mi, że u boku twego stoję, panie. Winienes wzięć kogoś jako ów Anwyll.

Tristen powziął decyzję względem stanowiska Uwena w Amefel tak stanowczą, jakby mu się zwyczajnie objawiła. Tego dnia, gdy magia próbowała przełamać jego wolę, wciąż drażniła go dowódcza funkcja Anwylla. Postanowił odesłać go na wiosnę do Guelessaru, z podziękowaniami dla Idrysa. Nie ulegało wątpliwości, że Anwyll miał szpiegować w Amefel, ale Tristen się tym nie przejmował. Miał inne zmartwienia.

Wierzchowce dołączyły bez żadnych incydentów. Na następnej z dróg opasujących Guelemarę, tej prowadzącej z wioski Dary, ukazał się długi wąż krytych wozów i furmanek, pełnący z mazołem ku skrzyżowaniu, by zmieszać się z tymi, które ciągnęły już wraz z głównym taborem. Powinny się ustawić tuż za pierwszą setką jezdnych... Powinny, lecz nadjeżdżały za wcześnie.

–Jeśli zechcą zwolnić, zaryją się po osie – oznajmił Uwen. – Niech wjadą do szeregu, jak wypadnie, panie, bez przystanku. Do licha, nie droga to, jeno bagno!

–Wydaj rozkaz – polecił kapitanowi. Uwen bezzwłocznie podjechał do Anwylla, po czym cofnął się wzdłuż linii, wykrzykując rozkazy, by chorążowie i gwardziści puścili się kłusem i zrobili miejsce dla nowo przybyłych. W ten sposób wozy bez przeszkód dołączyły do grupy.

–Są już wszystkie wozy, brakuje tylko Emuina – zameldował kapitan Anwyll, wyjeżdżając z bocznej drogi. – Przesyła wiadomość, że dziś wieczór spotka się z nami w obozie.

–Dziś wieczór?

–Jeśli zdąży, Wasza Miłość. Powiedział, że służą mu idioci.

Emuin nie uczestniczył w ceremonii składania przysięgi, nie miał na to najmniejszej ochoty. Gdy Tristen po raz ostatni widział Emuina, starzec złorzeczył sługom, którzy znosili skrzynie pełne buteleczek oraz stosów starych dokumentów z postrzępionymi brzegami, sterty kodeksów i starodawnych zwojów – a to wszystko po wijących się zdradliwie schodach do sali, gdzie czekała reszta bagaży. Emuin utyskiwał na niezaradność użyczonych mu pomocników, przysięgając, iż nie da rady przyśpieszyć pakowania, nawet jeśliby sam król go o to poprosił. Odgrażał się, zagadnięty ostatnim razem przez Tristena, że jeżeli królewscy oficerowie znów przyjdą z

pytaniem, kiedy przydzielone mu konie i wozy mają zostać podstawione na dziedzińcu, zamieni ich w ropuchy. Emuin nie zdążył się spakować przed świtem, nie zdążył późnym rankiem, teraz więc, skoro Anwyll meldował, że jego wozy nie zjechały ze wzgórza wyludnionymi ulicami w czasie trwania ceremonii, jak uprzednio zakładano, Tristen zaczął się martwić.

–Z mojego polecenia wyruszył w eskorcie dziesięciu gwardzistów – oznajmił Anwyll.
– W razie gdyby noc go zaskoczyła w drodze. Mają namiot.

Okazaną dalekowzrocznością Anwyll udowodnił swą przydatność.

–Zniósł wszystkie rękopisy? – zapytał.

–Nie dostałem się na górę, Wasza Miłość. Przejście zatarasowały koszyki, których nie dało się wyminąć.

–Dobrze, żeś zostawił z nim ludzi.

Bagaż samego mistrza Emuina wymagał przydzielenia mu aż sześciu mułów, furmanki ciągniętej przez woły i krytego wozu. Spóźnienie Emuina wróżyło kłopoty: czyżby ich plany miały zostać pokrzyżowane, czyżby istniało jakieś przeciwstawne Oddziaływanie?

Z drugiej strony nic dziwnego, że starzec nie nadążał z pakowaniem, skoro na cud zakrawało, iż reszta zdołała wyruszyć o czasie. Tristen, nie posiadając zwojów, ksiąg ani pudełek z proszkami, otrzymał trzy muły do dźwigania samej tylko zbroi i ubrań, wielki wóz mieścił namiot oraz obozowy ekwipunek. Zastanawiał się do ostatniej chwili, czyby nie zostawić w zbrojowni ciężkiego namiotu i skrzyni, ponieważ wyposażenie to i tak miało powrócić do Guelessaru, kiedy wojsko przystąpi do wiosennej ofensywy – jego zadaniem była jednak obrona niespokojnej prowincji, a przecież istniało spore prawdopodobieństwo przerwania długiej rzecznej granicy przez armię Tasmórdena, który mógł też pokusić się o napaść zimą. Gdyby wtedy przyszło Tristenowi ruszać na wojnę, wolałby mieć przy sobie płócienne schronienie.

Nieodzowny zatem był namiot do pomieszczenia sztabu. Dalej: należało wziąć wszystkie namioty dwuosobowej kompanii, razem z wyposażeniem. I znów: więcej wozów, więcej wołów, więcej ekwipunku. Smocza Gwardia, informował Anwyll, nie rozbija się obozem pod gołym niebem jak dragoni z Lanfarnesse, ale zabiera z sobą zapasowe konie, namioty i kuchnie polowe.

W dalszej kolejności nieodzowne okazało się zabranie kropierzy oraz zbroi Dysarysa i Cassama w ciężkich, brezentowych opakowaniach przeciwdeszczowych, albowiem końską zbroję zakładało się na zwierzęta tylko w szczególnych przypadkach. To się wiązało z koniecznością zabrania wielu innych rzeczy. Koński ekwipunek tworzył pokaźny tłumok, jako że nie zawierał tylko wyposażenia Dysa i

Cassa, zgrzebeł, maści, koców i tym podobnych przedmiotów, ale także zapasowe siodła dla Gery i Petelly'ego tudzież dla Liss i Gii Uwena. Ponieważ gwardia konna miała własnego kowala z ekwipunkiem, lekarstwa, dodatkowe uprząże, narzędzia oraz koce dla wszystkich czterystu wierzchowców oddziału złożonego z dwustu jezdnych – dołożono również worki z ziarnem, przewidując brak czasu na dłuższe popasy. Liczono, że w trakcie przynajmniej dwóch nocnych postojów będzie można pozwolić zwierzętom skubać trawę, dlatego nie załadowano na wozy siana.

Kompanii towarzyszył felczer, wieziono zatem stos bandaży i medykamentów, mających starczyć dla wszystkich gwardzistów. Dźwigano również zimowy ekwipunek i odzienie dla dwustu ludzi.

Poczesne miejsce wśród bagaży zajmowała bezcenna skrzynia kwatermistrza, zawierająca żołąd gwardzistów i fundusze na zakupy na prowincji.

Jeszcze zanim ukończono przygotowania, sam ekwipunek gwardzistów i lekkich koni wypełnił sporo ciężkich, ciągniętych przez woły wozów, obarczonych także skromnym bagażem woźniców. Na koniec dołączył, mieszcząc Tassanda i resztę służ Tristena, kryty powóz z rodzaju tych, jakie preferowały damy, pochodzący z osobistej powozowni króla.

Tristen przystał na propozycję Idrysa i wziął z sobą zbrojmistrza Cossuna, do zeszłej nocy głównego zastępcę samego Peygana. Obiecał mu więc utrzymanie, dodając przy tym konia, furmankę oraz dwóch pacholków z osobistym bagażem.

Jakże wiele osób zapragnęło mu niespodziewanie towarzyszyć – osób, które poznały go latem w Amefel... Gossan, człowiek nie mający w Guelessarze szans na osiągnięcie statusu mistrza w swym rzemiośle, pamiętał niewątpliwie o mrocznej sławie Amefel i o możliwości dotarcia wojny pod mury Henaśamef, podejmując na przestrzeni kilku zaledwie godzin desperacką decyzję. Wszyscy, którzy doń dołączyli, musieli snuć podobne rozważania i łądzić się nadziejami na poprawę swego losu... Oraz na okazje, jakie w czasie wojny trafiają się żołnierzom czy, niekiedy, przy odrobinie szczęścia, ciężko pracującym rzemieślnikom, a bardzo, bardzo rzadko nawet zwykłym archiwistom.

Tak wiele nadziei towarzyszyło mu dziś w podróży, gdy każdy krok Gery oddalał go od bliskiej przyjaźni z Cefwynem. Król potrzebował lojalnych ludzi... a tymczasem czysty przypadek lub czyjś spisek sprawił, że jeden po drugim opuszczali stolicę.

Niemniej Emuin, który bez chwili wahania zdecydował się opuścić Guelemarę, pozostał w tyle z powodu pergaminów i słoiczków z proszkami.

Rozdział drugi

Tak, najjaśniejszy panie; wedle życzenia, najjaśniejszy panie; Wasza Królewska

Mość to, Wasza Królewska Mość tamto... Wyglądając z okien na wyższych piętrach, Jego będąca w złym humorze Królewska Mość miał doskonały widok na dach świątyni z brezentową łąką, na zmagających się z drabinami zakonników, na przedświątynny plac wypełniony zwykłą o tej porze krzątanicą. Nikt się teraz nie przejmował gniewem bogów i przerażającą wróżbą błyskawicy, skoro zniknęło wyimaginowane zagrożenie w osobie młodego strażnika Ynefel. Baronowie już nie musieli czuć się odsunięci od tronu. Obcy przybysz wyruszył z powrotem do Amefel, gdzie tolerowano niemal każdą bezbożność. Co więcej, nareszcie wyjeżdżał razem z nim czarodziej i nauczyciel Jego Królewskiej Mości – zaniedbana osobistość, będąca przeżytkiem z czasów surowych rządów Selwyna, zdaniem niektórych zupełnie niepotrzebnie trwająca przy życiu.

Po wyjeździe Tristena pozostał pewien nieporządek: pusta wieża ze schodami zaśmieconymi stosami pakunków, kilka opustoszałych apartamentów.

Cefwyn odczuwał też pustkę innego rodzaju, napełniającą bólem serce. Zauważył nagle, że nie wykorzystał czasu, jaki miał do dyspozycji. Nie rzekł baronom, co winien był uczynić: „Idźcie wszyscy do diabła!” Wręcz przeciwnie, dał dowód mądrości obserwowanej niegdyś u ojca (choć sam ją teraz kwestionował) i próbował podtrzymać istniejące sojusze. Wrócił do stolicy z narzeczoną z obcego kraju, opromieniony chwałą zwycięstwa na południu, pozwalając, by ataki skrupiły się na Tristenie, wiedział bowiem, że Ninevrise nie ma się jak bronić.

Wszelako nie dostrzegł uporczywości owych ataków, ich wyrafinowania i daleko posuniętej zuchwałości. Sam wykonał chytry ruch, wysyłając Tristena na południe – nie przygotował się jednak na spojrzenie, jakim obrzucił go Tristen, gdy stali naprzeciwko siebie na schodach świątyni quinaltynów. Nie przypomniał sobie na czas o gorzkich lekcjach dziadka na temat zdrady i szkody, jaką mogło wyrządzić jedno słowo. Nie przypomniał sobie na czas lekcji ojca, ukazującej, jak rozłąka potrafi nastroić nieprzychylnie dwa serca... Dręczył go niepokój.

Od tej jednak chwili nie da sobie dmuchać w kaszę. Ponadto nie wyrzekł się wcale Tristena, Emuina czy któregokolwiek z przyjaciół. Znajdowali się tam, gdzie być powinni. Jeżeli monarcha mógł w ogóle korzystać ze współpracy czarodziejów, wykonał niezbędny ruch, posyłając ich tam, gdzie głupcy próbowaliby im bruździć jedynie na własne ryzyko. Niech tylko umocni swoje rządy, a wspomni każdą zasługę i każdą przykrość wartą przypomnienia. Zażycia dziadek, pochowany obecnie w świątynnym grobowcu, trzymał w strachu swoich baronów. I on, podobnie jak dziadek, stawał oko w oko z armiami. Czy wobec tego nie powinien zasiać trwogi w sercach garstki małostkowych plotkarzy? Służba, dwór, quinaltyni – nikt nie ważył się drażnić króla Selwyna, jak teraz baronowie drażnili jego wnuka. Mimo że byli mniej sprytni, niż im się wydawało.

Ojciec jego, Inareddrin, znał świetnie dwie strategie: napuszczał jednego rywala na

drugiego (w czym szczególnie celował dziadek) lub w trosce o własne bezpieczeństwo nieustannie wypracowywał ugody. Inareddrin szczuł quinaltynów z północy na terantynów z południa, północnych baronów na południowych, syna na syna, wytyczał chytrą ścieżkę między ich celami. Niemniej jednak zawsze rozstrzygał sprawy za pomocą kompromisów, a nie stanowczych postanowień. Judzenie syna na syna było łatwiejszą gierką – wystarczyło przestać okazywać starszemu miłości. Wystarczyło oddać młodszemu, Efanorowi, wszelkie honory, zapewniając mu wsparcie północnych baronów, choć z pewnością wiedział, że osłabia własnego następcę. Czegóż miałby się obawiać? Kiedy przyjdzie pora rozliczeń, będzie spoczywał w grobowcu.

I proszę, ojciec rzeczywiście nie żył, a on stał wciąż przed tym samym oknem, w obliczu nieuchronnych decyzji, dokonując wyborów, jakich ojciec powinien był dokonać z żelazną stanowczością.

Musiał jednak ostudzić swoje zapęły. Chętnie zszedłby na dół, by przynajmniej życzyć wyjeżdżającemu starcowi szczęśliwej podróży, lecz nie zapominał, że głównym powodem odesłania Tristena było uciszenie plotek. Jeśli baronowie uważali go za słabeusza i powolne narzędzie w swych rękach, niech tak sobie myślą jeszcze przez tuzin dni. Nie zejdzie do Emuina.

Niechaj przycichną plotki, niech Tristen zamieszka w Amefel na czas zimy, niech królestwo odczuje rzeczywiste zagrożenie u swych granic, a wtedy quinaltyni spojrzą na magię innymi oczyma. Święci bogowie, płonął z niecierpliwości, by poprzez błoto i jeżyny zagnać konno kilku baronów w zasięg strzał łuczników, by przekonać się, jak szybko ujrzą w Tristenie z Ynefel swego jedyne go wybawiciela.

Ze względu na gniew króla służba wołała nie wchodzić mu w drogę. Poznał jednak dźwięk zbliżających się z tyłu kroków – cichy, lecz przeplatany delikatnym brzękiem zbroi. Nie zareagował porywczo, oglądał na szybie odbicie ponurej, wąsatej twarzy.

–Cóż tam?

–Wszystko układa się pomyślnie, najjaśniejszy panie – odparł Idrys.

–A więc mamy powody do zadowolenia, co?

–Spadkobierca Maurylajest coraz bardziej przebiegły i działa sprawniej, niż się powszechnie uważa. Odeślij go z powrotem do gniazda, a zobaczysz, jak wyrośnie. Niemniej pod wieloma względami wciąż jest niewinny. Tak przy okazji: zatwierdziłem czterdzieści srebrników na konia dla Uwena.

Czyn Tristena zadziwił i rozbawił pogrążonego w melancholii Cefwyna, dumającego o zachwianej władzy Marhanenów w Guelessarze.

–To klacz. Z nadwyżki gwardyjskich wierzchowców. Piękny koń, nawiasem mówiąc. Jestem pełen uznania dla oka Uwena.

–Wielcy bogowie, daję mu prowincję, a on się martwi o takie głupstwo! – Król z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

–Śmiem twierdzić, że martwi się o wiele rzeczy, to byłajednak najłatwiejsza do załatwienia sprawa, więc przysporzył radości człowiekowi, któremu ufa. Pochwalam jego rozumowanie.

Wypowiedzi Idrysa były czasem pełne złośliwych uwag, czasem niejasne, rzadko na temat. Tym razem wyrażał się dość precyzyjnie. Cefwyn spochmurniał.

–Rozumiem twoją lekcję, mości kuku.

–Wywołałeś zamęt w szykach wrogów, miłościwy panie. Nie przewidywali, że uczynisz Tristena lordem Amefel. Głupcy wyobrażają sobie, że odjedzie potulnie do swej wieży i zniknie ze sceny na kilka dziesięcioleci. Jak Mauryl.

–Są w błędzie – usłyszał król własne słowa. W widmowym odbiciu dojrzał nieprzeniknioną minę Idrysa. – Powinienem się go bać? – zapytał, być może dlatego, że w tym dziwnym dniu, gdy malały jego siły, odczuwał strach, strach obudzony stanowczością baronów, strach przed mieszkańcami Guelessaru i całej północy... – Ja się go nie boję, mości kuku. Nie ma w nim zła, nigdy go tam nie było. Co zrobiłem, zrobiłem z własnej woli. Niech ich piekło pochłonie!

–Byłoby zaniedbaniem z mojej strony, gdybym nie zwrócił uwagi...

–Do licha z twoimi uwagami, Idrysie! – Obrócił się na pięcie, stając twarzą w twarz z lordem komendantem. Niepotrzebnie dał się ponieść emocjom, które wzbierały całą noc i ranek.

Idrys nie okazywał zaskoczenia, mówił spokojnie, beznamiętnie:

–Tak, najjaśniejszy panie.

–Ambicja, egoizm, żądza ziemi: nic podobnego nim nie powoduje, Idrysie. Nie znałem nigdy lepszego człowieka.

–On nie jest człowiekiem. O czym Wasza Królewska Mość zapewne pamięta.

–Jest człowiekiem pod każdym względem prócz urodzenia.

–No tak, urodzenia... Takie tam głupstwo.

–Niech cię licho porwie!

–Wedle woli Waszej Królewskiej Mości – odpowiedział Idrys i przez pewien czas stali ramię w ramię, patrząc na robotników, którzy obiegli dach świątyni niczym zapracowane mrówki w blasku słońca.

Tristenowi wydawało się, że wyruszył na jedną ze zwyczajnych wycieczek po Guelessarze, choć posuwali się wolno, zwinąwszy i umieściwszy w futerałach sztandary zaraz po zniknięciu z oczu mieszkańcom grodu. Chorążowie gawędzili ściszymi głosami, podobnie jak jadący z tyłu gwardziści, a wśród nich kapitan Anwyll i jego adiutanci.

Na pierwszym postoju Uwen przesiadł się na Liss, pozwalając odpocząć Gii.

–Dwa piękne koniki – rzekł, zachwycony klaczą. Wnet się jednak pomiarkował i okrył rumieńcem. – Wielce to miłe, panie, z twojej strony.

–Skoro nikomu nie mogę sprawić przyjemności, sprawię ją choć tobie.

Pąsowy rumieniec rozlał się po twarzy Uwena.

–Ależ, panie...

Tristen żałował swych słów. Nie wiedział, co powiedzieć, aby załagodzić wrażenie.

–Miłościwy król dał ci prowincję, panie. Na oczach quinaltynów i północnych baronów. Jeszcze tu wrócimy. Jego Królewską Mość na wiosnę obaczysz, a tak między nami, weselsze nastroje będą wtenczas w mieście panowały.

–Musiał sprowadzić z powrotem Sulriggana.

–Co racja, to racja, lecz wcześniej czy później i tak musiałby go odwołać. Wie o tym miłościwy król i wie o tym Sulriggan. Gdyby wypadki zwykłym się toczyły trybem, miałbyś tu Sulriggana za jakieś dwa miesiące. W zakład iść możesz, panie, że przed bitwą lord Sulriggan jakowegoś zaziębenia nabędzie. Może i wolał, by miłościwy król do końca wojny gniewny pozostawał, nie wzywając go w ogóle. Tak czy siak, nie było na to szansy, ma więc jeno kilka miesięcy, by w królewskie łaski się wkupić. Prawdę rzekłszy, jest to zadra w oku Świątobliwego Ojca i każdy, kto zechce się o niego wesprzeć, przez miłościwego króla z kośćmi zżarty zostanie.

–Kto wie. Przynajmniej wątpliwe, by Efanor znów zaufał Sulrigganowi.

–Jego Wysokość oczy ma otwarte, choć może tego nie widać – powiedział Uwen i przez chwilę rozmawiali o Efanorze. Potem wspominali Amefel i przy okazji tamtejsze stajnie, zastanawiając się, czy zdołają usprawnić odprowadzanie wody ze stajni położonej u podnóża wzgórza.

Być może Cefwyn nie okazał całkowitego braku rozważli, posyłając go na południe, rozmyślał Tristen. W bezpośredniej bliskości apartamentów króla, wśród dworzan nie śmiał nawet myśleć, co porabia Cefwyn, jak mu się wiedzie i czy w kraju panuje spokój... Odważył się na to dopiero po opuszczeniu murów grodu. Tego dnia, uwolniony od natarczywego towarzystwa otaczających go ludzi, dowodząc kolumną wojsk, odetchnął pełną piersią i sięgnął do szarości – świat znów był o połowę szerszy. Wyczuwał Uwena, konie, wszystkich ludzi i cierpliwe woły, nawet zataczające koła jastrzębie, szybujące bez lęku przed mroźnymi jesiennymi wiatrami w poszukiwaniu myszy lub wróbli.

Biedne stworzenia, pomyślał, zauważywszy, jak jastrząb zawisł nad bezlistnym zagajnikiem. Zawsze żałował ściganych. Myślał o Sowie i o tym, czy powróciła do Ynefel po zniknięciu czyhającej tam groźby.

Znowuż, niczym chłopiec, snuł niedorzeczne domysły, podobnie jak wtedy na szczycie wzgórza. Teraz jednak mógł się posunąć dalej. Był w stanie przyciągnąć szare światło do świata skąpanego w promieniach słońca, był w stanie wypowiedzieć Cieniom wojnę, gdyby je napotkał...

Lepiej jednak, by po prostu miał na uwadze żywych, lojalnych i kochanych. Zamierzał zdrzemnąć się w siodle, lecz myśli jego okazały się raptownie zbyt chyże. Chociaż osowiały po rozstaniu z Cefwynem i Ninevrise, Tristen z coraz większym entuzjazmem wybiegał marzeniami naprzód, gdzie wiała się droga i czekała wolność.

Późnym popołudniem ustał wiatr, a słońce przygrzewało na tyle, że lekki pot wystąpił mu na ramionach. Od czasu do czasu odpoczywali i zmieniali konie, aby ich nie przemęczać. Uwen wyglądał na zadowolonego po zamianie Liss na Gię: miał teraz dwóch przyjaciół, nowego i starego, próbował więc zapewnić pierwszego o swej przychylności, nie ujmując równocześnie drugiemu. Znienacka Tristenowi objawiła się natura Uwena, który kochał oba konie, lecz Gię bardziej, gdyż tego drugiego musiał dopiero poznać. Czy z królem nie było podobnie, gdy musiał rozważyć, kto zasiada z nim przy jednym stole?

Szary świat, z każdą chwilą rozleglejszy, poszerzał się z wolna także w stronę, skąd jechali, aż Tristen odebrał nieuchwytnie wrażenie zimnej wody, zapachu potu, kształtu kamieni.

–Mistrz Emuin nareszcie wyruszył w drogę – obwieścił, skupiając na sobie nieufne spojrzenie Uwena.

–Mija bramę?

–Och, jest już dalej. Przy strumyczku, przez który się przeprawiliśmy. Blisko skał, gdzie rosło stare drzewo z dziuplą.

–Zrobił taki szmat drogi, a tyś niczego nie zoczył?

–Jeśli chce, może się prześlizgnąć. Chyba lepiej ode mnie. Jest dość przebiegły. Myślę, że to ze starości.

–Co mówi? – spytał Uwen, nad czym Tristen natychmiast się zastanowił. Poczł ukłucie niezadowolenia.

–Każe mi pilnować własnego nosa – odrzekł ze śmiechem.

Uwen zerknął nań z ukosa. Coraz silniejszy wiatr rozwiewał siwe włosy kapitana, oświetlone blaskiem słońca na tle błękitnego nieba. Światło nadało usianej zmarszczkami, zmarzniętej twarzy radosny wyraz.

Oto, gdzie musimy być, pomyślał Tristen z wewnętrznym przekonaniem. Oto, gdzie Uwen musi być: przy mnie. Nasze miejsce jest na tej drodze...

Inni ludzie są tam, gdzie powinni być, lecz Uwen i ja jesteśmy tam, gdzie być musimy... A to różnica.

Wtem, wraz z przejmującym chłodem wody i blaskiem słońca na kamieniach, sącząc się z szarego miejsca, przyszła niepewność w kwestii rzeczy pewnych: ów niepokój miał swe źródło w głębokich rozterkach Emuina. Bez względu na deszcze i pioruny, zaklęcia czy życzenia czarodziejów błotnista droga niczym nić rozciągała się w stronę Ynefel... Chociaż biegła właśnie tam, pomyślał, wspominając ciemne nocą okno i krople deszczu pełzające po rogowych szybach, prowadziła także do wielu innych miejsc.

Atrament wylewał się spod końcówki gęsiego pióra. Później, pod oknem zalany poświatą zachodzącego słońca, czerwony воск spłynął na pergamin. Królewska pieczęć odcisnęła delikatny znak.

Cefwyn przeszył lorda Ryssanda lodowatym spojrzeniem. Zwlekał z podniesieniem dokumentu, nie wzywał też diuka, aby to uczynił. Zażenowany paż przebierał palcami, bojąc się poruszyć.

Sam patriarcha podszedł i uniósł trzeszczący papier. Ukłonił się, omijając wzrok Cefwyna.

Szkoda.

Zaczynam nienawidzić tego człowieka, pomyślał król o Corswyndamie, lordzie Ryssandzie. Corswyndam był żalonym strzępem człowieka o krogulczym nosie, z rodzaju tych, którzy duszą wszelki entuzjazm, piętnują każdą nie przynoszącą im korzyści sprawę i posługują się quinaltem niby mieczem, tarczą i kabzą z pieniędzmi.

Obecnie Cefwyn nie mógł sobie pozwolić na luksus okazywania nienawiści Świętobliwemu Ojcu. Patriarcha był niezwykle pożyteczny. Przecież gdyby nie on, pergamin ten nadal leżałby na stole. Tymczasem patriarcha pochwycił go niby nagrodę za wyświadczone przysługi.

Król spotkał się jednak z diukiem Ryssandm i diukiem Murandysu, by oficjalnie zamknąć sprawę powrotu Sulriggana, dopiero wieczorem w dniu, kiedy jego przyjaciel wyruszył do Amefel... Z pewną satysfakcją dostrzegł brak objawów triumfu na twarzach. Wyłączywszy patriarchę.

Obaj lordowie zamierzali pewnie świętować dziś wieczór. Oczekiwali przypuszczalnie na oskarżenia o czary i zdecydowaną postawę Jego Świętobliwości. Patriarcha jednakże wiedział, na jakim stole podawano mu posiłki do tej pory i że stojący za nim lordowie czują się oszukani, wobec czego ma dodatkowy powód, by nie odstępować króla.

Sulriggan, kuzyn patriarchy, miał powrócić na dwór. Niech bogowie sprawią, ażeby diuk Llymarynu miał teraz więcej rozsądku. Jak na ironię, dwoma najlepszymi sprzymierzeńcami króla na północy mogli się jeszcze okazać patriarcha i jego krewniak Sulriggan. Cefwyn nigdy by nie przypuszczał, że dojdzie do czegoś podobnego. Emuin opuścił go wszakże, aby wspierać Tristena. W ten sposób spośród powierników króla ostali się jedynie Efanor, regentka, lord komendant, kilku oficerów oraz Cevulirn.

A zatem w chwili obecnej patriarcha był jego sojusznikiem, a Sulriggan człowiekiem powolnym patriarsze... podobnie jak on sam.

Obdarzył Świętobliwego Ojca ciepłym, łaskawym uśmiechem, jakim nie zaszczycił żadnego z lordów. Rozmyślał o nagrodach za pobożność, o nowym spojrzeniu na bogów, patrząc z perspektywy, której nie miał, póki jego wrogowie nie doprowadzili do usunięcia Tristena... A przynajmniej nie miał jej do chwili, kiedy zrozumiał, że jego rządy nie polegają na ochronie niewielkiego kręgu przyjaciół, ale na objęciu ich zasięgiem dobrego sąsiada w Amefel, dobrego sąsiada Cevulirna w Ivanorze, ukochanej regentki zza rzeki. I do diabła z baronami! Miał już patriarchę, a wkrótce będzie miał Sulriggana, obu usadowionych pośrodku jego ziem, inteligentnych, nie chcących, by ta ręka kiedykolwiek zacisnęła się w pięść.

–Oprócz tego – rzekł do Świętobliwego Ojca – użyczam mu gościny w domu Marhanenów, pozwalam korzystać z sypialni zajmowanej ostatnio przez diuka Amefel i traktować ją jako prywatne mieszkanie w Guelesforcie. – Nie wspomniał nic o kucharzu. Mieszkając w Guelesforcie, lord Llymaryn będzie musiał polegać na miejscowej kuchni, a jego kulinarne gusta staną się dlań przekleństwem. Wszak Sulriggan nie mógł się zatrzymać w gościnie, dajmy na to, u Ryssanda lub Murandysa.

–Najjaśniejszy panie – powiedział patriarcha. Diukowie Ryssand i Murandys wydawali się zbici z tropu. Przygotowywano już kolację, na którą wszyscy zostali zaproszeni. Ich życzeniom stało się zadość: pozbyto się z dworu czarodziejów razem z ich sztuczkami.

Od tego wieczoru do końca żniw podstawowym daniem miał być krupnik. Proste amefińskie jadło. Królewski kuchmistrz może się buntować, niemniej co dzień na kolację podawany będzie krupnik z kaszy jęczmiennej, nigdy zaś ryssandyjske pory, amefińska dziczyzna czy llymaryńska wołowina, nie mówiąc już o rybach, tych z murandyskich jazów.

Dzięki upodobaniu do prostych potraw Cefwyn miał pretekst, by posyłać do Amefel wozy i wiadomości. Pisał już list z prośbą o dostawę kielbas i informacje na temat sytuacji w prowincji, którą jego ojciec interesował się tylko wtedy, gdy potrzebował wełny, pieniędzy z podatków bądź niezadowolonia wieśniaków, podżeganych w razie potrzeby przez lorda, któremu nadto ufał.

Cefwyn przypomniał sobie amefińskiego krawca, wytwórcę świec, nawet murarza najętego do naprawy stajennego muru. Może wokół Guelesfortu niektóre mury także wymagały łątania? A może król potrzebował na zimę płaszcz z delikatnej amefińskiej wełny? Oczywiście, ktoś mógłby wszyć weń jakieś zakłęcie, przecież cała ta prowincja była przesiąknięta herezją.

Nie powinien faworyzować li tylko Amefel. Skoro miały być ryby, należało je zakupić u rybaków Sovraga, którzy łowili je na odcinku rzeki poniżej Murandysu, kiedy nie zajmowali się drobnym piractwem. Gdyby nie akty łupiestwa, w prowincji panowałyby bieda. Królewskie zamówienia na ryby mogłyby odwrócić ich uwagę od sąsiadów Sovraga, między innymi do Cevulirna. Potrzeba ziarna – na południu jest go pod dostatkiem. Potrzeba drewna bądź kamienia – posępny Imor tylko czeka na znak. Do licha ciężkiego, nie będzie bezwolnie ulegał żądaniom północy! Nastawili go do siebie wrogo i wydali wojnę jego przyjaciółom. Znał ich dobrze, znał wysokość podatków, które zwykli płacić Koronie workami ze zbożem lub beczkami solonych ryb, odbieranymi wieśniakom.

Odmówić przyjmowania solonych ryb Murandysa? Zamiast nich zażądać drewna i siły roboczej? Gdyby zapchać bez ostrzeżenia tamtejszy rynek rybami, spadłaby ich cena. Ludzie mogliby je wprawdzie zjadać, a nie sprzedawać, niemniej Murandys musiałby ze strachem zwrócić się do Ryssanda z prośbą o drewno. Król nie mógł sobie pozwolić na zmniejszenie zakupów drewna: potrzebował go do budowy mostów.

Należało wnikliwie rozpatrzyć, których lordów może napuścić na których, kto mógł kogo oszukać, jeśliby zażyczył sobie, dla przykładu, złota od Murandysa, deklarując obrzydzenie dla beczek z rybami. Skąd Murandys brałby złoto? Być może

sprzedawałby ryby do Guelessaru, tyle że po niższej cenie.

Kto wie, czy wspominając dzisiaj podczas dyskusji o swej niechęci do ryb, nie napędzi Murandysowi strachu i nie uczyni go znacznie bardziej pojedynczym. Istniał też jeszcze jeden ciekawy temat, którego w oczekiwaniu na stosowną chwilę nigdy dotąd nie poruszył.

–Wiesz zapewne, że lady Luriel przysłała mi list – zagadnął Murandysa. – Prawdę mówiąc, kilka listów.

Lord wstrzymał oddech. Wciąż tylko myślał o kuzynie patriarchy i dopiero teraz sobie uświadomił, iż nie dostrzegł jednego z pionków na planszy: własnej siostrzenicy, która go nie kochała, za to pisywała listy w przededniu królewskich zaślubin, czym prawdopodobnie ryzykowała ściągnięcie na siebie nieprzychylnego zainteresowania króla. Cefwyn z rozmysłem przywołał na usta uśmiech swego dziadka, po czym wstał od stołu.

–Jeszcze o tym porozmawiamy – powiedział. – Jestem pewien, że zastawiono już stoły, panowie. Oczekuję na kolacji.

Wciśnięty między dwa wzgórza, quinaltynski klasztor zajmował wąski pas ziemi przy rozwidleniu szlaków: jeden wiódł na południe, w kierunku Marisalu, drugi na zachód, do Amefel. Klasztor nosił nazwę Clusyn. W tym miejscu zatrzymał się niegdyś królewski orszak w drodze do Guelemary. Podróżny mógł tu liczyć na gościnę o każdej porze roku, dlatego Tristen nie musiał rozbijać namiotów – wielce sprzyjająca okoliczność, oddalająca potrzebę rozładowywania pokażnej ilości brezentu mglistym wieczorem i, co więcej, oszczędzająca im ładowania go rano, kiedy wilgotny ziąb przenika do kości.

Tutaj na kompanię Tristena czekano nawet z posiłkiem. Królewski posłaniec, zmierzający przed nimi do Amefel na rozstawnych koniach, poinformował mnichów, że pod wieczór nadjedzie grupa ludzi. Zacni mnisi przystąpili do rozcyniania chleba, który dokładnie o zachodzie słońca zaczęli znosić koszami prosto z pieca, a także do sprzątania w stajniach, robiąc miejsce pod południową ścianą, szykując siano dla koni. Dyspozycje padały z niewiarygodną wręcz precyzją. Jeden z mnichów kierował wozy na skraj podwórca, gdzie pod dowództwem kolejnego z braci furmani mogli wyprząc zwierzęta i odprowadzić je do poszczególnych przegród w stajniach: woły tu, muły tam, jeszcze gdzie indziej konie. Wóz stawał przy wozie, furmanka przy furmance, przy zachowaniu dotychczasowej kolejności, a wszystko to działo się w mętnej poświacie zachodzącego słońca, pośród cieni wspinających się na niewysokie mury.

Gwardzistów ulokowano w nieużywanej już suszarni, gdzie od paleniska rozchodziło się miłe ciepło. Wozacy siedzieli i grzali się przy ogniskach pod wiatami, których boki

zabezpieczono brezentem. Lordowi Amefel, jego kapitanowi, służbie oraz królewskim oficerom przydzielono domek gościnny z czterema pokojami i ciepłą salą. Na wszystkich czekała wieczerza. Mogli wreszcie zdjąć zbroje, które założyli jeszcze przed świtem, odłożyć broń i zasiąść do gorącego posiłku.

–Wieśniaczy to ludek – zawyrokował Uwen z uznaniem. – Zaczny wieśniaczy ludek, żadne tam bogate mieszcuchy. Pięknie się sprawili, wojsko całe i woźniców pod dachem przykładnie mieszcząc. Przecie coraz mocniej zawiewa i robi się wilgotno.

Istotnie, kiedy zaszło słońce, dmuchnął srogi wiatr, wieszcząc noc nieprzyjemną dla wszystkich, co spali z dala od ognia.

Mistrz Emuin, utknąwszy w drodze (chyba spał na wozie – Tristen sporadycznie wyczuwał nikłą falę zakłócanego spokoju), znalazł się w dalece gorszym położeniu i mimo że jakoś wytrzymał w nękanej przeciągami wieży, teraz czekała go walka z bardzo silnymi podmuchami wichru.

Tristen nie mógł jednak nic zrobić. Żywił tylko nadzieję, że osie wytrzymają ciężar bagaży mistrza Emuina i wóz się tu jak najszybciej dowlecze.

Z zewnątrz wdarło się zimne powietrze, kiedy nadszedł Anwyll, by przyłączyć się do nich w połowie posiłku. Zameldował, że wszyscy mają schronienie, a żołnierze są wdzięczni za ziarno i wodę, której z sobą nie wieźli – wodę mającą właściwości lecznicze.

–Z tejże wody słynie tutejsza kaplica – wyjaśnił Uwen półgłosem. – Ponoć leczy nieżyty żołądka. Jego Wysokość... – Odchrząknął cicho. – Jego Wysokość wielce ją sobie cenił, jako że ze świętego miejsca wypływa.

Język obeznany ze smakiem proszków czarodzieja rozpoznawał w wodzie smak siarki, jednak ostrożny ton Uwena i szeptane wspomnienie o Jego Wysokości kazało przypuszczać, iż sprawa dotyczy czczonych przez Efanora bogów.

–Sprzedają amulety, które mają te same przymioty, co woda – dodał kapitan Anwyll. – I są poświęcone.

–To bezpieczne miejsce – oświadczył Tristen, gdyż stosowne wydawało mu się potwierdzenie zalet klasztoru. – To można wyczuć.

Z niezręcznej sytuacji wyratowali go mnisi, przynosząc trzy dzbanki piwa.

–Z Marisynu – oznajmił najwyższy rangą. Na koniec zjedli jeszcze ciastka z masłem. Rozmawiali o kołach wozów i uprzężach, aż wreszcie Anwyll zjadł wszystko i wyszedł.

Smakująca siarką woda skutecznie gasiła pragnienie. Tristen powątpiewał w moc amuletów, odkąd Emuin zlekceważył wisiorek Efanora, odnosił jednak wrażenie, że należy okazać wdzięczność gospodarzom. Mnisi uczynili dla niego znacznie więcej niż zakonnicy z wielkiej świątyni w Guelemarze.

–Co powinniśmy zrobić, żeby zapłacić klasztorowi? – zapytał Uwena na koniec. – Damy im złoto?

–Zwyczaj każe jakiś dar pozostawić.

–Zrobisz to za mnie? – spytał, wręczając Uwenowi otrzymaną od Idrysa sakiewkę. Uważał, że to wystarczy. Reszta ich pieniędzy znajdowała się w wielkiej skrzyni, strzeżonej przez kwatermistrza.

–Dobra myśl – przyznał Uwen. – Zajmę się tym.

–W porządku. Ale upewnij się, jakie im dajesz monety. Idrys stanowczo mnie ostrzegął.

–Nie omieszkam. I nakażę przeorowi każdą błogosławić, gdy odliczać je będę.

–Bardzo dobry pomysł. – Doskonale wiedział, że znajduje się tu z powodu zarówno błyskawicy, jak i sihijskiej monety. Nie wierzył już żadnej napotkanej osobie, nawet, kiedy czynił wobec niej gest wyrażający szacunek i przyjacielskie zamiary. Takie zachowanie przepęłniało go smutkiem i żalem. Niemniej posłał Uwena, by wypłacił monety. Sprawdził stan dzisiejszego nieba na wypadek, gdyby czary znów chciały przeobrazić jego pieniądze, choć nikłe było po temu prawdopodobieństwo.

Siedział przy ogniu i sączył resztkę piwa, świadom obecności mnichów, którzy dreptali między filarami, bacznie mu się przyglądając. Wyczuwał Anwylla i jego ludzi – wciąż wpuszczali chłodne powietrze, gdy wychodzili na ziąb z przeróżnymi zadaniami.

Wyczuwał także Emuina, nieszczęśliwego, gdzieś w drodze. Wypad w szarą przestrzeń niósł z sobą większe niż za dnia ryzyko. Może tak działała pogoda, wicher omiatający podstrzesza tego domostwa, w którym czuł się nieswojo, chociaż raz już je odwiedził. Przez cały dzień świeciło słońce, lecz teraz chmury znów zasnuły niebo. Cienie wypełniające zagracone kąty sali podskakiwały i płynęły niby blask ognia, gdy wicher wdzierał się kominem... Nie były nikczemne, choć kilka groźniejszych Cieni mogło się przyczaić pośród ich łagodniejszych pobratymców.

Ucieszył się z powrotu Uwena, nieobecnego, wydawałoby się, zbyt długo.

–Przeor rad był wielce, to samo kapitan i inni.

–Dlaczego kapitan?

Uwen pochylił głowę, jakby wymknęło mu się o jedno słowo za dużo.

–Tu się o szczęście rozchodzi. Wojaka to cieszy, gdy pan jego szczęście sprowadza.

–Żołnierze są zmartwieni?

–Cóż, prawdę mówiąc, co poniektórzy do Waszej Miłości lekliwość pewną czują, pomni na błyskawicę i tym podobne rzeczy. Ale nikt w brodę sobie nie pluje – dodał pogodnie – jako że panem jesteś, co to bitwy swoje wygrywa, a taki pan to widok znacznie lepszy od przegranego wodza.

–Chyba jednak nie odniosłem zwycięstwa w wojnie z quinaltynami.

–Wątpię, czy to quinaltyni krzywdę ci wyrządzili, panie. Tako też inni mówią.

Tristen spojrzał bacznie na Uwena, który po chwili namysłu ciągnął wywód:

–Najpewniej Murandys, może Ryssand, powiadają wokół ognia. Jedni w magii wyjaśnienia szukają, zdaniem drugich miłościwy król Jej Miłość miał na uwadze, na którą baronowie niechętnym okiem patrzą... Wielu imię Murandysa powtarza.

Uwen umiał pozyskiwać informacje, czy to w kuchniach, czy też w stajniach, wśród prostych ludzi, a zwłaszcza stajennych i żołnierzy. Tristen zawsze słuchał uważnie, gdy Uwen przekazywał mu wieści, ufał jego ocenom nie mniej niż przestrogom Idrysa.

–Czy Cefwynowi grozi niebezpieczeństwo? – To właśnie pytanie należało zadać na wstępie.

–To może za dużo powiedziane, panie. Rzecz w tym, że baronowie z północy zwykli za panowania starego króla postępować według własnego widzimisię. Nie, żebym znawcą był w tych sprawach, atoli stary król im nadskakiwał, a nowy nie chce. Do bogów modły zanoszę, by Jego Królewska Mość wziął ich na munsztuki!

Ostatnio bogowie często nawiedzali myśli Tristena, wciąż stanowiąc dla niego zagadkę. Z każdą jednak chwilą wiązał z nimi mniejsze nadzieje.

–Też pragnę, by się tak stało. Czego więcej miałbym pragnąć?

Uwen spojrzał nań spode łba, wiedząc – Tristen był tego pewien – co miał na myśli. Niekiedy żałował, że Uwen nie rozumie jeszcze więcej, że nie może służyć radami, jakich mu Emuin uparcie odmawiał. Kapitan wszakże sam określił, gdzie się kończą

Jego kompetencje:

–Jakże mi sądzić, panie? Naprawdę, nie pytaj mnie o to. Nie mogę rzec ci, co słuszne, lubo głosowi twego serca ufam, panie. Dobroć żeś mi jeno okazywał, jako i Jego Królewskiej Mości. Na tronie on teraz zasiada i niech się Jego Miłość z Murandysu ma na baczności, gdy w drogę Marhanenowi wejdzie.

–Przecież Cefwyn nikomu nie wyrządzi krzywdy. Wcale tego nie pragnie.

–Racja, panie, ale jest królem. A królowie, rzecz to zrozumiała, nie są ludźmi pospolitymi.

–Podobnie jak ja.

–Zaprawdę, panie. – Uwen westchnął głęboko. Owo oskarżycielskie stwierdzenie wisiało w powietrzu i żaden z nich nie mógł mu zaprzeczyć.

–Wiesz za sobą wszystkich domowników, panie. Lusin i inni na dobre ze służby u króla wystąpili, byle przy tobie ostać.

–Winienem im za to wdzięczność. – Nie wiedział, co więcej powiedzieć, skoro ludzie narażali na ryzyko siebie i cały swój dobytek, dając się ponieść nurtom, które jego porwały i rzucały raz w jeden, raz w drugi zakątek świata. Można było odnieść wrażenie, że człowiek mający szansę na spokojne życie, decydując się towarzyszyć mu w drodze, dokonuje niedorzecznego wyboru. W tymże momencie dojrzał służących i gwardzistów, czekających tuż za ścianami; niektórzy siedzieli na ławach, inni kucali, gawędząc z kamratami, przy czym nikt nie spał, nikt nie wydawał się znużony całodzienną wędrówką.

–Nie zauważył tu żadnych bogów, podobnie jak w świątyni quinaltynów. Miał nadzieję, że wszyscy jadący z nim ludzie bezpiecznie wypoczną, śniąc spokojne sny. Tutaj Linie były przynajmniej dobrze rozplanowane, stanowiły większe źródło siły i pociechy niż osławiona woda.

–Moi domownicy powinni kłaść się już spać – powiedział. – Ty zaś przede wszystkim. Ja posiedzę jeszcze chwilę przy ognisku.

–Tak, panie – odparł Uwen cicho, po czym odszedł, by porozmawiać z Lusinem i Tassandem. Słudzy wyszli bezgłośnie na korytarz.

Tristen nie okazał zdziwienia, gdy Uwen wrócił w pojedynkę i przycupnął obok kominka. Sprawował samotną wartę, uzbrojony w lekką broń, czujny, mimo że czasem przysypiał.

–Co tam u mistrza Emuina? – zapytał w końcu.

–Zatrzymał się na noc – odpowiedział Tristen z cicha. Emuinowi było przynajmniej ciepło, chociaż zmókł w dzień. Zimny wiatr potrząsał płachtami namiotu, stukocząc rytmicznie. – Poszedł już spać kapitan Anwyll?

–Ano, śpi już. Rzekłem mu, że obejmę wartę.

–Mógłbyś położyć się na materacu.

–Mógłbyś położyć się we własnym łóżku, panie.

–Tak zrobię, Uwenie. Ale póki co, z kominka wciąż bije ciepło.

Pewna kwestia nie dawała mu spokoju.

–Czy on się mnie boi? Kapitan?

–Wyznaje quinalt i nigdy nie miał do czynienia z czarodziejami. Ciarki człowieka przechodzą, kiedy tak powiadasz, żeś widział mistrza Emuina, panie.

–Niewątpliwie.

Śledził wzrokiem płomienie, lękając się zaśnięcia. Zadawał sobie w duchu pytanie, czy nie powinni tu jutro zaczekać do wieczora, by mistrz Emuin mógł do nich dołączyć. Pozwolił kapitanowi pójść spać, nie podjawszy z nim tej kwestii. Niemniej mógł to zaproponować przy śniadaniu, które ludzie pragnęli zjeść, zanim zaczną zaprzęgać zwierzęta. Jednodniowa zwłoka mogła się wiązać z ryzykiem, gdy posłaniec dotrze do Amefel i rozpuści wieści w mieście znanym z porywczych nastrojów. Jeśli w Henaśamef będą oczekiwać, że coś wydarzy się w określonym czasie, a to się nie wydarzy, wynikną spekulacje i ludzie zaczną popełniać głupstwa.

Tymczasem głowa Uwena opadła na piersi. W szarej przestrzeni, łagodnie, delikatnie, gdy Tristen obserwował płomienie, Emuin znalazł się przy nim, pociecha w mroku pełnym Cieni.

Wiatr dął wśród szarych, postrzępionych krawędzi. Obecność Emuina coraz bardziej nikła, ale czy on sam był dla mistrza równie niematerialny, nie wiedział. Oparł się pokusie dotarcia do niego o własnych siłach. W Guelemarze niebezpieczne było przekazywanie tym sposobem myśli, w pobliżu bowiem zawsze mogli podsłuchiwać szpiedzy. Targały nim rozterki: czy pośród tak wielu kapłanów i mnichów powinien wybiegać do starca?

Musiał jednak podjąć pewną decyzję.

–Mam wstrzymać pochód? – zapytał mistrza Emuina. – Możemy tu jutro poczekać.

Zimnie jacy wiatr powiał z większą siłą.

–Mistrzu Emuinie? Dobrze się czujesz?

–Uważaj! – usłyszał wąty szept Emuina. – Uważaj, młody lordzie!

Coś przecięło wiatr w poprzek, przyćmiło go na moment, zadziwiając Tristena swoją bytnością.

–Co to? – zaczął pytać. Potem krzyknął: – Jest tam kto?

–Nie! – Emuin przylgnął doń na moment, szybko jednak uleciał, jakby porwany przez wiatr. Odplynął w dal, gdzieś w dół, niczym liść ze szczytu wzgórza. – Nie ścigaj mnie. Nie patrz. Nie pytaj, niczemu się nie dziw. Obawiam się Cieni w tej stronie, młody lordzie. Napawają mnie strachem. Być może lepiej je widać z mojego miejsca. W każdym razie to niespokojna noc. No, odejdz już!

Tutaj odległości miały inną miarę. W jednej chwili Emuin mówił jakby z Guelemary, w drugiej równie dobrze mógłby znajdować się w klasztorze, chociaż starzec nie ruszył się ze swego obozu, a on ze swojego krzesła.

A w dalszej... w dalszej perspektywie, w jakimś kierunku, którego nie umiał określić względem krzesła i kominka... widniała Krawędź. Wiedział, że jest niebezpieczna. Była śmiercią... a przynajmniej pewnego rodzaju stratą. Widział kiedyś, jak pojawia się przy Ulemanie, lordzie regencie, ojcu Jej Miłości, i jak rychło go pochłonęła. Zdjął go nagły strach o Emuina. Ze zdumieniem spostrzegał wielkie podobieństwo Emuina do Mauryła, teraz gdy jego włosy i broda stały się białe. Łatwo mógłby pomylić jednego z drugim.

–Ja nie jestem Mauryłem – rzekł Emuin stanowczo. – Nie wolno ci mylić nas ze sobą, młody lordzie! Nie chcę mieć nic wspólnego z jego wytworami, bądź pewien! Bogowie brońcie! Przestań mnie tak ciągnąć!

Został zasłużenie zbesztany i dopiero po chwili odetchnął głębiej.

–Mistrzu Emuinie – powiedział w tym śnie na jawie. – Nie zamierzałem zrobić niczego podobnego. I nigdy was nie pomyłę. Chcę tylko zapytać...

Spoza ciemnej Krawędzi wyzierał strach. W szarej przestrzeni kierunki nie były precyzyjnie wytyczone. Odniósł wrażenie, że siedząc przy kominku, zwrócony jest twarzą na północ. A zatem groźna Krawędź znajdowała się na zachodzie, gdzie leżała prowincja Amefel, tuż za rzeką; wcale nie na północy, bliżej wojsk Tasmórdena.

Takie założenie umiejscawiało jednak cień, który dostrzegł na wietrze, na wschodzie oraz na południu, w co zrazu nie wierzył. Nie śmiał gubić się w domysłach, wolał nie

szukać sposobu, by odnaleźć się w świecie Ludzi. Przedtem wyczuwał wyraźną groźbę. Obecnie dręczyła go niepewność, czuł...

–Ostrożnie!

Zagryzł wargę, by uporządkować myśli i przyciągnąć ciało. Mistrz Emuin odsunął się zniechęca i rozplynał w nicości. Był bezpieczny, uciekł z szarej przestrzeni, podczas gdy on pozostał, nadal zagrożony, w miejscu nawiedzonym przez, wiatry.

Usłane cieniami kamienie izby gościnnej znajdowały się o jedno tchnienie dalej. Wciągnął powietrze głęboko w płuca, zauważając najpierw lśniąca materię zapór i Linii, potem materię, na której się wspierał.

Być może poruszył się na krześle, być może poderwał ze strachem, wyczuwając pod palcami twarde drewno. Tak czy inaczej, Uwen przestał chrapać i uniósł głowę, wodząc dokoła wzrokiem.

–Wybacz, panie. Chybam kapkę przysnął.

–Musiałem mieć sen – powiedział Tristen. Tak właśnie się czuł: jak zmęczony koszmarem. Ciągle brakowało mu oddechu. – Idziemy do łóżek.

–Tak, panie – odpowiedział Uwen. Obaj wstali powoli i udali się do przytulnych pokojów.

Jednakże Uwen nie chciał tak zostawić Tristena: przyniósł materac z sąsiedniej izby i z mieczem w ręku ułożył się na podłodze, oświadczając, że będzie spał tam albo w ogóle.

Tristen postawił w kącie pokoju miecz i tarczę, po czym legł na delikatnym, wypchanym gęsim pierzem materacu. Przykryty szorstkim kocem, miał nad sobą zwyczajny sufit – odwykł od takich, odkąd przebywał w towarzystwie Cefwyna. Nagie krokwie rzucały cienie w blasku pozostawionej na stole świecy. Widok ten przypomniawsł mu Ynefel, jego dawny pokój oraz ogromną, niebosiężną salę ze spiralnymi schodami wijącymi się wzdłuż kamiennych ścian.

Stopnie trzeszczały w czasie burzy. Jakże były kruche. Nic nie mogło przyprawić o większe przerażenie niż przebywanie na tych schodach w ciemności, gdy cała wieża jęczała i skrzypiała w porywach wichury. W takich chwilach wydawało się, że osadzone na ścianach twarze się ruszają, a cienie rozrzucone w blasku świec – przesuwają. Narastały dźwięki, których nie wydawał wiatr: piski wykrzywianej stali, otwieranych drzwi, udręczonych dusz.

Również twarz Mauryla spojrzawsła z tych murów. Usiłował uchwycić się tej myśli. Uciekając przed nią, dodałby tylko siły nieprzyjacielowi – wprawdzie już nieżyjącemu,

aczkolwiek wolał nie okazywać niepewności, kiedy tyle innych zjawisk cechowała dwuznaczność. Mauryl zamienił się w kamień, belki pospadały, a Ynefel wyglądała inaczej tej jesieni, gdy Cefwyn władał Ylesuinem. Bał się wyzbywać tamtych wspomnień.

Lecz noc, kiedy zgasła świeca, noc, kiedy wyszedł na schody w ciemnościach... To dziwne: nawet po bitwie nad Lewenbrookiem tamta noc była najstraszniejszym doznaniem w jego życiu.

Niemal równie wielki strach budziła w nim Krawędź. Wzbudzała trwogę samym swoim pojawieniem. Cień nad Lewenbrookiem był porażającym, rozjuszonym zagrożeniem, mogącym być przynajmniej obiektem czyjegoś gniewu. Tymczasem Krawędź, podobnie jak owa chwila na schodach Ynefel, stanowiła źródło strachu, który oblewał ciało zimnym potem. Wędrowiec w szarej przestrzeni, obserwujący ją z ciekawością, czuł nagle, że wszystko się ku niej nachyla. Jej widok zmartwił Tristena. Nie wydawało mu się, żeby groźba przywołująca Krawędź narodziła się w świecie Ludzi: nie dręczyło go przeczucie niebezpieczeństwa związanego ze zdradą gwardzisty, wypadkiem czy kaprysem pogody. Obawiał się, że przywołuje ją coraz większa słabość mistrza Emuina, jego podróż, brak spokoju... Czy Krawędź reprezentowała coś, co zagrażało starcowi jedynie w szarej przestrzeni, czy też niebezpieczeństwo czyhało nań wszędzie, na to pytanie Tristen nie umiał odpowiedzieć i wątpił, by odpowiedzi udzielił mu sam Emuin.

Już samo rozmyślanie na ten temat otworzyło mu drogę do szarego miejsca, nieco dłuższą niż zwykle, lecz tej nocy i tak groźną.

Nieopodal przemknął Cień na wietrze.

Ktoś był w pobliżu.

W tej dziwnej budowli, w gąszczu dziwnych zapór, w zakrętach schodów i stopni...

Obecność mistrza Emuina wyczuł ostatnio na północy. Gdzież jednak znajdowało się teraz palenisko? I w którą stronę obrócone było jego łóżko?

To nie Emuin przybywał chyłkiem poprzez szarość. Wszystko mogło jednak gwałtownie przyspieszyć: oto nie był już Tristenem z Równiny Leweńskiej, ale młodym Tristenem, stojącym na schodach strażnicy Mauryta. Wiedział, jak Cień potrafi doskoczyć, przestraszyć, wedrzeć się w chwili lęku.

Wtem wyczuwana obecność wydała mu się mniej złowroga, pragnęła go tylko znaleźć. Pomyślał wtedy, że może to Ninevrise usiłuje się z nim spotkać niewprawnie... W takim razie naraża się tej nocy na trudne do wyobrażenia niebezpieczeństwa.

Nie, powiedział, odrzucając ją rozpaczliwym wysiłkiem. Odeszła.

Leżał nieruchomo, wpatrzony w krokwie powały, zastanawiając się, skąd nadeszła, z zachodu czy ze wschodu. Zazwyczaj wiedział takie rzeczy, ale dzisiaj był roztrzęsiony. Mógł jej wyrządzić krzywdę. Lękał się, że Ninevrise rzeczywiście wybiegła mu na spotkanie i że chyba ją wystraszył.

Spij mocno, życzył komukolwiek, kto go odwiedził. I spokojnie.

Czy powinienem na ciebie zaczekać? – Z tym pytaniem sięgnął do Emuina. Czy powinienem oczekiwać czegoś złego? – O to zapytałby pod koniec ich rozmowy.

A teraz chętnie by spytał: Czy chowasz przede mną jakieś sekrety, mistrzu Emuinie?

Czy dopiero od dzisiaj szare miejsce stało się niebezpieczne?

Rozdział trzeci

Im bliżej poranka, tym dotkliwsze zimno dawało się we znaki w klasztorze. Pokryte lodem schody skrzyły się w świetle latarni. Według raportów jeden z gwardzistów spadł z trzech stopni, lecz się nie potłukł – tylko dzięki zbroi.

–Lepiej uważaj, panie – przestrzegł Uwen, gdy wyszli na niewielki ganek. Postąpił ostrożnie ku schodkom.

Tristen przetarł gołymi palcami poręcz, badając głębokość okrywy i czując ukłucia na skórze. Widział już szron, ale nigdy nie musiał zważać na każdy krok. Jednakże już po kilku chwilach zaczął dochodzić do wprawy, jakby objawiało mu się Słowo. Ze wzrastającą pewnością ruchów podążył za Uwenem.

Pomimo kilku upadków ludzie wydawali się nie zrażeni lodem. Młodszy żołnierze robili sobie psikusy, popychali się jak chłopcy, lecz starsi drobnymi kroczkami przemierzali dziedziniec w blasku latarni. Woły i konie świetnie dawały sobie radę, zwłaszcza w stwardniałym błocie, tworzącym okryte lodem skiby. Wozacy szybko wyprowadzali zaprzęgi, stajenni sprawnie podstawiali swym panom osiodłane konie, a mnisi z miotłami rozsypywali piasek.

–Panie, czy zechcesz dosiąść Petelly'ego? – zapytał Aswys.

–Tak – odparł. Stał przy schodach i obserwował uwijających się ludzi, opatulony ciepłym płaszczem, który Tassand zarzucił mu na ramiona.

Czy to już zima? – zapytałby chętnie Emuina, lecz mistrz prawdopodobnie opuści ciepłe gniazdko znacznie później. Czy już się zaczęła?

Jaki los czeka wozy, jeśli śniegi przyjdą w ślad za lodem?

Obok prześliznął się, sapiąc ciężko, chudy chłopak, pomocnik poganiacza – z najwyższym trudem utrzymywał równowagę, obładowany uprzężą. Tristen czekał spokojnie na skraju podwórca. Lód objawił mu się nagle z niepokojącą siłą, z wyrazistością Słowa: Lód zalegający skorupami i w poszarpanych złomach.

Sihhijscy lordowie nadeszli z północy, czyżby o tym nie czytał?

Czasami chwycił się rozpaczliwie nadziei, że jest istotą stworzoną z rozrzuconych pierwiastków, dziełem magii Mauryła, bytem nowym, nie obciążonym grzechami przeszłości. Czasami natomiast musiał wierzyć w prawdziwość słów Idrysa, według których był upiorem z zaświatów, lordem o imieniu Barrakketh... Czyż powinien się więc dziwić, iż lód i zima są drogie jego sercu? Zanim przeczytał zapiski Barrakketha, znał je już na pamięć, zatem nie był chyba cudem fakt, że zima odsłaniała przed nim swe białe tajemnice.

Pomyślał o trzymanej pod koszulą książeczce Efanora, marząc o spotkaniu z bogami i o radach mogących zastąpić wskazówki Emuina, Cefwyna i Idrysa.

Ach, przyjdź tu! – zapragnął nagle obecności Uwena. – Powiedz coś do mnie! Nie pozwól, by coś jeszcze mi się objawiło.

–Panie – rzekł Uwen. To nieoczekiwane najście przestraszyło Tristena w równej mierze, co natarczywe myśli sprzed chwili. – Panie, prowadzą nasze konie.

Uwen poczuł potrzebę, by coś mu powiedzieć. A tymczasem na wschodzie ukazało się słońce, bezpieczne i zwyczajne. Z ust buchała para, ludzie i zwierzęta z radością witali ranek. Pod Tristenem kolana uginały się ze strachu, więc stał nieruchomo, obserwując, jak wozacy ustawiają wozy w szeregu, a przy bramie zbierają się chorążowie. Potwierdziły się słowa Uwena: Aswys wraz z pacholkami prowadził Petelly'ego i Gię.

–Kapryśny poranek, panie – zaryzykował stwierdzenie Aswys.

–Na to wygląda. – Ciągłe czuł słabość w kolanach. Dawniej dostawał napadu, gdy objawiało mu się coś równie potężnego. Bał się, że i teraz to nastąpi, więc gdy ujmował cugle, serce biło mu niczym po długim biegu. Wskakując na grzbiet, zauważył, iż sierść Petelly'ego jest zimna jak siodło. Rozłożył płaszcz, aby ogrzać ich obu.

Nie mogę sobie pozwolić na zwłokę, pomyślał. Gdyby Emuin chciał, żebym nań zaczekał, już by mi o tym powiedział.

Czy mnie słyszysz, mistrzu Emuinie? Jest tu Lód, wszędzie naokoło jest Lód. A ja

znam jego naturę, mistrzu Emuinie... Czyżbyś mnie nie słyszał?

Otworzono bramę. Słońce zalewało światłem zamgloną i oszronioną ziemię. Szron pokrywał żdźbła traw rosnących wzdłuż drogi, kamienie i kamyczki, a wschodzące słońce uwydatniało delikatne odcienie poranka. Bajoro przy bramie okryło się pomarszczoną lodową powłoką. Pobielały nawet grudy pospolitego błota na skrajach niemiłych wczoraj dla oka kałuż. Kolumna koni i jeźdźców wylewała się za bramę w bladopomarańczowych kłębach pary.

Czyż mógł się lękać takiego widoku? Poranne promienie docierały wszędzie i zwyczajne rzeczy stały się nagle cudowne. Wyruszył w drogę. Wraz ze wschodem słońca nastąpiło niejaki przesilenie i oto znów znalazł się na Drodze, gdzie miał do załatwienia sprawę nie cierpiącą zwłoki.

Przez chwilę wyobrażał sobie Ynefel pokrytą szronem i skąpaną w promieniach poranka.

Maurylu, rzekłby. Maurylu, widziałeś kamienie?

Maurylu, popatrz na niebo ponad drzewami! Popatrz na światło!

Mauryl uwolniłby się na moment od swoich trosk, stare oczy zerknęłyby tam, gdzie Tristen doszukiwał się cudu. I na moment Mauryl także by się zdziwił i wypowiedział Nazwę, przypominając mu o tysiącu rzeczy, o których zapomniał, rozproszony zdumiewającymi widokami.

Nadal potrafił się zachwycić pięknem. Kto wie, czy w takich chwilach nie stawał się podatny na działanie czarów, ale może wprost przeciwnie – był odporny i obwarowany niczym Ynefel za dni swojej chwały. A nuż zagrożenia nie mogły wykorzystać jego nieuwagi i stawał się wówczas na nie niewrażliwy? Wiedział, iż z równą zręcznością potrafi posługiwać się magią, co żelazem, a mimo to od niej stronił, wymyślając bajki, aby wytłumaczyć sobie, po co istnieje na świecie, i szukając bogów, którzy mogliby być od niego potężniejsi. Dodałaby mu otuchy świadomość, że na tej Drodze jest ktoś od niego potężniejszy, kto będzie mu przewodnikiem, nawet ktoś, kogo by można obwinie: ongiś Hasufin Heltain był mu w tym sensie pewną pociechą, głosem, odpowiedzią tam, gdzie normalnie panowała jedynie szarość, gdzie płynęły tylko chmury. Parę dni temu nie umiał wysnuć z wyobraźni obrazu wiosny, a teraz wyobrażał sobie sprawowanie władzy nad prowincją Amefel. Zeszłej nocy umknął z szarej przestrzeni, wystraszony czyjąś obecnością, a w chwili obecnej z tęsknotą wspominał swego wroga. Zeszłej nocy przerażała go Krawędź, a tego ranka, zapuszczając się na próbę ku szarości, nie dostrzegł nigdzie granicy, która mogłaby go opasać.

Zeszłej nocy wyczuwał Emuina, a teraz nie. Okoliczność ta potwierdzała, wmawiał

sobie, jedynie jedno z prawideł świata śmiertelników: Emuin wciąż spał i nie byłby mu wdzięczny, gdyby go obudził, żeby dla zwykłego kaprysu przyciągnąć jego uwagę.

Co powiedziałyby tego cudownego poranka?

–Wybacz, mistrzu Emuinie, ale zacząłem się bać...

–Pociesz mnie, mistrzu Emuinie: tęsknię za Cefwynem. Tęsknię od czasu, zanim jeszcze wyjechaliśmy razem z Amefel, lecz tego ranka, bez wyraźnego powodu, zwątpiłem...

–Wybacz, mistrzu Emuinie, że dziś rano szukałem bogów. Teraz moim panem jest tylko przysięga złożona Cefwynowi.

–Ze szczytu wzgórza, które odwiedziłem, mogę dojrzeć wszystko, co kiedykolwiek poznałem. Mogę pofrunąć niczym wolny liść na wietrze.

–Ale są miejsca poza tymi wzgórzami i dni poza dzisiejszym, mistrzu Emuinie. I są Cienie, gdzie słońce nie ma władzy. Czy wszyscy Ludzie błądzą jak ja po omacku?

Nie śmiał dłużej narzucać swoich myśli. Z jakąż łatwością zanurzyłby się głębiej w szarą przestrzeń, gdzie, czego się obawiał, nie byli już sami. Zauważona zeszłej nocy obecność umykała z jego świadomości niby rozwiewający się sen. Czy rzeczywiście śnił, czy też było to wspomnienie czegoś, co się naprawdę zdarzyło?

Trapiła go nieuchwytność doznanego wrażenia.

Czyżby Ninevrise naprawdę ku niemu sięgnęła?

Może znalazła się w opałach? Albo Cefwyn? Może baronowie uknuli nową intrygę, a król pragnie jego powrotu?

Nawet jeśli Emuin przesłał jakąś wiadomość, przesłoniły ją wzgórza. Zerknąwszy wstecz, Tristen zobaczył wydłużoną kolumnę, wciąż wypływającą spośród klasztornych murów niczym odwijana z kłębka nici. Owo odwijanie dobiegało już końca. Zaiste, wracali do Amefel.

Magiczny szron zniknął, w miarę jak słońce wspinało się do góry. Biel opuściła najpierw wschodnie stoki wzgórz, następnie zachodnie, utrzymując się dłużej jedynie w cienistych zakątkach, by na koniec i tam zszarzeć.

Okolo południa poczuli na plecach miłe ciepło. Ogrzały się nawet palce w butach, a Petelly, który od rana przejawiał niespotykaną ochotę do brykania, dostosował się wreszcie do ogólnego tempa marszu.

Tristen miał nikłą świadomość, że mistrz Emuin rozbudził się już na dobre. Wyruszył w drogę nieco później niż oni, utyskując na ból w stawach, gdy wóz podskakiwał na wybojach. Nie zaczął najszczęśliwiej podróży, zmuszony wlec się przez wiele mil po ich śladach. Tristen żałował, iż jeszcze bardziej oddalił się od mistrza Emuina. Cóż mógł jednak na to poradzić?

Odpowiedzi tymczasem jak nie było, tak nie było. Podczas południowego odpoczynku, zmęczony, zatroskany i poirytowany przedłużającą się ciszą ze strony Emuina, kazał przyprowadzić Dysa i jechał na nim przez resztę popołudnia, zmagając się z wolą zwierzęcia, które odpoczywało przez cały miesiąc. Uwen dosiadł Cassama, swego ciężkiego rumaka. Oba wierzchowce znały się ze stajni i oba potrzebowały wokół siebie więcej przestrzeni, wobec czego niekiedy jechali obok kolumny, niekiedy zaś na przedzie.

Na Petellym oczy same się zamykały; jadąc na Gery, trzeba było mieć je szeroko otwarte, jednak dopiero jazda na Dysie dostarczała wrażeń. Wielkie kopyta kłapały głośno o ziemię, ruchy cechowała większa zamaszystość, spokój, wyważenie. Dysarys ustawicznie strzygł uszami, zawsze bowiem wypatrywał wrogów. Uwielbiał też, gdy się nań zwracało uwagę, ale większość stajennych obchodziła go ze strachem. Nie mógł narzekać na nadmiar poświęcanej mu uwagi.

Podobnie jak jego pan, pomyślał Tristen.

Jechali tymczasem równą, dogodną drogą. Mosty na królewskim trakcie bez problemu dźwigały wyładowany wóz, a nawet gdyby któryś z nich zawiódł, tuż obok zawsze znajdowały się płytkie, łatwo dostępne brody. Od czasu do czasu wyczuwał mistrza Emuina. Starzec nareszcie dotarł do klasztoru, cało i zdrowo, aczkolwiek, nienawykły do jazdy, na rozchwianym koźle nabił sobie wiele siniaków. Tristen szczerze go żałował. Mistrz Emuin rozgościł się i zjadł spóźniony obiad, po czym uciął sobie drzemkę.

Wszelako w miarę upływu godzin, Tristen zdobywał coraz większą pewność, że Emuin nie zamierza opuścić klasztoru. A kiedy słońce zaszło na zachmurzonym niebie i zwiększyli w szarówce prędkość, by zdążyć na miejsce planowanego postoju, wyczuł, iż mistrz Emuin siedzi sobie wygodnie przy gorącym kominku i popija piwo.

–Mistrzu Emuinie... – zaczął. Nie otrzymał jednak odpowiedzi, poczuł tylko lekkie tchnienie wielce rozdrażnionego mistrza.

Tristen zaprzestał już wystawania na schodach w wieży, gdy wieczorem Emuin nie chciał otworzyć mu drzwi. Jeszcze wcześniej kładł po prostu koszyk i wracał do swoich pokoi, przekonany, że starzec studiuje jakieś dzieła wielkiej wagi.

Teraz jednak był zły, a zakończenie długiego, męczącego dnia nie poprawiło mu

wcale nastroju. Na domiar złego, gdy zjeżdżali ze średnio stromego wzgórza, ostatniego przed granicą, zepsuł się jeden z wozów. Jak się okazało, wóz należał do kowala.

–Pełno na nim żelastwa – oznajmił Uwen. Nie dało się go podnieść. Należało zamocować nową oś: zrzucić ładunek, a potem wrzucić go z powrotem. Widać już stąd było miejsce na obóz, w dole, przy zakolach Assurnbrookku, gdzie na dzikich łąkach rosły kępy drzew.

–Zdążą do rana – zameldował kapitan Anwyll. – Wyklepią oś i do świtu wszystko winno być jak należy. Jeśli nie, reszta wozów ruszy dopiero jutro.

–Równie dobrze mógł nawalić przy brodach – powiedział Uwen, szukając pociechy w nieszczęściu. – Trza by nam było z nurtu żelazo wyławiać. Tedy i lepiej, że oś teraz pękła.

–To prawda – odparł Tristen. – Ale wolałbym, żeby się już nic więcej nie łamało, zanim dotrzemy do celu.

–Ino ostrożnie, panie, bo tuż za bramą grodzką wszystkie wozy oklapną.

Tristen zaśmiał się na przekór trwającemu od rana przygnębieniu. Wtem z taką ostrością ujrzał w wyobraźni bramy Henaśamef, jakby je miał przed oczyma. Przypomniał sobie liczbę dzielących go od nich obozowisk i zobaczył swój oddział, rozciągnięty od klasztoru w Clusyn do brodów na Assurnbrookku i do Maudbrookku w Amefel, gdzie zamierzali nazajutrz zanoć.

Tymczasem ocalałe wozy, skrzypiąc i trzeszcząc, zjeżdżały ku Assurnbrookowi. Tuż przed zapadnięciem zmroku ludzie zbierali drzewo na opał, a Tristen stał nad brzegiem ciemnego strumienia, przyglądając się zarośniętym wzgórzom i ruinom po drugiej stronie.

Po obu brzegach Assurnbrookku ostały się butwiejące mury z kamienia, regularnie wykorzystywane przez podróżnych jako schronienie przed niepogodą. Na amefińskiej ziemi znajdowała się większa część kamiennych konstrukcji, stanowiących ruiny dawnej świątyni, lecz mimo że przybyli tu jeszcze za dnia, nie zdecydowali się przepawić przez strumień ku owym rozleglejszym kryjówkom, skoro pozostawili na stoku wóz wymagający naprawy. Postanowiono rozbić obóz na gueleńskim terytorium, gdzie rozmaici wędrowcy w ciągu dziesięcioleci zbudowali w miejscach osłoniętych od wiatru kilka dobrze utrzymanych palenisk.

Ludzie powyciągali z wozów małe namiociki i zanim Tristen się zorientował, zaczęli dlań zdejmować wielki namiot.

–Nie – powstrzymał pracujących żołnierzy, po czym podszedł do Anwylla, nie

zgadzając się na rozpakowywanie większych namiotów.

–Wasza Miłość nie może nocować pod gołym niebem.

–Ale żołnierze mogą? – Widząc wciąż tylko opóźnienia, co godzinę jakieś nowe przeszkody, odszedł w gniewie, zniecierpliwiony, nie zważając na protesty Anwylla. Ogrzał się przy najbliższym z trzech ognisk, gdzie postanowił zaczekać na kolację.

–Postąpiłem niewłaściwie? – zapytał Uwena, który przy nim stanął. – Czy Anwyll jest na mnie zły?

–Nie, panie – odparł żołnierz, również skazany przez jego decyzję na nocleg poza namiotem. – Im mniej namiotów ranną wilgoć złapie, tym składniej się spakujemy. Nie jest mu aż tak przykro.

Nic nie odpowiedział.

–Markotnyś – zauważył Uwen po chwili. – Kłopoty, panie?

–Nie mogę się doczekać powrotu – oświadczył, jakby tą prawdą chciał odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Na skromną kolację złożyły się bochny klasztorne chleba, kiełbasa pieczona przy ognisku, ser i umiarkowana ilość piwa, po którym Anwyll i żołnierze odzyskali humor. Wóz kowala zjechał ostatecznie na dół, co wzbudziło zamęt i salwy śmiechu. Owinięty płaszczem, Tristen poszedł zobaczyć, jak wtacza się do szeregu – w mroku i z dala od ognisk i kryjówek. Wycieńczonych woźniców, kowala i jego pomocników odesłał na spóźnioną, acz wytęsknioną przez nich kolację, pocieszając się, że przynajmniej jeden z opiesziałych zaprzęgów dołączył wreszcie do reszty.

Zwlekał z odejściem, napawając się ciszą, jaka zaległa, gdy minął go skrzypiący wóz. W tym miejscu i o tej godzinie wyłaniały się Cienie. Bez lęku wyczuł obecność jednego, który Ignął, osamotniony, do światła, igrając z cierpliwością Tristena. Być może powodowała nim ciekawość. Inne snuły się na drugim brzegu – nieszczęsne, pomykały wśród ruin, mając wzrok. Wśród gwaru pijących i gawędzących ludzi słyszał niemalże ich westchnienia. Nie miał pojęcia, czy pochodzą z Amefel, czy też z Guelessaru. Nie dostrzegał w nich zła, a jedynie tęsknotę za towarzystwem.

Emuin tymczasem położył się do łóżka, słowem nie odzywając się do Tristena. Chciał się porządnie wyspać.

–Dobrze się czujesz, panie? – Tristen ośmielił się w końcu zapytać Emuina, przywoławszy resztki miłosiernych myśli.

–To nie miejsce... Tu nie jest bezpiecznie – usłyszał w odpowiedzi, a także odczuł

niepokój starca... Ale było jeszcze coś: odniósł nagle nieodparte wrażenie, że mistrz Emuin postanowił nie dołączać do jego oddziału, a nawet z nim nie rozmawiać. W następnej chwili uczył odepchnięcie i tak szybki zanik obecności Emuina, jakby starzec zatrzasnął przed nim drzwi. Taka sytuacja doprowadzała do szału. Podobne zachowanie nie leżało w zwyczaju Emuina.

–Mistrzu Emuinie! – wołał nadaremnie. Drepcząc wzdłuż brzegu, usiłował rozproszyć własne, podyktowane złością domysły, według których Emuin nie wykazywał zdrowego rozsądku, a wóz kowala zepsuł się nieprzypadkowo. Gdyby udzielono mu lepszej lub wcześniejszej rady, być może nie stałby teraz nad brzegiem Assurnbrooku, ślepy na otaczającą go noc, zostawiwszy swego doradcę o cały dzień drogi z tyłu i pozwoliwszy królewskiemu heroldowi rozpuszczać wieści w Amefel.

–Co mam teraz robić? – zadał pytanie głuchej nocy.

Szare miejsce odpływało w dal, aż w końcu usłyszał szmer wody, rżenie koni i odległe głosy ludzi.

–Co mam teraz robić, mistrzu Emuinie? Odpowiedz!

Także Mauryl zwykł napędzać mu strachu. Wstrząsały nim dreszcze, ale nie tylko z zimna. W mroku na usłanym kamykami brzegu zachrzęściły kroki.

–Panie, panie, czy wszystko w porządku?

–Nic nam nie zagraża – odpowiedział Uwenowi. Już w chwili wygłaszania tych słów wiedział, że to wielkie kłamstwo, które przez cały dzień sobie wmawiał. – Mistrz Emuin nie dogoni nas prędko, to pewne. Poszedł spać. Spotka się z nami, kiedy tylko będzie to możliwe. Kto wie, czy nie w Henaśamef.

–No, cóż – westchnął Uwen. – Jeno bogowie wiedzą, czym furę obciążył.

Ów przejaw zdrowego rozsądku niemal rozśmieszył Tristena, katastroficzne wizje zniknęły. Takie przyziemne wyjaśnienie pasowało do mistrza: nietrudno było sobie wyobrazić, jak Emuin, nie zważając na protesty woźniców, postanawia w ostatniej chwili zabrać na wóz dodatkowe przedmioty. Cóż za głupcy, on i Emuin: wozy starca wleką się, woły natężają wszystkie siły, a oni kłócą się w nocy, nie bacząc na wstrząśnięty i rozkołysany świat. Emuin spił się przednim piwem i uśmierzył ból w kościach, będzie więc teraz nieczuły na jego natarczywe pytania, by przypuszczalnie wstać rano w lepszym humorze, przejawiając mniejszą ochotę do niedorzecznych zachowań.

–Szkoda, że nie możemy posuwać się szybciej – przerwał milczenie. Stał z Uwenem nad ciemnym brzegiem strumienia. – Szkoda, że nie mogliśmy rozbić się dziś po drugiej stronie.

–Dyć by konie pomokły, wiatry tam zimne hulają.

Kolejny dowód zdrowego rozsądku: skoro nie zagrażał im żaden nieprzyjaciel, głupotą byłaby karkołomna jazda.

–Złą sławą miejsce to okryte – stwierdził Uwen. – Powiadają, że pełno w nim duchów.

–Duchy są tutaj. Ale nie czuję wrogości. – Zeszłej nocy pragnął, by pozamykano wszystkie drzwi. Dzisiaj, na otwartej przestrzeni i oko w oko z Cieniami, nie bał się żadnego z nich. Miał, w pewnej mierze, poczucie bezpieczeństwa. Cienie nie dokuczają ludziom. Był pewien, że w tym miejscu nic mu nie grozi.

Wszelako z nie mniejszą pewnością wiedział, iż coś go wzywa na drugą stronę.

–Ależ zimny ten wiatr – zauważył Uwen, dając mu tym samym do zrozumienia, by usiadł przy ciepłym ogniu, gdzie on sam wolałby teraz przebywać.

Dwa dni podróży udowodniły, że nawet uparte stado owiec może truchtać szybciej niż toczące się na kołach wozy. Poza tym o tej porze roku lada dzień mogły spaść deszcze lub śniegi.

Nawet najmniejsza zwłoka wydawała się zbyt wielka, gdy po drugiej stronie strumienia rozciągały się ziemie Amefel.

Powrócił do ogniska, gdzie napił się z Uwenem i Anwyblem. Kapitan mówił, że idzie im nad podziw sprawnie, biorąc pod uwagę jakość dróg i wielkość załadunku. Jeśli dopisze im szczęście, przy przeprawie przez bród nie przełamie się już żaden z wozów. Rzeczka miała solidne, żwirowe dno. Zagadką pozostawał przeciwległy brzeg. Oraz zachmurzone niebo.

Tristen położył się pod brezentową pałatką, wsłuchany w szum przepływających obok wód Assurnbrookku i trzaski ognia, pogrążony w rozmyślaniach o dniu, kiedy po raz pierwszy ujrzał ten szczególny obóz. Z jakimi obawami i nadziejami jechał u boku Cefwyna do Guelessaru, nie wiedząc, jak zostanie przyjęty przez Guclęńczyków.

Obecnie już wiedział... i lękał się, że powinien był pozostać w Amefel, choć z drugiej strony podejrzewał, iż wówczas nigdy nie zobaczyłby dworu, a nie zobaczywszy dworu ani nie poznawszy północnych baronów, nie pojąłby działań Cefwyna.

Teraz jednak wracał. Pasował do Amefel bardziej niż gdzie indziej, takmu przynajmniej podpowiadało skromne doświadczenie.

Odnosił wrażenie, iż wszystko układa się według precyzyjnego wzorca, że nie popycha go bynajmniej ślepy los. Wracał do miejsca, które było mu przeznaczone.

Jednakże nazbyt często ocierał gołenię o stopnie w wieży Mauryła, by nie przyswoić sobie pewnej lekcji: nie wolno patrzeć na to, co przyciąga wzrok, nie zważając jednocześnie na grunt, po którym się stąpa.

A owym gruntem w tym przypadku była jego naturajako Formy Mauryła... lub istoty przezeń Zawezwanej. A istniała przeraźliwa, niebezpieczna różnica. Czy Maurył Uformował go z wielu pierwiastków, czy też Zawezwał w całości jedną martwą duszę, w jednej chwili, lecz obciążoną chwilami poprzednimi, z których każda w odmienny sposób kształtowała rzeczywistość?

W jakąż matnię zaciągała go konieczność? Czy w dalszym ciągu realizowała się koncepcja Mauryła? A może kogoś innego?

Zaklęcia czarodziejów mogły przetrwać ich samych – w rozumowaniu Ludzi, wszelako w innym, bardziej niepokojącym sensie, zgodnie z wiedzą, jaką chciałby zatrzaskać przed codziennymi myślami, pojęć „wtedy” i „teraz” nie rozdzielał niezdobyty mur. W rzeczywistości zdobywało się go dość łatwo. Niebezpiecznie łatwo, dla niego... Emuin nie posiadał chyba tej zdolności.

Ponieważ on mógł zrobić taką rzecz, zrobić ją mógł też ktoś inny... A skoro tak, nic nie było bezpieczne. Nic... Czuł to, aczkolwiek nie umiał wyrazić tego w prostych słowach. Co zrobiono, wciąż czekało na dokończenie. Co zapieczętowano, wciąż czekało na zamknięcie. Co zmarło... wciąż żyło. Nawet Maurył był zdolny do znacznie większych dokonań.

Zaskrzeczała sowa. Raz i drugi.

Sowo? – zawołał, nieostrożnie i bezmyślnie sięgając w szarość i w otaczające go przestworza. Tak naprawdę nie spodziewał się spotkać Sowy w Guelessarze, niemniej bród na Assurnbrookku to zupełnie inna sprawa. Dźwięk ów nęcił go i witał. Z jednej strony bał się ptaka i go nie kochał, lecz z drugiej – tęsknił za tym stworzeniem.

Sowo?

Ptak milczał. Może więc nie była to Sowa, a tylko zwyczajna sowa, polująca na kolację?

Nastał chłodny ranek, wiał lekki wiatr. Tam, gdzie niknął blask ognia, wzdłuż płytkiego brzegu Assurnbrookku srebrzyła się cienka powłoka lodu. Ludzie kulili się przy małych ogniskach, kończąc skąpe śniadanie w oczekiwaniu na rozkaz do wymarszu. Tristen podszedł nad skraj wody i wlepił wzrok w amefiński brzeg, przejęty nieokreślonym niepokojem.

–Panie? – zapytał Uwen zza jego pleców. – Cosik nie tak?

Tristen stwierdził z zażenowaniem, że co najmniej raz usłyszał już to pytanie od swego kapitana.

–Powinniśmy zostawić wozy i przeprowić się przez rzekę.

Ledwie to powiedział, cały świat niejako runął, zmienił się jego układ: nie był teraz gorszy lub lepszy, tyle że Tristen... powrócił nareszcie do rozstrzygnięcia kwestii, o których przez całą noc dumał.

–Panie?

Tego ranka Anwyll wydawał rozporządzenia bez jego zgody, przeświadczony, iż to on dowodzi, a obóz zostanie niezwłocznie zwinięty. Oto się zaczynało: paliki padały, rolowano brezent.

–Tam będę lordem Amefel – rzekł Tristen do Uwena. Kiwnął głową ku drugiemu brzegowi. – Dalej już pojedziemy bez wozów. Anwyll może się temu sprzeciwiać, chyba jednak będzie lepiej, jeśli połowa ludzi i woźniców poczeka tutaj, przy brodzie, na mistrza Emuina. Powiedz kapitanowi, jeśli nie zechce ustąpić, że czeka go tylko pakowanie się i moknięcie. Jeżeli się jednak zgodzi, ludziom będzie ciepło, sucho i wygodnie. Tam, gdzie będę lordem, wydam odpowiedni rozkaz.

Uwen wyglądał na wielce zafrasowanego, jakby ważył w myślach wszystkie argumenty za i przeciw. Ostatecznie pokiwał zgodnie głową.

–Ano, panie, lepiej sucho i wygodnie.

Odszedł, by przekazać rozkaz.

Wydanie decyzji sprawiło Tristenowi ulgę. Królewski kurier dotrze dzisiaj do celu i nie ulegało wątpliwości, że rozejdzie się fala pogłosek. Jedni będą głosić niespodziewany przyjazd króla, drudzy – wzmocnienie załogi zamku przed zimową kampanią. A przecież mieszkańcy tej prowincji z taką samą podejrzliwością traktowali Gueleńską Gwardię, z jaką gueleńscy gwardziści traktowali Amefińczyków.

Prawda była tylko jedna. Istniał tylko jeden czyn mogący zaspokoić potrzeby targającej nim magii.

Anwyll podszedł doń zatroskany, za nim dreptał Uwen.

–Wasza Miłość – zaczął kapitan. – Niech Wasza Miłość raczy wziąć pod rozwagę... Mamy wozy i złoto...

–Oraz żołnierzy do ich obrony.

–Mus nam bronić Waszą Miłość. Rozkazy od Jego Królewskiej Mości...

–Po drugiej stronie strumienia to ja dowodzę. Ludzie tylko przemokną i będą przygnębeni. Albo zostaną zmuszeni do opuszczenia wozów, czego nie powinni robić. A może chcesz mnie powstrzymać?

–Mam rozkazy bronić Waszą Miłość.

–Ale żadnych, by mnie powstrzymywać?

–Nie, Wasza Miłość.

–Więc nie ma potrzeby, żeby zwijali płótna. Wozy wraz z całym bagażem mogą poczekać na mistrza Emuina. Weźmiemy z sobą część ludzi (tu jest ich dość do ochrony wozów) oraz najlepsze konie, a także ekwipunek jak w ivanimskim oddziale. Kolumnę z mistrzem Emuinem poprowadzi jeden z sierżantów.

–Rozkaz, Wasza Miłość.

A więc się stało. Anwyll odszedł. Także Uwen – nadspodziewanie żywym krokiem. Ivanimski ekwipunek oznaczał, że każdy kawalerzysta ma prowadzić luzaka, a chociaż nie leżało to w zwyczaju Gueleńczyków, gwardziści walczący nad Lewenbrookiem wiedzieli, o co chodzi. Anwyll nie miał obiekcji względem tej części jego rozkazów i w bardzo krótkim czasie, po niewielkim zamieszaniu w obozie, byli gotowi – wśród pokrzykiwań ułożono na wozach podręczne bagaże i wymieniono konie, tak by wyznaczeni do wyjazdu ludzie zabrali tylko broń i otrzymali najlepsze wierzchowce.

Pociągało to za sobą konieczność pozostawienia Dysa i Cassama pod opieką pachołków: te konie nie nadawały się do galopady. Uwen wybrał Liss i Gię, a Tristen postanowił rozpocząć jazdę na gorącokrwistej Gery, prowadząc luzem Petelly’ego.

–Chorążowie, naprzód! – zakrzyknął Anwyll, wobec czego oni pierwsi wjechali do zimnej, okolonej pokrywą lodu wody. Zaraz za nimi następowali Tristen i Uwen, a wnet dogonił ich także Anwyll. Woda ledwie zakrywała strzemiona, jej rozbryzgi kłuły chłodem. Końskie pyski buchały kłębami pary. Dno zaczęło się podnosić i wyjechali z rzeki na amefińską ziemię.

–Wasza Miłość – rzekł Anwyll, kiedy stanęli na suchym gruncie. – Otóż i jesteś we własnej prowincji.

–A dziś wieczór będę w Henaśamef – odparł.

Anwyll chyba w to powątpiewał.

Od tego momentu czas zaczął biec szybciej. Droga przecięła zarośniętą skaipę, minęła ruiny. Prowadziła do Amefel, jaką zapamiętał, biegnąc wśród falujących łąk i niskich, porośniętych lasem wzgórz.

Po godzinie na drodze upstrzonej zeschniętymi chwastami i rzadko używanej, odkąd nastąpiła jesień, pojawiły się owcze i kozie, a sporadycznie nawet bydłowe odchody, jedne stare, inne świeże. Jeszcze nim minął ranek, ślady owiec zaczęły tu i ówdzie przecinać drogę w kierunku ubitych ścieżek. Pasterze i farmerzy używali wspólnej ziemi, płacąc daninę na rzecz skarbcza w Henaśamef, a takie właśnie ścieżynki prowadziły do wsi pełnych pokojowo nastawionych ludzi, nie zainteresowanych sprawami lordów i królów, chyba że miały one wpływ na wysokość ich podatków lub liczbę synów rekrutowanych do wojska.

Przy okazji zmiana wicekróla mogła odbyć się, wbrew oczekiwaniom lorda Parsynana, bez paradnej ceremonii, chociaż i tak wszystko, co chroniło wieśniaków i pasterzy z tych wzgórz, chwiało się i groziło upadkiem, odkąd po uderzeniu pioruna deszcz wdarł się do świątyni quinaltynów.

–Okrutnieś stroskany, chłopcze – stwierdził Uwen na jednym z krótkich postojów. – Jakież kłopoty?

Tristen stał ze wzrokiem wbitym w dal, z rękoma na boku Gery. Na koniec potrząsnął czupryną.

–Nie, nie jest już tak źle. Ale posłaniec powinien być teraz w mieście.

–Ano, panie, racja. I to cię trapi?

–Możliwe. Wciąż czuję zachwianie równowagi, Uwenie, lecz nie jest już tak wyraźne.

Uwen przewiercał go wzrokiem, jak zwykł czynić, kiedy roztrząsał trudne zagadnienie.

–Chłopcze – zapytał. – Zali to sprawka czarodziejów?

Trzecie trafne pytanie.

–Ja zawsze... – odparł – zawsze mogę się ich spodziewać.

Rozdział czwarty

Sztandary łopotały w rękach ludzi, którzy sami postanowili nieść je na ziemi podległej ich opiece. Smuga dymu w oddali obwieszczała bliskość chyba warsztatu kowalskiego, oznaczała miejsce pracy ludzi, nie zbliżała się bowiem jeszcze pora obiadowa, kiedy rozpala się ogień pod kuchnią.

Tuż po południu dotarli do Maudbrook, gdzie tej nocy zatrzymaliby się na nocleg, gdyby zabrali wozy, a gdzie przypuszczalnie nazajutrz wieczorem Emuin rozbije obóz. Kopyta zadudniły na belkach mostu, który nie nadawał się dla wozów skazanych na przebywanie rzeki w bród ślimaczym tempem.

Mijali rzędy skalistych i poszarpanych wzgórz z pastwiskami dla owiec i lesistymi czubami. Drogę przecinały im kręte, rwące potoki. Chaszcze porastające pobocza nie kryły żadnych niespodzianek – tylko czasem wylatywały z nich przestraszone ptaki, gdzieś tam czaił się lis bądź kulił zając, ukazując skrawek szarego futerka. Sarny odprowadzały ich z daleka spojrzeniem, zaniepokojone pośpiechem jeźdźców, gotowe rzucić się do ucieczki.

Dotarli do następnego mostu z drewna i kamieni, zjedli obok niego zimną kolację, popijając wodą z rzeczki. Tym razem w leżącej na horyzoncie wiosce paliło się więcej wieczornych ogni, świadczących o innych spożywających wieczerzę ludziach.

Według zgodnych opinii strumień ten zwał się Ardenbrook: normalnie rozbiliby tutaj kolejny obóz, mając przed sobą następną noc w podróży i co najmniej jeden dzień marszu bez proszenia o cokolwiek mieszkańców wsi. W ciągu dnia przejechali taki odcinek drogi, jaki z wozami pokonaliby w dwa dni. Ludzie mieli prawo oczekiwać odpoczynku, stawy i ciepła ognisk na noc. Będąc o całe dwa dni drogi bliżej Henaśamef, niż ktokolwiek w grodzie mógłby się spodziewać, nadrobili sporo straconego czasu. Tristen dostrzegał zmęczenie koni i przygasłe spojrzenia ludzi marzących o postoju.

–Jedziemy dalej – zakomenderował raz, a potem powtórnie, głośniejszym głosem, aby usłyszeli wszyscy, nie tylko Anwyll. – Jedziemy dalej! Jeśli w ogóle rozłożymy obóz, to wtedy, gdy w zasięgu wzroku pojawią się mury miasta. Tak nakazuje konieczność.

Obyło się bez sarkania, tylko tu i ówdzie błyskały wylęknione bądź zmęczone spojrzenia. Kapitan Anwyll tym razem nie utyskiwał, potrząsnął jedynie głową, jakby wiedział lepiej i był niezadowolony.

Także wierzchowce kładły po sobie uszy, nadyając się przy dopinaniu popręgów, niechętnie dalszej jeździe. Ów ostatni, ogromny wysiłek musiał ponieść Petelly: parskął, zwieszał łeb i stał na trzech nogach, znużony i źle usposobiony.

Ostatecznie znów wyruszyli na gościniec, choć słońce ginęło na zachodzie. Póki się nie stoczyło poza granice widnokręgu, jechali równym, spokojnym tempem.

W szarówce ukazały się raptem znajome widoki i nastroje ludzi poprawiły się, kiedy sierżant wskazał na kamieniołom, a ktoś powiedział, że rozpoznaje rozszczepione przez piorun drzewo u podnóża pagórka i wie, iż wśród pobliskich wzgórz znajduje się zagroda owiec, natomiast do stolicy został już tylko kawałek drogi.

Tristen nagle wyczuł, że Petelly poznaje okolicę. Koń podniósł uszy i przyśpieszył, rozdymając chrapy z nadzieją na obrok w stajni. Gia i Gery, również mieszkające tego lata w twierdzy, także znacząco przyśpieszyły. Reszta wierzchowców dostosowała się do prędkości szybszych koni i wkrótce cały oddział pędził o wiele, wiele raźniej, niż można by się spodziewać po całodziennej galopadzie.

Tristen zauważył poskręcane drzewo, które oglądał pod koniec lata, a potem u stóp wzniesienia ujrział kamienie milowe.

Powyżej pasma stromych, falistych wzgórz wpadła im w oko wyniosła, mroczna sylwetka starożytnej cytadeli, przykryta szarym niebem i osnuta dymami wieczornych ognisk. U szczytów połyskiwały jasne światełka, sączące się zapewne z pozbawionych okiennic wysokich okien ponad wewnętrznym murem fortecy. Resztę przesłaniały obwarowania, przed którymi błyszczało kilka świateł, a mdły blask bił od latami w stajniach.

Widok utrudniały im nagie gałęzie drzew w sadach rosnących od tej strony grodu. Nadjeżdżali od wschodu, lecz ponieważ Wschodnia Brama była nieużywana, skręcili bardziej na południe, ku tak zwanej Wschodniej Drodze, która blisko murów miasta łączyła się z Południową.

–Ino patrzeć, a bramę będą zamykać – oświadczył Uwen, w czym miał rację. Po chwili dodał: – Wjeżdżasz do grodu, panie, czy obóz tu rozbić zamýślasz?

–Wjeżdżam – odparł Tristen bez zastanowienia. Oto przybyli. Podeszli bliżej, niż planował.

–Wezmę z sobą jeno chorążych, panie, a ty poczekaj z wojskiem, póki bram nie rozewrą. Siądźże sobie przy ogniu, napij się i odpocznij, a potem jako lord wjedź do grodu.

Mieszkańcy Henaśamef byli bardziej ostrożni i czujni od ludności Guelemary. Bramy zwykle zamykano tu już przy pierwszej szarówce. Królewski posłaniec niewątpliwie zdążył przekazać wiadomość o przyjeździe Tristena, niemniej setka żołnierzy, wyłaniając się nagle z mroku, wzbudzała lęk swym widokiem. Kurierzy będą musieli kursować tam i z powrotem między bramą miejską a cytadelą, informując o wszystkim wicekróla, który rozkaże otworzyć bramy. Tymczasem mieszkańców grodu ogarnęła wątpliwość, ich oddział będzie wyczekiwał na koniach, a wierzchowce zaczną się dziwić, dlaczego nie wolno im odejść do niedalekich stajen: jak blisko się one znajdowały, wiedział zwłaszcza Petelly. O wiele rozsądniej byłoby poczekać do świtu w rozbitym obozie.

Tristen palił się jednak, by wjechać do grodu i rozwiąć dręczące go wątpliwości, niezależnie od zdania innych zainteresowanych. Rozmyślał nad polubownym

rozwiązaniem, które mogłyby przeforsować.

–Ty, ja i chorągwie – powiedział do Uwena.

–Wasza Miłość. – Od godziny kapitan Anwyll zachowywał grobowe milczenie, teraz jednak zaprotestował. – W imieniu Jego Królewskiej Mości, stanowczo odradzam. Wyrzeknij się tej myśli. Rozbij tutaj obóz i czekaj. Jego Królewska Mość nigdy nie pozwoliłby Waszej Miłości na samotny wjazd do wślawnego rebeliami miasta.

–Uwen, powtarzam. Nas dwóch i chorążowie.

Uwen rzekł nieśmiałym tonem:

–Uczynię, panie, co zechcesz, atoli kapitan dobrą radę daje.

–Sami poprosimy, by nam otwaito bramę.

–Jeśli wiadomość miłościwego króla żadnych niefortunnych następstw nie ściągnęła, zgoda, mógłbyś samowtór tam jechać. Kto jednak zaręczy, panie, że ciemności i krążące plotki jakowegoś nieszczęścia nie sprawią? Niebezpiecznie po ciemku po mieście się ruszać. Posłuchaj kapitana.

–Ty, ja i chorągwie – obstawał Tristen. – Jeśli nam niezwłocznie otworzą, a bramy zostaną niezamknięte, wówczas, kapitanie, możesz ruszyć za nami. Nie chcę wszczynać zamętu w mieście i wolę, żeby nie zobaczyli nas wszystkich razem.

–Obawiam się, że o tej porze nie da się uniknąć wywołania zamętu – stwierdził Anwyll. – Posłuchaj rady Lewen'ssona, skoro nie zważasz na moje: pozwól, by wjechał sam z chorążymi i nikim więcej. Albo mnie wyślij. Nie tchórzostwo dyktuje nam ostrożność, Wasza Miłość, ale rozważna troska o twe bezpieczeństwo.

–Kiedy zobaczycie światło w otwartej bramie, kapitanie, lub nas, wracających, ruszajcie bezzwłocznie.

–Wasza Miłość...

–Ruszajcie bezzwłocznie, powiadam.

–Wedle rozkazu Waszej Miłości – odparł Anwyll posępnie.

Petelly, zaledwie osadzono go cugłami w miejscu, nabrał przekonania, że bez względu na wynik rozmowy uda się zaraz do stajni. Tristen nie wdawał się w dalsze spory, zeskoczył z konia, założył czepiec i umocował szyszak.

–Weźcie go z sobą, o ile dacie radę – powiedział, powierzając Petelly'ego jednemu z gwardzistów. Odpiął tarczę z pleców i ściągnął z niej czarny przeciwdeszczowy

futerał. Podobnie czarne było lico tarczy, zawierające blade wizerunki gwiazdy i wieży Ynefel: oznaki czarnoksiężstwa, zgorwienie quinaltynow. Brakowało czasu, by cokolwiek zmieniać.

Tymczasem na rozkaz Anwylla setka ludzi przysposabiła po cichu wojenny ekwipunek, przesiadała się na bojowe rumaki i wkładała zbroje, by w stosownej chwili podążyć za swym panem.

Tristen po raz ostatni sprawdził popręgi Gery, podciągnął je ze znanostwem gołą ręką, po czym nałożył prawą pancerną rękawicę, uchwycił tarczę i włożył stopę w strzemię, ciągle badając stan popręgów obciążonych wagą człowieka w zbroi. Gery nie dąsała się przy ich dopinaniu, przyjęła jeźdźca w miarę spokojnie, choć drżała z lekka i strzygła uszami, słysząc brzęk wojennego rynsztunku. Nie wyczyniała głupstw w takiej chwili, jak to czynił Petelly, zdolny ruszyć do przodu bez pozwolenia. Żaden z koni nie zmącił parsknięciem wieczornej ciszy. Sady – których Cefwyn zabronił wycinać, mimo że utrudniałyby obronę grodu w razie wybuchu wojny w prowincji – zasłoniły ich pomimo braku liści, gdy zbliżali się do bram miejskich, mając zawsze za plecami mroczny widnokrąg na wschodzie bądź zachmurzony nieboskłon na południu, tak że ani razu ich sylwetki nie odcięły się na tle jaśniejszego nieba na zachodzie. W odróżnieniu od Guelemary, pozamurami Henaśamef wzniesiono niewiele budynków, głównie stajnie, kilka stodół i zamieszkałe przez pasterzy chatki. O tej porze okolice grodu tonęły już niemal w zupełnych ciemnościach, a w górze migotały gwiazdy.

Rozpostarto chorągwie: najpierw sihijską gwiazdę, mieniającą się bielą w pomroce, po niej zaś wieżę z gwiazdą. Jako trzeci, pośrodku, załopotał orzeł, czarny na najciemniejszej czerwieni, sztandar posępniejszy i bardziej złowieszczy w półmroku od dwóch sihijskich chorągwi. Dysponując jedną wolną ręką – w drugiej trzymał zarówno tarczę, jak i cugle – kierując Gery kolanami, Tristen dopiął już w drodze dwa ostatnie rzemyki.

Wtem dogonili ich trzej jeźdźcy: Aran, jeden z czwórki przybocznych gwardzistów Tristena, oraz trzech żołnierzy.

–Będziemy strzegli twoich tyłów, panie – rzekł Aran, gdy Tristen obrzucił ich niechętnym spojrzeniem. – Za pozwoleniem, panie.

Wzdłuż okopanej rowami drogi po jednej stronie biegły sady, po drugiej, ogrodzone kamiennymi murkami, pastwiska dla owiec. Po pewnym czasie łąki zostały wyparte przez zaorane pola, a Wschodnia Droga połączyła się z Południową. Niebawem zbiegła się z nią Zachodnia Droga i od tego miejsca prowadził już tylko jeden główny trakt.

Stąd do bramy miejskiej wiodł długi, prosty odcinek drogi. Chorągwie powiewały z

furkotem, gdy przecinali obwodnicę, która prowadziła do Południowej Bramy, blisko terenów, gdzie latem Cevulirn rozłożył się obozem, a gdzie teraz rozpościerał się tylko pusty ugór.

Konie ciężko dyszały, tupwały kopytami i buchały parą, zniecierpliwione.

–Hej, tam! Straże! – zawołał Lusin w stronę strzelistej bramy miejskiej prawie przesłoniętej przez chorągiew z wieżą, kiedy podjechali pod mur, przygotowani na pytania strażników. – Nuże, Jego Miłość Amefel czeka! Otwórzcie bramę! Wpuście Jego Lordowską Mość!

–Tak jest! – odpowiedziano słabym głosem. – Tak jest! – Nikt się jednak nie kwapił rozchylić wrota. Lusin zbliżył się do bramy i huknął tarczą o drewno. Szybko przyszła odpowiedź: – Chwilę, chwilę... Spokojnie!

Dzwon powiadamiający zwykle górne miasto o przybyciu gości na razie milczał, ale mógł się lada moment rozdzwonić, na co czekał Tristen. Gery uderzała kopytem i parskła ze zniecierpliwieniem. Wewnątrz rozległ się tupot stóp, wszelako nie przy sztabie furty wyjazdowej; słyszeli jedynie ciężki stukot zadyszanego człowieka, który biegł do góry po schodach wartowni. Ów stukot wznosił się coraz wyżej i wyżej, w górę jednej z dwóch pękających wieńczących bramę wieżyczek.

–Kto tam?! – krzyknięto ze szczytu murów. Potem dodano bardziej pojednawczym tonem: – Proszę o wybaczenie, ale kim jest Jego Miłość Amefel?

–To lord Tristen! – odwrzasnął Uwen. – Z łaski Jego Królewskiej Mości w Guelemarze diuk Amefel, lord strażnik Ynefel i lord marszałek Althalen! Zali nie dotarł do was, człecze, królewski posłaniec? Odpowiadaj!

–Ano, dotarł jakiś poseł od króla, ale nas tu nikt nie powiadamiał!

–My więc to czynimy, człeku! Znieś pochodnię i w imieniu własnego diuka bramę rozewrzyj!

Znów dobiegł ich tupot, tym razem zbiegających nóg.

–Litościwi bogowie! – usłyszał Tristen wyraźne słowa zza bramy. Coś zagrzecotało tuż za zatrzaśniętymi podwojami i ktoś zapytał półgłosem: – Litościwi bogowie, otwieramy?

–Ano, otwieracie! – zagrzemiał Uwen. – Ino migiem! Jego Miłość prosto z Guelessaru jedzie, głodny jest, zdrożony i cierpliwość czas jakiś wykazywać gotów. Gniewem jeszcze nie zapłonął, atoli nie kaźcie mu dłużej stać tu jako żebrakowi. Odtąd jeno Jego Miłość warn mówi, co macie robić, człecze, a czego nie, więc nie marudź dłużej! Wstydzilibyś się! Otwieraj zaraz tę bramę!

–Mus nam wieść zanieść – ktoś rzekł słabym głosem. – Mus nam i koniec. Lećże pędem na wzgórze i zwiedz się, co nam czynić wypada. To on, a z nim ludzie króla. Ale mus nam wieść zanieść.

Tristen przeczuwał kłopoty. Uwen mądrze postąpił, naciskając na strażników: otwórzcie bez zastanowienia, bo narazicie się na gniew waszego nowego lorda. Zacisnął dłoń na uchwycie tarczy i sprawdził cugle, nie wiedząc, co powinien zrobić, aby otwarto bramę.

Nie furtka wypadowa, ale sama brama drgnęła wśród zgrzytów dźwigni i koła mechanizmu zapadkowego. Skrzydło się rozchyliło i Gedd wjechał po chwili konsternacji w coraz szerszą szczelinę, zasłaniając chorągwią z orłem cały widok, wpychając się koniem do środka. Tawwys i Aran ruszyli z dobytymi mieczami, a w tym samym momencie Uwen skierował Gię ku drugiemu skrzydłu, by odemknąć je dla Lusina i Syllana, którzy nieśli czarne sztandary. Tristen pchnął Gery w sam środek, wiodąc za sobą pozostałych ludzi.

Chorążowie nie mieli ani tarcz, ani mieczy, lecz strażnicy cofnęli się przestraszeni.

–Wasza Lordowska Mość – rzekł jeden z nich, patrząc nań uważnie, gdy osadził w miejscu niespokojną Gery.

–Wasza Miłość – powiedział drugi, po czym obaj padli na kolana. Bitwa się skończyła. Wrota otwarto na roścież, a blask wylewający się na zewnątrz bramy dawał wystarczający sygnał przyczajonym poza sadami żołnierzom pod dowództwem Anwylla.

Twarz gwardzisty, który mu się przyglądał uważnym wzrokiem, była mu znajoma.

–Ness, jeśli się nie mylę? – zapytał.

Obaj mężczyźni podnieśli wzrok, zdumieni.

–Tak, Wasza Lordowska Mość – odparł Ness. Wybałuszył oczy i rozdziawił gębę. Tristen poznał Nessa latem. Był dobrym, poczciwym człowiekiem.

–Wstańcie. Jeden i drugi. I odpowiadajcie. Czy miasto pragnie mnie tu przyjąć, czy też nie?

–Wasza Lordowska Mość. – Podnieśli się niezdarnie na nogi z ubłoconymi kolanami, pochylając głowy. – Wasza Miłość. – Obaj wyglądali na jednakowo przerażonych.

–Earl Edwyll zajął cytadelę – wyrzucił z siebie Ness jednym tchem. – Wicekról dowodzi garnizonem. Earl Edwyll bramy pilnować nam kazał, Wasza Lordowska

Mość, na wypadek przybycia królewskich ludzi, i oto jesteśmy.

–W śmiertelnych tarapatach – wtrącił drugi. – Chyba żeby Wasza Miłość raczył o nas pamiętać.

–Edwyll pilnuje bram Zeide?

–Południowej Bramy. Lord wicekról trzyma w rękę stajnie i tamtejszą znów bramę. Atoli na wzgórzu wszystkie bramy zamknięte, Wasza Miłość. Człowieka na górę żeśmy posłali do tego, któren tam teraz dowodzi, posłuszni rozkazom earla, co to brzmiały: bramy miejskiej nie odmykać, jeśli kto o wjazd poprosi, na ludzi króla nie zważać.

–A nam skąd wiedzieć, gdzie słuszność? – wtrącił drugi strażnik. – Przecie nigdyśmy earlowi nie służyli, a tu się raptem ty zjawiasz, panie, z chorągwiami, więc żeśmy, dwa razy nie myśląc, sztabę czym spieszniej zsunęli. W grodzie nikt nie śpi, lubo wszyscy po domach siedzą, skąd się ruszyć boją, chyba że po wodę czy takie tam podobne. Wiedzą, jakie to na wzgórzu rozpętało się piekło. Szły jeno słuchy, że w trzy dni przybędziesz, panie. A na Południowym Dziedzińcu wodę ino z miasta biorą. Lord Cuthan nikomu nie myślał pomagać. Powiada, że earl Edwyll żadnym aethelingiem nie jest. A wicekról nie prosił go, by Gueleńczykom niósł pomoc.

–Zamilcz – rzekł Ness. – Sprawy lordów nie są naszymi sprawami i nie masz już aethelingów.

–Dobrze, żeśmy wyjechali naprzód – mruknął Uwen.

Rzeczywiście, dobrze się stało, pomyślał Tristen. Bramy miejskie zostały zdobyte, a pilnujący ich strażnicy poddali się bez zwłoki. Wyglądało na to, że żaden dźwięk nie zaalarmował miasta. Zbuntowanemu earlowi nie okazano powszechnej sympatii, jeśli nie liczyć wysłania na wzgórze jednego wartownika z meldunkiem, o czym przypominała trzecia pika w kącie. Tristen wciąż był w stanie go doścignąć, gdyby zaryzykował hałaśliwą pogoń brukowanymi ulicami, lecz naraziłby tym samym swoich ludzi na śmierć bądź schwytanie, mógłby także wywołać ogólny zamęt, którego należało unikać.

Tymczasem obaj strażnicy mieli zakłopotane miny, co nie dziwiło u ludzi, którzy samowolnie otworzyli bramy grodu, by niebawem usłyszeć głuchy tętent setki jeźdźców nadciągających gościńcem. Trzy widmowe sztandary, półprzeźroczyste w bijącym z wnętrza wartowni blasku, znalazły się tu jednak z woli króla, podczas gdy amefiński earl najwyraźniej wzniecił bunt przeciwko Cefwynowi, więzząc na wzgórzu załogę twierdzy i deklarując się panem tego miejsca.

Earl Edwyll znalazł się w północnej części fortecy, którą okalał ślepy mur, a do niewielkiego ogrodu, oddzielonego od reszty wysokim murem bez żadnej furtki,

wejść można było wyłącznie przez wewnętrzny korytarz. Każda z pozostałych części, południowa, wschodnia i zachodnia, miała odrębny dziedziniec, odgraniczony od sąsiedniego murem. Na wzgórzu istotnie brakowało wody, jeśli nie liczyć studzienki na Zachodnim Dziedzińcu. Ludzie wicekróla, opanowawszy ten teren, mieli dostęp do wody pitnej... oraz koni, ziarna na obrok tudzież zapasów ze spiżarni.

–Załoga zamku ma też wino i piwo – rzekł do Uwena – skoro opanowała kuchenne magazyny. Dolna sala, leżąca pomiędzy nimi dwoma, służy za pole bitwy.

–Bogowie, ratujcie! – Uwen znał rozmieszczenie dziedzińców i równie dobrze jak on wiedział o istnieniu studni. Z jednej strony była to absurdalna sytuacja, wojna toczona przez dziedziniec przystajenny z ambitnym i bezmyślnym earlem, który wszczął nie w porę rebelię. Z drugiej strony życiu mieszczan, nie mających ochoty na uczestniczenie w tych zamieszkach, groziło poważne niebezpieczeństwo.

–Ejże, rozchylcież szerzej te skrzydła – zwrócił się Uwen do strażników, dając równocześnie sygnał Geddowi i chorążym. – Brama będzie stała otworem. W górę sztandary, z życiem! Straże! Dajcie tu jakieś światło, prędeży!

Wartownicy pośpieszyli wykonać rozkaz, spoglądając przez ramię trwożnym wzrokiem, gdyż od murów grodu odbijał się echem odległy tętent pędzącej konnicy. An wyli wraz z oddziałem cwałował na złamanie karku, nie wiedząc, jak im poszło. Kiedy jednak Ness przyniósł latarnię, oblewając jej blaskiem ściany i chorągwie, jeźdźcy wstrzymali szaloną szarżę i rozproszyli się wzdłuż obwodnicy. W ciemności dochodziły hałasy zadyszanych, rozgorączkowanych rumaków, zmuszonych do gwałtownego hamowania. Nad grzbietami wśród mroku pobłyskiwały lśniąca zbroje i oręża. W mdłej poświacie bijącej od bramy najjaśniej mieniły się barwy Marhanenów na kamizeli Anwylla.

–Wasza Miłość! – zawołał kapitan.

–Kapitanie! – odkrzyknął Tristen. – Jeden oddział ruszy ze mną na górę do Stajennej Bramy, jeden pojedzie pod Wschodnią Bramę Zeide przez Wełniany Rynek, jeden ulicą Dzwonkową pod Południową Bramę, ostatni pozostanie tutaj, żeby pilnować tej bramy. Ale nie wolno krzywdzić strażników! To uczciwi ludzie. Kapitanie, obejmiesz dowództwo pod Południową Bramą, ale bądź gotów wejść, gdy otworzę wrota.

–Tak, Wasza Miłość. – Tym razem nie protestował, znał miasto od podszewki. Przywołał sierżanta. – Cossell! Trzy szwadrony. Wschodnia Brama! Brys, trzy szwadrony, za Jego Miłością!

–Sztandary! – krzyknął Uwen, wprowadzając ład w szykach swoich podwładnych.

Tristen nie zastanawiał się dłużej, pchnął Gery stromą ulicą, przy czym chorążowie

już wyskakiwali na czoło. Człowiek, któremu przekazał pod opiekę Petelly'ego, jechał wraz z nim w oddziale. Petelly czynił nieco zamętu wśród bojowych rumaków, usiłował wysforować się do przodu... Nie miał pojęcia o ludziach króla czy desperackiej próbie wywołania rebelii. Był amefińskim koniem i wiedział, że na szczycie wzgórza czeka nań ziarno w stajni.

Gnali ulicą z tętentem podkutych kopyt, odbijającym się echem od ścian domów oraz niskich i wysokich murów miasta. Pozamykane roztropnie okiennice skrzypiały, a nawet tu i ówdzie uchylały się ostrożnie.

Raptem, po cichu, pierwsi śmiałkowie zaczęli otwierać drzwi, by lepiej widzieć – jeśli nie wyteżali oczu z górnych okien, wychodzili na schodki.

–Lord Sihhe! – wrzasnął ktoś w ciemnej uliczce. Już kiedyś mieszczanie wołali na Tristena tym imieniem, które w Guelemarze budziło odrazę quinaltynow. – Lord Sihhe! – Z trzaskiem otwierało się więcej drzwi i okien. Na ulicę zaczęły wypływać mętne światełka trzymany kurczowo lampek. Na chorągwiach zaśniła biała sihijska gwiazda. – Lord Sihhe! – skandowano gromko, wybiegając na ulice. Niektórzy nieomal wpadali pod kopyta wierzchowców. Odmykano następne drzwi, kilku kamieniczników osłaniało przed wiatrem większe latarnie. Z Przybramnej Karczmy wysypał się tłumek podpitych bywalców i parobków w fartuchach.

–Lord Sihhe! – huczało od krzyków. – Lord Sihhe! – wiwatowali ludzie, podobnie jak wtedy, gdy powracał znad Lewenbrooku. – Lord Sihhe! – rozchodziło się echem wśród murów, a w pogrążonych w mroku bocznych zaułkach narastał ruch i błyskały światła. I oto obok sihijskiej gwiazdy ukazał swe oblicze czarny orzeł. – Lord Sihhe! – wołali ludzie.

Witali go z radością i świadomość tego zmaćła jego wojenne wyobrażenia oraz przełamała nieoczekiwanie mur, jaki przed dwoma miesiącami wzniósł wokół serca, które teraz biło mocniej i wyraźniej, niż zmusiłby je do tego strach czy bitewny zapal. Nie miał już wątpliwości: przybył tu, gdzie było jego miejsce, gdzie go potrzebowano. Wiedział, co należy zrobić: zabezpieczyć każdą ulicę, jaką wróg mógłby zjechać ze wzgórza, i postawić przy bramach posterunki, żeby nowi wrogowie nie uderzyli na nich od tyłu. Znał również wartość owych ludzi, którzy wybiegli na ulice... Skorzystaj z ich pomocy, zdobądź ich przychylność, obdarz ich tym, co mają nadzieję otrzymać. Musiał wszakże zapobiec wszelkim nadużyciom i wykroczeniom.

Dlatego powinien czym prędzej wjechać ze sztandarami na wzgórze, by w cytadeli stało się wiadome, z kim mają do czynienia. Poza tym nie wolno mu było bezgranicznie polegać na wicekrólu, któremu śpieszył z odsieczą.

Nie tylko dlatego, że królewskie wojsko mogło już zostać pokonane, ale że zachodziła obawa, iż to królewscy Gueleńczycy są powodem ogólnego

niezadowolenia w mieście. Posłał swoich żołnierzy, by niczym cienie pomknęli ulicami grodu, zagrzewani okrzykami ludzi, którzy nigdy nie kochali Marhanenów. „Lord Sihhe! Lord Sihhe! Lord Sihhe!” – wołali, dowodząc swoich rzeczywistych sympatii. Z jaką łatwością dałoby się rozpętać nienawiść do gueleńskich panów, trudną później do pohamowania.

Światła mrugały w mijanych zaułkach, płonęły wzdłuż szeregów domostw i sklepików. Na skrzyżowaniu ulic dostrzegł drugi ze smoczyc szwadronów, pędzący równolegle z nimi pod górę. Pospolici mieszczenie chwytali za kije i laski i szli mu na pomoc coraz większą chmarą, aż dotarli pod same bramy cytadeli, bez ustanku wykrzykując: „Lord Sihhe! Lord Sihhe!”

Zachodnia Brama była zamknięta na głucho. Tworzyły ją trzy kraty: wewnętrzna i zewnętrzna zsuwały się na boki, środkowa opadała z góry. Na dziedzińcu zebrał się pieszy oddział gueleńskich gwardzistów. Ich czerwone kamizele lśniły w blasku latarni – identyczne przywdziewali otaczający teraz Tristena żołnierze. Na kratę ruszył tłum nadgorliwych mieszczan z kijami i kuchennymi nożami.

–Uwaga, uwaga! – krzyknął Uwen. – Droga dla Jego Miłości!

–Droga dla lorda Sihhe! – podchwycili ludzie i ustąpili do tyłu, szturchając się nawzajem i przepychając.

Z wysokości końskiego grzbietu Tristen dostrzegał ponad głowami tłuszczy zwarte szyki żołnierzy wicekróla. Umocnili się na stanowiskach, ale ich sytuacja nie była do pozazdroszczenia, jakkolwiek opanowali składy i źródło wody pitnej.

–Hej tam, strażę! – zawołał Uwen poprzez kraty. Konie przebierały nogami i tupwały przed bramą po bruku. Oni też byli Gueleńczykami, otaczał ich krąg rozwścieczonego motłochu. – Stoi tu Jego Miłość Tristen, diuk Amefel z nadania Jego Królewskiej Mości Cefwyna, łaską bogów władcy Ylesuinu! Hejże tam, załogo! W imieniu diuka i Jego Królewskiej Mości! Gdzie Jego Łaskawość wicekról?!

Po drugiej stronie oficer podjechał do kraty. Nierozważnie polecił człowiekowi w wartowni otworzyć wewnętrzną kratę i unieść środkową. Przy pierwszym zgrzycie dźwigni tłum znów naparł do przodu, powstrzymywany jedynie pojedynczą, zsuwaną na bok kratą. Pręty były mocne, lecz w każdej chwili mogły pęknąć pod naporem ludzi.

–Cofnąć się! – krzyknął Tristen. Zatoczył wierzchowcem półkole i wytyczył linię, poza którą tłum się przepychał, by zrobić mu miejsce.

–W imieniu Jego Królewskiej Mości! – odkrzyknął oficer. – Za pozwoleniem Waszej Miłości, wicekról powiadamia Waszą Miłość, że nieoficjalnie otrzymał wiadomość przyniesioną przez posłańca Jego Królewskiej Mości. Ale earl aresztował kuriera!

–Jesteś zwolniony! – Uwen starał się przekrzyczeć hałas. – Jego Królewska Mość powołał nowego diuka Amefel, mianowicie Tristena z Ynefel i Althalen, który pragnie się dowiedzieć, gdzie jest lord wicekról.

–Jego Lordowska Mość nie rozmawia z hołotą!

–Z diukiem Amefel, powtarzam, świadczącym się królewską pieczęcią! Otwieraj tę przeklętą bramę, człeku!

–Jego Lordowska Mość nie zejdzie na dół, dopóki nie ujrzy królewskiej pieczęci!

–Miłościwi bogowie! – Uwen odwrócił się do Tristena. Poleciał kij i odbił się od prętów. Ludzie żądali otwarcia bramy, napierali z coraz większą werwą. Uwen okręcił Gię dookoła. – Spokój tam! Baczyć na konie! – Odwrócił się i końskim bokiem zmusił tłum do cofnięcia się, gdy nagła fala zepchnęła na bok gwardzistów. – Do tyłu! Do tyłu, głupcy!

Uwenowi groziło wielkie niebezpieczeństwo. Całemu oddziałowi zagrażały te same siły, które przysły im z pomocą: ostatnie szeregi cisnęły się do przodu w przeświadczeniu, że otwarto bramę. Tristen podjechał do Uwena – ludzie wciąż przed nim ustępowali, by zrobić mu miejsce, naciskali ze wszystkich sił na usiłującą ich zalać falę, wołając: „Toż to sam lord Sihhe! Odsuńcie się! Odsuńcie!”

–Posłuchajcie mnie! – zawołał Tristen ponad wrzawą. – Posłuchajcie mnie! – Ruszył dalej w tłum. – Ty! – wskazał na rosnącego, silnego mężczyznę. – Pędź pod Południową Bramę! Każ earlowi wypuścić królewskiego posłańca i przekazać mi dowództwo nad cytadelą!

Wskazany człowiek odwrócił się i zaczął przepychać do tyłu, rozgarniając ciżbę, zabierając z sobą drugich, aż ludzki strumień potoczył się wstecz ku południowym bramom.

–Słuchajcie! – krzyczał wciąż Tristen. – Słuchajcie mnie!

Raptem zapanowała osobliwa cisza... Stłumione pomruki rozprzestrzeniały się do tyłu wśród tłumów, aż wreszcie, tylko przez ułamek chwili, słowa jego mogły dotrzeć nawet do budynków okalających placyk przed bramą.

–Król nadał mi Amefel! – krzyknął tak, by wszyscy usłyszeli. – Jednocześnie odwołał wicekróla! – Na wieść o tym rozległy się huczne wiwaty. – Posłuchajcie! – znów krzyknął i poczekał, aż zapadnie względna cisza. – Chcę wjechać dzisiaj do fortecy, ale tak, by nikomu nie stała się krzywda! Chcę tylko zasnąć spokojnie w moim łóżku, które jest tam! – Wskazał na mury zamku i milczał, póki nie ucichł zgiełk. – Lord wicekról zabierze dobytek swój i swoich ludzi, po czym o świcie odjedzie stąd bez przeszkód! Zaraz po wschodzie słońca zacznę porządkować sprawy Henaśamef i

Amefel. Nie czyńcie krzywdy nikomu, a obiecuję, że żadna krzywda nie spotka was! – Ujrzał swoją szansę, jedyną sposobność, by zapewnić bezpieczeństwo żołnierzom. Dał ręką znak kapitanowi Gueleńskiej Gwardii. – Otwórz bramę, kapitanie! Natychmiast!

Ludzie wzniesli jeszcze huczniejsze wiwaty, potrząsali w powietrzu kijami i unosili latarnie, z których kilka zgasło na zimnym wietrze. Tristen nie miał pewności, czy ludzie króla będą posłuszni jego słowom. Skoro rzeczywiście dysponował mocą narzucania swej woli, zapragnął, by kilku rozsądnych żołnierzy na dziedzińcu otworzyło szybko bramę, zanim jakaś nowa pogłoska obiegnie tłum lub przypadkowy napór ciał z tyłu przełamie opór tych, które próbowały ochronić jego oddział. Gdyby kordon nie wytrzymał, wszyscy, ludzie i konie, mogliby zostać zepchnięci na pręty i zmiżdżeni.

W tej krytycznej chwili ludzie wicekróla zaczęli rozpaczliwie i z ogłuszającym zgrzytem odciągać potężne łańcuchy ostatniej zapory, jaka oddzielała ich od tłumu.

–Stójcie! – Tristen przekrzyczał wrzask gawiedzi, powstrzymując zapaleńców zamaszystym gestem ręki, gdy okręcał Gery uściskiem kolana. Brama się odsunęła, lecz nikt nie wybiegał z ciżby. Ludzie tylko wiwatowali. Pierwszy szereg przestał się nawet wyginać pod naciskiem tłumu, wielu wspięło się bowiem na kamienne występy pobliskich budynków, by przekazywać nowiny czekającym poniżej kolegom.

Owacjom nie było końca, nawet kiedy wicekról we własnej osobie, lord Parsynan, wyszedł za bramę i próbował coś powiedzieć. Niektórzy rzucali niecenzuralne epitety i obrażali załogę garnizonu. Ktoś cisnął kamieniem, ale nie trafił. Uwen wraz ze Smoczą Gwardią trzymał się dzielnie i nikogo nie przepuszczał. Ludzie zablokowali dojścia do bramy, a niesione przez nich światła splywały jak okiem sięgnąć w dół wzgórza. Tristen przyglądał się temu z siodła, gdy wicekról na próżno usiłował wznosić skargi na amefińską rebelię: trudno było zrozumieć choć jedno jego słowo. Ludzie znajdowali się w pobliskich oknach, na balkonach, wspinali się dotąd, dopóki mogli znaleźć oparcie dla stóp, a wszyscy krzyczeli wielkim głosem: „Lord Sihhel Lord Sihhe!”

–Wasza Miłość! – Lord Parsynan był bezpośrednim, upartym człowiekiem, dbającym o swoją godność, niemniej powodowany rozpaczą przeszedł szybko do: – Wasza Miłość! Załoga królewskiego garnizonu wita nowego dowódcę, którym podobno zostałeś z woli Jego Królewskiej Mości! – Tristen był pewien, że w normalnych okolicznościach odsunięcie wicekróla od piastowanego urzędu wiązałoby się z dużo większymi komplikacjami, ale w obecnej sytuacji lord postępował najrozsądniej i w zgodzie z usilnymi pragnieniami Tristena. To nikczemne, jak mu raz wytknął Emuin, lecz on nie miał pojęcia, czy swoją wolą choć w znikomym stopniu pokierował tym człowiekiem, aczkolwiek jego życzenia brzmiały: „Ustąp przede mną” oraz: „Nie próbuj walczyć”.

–Mamy z sobą papiery, panie! – rzekł Uwen, podjeżdżając bliżej, póki Gia nie stanęła bok w bok z Gery. – Jeśli wola, jest tu z nami archiwista, co wszystko odczytać może!

Rozdział piąty

W skromnym bagażu, zabranym z obozu nad Assurnbrookiem, znalazła się również proklamacja, a razem z nią list od Cefwyna do wicekróla – nad podobnymi dokumentami czuwał rozczochrany archiwista, który przyjechał razem z ich oddziałem.

Wznoszono jednak zbyt głośnie okrzyki, by ktoś mógł cokolwiek zrozumieć z owej proklamacji. Ludzie cisnęli się bliżej, spychali konie ku bramom fortecy. Chwilowo, pomiędzy jeźdźcami usiłującymi zachować porządek w rozświetlonej latarniami i wzburzonej ciemności, Tristen nie dostrzegał archiwisty. Przełęczony, zażyczył sobie znaleźć się wewnątrz twierdzy i powstrzymać atakujące wicekróla amefińskie wojska... Życzenie takie wymyślił ze strachu o swoich ludzi, a także o mieszkańców Amefel, którzy mieli względem niego jak najlepsze intencje.

Wbrew ostrzeżeniom Emuina, z rozmysłem skupił na tej koncepcji olbrzymią siłę. Emuin zwał to magią. Cisza, zażyczył sobie. Oraz: Słuchajcie mnie. Uwierzcie.

W tejże chwili, w kuriozalny i trudny do uchwycenia sposób, narzucający wrażenie szarej przestrzeni, poczuł opór. Coś lub ktoś zmagало się z jego determinacją.

To go całkowicie zaskoczyło. Owo subtelne coś wystąpiło przeciwko niemu i rychło stracił poczucie ruszającej się pod nim Gery. Zakołysał się w siodle – nie ze słabości, lecz – cóż za absurd! – z powodu niespodziewanego ruchu wierzchowca.

Przepadnij! – wypowiedział w myślach życzenie, wkładając w nie całą siłę woli.

Przeciwnik natychmiast dał za wygraną – Tristen nie zauważył go w szarym miejscu ani nigdzie indziej: chyba rzucił się do ucieczki.

Przed tłum wystąpił amefiński szlachcic... Tristen nie znał jego imienia, niemniej człowiek, którego wyróżniały drogie szaty i ciężkie futro, ruszył do przodu i pochwycił za strzemień Gery, nieświadom starcia.

–Panie! – krzyknął. Zanim Tristen zdążył się przestraszyć, ujrzał kolejnych mężczyzn, a wszyscy przed nim przyklękali, choć on nie zsiadał z konia. – Jestem Drunman z Baraddanu – rzekł pierwszy. – Wierny poddany.

–Azant z Dor Elen – powiedział człowiek ze szramą na twarzy. Uwen tymczasem zbliżył się z mieczem w ręku, a jeden z gwardzistów usiłował odsunąć intruzów, lecz wszyscy jak jeden mąż padli na kolana, po czym zaczęli jednocześnie oznajmiać

swoje imiona i rangi, zapewniać o niezłomnej lojalności wobec Korony.

–Żaden z nas nie spiskował z Edwyłlem – zażegnywał się jeden. – Byliśmy temu przeciwni.

Znał ich jeśli już nie z imienia, to z wyglądu; widywał niegdyś na sali owych lordów Amefel, earłów i thane'ow. Za nimi postąpili do przodu rajcowie miasta Henaśamef.

Tłum darł się wniebogłosy i chwiał w szeregach.

–Jesteśmy lojalnymi poddanymi! – zadeklarowali earlowie, wszyscy bez wyjątku, podczas gdy stąd i zowąd dolatywały pojedyncze buczenia, a także zapytania, zwłaszcza pod adresem jednego z rzekomo lojalnych rajców.

–Lepiej opowiedz Jego Miłości o srebrze!

–Jestem niewinny! – wrzasnął oskarżany, wodząc wokoło przeu 'onym spojrzeniem.

Kłamie, pomyślał Tristen, lecz niewiele dlań to znaczyło, póki nie przejechał przez bramę, by wykonać polecenie Cefwyna. Natenczas głos podniósł Uwen:

–Jego Królewska Mość mianował Jego Miłość diukiem Amcfel, któren przybył tu, ażeby sprawiedliwość wymierzać i ludzi pocziwych bronić! Archiwista stosowny dekret z sobą wiezie! Czyliż ma go odczytać?

–Niech czyta! – ktoś krzyknął. – Niech czyta! – wrzasnął tłum jak echo. – Niech czyta! Niech czyta! Niech czyta!

–A więc cisza! – zawołał Uwen. Towarzyszący im archiwista mocował się z cugłami i nieporęcznie rozwijał zwój ciężkiego pergaminu, podczas gdy na tyłach tłumu wciąż wołano o ciszę.

Archiwista odchrząknął i poprosił o światło, więc ktoś podał gwardziście pochodnię, a ten podniósł ją wysoko.

–Czytaj! – zarządził Uwen, albowiem cierpliwość tłuszczy już się wyczerpywała.

–Z łaski bogów i świątobliwych quinaltynow... – zaczął archiwista spieszenie. – Ja, król Cefwyn, nadaję... – Pismo składało się z wyszukanych, dworskich formułek i Tristen obawiał się, że tylko nieliczni z tłumu je rozumieją. Kiedyjednak archiwista doszedł do miejsca, gdzie była mowa o diuku Amefel, wzniesiono wiwaty. Od tej pory, ilekroć pojawiała się o nim wzmianka, mieszczanie wydawali radosne okrzyki. Pod koniec odczytu, w części wyliczającej dokumenty, księgi, osoby oraz własności prowincji, jakie wicekról musiał zdać na rzecz Jego Miłości diuka Amefel, na przyległych ulicach wybuchło istne pandemonium.

–Cofnąć się, hej, cofnąć mi się tam! – krzyczał Uwen, jeżdżąc wzdłuż wytyczonej przez siebie linii, którą ludzie respektowali, cofając się, ile mogli. Poszły za nim chorągwie, widoczne z daleka, oświetlane blaskiem pochodni i latarń. – Gwardia! – rozkazał. – Za mną do szeregu! Równaj linię! – Zebrał wokół siebie pewną liczbę gwardzistów, przesuając się wolno przed tłumem, spychając go końmi. Poruszał się niczym czółenko tkacza, dopóki nie odgrodził bramy od motłochu, który wciąż wiwatował i machał rękoma na widok chorągwi. – Panie. – Zamaszystym gestem wskazał drogę do środka wszystkim obecnym: wicekrólowi, earlom, thane’om i rajcom. Dobra robota, przyznał Tristen w duchu, dumny z Uwena, po czym z tym samym wyważonym pośpiechem ruszył pod sklepioną bramę, minął opuszczaną kratę i wjechał na dziedziniec Zeide.

–W szeregu za mną! – usłyszał za sobą komendę Uwena, a zaraz po niej ciąg dalszych rozkazów. Kapitan wprowadzał na dziedziniec resztę gwardzistów, aż tylko pięciu pozostało na zewnątrz, powstrzymując ludzi. Wówczas wykrzyknął: – Zamknąć zewnętrzną bramę! – Potem zarządził opuszczenie środkowej kraty, gdy ostatnia piątka wartko wjeżdżała do środka, a ludzie w wartowni obracali bęben wciągarki. Tym samym odgrodzono mieszczan od arystokratów. I oto panowali, razem z wicekrólem, na przystajennym krzywym dziedzińcu Zeide: na lewo były stajnie, spichrze i kilka zagród, a także podwórzec od strony kuchni i szerszy plac, skąd schody prowadziły na oświetlone półpiętrze i ku zachodnim drzwiom Zeide, obecnie zatarasowanym i wspartym belkami. Podobnie zabarykadowano drzwi od kuchni.

Na prawo, w murze osłonowym, widniała szeroka brama z jednym łamanym skrzydłem, która oddzielała ich od Południowego Dziedzińca, gdzie podobno przebywali rebelianci.

–Przeszukać stajnie! – zakomenderował Tristen.

–Tak, panie! – odparł Uwen i przekazał dalej rozkazy.

–Stajnie są nasze, Wasza Miłość – ozwał się wicekról przy jego kolanie... Tristen nie spojrzał w dół, lecz rozpoznał mówiącego po głosie.

–To nie ma nic do rzeczy. – Nie ufał niczemu, co nie zostało obejrzone przez Uwena. Omiatał spojrzeniem wszystkie zakamarki dziedzińca. – Czy earl oprócz Południowego Dziedzińca zdobył też kuchnię i dolną salę? – Za mało mieli ludzi, by powstrzymać ataki ze wszystkich punktów cytadeli.

–Wątpliwe, panie, ale my mamy wodę, zboże, konie i bramę. Także magazyny kuchenne.

–To bardzo dobrze. – Zeskoczył z konia i przekazał cugle stojącemu opodal gwardziście. Wszyscy earlowie i thane’owie przypadli doń natychmiast, aby,

dopuszczeni do konfidencji, mogli narzucać swoje poglądy. – Zabezpieczcie kuchnię od środka – rozkazał sierżantowi gwardii. – Przygotujcie się do wejścia na sale. Tylko nie krzywdzić służby!

–Tak, Wasza Miłość c.

–Już zabarykadowaliśmy kuchnię – zaprotestował lord Parsynan. – Jeśli Wasza Miłość zechce zaczekać do rana...

–Moi ludzie są już pod Południową Bramą – powiedział. – I pod Wschodnią.

–Ilu ich jest?

–Pięćdziesięciu.

–Pod każdą bramą?

–Nie, łącznie.

–Nie zdołają zdobyć bram.

–Wobec tego musimy zdobyć tę tutaj. – Spojrzał wymownie w stronę Południowego Dziedzińca.

–Wzmocnili ją z drugiej strony. Wasza Miłość, nie wolno ufać mieszczanom. Nie możesz toczyć tu bitwy.

–Obędzie się bez bitwy – odparł. Nie zamierzał proponować aż tak drastycznego rozwiązania. – Otworzymy bramy, panie.

–Ależ ci ludzie poderzną nam gardła!

–To łgarstwo! – zawołał earl Drumman. – Trzymamy stronę Jego Miłości. Otwórzmy bramy! Wprowadźmy Amefińczyków!

–Nonsens! – upierał się wicekról, machając ręką z dezaprobatą. – To jakby wpuścić zgraję bandytów!

–Otworzymy tę bramę dzięki pomocy ludzi, jakich mamy do dyspozycji – oświadczył Tristen, kiwając głową w kierunku muru osłonowego, który oddzielał ich od żołnierzy earla Edwylla. – A potem otworzymy Południową Bramę. – Miał na myśli tę wychodzącą na miasto z placu obsadzonego przez ludzi earla. – Wówczas mogą wejść Amefińczycy.

–Wasza Miłość! – oburzył się wicekról.

–Wasza Miłość! – zaczęli krzyczeć earlowie jeden przez drugiego, lecz w chwili obecnej nie interesował go spór między nimi a wicekrólem. Kuchnia nie była zabezpieczona. Wysłany przezeń sierżant zamierzał zabrać ludzi do wnętrza fortecy, podążył więc w tym kierunku, wykrzykując dalsze rozkazy: – Czterech do pilnowania schodów kuchennych!

–Tak, Wasza Miłość! – odkrzyknął sierżant, po czym żołnierze rażno wbiegli do środka.

–Stajnie nasze, panie – zameldował Uwen. Przytruchtał pieszo, bez tchu.

–Pomywalnia jest otwarta – rzekł Tristen. – Wejdziemy tymi schodami do środka. – Wyobrażał sobie wspinaczkę dobrze znanymi kuchennymi schodami i szukanie earla we wnętrzu Zeide, ale myśli mąciło mu wspomnienie niedawno odczuwanego oporu.

Nie wiedział też, skąd się bierze jego niepokój o zachodnie wejście do budynku. Choć tamtędy mógł przypuścić bezpośredni atak na skrzydło nieprzyjaciela, wołał obrać inną drogę.

–Przynieście topory – rozkazał i skinął głową w stronę muru osłonowego, który zasłaniał widok na Południowy Dziedziniec. – Otworzymy tę bramę. A potem porozmawiamy z earlem.

–Nie możesz rozmawiać z earlem! – wtrącił lord Parsynan. – Błagam Waszą Miłość, ufaj wyłącznie swoim gueleńskim gwardzistom i nie otwieraj Południowej i Wschodniej Bramy nawet po to, żeby wpuścić własnych żołnierzy. Dwudziestu pięciu ludzi w odwodzie to nedorzecznosc! Nie uda im się powstrzymać motłochu. Całe miasto wleje się za nimi i złupi doszczętnie zamek. Wysłuchaj mnie, Wasza Miłość! Skoro mamy przystąpić do działań, zajmij górne piętra, wysokie okna. Przeprowadzisz atak z bezpiecznej pozycji! Zasypiesz ich z góry gradem strzał!

–To by oznaczało wielu zabitych i zniszczenie okien.

–Zniszczenie okien, masz ci los!

–Wasza Lordowska Mość wybaczy, ale nie zniszczę okien. Co to, to nie.

–Wasza Miłość, racz mnie wysłuchać!

–Południowy Dziedziniec kryje w sobie wiele zakątków, których nie widać z okien, gdzie nie doleci strzała. Gdybyśmy mieli dość żołnierzy, można by zdobyć sale fortecy, ale tak nie jest... Uwienie, krzyknij do ludzi earla, żeby otworzyli bramę i złożyli mi przysięgę wierności. Powinni dostać szansę, zanim się tam wędzemy siłą.

–To zdrajcy! – nalegał Parsynan. – Dla takich nie ma litości!

–Uwene – powiedział. Kapitan odszedł w pośpiechu, by wypełnić rozkaz.

–Ten czł wiek podniósł rękę na królewskiego herolda! – wykrzyknął Parsynan. – Nie, Wasza Miłość! Edwyll dobrze wie, że zasługuje wyłącznie na karę śmierci. To samo wiedzą wszyscy jego ludzie! Nie możesz, Wasza Miłość, okazać im pobłażania.

–Nie są z gruntu nikczemni – odparł, przeszywając Parsynana spojrzeniem. Usłyszał Uwena pokrzykującego coś pod bramą. Wiedział w głębi duszy, że wicekrólowi przysługują przywileje prawa, z jakimi mógł się ostatnio zaznajomić w Guelessarze... Niemniej odkąd to starcy w Amefel zaczęli uciekać się do aktów podobnej desperacji, do podejmowania bezowocnych działań, jak chociażby zajęcie cytadeli w Henaśamef, albo jej połowy, jakby król i jego żołnierze mieli puścić taką rzecz płazem? Odpowiedział w obronie earla, którego znał, aczkolwiek słabo: – Oni stali się buntownikami dopiero kilka dni temu.

–Zobaczymy, co ci odpowie – odrzekł Parsynan. – Czy otwiera bramę? Ani myśli. To jawny spisek. Błagam Waszą Miłość, byś żadnemu z nich nie ufał, a już w żadnym wypadku nie otwierał zewnętrznych bram!

–Jesteśmy lojalnymi poddanymi! – rzekł earl Drumman. – I zawsze takimi byliśmy!

–Wasza Miłość – powiedział lord Parsynan cieipko. – Nie wolno darować win zdrajcom.

–Wasze Lordowskie Mości – rozległo się na lewo: zasapany gueleński gwardzista wskazywał na budynek. – Nasi tam walczą. Earl do zachodniego skrzydła wejść pragnie, toporami naszych ludzi przypiera.

Z prawej strony dobiegł głos Uwena:

–Ludzie earla wołają zza bramy, panie, że pana swojego rychło powiadomią. Ale cosik nie słyhać, by się żywo ruszali, bramę z drugiej strony roztwierając. I bez ustanku przez mur krzyczą. Nie chcą cię słyhać, to pewne.

–Rozbijmy bramę – rzekł Tristen. Potem zwrócił się do lorda Parsynana: – Twoi ludzie udadzą się do sali w fortecy. Niechaj będzie otwarta. To sprawa najwyższej wagi.

–Wasza Miłość, rozsądek nakazuje...

–W tej chwili przebijają się przez sale fortecy. Sugeruję, abyś wziął tam swoich ludzi, jak sam proponowałeś, i spróbował sforsować komnaty. Spotkamy się w środku przy południowych drzwiach. – Ruszył spieszonym krokiem ku murowi osłonowemu, zabierając z sobą Uwena, nieczuły na protesty Parsynana i jego przekleństwa, którymi zapędzał żołnierzy pod kuchenne schody.

Uwen pochwycił gwardzistę za ramię, by przekazać mu szczegółowe rozkazy. Człowiek ów ruszył biegiem, kiedy strzała uderzyła w płytę, niemal trafiając go w piętę.

Więcej strzał przeszło powietrze. Strzelano na oślep zza muru, bez troski o cel, co stanowiło groźbę zwłaszcza dla ludzi próbujących otworzyć bramę. Gdyby jednak próba zdobycia Południowego Dziedzińca zakończyła się powodzeniem, mógł wpuścić do środka śpieszącego mu z pomocą kapitana Anwylla, a tamtejsze drzwi zamku dałyby im kontrolę nad centralnymi schodami, wiodącymi do wszystkich wewnętrznych sal Zeide. Tam właśnie miał się spotkać z lordem Parsynanem... Jeśli jednak nie zdołają uchwycić przyczółka i zapobiec przemieszczaniu się żołnierzy między dwoma skrzydłami, dojdzie do krwawej jatki na trzech piętrach pałacu.

Co więcej, podczas gdy wicekról panował nad źródłem wody, earl zajął zbrojownię i kuźnię razem z młotami i sztabami. Oznaczało to, że nie mogło zabraknąć mu broni, strzał ani materiału do barykadowania drzwi. Jeżeli nie naprze na nich z całej siły od tej strony zamku, i to szybko, będzie musiał oblegać południowe drzwi, a później zdobywać kolejno wszystkie komnaty, łącznie z wielką salą, gdzie znów posybyją strzały. Szaleństwem byłaby walka w zatłoczonym, usianym labiryntem schodów wnętrzu twierdzy, gdzie zmagania toczyłyby się głównie w ciemnościach.

Ponadto pragnął zapobiec śmierci w miejscu, z którego zamierzał sprawować władzę nad prowincją. Wyczuwał – z taką wyrazistością, jakby doznał objawienia – że osiągnie sukces, idąc przez dziedziniec, pod bezpiecznym i otwartym niebem, nie zaś przez pałacowe sale. Ludzie już teraz ślaniali się z wyczerpania, gdyby jednak impet zmalał, otucha i siły zaczęłyby opuszczać żołnierzy.

–W szopie kowala znajdziecie młotki i gwoździe – rzekł do Uwena. – zawiasy zamocowano po ich stronie. Przynieście drabiny, jeśli je znajdziecie, w przeciwnym razie belki. Prędszej!

Uwen posłał biegiem najbliższego żołnierza, a Tristen spoglądał zafrasowany na mur i bramę dzielącą ich od Południowego Dziedzińca. Ostrza toporów bezskutecznie szczybiły środek bramy. Od mieszczan stłoczonych za fortecznymi murami uzyskałby mocne wsparcie, gdyby wpuścił ich na dziedziniec, jednakże dla cytadeli i życia królewskich gwardzistów powstałoby duże zagrożenie, jeśliby nieuzbrojeni i nie wprawieni w boju mieszczanie włączyli się do walki bez dowodzących nimi oficerów i zetknęli ze zbrojną siłą lorda. Już teraz Guelericzycy pozostawieni za Południową i Wschodnią Bramą stwarzali ryzyko wybuchu zamieszek. Parsynan w tym względzie aż tak bardzo się nie mylił i Tristen żywił nadzieję, iż Anwyll przejechał przez miasto bez strat. Nie miał złudzeń: tłum nie pozostanie spokojny, gdy popłynie krew... W tejże chwili bezpieczeństwo grodu i wszystkie ich sprawy wisiały na włosku. Trzech lojalnych wobec niego earłów dreptało nierozważnie z tyłu, nie racząc się schować choćby za tarczą.

–Skryjcie się gdzieś! – krzyknął w ich kierunku. – Wracajcie do stajni! – Raptem zabłąkana strzała drasnęła ramię lorda Drummana. – Wracajcie!

Nie mógł dłużej zwlekać. Rebelię wszczął, z rzekomo niedorzecznych powodów, ambitny, stary, słaby w boju człowiek, lecz ten, kto dowodził zbuntowanym wojskiem, nie był głupcem i nie wzdragał się przed zajęciem najlepszych możliwych pozycji w fortecy; zasypywał ich teraz ciągłym deszczem strzał. Świadczyło to o charakterze przywódcy i Tristen bał się, że gdyby pozostawił mu pole do popisu, uderzyłby on gwałtownym szturmem na twierdzę i wzniecił wojnę łuczników w wielkiej sali bądź w ogrodzie i na Wschodnim Dziedzińcu. Śmierć Gueleńczyków i Amefińczyków bez wątpienia zaszkodziłaby Tristenowi, a rzeź zbliżała się wielkimi krokami. Wymuszała, ją jak podejrzewał, przynajmniej w połowie lord Parsynan.

Wszystko mogło się jeszcze zdarzyć, skoro earl wydał na siebie wyrok, występując przeciw królowi. Uwięzienie królewskiego posłańca stanowiło najmniejsze z jego przewinień.

Tristen musiał także odpowiedzieć sobie na pytanie, jak długo pozostali earlowie, opowiadający się obecnie przy nim, będą znosić obelgi Parsynana. Na razie wspomagali we własnym mieście gueleńskie wojsko, co nie miało precedensu, lecz amefińska duma, zbyt mocno nagięta, też mogła kiedyś pęknąć.

A tymczasem daremne uderzenia toporów mieszały się ze stukiem młotów usiłujących dobrać się do zawiasów i mocowań bramy – wymuszona zwłoka dawała zbuntowanemu oficerowi czas na urządzenie zasadzki i nadwątląła siły zdrożonych Gueleńczyków, którzy zaczęli przystawać, skonsternowani i niepewni. A musieli się ruszać.

Spichlerze przy stajniach, pomyślał i ruszył biegiem, za nic sobie mając lordowską godność. Spośród tych, co pilnowali toporników, zgarnął garść żołnierzy i powiódł ich do stajni.

–Otwórzcie drzwi do szopy! – krzyknął. – Idźcie do stajen i pozbierajcie worki, beczki, cokolwiek wpadnie wam w ręce, a wszystko zanieście pod mur! Ułóżcie z tego jak najwyższy stos!

Zabrali się do pracy, a kiedy otworzyli szopę, nadszedł Uwen. Zjawili się też Lusin i Syllan: i oni odłożyli chorągwie, aby służyć pomocą. Nawet Tristen zaczął chyżo przenosić worki i deski pod południowy mur.

–Bierz się do noszenia! – krzyczał Uwen do każdego napotykanego żołnierza. Kiedy wycieńczeni ludzie zauważali rosnący pod murem stos worów i beczek, podchwytywali pomysł i znosili wszystko, co tylko wpadało im w ręce.

Worków ze zbożem przybywało i mimo padających strzał zasilają stertę, tworząc

niewielki wzgórek, wzmocniony belkami z wybiegu dla wierzchowców i taczkami używanymi do wywożenia końskiego nawozu. Jeden z ludzi upadł, trafiony strzałą, rozsypując zboże. Rannego zaniesiono w bezpieczne miejsce, worek – na stos. Odzyskawszy werwę, gwardziści zaczęli znosić stoły i wyposażenie kuchni, a także mniejsze beczułki z jakiegoś innego miejsca. Podźwignęli nie zmontowaną jeszcze do końca drabinę, którą pochwycili ludzie stojący na szczycie stosu. Sięgnęła niemal do krawędzi muru. Dwaj mężczyźni, wspiąwszy się na mur, krzyczeli z żądaniem o więcej worków, a gdy zaczęto podawać z dołu te, które wypadły z fundamentu sterty, przrzucano część z nich od razu na drugą stronę, co pozwalało łatwiej dojść na górę i bez ryzyka zeskoczyć za murem.

Nieźle, pomyślał Tristen. Obciążony wprawdzie tarczą i mieczem, wspiał się na stos obok podających worki żołnierzy. Odprowadzały go początkowo słowa zachęty, a później okrzyki przerażenia ludzi nie chcących zostać z tyłu.

Tristen usłyszał wrzaski Uwena, który usiłował dogonić swego pana. Położył łokieć na krawędzi wąskiego muru i ujrzał zbrojownię, kuźnię oraz ludzi earla, pędzących od strony Południowej Bramy z zamiarem obrony muru, raptem świadomych, że są obiektem ataku. Lekkozbrojni mężczyźni, jacy do tej pory przrzucali worki, zeskoczyli z samymi tylko mieczami, Tristen podciągnął się natomiast nad skraj, grzmotnąwszy o kamienie zawadzającą mu tarczą. Przetoczył się przez wystrzępioną kamienną krawędź i dał susa na stromy stos zrzuconych worków ze zbożem. Odchylił się i zjechał na dół, przygotowany na przyjęcie nacierającego wroga. Za nim spadali następni żołnierze; jeden zsunął mu się prosto na plecy, kiedy usiłował stanąć pewnie na nogach i zasłonić swoich towarzyszy tarczą – wziął szeroki zamach i uderzył w twarz napastników rzucających się z rozpaczą do obrony. Siła ciosu powaliła jednego z nich na ziemię i tym zajął się natychmiast gwardzista; drugiego z atakujących Tristen chlasnął mieczem. Przez chwilę wraz z dwoma stojącymi przy nim żołnierzami odpierał samotnie całą grupę nieprzyjaciół, wnet jednak, ze wzniesioną tarczą i wysuniętym mieczem, pojawił się obok Uwen. Coraz więcej Gueleńczyków lądowało na workach. Napierali z takim impetem, że wrogowie zaczęli – wprzód pojedynczo, potem chmarą i bezładnie – ratować się ucieczką. Stojący po przeciwnej stronie dziedzińca oficer chciał zmobilizować podwładnych do stawienia oporu nadal małej sile Gueleńczyków, lecz żołnierze earla zasłonili widok łucznikom i ci, co na końcu ruszyli do ataku, obecnie uciekali biegiem.

–Otwórzcie bramę! – ryknął Tristen w nadziei, że ktoś go wysłucha. – Otwórzcie bramę!

Odniósł wrażenie, iż ktoś biegnie ku wrotom. Wiódł swoich ludzi przez wyłożony brukiem Południowy Dziedziniec z największą prędkością, niebacznym na padające strzały. Wszelka obrona ustała, gdy ostatni ze ściganych minęli cienkie szeregi łuczników, pozostawiając ich na pastwę Gueleńczyków.

Wreszcie, nie reagując na krzyki oficerów, po wypuszczeniu ostatniej, skąpej salwy strzał, pomiędzy cieni podwórca, gdzie się dotąd kryli, zaczęli wyskakiwać łucznicy, wskutek czego bez mała dwustu ludzi zmykało w rozsypce co sił w nogach, oddając przeciwnikowi terytorium dziedzińca, aż prawa flanka nieprzyjaciół dotarła pod szerokie Południowe Schody, a lewa dobiegała do Południowej Bramy, a wszyscy pędzili w wielkim pośpiechu.

Tristen brnął niestrudzenie naprzód, aby nie dać rebeliantom chwili wytchnienia. Drogę buntownikom zagroził kolejny mur osłonowy, wschodni, z zamkniętą pojedynczą furtą. Środo przyciśniętym ludziom bliższe schronienie oferowała wszak sama forteca, dlatego żołnierze earla popychali się i potracali na Południowych Schodach, by przez otwarte drzwi wlewać się do środka w poszukiwaniu kryjówek wśród sal Zeide i labiryntów wewnętrznych schodów i korytarzy.

Tristen miał nadzieję, że uciekający będą się kierowali ku wschodniemu murowi i mniejszej furcie. Celowo pozwalał im wydostać się tamtędy na Wschodni Dziedziniec. Tymczasem dowódca buntowników przyzywał swoich żołnierzy do schodów i komnat zamku, gdzie być może przygotowano pułapki i gdzie mógł uciec się do jakiejś sztuczki.

Teraz jednak wojsko króla panowało bezdyskusyjnie na Południowym i Zachodnim Dziedzińcu.

–Otwórzcie wszystkie bramy! Otwórzcie Południową, a także Wschodnią Bramę! – Tristen wskazał tę ostatnią czubkiem miecza przez wzgląd na tych Gueleńczyków, którzy nie odróżniali jednej bramy od drugiej. – Wpuśćcie przez Południową kapitana Anwylla! I otwórzcie wreszcie Wschodnią!

–Bierzcie się za obie, chłopaki! Trza też wpuścić Cossella! – W słowach zrozumiałych dla przeciętnego gwardzisty Uwen przekazywał tubalnym głosem rozkaz Tristena, kiedy gueleńskie siły dopadały ostatnich uciekinierów na dolnych stopniach Południowych Schodów, gdzie zwykle odbywały się procesje i ceremonie.

–Naprzód! – krzyczał Tristen, prąc w górę schodów. Schowani w środku buntownicy zaczęli spychać wielkie skrzydła drzwi, by odgrodzić się od napastników i garstki własnych żołnierzy. Opór się załamał, ludzie padali, a ostatni, którzy schowali się za drzwiami, usiłowali zamknąć je tuż przed nosem Gueleńczyków, lecz Tristen z całej mocy ciął w napastników poprzez coraz węższą szczelinę. Uwen zaczął pchać drzwi i wnet podbiegli mu na pomoc kolejni gwardziści. Drzwi rozwarły się gwałtownie, a rebelianci pierzchli tchórzliwie. Odpychając ciała, depcząc po rannych i zabitych, żołnierze w pogoni za wrogiem dotarli do mrocznej sali.

Z boku, z ciemności, wyskoczyli ludzie.

–Wojsko króla! – krzyknął Tristen.

–Wojsko króla! – huczało wszędzie, gdy oba gueleńskie oddziałyomal nie starły się z sobą przez pomyłkę: gwardziści wicekróla nadbiegali od strony zachodniego skrzydła, by wzmocnić główne siły.

–Na wschód uciekają! – rozległ się głos Uwena. – Panie, na świątynny dziedziniec rebelianci zbiegli!

–Smoki za mną! – zawołał Tristen i powiódł ludzi w kierunku czarnej czeluści wielkiej sali, poza rozwidlenie schodów, w pościgu za słabnącym odgłosem umykających stóp, zagłuszonym przez ciężki tupot goniących. Wtem hałas rebeliantów ucichł: widocznie dotarli do końca sali i wbiegli na schody prowadzące w dół na Wschodni Dziedziniec. – Tarcze! – zakrzyknął, kiedy osiągnęli skraj sali. – Schody na prawo!

W czarnej pustce wpadli na ludzi, ariergardę zbiegających schodami żołnierzy. W ciągu krótkiej, zażartej potyczki panował wielki zamęt, ludzie atakowali niewidocznych ludzi, spychali obrońców w dół i przeciskali się między padającymi ciałami. Sam Tristen nie zadawał wielu ciosów, pchał tarczą i uderzał płazem miecza, z trudem łapiąc równowagę na niedostrzegalnych stopniach i wśród leżących, którzy obejmowali rękoma stopy tych, co walczyli. Klatka schodowa i sale rozbrzmiewały okrzykami i szczękiem oręża. W Tristenie wzbierał bitewny gniew, wobec czego nie śmiał pograć się bez opamiętania w wirze walki. Częściej spychał, niż uderzał, używał tarczy, zmuszał nieprzyjaciół do zejścia wąskimi schodami ku znanym mu drzwiom. Słyszał głos Uwena. Słyszał przerażone wrzaski rebeliantów: „Lord Sihhe! Lord Sihhe!”

Ludzie earla próbowali stawiać opór. Nie mieli miejsca. Znienacka nad głowami obrońców ukazała się wstęga nocnego nieba, coraz szersza, w miarę jak rozchyłano wschodnie drzwi. Niektórzy wybiegli na zewnątrz i znów powstał zator w przejściu, gdyż ludzie usiłowali nieskładnie wydostać się na dwór.

Ci, co zachowali względną przytomność umysłu, próbowali przedrzeć się z powrotem i zatrzasnąć drzwi przed napastnikami – drzwi, których Tristen za wszelką cenę pragnął nie zamykać. Uderzył w nie tarczą i, niebaczny wielkiego niebezpieczeństwa, nacisnął, tratując poległych. Drzwi nie mogły się domknąć, gdy pomiędzy skrzydłami legły ciała zabitych. Wpadł na schody, gdzie miał przed sobą kaplice i grupę rebeliantów, którzy pędzili na łeb, na szyję w stronę czekającego na nich muru Smoczyc Gwardzistów, ku szeregom posępnych żołnierzy, osłoniętych tarczami.

Przybyli Anwyll i Cossell.

Burzliwy zgietk bitwy i krzyki zbrojnych ludzi, wybiegających zza niego na plac,

stopniowo zamilkły i przerodziły się w pełną napięcia ciszę. Banda rebeliantów, złożona z jakichś dziesięciu tuzinów ludzi, stała w miejscu, u ich stóp kuliło się blisko pięć tuzinów rannych. Nie ulegało wątpliwości, że paru żołnierzy earla zniknęło wewnątrz fortecy, by szukać kryjówek gdzieś na salach. Wsparte kolumnami świątynie i grobowce, wznoszące się po lewej i prawej stronie małego dziedzińca, również mogły dać schronienie buntownikom: kaplice bryaltynów, quinaltynów i terantynów, obok krypt świątobliwych mężów i członków rodu Aswyddów, stanowiły labirynty wąskich korytarzy. Uciekinierzy mogli się schronić nawet na dachu fortecy.

Cossell zamknął za sobą bramę, aby nikt nie umknął tą drogą. Ściana tarcz Smoczych Gwardzistów była szczelna, niezachwiana.

Cisza pogłębiła się jeszcze, gdy ustały wszelkie ruchy, tak wśród obrońców, jak i atakujących.

Rozdział szósty

–Gdzie jest earl Edwyll? – zapytał Tristen buntowników z wysokości schodów. Głos jego rozszedł się echem w panującej na dziedzińcu ciszy. Potoczył wzrokiem po ludziach wykonujących wyłącznie rozkazy swego pana. Nie winił ich za to. Pragnął porozmawiać z dowodzącym obroną oficerem, który mając pod sobą bardziej zaprawionych w bojach żołnierzy, mógł sprawić im o wiele więcej kłopotów. – Kto odpowiada za tych ludzi?

Miecze pochylili się groźnie, wszelako jeden młody człowiek wystąpił naprzód ze zgrzytem tarczy, zdjął z głowy hełm i spojrzał wyzywająco na Tristena.

–Crissand Adiran, thane Tas Aden, syn Edwylla, syna Crissanda, syna Edwyllów, zanim jakkolwiek Aswydd pojawił się w Henaśamef! To ja odpowiadam za ludzi mojego ojca, ja z rodu Meidenów!

Dziwne uczucie targnęło Tristenem, jakby usłyszał zaklęcie w tych słowach i w tych imionach; w objawiającej mu się historii, którą mógł poznać dawno temu, za życia przed tym życiem.

–Dlaczego mi się przeciwstawiasz? – zapytał młodzieńca z butną miną. Zdało mu się, że także to zdanie kiedyś już wypowiedział.

W zapadłej ciszy trzeszczały płomienie pochodni, ktoś zaszurał butem po kamieniu. Na lewo i prawo wyczerpani ludzie z trudnością łapali oddech.

–Aby zadośćuczynić sprawiedliwości! – odparł młody thane.

Tristen wyrzekł wówczas trzecie zdanie, które, miał wrażenie, pamiętał z przeszłości.

–Uważasz więc, że nie będę sprawiedliwie panował?

Znowuż zaległo milczenie. Jeden z gwardzistów zakasłał. Od strony Południowego Dziedzińca dolatywała narastająca wrzawa, jakby mieszczanie podeszli pod samą bramę, ale nie dalej. A tutaj młody thane mierzył go spojrzeniem.

–Jaka, według ciebie, powinna być sprawiedliwość? – zapytał Tristen w tej głuszy.

–Ułaskawienie dla nich – stwierdził thane i dumnie kiwnął głową w kierunku swoich ludzi. Natenczas ciężkim krokiem, pobrzękując żelazem, wystąpił starszy mężczyzna.

–Nie, panie – powiedział. – Ja się zrzekam łaski. Stanę przy moim panu i przy synu mojego pana.

Tristen myślał o Uwenie, gdy obserwował tego człowieka – żołnierza, który nie chciał ratować swojego życia, odstąpić od boku syna earla. Potem ruszyli się następni czterej i stanęli hardo obok młodzieńca, gardząc ułaskawieniem. W tej samej chwili i bez cienia wrogich zamiarów Uwen przysunął się bliżej. Uniósł tarczę i przygotował miecz do obrony.

Kolejny mężczyzna dołączył do pierwszej piątki, później jeszcze jeden – wszyscy gotowi na śmierć, pomyślał Tristen. Każdy rebeliant z pewnością chciał się do nich przyłączyć, a każdy gwardzista, jeśli już nie cieszył się, że nie musi dokonywać podobnego wyboru, to zazdrościł śmiałkom odwagi.

–Wybaczam warn – powiedział Tristen. – Wybaczam warn wszystkim.

–Panie – wtrącił Uwen półgębkiem. – Nie puszczaj ich wolno.

–Wybaczę również earlowi, o ile zechce mi złożyć przysięgę.– Wiedział, że postępuje wbrew woli wicekróla, a może nawet wbrew prawu, niemniej nie zamierzał krzywdzić młodego thane’a czy jego zwolenników. – I oczywiście, jeśli nie wyrządził krzywdy królewskiemu posłańcowi.

–Królewski herold jest naszym więźniem – oświadczył młody thane, tym razem nieco drżącym głosem i z bojaźnią w oczach... Choć może sprawiły to zimny wiatr i blask pochodni. – Nic mu się nie stało. Zobaczymy, co warta jest twoja obietnica.

–To niebezpieczny młodzieniec. – Zaraz za Tristenem odezwał się znajomy głos Anwylla. – Lewen’sson także doradza posłuszeństwo prawu. Nie wypuszczaj tych ludzi, Wasza Miłość. Nie wolno ci tego czynić.

–Złożyłem obietnicę – powiedział Tristen. – Król ją uszanuje.

Po chwili ciszy młodzieniec opuścił wolno miecz i tarczę.

–Każde życzenie mego ojca – oświadczył – jest moim życzeniem, a także moich ludzi. A więc dotrzymaj słowa, panie.

–Gdzie twój ojciec?

Crissand w odpowiedzi podniósł oczy ku górnym piętrům Zeide.

–Każ im wszystkim złożyć broń, Wasza Miłość – rzekł Anwyll. – Błagam, byś nie składał więcej deklaracji.

Tristen nie potrzebował na razie rad Anwylla. Pragnął, by kapitan milczał.

–Róbcie, o co prosi – zwrócił się nagle Crissand do swych ludzi. Powoli z szeregu wyłaniali się żołnierze, aby z brzękiem żelaza zdać uzbrojenie. Crissand rozstał się z bronią niemal na samym końcu.

–Lusinie – powiedział Uwen spokojnie. – Jego Miłość pragnie obchodzić się z tym młodym człowiekiem z należnym mu szacunkiem. Podobnie w przypadku owych siedmiu... – Uwen miał na myśli ludzi, którzy stanęli wcześniej obok thane'a. – Dostaną osobną straż... Chroni cię słowo mego pana, młodzieńcze. Zbliźże się tutaj.

Siódemka okazywała niechęć, lecz młody człowiek rzucił surowe spojrzenie i podszedł dobrowolnie do podnóży schodów.

–Wasza Lordowska Mość – powiedział. – Polegam na twoim słowie. Ja, moi ludzie, a także mój ojciec, panie, o co proszę.

–Gdzie wobec tego jest królewski posłaniec?

–W apartamencie Aswyddów. Razem z moim ojcem.

Nic dziwnego, że earl zajął komnaty Aswyddow, skoro rościł sobie prawo do jego tytułów i zamku. Tristen nie miał wątpliwości, iż taka sytuacja nie powinna trwać dłużej bez względu na to, czyjego to cokolwiek obchodziło: obchodziło wielce Cefwyna i z pewnością amefińskich earłów. Edwyll był najbliższym krewnym Aswyddow, któremu Cefwyn pozwolił pozostać w Henaśamef po wypędzeniu lady Orien wraz z siostrą, a ów gest miłosierdzia został teraz odplącony w sposób zrozumiały dla każdego Amefińczyka. Co więcej, usunięcie earla przy użyciu siły spowodowałoby kolejne szkody.

Usunięcie go nawet drogą perswazji i dzięki staraniom syna musiało pociągnąć za sobą konieczność udania się do komnat i zajęcia ich na noc, gdy tymczasem on wolałby raczej rozbić obóz na dziedzińcu lub spać w stajni aniżeli w tych przeklętych pomieszczeniach.

–Niech wyjdzie, a nic mu się nie stanie. Resztę ustalimy za dnia.

–Pójdę na górę i spróbuję go namówić, za pozwoleniem – rzekł młody thane tonem, jakby próbował tego już po wielokroć, lecz daremnie. Crissand nagle zmarkotniał, bardziej niż w obliczu zwycięskich szeregów wroga. – Jeśli ja zawiodę, może ludzie mojego ojca zdołają go przekonać? Niechże z nim pomówią, panie, pomni twego słowa.

Crissand proponował niewątpliwie pomoc owej siódmki, której Uwen przydzielił osobną straż. Tristen nie miał wielkiej ochoty uwalniać tychże ludzi i puszczać ich samopas do earla. Dał jednak obietnicę i nic dobrego nie wynikłoby z łamania jej już na samym początku.

–Sam spróbujesz. Razem spróbujemy. Dajcie pochodnię.

–Wasza Miłość – zaczął Anwyll, kiedy Tristen wspiął się na najwyższy stopień, znużony wysłuchiwaniami tych słów wypowiedzianych ostrym tonem. – Wasza Miłość, dla tych ludzi nie ma przebaczenia. Muszę prosić Waszą Lordowską Mość...

–Czyż nie jestem diukiem Amefel? – uciął. – I czyż lord Heryn nie postępował wedle swojej woli we własnym domu?

–Przekraczając granice rozsądku – dorzucił Anwyll. – Za co zginął, Wasza Miłość.

Tristen wiedział, że ta rada płynie z głębi serca. Anwyll nie popełnił żadnego błędu, miał wiele zasług. Teraz spoglądał nań nieustępliwym wzrokiem i bez złej woli.

–Rozważam twoje opinie – powiedział Tristen. Obaj trwali nieruchomo, on na szczycie schodów. – I biorę je sobie do serca. Tak czy inaczej, zamierzam im wybaczyć. Zabierz ich, a także całą resztę, pod straż, by mogli spokojnie poczekać w jakimś bezpiecznym miejscu. Jak wygląda sytuacja na Południowym Dziedzińcu?

–Bramy pozamykane – odparł Anwyll. – Motłoch zatarasował ulice, Wasza Miłość, zbrojny w noże i pałki, wznosi okrzyki na twoją cześć, panie. Nie możemy go wpuścić do środka.

Mimo dzwonięcia w uszach słyszał dzikie, coraz głośniejsze okrzyki za Wschodnią Bramą – w tej ślepej i z rzadka używanej uliczce, która biegła między magazynami a murami obronnymi Zeide. Pomoc, jaką oferowali mieszczanie, teraz co prawda niepotrzebną, niebezpiecznie byłoby przyjmować.

Wzburzony tłum należało jednak uspokoić. Zszedł wolno ze schodów, natychmiast otoczony przyboczną strażą. Minął stos broni, aż dotarł pod zwieńczony filarami koniec dziedzińca. Przy wartowni trzech ludzie Cossella zamykali właśnie dębowe wrota.

–Otwórzcie wewnętrzne skrzydło – nakazał, wobec czego unieśli sztabę i rozchylili dębowe drzwi.

Mieszczanie napaili na pręty opuszczanej kraty, tłum wymachiwał pochodniami i bronią. Na jego widok rozległ się ryk: „Lord Sihhe!” Podniósł miecz, aż hałas przycichł na tyle, że mógł coś powiedzieć.

–Ludzie earla poddali się i wzięłem ich pod swoją opiekę. Nie czyńcie żadnych szkód! Słyszycie? Żadnych szkód! Przekażcie dalej moje słowa!

–Lord Sihhe! – wołano z entuzjazmem. Wrócił Wschodnim Dziedzińcem, pozostawiając nie zamkniętą bramę, ażeby świadkowie mogli śledzić przez kratę dalszy rozwój wypadków.

–Ulokuj tych ludzi w bezpiecznym miejscu – rozkazał Anwyllowi, wskazując na więźniów. – Uwenie! Przyrowadź thane’a. I przynieś światło. Pójdzie z nami pięciu ludzi, pomogą namówić earla do poddania się i zakończenia tej waśni.

–Światła! – zawołał Uwen, wstępując na schody. Otworzono drzwi prowadzące w ciemność.

–Hej tam, światła z rozkazu diuka!

–Dajcie no tu jakie światło! – rozległ się po chwili okrzyk żołnierza w środku; echo poniosło go w górę wąskich schodów i wzdłuż sali.

Tristen wszedł na skryte w mroku, okrwawione stopnie, omijając jęczących rannych. Obok niego ostrożnie stąpali gwardziści, dopóki nie dotarli na poziom głównej sali, gdzie po suficie rozlewał się dziką gmatwaniną blask światła. Z drugiego końca korytarza człowiek niósł pochodnię.

Świetliste refleksy pomykały w przejściu pełnym zabitych i rannych, błyskały na wypolerowanej posadzce i ozdobnych rzeźbieniach. „Oświetlić salę!” – raz po raz wołano w stronę przeciwległego jej końca, w trakcie gdy oni lawirowali między trupami. Dotarł nareszcie człowiek niosący pochodnię, po czym poprowadził ich w stronę środka budynku.

–Pójdiesz z nami – polecił mu Tristen i zaczął się wspinać schodami na lewo, w towarzystwie Uwena, gwardzistów i Crissanda. Miał przy sobie tarczę, podobnie Uwen, lecz gwardziści, przedtem noszący chorągwie, mieli wolne ręce, zatem sierżant Gedd wpadł na pomysł, by wyciągnąć z lichtarza kawałek świecy i odpalić go od pochodni. Wówczas Gedd wyszedł na czoło, gorliwie zapalając przynajmniej jedną świecę w każdym mijanym kinkiecie, tak że na schodach znacznie pojaśniało, a mdłe, zwyczajne światło zapłonęło w sercu Zeide.

Wszelako na górze sufit rozjaśniało inne źródło światła: pochodnia zatknięta w holu, gdzie trzech żołnierzy z Gueleńskiej Gwardii wicekróla oblegało drzwi dawnych apartamentów Aswyddów.

–Wasza Miłość – powiedział sierżant, rozpoznawszy Tristena. – Posłaliśmy po siekiery.

–Nie, tylko nie to. – Tristen był przerażony. Tak piękne drzwi, rzeźbione i masywne. – Rozmawiałeś z earlem? Dał jakąś odpowiedź?

–Jeno pacholek cosik odpowiadał, Wasza Lordowska Mość. Nie myślał otwierać po prośbie.

Nic dziwnego. Tristen kiwnął na młodego thane'a, by zbliżył się do gwardzistów. Crissand zapukał niepewnie.

–Ojczy? Ojczy? Słyszysz mnie? Odpowiedz. – Zakołatał silniej. – Ojczy? Potrzebuję twej rady. Proszę.

Nikt nie odpowiadał.

Uwen bezceremonialnie walnął w drzwi głowicą miecza.

–Nie możesz tam zostać, Wasza Lordowska Mość. Otwieraj! Syn prosi. Wnet inni zaczną prosić, ino mniej politycznie.

Żadne dźwięki nie dobiegały ze środka.

–Stoi tu Jego Miłość Tristen z Ynefel i prosi! – Uwen tym razem krzyknął. – Jego Miłość opieką otoczył twego syna któren prosi grzecznie, byś drzwi otworzył. Wasza Lordowska Mość, i królewskiego posłańca puścił wolno, co mądrze byłoby uczynić, nim wyczerpie się cierpliwość Jego Miłości i zanim drzwi te piękne przyjdzie nam zdruzgotać. Wyłaźże wreszcie!

Nic się wewnątrz nie poruszyło.

–Czyżby zwiali wcześniej? – zdziwił się Uwen.

–Na pewno nie tędy – stwierdził jeden z ludzi wicekróla.

Tristen znał rozkład zamku. Podobnie jak w większości pomieszczeń Zeide, także tutaj odmykały się w oknach jedynie małe lufciki – jeśliby earl je porozbijał, aby się wydostać, musiałby zeskoczyć z wysokości trzeciej kondygnacji na kamienne płyty dziedzińca, gdzie roilo się od żołnierzy króla. Niewykluczone, że jeszcze przed walką uciekł w dół ciemnymi schodami, ale w takim wypadku on i jego świta powinni leżeć

wśród trupów albo ukrywać się gdzieś na górnych piętrach.

Przede wszystkim należało dowiedzieć się czegoś o królewskim posłańcu.

Uwen z chmurną miną łomotał w drzwi.

–Lepiej ci będzie wyjść zaraz aniżeli jutro, Wasza Lordowska Mość. Nic się już nie zmieni. Póki co, Jego Miłość cierpliwym pozostaje. A syn twój frasować się poczyną, bo i powód z każdą chwilą ma po temu słuszniejszy.

Wciąż nikt się nie spieszył z odpowiedzią.

–Otwórz drzwi! – rozkazał Tristen. Los lorda Edwylla stał się nagle ważniejszy od pięknych drzwi. Jeden z ludzi wicekróla zdążył przynieść topór, zdjęty ze ściennej wystawy niedaleko w holu.

–Ojczy! – wykrzyknął Crissand, wsparty o drzwi. – Alboż to nie odpowiesz własnemu synowi?

Milczenie. Na znak Tristena żołnierz z załogi zamku zaczął rąbać siekierą, zamieniając w drzazgi cudowną, ciemną snycerkę obok zamka. Powiększała się szczelina między klamką a futryną.

Z coraz większą ostrością Tristen wyczuwał jakąś nieprawidłowość, wspominał lady Orien, która razem z siostrą mieszkała w tych apartamentach po śmierci brata. Czaiła się tu wyraźna groźba. Nie spodziewał się spotkać z niczym przyjaznym w tych komnatach. A skoro tak, lepiej żeby młody thane nie popełnił jakiegoś głupstwa.

–Sierzancie – rzekł cicho do najwyższego rangą z żołnierzy wicekróla. – Zabierz stąd młodego lorda.

–Nie! – zaprotestował Crissand, lecz gwardziści chwycili go za ramiona i siłą odwieśli na bok.

W drzwiach powstała taka dziura, że można było włożyć miecz i podważyć zasuwę. Żołnierze pchnęli drzwi i wpadli do mrocznego, wąskiego przedpokoju, prowadzącego do jasno oświetlonej komnaty.

Wszyscy nie żyli, łącznie z człowiekiem przywiązany sznurami do krzesła blisko wysokich okien z zielonymi, udrapowanymi zasłonami.

Tristen stał nieruchomo, otoczony draperiami z zielonego aksamitu i bogatymi ozdobami ze spiżu i złota, stanowiącymi wystrój rezydencji lady Orien... Uczucie zła wprost zatykało dech w piersiach. Nie sprawdzał jeszcze szarej przestrzeni, do tej pory – panowała w niej zimna, złowieszcza atmosfera. Chociaż oparł tarczę o krzesło,

wciąż miał się na baczności przed silnie tu wyczuwalnymi, niematerialnymi zagrożeniami.

Na zewnątrz wybuchła jakaś kłótnia.

–Stój, panie! – ktoś powiedział. Crissand, pośród szamotaniny, dotarł do przedpokoju i przystanął, powstrzymany przez Lusina.

–Gdzie mój ojciec?! – wykrzyknął.

–Nie żyje – odparł Tristen. – Obawiam się, że wszyscy nie żyją... Niech wejdzie.

Lusin puścił młodzieńca, który ruszył w pośpiechu, by przeszukać komnatę. Podążyli za nim do niegdysiejszej sypialni lady Orien: na zasłanym łóżku, w ubraniu, leżał starszy człowiek. W odróżnieniu od innych, miał pogodny wyraz twarzy.

–Earl zmarł pierwszy – wysunął przypuszczenie jeden z ludzi wicekróla.

–Lepiej dziś nie wypuszczać młodzika w miasto – rzekł Uwen, zbliżywszy się do Tristena. Mówił cicho, obrócony plecami do młodego earla. – Proszę, panie, razem z tymi tu chwatami do wartowni go pošlij i tam niech ostanie pod strażą. Inaczej komuś lub sobie krzywdę uczynić gotów.

Tristen znał wartownię i pomysł ten wydał mu się odrażający, niemniej zważał na rady Uwena, kiedy już nie zważał na żadne inne, a panująca tu atmosfera budziła niepokój, plątała myśli.

–Zabierzcie go do wartowni – rozkazał. – To dla twojego własnego bezpieczeństwa. Proszę, byś z nimi poszedł.

Crissand nie protestował, gdy ręce gwardzistów podnosiły go z klęczek, lecz Tristen uchwycił przelotnie jego nieprzytomne, błędne spojrzenie, jakby wyrażające pytanie o powody zaistniałej sytuacji... Identyczne pytanie nurtowało Tristena. Próbował okazywać życzliwość i miłosierdzie, gardził radami doświadczonych ludzi i taki był tego skutek: królewski posłaniec, earl, cała służba – wszyscy martwi, młody Crissand zdjęty głęboką żalnością, a zło, które w trakcie podróży uważał za prawdopodobne, okazało się rzeczywistością. Earl spoczywał na kapie z zielonego aksamitu. Mężczyzna przywiązany do krzesła w sąsiedniej komnacie był królewskim heroldem – nie żył z nieznanego powodu. Pięciu służących leżało w nieładzie – trzech blisko masywnego kredensu.

–Ani śladu – rzekł Uwen, trącając nogą trupa. – Cosik mi to pachnie trucizną. – Kapitan myślał racjonalnie, niemniej szara przestrzeń burzyła się i kipiała.

Wówczas Lusin podniósł kielich stojący na stole obok dzbana i drugiego

podobnego kielicha. Przechylił go na bok. Skąpała czerwona kropla.

–Pito z niego – zawyrokował.

W sumie odkryto pół tuzina kielichów.

–Wszystkich używano – stwierdził Tawwys po zbadaniu następnego. – Panie, z wszystkich pito.

Martwi służący nie wyglądali na takich, którzy przy byle okazji piją ze swoim panem. A na dodatek królewski posłaniec... Czyżby i on pił wino, przywiązany do krzesła, kiedy na dole wrzała bitwa?

Czysty absurd... i zbrodnia. Pozostali earlowie wstrzymali się od działań w oczekiwaniu na rozwój wypadków – później wyrzekli się związków z Edwyłlem. Być może wszczął rebelię jeszcze przed otrzymaniem wiadomości od króla... Wyczuwało się tu działanie czarodzieja.

No i ten serwis do wina... I śmierć herolda, którego osoba jest przecież święta i nietykalna, nawet pomiędzy ścierającymi się frakcjami...

–Kielichy lady Orien – rzekł głośno, aczkolwiek wiedział, że nie o nie tu chodzi, lecz o zabezpieczenia lady Orien: służba zamkowa zamknęła te komnaty po wygnaniu lokatorki, co nastąpiło po powrocie króla z nad Lewenbrooku. Od dwóch miesięcy nikt tu nie wchodził. Dopóki earl się nie wprowadził...

Niejeden ze świadków żegnał się trwożnie. Uwen zrezygnował w połowie z czynionego znaku.

–Wino lady Orien – powiedział. – Czyżby Jej Miłości zbrakło czasu na spakowanie maneli?

Rzeczywiście, nie zdążyła się spakować. Zewsząd otaczało ich mnóstwo osobistych rzeczy Aswyddów: ciemnozielone aksamity, spiżowe smoki podtrzymujące wielkie świeczniki, stołki o smoczych nogach oraz orły, których niemal stykające się z sobą skrzydła rzucały cienie nawet na wyściełane aksamitem łóżko w sąsiednim pokoju, gdzie leżał earl.

Posłaniec siedział skrępowany na gustownie rzeźbionym krześle: tylko on nie mógł się napić.

Niemniej na jasnej brodzie oraz szkarłatnej tunice widniały plamy po winie. Słudzy earla, gdy pan ich już nie żył, a cytadela padała, pili razem wino, zmuszając też do picia posłańca, choć ludzi tych nie wiązały sprawy earłów i diuków. Gniew wrzał w tej komnacie – nie oczyszczonej, nie zamieszkannej, nawiedzanej przez nienawiść

Aswyddów. A earl, daleki ich krewniak, jeżeli posiadał choć minimalną porcję tego samego daru, został tu przywołany, zaciągnięty. Tristen też poczuł osobliwe szarpnięcie, lecz wysiłek woli pozwolił mu odzyskać spokój ducha.

Nareszcie mógł głębiej odetchnąć.

–Zabierzcie ich tam, gdzie są zabierani zmarli. Zrób, Uwenie, co uznasz za stosowne.

–Tak, panie. – Kapitan się zawahał. – Są tacy, co z dymem ciała buntowników puściliby skwapliwie. Chceszli tego, panie, czy też mają ich pogrześć jako ludzi poczciwych?

–Zrób, co trzeba – powtórzył Tristen w chwilowej rozterce, nie wiedział bowiem, co może uczynić, aby naprawić skutki swojego przyjazdu. Na razie prawo podejmowania decyzji przelał na Uwena.

Grzebanie. Palenie. Żadna z tych metod nie niszczyła Cieni – Althalen, gdzie wszystko spalono, przerodził się w najczęściej nawiedzane miejsce. Tristen wiedział, że musi postępować rozważnie. Zakrojone na szeroką skalę, nieprzemysłane działania, jak poinformowali go Emuin i Mauryl, mogą przysporzyć wielu kłopotów.

Źle się stało, że brzemieniem odpowiedzialności obciążył Uwena, który nie był w stanie dostrzec tutejszych zagrożeń... Ani zrozumieć, jak niebezpiecznym jest silny duch, jeśli dać mu Miejsce na ziemi.

–Zakopcie ich, Uwenie – zdecydował. – Earia, sługi i wszystkich zabitych. Niech kapłani wygłoszą nad nimi słowa, co zechcą.

Z holu dobiegał coraz głośniejszy tupot biegnących stóp. Nic dziwnego, ludzie mieli ostatnio sporo powodów do pośpiechu. Tristen nie okazał niepokoju nawet wtedy, gdy zadyszany żołnierz ze Smoczej Gwardii przepchnął się między protestującymi strażnikami. Bładość twarzy i rozpaczliwe spojrzenie wróżyły złe wieści.

–Wasza Miłość! – Był to jeden z żołnierzy Anwylla, lecz zarówno Uwen, jak i Lusin zatrzymali zdesperowanego mężczyznę. – Kapitan mnie tu przysłał... Wicekról zabija więźniów!

Równie dobrze mógłby uderzyć piorun.

–Gdzie?

–Na Południowym Dziedzińcu – zaczął żołnierz. Tristen wszakże odepchnął na bok jego, Lusina i resztę gwardzistów.

–Panie! – słyszał za sobą głos Uwena. Kapitan jednym kazał zostać, innym ruszać z nim razem. Tristen zdążył jeszcze pochwycić tarczę i wybiegł z apartamentów. Puścił się co tchu wzdłuż sali, potem na dół po schodach, a gwardziści gonili go ze stukotem tarcz oraz brzękiem zbroi i oręża do opuszczonej, oświetlonej częściowo przez świece głównej sali.

Poza otwartymi drzwiami dziedziniec kąpał się w blasku pochodni. Tristen wyskoczył na podest. U podnóży schodów ujrzał rozsypanych bezładnie żołnierzy Smoczej Gwardii: nie zamierzali walczyć, wyczekiwali raczej na rozkazy, podczas gdy ciemna ściana odzianych w czerwone kaftany gwardzistów zajmowała rozświetlony pochodniami środek podwórca, a mściwe wrzaski i jęki konających odbijały się echem od murów.

Śmierć... Wszędzie śmierć... Śmierć zadawana metodycznie, w miarę jak miecze wznosiły się i opadały na bezbronnych ludzi. Śmierć naznaczona okrzykami wściekłości i strachu.

–Tarcze! – zawołał Tristen, a potem, gdy wpadali na czarną ciżbę cieni, gdzie gueleńscy gwardziści zapędzili Amefińczyków do rogu i wycinali ich w pień, dodał bez litości: – Miecze!

Zaledwie paru Amefińczyków miało broń.

–Smocza Gwardia! – ryczał Uwen strasznym głosem. – Gueleńczycy! Na bok! Na bok! Przywrócić porządek, nuże! Bodaj was piekło pochłonęło, droga dla Jego Miłości! W dół miecze!

Ludzie odwracali od rzezi posępne oblicza, cofali się na dźwięk ostrych słów Uwena, wszyscy z wyjątkiem ostatniej garstki, której mord zaćmił zmysły. Na nich to Tristen uderzył tarczą i mieczem, roztrącając opornych potężnymi ciosami. W dali Anwyll krzyczał: „Cofnąć się, cofnąć się przed kapitanem gwardii!”, lecz Tristen myślał wyłącznie o przedarciu się przez stojące przed nim szeregi, druzgocąc wszystkich, którzy mu się przeciwstawiali, dopóki nie ustało zabijanie.

–Przejsście dla Jego Miłości! – krzyczał Uwen.

–Na bok, cofnąć się! – ciągle nawoływał Anwyll.

Wśród innych głosów sierżanci wołali:

–Odstąpcie, dajcie spokój, chłopaki!

Zapanowała cisza przerywana jedynie ciężkimi oddechami i jękami rannych.

U stóp Tristena ścieliły się zwaly ciał, po bokach ustawili się uzbrojeni gwardziści.

Była też grupka ocalałych ludzi earla – w kącie u zbiegu dwóch murów: Crissand, siódemka i jeszcze kilku.

Przez chwilę Tristen był w stanie myśleć tylko o bezlitosnym zamordowaniu przeciwników i Uwen, podchodząc do niego, okazywał wielki brak rozwagi. Niemniej podszedł – cień na wietrze wiejącym od Krawędzi w szarej przestrzeni. Tristen znajdował się zarówno tam, na samym skraju śmierci, jak i tutaj, z rękoma zaciśniętymi na żelazie, z ciałem niewrażliwym na ból, z wiatrem zimnym w nozdrzach, a palącym w piersi.

–Panie – rzekł Uwen cicho, jedyny głos na świecie. – Panie, dyć stoję przy tobie. Jako i Lusin, i pozostałe zuchy. Jesteśmy z tobą.

–Czemu to zrobili? – Sam nie wiedział, gdzie znalazł słowa. – Czemu to zrobili? Gdzie lord Parsynan?

„Lord Parsynan!” – poniosło się dalej i dalej poprzez zalany krwią dziedziniec. Nic jednak z tego nie wynikło. Życie ulatywało z pobitych, krew zbierała się w kałużach, a Tristen nie potrafił powstrzymać śmierci. Widział zbierające się Cienie, niektóre nowe, wystraszone, na skraju dziedzińca. Jeden krążył tuż nad ciałem, więc Tristen zapragnął, by wrócił tam, skąd przyszedł: Cień wsiąknął w ciało niczym woda w suchą ziemię. Pragnął, by podobnie stało się z innymi. Wyczuwał wokół siebie obecność żywych ludzi; Uwen trzymał go za rękę, lecz co ci wszyscy ludzie robili, nie miał pojęcia. Gdzie mógł coś zaradzić, zaradzał, a pomimo tego Cienie wlatywały jak dym.

–Panie – powiedział Uwen. I dodał głośniejszym głosem: – Panie, kapitan wicekróla ludzi swoich chce cofnąć i o pozwolenie prosi. Pozwól mu, panie. Gueleńska Gwardia była jeno rozkazom wicekróla posłuszna, hańbą się okrywając. Nikt go znaleźć nie może, tchórza.

Zimny wiatr kąsał dokuczliwie, ból dręczył ciało. Tristen spojrzał na swoich ludzi, na Lusina, Gedda, Arana i Tawwysa. Dokoła dostrzegał smutek i rozpacz na widok przerażającego oblicza, jakie przybrała ta noc.

–Wasza Miłość – odezwał się Crissand bardzo blisko. Na moment wszystkie kontury uzyskały nienaturalną ostrość, obrzeżone cieniami. – Wasza Miłość, zabiliby nas, bezbronnych...

Wcześniej na Wschodnim Dziedzińcu, przed świątyniami i grobowcami, Crissand prosił o sprawiedliwość. I nagle to.

–Jesteś wolny – oznajmił szorstko. – Możesz iść, gdzie zechcesz. – W czasie niedawnego pobytu w Guelessarze Tristen niczego nie czuł z równą pewnością, jak teraz niedorzeczności i zarazem słuszności tego czynu. Nie wolno mu było pobbłażać

zbuntowanym przeciwko Koronie rebeliantom, lecz wszystko to sprawiła nienawiść wicekróla, gueleńska nienawiść. Nie ulegało wątpliwości, że earla podjudzono do rebelii i udzielono mu pomocy. Nic mógł więc uczynić niczego innego ze względu na dane i obecnie złamane przyrzeczenie oraz na wszystko, co teraz między nimi powstało. – Odeślę ci rannych, o ile wydobrzeją, tam gdzie zechcesz pójść lub zając kwaterę. Jak widzisz, czynię sprawiedliwość, jeśli to w mojej mocy. – Spodziewał się usłyszeć: „Wasza Miłość” z ust Anwylla, lecz tym razem kapitan nie odezwał się słowem o nakazach prawa. Sprawy przyziemne wzbudzały echa w szarej przestrzeni, skłębionej i wzburzonej.

–Wrócę do domu, Wasza Miłość – rzekł Crissand. – Zaopiekuję się matką w domu mojego ojca.

–Dajcie mu eskortę – zarządził. Przyszła mu do głowy myśl, przysparzająca jeszcze smutku: wicekról mógł nie oszczędzić nawet lojalnych earłów. Nieliczne pochodnie skąpo rozjaśniały dziedziniec, nie pozwalając odróżnić żywych i umarłych. – Pomóżcie mu odnaleźć zabitych. Odprowadźcie go do domu. Odszukajcie pozostałych earłów i ich ludzi.

–Pierwej porządek zrób, panie – rzekł Uwen – z Gueleńska Gwardią, jej sierżantami i kapitanem. Niech się chwytają za noszenie nieboszczyków. Przykra to godzina, nie ma co ukrywać. Niechże tutaj służą, rozkazów twych słuchają, a potem odeślij ich do baraków.

–Wydadaj odpowiednie rozporządzenia. I aresztuj lorda Parsynana.

–Ależ, panie...

–Wykonać!

–Tak, panie.

Słyszał, jak Uwen wydaje rozkazy, a potem jak wydają je sierżanci i kapitan. Spojrzał przed siebie, na znów zamkniętą bramę, za którą mieszkańcy Henaśamef nadal zastanawiali się nad swoim losem.

Nie zaczął pomyślnie rządów w tej prowincji. Nie chciał rozlewu krwi. Widział, jak Crissand, okrwawiony i wyczerpany, rozmawia z grupką swoich domowników, którzy przeżyli. Widział rozsiane po dziedzińcu trupy bezbronnych ludzi, zabitych z tchórzliwego rozkazu, który pokrzyżował jego zamiary.

Rozejrzał się dokoła po dziedzińcu wypełnionym żołnierzami, spojrzął na fortecę z oknami tak ciemnymi, jakimi nie widział ich nigdy, oraz otwartymi drzwiami, zza których wypływało jedyne czyste światło: blask świec.

Wszystko to należało do niego.

Naprawdę opuścili obóz tego ranka? A może wstawał już nowy ranek?

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

W mniejszej, pozbawionej okien i paleniska sali płonęło wiele świec. Mętne płomyki zmagaly się z dojmującym zimnem zamkniętej przez dwa miesiące komnaty, nie używanej w tym czasie przez wicekróla.

W tej właśnie sali Tristen postanowił przeczekać ostatnie godziny dzielące go od świtu. Wciąż czuł gorączkowy żar bitwy, lecz tutaj pod zbroję i watówkę wkładał się chłód kamienia. Pomieszczenie to wybrał po części dlatego, że główną salę jego skołatany umysł w dalszym ciągu uważał za należną Cefwynowi, a po części ze względu na to, że mniejsza sala była przytulna i łatwiejsza do oświetlenia: jego nieliczni, zaufani ludzie mieli ważniejsze sprawy na głowie niż czyszczenie świeczników.

Był jeszcze jeden powód: ta marmurowa komnata stanowiła pierwsze poznane przezeń miejsce w Zeide, nie licząc wartowni i wiodących tu korytarzy. Stał wtedy u podnóża tychże schodków, patrzył do góry na Cefwyna siedzącego tam, gdzie on teraz siedział. Obecnie za jego plecami stał Uwen, a on sam spoglądał w dół na jednego z oficerów Cefwyna; krnąbrność takich właśnie ludzi uprzykrzała życie królowi w Guelessarze.

Parsy nan zachowywał spokojną, wyzywającą postawę. Jak dotąd milczał, poprzestając na lakonicznym: „Wasza Miłość mnie wzywał?” Słowa te wypowiedział butnym tonem gueleńskiego arystokraty, który nie tylko nie poczuwa się do winy, ale i uważa za kogoś szlachetniejszego niż osoba oskarżyciela. Tristen długo mierzył tego człowieka zimnym wzrokiem, zdolnego wyrządzić tak wiele zła bez konkretnej przyczyny. Pewien był, że Cefwyn nie powierzałby równie wysokiego stanowiska głupcowi, a mimo to człowiek ów postąpił absurdalnie. Cefwyn nie powołałby gueleńskiego arystokraty o tak mocnych więziach z quinaltem, żeby nie mógł sobie poradzić z amefińską szlachtą. A mimo to ten nadgorliwy wykonawca królewskiego prawa omal nie pozabijał całej amefińskiej czeladzi. Nawet niegdysiejszy głupiec, którego życie rozpoczęło się tej wiosny, dostrzegał ogrom dokonanych przez Parsynana zniszczeń.

I po co? Skąd ta niepotrzebna zajadłość?

Cefwyn nie wybrałby nikogo zdolnego do podobnych łotrostw, jednakże czary potrafiły znaleźć słaby punkt w okiennym skoblu... albo w charakterze człowieka... i słabość tę wykorzystać.

Wybrany przez Cefwyna szlachcic miał zapewne jeszcze inne wady. Żołnierze ze Smoczej Gwardii przyłapali lorda Parsynana nie na dowodzeniu ludźmi czy

kierowaniu zarządzoną przez niego rzezią, ale wewnątrz fortecy, w prywatnych apartamentach, gdzie układał w kuferku damską biżuterię i pakował niewielki bagaż, jaki zabiera ktoś, kto wyrusza samotnie w drogę. Nie przywołał służby do pomocy w przygotowaniu do wyjazdu z Henaśamef, nie kazał naszykować sobie skrzynek i tobołów, towarzyszących zazwyczaj arystokracji w podróży po kraju. Według doniesień gwardzistów, Parsynan nie miał tu swojej pani, rodziły się zatem pytania, czy był istotnie właścicielem owej biżuterii i dlaczego nie chciał skorzystać z pomocy służących.

–Rozkazałeś zabić więźniów – rzekł Tristen bez wstępnej mowy – podczas gdy ja rozkazałem, by czekali na mnie bezpieczni.

–Uczyliem tak zgodnie z prawem, Wasza Miłość, oraz w imieniu króla.

–Król mnie tu przysłał i nie jesteś już wicekrólem.

–Ale wciąż królewskim oficerem, Wasza Miłość.

–Kapitanie Anwyll. – Skinieniem ręki wezwał Anwylla do złożenia raportu. Kapitan zbliżył się od drzwi i stanął blisko schodów.

–Wasza Miłość, Jego Lordowska Mość przejął jeńców. Przekazałem Jego Lordowskiej Mości treść twoich rozkazów, panie, zgodnie z którymi miał ich wziąć pod straż...

–Jak śmiesz! – krzyknął Parsynan. – Nic takiego mi nie mówiono! Wydałem decyzję o egzekucji zdrajców w oparciu o królewskie prawo, a któryż człowiek, szlachetnego czy nikczemnego urodzenia, odważy się powiedzieć, że nie byli to zdrajcy? Nie ścierpię, by mnie zniesławiano! Dostałem od Jego Królewskiej Mości nakaz powrotu do stolicy, a więc wyjadę stąd wraz z moją eskortą!

–Czyje były klejnoty? – zapytał Tristen.

–Dostałem je w darze, Wasza Miłość!

–Możesz wziąć konia i jednego człowieka, a kiedy przybędą wozy, odeślę ci, co do ciebie należy.

–Wypędzasz w środku nocy królewskiego oficera niby zwykłego ciurę?

–Byłeś przecież gotów do wyjazdu. A co do biżuterii, tę sprawę muszę jeszcze wyjaśnić. Tobie także nie wolno zniesławiać królewskiego kapitana.

–Nie podlegam twojej władzy! Nie pozwolę się wygnać w taki sposób, bezpodstawnie oskarżony!

–Oskarżenia nie są bezpodstawne! W czasie rzezi zginęło trzech mieszkańców miasta. Niewinni ludzie, którzy mnie popierali. Radzę ci wyjechać bez zwłoki, zanim wszędzie słońce!

Mężczyzna wahał się chwilę, która wydawała się nieskończenie długa. „Odejdź bez słowa” – wyraził Tristen w myślach życzenie. Wówczas gniew pękł niczym nagięta gałąź. Parsynan pochylił głowę z powściąganą kurtuazją, cofnął się, odwrócił z pokłonem i wyszedł, wszystko z zachowaniem ścisłych wymogów etykiety.

–Panie – rzekł Uwen dyskretnie za jego ramieniem, po czym pochylił się odrobinę, choć w sali byli tylko gwardziści. – Panie, proszę, tylko nie życz mu źle. Niech ino gdzie na schodach upadnie, a w całej prowincji od plotek się zatrząsie i nie będzie końca naszym kłopotom.

Nigdy dotąd Uwen nie udzielił mu podobnej przestrogi. Być może dostrzegł wzbierający w nim gniew. Ale Emuin powiedział...

Emuin powiedział...

Nabrał głęboko powietrza i odetchnął. Od wielu godzin nic myślał o Emuinie. Nie pytał go o radę.

Obecnie w szarej przestrzeni panował zamęt, który Tristen dostrzegł, ledwie zadał sobie pytanie, co tam się teraz dzieje. Umknął natychmiast, postanawiając nie odwiedzać owego miejsca, dopóki nie poczuje, że w szarości znów zapanował względny spokój. Chwiał się rzekomo uporządkowany świat bogów, przy czym wielu elementom wciąż nie przydzielono miejsca w przyszłej strukturze; gdzie uważał za stosowne, tam Tristen łamał belki rodzącej się konstrukcji albo wstawiał stemple i podpory, żeby urzeczywistnić własną koncepcję, ciągle ze świadomością uciekającego czasu.

Młody Crissand nie zginął. Ludzie Crissanda odbili go Gueleńskiej Gwardii i bronili do upadłego, przy czym wielu, bardzo wielu mieszkańców jego rodzinnego dystryktu straciło życie. Zginęli także trzej dzielni mieszczanie, którzy postanowili interweniować, chociaż – i w tym się tylko przejawiała litość wicekróla – reszta mieszczan, co ruszyli, by walczyć z rebeliantami, została przed rozpoczęciem kaźni usunięta z dziedzińca, a amefińskich lordów dla ich bezpieczeństwa zamknięto na stajennym podwórku.

Parsynan usłucha rady i wyjedzie, dzięki czemu trzeba będzie uporać się jedynie ze zniszczeniem, a nie z niszczycielem.

Do spustoszeń poczynionych przez Parsynana zaliczała się też zszargana reputacja Gueleńskiej Gwardii, załogi zamkowego garnizonu. Żołnierze zastosowali się do rozkazu i dokonali rzezi. Anwyll radził, w czym sekundował mu Uwen, by odesłać

wraz z Parsynanem jedynie namiastkę regimentu, przypominając lordowi, że nie nadszedł wyraźny rozkaz zmniejszania liczebności garnizonu i że Cefwyn z pewnością nie wysunie żadnych zastrzeżeń.

A zatem po przybyciu wozów tylko niewielka część jednostki powinna wyruszyć z powrotem do Guelessaru jako straż mienia Parsynana, reszta zaś – pozostać. Ludzie ci musieli odzyskać honor, tak twierdzili Anwyll i Uwen, a najłatwiej mogli tego dokonać tutaj, nie zmuszeni do borykania się z przekręcającym fakty Parsynanem, wmawiającym im, że wykonywali godne żołnierzy zadanie. Obecnie nic nie było w stanie przysporzyć chwały Gueleńczykom, chyba żeby otrzymali za coś wyróżnienie od innego lorda – wtedy zmyliby piętno hańby. Lecz takim lordem nie mógł być Parsynan.

Anwyll przemawiał ze swadą, skarżąc Gueleńską Gwardię, wszelako wina nie leżała li tylko po stronie żołnierzy tej jednostki, ze wstydem patrzących w oczy ludziom ze Smoczej Gwardii, ale także po stronie samego kapitana. Anwyll został zaskoczony, nie sprzeciwił się, gdy Parsynan konfiskował mu jeńców, przez co do końca życia będzie zapewne żałować tego, że posłuchał królewskiego oficera zamiast diuka Amefel. Kiedy już Anwyll przekazał więźniów Parsynanowi, nie mając pojęcia, co wicekról chce z nimi zrobić, masakrę można było zażegnać wyłącznie poprzez uderzenie na Gueleńską Gwardię. Takie posunięcie obarczyłoby całą winą niewiele znaczącego kapitana, a prawdziwy sprawca, lord Parsynan, otrzymałby tylko umiarkowaną reprimendę. Tak więc nikt nie miał czystego sumienia, a dwa regimenty królewskich gwardzistów musiały wznieść na siebie miecze.

Oto, czego dokonał Parsynan tej nocy. Nie zginął żaden z Gueleńczyków, lecz zaistniałych zdarzeń nie dało się cofnąć i kto wie, czy gueleńską armia będzie kiedykolwiek taka jak dawniej... Poza tym amefińską krew przelano jeszcze przed masakrą na dziedzińcu.

Z tych wszystkich powodów nowy dzień jego rządów w Amefel zaświta z mniejszym niż zwykle splendorem. Gdyby miał teraz możliwość wyboru, pomyślał Tristen, odwiedziłby swoje konie, spotkał się ze znajomymi, znalazł sobie kubek na wodę nie pochodzący z kredensu lady Orien oraz łóżko, w którym nie spala... Albo posiedział gdziekolwiek, byle nie w tej sali, zmuszony do wypuszczania na wolność winowajców i zmagania się z rozgniewanymi ludźmi.

Tristen mógł jednym słowem odsunąć od siebie wszelkie powinności i pofolgować zachciankom, ale czuł ciężące na nim obowiązki. Obserwował niegdyś, jak Cefwyn, bez względu na zmęczenie i porę dnia, bierze się w garść i wypełnia każdą powinność. Teraz wiedział, że Cefwyn dał mu to, czego dać mu nie mógł ani Mauryl, ani Emuin: był dla niego wzorem władcy. Dlatego wiedział, jak musi postępować.

Jednakowoż... razem z owym poczuciem obowiązku naszła go pokusa, przed którą

ostrzegali Mauryl i Emuin, połączona z silnym uczuciem strachu. Pragnął z całego serca zrobić kilka rzeczy, by naprawić zło, jakie dokonało się tej nocy. Pragnął wrócić do pamiętnej chwili na schodach Wschodniego Dziedzińca, a będąc tam, nie oddać Anwyllowi jeńców pod opiekę. Żałował... a w odróżnieniu od Uwena, Anwylla czy jakiegokolwiek nie będącego czarodziejem człowieka, miał zdolność sięgania do szarej przestrzeni, gdzie wszystkie chwile zlewają się w jeden czas. Widząc śmierć u swych stóp, zdawał sobie sprawę, że mógłby pożegłować hen, w szarość, odnaleźć tamten moment – wcale nie w celu poprawienia przeszłości, ale by znaleźć punkt widokowy podobny do szczytu wzgórza w Guelessarze, znów stanąć na stopniu Wschodniego Dziedzińca, zobaczyć siebie, zobaczyć Anwylla i, co ważniejsze, zbadać ówczesny stan szarej przestrzeni.

Tym sposobem mógłby poznać wpływy, jakie wtenczas działały.

Był w stanie wrócić. Zawsze czuł tę pokusę. Mógł jeszcze raz przemierzyć Drogę, która wyprowadziła go z Marny, i dokonać niezbędnych poprawek w szarej przestrzeni, gdzie czas definiowało się inaczej i gdzie wszystkie drogi były tą samą Drogą.

Odważyłby się na to? Czy się kiedyś odważył... lub odważy?

Czy stojąc wtedy na schodach, czuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach i włos się jeży na karku? A tak właśnie czuje się ktoś w obliczu gościa spoza teraźniejszości... Tak jak on sam, gdy spotkał Ciebie w lesie, dawno temu, idąc do świata Ludzi – Ciebie będący nim samym, mądrzejszym, wracającym wzdłuż Drogi usłanej niebezpieczeństwami.

Przybył, ażeby wyprzeć wroga z Drogi, Miejsca i rozstajów zdarzeń, skąd czarnoksiężka sztuka Hasufina czerpała swą moc. Pozbawił Hasufina Heltaina owego przyczółka egzystencji, czyżby miał on jednak inne przyczółki?

A może... i Tristen je posiadał?

Być może tej nocy niczego nie wyczuł, wszakże latem, kiedy po raz pierwszy wszedł do dolnej sali, poczuł i dostrzegł czyjąś obecność... Stara sokolamia, tak mu wówczas powiedziano, z czasów, gdy nowoczesna wielka sala była jedynie przestrzenią na znacznie większym Wschodnim Dziedzińcu. Na tamto wspomnienie nadal ogarniała go trwoga.

A może jedną z istot nawiedzających to ponure miejsce był on sam, wmieszany w jakieś straszne wydarzenie, na przykład w podejmowanie decyzji na stopniach Wschodniego Dziedzińca? Bez wątplenia przebywało tu mnóstwo Cieni... Przypuszczalnie nie wszystkie miały upiorną naturę, wielką moc i gwałtowny charakter: musiały istnieć również rozżalone Cienie, napawające dziwną obawą –

Cienie o lepszych intencjach i lepszych myślach, wędrujące szlakiem, którego koniec łączy się z początkiem na podobieństwo pór roku, nawiedzające wiecznie to miejsce, skrzyżowanie „byćmożebyło” z „byćmożebędzie”.

Miał zimne dłonie – wspierały się o kamień. Nie zauważył, przynajmniej na tej sali, żadnego ducha będącego nim samym, a tylko kilku żołnierzy, niewątpliwie skonsternowanych jego błędzeniem w obłokach.

Tymczasem posadzkę wielkiej sali w trakcie bitwy zbrukała krew...

Krew, której moc pozwalała wzywać umarłych, wypełniać szczeliny w czasie i zespać wszystko, co istniało. Emuin nie był zdolny do podobnego zaklęcia.

Czy udało się ono kiedyś Mauryłowi? Czy siedziało właśnie w tej sali, na tym krześle, kontemplując kwestie życia i śmierci? Naprawdę siedziało tu z własnej woli? A może z woli Mauryła?

–Panie – przypomniał mu Uwen. – Lordowie czekają na ciebie, chłopcze.

Żołnierze wlepiali weń wzrok. I czy żegnali się z obawy przed jego potknięciem? A może myśleli o własnych błędach w tej strasznej godzinie?

Był to punkt zwrotny nocy. Godzina początku i końca.

–Niech wejdą – rzekł do Uwena.

Rozdział drugi

Amefińscy arystokraci, wypuszczeni z więzienia na stajennym dziedzińcu, czekając za drzwiami, musieli widzieć, jak Parsynan opuszcza w gniewie salę.

Uwen nie radził mu życzyć źle Parsynanowi. Zgadzał się z nim, lecz nie zamierzał mu też życzyć dobrze. Pragnął, ażeby niedawny wicekról wyjechał z Amefel, zanim on rozmówi się z ludźmi, i żeby jego wpływy zanikły w Henaśamef, zanim on rozpocznie swoje rządy w prowincji.

–Niech wejdą earlowie – powtórzył, a zdając sobie sprawę ze swego zmęczenia i pamiętając, że władza diuka w tej sali pozwala na rozporządzanie tak w rzeczach błahych, jak w kwestiach życia i śmierci, zwrócił się do Uwena: – Znajdziesz gdzieś dla mnie kubek czystej wody?

–Zaraz. – Uwen podał mu swoją żołnierską manierkę. Woda smakowała siarką, budziła wspomnienia o klasztorze w Clusyn.

Nim wychylił trzy łyki, zaczęli wchodzić lordowie, wyczerpani, oburzeni,

przestraszeni.

Gdy oddawał manierkę Uwenowi, drżała mu ręka nie tyle z zimna, co z wycieńczenia. Siedząc w ubraniu nadal noszącym ślady krwi i sadzy, wodził spojrzeniem po strzępach swego dworu, uboższego o jednego z najsilniejszych ludzi, którego powiązania spajały pomniejsze rody, a między tymi możniejszymi zaprowadzały pokój.

–Gdzie jest thane Crissand? – zapytał półgłosem Uwena. – Odjechał czy jeszcze tu przebywa?

–Za drzwiami pod ścisłą strażą czeka. Do domu poszedł, jeno potem wrócił. Życzeniem jego jest w tej sali stanąć w miejscu swojego rodzica. Cóż, jam wiadomość przekazał, reszta nie w moich rękach spoczywa, panie. Zali go wpuścimy?

Syn buntownika, syn zdziesiątkowanego rodu, obarczony żałami, które lord wicekról uczynił rzeczywistymi i uzasadnionymi, był ciężarem nie tylko w świecie Ludzi. Tristen przewidywał wątpliwości Anwylla. Istniały też konsekwencje. Mauryl wszczepił w jego serce ową pierwszą regułę czarnoksięstwa i pierwszą zasadę sprawowania władzy.

–Wprowadźcie Crissanda – powiedział. – Tylko miejcie na niego oko.

–Wasza Miłość – zapytał Anwyll, wstępując na stopnie podwyższenia. – Mam rozkazać archiwście, żeby ponownie odczytał dokument? Nie wszyscy go chyba słyszeli. Potem Wasza Miłość może ich prosić o złożenie przysięgi, a ja radzę, by to się stało niebawem.

Gueleńscy gwardziści przykładali wielką wagę do ceremonii i przysięg: była to swoista odmiana magii, powodująca w ich odczuciu ustawienie pewnych zapór za pomocą słów mających, co zauważył, rzeczywiście jakąś moc. Anwyll, działając w zgodzie ze wskazówkami otrzymanymi bezpośrednio od Idrysa, ufał, że przynajmniej ta sprawa pójdzie gładko. W przeciwnym razie czekał go niechlubny powrót do Guelessaru.

–Niech i tak będzie – zdecydował Tristen. Na skinięcie Anwylla archiwista stanął w najjaśniej oświetlonym miejscu, przechylił pergamin dla lepszego widoku i czystym, dźwięcznym głosem odczytał proklamację, popełniając mniej błędów, niż kiedy czytał ją przed bramami.

Tym razem, w tej posępnej sali, wśród tylu poważnych ludzi, nikt nie wznosił okrzyków: „Lord Sihhe!” Tym razem Tristen niewielką uwagę zwracał na treść pisma, za to z większym skupieniem śledził twarze earłów i usiłował przypomnieć sobie ich imiona. Tamten na przedzie to Cuthan – nie wyszedł na dziedziniec, kiedy furczały

strzały, co nikogo nie mogło dziwić. Był to sędziwy, wąły człowiek, który zawsze się trząsał i dygotał. Co innego jego intelekt, o czym Tristen przekonał się latem. Cuthan przewodził earlom – tylko jemu Cefwyn mógł powierzyć funkcję diuka Amefel, jeśli Cuthan zgodziłby się ją objąć. Ale wymówił się od tego, narzekając na wiek i zdrowie. Wówczas Edwyll wysunął swoją kandydaturę do objęcia owego honorowego stanowiska. Skoro więc odpowiedni człowiek wyraził swoją niechęć, a człowieka chętnego łączyły więzy krwi z wygnanymi Aswyddami, Cefwyn funkcję diuka powierzył lordowi Parsynanowi.

Bardziej zgodny był Murras – gruby, wesoły człowiek. Największa odwaga cechowała natomiast Drummana, chudego niczym patyk i jednego z najmłodszych earłów, z widoczną dumą i zadowoleniem obnoszącego zakrwawiony bandaż, zaszczytną pamiątkę wyniesioną z podwórca przed stajniami. Śniady Edracht i szpakowaty Prushan: żaden z nich nie przepadał za starym Cuthanem, zatem ktoś mógłby ich uważać za naturalnych stronników przeciwnych frakcji; Tristen jednak przypuszczał, że nie żywią wcale przyjaźniejszych uczuć względem pozostałych dostojników.

Przybyli też lordowie z zachodnich dystryktów. Earl Marmaschen, ten z rozdwojoną brodą, zawsze okazywał spokój. Obok stali Zcreshadd, Moridedd i Brestandin. Ta czwórka nigdy się nie rozstawała, wszyscy pochodzili z ziem położonych najbliżej Henaśamef. Ich dziwaczne imiona budziły wieczną ciekawość: nie wywodzili się z Amefel, przybyli ongi z południa, z terenów położonych dalej niż ziemie Ivanimow – takie Tristen odnosił wrażenie, chociaż nie wiedział, skąd się ono bierze.

Ze wschodnich stron, graniczących z Guelessarem, na audiencję ‘przybył Durell, lubiący sobie popić na ucztach, tej nocy wszakże zupełnie trzeźwy. Prócz niego Civas, człowiek cichy, bez znaczenia. A także Lund, bardziej przypominający farmera niż earla. Azant natomiast mieszkał nad samą rzeką.

Wreszcie kapłani powychodzili z kryjówek, gdzie czekali na wynik potyczki. Patriarcha terantynów, Pachyll, nie wyglądał wcale na niezadowolonego: odziany w nieskazitelnie szare szaty, gładził brodę i kiwał głową niemal przy każdym wersie czytanej proklamacji. Cadell, opat bryaltynów, bez ozdób i symboli, z policzkami oblanymi szkarłatem mierzył swojego nowego diuka płomiennym wzrokiem. Kapłan quinaltynow chował się jednak w cieniu przeciwległej ściany, blisko gueleńskich żołnierzy, wsunawszy dłonie w szerokie rękawy.

„Daj mu jakiś prezent” – poradził mu Idrys. Być może człowiek ów wyzbyłby się strachu... bo teraz wyglądał na wystraszonego.

Wreszcie Crissand, ciemnowłosy jak większość Amefińczyków, stał w cieniu pod świecznikiem, zmęczony i nieszczęśliwy. Nikt go nie pilnował, nie towarzyszył mu żaden lord, żaden kapłan. Ponościł największą odpowiedzialność za dramat tej nocy,

był spadkobiercą niechcianej spuścizny... ale też spadkobiercą jednego z amefińskich rodów, występując o przyznanie mu dóbr Meiden, choć przecież mógł zaczekać, dopóki nie zmniejszy się niebezpieczeństwo, albo poprosić przyjaciela bądź kapłana o wstawiennictwo w swej sprawie. Przybył jednak dobrowolnie, by osobiście przedstawić własne roszczenia; podjął wielkie ryzyko dla siebie i swoich ludzi.

Tymczasem dobiegało końca odczytywanie proklamacji. Zbliżała się pora składania przysięg i odczytu kolejnego dokumentu, jaki przywiózł z sobą archiwista. Przysięgi te miały wyjątkową treść, całkowicie różną od tych wygłaszanych w pozostałych prowincjach Ylesuinu. Aswyddowie byli królami w Hen Amas wiele wieków temu, kiedy pojawiło się pięciu sihijskich lordów. Według kroniki bryaltynów Aswyddowie, zamiast myśleć o obronie, rozwarli na oścież bramy, w zamian za co Barrakketh pozwolił ówczesnemu monarsze zachować królewski tytuł aethelinga.

Potomkowie Barrakketha nie mieli żadnych zastrzeżeń, a i Marhanenowie woleli nie protestować. W ten oto sposób amefińscy earlowie składali przysięgę przed własną, królewską władzą, a ponieważ aetheling był earlem wśród innych earłów, to skomplikowane rozumowanie pozwalało earlom z Amefel zachować swoje niewielkie posiadłości, bo chociaż Gueleńczycy nie uznawali tytułu earla, mieszkańcy Amefel uważali go za odpowiednik diuka.

Tak więc earlowie przypisywali swej odrębności wśród pozostałych prowincji Ylesuinu żywotne znaczenie, ceniąc ją niby własną krew, jakkolwiek nie mieli już wiedz i nie utrzymywali na swoich włościach zbrojnych hufców, odkąd Selwyn, pierwszy król z linii Marhanenów, zburzył ich baszty, przez co większość zamieszkała w bogatych rezydencjach wokół głównego placu w Henaśamef. Taką historię zawierała Czerwona kronika. Owo pieczołowicie pielęgnowane słowo „aetheling” przydawało lordom królewskości, jeśli zasiadali na tym, co Amefińczycy, nie dbając zbytnio o pozory, zwali tronem w Henaśamef... A Marhanenowie nie zgłaszali sprzeciwu, jak długo aethelingowie z rodu Aswyddów, kiedy przebywali poza granicami prowincji, uznawali się za wasalów Marhanenów.

W komnacie stał obecnie daleki spadkobierca Aswyddów. Crissand jednak nie podejmował walki swego ojca o prawo do tytułu, skutkiem czego po raz pierwszy w historii Amefel earlowie musieli bądź to złożyć przysięgę człowiekowi nie będącemu ani Aswyddem, ani aethelingiem, bądź wystąpić przeciwko Marhanenom, doprowadzając do katastrofy, którą Cefwyn zażegnał poprzez wygnanie lady Orien Aswydd oraz ustanowienie rządów wicekróla.

Mimo że amefińscy earlowie nie mogli już władać na własnej ziemi (z wyjątkiem kilku na wschodzie, jak Durell) uważali swą prowincję za królestwo i rościli sobie prawo wyboru rządców. Dlaczego Edwyll wywołał tak pośpieszną rebelię, pozostawało w sferze domysłów, lecz zgromadzeni na sali lordowie snuli przypuszczenia, odwołując

się do starożytnych przywilejów.

Odczyt się zakończył, umilkły echa. Archiwista zaszeleścił drugim dokumentem.

–Przysięgi, tradycyjne przysięgi, w niezmienionej postaci. „Jego Miłość diuk Amefel wzywa Wasze Lordowskie Mości do złożenia przysięgi wierności na warunkach, jak poniżej...”

Co zrobicie? – zastanawiał się Tristen. – Przysięgniecie, czy nie?

Chyba przysięgniecie. Dla pokoju i waszego własnego dobra, życzę sobie, żebyście to uczynili.

Cuthan pochylił na moment głowę, ujął oburącz laskę o złotej rękojeści, a gdy archiwista przeczytał ostatni ustęp, podniósł wzrok.

–Wasza Miłość – powiedział drżącym ze starości głosem; ruszał się chwiejnie, lecz oczy mu błyszczały żywym blaskiem. – Wasza Miłość, jak długo żyję, nie przypuszczałem, że dnia pewnego Jego Królewska Mość w Guelessarze zaproponuje spadkobiercy Mauryła sukcesję po Aswyddach.

„Zaproponuje”, takiego słowa użył, zamiast powiedzieć „ustanowi” bądź „wybierze”. Przebiegły starzec szukał sposobu, by przyjąć, co nieuniknione, a jednocześnie nie burzyć fundamentu amefińskiej suwerenności.

–A zatem przysięgniesz? – zapytał Tristen.

–Tak – Cuthan kiwnął zdecydowanie głową. – Tak, spadkobiercy Mauryła przysięgnę.

Kolejna szermierka więzami lojalności, chytra, wyważona gra słów, niebezpieczna o tyle, że miała szansę stać się w przyszłości powodem zatargów, a nie było na podorędziu archiwisty z piórem, który mógłby wszystko zapisać.

–Tak – rozlegało się za plecami Cuthana, wychodząc z ust wszystkich zgromadzonych lordów, nawet Prushana i Edrachta, przeciwnych wyborowi Parsynana czy jakiegokolwiek gueleńskiego wicekróla. Przeciwnych także Edwyllowi, który pragnął dziedziczyć po Orien Aswydd. Dzięki chytrej formułce starca runęły wszelkie przeszkody. Należała mu się wdzięczność. Ale człowiek potrafiący z taką łatwością uśmierzyć nawałnicę... mógłby ją także rozpętać, w obu przypadkach dla osiągnięcia osobistych celów. Ach, tej jesieni Tristen widział w Guelessarze znacznie więcej, niż chciał zobaczyć.

–Przybywam tu jako spadkobierca Mauryła, a zarazem przyjaciel Jego Królewskiej Mości – rzekł spokojnie, choć od początku naginał wolę lordów, nawet wolę Cuthana.

– Lord Edwyll nie żyje. Nie ja go zabiłem. Co się tyczy lorda Parsynana, rozkazałem mu opuścić Amefel. I teraz to ja dowodzę garnizonem. – W sali zaległa głęboka, martwa cisza. Nikt nawet nie drgnął w licznym zgromadzeniu. – Pragnę waszego dobra i bezpieczeństwa. – Wodził oczyma po obliczach earłów, kapłanów i... stojącego na uboczu Crissanda. – Archiwista przygotował teksty tych samych przysięg, jakie złożyliście ostatnio przed lordem Herynem. Skoro chcecie przysięgać, przysięgajcie.

–Po tośmy się tu zebrali – powiedział Cuthan, odchrząknawszy. Dłonie zsiniały mu na trzymanej kurczowo lasce. Pochylały się głowy. Młody archiwista szepnął coś pilnego Uwenowi na ucho, a kiedy uzyskał odpowiedź, z chrzęstem twardego papieru odwrócił stronicę dokumentu.

–Archiwista nie zna protokolarnej kolejności – rzekł Uwen ściszym głosem. – Chyba że z książki. Earl Meiden, dziedzic jego i tak dalej... to pierwsze imię.

–Earl Brynu – powiedział zamiast tego Tristen. Zobaczył, jak Crissand stoi nieruchomo z zaciśniętymi ustami, gdy Cuthan, earl Brynu, występował pierwszy.

Amefińczycy przysięgali na stojąco, podawali prawą dłoń, lecz nigdy nie klękali: tylko ich diuk klękał, kiedy musiał złożyć przysięgę poddańczą królowi Marhanenowi, choć hołdu takiego nie wymagali od władców Amefel nawet sihijscy lordowie.

A zatem Tristen powstał, by ująć rękę starca. Patrzył mu prosto w oczy, gdy archiwista zaczął czytać, stękając przy amefińskich nazwach. Jednakże starzec przy pierwszej okazji wpadł mu w słowo i czystym, donośnym głosem wypowiedział z pamięci tekst przysięgi;

–Ja, Cuthan, earl Brynu, w imieniu Tarasu i Bru Mardanu wraz z ich thane'ami, przysięgam praw władcy Hen Amas bronić, pod jego wodzą na wojnę ruszać, daniny i należności zbierać, uznawać w nim suwerennego pana dworu i majątków wszelakich, a w każdej dyspucie przy jego sądzie obstawać.

Suwerennego. Właśnie to słowo, przeżytek dawnych epok, stanowiło o odrębności prowincji. Cefwyn zakazał wprowadzania jakichkolwiek poprawek.

–Ja, Tristen, władca Hen Amas... – zaczął archiwista, a on powtarzał jego słowa. Hen Amas, pradawna nazwa, równie stara, jak Kathseide, nazwa cytadeli, którą później uproszczono do Zeide. Nazwa Hen Amas ukazała mu wizję wieży, nie miasta, ukazała wsie i sady na tle znajomych wzgórz; co więcej, objawiły mu się następne Słowa i nie musiałby już korzystać z pomocy archiwisty, przysięgając: -...bronić praw twoich przed każdym roszczeniem czy napaścią i, jako twój lord suwerenny, sądy sprawiedliwe wydawać. – Wypowiadana przezeń formuła nie ulegała zmianie, podczas gdy przysięgi lordów były czasem nieco dłuższe, czasem krótsze, lecz

zawsze kończyły je słowa: „Jak długo ty dochowasz swej przysięgi, tak długo ja dochowam mojej w obliczu bogów”.

Wydawało mu się jednak, że ostatni podany przez archiwistę wers brzmi błędnie i nie powinien zawierać słów: „w obliczu bogów”. Chociaż wciąż chował pod koszulą modlitewnik, nie mógł w zgodzie z sumieniem przysiąc na bogów Efanora czy na dziewiętnastu bogów Emuina – bogów uznawanych przez czarodziejów. Czyż mógł się wiązać, na podobieństwo Ludzi, taką przysięgą?

I skąd brało się owo wrażenie, że kiedyś przysięgał inaczej? Dlaczego pamiętał sady rosnące tam, gdzie obecnie biegly najniżej położone ulice miasta i gdzie zbudowano stajnie?

Dlaczego wreszcie tę mniejszą salę pamiętał jako salę główną i wybrał na miejsce zaprzysiężenia? W pierwszych dniach jego istnienia rzeczy objawiały mu się z taką gwałtownością i siłą, że popadał w otępienie. Obecnie doznawał jedynie dziwnych zawrotów głowy. Przyjmował kolejne przysięgi, powtarzał bez zastrzeżeń słowa archiwisty, przy czym za każdym razem podawano mu dłonie – dłonie zaprawione w posługiwaniu się bronią, dłonie wątle starością, dłonie bez palca wskazującego... przekleństwo szermierza... dłonie okryte pierścieniami, opancerzone bogactwem. Amefińska wieś karmiła zamożnych ludzi, a tych tutaj earłów, podobnie jak miasta Henaśamef, nie złupił żaden najeźdźca w ciągu ostatnich wieków.

Pokozać ich? Nie, jeszcze nie pora. Zakrył przed nimi serce, tak samo jak wcześniej przed lordami Ylesuinu. Gdy wpatrywał się w nich przenikliwym wzrokiem, co poniektórzy podnosili nań oczy. Wiedział, iż Edwyll nie zrobił tego, co zrobił, przy biernej postawie reszty prowincji.

Ostatnim według protokołu był Lund. Crissand stał blady, ze ściągniętym obliczem, w oczekiwaniu na jakieś słowo, opinię, postanowienie lub przynajmniej wyraz dezaprobaty. Kiedy przysięgę składał wprzód pierwszy, potem drugi z lordów, nie oczekiwał chyba, że będzie trzecim czy czwartym, ale że zostanie wezwany na samym końcu, jeśli w ogóle. Pierwszeństwo protokolarne nie było li cczą formalnością. Przypominało sztandar, tarczę herbową, przywileje ziemskie, pakt wzajemnej pomocy i żaden z obecnych na sali ani na moment nie zapominał, że Crissand stoi z pustymi rękoma, czekając.

Czy gniew może podjudzić młodzieńca do popełnienia jakiegoś zuchwalstwa? Tristen wiedziałby o tym, gdyby tak było. Czyż miał postąpić inaczej lub okazać więcej litości? Kiedyś był pobłażliwy. Do teraz.

–Crissand, thane Tas Aden.

Wiedział, co to próba: Mauryl podejmował bardzo ciężkie próby, a teraz to on podjął

ryzyko, nie wiedząc, jak w następnej chwili zareaguje Crissand. Zrozumiał jednak, z jaką Mauryl walczył zajadłością, by powściągnąć swoje życzenia i czarodziejską moc, aby nie tworzyć niczego, co później musiałyby niszczyć. Cuthan był mądry i chytry. Ale ten młodzieniec... wielce go poruszył. Jako jedyny spośród wszystkich tu zebranych, mógł wyładować na nim swą złość lub stać przy nim do ostatka.

–Mam ci ufać? – zapytał Crissanda.

–Wasza Miłość.

–Czy mogę ci zaufać? – powtórzył. Nie usłyszał słowa „panie” z ust Crissanda Adirana czy kogokolwiek z Meiden. Jak dotąd.

Na chwilę zaległo milczenie. Chłód panujący w sali przejmował dreszczem zmęczone ciała.

–Czego sobie życzysz, Wasza Miłość? – Crissand przerwał ciszę.

–Prawdy.

–Czy Wasza Miłość mi uwierzy bez względu na to, co powiem?

Sięgnął ku szarej przestrzeni, musnął ją zaledwie. Crissand cofnął się o krok.

–Tak – powiedział. – A więc? – dodał. Ujrzał błysk przerażenia w zatopionych weń oczach.

–Panie... – rzekł młodzieniec półszepem. I milczał.

–Teraz to mówisz? – pozwolił, by cisza się przedłużała. Nie wciągał Crissanda głębiej w szarą przestrzeń. Ale ten młodzieniec miał dar. Pochodził z rodu Aswyddów. Stał w sali, z której ongiś jego krewniacy, obecnie wywłaszczeni, roztaczali rządy. Był, przynajmniej tej nocy, oskarżycielem owego wywłaszczenia. Cisza się przeciągała, a wiatr delikatnie dmuchał w szarym miejscu. – A więc powiesz mi prawdę?

–Panie – odparł Crissand, unosząc czoło. – Którą chcesz poznać? Prawdę o życiu mojego ojca? Prawdę o jego śmierci? Którą?

–Czy twój ojciec zadawał się z Tasmórdemem?

Earlowie rozglądali się, wstrząśnięci, przyłapani na granicy zdrady, wszyscy prócz Cuthana, który obłapiał kurczowo rękojeść laski i zaciskał szczękę. Dłonie gwardzystów pełzły bliżej mieczów. A tylko oni nosili broń na sali.

Crissand odpowiedział pewnym, wyraźnym głosem:

–Tak, panie, to prawda. Skoro Jej Miłość złożyła śluby przed Marhanenem, mój ojciec działał w porozumieniu z najsilniejszym rebeliantem w Elwynorze.

Zdrada, widoczna jak na dłoni. A jednak wicekról mówił prawdę.

Ale sytuacja nie była beznadziejna. Lordowie złożyli przysięgę. Podobnie jak on. Wszystkie złe uczynki należały do przeszłości, straciły ważność.

–Wybaczam ci to, do czego się przyznajesz – rzekł do thane’a Tas Aden. – Cóż na to powiesz?

–To powiem, że Sihhijczyk powrócił do Hen Amas. – Szara przestrzeń zadrżała, zatrzęsła się i uspokoiła. Crissand pochylił się i przyklęknął na stopniu podwyższenia, na oczach earłów i Smoczej Gwardii. – I to powiem, żeś jest moim panem i królem.

Wszyscy na sali wstrzymali oddech.

Była to wszak ni mniej, ni więcej, tylko amefińska przysięga, obdarta z irytujących słów, takich jak „aetheling”.

–Ja, Crissand, earl Meiden, przysięgam... – To zaczęło przypominać hołd poddańczy. Oto klęczał przed nim amefiński lord. Co miał mu w zamian odpowiedzieć? Rozsądek nakazywał przerwać ten rytuał, siłą podnieść z kolan samozwańczego earla i niczym się już nie wiązać. Poczł jednak w szarej przestrzeni delikatne drżenie, mogące być dziełem Ninevrise lub kogoś, kto przemieszczał się w pobliżu.

Sihhijczyk powrócił do Hen Amas.

Czy Crissand mógł tak powiedzieć? Lub on? Czy aetheling miał prawo klęczeć w tej sali niby przed najwyższym królem?

Archiwista obłąkańczo przewracał pergaminowe karty, które szeleściły w ciszy. Podniósł wzrok, zafrasowany. Earl Meiden zakończył krótką przysięgę słowami: -...i będę ci wiernie służył, jak nakazują mi honor i przysięga. W trwożnej ciszy nieszczęsny archiwista poszukiwał właściwego ustępu.

–Ja, Tristen...Znów trzepot stronic.-...przysięgam, żeś jest earlem Meiden i nad włościami Meiden władzę sprawujesz, twoje są wsie tudzież przywileje i prawa. Praw i ziem twych strzegł będę, jak długo ty na straży moich wytrwasz. Przysięgam to na życie.

Archiwista rozdziawił usta, a wówczas Tristen zdał sobie sprawę, że wcale nie powtarzał jego słów. Podniósł Crissanda. Ignorował spojrzenia archiwisty, earłów,

kapłanów i własnych żołnierzy, patrząc głęboko w oczy spadkobiercy Aswyddów.

–Mów prawdę, Meiden. Wojska Elwynimów przekroczyły rzekę?

Umilkły szmery paziów. Wszystko umilkło.

–Wschód słońca powinien dać im sygnał do rozpoczęcia przeprawy – odpowiedział Crissand. Tristen wiedział, że to szczerą prawdą, nadto zauważył, że nikt na sali się nie dziwi.

–Obawiam się, że was oszukano. Tasmórden prawdopodobnie nie przekroczy rzeki, skoro Jego Królewska Mość zamierza uderzyć na Elwynor od północnej strony. Chętnie by jednak zwrócił uwagę Cefwyna na południe, na Henaśamef, na jakieś dwa tygodnie, zanim zdobędzie lleffnian, dokąd właśnie wyruszył. Po dotarciu do celu wymorduje ludzi lojalnych Jej Miłości i przezimuje w bardziej komfortowych warunkach, dokonując wzmocnień. Pozostawiłby was, byście dla jego wyłącznie korzyści zmagali się zimą z Cefwynem. Udzieliłby wam może marnej pomocy, byle tylko zatrzymać tu do wiosny siły Cefwyna. – Tristen pewien był wypowiedzianych przez siebie słów, jakby mu się objawiały, ale nawet jego konkluzja nie była tak wstrząsająca, jak wisząca nad nimi wszystkimi groźba, którą wyczuwał w szarej przestrzeni. – To ze mną chce walczyć Tasmórden. Przekroczyłby rzekę dopiero po zdobyciu pewności, że Cefwyn znajduje się tutaj, we wrogiej prowincji, osłabiony wojną. Wtedy porzuciłby własne pola, by walczyć w Amefel. Napaścią na wicekróla pomogliście wyłącznie Tasmórdenowi, nie sobie.

–Panie mój, Sihhe – zaczął Crissand, zamierzając ponownie paść na kolana.

Nic mógł mu na to pozwolić. Tristen pochwycił go za ramiona i zajrzał mu z bliska w oczy.

–Należy mi się tytuł „Wasza Miłość”. Otrzymałem go w darze od Jego Królewskiej Mości, tego używaj.

–W takim razie... panie – rzekł Crissand słabym głosem, gdy go Tristen puścił. – Czego tylko chcesz.

–Chcę bezpiecznej granicy. Heryn Aswydd ścigał zbyt wysokie podatki, z czego zbyt wiele wydawał na serwisy obiadowe. Na wiosnę Amefel zbierze wojska i umieści lady regentkę na tronie w llefinianie. Tego właśnie chcę, panowie.

Ostatnia część jego wypowiedzi nie była dla nikogo nowiną. Cefwyn nie trzymał swych planów w tajemnicy, nawet przed Tasmórdenem. Tristen omiół spojrzeniem obecnych na sali earłów: na twarzach malowała się wielka powaga, a zarazem konsternacja z powodu szczerości słów jego i Crissanda. Być może dokonywano też powtórnej oceny przymierza z Tasmórdenem.

–Zdaniem niektórych, postępuję bezmyślnie – zwrócił się do earłów. – Ale szybko się uczę i nie jestem już takim głupcem, jakim byłem latem. Wiem przykładowo, że liczne amefińskie rody są bliżej związane z ziemią za rzeką niżli z resztą królestwa. Jeśli król Ylesuinu zdoła bezpiecznie posadzić panią Elwynoru na jej tronie, chłopci z waszych wiosek będą mogli za dnia przekraczać rzekę i bezpiecznie handlować. Jeżeli nadejdzie Tasmórden, zamieni Amefel w pole bitwy. Taka jest prawda, panowie.

Nie było żadnych zastrzeżeń.

Tristen nie miał nic więcej do dodania, marzył przede wszystkim o spokojnym śnie oraz odrzuceniu pasów i oręża, które dźwigał już dzień i noc. Czyżby świtało? Lojalność Crissanda pozostanie niezłomna albo osłabnie. Szara przestrzeń burzyła się i kipiła sprzecznością i ryzykiem, toteż pragnął, ażeby Crissand Adiran opuścił jego sąsiedztwo, zanim zażyczy sobie czegoś niemądrego i swoimi nieuporządkowanymi myślami wyrządzi trwałą szkodę.

–Dobrej nocy – powiedział. Przez mgnienie oka nikt się nie ruszał, potem ten i ów pochylił głowę i zaczął wycofywać się ostrożnie z sali, jakby nie chciał wyjść pierwszy. Crissand przeszył Tristena spojrzeniem, a wtedy w szarym miejscu, momentalnie zmieniając kierunek, zadał ostry wicher.

Crissand wszakże złożył pokłon i ku ogólnej konsternacji gwardzistów zaczął schodzić z podwyższenia.

Tristen potrząsnął głową w stronę sierżanta, aby ten pozwolił mu odejść.

Najdogodniejszą drogę ucieczki z każdej przydługiej ceremonii wskazał Tristenowi Cefwyn, który lubił korzystać z drzwi tuż za podwyższeniem. Przy wyjściu z sali zgromadził wokół siebie Uwena, Anwylla, archiwistów, orszak strażników, a także Tawwysa i Syllana, podczas gdy earlowie i kapłani musieli, przestrzegając kolejności, wyjść głównymi drzwiami.

Żaden z earłów nie ośmielił się zbliżyć, żeby go nagabywać – gdy mówili, odwracali dyskretnie ramiona i rzucali mu ukradkowe spojrzenia. Jedni wracali do domów, inni z niecierpliwością czekali na opuszczenie sali, by czym prędzej znaleźć sobie jakiś bezpieczny zakątek w Zeide, gdzie można swobodnie plotkować.

Tristen natomiast, świadom przerażenia gwardzistów, ruszył w stronę środkowej części budynku, gdzie widniały drzwi wychodzące na Południowy Dziedziniec i gdzie plątanina schodów pozwalała wybrać jedną z wielu dróg na górę.

–Co mam uczynić z lordem Meidenem? – zapytał Uwcen.

–Puśćcie go na wolność – odparł Tristen, choć wiedział w głębi duszy, że z osobą

Crissanda Adirana wiąże się śmiertelne niebezpieczeństwo... A w zasadzie Crissanda Aswydda, był on bowiem niewątpliwie Aswyddem. – Może pójść, dokąd zechce.

Taki wydał rozkaz. Gdyby Uwen był Idrysem, a on Cefwynem, śledzono by zapewne każdy krok Meidena, nie mówiąc jemu o niczym, żeby nie musiał się martwić.

Tymczasem Uwen nie był Idrysem i Tristen zdał sobie raptem sprawę, że nie ma przy sobie nikogo, kto mógłby poskramiać jego litość i wykonywać nieprzyjemne zadania. Uwen zadał pytanie, gdyż dostrzegał groźbę, lecz z żalem podjąłby się ukradkowych działań, skoro jego pan publicznie zagwarantował swoim honorem wolność Crissandowi. Tristen musiałby wydać mu wyraźny rozkaz, podczas gdy Idrys postępował nawet wbrew stanowczym zakazom swego suwerena.

Znalazł się nagle w ciężkim położeniu. Dał rękojmię i miał ją teraz cofnąć? Skoro nie był Człowiekiem, takie zachowanie pociągało za sobą coś więcej niż tylko zwyczajne konsekwencje, a on, nie należąc do Ludzi, czuł bardziej palącą od przeciętnego Człowieka potrzebę wykonywania przykrych posunięć czy badania mrocznych zakamarków.

Wędrowali wzdłuż dolnej sali w blasku dogorywających świec. Czeladź zamkowa wychynęła z przeróżnych kryjówek i gdzieś tam pozapalano świece, tak że widać było służących pracujących na całej długości sali, zmiatających i ścierających świadectwa rzezi z kamieni Hen Amas.

To oni, pomyślał, byli prawdziwymi opiekunami tego Miejsca: lordowie wysuwali propozycje, dyspozycje i żale związane z etykietą tudzież rozmaitymi przywilejami, ale to słudzy ścierali brud i krew, pomagając zapomnieć o strasznych chwilach.

Całe wydarzenie traktowali jako kolejną z rzędu zmianę pana w nie zakończonym jeszcze roku. Od lata nastąpiły już cztery zmiany, jeśli liczyć lorda wicekróla.

Wicekról wyjechał.

A on został piątym panem od początku roku.

Wraz z tym spostrzeżeniem ogarnęła go męcząca myśli słabość. Poczł głód? Pragnienie? A może po prostu chłód? Organizm nie przekazywał mu ścisłych informacji. Na końcu korytarza, odchodzącego po przeciwnej stronie wielkiej sali, sokolarnia wyznaczała upiorną granicę. W książących apartamentach na górze wciąż leżały trupy. W innej lordowskiej rezydencji, zajmowanej niegdyś przez Cefwyna, pozostawał nie zabrany bagaż wicekróla. Tęsknił za swoim dawnym, skromnym pokojem na najwyższym piętrze, lecz kto się bał, że czary wspomagają jego życzenia, nie miał nadziei na odzyskanie tego pomieszczenia, inaczej sprowadziłby nieszczęście na kogoś innego... jako że ktoś inny z pewnością tam teraz mieszkał. Nie ulegało wątpliwości, że diuk Amefel musiał się wprowadzić gdzie indziej: Uwen

nie pozwoliłby mu na wybranie czegoś skromnego. Ani Emuin.

A już w ogóle Cefwyn.

Cefwyn, Cefwyn, Cefwyn. Oto zawiła kwestia, której nie mógł rozwiązać z powodu zamętu w głowie po całodziennym jeździe i wydarzeniach nocy. Dreszcze targały całym jego ciałem, odczuwał przemożną potrzebę snu.

–Które pokoje mam zająć? – zapytał Uwena, kiedy nadszedł czas dokonania wyboru: schody na lewo prowadziły do byłych apartamentów Cefwyna, schody na prawo wiodły do sypialni Aswyddów. – Gdzie będę spał? – Własne pytanie zabrzmiało mu w uszach płaczliwie. Zagubionego niczym dziecko Uwen poprowadził Tristena ku schodom po prawej stronie.

–Szykują ci pokoje Aswyddów – oznajmił Uwen. – Czeladź od godziny ręce po łokcie tam urabia. Nigdzie nie będzie bezpieczniej. Jeszcześmy w każdą salę i kąt zajrzeć nie zdołali. Zajmie nam to pewnikiem kilka dni, winienesz tedy strzec się miejsc ciemnych i nigdzie beze mnie nie chodzić, bodajbyś Gueleńczyków miał z sobą. Jeno ze mną, chłopcze... No, może być też Lusin, ino nikt inny, choćbyś go znał na wylot.

Rozdział trzeci

W komnacie pachniało spalonym drewnem cedrowym i pastą do polerowania. Mogłoby się wydawać, że na krześle stojącym przy wysokim oknie z zielonymi zasłonami nigdy nie siedział nieboszczyk; wyniesiono już wszystkie ciała, by je gdzieś zakopać – ale gdzie, Tristen nie pytał. Posługaczom pracującym pod ścisłym nadzorem gwardzistów rzeczywiście udało się w krótkim czasie zmienić wygląd pomieszczenia. Zadbali zwłaszcza o to, żeby nie zostały na półkach żadne naczynia. Gwardziści trzymali wartę we wszystkich pokojach, toteż nie wyglądały na ponure i opustoszałe, jakimi mogłyby się jawić po zajściach krwawej nocy. Kiedy Lusin poszedł do stajni, Syllan objął dowództwo nad pilnującą drzwi strażą.

Służący przynieśli wodę w wielkich miedzianych wiadrach.

Czystą, gorącą wodę. Skoro wyniesiono wszystkich zabitych, mógł już tylko marzyć o kąpeli. Wyzbył się niechęci do tego miejsca.

–Chcę, byś był przy mnie, tak jak i nasi ludzie – powiedział do Uwena, kiedy przechodzili z komnaty do komnaty. – Biorę sobie do serca wszystkie twoje ostrzeżenia. Pragnę, by drzwi były zamknięte. Jedząc i pijąc, korzystajcie tylko z przywiezionych przez nas zapasów. – Głos jego przechodził z wolna w szept. Ledwo się trzymał na nogach. – Miejmy nadzieję na spokojne sny.

–Kapitan straży grodzkiej przykazał karczmy pozamykać. Człek żaden z kuflem piwa nie będzie po ulicy się szwendał. Lord Cuthan sługi swoje posłał, by knajpy na oku

mieli, coby tłuszcza, niech nas bogowie bronią, beczek nie wytoczyła. Kiedy co ucieszy ludzi, ponad miarę dokazywać zdolni.

–Czyżby się cieszyli? – Tristen przystanął, zdumiony, mając w pamięci postępki wicekróla i wszystkie okropne wydarzenia.

–Ho, ho, i to jeszcze jak, panie. Lud przecie mniemał, że przyjdzie mu zimą obłąkanie znieść, tedy się i raduje. Dla nich wszystko jedno, czyś czarodziej, czyli kto inny. W ich oczach ani żeś Gueleńczyk, ani wicekról, a słowo Sihhe w tych stronach nieszczęść nie zwiastuje. Tutaj możesz na dachy Zeide śmiało pioruny ściągać, nikt nie okaże urazy. Ano cieszą się, chłopcze, słusznie się cieszą na wieść o spokojnej zimie. Wreszcie żeś w domu. Obyś długo i szczęśliwie tu mieszkał, z całej duszy ci tego życzę. A może nie powinienem?

Radosne, a po części żartobliwe i tęskne życzenie Uwena, który słyszał wszystko, o czym mówiono na sali.

–Wybacz, panie, że powiem, lubo to mój rozum przechodzi: rację miałeś, earłów ganiąc.

–Naprawdę?

Uwen zaczerwienił się po uszy.

–Takie mam wrażenie. – Wbił wzrok w ziemię. – Dobrześ postąpił, panie. Tylko...

–Tylko co?

–Słusznieś ich napomniał, by nie gadali: „lord Sihhe”. Mógłby z tego być kłopot. Kapłan quinaltynów ręce chował w rękawy i spozierał, jakoby co złego połknął.

–Idrys radził mi złożyć dar quinaltynom. Chyba powinniśmy obdarzyć wszystkich kapłanów, żeby byli zadowoleni.

–Jeno sam im podarki zanieś, a będą skakać z radości.

–Mamy złoto.

–Ano, panie. – Uwen się roześmiał. – Wcale nielichy masz skarbczyk... Trzeba czym spieszniej przeliczyć jego zawartość. Ja bym tak zrobił, skoro lord wicekról klejnoty pakował, co mogły do pani Orien należeć.

–Do lady Orien? – Nie przyszło mu to wcześniej na myśl.

–Rzec trudno, wszelako Jej Miłość była duchessą Amefel. Jako pani na zamku, często zakładała piękne, zielone kamyczki. Atoli nie wiem, jakiego koloru klejnoty

wicekról pakował.

–A więc znowu ta Orien.

Twarz Uwena spoważniała.

–Na to wygląda, panie. Byłbym nader ostrożny ze wszystkim, co do niej należało.

Tristen omiół wzrokiem otoczenie: tapiserie, ozdobne drzwi, upodobanie do smoków.

–Jestem ostrożny.

Wrócili do wejścia, gdzie zatrzymał się i objął spojrzeniem swe dominium: ciężkie krzesła, masywne stoły, gobeliny przesywane jedwabnymi nićmi, dekoracyjne klosze ze złota i srebra. Niektóre stoły okrywała w całości warstwa pozłoty, a jeden z nich, obiadowy, miał nogi w kształcie dziwnych, wrogich stworów. Pomimo wysiłków służby w słabo oświetlonej komnacie, pełnej obszytych złotymi frędzlami, ciemnozielonych draperii, wciąż panował wielki zaduch.

Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, gdzie zbadał zieloną tkaninę, jaką kojarzył z Herynem, Orien i Aswyddami – całkiem słusznie, albowiem nadano jej heraldyczny odcień. Pociągnął za sznurek, by odsłonić okno. Zasłony rozsunęły się nadspodziewanie gładko, ukazując wycięte w romb szybki, noc, ciemność...

Trwożny wizerunek za oknem, grę światła i cieni na szkle.

Zwykłe odbicia. Podskoczyło w nim serce, lecz prędko się uspokoił.

Kiedyś jednak były rzeczywiste. Pewnej letniej nocy przyłapał lady Orien wraz z jej siostrą, Tarien, na uprawianiu czarów przy tym samym stole, który teraz widział kątem oka. Zdobione smokami kandelabry płonęły przy odbezpieczonych i otwartych lufcikach okien. Wokół zebrały się dworki. Wyobrażał sobie, że lada moment usłyszy szelest spódnicy lady Orien, poczuje ciężką woń perfum.

Przez chwilę marzył, by uciec z tego pokoju i gdzie indziej doczekać świtu.

Ale skoro nie potrafił zapanować nad tą komnatą i tutejszymi Cieniami, będąc ostrzeżonym, czujnym i bez porównania potężniejszym od kogoś, w którego żyłach płynie rozcieńczona krew dawnych Aswyddów, jakżeż uda mu się kiedykolwiek zapanować nad Zeide? Groźba przestanie istnieć, gdy wyjdzie jej naprzeciw, porachuje się z nią i odegna ją precz.

Ciekawe, co powiedziałyby Emuin na wieść o zdarzeniach dzisiejszej nocy? Nie wychwalałyby zapewne jego przezorności. Czyż listę swoich karygodnych poczynań

może jeszcze powiększać o ucieczkę wraz z gwardzistami do zakurzonej i nieużywanej sypialni ze strachu przed przekleństwem Aswyddów, on, spadkobierca Mauryła Gestauriena?

–Panie? – Uwen podszedł bliżej. – Panie?

W szybie odbijała się sylwetka ciemnowłosego mężczyzny, a za nim starszego, zmartwionego, siwego człowieka.

Wtem zerknął w mroki nocy. Cienie pędziły ku oknu zwartą ścianą czerni. Druga próba.

Uniół dłoń w przestrachu i po raz wtóry ujrzał tylko okno, a za nim zwyczajną noc.

Lady Orien wielokrotnie zapraszała Cienie do tego pokoju. Pertraktowała z nimi, otwierała okno, osłabiała Linie na ziemi ustanowione przez Murarzy, kiedy wytyczano fundamenty Zeide – czyniła tym samym nad wyraz niebezpieczny wyłom. Pragnęła, by przybyła do niej moc... Uwiązana jednak do Zeide, działała bezmyślnie lub powodowała nią arogancka duma. Poprzez to okno Orien dawała upust swym ambicjom, swej złości i nienawiści... Sprawy przybierały bardzo zły obrót, mogły bowiem wlatywać tą bramą o wiele starsze duchy. Do środka o mało nie dostał się Hasufin Heltain. Ów starożytny, wygnany duch potrzebował zwykle jedynie malutkiej wyrwy, by przeniknąć do wewnątrz, lecz o wiele, wiele większej w przypadku tak dobrze zabezpieczonego miejsca, jak Zeide, na dodatek odległego od ośrodka jego potęgi. Hasufin, czy cokolwiek tutaj dotarło, nie zdołało przełamać wszystkich zapór.

W Ynefel... Hasufin odniósł sukces. No i forteca, broniona przez najpotężniejszego czarodzieja pod słońcem, legła w gruzach. Czyż w takich okolicznościach można było lekceważyć choćby najmniejszą szczelinę?

Ot, jak tę pod rogowym oknem... Czy wdarł się tamtędy? A może to jego młodzieńcza ciekawość złamała zapory Ynefel?

Dotknął brzegu okna, a potem poprowadził palec wzdłuż parapetu, aż do ściany. Musnął metalową ramkę uchylnego lufcika i powiódł palcem po klamce. Powtórzył całą operację. Trzy razy, tak powiedział mu Emuin. Jednokrotnie – przypadek, dwukrotnie – liczba podzielna, trzykrotnie – ani przypadek, ani liczba podzielna. Trzykrotność tworzyła zaporę niezwykle trudną do pokonania dla duchów.

Uwen śledził w milczeniu jego poczynania, nie przerywając mu.

–Ze wszystkich moich domowników ciebie cenię najbardziej – rzekł Tristen. – Życzę ci wszystkiego najlepszego, Uwenie. Wszystkiego najlepszego. Życzę ci naprawdę wszystkiego najlepszego.

Powiedział to po trzykroć, a pomny słów Emuina, według którego posiadał jakąś nieugiętą władzę nad magią, skorzystał z niej równie świadomie, jak podczas ceremonii na sali. Uwen milczał przez chwilę. Po drugiej stronie szyby umknęły Cienie, straciwszy swą moc, blednąc w pierwszym blasku jutrzeńki.

–Cieszę się z tego, panie – stwierdził Uwen na koniec.

Zasłona nieprzyjemnie pachniała kadzidłem.

–Czerwień – powiedział Tristen, po czym zebrał w garść zielony aksamit i spojrzał do góry na podtrzymujący go karnisz. Przy silniejszym pociągnięciu odpadłby z pewnością, lecz wtedy mogły ulec uszkodzeniu delikatne szybki w oknie lub stojące poniżej stoliki na smoczych nogach. Bez względu na to, jak nie znosił tego miejsca, stanowiło majątek Amefel, który on przysiągł pomnażać i chronić, a nie niszczyć.

Barwa ta wszakże miała dla arystokracji Ylesuinu konkretne znaczenie. Cała zgromadzona tu zieleń wołała na każdym kroku: Aswyddowie.

–Czy za złotą zastawę lorda Heryna można kupić nowe zasłony? Jak ci się wydaje?

–Raczej tak, panie. Bardzo możliwe.

Tristen dostrzegł w głębi szyby czekającego cierpliwie sługę.

–Wasza Miłość, kąpiel gotowa.

–Zagrzejcie więcej wody. Przynieście więcej ręczników. Oprócz mnie wykąpią się moi ludzie.

–Dyć to nie przystoi lordowi, panie – zaprotestował Uwen. – Ano, jesteś teraz lordem, chłopcze. Ja mogę się umyć razem ze służbą w pomywalni.

–Nie dzisiaj. Dzisiaj umyjecie się tutaj – zakończył kategorycznym tonem. Udał się do wanny, a potem odkrył, że służba zdjęła całą pościel z łóżka w sąsiedniej komnacie i zašlała je na nowo, posypując po wierzchu ziołami. Do srebrnych miseczek wlane wonne olejki, tak że w sypialni pachniało kwiatami minionego lata... albo kobiecymi perfumami.

Kiedy wyszedł, by powiadomić Uwena o zwolnionej wannie, siedzący przy palenisku gwardziści poczęstowali go gorącą herbatą, chlebem i opieczoną kiełbasą.

–To z naszych zapasów, panie – oświadczył Syllan. Kiełbasę piekli na ostrzu noża, który z pewnością nie pochodził z tego pokoju.

Tak więc Uwen się wykąpał, a później wszyscy obozowali niczym wędrowcy,

otoczeni przepychem Aswyddów.

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka. Jak się okazało, to Lusin powrócił ze stajni – w płaszczu miał pełno źdźbeł słomy.

–Kąpiel naszykowana – powiadomił go Uwen.

–Kapitanie – rzekł Lusin. – Mogę na osobności?

Gdy Uwen poszedł, by wysłuchać raportu, znikło zainteresowanie paleniskiem. Tristen nadaremnie nasłuchiwał – widział tylko, że oblicze Uwena posępnieje, a potem kapitan potrząsa głową. Najwyraźniej nie otrzymał dobrych nowin. Ramiona mu opadły, po raz drugi wstrząsnął głową.

Pryśł pogodny nastrój. Wszyscy patrzyli, jak Lusin wychodzi, a Uwen drepcze ku palenisku i siada.

–Jakie wieści? – zapytał Tristen.

–Jego Lordowska Mość wicekról na dobre z grodu wyjechał, nie czekając na żołnierza, co to miał mu w drodze towarzyszyć.

–Iz tego powodu się smucisz?

Uwen westchnął przeciągle.

–Nie dlatego, panie, że Jego Lordowska Mość plecy pokazuje. Bodaj tu nie wracał.

–Zatem co cię trapi, Uwenie? Mów śmiało!

–Jego Królewska Mość odjechał na Liss.

Tristen, do tej pory ospały i zmęczony, raptem oprzytomniał i zawrzał gniewem.

–Możemy wysłać gońca, panie, i o jej zwrot poprosić – zaproponował Syllan.

–Masztalerzem nie jest tu już mistrz Haman – mruknął Uwen ponuro – jeno człek przez wicekróla wybrany. Przeklęty gamoń pozwolił młokosowi Liss mu darować, która dzień cały pod siodłem biegła. Cud to będzie, jeśli w godzinę do cna jej nie zjeździ.

–Nie zjeździ – oświadczył Tristen. Nigdy nie był tak wzburzony i równie pewien swego. Ujrzał gościniec i ruch w szarej przestrzeni. Poczuł, jak świat drży, a jego oddech słabnie. Klacz strząsnęła z siebie dźwigane brzemie, jeździec wyleciał z siodła, kopyta zadudniły w omglonej szarości.

–Panie?

Klacz zwolniła, bardzo już zmęczona, wciągnęła w nozdrza zimne powietrze i poczuła na wiejącym od zachodu wietrze zapach ziarna i ciepłej słomy. Za nią rozlegały się kroki biegnącego i padały przekleństwa. Spłoszyły ją wyciągnięte ręce, odwróciła się i dała susa w kierunku, skąd napływała znajoma woń.

–Panie? – powtarzał Uwen, a tymczasem Liss puściła się na północ poprzez rozległe łąki.

–Dowiedz się – przemówił w końcu do Uwena, choć nie była to honorowa prośba – kto przebywa w domu Edwylla i komu wysyłają wiadomości.

Na krótko zaległo milczenie. Uwen już przedtem wyglądał na zmęczonego i zrozpaczonego. Teraz ta rozpacz narosła. Niemniej zrozumiał, czego się od niego wymaga i jaka zaszła zmiana.

–Tak, panie.

–Nie dowierzam nawet kapitanowi Anwyllowi – oznajmił Tristen, obejmując spojrzeniem Syllana, Tawwysa i Arana. – Jesteście moimi gwardzistami. Wam ufam. Dowiedzcie się wszystkiego o Crissandzie. Co jest rozchwiane, łatwo może upaść. Tak mawia Emuin, a on wie. Czary zawsze dosięgną tego nieszczęśnika, tę książkę na skraju półki, ten kielich zbyt blisko brzegu. – Do żadnych innych Ludzi nie zwracaliby się tymi czasy z równą otwartością. – Pilnujcie Meidena. Nie spuszczaście z niego oczu. Wymieńcie mi wszystkich jego przyjaciół, wszystkich wrogów... Poza tym odnajdźcie wszystkich dawnych służących tego zamku, by zapobiec na przyszłość wszelkim podobnym omyłkom. Odszukajcie mistrza Hamana, odszukajcie kuchmistrzynie i kucharki. Niech robią to, co robili. Niech Zeide będzie jak latem. Był też taki jeden chłopiec... – Cofnął się myślami do swego pierwszego dnia w Henaśamef i do chłopca, który zwabił go w pułapkę. Także jego uważał za czynnik podatny na czarodziejskie wpływy, a wszystkie podejrzone elementy chciał mieć na oku. – Ma na imię Paisi. Jest znany strażom przy bramach. Gdy go znajdziecie, dajcie mi znak.

–Panie – rzekł Uwen, a Tawwys i reszta pokłonili głowy, słuchając w powadze.

–On nie zatrzyma przy sobie Liss – obwieścił Tristen z nie mniejszą powagą.

–Tak, panie – powiedział Uwen bardzo cicho.

Znikły oznaki konsternacji. Być może zostały lepiej ukryte. Oto skonfrontował Uwena z sytuacją wykraczającą dalece poza wszystko, czego się kapitan spodziewał. Zranił go. Nie znał wszakże innego sposobu, by zapewnić im wszystkim bezpieczeństwo w Amefel.

Siedział nieruchomo w tym osobliwym obozowisku wiernych mu ludzi, naprzeciwko kominka, w miejscu niedawno pełnym trupów.

Klacz posuwała się obecnie stępa, wyczerpana i obolała. Wciąż jednak czuła jabłonie i osty. Czuła lato, a wiatr bezustannie podsuwał jej kłamstwa.

Tristen zapragnął – mając już prowincję, pałac i złotą zastawę stołową – aby był dzisiaj przy nim mistrz Emuin. I żeby Cefwyn pojawił się w swoim apartamencie wraz ze wstającym słońcem. I żeby rano, po przebudzeniu, zastali wszystko przywrócone do normalnego stanu, a groźba wojny została zażegnana.

Wszelako Cefwyn nie był już księciem na obczyźnie, a on – niewinnym młodzieńcem, trwoniącym życzenia na promienie słońca i fruujące liście.

Pomyślał o klaczy opuszczającej łąkę i wkraczającej na biegnący na północ trakt. Pomyślał o niemądrych gołębiach na dachu twierdzy, poznając położone na wysokościach zakamarki i kryjówki, które budziły w nim wspomnienia sekretów poddasza w Ynefel. Przybywały. Być może świt je zastanie już tutaj. Nawet Sowa mogłaby gdzieś tam latać tej chłodnej nocy: Sowa, pogromczyni gołębi i myszy.

Jeszcze jako niewinny młodzieniec nauczył się, że jedno stworzenie z jego ograniczonego świata może zniszczyć drugie. Od początku wiedział, iż nie wolno mu winić Sowy, niemniej ubolewał nad nieszczęściem bezmyślnych gołębi. Sowa zasiadała samotnie na żerdzi, poza przepierzeniem na poddaszu Ynefel, po drugiej stronie którego mieszkały gołębie. Sowa nie mogła wybrać towarzystwa gołębi. Była Cieniem, przynajmniej wśród ptaków, bytowała też między cieniami. Gdyby kiedykolwiek wtargnęła na słoneczną stronę i dołączyła do reszty ptaków, uciekłyby z trzepotem skrzydeł, panicznie wystraszone z powodu grożącego im Cienia.

Otoczający go ludzie zarzucili czujność, krańcowo wyczerpani. Kiedy ustało zamieszanie związane z kąpielą i noszeniem wody, a służbę odesłano na salę, Tristen poddawał się coraz większemu znużeniu. Ledwo utrzymywał kielich w dłoni, która władała mieczem podczas tej długiej, pełnej Cieni nocy... Która wykąpała w krwi klingę z wtopionym w nią srebrnym wisiorkiem – klingę, co niby ptak drapieźny, szary i posępny, odnalazła dla siebie nowe legowisko, nowy kominek, gdzie mogła się wygodnie oprzeć.

Czuł strach przed zaśnięciem. Pomiędzy dwoma ciemnymi, aksamitnymi zasłonami błysnął promyk jutrzeńki, lecz w komnacie nadal panowała noc. Zauważył, że Uwen podszedł do drzwi, porozmawiał z kimś i wrócił. Tristen walczył z ogarniającą go sennością, zapatrzony w tańczące płomienie, będące żywiołem identycznym na wszystkich obozowiskach, we wszystkich kominkach, poty niespożytym, póki nie przestaną go karmić. Mistrz Emuin siedział tej nocy przy podobnym ognisku, niemal na pewno zły i zziębnięty.

Nareszcie dotarł do obozu nad Assurnbrookiem, ale nie posunął się dalej.

–Tułaj jestem – rzekł ostatecznie do mistrza Emuina, przelękniony. Wyczuł czyjąś daleką obecność. – Nic mi nie jest, panie.

Emuin wydawał się jednak pogrążony we śnie, mimo że na zewnątrz wstawał nowy dzień. Tristen wyzbył się uczucia złości i rozpacz. Wszystkie decyzje zostały podjęte i przemawiał jedynie do snów starca, porą, kiedy szara przestrzeń sprawiała wrażenie małej, ściśniętej i chłodnej.

–Myślę o Sowie. Czy mówiłem ci kiedyś o Sowie, panie? Sądzę, że to ja stałem się Sową, w pewnym sensie.

–Żołnierze dbają tu o mnie, ale pomiędzy żołnierzami jestem jakby Sową.

–Nawet dla Uwena jestem teraz Sową. Nie ma pojęcia, do czego jestem zdolny. Chyba się mnie boi. Nigdy się mnie wcześniej nie bał i zawsze pragnąłem, aby tak pozostało.

–Wiesz, że earl Edwyll próbował zatrzymać nas przed miastem? Earl umarł w apartamencie lady Orien. Lękam się, że wszyscy oni spiskowali przeciwko Cefwynowi, każdy dla własnych korzyści, lecz stworzyłem im sposobność, by mogli powiedzieć, że nigdy tak nie było. Teraz będą chcieli udowodnić, że to prawda.

–Syn earla poddał się razem ze swoimi ludźmi, złożył przede mną przysięgę. Prawdopodobnie zna wszystkich, z którymi stykał się jego ojciec po obu stronach rzeki. Kazałem Uwenowi przeprowadzić wywiad. Uwen pragnie chronić moją niewinność. Ale co z jego niewinnością?

–Syn earla, ma na imię Crissand, nazwał mnie przy świadkach lordem Sihhe, a potem złożył przysięgę. Przyjąłem jego pizyrzeczenie.

W szarej przestrzeni panował spokój, niezmacony spokój.

–A więc boisz się, mistrzu Emuinie? Drżysz ze strachu od ostatnich dni lata, odkąd pokonaliśmy Hasufina.

–I czego się boisz? Krawędzi? Czy to aż takie proste?

–Czemu nie zostałeś' w Guelemarze, skoro nie chcesz mi odpowiadać? Chcesz mi się przeciwstawić? Powiedziałaś', że nadal jesteś' do tego zdolny.

–Może tak byłoby lepiej. O ile zdążyłem się zorientować, książeczka Efanora nie kryje przede mną tajemnic. Jestem pełen rozterek. Nie znajduję w niej żadnej rady... Ani w tobie, panie.

–Zastanawiam się, czy to, do czego przywiódłem Uwena, jest dobre.

Rozdział czwarty

Obudzili się dopiero wtedy, gdy słońce stało już wysoko nad horyzontem, słudzy wnieśli spóźnione śniadanie, a żołnierze Smoczej Gwardii rozsunęli ciężkie zielone zasłony, odsłaniając oszronione szyby. Chorągiewka ze smokiem, zatknięta naprzeciwko na szczycie dachu wartowni, to wydymała się w porywach wiatru, to znów zwisała oklapnięta pod błękitnym niebem. Zanim Tristen i Uwen zasiedli do śniadania, skazani wyłącznie na własne towarzystwo, służba nakryła do stołu, rozgrzebała węgle w kominku i podłożyła kilka bierwion. Zarówno obaj Gueleńscy, jak i służący zostali odprawieni z komnaty.

Tristen przypuszczał, że tego dnia musi zacząć załatwiać sprawy lordów i rozwikływać poszczególne amefińskie problemy. Nie zajrzał jeszcze do ogrodu. Nie odwiedził biblioteki i wszystkich tych miejsc, które cenił najwyżej. Pragnął posiedzieć dziś nad stawem, karmić ryby i ptaki, patrzeć, jak wieje wiatr. Uważał owe szczególne zajęcia za osobistą nagrodę za pełnione obowiązki.

Jednakże między szronem na szybie a łopoczącą chorągiewką musiał dać porywisty wiatr, srogi i nielitościwy. Stosowny poranek, by rozpocząć dzieło, uprzątnąć komnaty, przeszukać archiwa, powierzyć odpowiednim ludziom poszczególne funkcje. Nie była to jednak najlepsza pora do odwiedzania starych, ukochanych miejsc.

Ledwie zaczęli rozsmarowywać masło na zimnym pieczywie, wpadł zadyszany Lusin z nowiną, iż zaraz po świcie znaleziono Liss u bram miasta.

–Lejce pękły, gdy je przydeptała – mówił Lusin radośnie. – Tako rzekł chłopak. Poza tym nic jej nie jest. Do stajen za murami grodu dobiegła. Zgadnijcie tylko, kto ją zoczył.

–Możesz zejść na dół, jeśli chcesz – powiedział Tristen, widząc, jak uradowany Uwen wstaje gwałtownie od stołu, by się jednak szybko pomiarkować.

–A jużem myślał, że do Guelessaru pobiegnie – mruknął Uwen i powstał, kłaniając się nieznacznie. – Za pozwoleniem, panie, pójdę na dół, jeno nie chodźże samemu po salach.

–Idź. Nigdzie bez ciebie nie pójdę. – Był głodny, zmęczony i obolały, nadto nie musiał widzieć Liss, by mieć świadomość, że odnalazła się i czuła dość dobrze, zważywszy na dwa dni ciężkiej jazdy.

Fakt, że Liss przybiegła do mało jej znanej stajni, zamiast ruszyć na wschód ku gueleńskiej granicy bądź na najbliższą łąkę, gdzie pasły się konie miejscowego lorda,

nie wprawił go wcale w zdumienie. Z radością obserwował, jak Uwen śpieszy do drzwi sprężystym chłopięcym krokiem i z rozpromienionym obliczem.

Gdy jednak do nich dotarł, spochmumiał.

–A co z Jego Lordowską Mością, panie?

–Przypuszczam, że idzie pieszo do Guelessaru – odparł Tristen całkiem poważnie, lecz Uwen parsknął rubasznym śmiechem, klepnął się w udo i odszedł rażno.

Tristen posmarował pajdę chleba masłem oraz dżemem malinowym. Zanim ją jednak zjadł, poza odsłoniętym oknem dojrzał trzepoczące w promieniach słońca skrzydła: hałaśliwe stadko ptaków zebrało się na kamiennym gzymsie. Wstał z pośpiechem od stołu, zebrał resztki śniadania, a nawet, na wszelki wypadek, napoczęty bochenek. W bezpiecznym świetle dnia otworzył lufcik, a wówczas wszystkie ptaki, co do jednego, podfrunęły bliżej, bijąc skrzydełkami i tłocząc się w walce o pożywienie.

Próżne, głupiutkie, jakże mu drogie... przed Lewenbrookiem. A można byłoby wątpić, czy kiedykolwiek znajdą ten parapet, skoro ich tu nigdy nie dokarmiano. Ale, podobnie jak Liss trafiła do stajni poza murami miasta, tak i one dotarły pod właściwe okno, choć miały do wyboru dziesiątki innych. Dzięki nim wierzył, że sam może liczyć na pewne drobne przyjemności, zamiast obmyślać je tylko innym. Słońce błyszczało na ptasich grzbietach, padało na lśniącą niczym klejnot zieleń podgardla szarego łakomczucha, który łytał nań mądrym, okrągłym okiem, po czym bez cienia wstydu strącił z parapetu podbarwionego fioletem rywala, by dobrać się do chleba.

–Zachowujcie się – rzekł do nich, nie wywierając jednak presji swoją wolą. Takie już były. Podobnie jak lordowie Ylesuinu. Czyż istniały racjonalne przesłanki, by oczekiwać, że zmienią swoje dotychczasowe postępowanie? I czyż mógł żądać zbyt wiele od amefińskich dystryktów, poróżnionych odwiecznymi waśniami?

Powrócił maluch z fioletową pierśią, by precyzyjnie się do śniadania, walcząc z konkurentami. Utrudnieniem były rozmiary szybki i parapetu. Tylko jeden, najwyżej dwa ptaki mogły naraz dziobać chleb, którego wiele spadło na ziemię w czasie potyczek.

Czyż nie należało w tym szukać podobieństw do zachowania lordów?

Przybyła służba, by posprzątać po śniadaniu. Wrócił także Uwen, zdyszany i poważny, wkraczając hałaśliwie ze słomą na butach oraz, o dziwo, sakiewką i przybornikiem do pisania.

–Wróciła cała i zdrowa, panie, dyć posłuchaj, co dalej. Wróciła z piękną sakiewką złota i tym oto przybornikiem, a wszystko Jego Lordowskiej Mości zabrane. Mistrza Hamana nadto gdziesik wynalazła, a tenże na wzgórze ją przywiódł! Razem ze

stajennymi wicekról do dolnych stajen mistrza był przegnał. Kiedy Liss w strojnym rynsztunku, z sakwą złota i przybornikiem kłusem przybieżyła, tedy Haman, człek uczciwy i rozumu bystrego, ni chwili nie zwlekając, na dziedziniec ją sprowadził i zapowiedział strażnikom, coby nam skoro ranek o tym donieśli. Pomny na twą radę, kazałem mu na stare miejsce wracać, masztalerzowi zaś rzekłem, by gwardyjskie zapasowe konie za gród odesłał. W stajniach na dole taki ścisk panował, że konie gwardii w chlewie stać musiały i jak świny były umazane. Póki co, Haman chłopców swych szuka, bo wnet ma się odbyć liczenie inwentarza... Ale oto, co Liss z sobą przyniosła, prócz mistrza Hamana. Jego Lordowska Mość wielce gniewny być musi.

Przekazana mu przez Uwena sakiewka ważyła mniej więcej tyle samo, co ta, którą dostał od Idrysa. Sądził, że zawiera rozsądną sumę pieniędzy, jak dla lorda władającego prowincją. Może więc nie powinien zakładać kradzieży? Chociaż w przypadku człowieka przyłapanego na pakowaniu damskich kosztowności sprawa wyglądała podejrzanie. Skórzany przybornik do pisania miał wygląd cylindra z przykrywką, a zawierał pojemniczek na atrament oraz trzy przycięte gęsie pióra. Co jednak ważniejsze, umieszczono w nim zwinięty dokument. W trakcie gdy Uwen z przejściem opowiadał o mistrzu Hamanie, chłopcach stajennych i Liss, Tristen rozwinął papier, by mu się dokładniej przyjrzeć. Ujrzał zwykłą pieczęć listową, teraz przeciętą, co dowodziło, że nie była to wiadomość, którą wicekról zamierzał komuś dostarczyć. List ów lord Parsynan dostał od kogoś innego, prawdopodobnie go przeczytał i z jakiegoś powodu nie wyrzucił.

Pisano w nim:

Wakans w Amefel został obsadzony. Jego Królewska Mość uznał za stosowne powołać na to stanowisko marszałka Althalen. Proszę, byś nie omieszkał skorzystać z mojej gościny po dotarciu na pobożne ziemie.

Pobożne ziemie oznaczały według quinaltynow każde miejsce w Ylesuinie oprócz Amefel, a marszałkiem Althalen był on sam.

Pieczęć i podpis należały do Corswyndama, lorda Ryssanda, najmniej kochanego przez Cefwyna i najbardziej kłopotliwego spośród wszystkich baronów północy. Tristen przebywał blisko dworu w Guelemarze, zatem oprócz twarzy lorda Corswyndama zobaczył także jego szachrajstwa. Nie ulegało wątpliwości, że nie jest to przyjaciel Cefwyna ani Ninevrise.

–Wygląda na to, że lord Ryssand zaprasza wicekróla do siebie do Guelemary – mruknął do Uwena. – Choć może pragnie go podjąć w swej siedzibie w Ryssandzie, skoro proponuje mu u siebie gościnę: w Guelemarze lord Corswyndam mieszka pod jednym dachem z Cefwynem. List nie powiadamia wicekróla o niczym ponad to, co sami mu chcieliśmy powiedzieć, ale musiał przybyć przed nami, a może nawet przed królewskim posłańcem.

–Tedy goniec zdrowo konia popędzał – odparł Uwen. – Pewnikiem wyjechał, ledwie wieść się rozniosła. Gońcy królewscy nie mitrzą w drodze, jeno nocą postój zwykli czynić. Zakład stawię, że list ten Jego Królewską Mość mocno by rozeźlił. Nie uchodzi wszak posyłać listu o królewskich sprawach przed królewskim heroldem. To się nie godzi, a i prawo snadź tu ktosik zdeptał.

–A więc Corswyndam porozumiewa się bezpośrednio z wicekrólem, z pominięciem Cefwyna. – Myśl ta zaniepokoiła Tristena. – Jeżeli Corswyndam pragnie się porozumieć potajemnie z wicekrólem, chyba powinienem odesłać ten list Cefwynowi.

–Myśl to wcale dobra – stwierdził Uwen. – Cosik mi się zdaje, że Jego Lordowska Mość do świętych bogów modły ją wznosić, by Liss do domu zbiegła bądź wpadła w łapy rabusiów. Skądże mu wiedzieć, że do nas powróciła? Atoli spotka on w drodze tabor i mistrza Emuina, racja? Będzie go o pomoc prosił i łgarstwa plótl wierutne, mam rację? Mistrz Emuin mógłby zatrzymać nieco wicekróla, sztuczki jego przejrząwszy, no wiesz, panie, sprawiając mu bodaj ból brzucha.

Chytry pomysł. Na wozach jechało dość proszków i mikstur, by sprowadzić biegunkę na cały oddział wojska. Tristen przestał jednak się łudzić, że mistrz Emuin czemukolwiek zapobiegnie.

Jeśli wyśle ową wiadomość bezpośrednio do Cefwyna, w niejednych rękach się znajdzie, niejedne też oczy zechcą ją przejrzeć.

Z drugiej strony, Idrys miał doświadczenie w nikczemnych czynach, a drogę do lorda komendanta poprzez ręce żołnierzy uważał za mniej zagrożoną.

–List i wiadomość o całej tej sprawie muszą dotrzeć do uszu Idrysa. Nie do Jego Królewskiej Mości. Muszą dotrzeć tak szybko, jak to tylko możliwe. Wysłannik niech tylko powie Idrysowi, że moim zdaniem powinien to zobaczyć. Ryssand nie wie, że list wpadł w nasze ręce. O takiej ewentualności dowie się dopiero po powrocie wicekróla do Guelemary, ale zanim zdobędzie pewność, Idrys zdąży opracować plany.

–A czyby tak nie sprawić, żeby wicekról nie zdołał dotrzeć nawet do Guelemary? Lepsze to wyjście. Ludzi za nim wyślijmy, aresztujmy go i mimo królewskich zarządzeń siłą u nas trzymajmy.

–Nie. Idrys może co innego wymyślić. – Chciałby być bardziej pewien tej opinii. Uwen dawał przemyślaną radę, a znał się na takich sprawach. – Poślij wiadomość bezpośrednio do Idrysa. To najlepsze rozwiązanie.

–Tak, panie – rzekł Uwen i zabrał przybornik. – Poślę to czym prędzej, niech ino moje nogi człeka zdatnego najdą.

Uwen odszedł, drzwi się zamknęły.

Zdrada, mówiło każde słowo tego listu. Baronowie Ylesuinu mogli krytykować jawnie politykę rządów Marhanenów... co też czynili. Nie wolno im jednak było wchodzić w kunszachty z ludźmi, którzy powinni w pierwszej kolejności składać raporty Cefwynowi. Zaproszenie wysłano z takim pośpiechem, że goniec prześcignął królewskiego herolda.

Czy wydaje się zaproszenia na obiad, wykorzystując tak nadzwyczajne środki?

I czy ostrzeżono Parsynana jedynie po to, by zdążył zabrać klejnoty i dokonać jakichś drobnych kradzieży, czy też inny był tego cel?

Aby miał czas się spakować... i uporządkować sprawy przed swoim wyjazdem?

Zastawić pułapki? Usunąć pewne rzeczy? Parsynan usiłował zabrać kosztowności, zapewne dla własnych korzyści; wziął sporą sumę w złocie; no i wiadomość, być może po to, ażeby udowodnić sługom i gwardzistom, że musi bezzwłocznie i po kryjomu spotkać się z lordem Ryssandem, albo żeby udowodnić innym, iż lord Ryssand do niego napisał. Tylko taki pożytek dla Parsynana Tristen widział w tym liście. Swym przyjazdem z pewnością wywrócił do góry nogami część planów wicekróla. Chciałby to samo zrobić lordowi Ryssandowi.

Patrząc na gołębie, niedawno walczące na parapecie – ów z zielonym podgardlem i ten z fioletową piersią spacerowały osobno, przegoniwszy resztę – żałował, iż opuścił Cefwyna. Myślał o tym tak rozpaczliwie, że omal nie sięgnął z wiadomością ku Jej Miłości, lecz talent Ninevrise był nikły, odległość duża, a w szarej przestrzeni czyhało tak uporczywe niebezpieczeństwo, że pośpiesznie zaniechał próby. Nie, to nie byłoby mądre.

Znienawidzeni przez Cefwyna baronowie przymusili go obecnie do wydania zgody na powrót Sulriggana. Czy powinien mieć nadzieję, że koń zrzuci lorda Llymarynu, podobnie jak to się stało z wicekrólem? Być może zrzuci też lorda Corswyndama... Przez królestwo przetacza się plaga narowistych koni... Czy taki pomysł jest podły? Jemu się podobał. Dla dobra Cefwyna mógł zażyczyć sobie, by konie wszystkich baronów sprawiających mu kłopoty zdziczały i przestały słuchać rozkazów.

Szybko się jednak pohamował, zadając sobie w duchu pytanie, co by na to powiedział Mauryl. A Emuin? Skoro jednak ludzie spiskowali za plecami monarchy... Czyż istota zaprzysięgłej przyjaźni polega na tym, by pozwalał im bezkarnie kontynuować nieczne knowania? Jeśli jacyś ludzie musieli już doznawać krzywd, to kto jak kto, ale Ryssand i Parsynan z pewnością na nie zasłużyli. Gdyby diuk Corswyndam pośliznął się na schodach i przeleżał w łóżku następne dwa tygodnie, Cefwyn zdążyłby poznać treść tego listu i porachować się z Parsynanem, a także

oddać sprawiedliwość domowi Meidenów.

Czyż nie przyrzekał kierować się sprawiedliwością, gdy składał przed Cefwynem przysięgę na wierność? Czyż wobec tego nie powinien teraz uczynić jej zadość?

Z drugiej strony, pragnienie ukrzywdzenia innych było niegodziwe.

Wydawało mu się, że opuścił opiekuńcze skrzydła Mauryla i przybył do świata bez podstawowej wiedzy o Nikczemności, o której Emuin przekazał mu jedynie szczątkowe informacje. Kiedy objawiały mu się ciemne sprawy zwykłych Ludzi, nie objawiały się na podobieństwo rozwiniętych sztandarów Zła, ale postrzępionych piórek Nieprawości, nie dając mu jasnego rozróżnienia, co jest Dobre, a co Złe. Być może Hasufin był zły... ale czyż nie było tak, że lordowie dbali o własnych ludzi i równocześnie toczyli nieustanne boje ze swymi rywalami? Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Hasufin powinien być gorszy od dziadka Cefwyna.

A ponieważ księżeczka Efanora, obfitująca w Nikczemność i Zło, powiadała, iż bogowie obu tych rzeczy nie znoszą, skąd wzięła się owa Nikczemność, skoro bogowie stworzyli cały świat? Czyżby wspólnie z górami i rzekami powołali do istnienia coś, co było im obmierzłe? Modlitewnik Efanora nie rozstrzygał tej kwestii, wspominał tylko, że Ludzie i ich dzieła przesiąknięte są złem, choć czasem zdarzają się wyjątki... W podobny sposób Emuin tłumaczył mu ongiś długość jesieni. Wszystko zatem sprowadzało się do rad Efanora, jego księżeczki oraz amuletu ze srebra i owczej krwi... Czyli do niczego.

Może źle się stało, że pozbawiony wskazówek czarodzieja, nie posłuchał rady Uwena? Może powinien pokazać Emuinowi ów dokument i zasięgnąć jego opinii, zanim Idrys podejmie konkretne kroki?

Ale czy miał prawo obarczać Emuina odpowiedzialnością, której czarodziej z takim wysiłkiem unikał?

Nie, tak by się nie godziło... Tylko czy to prawda? Emuin czynił wysiłki, ażeby nie brać za niego odpowiedzialności, a to zupełnie inna rzecz. Emuin pragnął jak najmniej robić. W powstrzymaniu się od działań tkwiła pewna mądrość, jeśli ktoś był zmuszony brnąć w nieświadomości.

Aczkolwiek strefa jego własnej ignorancji ostatnio znacznie się zawężyła, wola działania natomiast proporcjonalnie pogłębiła.

Obserwując dachy Henaśamef przez okno obrzeżone szronem i zielonymi zasłonami, zerkając na gołębice – czekał. Po pewnym czasie wrócił Uwen, wypełniwszy swą misję.

–Kapitan śle Lyna, człeka godnego zaufania, którego bez ochyby do karczmy w

mieście nie wstąpi. Haman wybrał mu ze stajni parę zacnych koników. Kurz jeno pod niebo wznieci i tyle go zobaczą. Jako strzała przemknie mimo wicekróla, takim mu przykazał. Ino co z mistrzem Emuinem? Nie chceszli go przestrzec, chłopcze? Niechby dał mu szkapę najpodlejszą, jaką w obozie najść można.

Uwen był chytrym człowiekiem i Tristen częściowo przyznawał mu rację. Mógł zapewnić sobie pomoc Emuina, niekoniecznie pokazując mu wiadomość.

Tylko czy kusić Emuina, by działał wbrew własnym przekonaniom?

–Nie – postanowił. – Niech przejedzie. Wicekról będzie kłamał. Skoro Emuin nie chcą mnie słuchać w szarej przestrzeni, nie ucieszy się pewnie widokiem jeźdźca, którego mogą też zobaczyć inni. Lyn musi ich minąć bez zatrzymywania się na postój... Mistrz Emuin nabierze podejrzeń. – Po chwili namysłu, tłumiąc nurtujące go obawy, dodał: – Jeśli tak, być może nie uwierzy słowom wicekróla, a podejrzliwość go ponagli.

–Tak, panie.

Uwen wyszedł żwawo. Po krótkiej chwili tętent konia rozbrzmiał na Południowym Dziedzińcu i wkrótce ścichł za bramą.

Tak więc Liss przy wiozła im prezent, za który wicekról oddałby całe swoje złoto, byle nie dostał się w ręce Idrysa. Powrócił także mistrz Haman. Los się do nich uśmiechnął, lecz Tristena nie ogarniało zdziwienie, tylko pewne obawy przed konsekwencjami jego decyzji.

Po południu Tristen udał się z Uwenem na przechadzkę do stajni, gdzie odkrył, że Petelly'emu przyznano jego dawny boks. W beczce brakowało jednak jabłek, w przejściu – o zgrozo! – leżał gnój i brudna słoma, a Haman, który dopiero co przybył na swą dawną dziedzinę, krzyczał coś o zgrzebłach i pokradzionych uździenicach.

–O, bandyci! – wołał.

Mistrz Haman przybiegł jednak natychmiast, gdy Tristen głąskał po nosie Petelly'ego, a Gia wychyliła łeb ze swej przegrody, by popatrzeć, co się dzieje.

–Wasza Miłość – powiedział. – Niech bogowie błogosławią Waszej Miłości, wnet tu zaprowadzimy porządek! Nigdy większa radość serc nam nie zalała, panie, niżli wtedy, gdyśmy posłyszeli, żeś o nas wspomniał.

Mistrz Haman był wielce poruszony, zmarszczki wyżłobione na jego osmaganej wiatrem twarzy nader rzadko układały się w wyraz równie tkliwego uczucia. Tymczasem chłopcy stajenni biegali tam i z powrotem z widłami do gnoju, wiadrami i taczkami, co pozwalało mieć pewność, iż pod pieczęcią mistrza Hamana koniom zawsze

się będzie dobrze powodziło. Zgodnie z raportem Uwena, Dys przebywał u Aswysa w dolnych stajniach. Podobnie Cassam. Gii oraz Gery należał się dłuższy odpoczynek. Liss przypięto nad czołem do grzywki czerwoną kokardę i tak ją wypucowano, że aż lśniła.

–Dobra robota – pochwalił Tristen. Ledwie co wyszedł wraz z Uwenem, by dokonać przeglądu reszty dziedzińca, ujrzał ze zdumieniem, jak przez Zachodnią Bramę wkracza kuchmistrzynie, zaciskając rękę na chochli niczym na buzdycanie, wiodąc za sobą orszak kucharek z rondlami i kociołkami. Tyłów strzegli – niebywałe – dwaj jeźdźcy Smoczej Gwardii.

–Kuchmistrzynie i trzy kucharki na ulicy Srebrnej żeśmy znaleźli, panie – rzekł gwardzista, salutując. – Garnki zaś pochowano do cysterny przy budynku bramnym.

–Panie! – przywitała się kuchmistrzynie z głębokim ukłonem. Za jej przykładem kucharki dygnęły prędko jedna za drugą, z widocznym zażenowaniem.

–Czemu schowałyście garnki? – Tristen nie mógł poskromić ciekawości.

–Dyć by je rozkradli, panie – odparła kuchmistrzynie z kolejnym ukłonem. – Wicekról nas wypędził, bośmy gwardzistów z kuchni przeganiały. – Spojrzała dziko. – Ano, wygnali mnie, jako też chłopaków, tedyśmy zacne miedziane garnki w cysternie schowali, ostawiając im jeno wielki kocioł, którego ciężko ruszyć. Mamy też wszystkie dobre łyżki. – Przy tych słowach jedna z kucharek przechyliła rondel: istotnie, był pełen łyżek. – Wracamy, jako na ludzi uczciwych przystało, powiadomiwszy żołnierzy o ukrytych garnkach.

–Miejcie się na baczności – powiedział Tristen. – Earl Edwyll umarł po wypiciu napoju zaprawionego trucizną przez lady Orien. Uważnie sprawdźcie zapasy. Tęsknię za ciastkami.

–Bez obaw, panie, bez obaw! Och, będziesz miał swoje ciastka, panie! – Szerokie oblicze kuchmistrzynie pokrywało się sinymi plamami pod wpływem silnych emocji. – Chwała bogom, chwała bogom! Obyś długo żył, Wasza Miłość!

Bał się, że złamała prawo, zabierając garnki i łyżki, lecz sprawiedliwość domagała się zignorowania tego faktu.

–Puście je wolno – poinstruował gwardzistów. – Zaprowadzą porządek w kuchniach... Prawdopodobnie znajdą się wkrótce także chłopcy z pomy walni – rzekł do Uwena.

–Rzecz to pewna. Poszła już fama, iż służbę starą zbierasz, tedy złączą się dwójkami i trójkami, a czasem całymi regimentami. Nadto żeśmy rozgłosili, coby strażnicy z Zachodniej Bramy wrócili, lubo Ness powiada, jakoby strachem byli

przejęci, a to z tej przyczyny, że latem gwałtownie się z tobą obeszli.

–Powiedz im, niech wracają. Nie czuję do nich żalu.

–Toż samo rzekłem Nessowi. Ano, raz jeszcze rzecz mogę. Znajdą się.

–Wasza Miłość. – Od dobrej już chwili w pobliżu kręcił się archiwista, ten, który z nimi przyjechał, roztrzęsiony i w towarzystwie guelęńskiego gwardzisty. – Gdyby Wasza Miłość zechciał poświęcić mi nieco uwagi...

Tristen przystanął, ażeby go wysłuchać. Archiwista pokłonił głowę, lecz przemówił gwardzista:

–W bibliotece pełno popalonych papierów, Wasza Lordowska Mość. Jest też jeden trup.

Co człowiek pokroju Parsynana mógł uczynić, zawczasu ostrzeżony? Nie zwlekając dłużej, Tristen ruszył dziarsko w towarzystwie Uwena, Syllana i Tawwysa.

–Co to za papiery? – zapytał archiwistę. – Spłonęły doszczętnie? Można z nich coś odczytać?

–Jakaś księga archiwalna, coś jakby protokoły, listy. – Mężczyzna dygotał na całym ciele. – A pod stołem martwy człowiek, chyba poprzedni archiwista. Nikt tam wcześniej nie wchodził. Przyszedłem, aby rozpałcić ogień w kominku, samemu, służba bowiem nie chciała mnie słuchać. Nawet nie zauważyłem trupa, Wasza Miłość, póki nie zobaczyłem w kominku resztek zwojów. Wtem patrzę: leży przy mnie! O krok ode mnie!

–Skłuty? – zapytał Uwen.

–Ani śladu krwi – odrzekł gwardzista. – Jeno księga w palenisku, panie, tudzież resztki zwojów. Tośmy zaraz pomyśleli, że mus nam Waszej Miłości rzec o tym.

–Tam, gdzieśmy nie szukali, nikt z rozkazu nie wchodzi’ – powiedział Uwen. – Nawet teraz. Spotkałeś gdzie któregoś z archiwistów, człecze?

–Żadnego. – Mężczyzna pokonał dwa stopnie naraz, by za nimi nadążyć. – Chyba że ten był jednym z nich. To stary człowiek.

–Kto wie? – rzekł Tristen, znikając za drzwiami. W drodze do archiwum musieli minąć mniejszą salę, centralne schody i hol.

Przed samym archiwum na końcu holu, poza wychodzącymi na ogród oknami, straż pełniło dwóch wartowników, którzy stanęli na baczność i nie czekając rozkazu,

otworzyli drzwi.

Kodeksy nie leżały na półkach, tylko stosami pokrywały stoły. Zwoje powyciągano z nisz w ścianach, a w ogrzewającym zwykle komnatę palenisku rzeczywiście widniały szczątki zwojów i nadpalony grzbiet jakiegoś kodeksu.

–Owóż sprawka łajdaków – skonstatował Uwen.

Tristen rozejrzał się po miejscu zbrodni, zbadał ciało niedawno zabitego mężczyzny, uwikłanego w gąszcz szat, z włosami zakręconymi jak przed snem. Tuż przy nim stało masywne krzesło i stół do pisania, który częściowo zasłaniał trupa.

–To główny kustosz. Dwóch ich było.

–Jest ino ten, Wasza Miłość – oświadczył sierżant, po czym wskazał na mroczną dziurę, osnutą cieniem stołu. Zbito tam tynk i wydłubano kamienie, odsłaniając schowek.

–Znajdźcie drugiego kustosza – polecił Tristen, pragnąc tego ze wszystkich sił, aczkolwiek spostrzegł, że będzie to znacznie trudniejsze od znalezienia Liss. Nie, żeby ów człowiek był mu nie znany. Obaj tutejsi pracownicy byli starymi ludźmi, częstokroć toczyli z sobą zażarte kłótnie. Obecnie jeden nie żył, a drugi uciekł bez widocznej przyczyny, choć nie wiadomo, czy rzecz nie dotyczyła prowadzonych w Amefel transakcji, o których wzmianki przechowywano tutaj, w archiwach. W ogniu nie spłonęła zapewne korespondencja lorda Parsynana: z jakiego powodu Parsynan miałby przechowywać w archiwum swoje tajne listy, z jakiego powodu miałby je wydłubywać ze ściany? Być może schowano tam pewną część archiwum lorda Heryna. Cefwyn rozkazał odesłać je do Guelemary razem z wybranymi księgami podatkowymi i annałami, wszakże coś mogło zostać ukryte.

–Nic nie zostało – oświadczył archiwista. Pochylił się i wyciągnął okopcony szczątek książki. Gdy ją otworzył, zobaczyli jedynie margines i kilka słów; zwęglony pergamin sypał się, niezgrabnie uchwycony. Tristen przyklęknął przed kominkiem, po czym ostrożnie wydobył osmolony, acz nie spalonyjeszcze pergamin. Był pusty, zawierał kawałek marginesu. – Wasza Miłość; ręce sobie ubrudzi – rzekł archiwista, lecz Tristen wyciągnął z ciepłych jeszcze popiołów kolejny skrawek, spalony na całej długości, choć u góry widoczne były niektóre litery. Wosk z pieczęci zapewne podsycił tylko ogień.

Słowa wstępne pozostały czytelne: „...do aethelinga...”

Podszedł do okna, gdzie było jaśniej, po czym wbił wzrok w zwęgloną czerń, na której odbijały się szare ślady atramentu. Rozróżnił słowa „Althalen” i „Gestaurien”.

Poznał ów charakter pisma. Widywał go każdego dnia w Ynefel. Obserwował

Mauryla przy pracy, jak dzień po dniu, wciąż niestrudzenie, pisał i rachował.

Zwęglony skrawek rozsypał się w palcach. Gestaurien zniknął w płatkach popiołu.

Tristen stał rozdygotany, ogarnięty żalem i złością.

–Chcę mieć tego kustosza – powiedział. Chociaż zeszłej nocy zamknięto bramy miasta, a przez cały dzień skrupulatnie przypatrywano się wjeżdżającym i wyjeżdżającym, nikt nie wypatrywał starego człowieka bez broni. – Znajdźcie mi jakąś skrzynkę. Natychmiast.

–Znaleźć jakąś skrzynkę dla Jego Lordowskiej Mości! – zakrzyknął sierżant, lecz archiwista, aby przejednać sobie Tristena, odwrócił migiem stół ze zwojami. Tristen przykucnął i zaczął z najwyższą ostrożnością przekładać spalone resztki do utworzonej w ten sposób skrzyni, każdy drogocenny strzęp. Nie miał nigdy szansy zabrać czegokolwiek z Ynefel, oczywiście oprócz prezentów Mauryla.

Mógł tylko snuć przypuszczenia, dlaczego te szczątki leżały obok martwego człowieka: miały wielką wagę – na pewno; kustosze zawsze wiedzieli o ich istnieniu – prawdopodobnie; chcieli teraz przyjść z nimi do niego – niewykluczone; ktoś zapragnął im w tym przeszkodzić – zrozumiąle.

Czyż jednak pokorni archiwiści mordują się nawzajem i niszczą powierzone im dokumenty?

Rzecz jasna, jedna osoba nie zdołałaby ukryć przy sobie tak wielkiego łupu. „Znajdźcie archiwistę” – takim oto brzemieniem obarczył swoją myśl, która jednak pomknęła w szarość i utonęła w mieście pełnym podobnych ludzi i podobnych istnień. Spośród nich tylko nieliczni jarzyli się niczym iskry, wszelako ci nie mieli nic wspólnego z popełnionym tu czynem.

Jedną z iskierek stanowił bez wątpienia Crissand. Tristen wyczuł ukłucie smutku i chłód kamienia. Inna płonęła na Wschodnim Dziedzińcu – zapewne jakiś kapłan. Jeszcze inna wykonywała pracę, której nie umiał określić. Nagle coś bardziej subtelnego przemknęło w polu jego widzenia – niby ryba ślizgająca się tuż pod oświetloną słońcem, zmarszczoną powierzchnią wody.

To coś uleciało na wschód, ku Emuinowi, w stronę klasztoru, w stronę Guelessaru.

Strzeż się – wypowiedział w myślach życzenie pod adresem Emuina, żałując, iż nie powiadomił mistrza o liście od Ryssanda ani o gońcu do Idrysa. Klęcząc teraz z żalnymi szczątkami w dłoniach, pragnął, by uległy naprawie, lecz odpowiedziała mu tylko migotliwa, trudna do zdefiniowania obecność, połyskując to tu, to tam pośród jego wspomnień, nieuchwytna, ostrożna, przebiegła, a także – czuł to wyraźnie – współwinna tego, co się stało.

W promieniach wpadających przez okno twarz archiwisty była blada i śmiertelnie poważna.

–Wasza Miłość – szepnął młodzieniec wystraszonym głosem. – Gdybym tu przybył wcześniej, zeszłej nocy...

W tym czasie przebywał na sali, odczytywał dokumenty. Kustosze archiwum mieli sprawować pieczę nad całością tutejszych zbiorów. Gwardziści pilnowali drzwi. Cóż więcej mógł zdziałać pojedynczy archiwista tam, gdzie czarodzieje ponieśli klęskę? Co się stało, to się nie odstanie, drugi z kustoszy umknął, zabierając z sobą nie wiadomo co, a Tristen szczerze wątpił, czy odnajdą go w mieście.

Uwen tylko milczał. Sierżant ustawionej przy drzwiach straży drżał opodal ze strachu, jakby i jemu przypadała część winy.

–Syllan – rzekł Tristen, podając gwardziście prowizoryczną skrzynię. – Zanieś to do mojego pokoju, delikatnie, bardzo delikatnie. Uważaj na przeciągi.

–Panie. – Żołnierz wziął skrzynię i wyszedł. Pozostał jedynie otwór w ścianie. Przedsiębiorczy sierżant zdążył zajrzeć do wnętrza, lecz nic tam nie znalazł.

Czyżby owym aethelingiem, do którego być może niegdyś pisał Mauryl, był lord Heryn? Mauryl żył nad podziw długo, w tychże zwojach mogły więc zostać zawarte wszystkie te lata, dziesięciolecia wiadomości przepływających pomiędzy strażnikiem Ynefel i aethelingiem Amefel – a nawet jeszcze starsze zapiski.

W całym pomieszczeniu panował ład niczym w papierach Mauryla albo Emuina, to znaczy niewielki. Tristen zrozumiał, że oto patrzy na bibliotekę, która – podobnie jak papiery czarodziejów – więcej kryje, aniżeli ujawnia. Kustosze serdecznie się nie cierpieli i w końcu doszło między nimi do scysji. Nie ulegało kwestii, że złodziej rozprawił się ze wszystkimi listami Mauryla: nie mógł się wymknąć niepostrzeżenie, obładowany papierami. Jeżeli zabrał coś z sobą, były to zapewne najbardziej wartościowe zapiski, a przynajmniej najcenniejsze z punktu widzenia Człowieka.

Nakazał poszukiwania. Uratował fragmenty, ażeby bystre oczy spróbowwały coś z nich jeszcze odczytać. Młodszemu archiwście brakowało wyczucia w palcach, czekał więc na starszego, mającego przybyć wraz z Emuinem.

Nie miał jednak większej nadziei, że uda się pochwycić złodzieja. Gdyby dzieło Mauryla miało być odnalezione, bez wątplenia ktoś by je znalazł; jeśli ma zostać stracone, nikt już tego nie odmieni. Nie przypuszczał, żeby drugi z wyznaczonych przez Heryna Aswydda kustoszy zdolny był do dokonania podobnej kradzieży, działając na własną rękę.

Gdzież zatem zbiegł?

Być może za rzekę. Niemniej szara przestrzeń uparcie podpowiadała, że na wschód – nie w stronę wielkiej rzeki, tylko Assurnbrooku. Tristen tkwił spokojnie w swoim miejscu. Nie wychylał się dalej, czując opór. Tak samo, jak Emuin.

A jednak kustosz Aswydda był złodziejem.

Uwen zapytał ściszym głosem:

–Zali czarodzieja to dzieło? Jestli jakowaś groźba?

–Nie, chyba nie. To były stare listy, nic więcej. Podejrzewam, że kustosze ukryli je przed quinaltynami i archiwistami Cefwyna. Rabusiów mogło być więcej, a zabrane zostały prawdopodobnie tylko najbardziej wartościowe listy... Ale morderstwo... Strach to za mało, by od razu mordować. Tutaj był gniew, wielki gniew.

–Nie pierwszy raz tedy doszło między nimi do zwady.

Tristen wbijał wzrok w cienie u podstawy ściany, gdzie pod stołami, wokół sekretarzyków i wewnątrz muru przeplątała ciemność. Wciąż pozostawał tu gniew, lecz stłumiony, żalony.

–Trzeba poszukać murarza i naprawić ścianę. Musi znów być cała. Niech zrobią to dzisiaj, zanim zajdzie słońce.

–Tak, panie – odparł Uwen i poszedł, żeby przekazać rozkazy gueleńskiemu sierżantowi.

Tristen tymczasem wyglądał przez niskie okno, które wychodziło na prowadzącą do bramy dróżkę – poza tą bramą kryło się inne bezcenne dlań miejsce, teraz widoczne jak przez mgłę, gdyż wewnętrznej szyby służący nie myli chyba od lat. Mimo to dostrzegł bezlistne drzewa oraz zbrązowiałe i zachwaszczone rabaty przy podejździe do bramy. Pomyślał o lecie.

Odwrócił się.

–Pochowajcie tego człowieka. Niech ktoś umyje okna. Hej, ty – zwrócił się do gueleńskiego archiwisty. – Od tej pory odpowiadasz za archiwum. Wszystko tu ma wrócić na swoje miejsce. Dokonaj inwentaryzacji zasobów, protokołów i ksiąg naukowych, listów, dokumentów i całej reszty.

–Wasza Lordowska Mość. – Oszołomiony archiwista stał jak wmurowany pośrodku biblioteki pozostawionej przez poprzednich opiekunów w stanie rozmyślnego bałaganu. Mający przybyć dodatkowi archiwiści musieli zająć się innymi sprawami, prowincją i jej księgami, z których większość leżała gdzieś w tym mętliku. Tristen miał na razie tylko jednego człowieka do rozpoczęcia trudnego dzieła, a rozpocząć je

musiał, zanim poznikają kolejne papiery.

Pilnujący drzwi gwardziści zaszalutowali z przytupem, gdy Tristen wyszedł z pomieszczenia. Tuż za nim podążał Uwen z Tawwysem, nie pytając go, co właściwie przeczytał i dlaczego kazał zanieść na górę popioły. Nie miał ochoty ani na rozmowę, ani na podnoszące na duchu słowa. Był strapiony oraz zły, aczkolwiek nie wiedział na kogo: być może na zbiegłego kustosza archiwum, z pewnością na spowodowaną przez Parsynana ruinę, niewykluczone też, że na Emuina, a nawet, w pewnym sensie, na Mauryła. Zdawał sobie sprawę ze swojego strachu przed rozmiarem odkrywanych zniszczeń, przed poruszeniem wyczuwanym w szarej przestrzeni i przed uchylaniem się czarodziejów.

W stronę drzwi znajdujących się w połowie krótkiego korytarza nie skierowała go bynajmniej świadoma myśl, ale potrzeba serca; tędy niegdyś umykał, by ratować się przed dającą mu schronienie fortecą. Po otwarciu drzwi wdarła się do środka fala mroźnego powietrza. Kilka stopni i oto znalazł się wraz z gwardzistami pod zachmurzonym niebem, znacznie odmienionym od świtu.

Powrócił do ogrodu. Nareszcie odwiedził owo najbardziej uwielbiane ze wszystkich miejsc, gdzie grupy wiecznie zielonych krzewinek i gustownie przyciętych drzew oplatała sieć krętych ścieżek, a w lecie panował miły cień.

I rzeczywiście, w jego sercu dostrzegł te same oznaki zaniedbania, które niedawno oglądał z bibliotecznych okien, zioła i kwiaty były bure i martwe jak wszystko w okolicy – temu się jednak nie dziwił. Drzewa stały nagie, a sprawiła to jesień. Rzecz jasna, nikt nie spacerował dróżkami: zimny wicher dał między murami, z których dwa stanowiły jednocześnie ściany zamku. Niski murek oddzielał ogród od stajennego dziedzińca. Miejsce to nie zostało splądrowane, nie było tu ciał zabitych, żadnych zemsty Cieni ani śladów po wczorajszej bitwie. Tristen odnalazł jedyną rzecz nie zbrukaną i nie zniszczoną. Cenił ją ponad wszystko inne.

Zbliżył się do krawędzi stawu. Suche liście upstrzyły wysypane żwirem obrzeże, lecz te same niepłochliwe rybki, które zamieszkiwały staw, nadal tam były, nadal bezpieczne... Co prawda chudsze niż kiedyś, lecz bezpieczne.

–Nikt ich nie karmił – powiedział.

–Śpią w zimnej wodzie – odparł Uwen. – Ale jeszcze zapytam, panie. Sporo trza tu uprzątnąć.

–Zgina, jeśli woda zamarznie?

–Widzi mi się, że rok okrągły tu żyją – rzekł Uwen, rozglądając się dokoła. – Atoli rabaty te już dwa miesiące temu przekopane byd miały, jako rzekł mi jeden, co dawniej rolę uprawiał. Widno ogrodnicy z reszta odeszli i nikt ich roboty podjąć

potem nie chciał. Do krewniaków na okoliczne zagrody snadnie powrócili. Już my ich najdziemy, chłopcze, nie kłopotz się o to.

Cieszył się niezmiernie, że Uwen tak go nazwał. On też ubolewał nad fatalnym stanem biblioteki. Po kilku chwilach patrzenia na wodę Tristen stłumił w sobie gniew na gwardzistów, na archiwistę czy na kogokolwiek. Jaskrawo przystrojeni panowie i panie z zeszłego lata powrócą niby śpiewające ptaki z nastaniem cieplejszych dni. Rzeczy, które pamiętał, odżyją, kiedy zamknie się cykl roku.

Tutaj mógł wskrzesić we wspomnieniach lato swej niewinności. Przywodził przed oczy widok drzew: zielonych, okrytych gęstwą liści, szepczących na wietrze. Ta kolekcja wrażeń była dlań równie ważna, jak sama biblioteka. Miejsce to, w odróżnieniu od reszty Zeide, stanowiło jego zacisze, gdzie koił serce, oraz nieposkromioną magię, jeśli rzeczywiście mieszkała w nim sihijska magia. Obserwował kilka niemądrych gołębi, które wylądowały na dróźce, zajęte swoimi sprawami, straszące piórka na wietrze.

Tylko tu tak naprawdę doceniał ulotność pewnych zjawisk. Czy zniszczenie listów Mauryla było stratą? Prawdopodobnie tak. Niemniej jednak, na swój sposób, owa strata pomagała zachować swoisty porządek... zachować poszczególne istnienia na właściwych im miejscach, podobnie jak odpowiednie dla Mauryla miejsce i czas wiązały się niegdyś z Ynefel, gdzie wszystko szarzało, pokrywało się kurzem i pajęczynami, popadało w ruinę. Tamta forteca także zawierała sekretne miejsce, poddasze... Gdy przestało istnieć, wraz z nim przepadła Ynefel. No i Mauryl.

Stojąc w tym okrytym jesiennymi brązami ogrodzie, Tristen pragnął, ażeby, jak za dawnych dni, był on zielonym sercem pośrodku starożytnych murów. Przyszło mu na myśl, że coś na kształt takiego serca musiało tu istnieć zawsze, odkąd Murarze wytyczyli Linie kamiennego ogrodzenia i zbudowali zamek.

Z drugiej strony, dopiero kiedy zobaczył, jak Świątobliwy Ojciec wypacza swoim zachowaniem Linie, zrozumiał znaczenie pracy ogrodników przez wieki wykonujących cierpliwie swoje zadania, pracy służących i wszystkich tych ludzi, którzy z czułością pielęgnowali ziemię i mury Zeide. Każdy z nich swoimi drobnymi, codziennymi działaniami przyczyniał się do umacniania Linii, silnych niczym zapory czarodziejów.

Czyżby Murarze nie byli zwykłymi Ludźmi? Uprawiali magię? A co z ogrodnikami?

Przybył tutaj, aby Rządzić, aby Bronić tej ziemi przed złem, a tymczasem uświadomił sobie, że zarówno w obrębie jej granic, jak też w tym ogrodzie bronią go żywe ręce tych właśnie posługaczy i gwardzistów. Kiedy życzył temu miejscu bezpieczeństwa, wspomagała go siła, jaką nie dysponowała opuszczona Ynefel, dająca schronienie wyłącznie gołębiom, myszom i Sowie. Nie oczekiwał, że sam

będzie chroniony, tak się jednak stało. Wiedzę tę wdychał wraz z powietrzem, czuł pod stopami i naokoło – pod wpływem siły tego objawienia usiadł na kamiennej ławeczce. Aby ukryć zmieszanie, pochylił się i cisnął kamyk w toń stawu. Ryby, zziębnięte, ledwo co się ruszyły, tylko koła powstały na wodzie. Ryby przeżyją, przeczekają otaczającą je zewsząd śmierć pod szarą, połyskliwą powierzchnią, nawet skutą lodem.

Crissand, pomyślał.

Przyjdzie, zdał sobie niejasno sprawę. Być może nie dzisiaj, ale przyjdzie – w swoim czasie. Musi. Jest mój, jakim nikt, nawet Uwen, nawet Cefwyn nigdy nie był. Podobnie jak moje jest to miejsce oraz wszyscy, którzy je zamieszkują.

Tymczasem zimny wiatr przenikał do szpiku kości, szarpał płaszcz i marszczył powierzchnię stawu.

Jakiś paproch pofrunął na wietrze. Zrazu, gdy zadarł głowę, pomyślał, że to popiół z paleniska w kuchni. Wnet jednak ujrzał następny i następny...

–Śnieg – mruknął Syllan, patrząc na szare niebo. – Pada śnieg, panie.

Tristen zobaczył, jak śnieg przyprósza ciemnozielone krzewy. Jeden płatek osiadł mu na rękawie, wtedy obejrzał w zachwycie jego delikatną strukturę.

Mnóstwo podobnych płatków niebawem ubieli całą ziemię. Łowił je rękawicą, klejnoty wszelkich kształtów. Objawiło mu się, że mogą przybierać nieskończoną ilość nienazwanych form. Roztopiały się w nicość, lecz wciąż padały nowe.

Niemal w tym samym momencie świadomość podsunęła mu obraz sunącego ze stoku wozu, ciągniętego przez woły z białymi grzbietami. Wrażenie było niezwykle ulotne, zaprawione gniewnym wzburzeniem.

Mistrz Emuin, wielce rozdrażniony, nareszcie zawiadamiał, że nie szczędzi wysiłku, pragnąc jak najprędzej dotrzeć do Henaśamef.

Rozdział piąty

Białe cętki sypały się z nieba za oknami: dwa dni prószącego śniegu i mroźnego wiatru oszroniły krawędzie dachówek, więc na przyległym dachu spacerowało teraz tylko kilka przygnębionych gołębi.

Zdumiewające, jak człowiek może tęsknić za kimś, z kim się tak rzadko widywał, i jakże dziwnym wydaje się czasem brak gołębi. Kto wie, czy wszelkie straty i złe wróżby nie ciążyą bardziej, gdy pogoda zapewnia tylko chłód i szarość? Patrząc na zewnątrz, Cefwyn doznawał wciąż uczucia smutku, unikał więc podchodzenia do

okien, jakkolwiek niespokojne kroki uparcie przywodziły go w ich pobliże, ilekroć wstawał z krzesła.

Dojechał już pewnie do Assumbrooku, pomyślał pewnego ranka, wszelako dzisiaj powinien dotrzeć do Henaśamef z całym bagażem i mistrzem Emuinem. Będzie tam bezpieczny, podobnie jak Emuin. Niech bogowie mają nas w swej opiece!

– Miłościwy panie. – Idrys jeszcze niedawno załatwiał jakąś sprawę w drzwiach (słudzy przyszli i wyszli) albo też wyszedł na chwilę. Cefwyn nie miał pojęcia, co się z nim działo. Teraz lord komendant podszedł z posępną, urzędową miną. – Jego Miłość Murandys z petycją.

– Czeka za drzwiami? – Niemal ucieszył się z tego urozmaicenia.

– W holu na dole w nadziei, że zostanie zaproszony przed twoje oblicze. Towarzyszy mu syn Ryssanda z petycją.

Cefwyn mało kogo darzył w królestwie taką antypatią, choć przedkładał Murandysa nad Brugana, świnie z chlewni Ryssanda. Dziś jednak nawet tę odmianę powitał z radością.

– W sprawie?

Oko Idrysa zawisło na onieśmielonym paziu, który odważył się wejść do złoconej sali, gdzie na stołach leżały mapy, a paziów nigdy nie wpuszczano.

– Jazda stąd! – rzucił Cefwyn, toteż paź umknął ku drzwiom, by tam odwrócić się i ukłonić.

– Ale Jej Miłość przysłała wiadomość – bąknął paź, po czym jeszcze raz się ukłonił z zamiarem ucieczki.

– Stój! Daj mi ja!

– Miłościwy panie! – rzekł paź z poszarzałą twarzą i oddał zwinięty, opieczętowany papier. Pozbawiony brzemienia, chłopiec umknął biegiem, omal nie przewracając bezcennego astrolabium.

– Przeklęte dzieciaki – burknął Cefwyn. – Ten jest nowy. Z Panysu. Ganiają po tej pięknej komnacie, co i rusz wpadają na ścianę albo meble!

– Konsekwencja twego majestatu, panie – mruknął Idrys. – Podobnie jak czekająca na dole petycja.

– W sprawie? – Wydało mu się, że już wcześniej dotarli do tego punktu, zanim

nadbiegł posłaniec od Ninevrisie (ani jego przyszła małżonka, ani lord Murandysu nie mogli zbliżyć się doń bez zaproszenia – choć mógł to uczynić płowowłosy młokos). Poczul się osaczony. – Sulrigger z pewnością jeszcze nie przybył. Cóż zatem mamy, hę? Murandysa i jego przeklęte solone ryby? Petycję od młodego Brugana, który chce pierwszy przekroczyć most na wiosnę?

–Murandys jest przedstawicielem innych i niestety jego sprawa nie jest aż tak przyjemna. – Idrys patrzył ponuro. – Nie posiadam kopii tego dokumentu, który sporządziły w tajemnicy, chyba w świątyni quinaltynów, elementy nie związane z Jego Świątobliwością, mam tu zwłaszcza na myśli kapłana Ryssanda oraz Romynda z Murandysu. Błagam, najjaśniejszy panie, nie podpisuj tego dokumentu ani nie udzielaj dzisiaj posłuchania Murandysowi. Zażądaj tylko okazania petycji. Chociaż wiem niewiele, dość tego, by spodziewać się pułapek. No i stoją za tym kapłani.

Kiedy Idrys przemawiał takim tonem, najwyższy czas było zrzucić bojowy rynsztunek.

–Z jakim zamiarem?

–Ostatecznie? Byś zatwierdził, miłościwy panie, zwierzchnictwo quinaltynów nad resztą religijnych obrządków.

–Ośmielą się tego żądać?

–Na razie nie, ale kiedyś na pewno. Jedna klauzula, proszę o wybaczenie, dotyczy pewnych beneficjów. Chcą mianowicie zalegalizowania rocznej, wypłacanej przez Koronę prebendy.

–Będą nalegać, dostaną dwa pensy!

–Nie koniec na tym. Pragną obecności quinaltynów w prowincjach Jej Miłości.

–W królestwie!

–O ile wiem, tak się potocznie mówi. I tu znów klauzula... – Idrys się zawahał. – Uznająca w Jej Miłości księżną na ziemiach podległych quinaltynom.

–Suwerenni władcy. – Wywalczyli przecież wykreślenie tego sformułowania z treści traktatu. Czyżby powrót do dawnych warunków? – Do licha z nimi!

–Jego Świątobliwość, drżący ostatnio w niełasce, nie wyściubił nosa ze świątyni, podając przez posłańca ten haniebny dokument. Jestem pewien, że Świątobliwy Ojciec pragnąłby, abyś przynajmniej dostrzegł, miłościwy panie, jego bohaterski dowód lojalności.

–Masz tobie! Ale czy to właściwie szaleństwo?

–Jest niezbitym faktem, że Jego Świątobliwość nie może okiełznać swoich kapłanów i gdyby się nie bał napisać z prośbą o pomoc, chyba już by to zrobił. Przyjęciem warunków Waszej Królewskiej Mości osłabił swój głos w pewnych kręgach. Co grozi rozłamem.

–Sześć dni – rzekł Cefwyn. – Sześć dni, a wtedy, po ślubie, nad niektórymi łbami zawiśnie widmo kata. Niech bogowie pokarają Murandysa i Ryssanda!

–Obawiam się, że prawowierni węższą wokół skrzyń z pieniędzmi Świątobliwego Ojca, jego prywatnych szaf i biblioteki. Grozi mu poważne niebezpieczeństwo, miłościwy panie. Ryssand podjudził swoich osobistych kapłanów i wzmocnił siły frakcji przeciwnej patriarsze. Dzisiejsza petycja przybywa w rękach natarczywego, pobożnego lorda, żałującego za grzechy, zmartwionego staczeniem się królestwa w sidła czarnej magii, podejrzliwie traktującego zwycięstwo nad Lewenbrookiem, a zwłaszcza bryaltyńskiego kapłana Jej Miłości. Prawowierni odliczają dni, znając twoje stanowisko, chwycą się każdej sposobności. Nie zdołałem uzyskać odpisu tego dokumentu, treść znam tylko z pogłosek. Chociaż może to być petycja o pozwolenie zwołania rady synodalnej. Nad Świątobliwym Ojcem wisi coraz większa groźba, a potęgują ją Ryssand z Murandysem. W tej sprawie, oby bogowie dopomogli, Sulrigan może okazać się sprzymierzeńcem Waszej Królewskiej Mości, o ile pogoda nie opóźni jego przyjazdu. Jeżeli opowie się przy patriarsze. Tymczasem chciałbym zerknąć na treść petycji, zanim Wasza Królewska Mość wyznaczy jej wnioskodawcom audiencję i zanim ją formalnie odbierze.

Za dawnych dni książęcych rządów Cefwyn zażądałby wina i kobiet – ambitnych krewniaczek swoich wrogów... Zastłoniłby się nieosiągalnością, zahaczając o absolutną niemożność spełnienia życzeń natrętów, sypiając równocześnie z ich nieocenionymi, uperfumowanymi źródłami wpływów... Zwodząc nadziejami, nigdy czynem.

–Potulna skromność ma mnóstwo ujemnych stron – zauważył. Oprócz Annasa tylko Idrys mógł dokładnie wiedzieć, o co mu chodzi. – Tak samo jak negocjacje z kapłanami w celibacie.

–Zawezwij Luriel na dwór. Już sama wiadomość o tym wprawi w zakłopotanie jej wuja i przysporzy mu rozterek, a co dopiero, kiedy sama tu przyjedzie. Niech Wasza Królewska Mość przywróci ją do łask, jego rozterki jeszcze się pogłębią.

Zasugerować romans, i to w przeddzień ślubu? Rozedrzeć Murandysa między nadzieją na wpływy a strachem przed ośmieszeniem? Wynagrodzić zniewagę wyrządzoną Luriel, przywrócić jej wartość w oczach wuja?

Wziął głęboki oddech i zadał sobie pytanie, czy wolno mu łudzić się bodaj słabą nadzieją, że Ninevrise przebaczy mu taki postępek.

Ale nie, wszak jego narzeczona jest mądra, tolerancyjna i na tyle przebiegła, iż zrozumie sytuację i dla dobra królestwa wyrazi swą zgodę. Nie powinien jej jednak wystawiać na szyderstwa Gueleńczyków. Wjeżdżając na wiosnę do Elwynoru, musiałby stawić czoło upustom gniewu z powodu zniewagi, jaka dotknęła lady regentkę. Najcichsze echo skandalu zakończyłoby się rozlewem krwi, zarówno gueleńskiej, jak i elwynimskiej. Umiejętności Luriel, które wykazywała w stawianiu swego wuja w niezręcznej sytuacji, przysparzały im niegdyś wiele radości. Miał pewność, że Murandys nie zdołał ująć w karby owego utrapieńca, mimo iż okryła się hańbą. Niemniej Cefwyn, po burzliwym rozstaniu, nie mógł jej już wykorzystywać na dawną modłę.

Tak czy inaczej, kuszącą wydawała się sama myśl o torturowaniu Murandysa złudną nadzieją i o jego wielkiej konsternacji.

–Nie mogę już być lubieżnym księciem – powiedział z żalnym westchnieniem. Zmarszczył czoło. – Ale nie mogę również, jak Efanor, tonąć w świętości.

–Wobec tego musisz być królem – rzekł Idrys, wyrażając brutalną prawdę.

–Racja.

–A zatem niechaj cię kochają lub drżą przed tobą ze strachu. Będąc królem, powinieneś zrezygnować z kompromisów.

–Kochają?!

–Jakkolwiek wydaje się to niemożliwe.

–Ależ oni kochają własne korzyści, mości kruk.

–A także żony, synów i córki. Kochają luksusy, kochają...

–Kochają swoje konie, ogary, sokoły i faworyty, lecz trudno ze mnie zrobić psa czy konia, nieprawdaż, mości kruk?

–Ani sokoła, ani też faworyty Ryssanda bądź reszty tych napaleńców. Niewiele więcej może Jego Świętobliwość. Kiedy ci gorliwcy staną na pewniejszym gruncie, biada zarówno Świętobliwemu Ojcu, jak i tobie. Ale daj mu to do zrozumienia, a być może uzyskasz jego pomoc w sprawie Corswyndama, teraz, gdy na gzymisie nad schodami świątyni panuje mniejszy ruch. Oddałeś mu przysługę, więc pora na spłacenie długów.

Król się zaśmiał, lecz był to śmiech nieprzyjemny, źle wróżący Ryssandowi. Bogom dzięki, że Idrys wciąż się z nim sprzeczał, gdy potrzebował obiektywnej, nawet niemiłej opinii.

–Kto by pomyślał – rzekł Cefwyn – że po odjeździe Tristena w mieście nastanie taki spokój?

–Cóż, żadnych plotek, żadnych szeptów – odparł Idrys, założywszy dla wygody ręce do tyłu. Na obu padły blade promienie słońca. – Miasto nadal milczy, roztrząsa ze zdumieniem jego odjazd.

–Szkoda, że Murandys nie chce ruszyć gdzie w świat.

–Szczęściu starego wyżła nie lepiej wiecie się na łowach niżli rodzicielowi, najjaśniejszy panie. Mam taką sugestię: niechaj jeszcze tego popołudnia koń się pod nim spłoszy.

Szczęśliwy wypadek. Tylko że po Corswyndamie rządy w księstwie Ryssandu objąłby młody Brugan, chciwy głupiec.

A może to nawet lepiej, żeby głupiec władał tą niespokojną prowincją?

Rozmyślał nad zaletami tego planu, rozmyślał długo nad niedorzecznymi koncepcjami słabego króla.

–Nie jestem jak mój dziadek – orzekł, powziąwszy decyzję. I dodał z brutalną szczerością: – Na tle syna gorszego od Corswyndama, młodego nieposkromionego głupca, pełnego ambicji, ja się zdaję cnotliwy. Nie miałbym nic przeciwko usunięciu ojca, gdybym na wiosnę nie potrzebował doświadczenia Corswyndama. Brugan już w pierwszej godzinie walki wygubiłby do szczętu swój hufiec. Wielcy bogowie, jakże się boję głupców!

–A więc pošlesz po Luriel?

W żartach Idrysa częstokroć pobrzmiwała ironia. Cefwyn zaśmiał się gorzko.

–O, tak. Powitam ją przy dźwiękach trąb.

–Wasza Królewska Mość musi tu zwołać wielką rzeszę głupców.

–Ona jest mniejszym głupcem niż jej wujek. Była młoda, zbyt ufna, o wiele za ambitna. Chociaż nie będzie królową, nie zabraknie jej adoratorów. Ani władzy. Tak, pošlij po nią. Z królewskiego polecenia. Ostrzegałem Murandysa, ale nie chciał słuchać.

–Mam zejść na dół i poprosić go o petycję, rzekomo z zamiarem odesłania jej kancelistom do sprawdzenia? To zajęłoby parę dni.

–Nie! Powiedz, że boli mnie głowa i pragnę odpocząć. Nie wydałem żadnych rozkazów, a szambelanowi i oficerom nie wolno przyjmować niczego w moim imieniu.

–To wystarczy na dzisiaj. Ale co z jutrem? Ciekaw jestem zawartości.

–Jutro przychodzi do mnie krawiec. Kamizelka trochę mnie opina. Cóż za nieszczęście. A pojutrze... Nad tym zastanowię się jutro. Do licha z nimi wszystkimi!

– Wyobrażał sobie wszelkie rodzaje bóleści, jakie go dopadną, pozwalając mu przeleżeć w łóżku owych sześć dni dzielących go od ślubu.

Wówczas jednak plotkarze potraktują to jako zły omen i zaczną się radosne przygotowania do ustanowienia królem następcy tronu.

Rozgrywała się kolejna runda, kolejna próba opóźnienia zaślubin, tym razem z udziałem kapłanów i ich klauzul.

–Kaź Murandysowi oraz temu młodemu idiocie czekać na wyznaczenie dnia audiencji. Chwilowo boli mnie głowa i mam umówione spotkanie z krawcem. Czy narzeczony tuż przed ślubem jest w stanie myśleć o beneficjach? Przynajmniej zasugeruj, że owszem... Zasugeruj także Panysowi, że mogę rozejrzeć się za partią dla jego zacnego syna. Taki królewski kaprys.

–Najjaśniejszy panie – odparł Idrys, po czym wyszedł z zadowoloną miną.

A więc się stało. Trwało oblężenie, lecz mury trzymały. Poza tym, skoro Sulrigger miał przybyć lada dzień, a Idrys słał list do siostrzenicy Muiandysa, świeża nadzieja, że jeszcze przed spadnięciem śniegów dojdzie do mediacji. Mizernych śniegów, osądził Cefwyn, patrząc na wstrętne mu okno – niewystarczających, by zagrozić Sulriggerowi drogę do władzy i pieniędzy lub przeszkodzić lady Luriel w dotarciu na dwór. Och, w jakim się dama znajdzie kłopotcie: tu zaproszenie, a tu zeszłoroczna garderoba!

Czyż naprawdę zaledwie rok temu tańczył z lady Luriel?

Wosk obficie oblepił mały zwój, owinięty taką masą wstążek, jakby zawierał państwowe dokumenty. Papier osznurowano z tak wielką pieczołowitością, że nie wystarczyło poprzecinać tylko kilka supełków. Ninevrise obmyśliła zabezpieczenie, jakiego żaden szpieg nie mógł pokonać, nie uszkodziwszy trwale całości.

Kocham cię – tak zaczynały się jej wszystkie listy.

–Jego Wysokość – przerwał mu raptownie paź wysokim, dziecięcym głosem. –

Oraz diuk Ivanoru.

Efanor razem z Cevulimem?

W holu panowała konsternacja. Nawet książę nie wpadał do królewskiej komnaty bez zaproszenia; Efanora i Cevulirna odprowadzał zastęp protestujących paziów.

Cefwyn machnął ręką, wyrażając zgodę na to najście, a wtedy paziowie umilkli.

Efanor zatrzasnął im drzwi przed nosem, a potem razem z Cevulirnem spojrzął posępnie na króla.

–Mają petycję przeciwko Jej Miłości.

–Z roszczeniami quinaltynow wobec Elwynoru. Idrys zdążył mnie poinformować.

Książę przez chwilę nic nie mówił, ramiona mu obwisły.

–Czy powiedział ci jednak, czego nie ma w tej petycji?

–A więc czego w niej nie ma?

Efanor wstrzymał oddech i milczał.

–Niewierności – rzekł Cevulirn cicho.

–Cleisynde – powiedział Efanor. – Cevulirn otrzymał wiadomość od siostrzenicy Prichwarrina. Mają świadka i wniosą publiczne oskarżenie.

Efanor mógłby powiedzieć więcej, na razie jednak król nie chciał niczego słyszeć: odwrócił głowę i przypomniał sobie list trzymany w dłoniach.

Artisane kłamie bez skrpułów, stąd jest moim wrogiem. Jestem osaczona i samotna. Nie dowierzam nawet paziowi, który zabierze tę wiadomość, choć pani Margolis ręczy za jego uczciwość. Boję się, co może do ciebie dotrzeć. Bądź pewien mojej miłości.

–Niech ich wszystkich piekło pochłonie! – Cefwyn wcisnął list za pas i ruszył ku drzwiom.

–Bracie! – krzyknął książę, nadaremnie usiłując zablokować przejście. Król rozwarł drzwi na oścież.

–Annas! Sprowadźcie Idrysa!

Paziowie pobiegli co tchu.

–Miłościwy panie – ozwał się Cevulirn niskim głosem, jaki niegdyś przykuwał jego uwagę. – Artisane, córka Ryssanda, gotowa jest przysiąc i ma w ręku dowody.

Idrys gdzieś’ przepadł. Annas jednakże przybył tak szybko, jak mu na to pozwoliły starcze nogi.

–Co z paziem?

–Paziem Jej Miłości?

–Właśnie.

–Wybiegł, najjaśniejszy panie, wystraszony, jakoby diabła zobaczył. Czy trzeba wysłać odpowiedź? Któryś z chłopców natychmiast ją zaniesie.

–Nie! Murandys wciąż czeka w holu na dole?

–Nie mam pojęcia, miłościwy panie, ale zaraz się dowiem.

–Jeśli wyszedł, znajdźcie go! Jeśli nie wyszedł, sam go poszukam! Tak być nie może! Niech lichy weźmie tę lisicę!

–Cefwyn! – rzekł Efanor. – Tutaj porywczosć nie jest wskazana!

–Dobrze służyła naszemu dziadkowi, dobrze posłuży i mnie! – Ruszyli za nim obaj, gdy maszerował wśród złąknionej gromady paziów i sług, mijając wysokie okna, zabierając po drodze płaszcz i zgarniając komplet gwardii przybocznej: swojej, Efanora oraz dwóch ludzi Cevulirna.

Tym razem nie składał ukradkowej wizyty – buty tupwały i broń brzęczała, kiedy król ze świtą schodził śmiałym krokiem. Strażnicy przy schodach stawiali na baczność. Hol wydawał się wyludniony.

–Dawać mi tu lorda Murandysa! – ryknął, aż echa rozeszły się po salach. – I jego cholerną petycję! Gdzie Ryssand?! Jego też szukajcie!

Ludzie biegali z kąta w kąt. Cefwyn stał na schodach. Niebawem zjawił się Idrys, a widząc, jaki obrót przybierają sprawy, nie zadawał żadnych pytań, tylko stanął z boku.

Po chwili od wschodniej strony sali dobiegło ciężkie stąpanie Murandysa i księżęcej świty. Służący pierzchali im z drogi niczym myszy.

Murandys trzymał w ręku obwieszoną wstążkami petycję. Obok niego kroczył Brugan.

–Miłościwy panie – zaczął Murandys, wręczając królowi dokument. – Wewnątrz...

Cefwyn wytrącił papier z dłoni Prichwarrina. Rulon potoczył się z szelestem po ziemi. Diuk wytrzeszczył oczy, przerażony.

–Waszą Królewską Mość zapewne wprowadzono w błąd – rzekł, dotykając ręką piersi. Twarz mu poszarzała... Nie był już młodzieńcem. – Ta petycja, mająca na celu dobro królestwa i świętego quinaltu...

–...to błaga! W dodatku zakrawająca na zdradę!

–W żadnym wypadku, miłościwy panie.

–Za bardzo naciskasz, Murandys. Uważaj na szyję. Nawet lord nie jest nietykalny.

–Pewne sprawy wymagają ustalenia przed ślubem. Konieczne są...

–Otóż nie, nie są! Tę petycję zeżrą świny i strzeż się, bym nie kazał ci ich karmić!

–Waszą Królewską Mość na pewno wprowadzono w błąd – wtrącił Brugan. Górował nad większością gwardzistów, nie tracił pewności siebie. – A jeśli do tego doszło, moja siostra była świadkiem wszystkiego. Nocnych wizyt. Nocnych wołań Jej Miłości do lorda Ynefel...

–To łgarstwo – stwierdził Cevulirn. Czyjaś śmierć stała się nieunikniona.

Święci bogowie, pomyślał Cefwyn, uzmysłowiwszy sobie Z trwogą, iż ów głupiec, dwakroć większy i silniejszy od Cevulirna, a o połowę od niego młodszy, sprawił swym manewrem, że rzucono mu bezpośrednio wyzwanie.

Brugan szczyrzył zęby.

Małżeństwo z Elwynimką, całe przymierze na południu mogło zostać zniweczone. Cevulirn nie miał spadkobiercy.

–Niech Wasza Królewska Mość podpisze petycję – zaproponował Murandys z pobladłą twarzą – a pewne sprawy, dla dobra królestwa, zostaną zatuszowane.

Panującą ciszę zmaćcił chrzęst stali. Cevulirn dobył miecza, gwałcąc prawo i tradycję obowiązujące pod królewskim dachem. Brugan cofnął się, także sięgnął po broń, a Idrys porzucił swe stanowisko pod ścianą, macając ręką za głownią miecza. Król wciągnął głęboko powietrze i uniósł dłoń, powstrzymując lrysa, gwardzistów, a także żołnierzy diuka i samego Murandysa. Cevulirn zszedł z ostatniego stopnia.

–Bracie – szepnął Efanor słabym głosem.

–Uspokój się – odparł mu król.

Brugan przyjmował ostrożnie najdogodniejszą pozycję, pragnąc, by Cevulirn natarł. Diuk wszakże pocierał but beztriosko ustawionej nogi i czekał – starszy człowiek nie podejmował gry młodzieńca.

Z okrzykiem na ustach, Brugan ruszył do ataku, zadając zamaszysty cios klingą.

Stal zazgrzytała o stal, napastnik zatoczył się na schody. Gwardziści zastąpili mu natychmiast drogę. Cefwyn odebrał miecz najbliższemu żołnierzowi i trzymał go w pogotowiu, gdy Brugan przymierzał się na lorda Ivanoru, zataczając tym razem wolne kręgi, zbliżając się opieszale przy wtórze stukotu i pobrzękiwania strażników, którzy zewsząd śpieszyli, by popatrzeć na rozgrywającą się scenę; widok zasłaniał im jednak kordon gapiów.

–Każ im przestać, miłościwy panie! – zawołał Diuk Murandysu.

–Sam każ im przestać, Prichwarrin! Cożeś sam wywołał, sam przerwij!

–Ivanor! – zwrócił się Prichwarrin z kolejnym apelem, lecz Cevulirn nie zwracał nań uwagi, a Brugan, który skradał się dotąd na ugiętych kolanach, teraz dał susa, tnąc z rozmachem klingą.

Po raz wtóry ostrza zgrzytnęły i zadzwoniły, lecz Cevulirn znalazł się nagle gdzieś z boku.

Brugan wykonał szybki zwrot, ale nadział się prosto na miecz diuka. Krew trysnęła fontanną w ślad za uderzeniem i wymalowała delikatny deseń na białym, rzeźbionym tronie kolumny. Brugan runął na ziemię, co Cefwyn obserwował z uczuciem satysfakcji nieprzystającej do rozmiarów nieszczęścia, jakie się przed nim rozegrało.

–Ivanor sięgnął po broń w obecności króla! – wrzeszczał Prichwarrin. – Aresztujcie go!

Cefwyn uniósł miecz, kiedy pierwszy z gwardzistów Murandysa niebaczenie postąpił do przodu. Wszyscy znieruchomieli.

–Król – oznajmił Cefwyn, cedząc słowa – wybacza lordowi Ivanoru. Każdego, kto następny dobędzie broni, rozsiekam jak psa.

–Miłościwy panie!

–Działasz mi na nerwy, Murandys. Właśnie posadziłem duchessę na tronie pewnej prowincji. Czyżbym miał posadzić też drugą?

–To syn lojalnego barona, zamordowany na twoich oczach, jego dziedzic, jednak!

–Lojalnego barona?! – Pożyczonym mieczem wskazał na sponiewierany pergamin. – Podnieście! – Jeden z gwardzistów bezzwłocznie wykonał rozkaz. – Wszyscy, którzy to podpisali, ponoszą odpowiedzialność i zostaną przesłuchani. Każdy, kto zechce uwłaczać mnie bądź mojemu domowi, Jej Miłości bądź jej domowi, zostanie poczytany za zdrajcę. Swoimi natarczywymi pomówieniami, obelgami, konspiracjami i nadużywaniem dobrej woli króla doprowadziłeś mnie do ostateczności! Nie jestem taki, jak mój ojciec, mój panie! Popełniłeś duży błąd, myśląc, że jest inaczej!

Z zadowoleniem patrzył, jak z oczu zadufanego w sobie lorda Murandysa wyziera śmiertelny strach, wnet jednak dojrzała w nim bolesna świadomość, że pozbywając się spadkobiercy Ryssanda, wypowiedział północnym prowincjom wojnę, której obecnie nie mógł kontynuować.

Brugana odciągnięto wzdłuż sali, czyniąc krwawy ślad, jakim musiał podążać Prichwarrin. Żaden ze służących nie ruszał się z miejsca.

Cefwyn zerknął na Cevulirna, który ze spokojem starł krew z klingi miecza i stał teraz opanowany, w poplamionym ubraniu, czekając na jego słowo... jako że coś należało przedsięwziąć w sprawie Ryssanda i Ivanora, a król musiał być mediatorem. Idrys czekał, nie zdradzając wyrazem twarzy swoich myśli, aczkolwiek nie marszczył czoła. Tuż obok niego stał Efanor, blady i wstrząśnięty, ze sztyletem w dłoni – nareszcie objawił naturę Marhanenów.

Cefwyn zwrócił miecz właścicielowi.

–Ivanorze. – Wskazał Cevulirnowi wiodące na górę schody. Na ich szczycie, gdzie skręcało się do apartamentów Ninevrise, zadarł głowę, żałując, że nie może tam pójść osobiście, przytulić ją i pocieszyć.

Być może pośle pazia z wiadomością:

Oskarżenie zostało wytoczone w mojej obecności, odpowiedział na nie Jego Miłość Ivanor, a Ryssand gorzko wszystkiego pożałuje. Jeśli chcesz, zwolnij Artisane. Nie zamierzam dłużej znosić obecności głupców, podobnie nie powinna tego znosić moja pani.

Nie odniósł jednak całkowitego zwycięstwa. Ryssand weźmie sobie tę stratę głęboko do serca i będzie żądny zemsty, którą prawdopodobnie zechce wyrzucić bez dłuższej zwłoki, jeśli zdoła znaleźć ludzi gotowych wyzwać Cevulirna. Człowiek jest w stanie zwyciężyć w jednym pojedynku, ale nie w nieskończonej serii potyczek, opłacanych złotem Ryssanda... O ile do pojedynku dojdzie w polu, a nie gdzieś w ciemnym korytarzu. Ryssand był nieobliczalny.

Zanim doszli do drzwi, wiedział, że musi uchronić przymierze południowych prowincji przed podobnym zamachem, co pociągnie za sobą odesłanie kolejnego przyjaciela, wszakże tylko dzięki temu mógł uratować całą resztę. Cevulirn powinien wyruszyć jeszcze tego śnieżnego wieczoru, nie czekając na tabor i służących... Większość lordów nie zdecydowałaby się wyjeżdżać w takich warunkach, lecz lord Iwanimow, w świcie garstki ludzi, musiał swoim wyjazdem uprzędzić posunięcie Ryssanda.

Rozdział szósty

Przenikliwy wiatr słabł wreszcie, padający śnieg ledwie co przyprószał dachy Zeide. Gdy stalowoszare chmury przyćmiły popołudniowe światło, białe kamienie wydawały się szare, a stopnie schodów nabrały ołowianego odcienia. Chociaż żołnierze przeszukiwali miasto, wciąż nie było wieści o zagubionych dokumentach. Nikt nie widział kustosa. Strażnicy zatrzasnęli bramy, kiedy rozgorzała bitwa, a otworzono je dopiero pierwszego dnia w południe, kiedy mistrz Haman przyprowadził Liss. Potem przepuszczano znane osoby, dopóki nie przyszedł rozkaz zamknięcia bram po odkryciu morderstwa i zaginięcia dokumentów. Zgodnie z raportem Anwylla, przez bramę przewinęło się kilku chłopców stajennych i świniopasów, wielu gwardzistów spod różnych znaków, kwatermistrz wraz ze swoimi podwładnymi, jeden czy dwaj ziemianie, a także drwale, wypalacze węgla drzewnego i spora liczba zarządców sadów i rozmaitych przyległych do grodu zakładów rzemieślniczych, należących do książęcych włości bądź do lordów mieszkających w obrębie murów. Zapamiętano też młynarza z ładunkiem mąki, garbarza tudzież kilku ludzi wywożących śmieci, którzy później wrócili.

Krótko mówiąc, drugiego dnia przeszedł przez bramy istny tabun ludzi, poza tym coraz więcej ich chciało wyjść lub wejść, gdyż śnieg nie zasypał gościńców i co poniektórzy spóźnialscy, jak powiedział Uwen, martwili się jeszcze o zapasy na zimę. Tristen dostrzegł w szarym miejscu jedynie nieznaczne wzburzenie; mistrz Emuin obozował nad Maudbrookiem w skrajnie uciążliwych warunkach, pozbawiony jakichkolwiek wiadomości – wóz kowala rozsypał się do cna i zablokował bród. Owszem, Emuin słyszał w nocy przejeżdżającego w pobliżu jeźdźca. Owszem, rozmawiał z lordem Parsynanem i użyczył nieszczęśnikowi konia, jak też kilku jego gwardzistom, bo i czemu nie? Tylko cóż ściągnęło na wicekróla taką niedolę i skąd się brał jego pośpiech? – dumał mędrzec.

Tristen stał się powściągliwy w szarej przestrzeni, gdzie ciągle wyczuwało się pewien niepokój. Służący szeptali o chłodnych miejscach w bibliotece i na schodach Wschodniego Dziedzińca, przeciwko którym zakonnik quinaltynow sporządził talizmany, a bryaltyński kapłan przeprowadził specjalny obrzęd i rozkazał pozapalać świece. Służący z zadowoleniem przyjęli te zabiegi, jakkolwiek sprawiedliwości wciąż nie stało się zadość, a wyrównanie szkód, zdaniem Tristena, mogło nastąpić jeszcze później.

Oględziny spopielenych listów Mauryła nie przyniosły na razie spodziewanych rezultatów. Tristen zdołał odczytać fragmenty próśb o mąkę i świece oraz ostrzeżenie przed powodzią mającą się zdarzyć jednej z dawno minionych wiosen. Patrząc na pismo, słyszał niejako głos Mauryła. Wodził palcami po zwęglonym papierze i wspominał pochylonego nad piórem czarodzieja, podczas gdy wicher z innego czasu wył za oknami.

Śnieg wciąż jedynie pobielał dachówki i krawędzie murów, a między miastem i ogrodami rozpościerał białą mgiełkę. Chorągiew, zawieszona przecież nie tak daleko, bo nad bramą, czasami bladła i ciemniała.

Śnieg nie przeszkadzał wszakże miejskim dygnitarzom i lordom odwiedzać Zeide – przychodzili opatuleni ośnieżonymi futrami. Sprawy grodzkie były proste, dotyczyły głównie handlu i opłat. W wolnej chwili przeglądał dobrze przygotowane sprawozdanie ze zbrojowni, żałując, że musi czekać na przybywające wraz z Emuinem księgi Amefel.

Pragnął rozesłać ludzi do dystryktów, zwłaszcza tych graniczących z Elwynorem, gdyż zachodziła obawa, że niektórzy wieśniacy mogą udzielać Elwynimom schronienia, zarówno zbiegom, jak i ludziom Tasmórdena. Niemniej posyłanie Smoczej lub Gueleńskiej Gwardii do dystryktów ogarniętych podobnymi rozruchami, jakie wzniciło w Henaśamef panowanie Parsynana, sprowadziłoby tylko nieszczęścia. Pozostawało mu liczyć na pomoc lordów i na ich posłańców, albowiem wraz z upadkiem Heryna Aswydda lord Amefel został pozbawiony prywatnego wojska.

Nic więc dziwnego, że wciąż napływali amefińscy lordowie, by natychmiast przedkładać postulaty dotyczące ziemi i spraw dworu w czasie zimy. Wieczorem Tristen podjął kilku z nich na nieformalnej audiencji.

–Zapraszam na kolację – powiedział im, cofając się myślami do organizowanych przez Cefwyna spotkań, widząc we wspomnieniach hałaśliwą i często targaną sporami salę, gdzie ludzie wydawali się jednak bardziej otwarci na propozycje innych. Niewielka grupka biesiadników nie potrzebowała wielkiej sali, służący napalili wszakże w palenisku i oświetlili komnatę blaskiem świec. Kuchmistrzynie podała swoje słynne ciastka, a także przedni ser i kielbaski, zakupione na bazarze tuż przed tym, jak raptownie wzrosła liczba gąb do wyżywienia. „Kazałam dziewczkom, by wszystko kosztowały – zapewniła Lusina. – Póki co, żadnej nie zaszkoziło”.

Jednym z trzech przybyłych na kolację był Cuthan, oprócz niego pojawili się też Drumman i Azant, przywódcy odrębnych frakcji, jakich wiele istniało wśród earłów. Drumman i Azant błagali o wyrozumiałość w ustalaniu podatków, bali się bowiem, że będą wysokie ze względu na wojnę. Obawy takie obudziły w nich najświeższe obliczenia.

–Ludzie Jego Królewskiej Mości przetrząsnęli każdy stóg siana – mówił Azant – a wieśniacy i tak już ledwie wiążą koniec z końcem, Wasza Miłość.

–Niech młodzi zbroją się na wiosnę – odparł im Tristen. – Użyjcie wszelkich środków, bo muszą być gotowi. Nie widziałem jeszcze wyliczeń, znam jednak zamiary Jego Królewskiej Mości, które odnoszą się do obrony południowych mostów. Muszę wam zaufać i prosić, byście posłali ludzi do wiosek i uświadomili mieszkańców.

–Wasza Miłość twierdził, że wojna nie dojdzie do Amefel – zaprotestował Azant.

–Jeśli tak się stanie, to nie z mojej winy czy winy Jego Królewskiej Mości. Gdy będziemy pod bronią i zajmiemy przyczółki mostów, złagodzimy jej skutki. Jeżeli plany Tasmórdena wobec Amefel spełzną na niczym, jego żołnierze stracą zapal do walki z nami czy z prowincjami północy. Nie wolno jednak pozwolić, by Elwynimi obozowali wśród naszych wzgórz, jak to się bez naszej wiedzy działo latem, panowie. Niech każdy chłop melduje natychmiast o wszelkich napotkanych przybyszach.

–Mój dystrykt się podporządkuje – oświadczył earl. – Ale dość żeśmy już wycierpieli z powodu wojny Jego Królewskiej Mości.

Crissand nie przybył na ów mały bankiecik, nie wypadało go też prosić. Uwen powiedział, że dom Meidenów oplakuje zmarłego. Zapowiadało się wiele pogrzebów, nie tylko w mieście, ale i po okolicznych wioskach. Smętne powozy uzyskiwały pozwolenie na przejazd przez bramę. Wkrótce wielka żalność mogła wybuchnąć na ziemiach Meiden, po dotarciu do osad strasznych wieści o utracie połowy urodzonych tam młodych mężczyzn.

–Będziemy wspólnie dźwigać brzemień Meidena w czasie zimy – oświadczył, znał już bowiem raporty Uwena i Anwylla, opisujące rozmiary niedoli dystryktu i stopień obciążenia wiosek przez wiosenne zaciągi. – Earl Crissand posyła zapasy do wsi, które najbardziej ucierpiały, pomaga im przetrwać zimę, niemniej wszyscy musimy przygotować się do wysłania zapasów. I wołów.

„Chociaż w wioskach ludzi wielu ubyło, pierwsze dni zimy jakoś da się przetrzymać, przecie zbiory ledwo pozwożone – mówił Uwen, składając raport. – W tym jednak szkopał, iżc całą zimę zwierzynę trza obrządzać, a do tego orka, gdy z wiosną ziemia namoknie. Ciężkie to terminy. Najlepszym pomocnikiem naonczas jest wół, no i pług zgrabny. A skoro wszystkie woły i furmanki wojować ruszają, tedy bieda teraz po wsiach, gdzie wdowy i sieroty gospodarzyć muszą”.

–Postanowiłem posłać jeszcze zimą zaopatrzenie nad rzekę – rzekł Tristen. – Umocnimy brzeg i damy Tasmórdenowi sporo do myślenia. Zajmiemy mosty i zgromadzimy zapasy, których nie będziemy musieli zwozić wiosną błotnistymi drogami. Tylko trzeba zacząć już teraz.

–Człowiekowi czy zwierzęciu ciężko w mrozy pod płótnem – znów zaoponował Azant.

–Tak, ale woły zrobią, co do nich należy, i zdążą wrócić na orkę. Czyż nie mam racji, panowie? Będą tam już na nas czekały zapasy i rozbity obóz. A to przyspieszy przemieszczanie się armii. Konnica zdoła dotrzeć nad rzekę znacznie prędzej w odpowiedzi na jakiegokolwiek zgrupowanie wojsk nieprzyjaciela.

–Zapasy te jedynie zwabią Tasmórdena, nic więcej, panie – ozwał się Cuthan. – Sprowadzimy wojnę na nasze głowy i wszystko utracimy.

–Na mostach nie ma kładek, prawda? Samiśmy je ściągnęli. To my mamy drewno. Nie zdołają się przepawić, żadną siłą, nie zwiózłszy uprzednio drewna. A drewno się zwozi za pomocą wołów, co jest związane z wiadomymi niedogodnościami. Po zgromadzeniu zapasów nasz garnizon nie będzie musiał martwić się o zaopatrzenie w ciągu zimy i pozostanie nam jedynie doglądać stosów na ogniska sygnałowe.

–Nigdy dotąd nie czyniliśmy na zimę przygotowań do wojny – stwierdził Azant.

Przeszukując pamięć, Tristen doszedł do wniosku, że to jednak nieprawda, aczkolwiek ostatnia zimowa wyprawa odbyła się bardzo dawno temu.

–Nie szkodzi – powiedział, nie myśląc o wielkich ruchach wojsk, śniegu i ciemnych kształtach, widniejących przed nimi. Naprzeciwko przy stole siedzieli poważni ludzie.

–Wcześniejsze zaopatrzenie zimowego obozu – przyznał Azant – rzeczywiście da wytchnąć wsi na wiosnę, niemniej srogi mróz, ciężka służba...

–A czego byśmy chcieli zimą? Kto zamiast nas obroni mosty, co? Będziemy siedzieć w Henaśamef z nadzieją, że ludzie Tasmórdena nie są bardziej wytrwali i odważni? Na cóż zasłużymy, panowie, pozostawiając mosty bez straży? Co byście zrobili wtedy na miejscu Tasmórdena?

Zaległa cisza. Azant spojrział na Anwylla, prezentującego się okazale w szkarłatach Marhanenów: żołnierze Smoczej Gwardii powrócili do własnych barw i godeł, odrzuciwszy czarnego amefińskiego orła. Na ścianie wisiał w pełnej krasie sztandar z orłem, obrzeżony zielonymi draperiami Aswyddów – symbole heraldyczne wielkiej sali.

Czyżby spojrzenie to mówiło, że królewski garnizon miał wedle ich oczekiwań bronić granicy, oni zaś chcieli przezimować w domach?

–Jeśli ktoś ma bronić Amefel – powiedział Tristen – tym kimś my być musimy. Na wiosnę albo nawet wcześniej obie gwardie wracają do Guelessaru. Jeżeli nie zdzierżymy, wróg wtargnie w nasze granice, panowie, a wówczas tak nad waszymi

ziemiami i domostwami, jak i nad polami i zagrodami chłopów zawiśnie niebezpieczeństwo. Tasmórden prawdopodobnie przygotowywał plany uderzenia w naszym kierunku z odsieczą dla Edwylla; może nie znać obecnej sytuacji, chociaż może się w niej orientować, a mimo to natrzeć, byle tylko sprowadzić wojnę na nasze tereny, a mapy tych terenów, panowie, on ma lepsze od nas. Nie wolno nam wykluczyć takiej ewentualności. Oto, co zrobimy: rozbijemy obóz zimowy, odprowadzimy na wsie woły z zaprzęgami i uzbroimy się przeciwko wszystkiemu, co nas może spotkać. Moglibyśmy uzyskać pomoc z Lanfarnesse, Ivanoru i Olmernu, a nawet z Imoru, choć tak się nie stanie, jeśli Jego Królewska Mość zavezwie ich na północ, by od tamtej strony przeprowadzić atak. Król nakazał mi bronić Amefel, zatem Amefińczycy jeszcze zimą sięgną po broń i będą ćwiczyć w śniegu. Kiedy Amefel ruszy do boju, uczyni to w tempie koni, nie wołów. Tak niegdyś bywało i tak będzie nadal.

Przedłużało się uparte milczenie earłów. Dopiero po chwili Drumman skinął głową. Zawtórował mu Azant.

–Czy Wasza Miłość ma sprawdzone informacje o królewskich intencjach? – zapytał ten ostatni. – I jak się wie o Jej Miłości w Guelessarze?

To pytanie nie dotyczyło li tylko szczęścia Ninevrise czy Cefwyna: było to ostrożne, podchwytliwe pytanie, zadane w obecności Gueleńczyków.

–Mam jego słowo i jego obietnicę. To sprawa zamknięta. Król poślubi Jej Miłość, treść traktatu nie uległa zmianie, złożone tu przysięgi ciągle obowiązują. – Tristen także chował jedno pytanie w zanadrzu. – Czy ktoś z was wie, co się obecnie dzieje w Elwynorze?

Spojrzenia rozbiegły się na boki. Jedynie Cuthan patrzył mu prosto w oczy.

–Wasza Miłość ma całkowitą słuszność: docierały tu pewne wiadomości. Meiden mógłby znać ich treść, ale nie twierdzą, że tak jest w istocie.

Siostra Drummana była żoną Edwylla i matką Crissanda. Tristen dowiedział się o tym z raportu Uwena, a mimo to nikt nie wspomniał tu o tym fakcie, nawet sam Drumman. Gdy wybuchły rozruchy, schroniła się w domu brata i nie wyszła stamtąd, kiedy powrócił Crissand, jakkolwiek młodzieniec złożył wizytę w rezydencji Drummana i rozmawiał z nią rano... Co było, oczywiście, zrozumiałe.

Crissand pochował ojca. Matka nie uczestniczyła w ceremonii pogrzebowej. Lord Drumman siedział milcząco przy stole, kiedy poruszono temat wiadomości przesyłanych do Elwynoru. Milczał bądź to wstrzymywany poczuciem honoru, bądź dręczony bolesną świadomością głupstwa, jakie popełnił, gdy wszedł w konszachty z Edwylliem. Dotąd nie wspominał o siostrze ani o jej losach. Teraz dusił w sobie

zapewne nieprzyjemny sekret, nie mając komu się z niego zwierzyć.

–Lordzie Drummanie?

Drumman splonął rumieńcem i zwrócił nań wzrok. Ale w jego oczach nie czaił się strach, tylko szacunek.

–Możesz liczyć na trwały sojusz ze mną, panie. Będę walczył z twoimi wrogami. Na tym dworze pełno ludzi popędliwych, a ich zaciętrzewienie bierze się z wysokości podatków i perspektywy ich zwiększenia. Jakie jest twoje zdanie, panie? Zostaniemy obłożeni dodatkowymi podatkami?

–Jego Królewska Mość nic mi nie mówił o zwiększaniu podatków. Księgowi powiadomią mnie, jakie sumy będą konieczne. Moje potrzeby ograniczają się do wykarmienia służby, zapewnienia jej mieszkań i koni oraz do naprawy mostów. Jeżeli wiadomo wam o jakichś uchybieniach, mówcie otwarcie. Nie zapomnę o wiosennych zasiewach, nie pozbawię wiosek wołów i ludzi, nie dopuszczę do głodu na wsi. – Ostatnie słowa wypowiedział pomny na radę Uwena. – Ludzie, którzy staną pod chorągwiami lordów Amefel, zostaną dobrze nakarmieni, uzbrojeni i odbędą treningi z bronią w ręku. Ze świadomością, że w ich wioskach panuje porządek.

–Wasza Miłość. – Rumieńce nie zeszły jeszcze z policzków Drummana. Wyglądał na człowieka, który zbiera się na odwagę, żeby powiedzieć coś ważnego. – Kilku naszych księgowych poinformuje cię o rzeczach, których być może nie znajdziesz w księgach sporządzonych za kadencji lorda wicekróla czy lorda Heryna. Dostaniesz prawdziwe wyliczenia.

–Jeśli podatki krzywdzą wieśniaków, doniosę o tym Jego Królewskiej Mości, który równie dobrze jak ja zorientowany jest w tutejszych sprawach. I nie pragnie zubażać prowincji.

–To, że Wasza Miłość raczy przypatrzeć się wyliczeniom, czyni prowincji większą sprawiedliwość, niż zaznała jej ona przez ostatnich sto lat – oświadczył Cuthan. – Bryn wnet zacznie się zbroić.

Azant i Drumman przytaknęli zgodnie i wyraz wielkiej ulgi odbił się na twarzach lordów. Sięgano ochoczo po szarlotkę, dzieło kuchmistrzynie, i panował wesoły nastrój, aczkolwiek, zauważył Tristen, uśmiechy czasem gasły przedwcześnie. Z rozmowy dotyczącej opadów i spodziewanego przebiegu zimy dowiedział się, że wkrótce może spaść sporo śniegu, choć niekoniecznie. W pierwszym przypadku mogą mieć kłopoty z dostarczeniem zaopatrzenia nad rzekę, w drugim nie. Ciekawił go szczególnie stan dróg na wiosnę, który należało uwzględnić w planach. Lordowie unikali wszakże drażliwych tematów, a spojrzenia, jakimi Drumman obrzucał Cuthana lub Cuthan Drummana, gdy jeden z nich zbyt długo przemawiał, nie były

przyjacielskie.

Tych ludzi poróżniła rebelia, pomyślał, a jeszcze bardziej odmienne poglądy, z których nie wszystkie zdążył poznać.

Nie tylko to dręczyło Tristena. Zaczął oddzielać nastroje panujące w mieście od nastrojów wyrażanych przez earłów. Przed oczyma jawił mu się skomplikowany układ, poprządkany zdradą i zadawnioną zawiścią. Tak więc usłyszane słowa niewiele podniosły go na duchu.

Gwardziści, a nawet kapitanowie gwardii nie spożywali posiłków ze swoim panem, lecz Uwen, Lusin i Anwyll dali się namówić na kubek piwa w prywatnym apartamencie diuka. Podobnie Cefwyn zwykł rozmawiać na osobności z Idrysem, taki sam zwyczaj miał też Tristen z Uwenem. Dziś wieczór zaprosił Lusina i Anwylla. Lusin nie okazał zaskoczenia: jego kompani pilnowali drzwi, jak im nakazywał obowiązek, zatem usiadł z westchnieniem ulgi, gdyż dotąd tylko stał. Takie swobodne zachowanie najmniej do gustu przypadło Anwyllowi, ale i on przyjął kubek piwa.

Gdy siedzieli przy ogniu, zmrożony śnieg szemrał na wysokich, zasłoniętych aksamitem oknach.

–Cuthan zasługuje na swą reputację – zagaił Tristen. – Wydaje mi się, że gdyby Edwyll rządził przez jakiś czas, zanimby został oblężony przez siły Marhanena, Drumman i Azant mogliby doń dołączyć, ale nie Cuthan. I nic by mu się nie stało. Gdyby nadciągnął Tasm-Srden, Drumman i Azant dzieliliby władzę z Edwylliem, a Cuthan znów ocaliłby skórę. Gdyby wreszcie przybył król i zdobył miasto, Cuthan wystąpiłby natychmiast z szeregu jako lojalny poddany, opowiadając się przy wybranym przez Cefwyna diuku, ponownie wychodząc bez szwanku z opresji. Jeśli Cuthan nie przewodzi, inni to robią za niego. Jeśli jednak stanie na czele, wszyscy za nim pójdą. Mam rację?

–Lord Bryn, z Edwylliem zbratany – zauważył Uwen, dolewając piwa sobie i Anwyllowi – nasz przejazd przez miasto uczyniłby piekłem. Dzięki bogom, że do zgody nie doszli. Łacno by nas gradem strzał z każdego dachu powitać mogli.

Podobne obawy musiały im towarzyszyć, gdy pędzili ku bramom Zeide. Myśl, jaka przyszła Tristenowi do głowy podczas obiadu, nie była wcale weselsza.

–Czy ktoś’ mógł przestrzec Bryna? Czy nie pokazano mu przypadkiem listu Ryssanda, z którego dowiedział się o naszym przyjeździe? A skoro on wiedział, także Edwyll nie miał wątpliwości, z kim walczy. Dlaczego bowiem, pominąwszy rozagę czy lojalność wobec króla, pozostali lordowie odmówili Edwyllowi pomocy? Dlaczego nie czekali na dachach?

Pochwycił prędkie spojrzenie wszystkich trzech kapitanów. Domyślał się, że pytanie

to nie po raz pierwszy zagościło w ich dyskusjach.

–Ja bym tam na Drummana miał staranne baczenie – orzekł Uwen. – Tego najbardziej korciło, myślę, by do buntu przystąpić. Drumman znać wiedział, co się święci, inaczej by siostra u niego schronienia nie szukała. Cosik mi się widzi, że wicekról przed jakimś lordem musiał się wygadać. Edwyll mógł, słowom wicekróla nie ufając, dziedziniec zająć z myślą sprawdzenia, jako się sytuacja przedstawi, czemu inni przeciwni byli. Takie jest moje skromne przypuszczenie.

Drumman udzielił schronienia matce Crissanda. Ostatecznie jednak zjawił się na przystajennym dziedzińcu, by wspomóc królewskie wojsko, tak że tylko Crissand pozostał przy ojcu, gdy ulice obiegła wieść o przybyciu spadkobiercy Mauryła. „Lord Sihhe!” – wołano zewsządjednym głosem. Czyżby całe miasto od dawna wypatrywało jego przyjazdu, podczas gdy Edwyll usiłował zabarykadować się w cytadeli?

Tristen słuchał słów Uwena, zastanawiając się, czy Edwyll miał pełną świadomość tego, co robi. Czy wystąpił przeciwko niemu, czy też pragnął przekazać mu cytadelę w razie potwierdzenia się pogłosek o nowym diuku prowincji? Crissand rozkazał kontynuować obronę Południowego Dziedzińca, najwyraźniej wskutek braku wskazówek. Bronił się i cały czas czekał na wiadomość od ojca przebywającego w komnacie na górnym piętrze zamku. Nie odstąpił od obrony, nawet kiedy Drumman stanął po przeciwnej stronie i kiedy żołnierze krzyczeli przez bramę, wymieniając imię tego, kto proponował zawieszenie broni i możliwość dojścia do porozumienia bez dalszego rozlewu krwi.

Jednakże żadna wiadomość nie nadchodziła od earla, toteż Crissand kontynuował obronę, nie wiedząc nic o śmierci ojca, trwoniąc życie ludzkie niemal w tym samym stopniu, co wicekról.

Tristen obrzucił Uwena smętnym wzrokiem.

–Jeżeli działały tu jakieś złe siły, najwięcej szkód narobiły tamtej nocy.

Trudno mu było uwierzyć, że Edwyll walczył z nim świadomie, skoro jego syn wręcz z przesadą zapewniał o swej lojalności – dobitniej od Cuthana, który wydawał mu się bardzo podejrzany. Czyżby dzielny i lojalny Crissand uciekł się do tak perfidnego kłamstwa?

Istniało jedno terytorium, na którym prawda błyszcziała jasnym światłem. Sięgnął tam natychmiast z bolącym sercem, nie dbając o środki ostrożności. Od razu zlokalizował Crissanda. Co więcej, skupił na sobie jego uwagę. Potłukła się filiżanka – tam, nie tutaj. Crissand zerwał się na nogi, z trudem złapał równowagę.

–Czyżbyś mnie okłamał? – zapytał go Tristen bez ogródek, podczas gdy w szarej przestrzeni kłębiły się równie mroźne chmury, jak te, które obsypywały zamrażniętym

śniegiem okna twierdzy. – Kłamałeś?

–Ależ, panie! – nadeszła myśl. Crissand usiłował desperacko wychwycić materię i kierunek, zagubiony i wystraszony, nienawykły do tego miejsca, porwany bez ostrzeżenia. – Panie mój, czemu zarzucasz mi kłamstwo? Czymżem zawinił?

Nie dostrzegł obłudy ani poczucia winy. Ujrzał Crissanda, ciemną sylwetkę we mgle i rozdętej chmurze. Zapragnął się przybliżyć i oto stanął twarzą w twarz z rozpaczą młodego earla.

–Ojciec nie mówił ci, do czego zmierza. Odesłał twoją matkę do Drummana i próbował nie wpuścić mnie na zamek... Mam rację, mój panie? Jak wielu miał pomocników?

Zalała go rozprzestrzeniająca się w szarej przestrzeni fala strachu. Crissand usiłował uciec, nie miał jednak najmniejszych umiejętności... Najwyraźniej nigdy tu nie zawędrował. Gdyby się okazało, że jest inaczej, narodziłyby się nowe pytania, dotyczące czarów, kradzieży, wiedzy. Zamierzał poznać odpowiedzi.

–Z archiwum zniknęły listy Mauryła, a główny kustosz nie żyje. Drugi uciekł. Wiadomo ci cokolwiek na ten temat? Może twój ojciec coś wiedział?

–Panie? – odezwał się Uwen.

–Odpowiadaj!

Przerażenie huczało wręcz wokoło, namacalne niczym wiatr.

–Panie – wykrztusił Crissand, chcąc przed nim umknąć, lecz on mu na to nie pozwalał.

–Czemu twój ojciec wystąpił zbrojnie? Czemu wykonał ruch właśnie wtedy? Ośmielisz się nazwać to zbiegiem okoliczności?

–Chciał zjednoczenia z Elwynorem, taki był jego jedyny cel. Nie miał nic wspólnego z archiwum, kustoszami czy jakimkolwiek morderstwem. Nigdy by nie wszczął przeciwko tobie buntu, panie, klnę się na życie!

–Przez cały dzień trzymałeś w rękach twierdzę, posłałeś strażników do bramy i znałeś treść wiadomości króla. A może nie znałeś?

–Czekałem na rozkazy! – zaprotestował Crissand. – Miałem bronić dziedzica, nic więcej, panie. Ojciec dostał wiadomość...

–Panie?

Łzy rozmywały blask ognia, Tristen zauważył własne ciało. Nie chciał patrzeć na Uwena.

–Skąd przyszła?

–Z Elwynoru. Chyba z Elwynoru, panie.

–Uciekaj – polecił Crissandowi. Chmury w szarej przestrzeni ściemniały jak przed burzą. – Uciekaj, Meiden, jeśli jesteś winny. Uciekaj, gdzie chcesz, byle dalej ode mnie.

Crissand zniknął w jednej chwili, ledwie mu na to pozwolono, teraz już bez strachu.

A może w gniewie? Może z poczuciem zdrady, jakie i jego trapiło?

Kapitan Anwyll pochylił się na krześle. Uwen uspokoił go ruchem ręki.

–Myślę... – powiedział Tristen, zaczerpnąwszy powietrza w płuca, udając, iż nic specjalnego nie zaszło. – Myślę, że Cuthan okazuje mądrość tam, gdzie zagrożone jest jego bezpieczeństwo. Jeśli rzeczywiście został wcześniej powiadomiony, Edwyll nic o tym nie wiedział, a prawdę poznał dopiero po przechwyceniu królewskiego gońca. Wtedy zrozumiał, że Cuthan wywiódł go w pole. – Wielki gniew w nim wzbierał: człowiek ów siedział z nim przy stole i udawał miłego, choć w istocie krył się za tym fałsz. – Obaj strażnicy przy bramie, Ness i jego przyjaciel, nie zostali o niczym uprzedzeni. To Edwyll powierzył im straż. W mieście o niczym nie wiedziano, tylko Cuthan wiedział i ostrzegł pozostałych lordów, o ile w ogóle ich ostrzegał, lecz dopiero po tym, jak Edwyll splamił się zdradą. Powiedziałem warn, że... jeśli Cuthan nie przewodzi, ktoś to zrobi za niego. Ale Culhan nie przewodził. I zastraszył innych.

–Całkiem to możliwe – przyznał Uwen. – Cuthan nie przybył na dziedziniec wedle stajni. Stary jest, to mu i ciężko, ino trza spytać, czemu Edwyll samopas z żołnierzami tam siedział. Mniemał może, że go wybawią Elwynimi, ale cosik się spóźniają.

–Tasmórden przystąpił do oblężenia stolicy Elwynoru. Chciał jedynie, by uwaga Cefwyna skupiała się na południu, teraz i jeszcze długo. Sam Edwyll jednak nie wystarczył, a Amefel od dawna jest rozdarty. Niech Syllan weźmie dwóch żołnierzy Smoczej Gwardii i poszuka Drummana i Azanta. Mają ich tu przyprowadzić. – Zdawał sobie doskonale sprawę z położenia Crissanda... krocącego bez płaszcza, w śniegu, w kierunku stajennej furty. – Lusin.

–Tak, panie.

–Pójdiesz z Tawwysem, żeby zatrzymać lorda Meidena przed bramą dziedzińca przy stajniach. I dajcie mu ciepły płaszcz.

Rozdział siódmy

–Uważaj na siebie – rzekł Cefwyn do Cevulirna.

–Sam na siebie uważaj, miłościwy panie. – Była noc. Straż przyboczna diuka Ivanoru czekała u wejścia do królewskich apartamentów, lojalni ludzie opiekowali się koniem i bronią. – Moją troską jest dobro Waszej Królewskiej Mości.

–Mam się na baczności. – Cefwyn rozchylił ramiona do uścisku i, co się rzadko zdarzało, Cevulirn padł mu w objęcia, wyprostowany jak struna. – Będę za tobą tęsknił. Będzie mi ciebie brakowało zimą. Dziękuję w imieniu mojej pani. Nie zapomnimy ci tego. A na wiosnę oczekuj naszej wizyty.

–Najjaśniejszy panie. – Cevulirn odebrał płaszcz z rąk człowieka, który przyniósł go z prywatnych komnat diuka. Płaszcz i nic więcej. Królewskie straże stały na górze pod drzwiami Cevulirna, strzegąc ich przed niepożądanymi odwiedzinami. Efanor od kilku już godzin debatował potajemnie ze Świątobliwym Ojcem, chcąc zdobyć poparcie kapłana.

–Szerokiej drogi – życzył mu Cefwyn. Patrzył, jak Cevulirn zabiera swoją straż i maszeruje ku drzwiom, pozostawiając po sobie pustkę na dworze, trudną do odwołania.

Być może Ninevrise życzyłaby sobie uczestniczyć w tym pożegnaniu. Także przed drzwiami regentki ustawił gwardzistów, radząc jej, aby nigdzie nie wychodziła, dopóty wieść będzie obiegać spóźnione wieści, zwoływać narady i rozsyłać w pośpiechu kurierów do wszystkich zakątków, w których gromadzili się przyjaciele i wrogowie króla. Artisane gdzieś przepadła, mimo że jej brat leżał martwy; Cefwyn upewnił się jednak, że nie przebywa blisko Ninevrise, i to mu wystarczyło.

I oto, po rozstaniu z jeszcze jednym przyjacielem, wrócił do stolika, gdzie zaczął pisać dłuższy niż zwykle list do narzeczonej z prośbą, by towarzyszyła mu nazajutrz na dworze. Padną zapewne pytania, aczkolwiek żywił nadzieję na ich łagodniejszy ton.

Zza okna doszedł go tętent kopyt na bruku, przytłumiony szumem deszczu ze śniegiem. Ciężka noc dla podróżnych. Groźbę uzna za zażegnaną dopiero wtedy, gdy Cevulirn na czele swoich dobrze uzbrojonych weteranów wyjedzie poza bramy grodu.

–Najjaśniejszy panie. – Annas przeszkodził mu w pisaniu. Końcówka pióra wyschła podczas długiej chwili zadumy, „...publiczną akceptację” – zamierzał napisać, lecz dalsza część zdania uleciała mu z pamięci. – Najjaśniejszy panie, lord Corswyndam tu zmierza, domaga się audiencji.

Mógłby odrzucić prośbę Ryssanda. Zawsze mógł go aresztować z powodu zwykłego królewskiego niezadowolenia. Musiał jednak zadać sobie pytanie, czy następnego dnia rządziłby jeszcze królestwem i jak wielu baronów północy był w stanie umieścić w areszcie. Wykonał już egzekucję na Herynie Aswyddzie, pozbawił władzy i wygnał jego siostrę Orien, tyle że ona, jako duchessa Amefel, odziedziczyła po bracie ledwie garstkę wiernych ludzi. Corswyndam przeciwnie, miał armię, którą, kierując się względami polityki, niemal na pewno zechce poprowadzić na Ivanor.

Król Ylesuinu musiał za wszelką cenę zapobiec wojnie między dwoma prowincjami.

–Spotkam się z nim na sali – oznajmił, zakręcając kałamarz. – Powiadom Idrysa.

Włożyć lepszy płaszcz? Może ten w kolorze czerwieni Marhanenów, obsyty złotem?

Nie. Posłał pazia po nabijany ćwiekami kaftan ze skóry oraz miecz. Zdążył się przygotować, zanim Annas doniósł, że na dole czeka już Corswyndam, jak również Prichwarrin i kilku innych lordów, być może oczekujących na kolejne posiłki.

–Gdzie Idrys? – zapytał Annasa.

–Jeszcześmy go nie znaleźli. Proszę Waszą Królewską Mość, zaczekaj.

–Do licha z nim! – powiedział, choć przypuszczalnie Idrys wykonywał jakieś pilne zadanie, i to w interesie króla. – To nie może czekać.

Zebrał wokół siebie wystarczającą liczbę gwardzistów, a wtedy przybiegł chłopiec, niosąc ostrożnie królewski diadem... niewątpliwie z rozkazu Annasa. Cefwyn włożył go na skronie i poprowadził orszak na dół do sali. Tupot żołnierzy i szcęk oręża budziły echo w salach nawykłych do krwawych scen. Schodził schodami, które podobno nawiedzały widma złych uczynków dziadka; mijał ścienne świeczniki, uzupełniane dzień i noc z polecenia Selwyna, aby rozproszyć mrok pełen duchów.

Dotarł do sali tronowej, gdzie grono pobladłych dworzan zgięło się w ukłonie jak trawa na wietrze, potem przeszedł do sali audiencyjnej: obradujące po cichu grupki ylesuińskiej arystokracji usuwały mu się zaskoczone z drogi, gdy kroczył od głównych drzwi do podwyższenia. Gwardziści stanęli w zwartym szyku po obu stronach schodków oraz z tyłu, z hukiem zatknęli w ziemię drzewca broni, a rozgniewany król Ylesuinu zasiadł naprzeciwko swoich baronów.

Corswyndam wystąpił przed samo podwyższenie i zmierzył go spojrzeniem.

–Mój syn, mój dziedzic nie żyje, najjaśniejszy panie, a obcy...

–Ani słowa więcej, Ryssand! Wprowadzono cię w błąd, podobnie jak wprowadzono

w błąd twojego syna. Jeżeli mniemasz, że nie powołam nowego diuka Ryssandu, to się grubo mylisz, ajeśliś sobie myślał, że ulegnę, to także się grubo mylisz! Świnie będą leżeć na pergaminie, rozumiesz? Wstążki, pieczęcie i cała reszta posłuży za łożo dla świń! Nie przywódź mnie do ostateczności!

–Miłościwy panie! – odparł Ryssand, poszarzały na twarzy, przełykając łzy. – Wasza Królewska Mość, doradzają ci zdrajcy i stałeś się obiektem działania czarów!

–Jak śmiesz!

Murandys stanął obok Ryssanda. Do przodu postąpił Nelefreissan.

–Oto północ, najjaśniejszy panie! Oto północ Ylesuinu. I co teraz powiesz, miłościwy panie?

Skrzydło wielkich drzwi zaskrzypiało i zamknęło się cicho. Niepostrzeżenie zjawił się Efanor. Za nim Idrys. A więc odnaleźli się: zabłąkany i zaginiony. Idrys wędrował obrzeżem komnaty, chyłkiem, jak to miał w zwyczaju. Efanor, który dopiero co wrócił ze świątyni, skinął głową, pewien siebie, rozpraszając wszelkie wątpliwości. Cefwyn odetchnął głęboko.

–Zawisłeś nad samą krawędzią zdrady, a członek twego domu dobył broni w mojej obecności.

–Jakim cudem mój syn mógł wygrać z Waszą Królewską Mością? Twoja obecność pozbawiła go sił! Ivanor, bądźmy szczerzy, zamordował mi syna, a petycję świętego quinaltu rzuca się świniom, panie?! Wasza Królewska Mość daje posłuch złowrogim podszeptom, pełnym wzdardzy dla bogów, mającym związek z czarną magią. I co się dzieje? Lojalni ludzie zabijani są bestialsko w pałacowych komnatach, i to w obecności króla, a czarne moce uczestniczą w walnych naradach!

Idrys dotarł do króla i wręczył mu niewielki, zwinięty list. Cefwyn był pewien, że zawiera jakąś uwagę Idrysa lub Efanora.

Potem utkwiał w zdenerwowanej twarzy Corswyndama głębokie, spokojne spojrzenie.

Uniósł w górę pergamin z pieczęcią Corswyndama, małych rozmiarów dokument. Ów gest i uśmiech króla uciszyły wzburzone głosy. Dwór milczał.

–Podejdź no tutaj, Ryssandzie. Podejdź.

Przez nader długą chwilę Ryssand wahał się, niemniej zdrowy rozsądek i gruntowna znajomość natury Marhanenów pohamowała gwałtowny wybuch gniewu. Ryssand wszedł na stopnie podwyższenia, obserwowany czujnie przez Idrysa i gwardzistów. Cefwyn po raz pierwszy poczuł się wygodnie w nabijanym ćwiekami kaftanie.

–Czy poznajesz ten papier? – Król bawił się nim w dwóch palcach. – Chcesz, żebym go odczytał?

–Mogę rzucić okiem, panie?

Cefwyn oddał dokument i patrzył, jak Ryssand odwija papier, a jego oblicze pokrywa się trupią bladością.

–To od diuka Amefel – oznajmił Idrys spokojnie. – Wedle słów kuriera, diuk znalazł ten list przy siodle konia lorda Parsynana i wydało mu się dziwnym, że ylesuiński lord uprzedza swoją wiadomością królewskiego posłańca.

–Zaiste rzecz dziwna – rzekł Cefwyn, wyciągając rękę po list, opanowanym i władczym gestem. Corswyndam zwrócił mu dokument. – Szczerze ubolewam nad losem twojego syna. Opłakuj go na osobności. Zważywszy na twój smutek, nie pora teraz na czytanie tego przed dworem.

–Najjaśniejszy panie – powiedział Corswyndam słabym, zduszonym głosem, po czym wycofał się, blady i zgięty w pokłonie, nie tylko do podnóża schodów, ale dalej, aż zniknął za drzwiami, budząc pomruki wśród tłumu.

–Lord Corswyndam jest przygnębiony – obwieścił Cefwyn bezlitośnie – i musi wyjechać do Ryssandu na czas wyznaczony okresem żałoby. Życzę miłego wieczoru, a także miłych snów. Niech bogowie ześlą mu pocieszenie, a was wszystkich obdarzą łaską.

Powstał, zerknął na brata, błysnął uśmiechem w stronę dworzan i skierował pytający wzrok na Idrysa, który miał zadowoloną minę.

Powtórnie wezwani, tym razem do mniejszej sali, dwaj bladzi i oszołomieni earlowie zbliżyli się do stopni podwyższenia w tej chłodnej, słabiej oświetlonej komnacie, gdzie jednak czuło się swojską atmosferę. Tristen lubił tu przebywać. Zajął miejsce, gwardziści obstawili wszystkie drzwi. Ogarnął spojrzeniem sylwetki Drummana i Azanta, będących, czego był pewien, głównymi po Edwyllu przywódcami.

Oddano należne mu ukłony. Nie dbał o nie.

–Mam do was jedno pytanie – zwrócił się do przybyłych. – Czy lord Cuthan pokazał wam list? Lub coś o nim wspominał?

–Jaki list, panie? – Tak powiedział Azant. Drumman milczał uparcie.

–Czy wiedzieliście o liście? To jedno i to samo pytanie. Albo powiedzcie mi, tylko zgodnie z prawdą, dlaczego Edwyll samotnie zajął cytadelę, gdzie są elwynimskie oddziały, i co żeście zrobili, co chcielibyście przede mną zachować w tajemnicy?

Żądam od was prawdy, panowie, powołując się na wasze przysięgi, złożone w tejże sali, na tychże schodach.

–Panie – ozwał się Drumman, padając na kolana na drugim stopniu. – Panie.

–Mów prawdę. Chcę uzyskać odpowiedź, zanim sprawicie, że skrzywdzę niewinnego człowieka.

–Earl Tasmórden słał wiadomości do Edwylla, panie, o których każdy z nas wiedział. Królewski cenzus zmusił nas do podjęcia jakiejś decyzji. Królewskie zaślubiny dadzą mu podstawę prawną do wysunięcia bezprecedensowych roszczeń względem Elwynoru...

Uważano zatem traktat zawarty z Jej Miłością za bezwartościowy, lecz Tristen pominął tę sprawę milczeniem, skoro Drumman skłonny był wyznać resztę.

–O właściwej porze Tasmórden miał dać nam sygnał do obalenia wicekróla. A kiedy przyszła... Tej samej godziny, kiedy przyszła... ta wiadomość... Cuthan powiedział, że widział list u wicekróla, z którego wynikało, że wicekról został zmieniony, a w stronę miasta nadciągają wojska.

–Czy Cuthan powiedział wam, kto nadjeżdża?

–Nie, panie. Przysięgam, że nie. – Drumman potrząsnął głową, podobnie jak Azant.

–Doradzał Edwyllowi?

–Nie wiadomo, co doradził Edwyllowi. Wybiła godzina działania, lecz Cuthan nas ostrzegał. Edwyll przejął królewskiego gońca, ledwie ten wjechał do miasta. I wszyscy byliśmy w strachu.

Tasmórden poprowadził wojska na Ilefian, posyłając wiadomość za rzekę, by wywołać jak największy zamęt... Nie potrzeba wcale czarów do sporządzenia wiadomości czy otrucia grupy ludzi. Tyle że czarodzieje znajdowali zastosowanie dla omyłek i przypadków, a najefektywniej zamiary swe realizowali poprzez mściwych ludzi. Ludzie życzliwi w większym stopniu panowali nad swymi uczynkami.

–A więc Cuthan nie jest waszym przyjacielem?

–Ani twoim, Wasza Miłość – odparł Drumman.

–On nie ma przyjaciół – dodał Azant.

–Komu zatem służy, jak wam się wydaje? I czemu tak bardzo nienawidził Edwylla?

–Służył Herynowi Aswyddowi – odpowiedział Drumman.

Tristen wciągnął powietrze.

–Edwyll też był Aswyddem.

–Ale nie służył lordowi Herynowi. Dlatego Jego Królewska Mość postanowił go nie wypędzać. On nigdy nie popierał polityki lorda Heryna, Wasza Miłość. Sprzeciwiał się jej w czasie narad, jakby przysięgał wierność Marhanenom, czego jednak nigdy nie uczynił.

–Chciano mianować Cuthana diukiem.

–Cuthan nigdy w życiu nie złożyłby przysięgi Marhanenom. – Azant potrząsnął głową. – Tolerował lorda Parsynana, gdyż taka postawa służyła jego zamysłom. A Parsynan ostrzegał go przed nami, widząc w nim lojalnego sobie człowieka, kiedy wybuchła rebelia. – Azant również osunął się na kolana. – Panie, porwała nas rozpacz. Wstrzymaliśmy się od działań, pragnąc uratować lorda Edwylla, i pomagaliśmy ci, dopóki lord Parsynan nie zechciał samowolnie dać upust swoim żalom... Nigdy nie buntowaliśmy się przeciwko tobie, panie.

–Mówicie to także w imieniu Cuthana?

–On nadal jest sługą lorda Heryna – mruknął Drumman.

Tristen przeszywał wzrokiem obu klęczących lordów – Amefiriczycy nie mieli w zwyczaju klęczeć – by na koniec dać im sygnał do powstania.

–Wracajcie do domów – rzekł łagodnie. – W pokoju.

–Lordzie Sihhe – szepnął Drumman z ukłonem, po czym odszedł z Azantem.

Cisza panowała w komnacie. Gwardziści nie ruszali się z miejsca. Uwen nawet nie drgnął.

–Lord Cuthan może przyjść do mnie wieczorem, podobnie jak ci, co dopiero wyszli – przerwał Tristen milczenie. – Jeśli odmówi, niech jeszcze dziś zabierze konia, dobytek i dowolnym sposobem przeprawi się przez rzekę. Przypuszczam, że znajdzie łodzie w wiosce Maldy. Ponieważ jest starszym człowiekiem, trzeba mu pomóc tam dotrzeć.

–Panie – odparł Uwen.

–Nie jestem Sową – oświadczył, wprawiając Uwena w niewątpliwe zdumienie. Wzrok miał ciągle utkwiony w przeciwległym końcu sali, gdzie nie dostrzegał wizji, jaka nawiedzała go ostatnio w snach, przedstawiającej stare sokolarnie i światło sączące się przez dziury w popękanych deskach, miejsce pełne trzepotu skrzydeł oraz kurzu

minionych lat. – Bądź łaskaw sprowadzić tu Crissanda, Uwenie. Muszę mu zadać kilka pytań, lecz mniej dociekliwych niż te, które szykuję dla lorda Cuthana.

Rozdział ósmy

Przyjazd Emuina, opóźniony o cały tydzień, odbył się w zamieci śnieżnej wczesnego popołudnia. Rozbrzmiał dzwon, obwieszczając przybycie ważnego gościa, co potwierdził Ness, kiedy przycwałował spod bramy. Niebawem tabor złożony z ciągniętych przez woły furmanek i krytych wozów oraz objuczonych mułów wywołał zamęt na dziedzińcu przed stajniami. Mimo padającego śniegu mistrz Emuin nie zamierzał stamtąd odejść, co w żadnym stopniu nic zdziwiło Tristena. Ptasie gniazda i butelki musiały trafić do wieży mistrza Emuina. Tristen rozkazał w niej posprzątać, by czarodziej mógł od razu posłać bagaże na górę albo osobiście je tam dźwigać, czego nie należało wykluczać.

–Dzień dobry, panie – rzekł Tristen ze szczytu zachodnich schodów, obserwując z góry pogrążonego w chaosie Emuina. Pokryty stratowanym śniegiem bruk, z wyjątkiem skrawka ziemi, gdzie stał starzec, został upstrzony zdjętym z wozów bagażem. Niektóre rozładowane furmanki znikwały za otwartą na oścież żelazną bramą, lecz napływały wciąż nowe, łącznie z wozem, który sprawiał problemy.

–A, tam jesteś! – odkrzyknął Emuin ostro. – Miasto spalone? Piwnice splądrowane?

Tristen zstąpił ze schodów w świetle gwardii z Lusinem na czele.

–Tak powiedział wicekról?

–Przekazał mi straszne sprawozdanie na temat zniszczeń. Spodziewałem się ujrzeć zgliszcza, a przynajmniej łunę pożogi.

–W mieście spokój. Tego popołudnia przybył opat bryaltynów. Tutejszy kapłan quinaltynow jest o wiele życzliwszy od patriarchy w Guelessarze. Przesłał kosz jabłek.

–Jakaż niewysłowiona ulga!

–Earl Edwyll nie żyje. Syn przejął po nim majątek. Earl Cuthan uciekł łodzią do Elwynoru. Znaleźliśmy u niego listy Mauryla, niewielki miał z nich pożytek. Chyba chciał, żebym ich po prostu nie miał.

Emuin nie spuszczał zeń wzroku.

–Musiałem powziąć pewne decyzje – ciągnął Tristen. Ów zatłoczony, hałaśliwy podwórzec nie był stosownym miejscem do dyskusji nad szczegółami polityki, lecz wypowiadał teraz powszechną prawdę, znaną każdemu mieszkańcowi grodu.

–No, no – mruknął Emuin, wydając się umiarkowanie zaskoczony. – No, no – powtórzył, lecz nie podjął wątku, tylko krzyknął na sługę, by uważał ze skrzyniami.

–Nie chciałeś udzielać mi rad, panie – rzekł Tristen z goryczą.

–I owszem. Stanąc na drodze wytworu Mauryla? Ja? Przybyłem po to, aby służyć wyjaśnieniami, nie wskazówkami, młody lordzie, jako że teraz jesteś naprawdę lordem.

–Wytworu Mauryla? Jak śmiesz tak mówić?

–Tylko na tyle starcza mi śmiałości. Utorowałeś sobie drogę, młody lordzie. Teraz więc jestem. Dopiero teraz.

Nareszcie na dziedziniec wtoczył się wóz z Tassandem i resztą jego służby, których Tristen ujrzał z radością, a którym wystarczyło powiedzieć: „Apartamenty Orien”, by Tassand otrzymał wszystkie konieczne informacje i zabrał się natychmiast do pracy, kierując na górne piętro paczki i bagaże.

Wrócił do środka, gdzie panował nieopisany harmider, powiększany przez wnoszone kufry setki gueleńskich żołnierzy i urzędników, szukających swoich kwater. Umknął stamtąd na górne piętro, powiadomiwszy Emuina, by go zawołał w razie konieczności, skoro już nie dał się namówić do porzucenia swoich drogocennych pakunków – przebywających tylko dwa miesiące poza więżą, by teraz powrócić na rękach służących.

Dom jego stawał się kompletny: czarodziej, garderoba, wszystko się pojawiło.

Zasiadł przy stole, gdzie czekały nań petycje i skargi. Brał w ręce te, które miał nadzieję pozytywnie rozpatrzyć. Mistrz Rosyn, krawiec służący niegdyś Cefwynowi, pragnął dostarczać „artykuły pierwszorzędnej jakości”. Mistrz Rosyn napisał list własnoręcznie. Był zacnym, pracowitym człowiekiem. Tristen odłożył na bok ten wniosek z zamiarem przekazania go Tassandowi.

Czerwień i czerń barwiły sztandar, pod którym amefińskie pospólstwo maszerowało na bitwę nad Lewenbrookiem; czerwień jawiła mu się wraz z jedną z tych nagłych, jasnych myśli jako kolor Amefel, zagrabiony przez Aswyddów.

Skąd ta wiedza? Przez ułamek chwili spoglądał na wzgórze, na którym usadowiła się forteca Zeide, opasana zewsząd śnieżnym pustkowiec, górująca nad skromnym zaczątkiem miasta. Zmysł orientacji oznajmił mu, że owo miasto, niemal wieś, stało dokładnie tam, gdzie dzisiaj znajdowały się najbardziej oddalone stajnie. Panowała noc, światełka migwały przy bramie fortecy. W miejscu, gdzie długie, przestronne ulice spływały w dół ku bramom wyjazdowym ludnego grodu, teraz rosło zaledwie kilka drzew, a wąska dróżka prowadziła do murów niewiele różniących się od dzisiejszych

obwarowań, z wyjątkiem bramy z żelaza i dębowych bali.

– Wasza Lordowska Mość. – To Tassand nadszedł z kolejnymi bagażami. – Nie będziemy przeszkadzać bieganiem tam i z powrotem?

– Ani trochę – odparł. Krzątanka służby rozwiła widzenie, lecz i ona miała poniekąd magiczną moc. Tassand podszedł do okna i rozsunał zielone zasłony, wpuszczając światło i zarazem ziąb. Z zewnątrz wpadał biały blask: białe były okoliczne dachy, oślepiająco białe było niebo.

Sam zabezpieczył uprzednio to okno, lecz teraz robił to Tassand wraz z resztą czeladzi. Nadszedł Uwen z naręczem tobołków, odrzucając oferty pomocy. Wszyscy myszkowali wśród bagaży, wyszukiwali osobiste rzeczy, bez których musieli się przez jakiś czas obywać.

Tristen powrócił do przerwane go pisania – usiadł przy stole lady Orien i ujął w dłoń pióro.

Zająłem Henaśamef i wygnałem lorda wicekróla, który wbrew moim rozkazom zamordował bezbronnych ludzi – Earl Meiden uzyskał od Tasmórdena obietnicę wsparcia przeciwko Twoim wojskom, ale musiałby przejąć w pierw władzę nad prowincją zamiar ten zaczął już wprowadzać w czyn. Cuthan, ostrzeżony przez Ryssanda w liście odesłanym przez mnie Waszej Królewskiej Mości, w ostatniej chwili powściągnął zapędy pozostałych earłów. Tasmórden, zajęty obecnie zdobywaniem Ilefianu, co do czego mam pewność, nie udzieliłby obiecanej pomocy: chciał dzięki rebelii Edwylla odciągnąć Twoją uwagę od wschodu, skąd mógłbyś wprowadzić wojska do Elwynom, a także aby pozbawić Ylesuin wszelkich odwodów, mogących ruszyć na pomoc oblężonej elwynimskiej stolicy. Do wiosny Tasmórden umocniłby swoją pozycję w mieście, a Edwyll w tym czasie wyczerpałby Twoje siły i związał je w walce na południu. Nie powiodła się jego próba. Wygnałem lorda Cuthana.

Od czterech dni w mieście panuje spokój. Odebrałem przysięgi od wszystkich earłów i zatwierdziłem prawa Crissanda, spadkobiercy Meidena, który zajmie miejsce ojca. Przykro mi z powodu śmierci ludzi earla oraz Twojego uczciwego posłańca.

Zabezpieczyłem archiwum i uczę się wszystkiego, co powinienem wiedzieć.

Życzę wszystkiego najlepszego Waszej królewskiej Mości, jak również Jej Miłości. Nie zapominam też o dobroci Jego Wysokości.

Obok na pulpicie stał kałamarz w kształcie smoka rozpościerającego szeroko skrzydła. Wszędzie wisiały draperie – zielone, w kolorze Aswyddów. Nie miał pojęcia, kiedy w natłoku ważniejszych spraw służba znajdzie czas, by je zmienić.

Włożył pióro do smoczego pazura, zwinął list i obwiązał sznurkiem. Następnie wylał na sznurek kilka kropel wosku w czerwonym odcieniu Amefel, a potem odcisnął na nim swój pierścień, znany Cefwynowi. Nie potrzebował książęcego sygnetu. To wystarczyło.

W komnacie panowała cisza i spokój, przemarsze służących kołysały do snu, spiżowe pozłacane smoki odcinały się posępnie na tle wpadającego przez okno światła.

Strach przed nimi wydawał się absurdalny. Zrobione zostały z metalu. Pomyślał jednak o ozdobach wyrzeźbionych w dębinie, o zmuszaniu drewna, by było takie, jakim być nie chciało.

Pomyślał o skrzydłach, o swawolnych gołębiach, a także o Sowie wędrującej gdzieś po zaśnieżonym, zimowym świecie. Przynajmniej tego dnia zapanował w jego gospodarstwie pewien ład, choć nie mógł powiedzieć tego samego o mistrzu Emuinie – wyczuwał jego zmarznięte stopy, ręce, nos. Oraz smak herbaty.

Epilog

Perły migotały w blasku świec, gdy panna młoda podniosła wzrok pełen fioletowych odcieni. Cefwyn oplótł palcami gorącą dłoń, niewielką uwagę poświęcając monotonnej przemowie Świątobliwego Ojca, słowom obiecanego błogosławieństwa. Nieustannie spojrzeniem, a przez chwilę ramionami obejmował swoją Ninevrise. Utał się zwyczaj całowania gueleńskiej panny młodej.

Cefwyn dostosował się do niego z wielką ochotą.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/